

William Faulkner

Światłość w sierpniu

(Przełożył Maciej Słomczyński)

Siedząc przy drodze i patrząc na wóz, który wspina się ku niej pod górę, Lena myśli: “Przyszłam tu z Alabamy. Kawał świata. Całą drogę z Alabamy, pieszo. Kawał świata”. I równocześnie myśli: *Chociaż byłam niecały miesiąc w drodze, jestem już w Missisipi, dalej od domu niż kiedykolwiek przedtem. Jestem teraz nawet dalej od Doane's Mill, niż byłam wtedy, kiedy miałam dwanaście lat.*

Nawet w Doane's Mill nie była nigdy, zanim jej ojciec i matka nie umarli, chociaż sześć albo osiem razy w ciągu roku jeździła w lichej sukience wozem do miasta, opierając bosc stopy o dno wozu, podczas gdy zawinięte w papier buty leżały obok na koźle. Wkładała buty tuż przed wjazdem do miasta. Kiedy była już dużą dziewczyną, prosiła ojca, żeby zatrzymywał wóz na skraju miasta, zsiadała i szła pieszo. Nie chciała mówić ojcu, dlaczego woli iść. Myślał, że to z powodu gładkiej nawierzchni ulic i chodników. Ale robiła to, bo wierzyła, że ludzie, którzy zobaczą ją, gdy będzie ich mijała pieszo, uwierzą, że ona także mieszka w mieście.

Kiedy miała dwanaście lat, jej ojciec i matka umarli tego samego lata w zbitej z okrągłaków chacie, składającej się z trzech izb i sieni. Umarli w izbie oświetlonej naftową lampą, wokół której tańczyły owady. Nagą podłogę izby nagie stopy ludzkie wygładziły jak stare srebro.

Była najmłodsza z żyjących dzieci. Jej matka umarła pierwsza. Powiedziała: — Zaopiekuj się tatą. — Lena posłuchała. Później, pewnego dnia, ojciec powiedział:

— Pojedziesz do Doane's Mill z McKinleyem. Przygotuj się, żebyś była gotowa do drogi, kiedy nadjedzie.

— Potem umarł. Jej brat McKinley przyjechał wozem. Po południu pochowali ojca w gaiku za wiejskim kościołkiem i postawili mu sosnowy krzyżyk. Następnego ranka wraz z McKinleyem odjechała wozem do Doane's Mill. Odjechała na zawsze, chociaż prawdopodobnie nie wiedziała jeszcze wówczas o tym. Wóz był pożyczony i brat przyrzekł go zwrócić przed zapadnięciem nocy.

Brat pracował w tartaku. Wszyscy ludzie w wiosce pracowali w tartaku albo dla tartaku. Tartak ciął sosnę. Stał tu już siedem lat, a zanim upłynie jeszcze siedem, wyniszczy cały drzewostan w swoim zasięgu. Wtedy część maszyn i większość ludzi, którzy go prowadzili, żyli z niego i dla niego, zostanie załadowana na ciężarowe platformy i wywieziona. Ale ponieważ nowy sprzęt zawsze można kupić na raty, więc

niektóre fragmenty maszyn pozostaną: cienkie, kłujące w oczy nieruchome koła o przedziwnym wyglądzie, które wyrastają z rumowiska cegieł i chwastów; wypatroszone kotły, unoszące swe zardzewiałe i nie dymiące już kominy, o wyrazie upartym, pełnym zawodu i osłupienia ponad wypełnionym kikutami i dołami obrazem zupełnego, cichego spustoszenia, nie przeorany, nie uprawiony, spływającym z wolna do czerwonych zwężających się rozpadlin podczas długich, cichych deszczów jesieni i szalejącej furii wiosennych burz. Wówczas nazwa tej wioski, nie figurująca w rejestrach ministerstwa poczt podczas najlepszych jej dni,

nie zostanie nawet w pamięci trawionych anemią włóczęgów-spadkobierców, którzy rozbiorą budynki, aby je spalić w kuchenkach i żelaznych piecykach.

Gdy Lena przybyła, było tam może pięć rodzin. Był także tor kolejowy i przystanek, przez który raz dziennie przelatował z wrzaskiem pociąg towarowo-osobowy. Pociąg można było zatrzymać czerwoną chorągiewką, ale zwykle wynurzał się niespodziewanie jak duch spomiędzy spustoszonych pagórków i wyjął upiornie mijał tę mniej-niż-wioskę, porzuconą jak zapomniany koralik z rozerwanego sznura.

Brat był o dwadzieścia lat starszy od niej. Nie przypominała go już sobie prawie, kiedy przybyła, żeby z nim zamieszkać. Żył w czteroizbowym, niemalowanym domu ze swoją przepracowaną i zmęczoną macierzyństwem żoną. Prawie przez połowę każdego roku bratowa zajęta była rodzeniem albo przychodzeniem do siebie po porodzie. Podczas tych okresów Lena robiła całą robotę w domu i opiekowała się pozostałymi dziećmi. Później powiedziała do siebie: "Myślę, że pewnie dlatego sama tak prędko postarałam się o swoje własne".

Przybudówka, w której sypiała, była w tyle domu i miała okno, które Lena nauczyła się otwierać i zamykać zupełnie bezszelestnie po ciemku, chociaż w tym samym pokoju sypiał z nią najpierw najstarszy bratanek, potem dwóch bratanków, a potem trzech. Mieszkała tam osiem lat, zanim otworzyła to okno po raz pierwszy. Ale zanim otworzyła je po raz dwunasty, odkryła, że lepiej było go w ogóle nie otwierać. Powiedziała do siebie: "Mam już takie szczęście".

Bratowa powiedziała bratu. Wtedy zauważył w jej sylwetce zmianę, którą powinien był zauważyć trochę wcześniej. Był to twardy człowiek. Skończył właśnie czterdzieści lat i zdążył już wypocić z siebie młodość, czułość, łagodność i prawie wszystkie inne uczucia, poza zawziętym, rozpaczliwym męstwem i posepnym poczuciem dumy rodowej. Nazwał ją kurwą. Oskarżył właściwego człowieka. (Zresztą młodych, nieżonatych mężczyzn i słomianych wdowców było jeszcze mniej niż

rodzin). Ale nie przyznała mu racji, chociaż człowiek ów odjechał już przed sześcioma miesiącami. Powtarzała uparcie: — On przyśle po mnie. Powiedział, że po mnie przyśle. — Było w jej niewzruszoności coś owczego. Czerpała z zasobów cierpliwej, niezmiennej wierności, na której tacy Łukasze Burchowie polegają i w którą wierzą, chociaż nie pragną być obecni, kiedy zaistnieje konieczność jej okazania. W dwa tygodnie później jeszcze raz wspięła się na okno. Tym razem szło jej trochę trudniej. “Gdyby mi wtedy szło tak ciężko, nie potrzebowałabym teraz tego robić” — pomyślała. Mogła odejść drzwiami w świetle dnia. Nikt by jej nie zatrzymywał. Może wiedziała o tym. Ale wolała odejść nocą przez okno. Niosła wachlarz z palmowych liści i mały tobolek, zawinięty schludnie w wielką, kolorową chustkę. Zawierał on, pomiędzy innymi rzeczami, trzydzieści pięć centów w piątkach i dziesiątkach. Buty należały do jej brata. Dostała je od niego. Były mało noszone, bo latem żadne z nich nigdy nie nosiło obuwia. Kiedy poczuła pył drogi pod stopami, zdjęła buty i poniosła je w ręce.

Szła już tak prawie cztery tygodnie. Te wołające z oddali cztery tygodnie poza nią są cichym korytarzem, wybrukowanym nie opadającą, spokojną wiarą i zaludnionym dobrymi, bezimiennymi twarzami i głosami: Łukasz Burch? Nie znam. Nie znam w okolicy nikogo o tym nazwisku. Ta droga? Prowadzi do Pocahontas. On może tam być. To możliwe. Tu jest wóz, który ma jechać kawałek w tamtą stronę. Zabierze cię. Odwija się teraz poza nią długi, monotony szereg spokojnych, równych przemian, z dnia w ciemność i znów z ciemności w dzień, przez które przesuwają się w jednakowych, bezimiennych i powolnych wozach, jak gdyby przez szereg skrzypiących i kołyszących się wcieleń. Była jak coś poruszającego się wiekuiście po powierzchni urny.

Wóz wspina się ku niej pod górę. Wyminęła go o milę stąd. Stał przy drodze. Muły spały w uprzęży. Głowy ich wskazywały kierunek, w którym szła. Po drugiej stronie płotu zobaczyła dwóch mężczyzn, siedzących w kucki przy stodole. Spojrzała na wóz i na ludzi tylko raz, jednym, wszechobejmującym spojrzeniem, szybkim, niewinnym i dokładnym. Nie zatrzymała się. Było bardzo prawdopodobne, że mężczyźni po drugiej stronie płotu nie zauważyli nawet jej spojrzenia, skierowanego na nich i na wóz. Nie obejrzała się za siebie. Zniknęła im z oczu, idąc wolno z butami rozsznurowanymi na kostkach — póki nie osiągnęła szczytu pagórka o milę dalej. Wtedy usiadła nad brzegiem płytkiego rowu, opuściła nogi i zdjęła buty. Potem usłyszała wóz. Słyszała go przez pewien czas. A później zobaczyła go, gdy wspinał się na pagórek.

Ostry i zgrzytliwy trzask i stukot jego wyschniętego i nie naoliwionego drzewa i żelastwa jest powolny i przeraźliwy. Jest to szereg suchych, leniwych odgłosów, niosących się na pół mili poprzez gorące, nieruchome, tęskne milczenie sierpniowego popołudnia. Choć muły wloką się miarowo w nieprzemijającej hipnozie, pojazd zdaje się nie posuwać. Tak nieznaczny jest jego ruch naprzód, że wydaje się na zawsze zawieszony pośrodku dali, jak lichy paciorek na miękkim, czerwonym sznurku drogi. Wrażenie jest tak bardzo prawdziwe, że patrząc nań, oko gubi go, a jego obraz zaciera się i zlewa z całą tą drogą i jej wszystkimi spokojnymi, jednostajnymi przemianami, które płyną między nocą a dniem, jak raz już odmierzona nić, nawijana z powrotem na szpulkę. Aż wreszcie odgłos ten zdaje się nadchodzić z jakiegoś nieistotnego, nie istniejącego miejsca, leżącego poza przestrzenią — powolny, straszliwy i bez znaczenia, jak gdyby pochodził od ducha, który wyprzedza o pół mili swe własne ciało. “Z tak daleka go słyszałam, zanim go zobaczyłam” — myśli Lena. Myśli o tym, że znów się posuwa naprzód, że znów jedzie. A równocześnie myśli: W ten sposób jadę przez pół mili, a nie wsiadłam nawet jeszcze na wóz. Wóz nie dojechał jeszcze nawet do miejsca, w którym czekam. A kiedy mnie już w nim nie będzie, wtedy będzie mnie wiozł jeszcze przez pół mili. Czekam teraz, nie patrząc nawet na wóz, a myśli biegną łatwo, szybko i spokojnie, wypełnione łagodnymi twarzami i głosami: Łukasz Burch? Mówisz, że szukałaś w Pocahontas? Ta droga? Prowadzi do Spring-vale. Zaczekaj tu. Niedługo będzie tędy przejeżdżał wóz i zabierze cię w tamtą stronę. I równocześnie myśli: Jeżeli ten wóz jedzie do Jefferson, to Łukasz Burch usłyszy mnie, zanim mnie zobaczy. Usłyszy wóz, ale nie będzie wiedział. Więc będzie jedna osoba w obrębie jego słuchu, zanim ją zobaczy. A potem zobaczy mnie i będzie podniecony. A wtedy zobaczy dwie osoby, zanim sobie o tym przypomni”.

11

Siedząc w cieniu pod ścianą stodoły Armstid i Winter-bottom zauważyli ją, kiedy przechodziła drogą. Zauważyli od razu, że jest młoda, w ciąży i obca.

— Ciekaw jestem, skąd wzięła to brzucho? — powiedział Winterbottom.

— Ciekaw jestem, z jak daleka przydzwigała je piechotą? — powiedział Armstid.

— Myślę sobie, że odwiedzała kogoś w okolicy — powiedział Winterbottom.

— Myślę sobie, że nie. Słyszałbym o tym. Nie była też u nikogo w moich stronach, bobym też o tym słyszał.

— Myślę sobie, że ona wie, dokąd idzie — powiedział Winterbottom. —

Wygląda na to.

— Nie ujdzie daleko, a już będzie miała towarzystwo — powiedział Armstid.

Kobieta minęła ich już, niosąc swoje wyraźne, wzdęte brzemię. Żaden z nich nie zauważył nawet jej spojrzenia, gdy przechodziła w swej workowatej, wypłowiałej niebieskiej sukience, niosąc wachlarz z liści palmowych i mały, zawinięty w chustkę tobołeczek.

— Z bliska to ona nie przyszła — powiedział Armstid. — Wlecze się, jakby szła tą drogą ładny kawał czasu i miała jeszcze kawał drogi przed sobą.

— Pewnie wybiera się w odwiedziny do kogoś tu w okolicy — powiedział Winterbottom.

— Myślę sobie, że chyba bym słyszał o tym — powiedział Armstid.

Kobieta poszła dalej. Nie obejrzała się. Zniknęła im z oczu obrzmiała, powolna, stateczna, nie popędzana niczym i nie znużona jak pogłębiające się wokół popołudnie. Zniknęła także z ich rozmowy, a może nawet z ich myśli, bo po pewnym czasie Armstid powie-

12

dział to, co przyjechał powiedzieć. Żeby to powiedzieć, przemierzył już poprzednio dwa razy po pięć mil swoim wozem i po trzy godziny siadywał, poplując, pod cienistą ścianą stodoły Winterbottoma, z tą nieskończoną powolnością i brakiem bezpośredniości ludzi swego rodzaju. Chodziło o to, ile miał dać Winterbottomowi za bronę, którą Winterbottom miał do sprzedania. W końcu Armstid spojrział na słońce i podał cenę, którą postanowił ofiarować, leżąc w łóżku nocą przedwczoraj.

— Znam jednego takiego w Jefferson, od którego mógłbym ją kupić za tyle — powiedział. — Myślę, że kup ją sobie od niego — powiedział Winterbottom. — To prawie za bezcen.

— Pewnie — powiedział Armstid. Splunął. Znowu spojrział na słońce i wstał. — Myślę, że trzeba będzie ruszać do domu.

Wdrapał się na wóz i obudził muły. To znaczy, wprawił je w ruch, bo tylko Murzyn wie, kiedy muł śpi, a kiedy nie śpi. Winterbottom odprowadził go aż do płotu i oparł ręce o najwyższą belkę ogrodzenia.

— Tak, tak — powiedział. — Pewnie. Sam bym tyle dał za tę bronę. Jeżeli jej nie weźmiesz, to niech mnie nazwą psem, jeżeli nie będę miał chęci kupić jej za taką cenę. Myślę sobie, że ten facet, co ją ma, musi pewnie mieć też parę mułów za pięć dolarów,

co?

— Pewnie — powiedział Armstid. Ruszył i wóz wpadł w swoje powolne, połykające odległość skrzywienie. Armstid także nie obejrzał się. Widocznie nie patrzy i przed siebie, bo nie widzi kobiety, siedzącej w przydrożnym rowie, póki wóz nie znajduje się prawie na szczycie pagórka. W chwili kiedy rozpoznaje niebieską sukienkę, nie umie powiedzieć, czy kobieta

13

w ogóle zauważyła wóz. Tak samo nikt nie mógłby dowiedzieć się, czy Armstid kiedykolwiek ją dostrzegł. Chociaż żadne z nich nie posuwa się widocznie w kierunku drugiego, zbliżają się z wolna ku sobie, w miarę jak wóz pełznie straszliwie ku niej w swej powolnej, dotykającej aureoli drzemki i czerwonego pyłu, w którym nogi mułów przesuwają się jak we śnie, przerywanym rzadkim podzwanianiem upręży i gibkim unoszeniem się ich zajęczych uszu. Muły są wciąż jeszcze nie uśpione i nie przebudzone, kiedy je zatrzymuje.

Spod osłaniającego przed słońcem, wyblakłego, niebieskiego czepeczka, który stracił już barwę, ale nie od wody i mydła, kobieta spogląda na niego spokojnie i pogodnie. Jest młoda, ma miłą twarz, szczerą, przyjacielską i czujną. Nie porusza się jeszcze. Pod wypłowiałą sukienką, mającą ten sam wyblakły, niebieski kolor, jej ciało jest bezkształtne i nieruchome. Wachlarz i tobołek leżą na kolanach. Nie ma pończoch na nogach. Jej stykające się ze sobą nagie stopy odpoczywają w płytkim rowie. Nawet stojąca przy nich para ciężkich, zakurzonych męskich butów nie jest bardziej nieruchoma. W zatrzymanym wozie siedzi Armstid, zgarbiony, o wyblakłych oczach. Widzi, że rączka wachlarza owinięta jest starannie w ten sam wypłowiały niebieski materiał, z którego zrobiony jest czepeczek i sukienka.

— Jak daleko idziecie? — pyta.

— Staralam się ujść kawałek drogi, zanim się ściemni — mówi ona. Wstaje i podnosi buty. Powoli i ostrożnie wdrapuje się na drogę i podchodzi do wozu. Armstid nie schodzi, żeby jej pomóc. Trzyma tylko muły nieruchomo, podczas kiedy ona wdrapu-

14

15

je się ciężko na koło i kładzie buty pod siedzenie. Później wóz rusza.

— Dziękuję — mówi ona — to męczące tak iść pieszo.

Armstid ani razu nie przyjrzał się jej dokładnie. Ale zauważył już, że nie nosi obrączki. Nie patrzy na nią i teraz. Wóz znowu zanurza się w swoje powolne skrzypienie.

— Z jak daleka idziecie? — pyta Armstid.

Kobieta wzdycha. Ale jest to nie tyle westchnienie, ile spokojny oddech, pełen jak gdyby spokojnego zdziwienia.

— Zdaje mi się teraz, że to porządny kawał drogi. Idę z Alabamy.

— Z Alabamy? W tym stanie? A gdzie wasi krewni? Ona też nie patrzy na niego.

— Chcę go spotkać gdzieś w tej okolicy. Może go znacie? Nazywa się Łukasz Burch. Mówili mi ludzie niedaleko stąd, że znajdzie go w Jefferson i że pracuje tam w tartaku.

— Łukasz Burch. — Ton głosu Armstida jest prawie taki sam jak ton jej głosu. Siedzą obok siebie na pociętym siedzeniu o popękanych sprężynach. Widzi jej złożone na kolanach ręce i profil pod czepeczkiem. Widzi to kątem oka. Zdaje się śledzić drogę, która odwija się pomiędzy gibkimi uszami mułów. — I przeszliście tę całą drogę pieszo, szukając go?

Ona nie odpowiada przez chwilę. Potem mówi: — Ludzie byli uprzejmi. Byli ogromnie uprzejmi.

— Kobiety także? — Kątem oka spogląda na jej profil i myśli: Nie wiem, co Marta na to powie. Myśląc: “Myślę sobie, że kobiety umieją być równocześnie dobre i niemiłe. Mężczyźni też mogą być tacy. Ale tyl-

ko zła kobieta potrafi być miła dla drugiej, która potrzebuje dobroci”. Jednocześnie myśli: Tak. Wiem do-ktadnie, co Marta powie.

. Ona siedzi, trochę pochylona ku przodowi, zupełnie nieruchoma. Jej profil jest zupełnie nieruchomy i jej policzek. — To dziwna rzecz — mówi. K — Czy to, że ludzie mogą spojrzeć na idącą drogą nieznaną młodą dziewczuchę w takim stanie jak wasz i wiedzą od razu, że mąż ją porzucił? — Ona nie porusza się. Nie naoliwione i pokrzywione deski wozu wpadają w pewnego rodzaju rytm, który zlewa się z powolnie mijającym popołudniem, z drogą, z upałem. -T- I próbujecie go tam odnaleźć?

Ona nie porusza się, najwyraźniej spoglądając na powolną drogę, między uszami mułów i na jasny, przecięty drogą krajobraz.

; — Myślę, że go znajdzie. To nie będzie trudne. On będzie tam, gdzie się schodzą ludzie i gdzie jest dużo śmiechu i żartów. Zawsze to lubił.

Armstid chrząka. Dźwięk ten jest dziki i szorstki. — Zbudźcie się, muły —

mówi. A zanim wypowie swoją myśl na głos, mówi do siebie: “Myślę sobie, że go znajdzie. Myślę sobie, że ten facet wkrótce sprawdzi, jak grubo się omylił, osiadając po tej stronie Arkansas, a może nawet Teksasu”.

.-i Słońce świeci skośnie. Oddalone jest teraz o godzinę od widnokregu i od szybkiego nadejścia letniej nocy. Od drogi odchodzi tu koleina, spokojniejsza nawet niż droga.

— Jesteśmy na miejscu — mówi Armstid.

Kobieta porusza się natychmiast. Pochyla się i odnajduje buty. Widocznie nie chce zatrzymywać wozu, nawet na tyle czasu, ile go trzeba na ich włożenie.

16

WILUAM FAULKNER

— Dziękuję pięknie — mówi. — To bardzo się przydało.

— Nawet jeżeli zajdziecie przed zmrokiem do składu Yarnera, to i tak będziecie mieli jeszcze dwanaście mil do Jefferson — mówi Armstid.

Ona ściska niezgrabnie buty, zawiniątko i wachlarz w jednej ręce, a drugą ma wolną, żeby sobie pomóc przy schodzeniu. — Myślę, że trzeba iść — mówi.

Armstid nie dotyka jej. — Przenocujcie w moim domu — mówi. — Tam, gdzie kobiety... gdzie kobieta może wam... jeżeli wy... No, teraz chodźcie ze mną. Zabiorę was rano do Yarnera, a stamtąd podwiozą was do miasta. Ktoś będzie jechał, bo to sobota. Nie ucieknie wam przecież przez noc. Jeżeli jest w Jefferson, to jutro też tam będzie.

Kobieta siedzi zupełnie nieruchomo. Swoją dobytek ciągle ściska w ręce, gotowa do zejścia. Patrzy przed siebie, tam gdzie droga zakręca i ucieka w dal, przecięta skośnymi cieniami.

— Myślę, że mi jeszcze zostało parę dni.

— Pewnie. Macie jeszcze dużo czasu. Tylko że możecie każdej chwili mieć towarzystwo, które jeszcze nie będzie umiało chodzić. Wejdźcie ze mną do domu.

Nie czekając na odpowiedź, puszcza muły w ruch. Wóz wjeżdża w koleinę niewyraźnej bocznej dróżki. Kobieta prostuje się, chociaż ciągle jeszcze ściska wachlarz, zawiniątko i buty.

— Nie chciałabym przeszkadzać — mówi. — Nie chciałabym robić kłopotu...

— Pewnie — mówi Armstid. — Chodźcie ze mną. — Muły po raz pierwszy poruszają się szybciej z własnej woli. — Czują ziarno — mówi Armstid, myśląc:

17

“To jest właśnie kobieta. Sama podstawi nogę każdej innej siostrze-kobiecie, ale przejdzie bez wstydu przez cały kraj, bo wie, że mężczyźni się nią zaopiekują. Nic ją nie obchodzą inne kobiety. To przecież nie kobieta wpędziła ją w to, czego nie nazywa nawet kłopotem. Tak, tak. Pozwól tylko którejś z nich wyjść za mąż albo narobić sobie kłopotu bez wychodzenia za mąż, a od razu odżegna się od rodzaju kobiecego i straci resztę swojego życia, próbując połączyć się z rodzajem męskim. Dlatego niuchają tabakę, palą i chcą głosować”.

Kiedy wóz mija dom i jedzie w stronę stodółki, żona Armstida przygląda mu się, stojąc w drzwiach frontowych. Armstid nie patrzy w tamtą stronę, nie musi tam patrzeć, żeby wiedzieć, że ona tam będzie, że ona tam jest. “Tak — myśli złośliwie i z żalem, wprowadzając muły w otwartą bramę. — Wiem dokładnie, co powie”. Zatrzymuje wóz. Nie musi patrzeć, aby wiedzieć, że żona jest teraz w kuchni i nie przygląda się już, tylko czeka. Wóz stoi. — Idźcie teraz do domu. — Armstid zszedł z wozu, a kobieta schodzi powoli, przezornie wsłuchana w siebie.

— Jeżeli spotkacie kogoś, to będzie Marta. Ja przyjdę, kiedy nakarmię zwierzęta.

Nie patrzy na nią, gdy przechodzi ona przez podwórko w kierunku kuchni. Nie ma potrzeby tego robić. Krok po kroku wchodzi z nią razem w drzwi kuchenne i spotyka drugą kobietę, która przygląda się drzwiom kuchennym z takim samym wyrazem, z jakim patrzyła na wóz mijający front domu. “Myślę sobie, że wiem dokładnie, co ona powie” — myśli.

Wyprzęga muły, poi je, wprowadza do stajni, karmi i wpuszcza wracające z pastwiska krowy. Później

2 - światłość...

18

wchodzi do kuchni. Żona jest tam jeszcze — siwiejąca kobieta z zimną, surową, gniewną twarzą, kobieta, która urodziła pięcioro dzieci w ciągu sześciu lat i wychowała je na mężczyzn i kobiety. Nie jest leniwa. On nie patrzy na nią. Podchodzi do zlewu, napełnia miednicę wodą z kubła i zawija rękawy. — Jej nazwisko jest Burch — mówi. — Przynajmniej takie jest nazwisko tego człowieka, którego szuka. Łukasz Burch. Ktoś tam po drodze powiedział jej, że on jest teraz w Jefferson. — Zaczyna się myć, odwrócony ku niej plecami. — Mówi, że przyszła aż z Alabamy, sama jedna i pieszo.

Pani Armstid nie odwraca się. Jest zajęta przy stole.

— Przystanie być sama na długo przedtem, zanim znowu zobaczy Alabamę — mówi.

— I zanim zobaczy tego Burcha, jak sobie myślę. — Jest teraz bardzo zajęty przy zlewie. Mydli się i polewa wodą. Czuje, że żona patrzy na niego, na tył głowy, na plecy okryte przeпоconą niebieską koszulą. — Mówi, że ktoś w Samson powiedział jej, że ktoś, kto się nazywa Burch, czy jakoś podobnie, pracuje w tartaku w Jefferson.

— A ona pewnie myśli, że go tam znajdzie. Czekającego. Z umeblowanym domem i ze wszystkim.

Nie umie odgadnąć z jej głosu, czy przygląda mu się ona jeszcze, czy już nie. Wyciera się rozdartym workiem po mące. — Może go i znajdzie. Jeżeli on ucieka przed nią, to myślę, że zobaczy, jak się paskudnie omylił, nie oddzielając się od niej rzeką Missisipi. — Teraz już wie, że ona patrzy na niego, ta siwiejąca kobieta, nie gruba, nie chuda; surowa wobec mężczyzn, surowa w pracy, ubrana w roboczą szarą sukienkę, zniszczona, dzika i szorstka, stojąca z rękami

19

mi na biodrach i z takim wyrazem twarzy, jaki mają generałowie, którzy przegrali bitwę.

— Wy, chłopcy — mówi.

— Co chcesz z nią zrobić? Wypędzić ją? A może dać jej spać w stodole?

— Wy, chłopcy — mówi ona. — Wy, głupie chłopcy.

Wchodzą razem do kuchni, chociaż pani Armstid idzie pierwsza. Podchodzi prosto do pieca. Lena stoi przy drzwiach. Głowę ma odkrytą i gładko uczesane włosy. Nawet niebieska sukienka jest świeża i mniej wymięta. Przypatruje się pani Armstid, która tłucze żelaznymi fajerkami i przełamuje kawałki drewna z brutalną, męską nagłością.

— Chciałabym pomóc — mówi Lena. Pani Armstid nie ogląda się. Dziko trzaska drzwiczkami pieca.

— Zostań, gdzie jesteś. Jeżeli nie będziesz stała teraz, to może nie tak prędko będziesz musiała się położyć.

— Proszę pozwolić mi pomóc.

— Zostań, gdzie jesteś. Robię to trzy razy na dzień, od trzydziestu lat. Minął już czas, kiedy była mi potrzebna przy tym pomoc. — Krząta się teraz przy piecu i nie ogląda się za siebie. — Armstid mówi, że nazywałeś się Burch.

— Tak — mówi tamta. Jej głos brzmi teraz zupełnie poważnie i zupełnie

spokojnie. Siedzi zupełnie spokojnie. Nieruchome ręce ma złożone na kolanach. Pani Armstid i teraz nie odwraca się. Krząta się przy piecu. Zdaje się to pochłaniać ilość uwagi zupełnie niewspółmierną do dzikiej szybkości, z jaką przedtem

20

rozpaliła ogień. Zdaje się to pochłaniać tyle jej uwagi, jakby to był kosztowny zegarek.

— Ale czy twoje nazwisko jest Burch? — mówi pani Armstid.

Młoda kobieta nie odpowiada natychmiast. Pani Armstid nie grzechocze teraz fajerkami, chociaż ciągle jeszcze jest odwrócona plecami do młodszej kobiety. Później odwraca się. Patrzą na siebie, obnażone nagle, i przyglądają się sobie — siedząca na krześle młoda kobieta o schludnie zaczesanych włosach i bezwładnych rękach leżących na kolanach — i ta starsza, przy piecu, odwrócona, także nieruchoma, z dzikim kosmykiem siwych włosów u podstawy czaszki i twarzą, która mogłaby być wyrzeźbiona w piaskowcu. Wreszcie młodsza mówi:

— Powiedziałam wam nieprawdę. Nie nazywam się jeszcze Burch. Nazywam się Lena Grove.

Patrzą jedna na drugą. Głos pani Armstid nie jest ani zimny, ani ciepły. Jest obojętny.

— I chcesz go odnaleźć, żeby zdążyć zmienić nazwisko na Burch. Tak?

Lena spogląda teraz w dół, jakby przypatrywała się swoim leżącym na kolanach rękom. Jej głos jest spokojny i uparty. Jest jednak pogodny.

— Nie myślę, żeby mi było potrzebne jakieś przyrzeczenie od Łukasza. To się tylko tak nieszczęśliwie złożyło, że musiał odjechać. Nie wiodło mu się to, co miał w planie, i nie mógł wrócić po mnie, tak jak chciał. Myślę, że on i ja nie musieliśmy sobie przyrzekać. Kiedy dowiedział się tej nocy, że musi odjechać, wtedy...

— Dowiedział się której nocy? Tej nocy, której powiedziałaś mu o dziecku?

21

Ta druga nie odpowiada przez chwilę. Jej twarz jest spokojna jak kamień, ale nie twarda. Jej upartość jest miękka, pełna wewnętrznego światła, spokojnego i cichego braku rozsądku i odosobnienia. Pani Armstid przygląda się jej. Nie patrząc na nią Lena mówi:

— Już na długo przed tym wiedział, że będzie musiał odjechać. Tylko nie mówił mi wcześniej, bo nie chciał mnie martwić. Kiedy pierwszy raz usłyszał, że może stracić robotę, wiedział, że najlepiej będzie się ruszyć, bo prędzej mu się powie gdzieś,

gdzie majster nie będzie przeciwko niemu. Ale ciągle to odkładał. Ale kiedy to się stało, nie mogliśmy już dłużej odwlekać. Majster był przeciwko Łukaszowi, bo go nie lubił, bo Łukasz jest młody i zawsze pełen ży-eia, a majster chciał oddać robotę Łukasza swojemu kuzynowi. Ale on nie chciał mi tego mówić, boby mnie to tylko zmartwiło. Ale kiedy to się stało, nie mogliśmy już dłużej zwlekać. To ja powiedziałam, że musi jechać. Powiedział, że jeżeli zechcę, to zostanie, nie patrząc na to, czy majster będzie go traktował dobrze, czy źle. Ale ja powiedziałam, że ma jechać. Nawet wtedy nie chciał jechać. Ale ja powiedziałam, że tak. I żeby mi przysłał słówko, kiedy będzie już gotów mnie przyjąć. A potem z jego planów nic nie wyszło i nie mógł posłać po mnie, tak jak chciał. Taki młody człowiek potrzebuje czasu, żeby osiąść. A on, kiedy odjeżdżał, nie wiedział, że żeby osiąść, będzie potrzebował więcej czasu, niż sobie ułożył. A już szczególnie taki młody, pełen życia człowiek jak Łukasz, który habi towarzystwo i zabawę, a ludzie go też lubią. Nie wiedział, że to zajmie więcej czasu, niż sobie zaplanował. Lgną do niego ludzie, bo jest takim dobrym kompanem do zabawy i do żartów. I odciągają go od prą-

22

23

cy, a on nie odmawia, bo nie chce nikogo urazić. No i chciałam, żeby miał swoją ostatnią przyjemność, bo małżeństwo to co innego dla młodego człowieka, dla takiego pełnego życia młodego człowieka, a co innego dla kobiety. Jak myślicie?

Pani Armstid nie odpowiada. Patrzy na tę drugą, siedzącą w krześle, z tymi swoimi gładkimi włosami, tymi nieruchomo spoczywającymi na kolanach dłońmi i miękką, rozmarzoną twarzą.

— Zresztą, na pewno wysłał do mnie słówko i zagubiło się w drodze. To ładny kawał drogi, stąd do Alabamy, a ja jeszcze nie jestem nawet w Jefferson. Powiedziałam mu, że nie będę czekała na list, bo wiem, że nie bardzo mu idzie pisanie. “Kiedy będziesz gotów, pošlij mi tylko słówko przez kogoś — powiedziałam mu. — Będę czekała”. Trochę mnie to zmartwiło z początku, po jego odjeździe, bo moje nazwisko nie było jeszcze Burch, a mój brat i jego rodzina nie znają Łukasza tak dobrze, jak ja go znam. Bo niby skąd by mogli?

Na jej twarzy pojawia się powoli wyraz miękkiego i czystego zdumienia, jak gdyby właśnie pomyślała o czymś, z czego nieznamości nie zdawała sobie dotąd sprawy.

— Nie można było od nich tego wymagać, rozumiecie przecież. Ale on musiał najpierw gdzieś osiąść. To on miał mieć wszystkie kłopoty z przebywania między obcymi ludźmi, a ja żadnych zmartwień, tylko oczekiwanie, gdy on tam znosi wszystkie udręki i zmartwienia. Ale kiedy minęło trochę czasu, zaczęłam być za bardzo zajęta dzieckiem, żeby mieć czas na martwienie się moim nazwiskiem albo tym, co ludzie gadają. Ale ja i Łukasz nie potrzebujemy pomiędzy

sobą żadnych przyrzeczeń. Musiało coś niespodziewanego wypaść albo może wysłał wiadomość i zagubiła się. Więc pewnego dnia postanowiłam, że nie będę już dłużej czekała.

— A skąd wiedziałaś, wyruszając, w którą stronę pójść?

? Lena przygląda się swoim dłoniom. Poruszają się one teraz, mnąc w rozmarzonym osłupieniu fałdę jej sukienki. Nie jest to słabość ani wstydlivość. Najwyraźniej jest to odruch zamyślenia samej tylko dłoni.

— Po prostu, pytałam się ciągle. Łukasz to pełen życia młody człowiek, który zapoznaje się z ludźmi łatwo i prędko. Wiedziałam, że gdziekolwiek by był, ludzie zapamiętają go. Więc ciągle pytałam. I ludzie byli ogromnie uprzejmi. A potem, dwa dni temu w drodze, powiedzieli mi, że on jest w Jefferson i pracuje w tartaku.

Pani Armstid przygląda się pochylonej głowie. Ręce ma oparte na biodrach i przygląda się młodszej kobiecie z wyrazem zimnej i bezosobowej pogardy.

— I wierzysz, że będzie tam, kiedy tam zajdziesz. Przyjmując, że w ogóle kiedyś tam był, albo że usłyszysz o twoim pobycie w tym samym mieście, w którym Jest, i będzie tam jeszcze, kiedy słońce zajdzie.

-:. Pochylona głowa Leny jest poważna i spokojna. Jej n?ka przestała się poruszać. Leży teraz na podołku tak pteruchomo, jakby tam umarła. Jej głos jest spokojny, cichy, uparty.

-!• — Myślę sobie, że rodzina powinna być razem, kiedy mały ma przyjść. A szczególnie, kiedy to jest pierw-«Zy. Myślę sobie, że Pan Bóg zadba o to.

24

— A ja myślę sobie, że będzie musiał o to zadbać — mówi pani Armstid wściekle i chrapliwie. Armstid leży w łóżku, głowę podparł trochę i przygląda się jej ponad poręczą, gdy wciąż jeszcze ubrana pochyla się w świetle stojącej na komodzie lampy i przeszukuje gwałtownie szufladę. Wyjmuje żelazne pudełko i otwiera je zawieszonym na szyi kluczem, a potem wyjmuje z niego płócienny woreczek, który otwiera, i wyciąga z niego małą, porcelanową figurkę koguta ze szparą w grzbiecie.

Kogut brzęczy monetami, gdy bierze go, odwraca, porusza nim gwałtownie nad komodą i wytrząsa ze szpary rzadko wypadające monety. Leżąc w łóżku Armstid przygląda się jej.

— Co chcesz o tej porze nocy robić ze swoimi pieniędzmi za jajka? — pyta.

— Myślę, że to moje pieniądze i zrobię z nimi, co zechcę. — Pochyliła się niżej nad lampą. Twarz ma cierpką i gorzką. — Bóg jeden wie, jak pociłam się nad nimi i niańczyłam je. Ty nawet palcem nie kiwnąłeś.

— Pewnie — mówi on. — Myślę sobie, że żadna istota w tym kraju, poza oposami i węzami, nie będzie się spierała z tobą o te kury. O ten koguci skarbiec też nie — dodaje, bo pochyliła się nagle, zerwała pantofel i wymierzyła nim porcelanowej skarbonce jedno rujnujące uderzenie. Armstid przygląda się jej, gdy zbiera ona pozostałe monety pomiędzy kawałkami rozbitej porcelany i wrzuca je razem z innymi do woreczka, który wreszcie zawiązuje wściekle na trzy czy cztery supły.

— Daj jej to — mówi ona. — A rano zaprzęgaj muły i zabieraj ją stąd. Wieź ją nawet całą drogę do Jeffer-son, jeżeli chcesz.

25

— Myślę sobie, że podwiozę ją do składu Yarnera — mówi on.

Pani Armstid wstała przed świtem i ugotowała śniadanie. Stało na stole, kiedy Armstid wrócił z udoju.

— Idź, powiedz jej, niech tu przychodzi i je — powiedziała pani Armstid. Kiedy powrócił z Leną do kuchni, pani Armstid już tam nie było. Lena rozejrzała się po pokoju raz i zawahała przy drzwiach na mniej niż chwilę. Twarz miała już ułożoną w wyraz zawierający uśmiech i słowa. “Przygotowane słowa” — pomyślał Armstid. Ale nie odezwała się. Wahanie było krótsze niż wahanie.

— Zjedzmy i jedźmy — powiedział Armstid. — Macie jeszcze ciągle ładny kawał drogi do zrobienia.

Przyglądał się jej, gdy jadła z tą samą spokojną i serdeczną etykietą, co przy wczorajszej kolacji, chociaż teraz psuła ją pewnego rodzaju przesadna wstrzemięźliwość. Potem dał jej zawiązany na supły woreczek. Wzięła go, mając twarz uradowaną, ciepłą, chociaż nie bardzo zdziwioną.

— To ogromnie uprzejme z jej strony — powiedziała. — Ale nie będę go potrzebowała. Jestem już tak blisko.

— Myślę sobie, że lepiej go zatrzymajcie. Myślę sobie, że zauważyliście, jak Marta nie lubi, kiedy jej przeszkadzają w tym, co chce zrobić.

— To ogromnie uprzejme — powiedziała Lena. Zawinęła pieniądze w wielką kolorową chustkę i włożyła czepeczek. Wóz czekał. Kiedy przejechali koleiną obok dpmu, odwróciła się i spojrzała za siebie. — To

26

było ogromnie uprzejme ze strony was wszystkich — powiedziała.

— To ona zrobiła — powiedział Armstid. — Myślę sobie, że nie mogę mieć żadnej w tym zasługi.

— To było ogromnie uprzejme, w każdym razie. Musicie ją pożegnać ode mnie. Myślałam, że ją sama zobaczę, ale...

— Pewnie — powiedział Armstid. — Myślę sobie, że pewnie była zajęta czymś. Powiem jej.

Podjechali do sklepu, oświetleni porankiem. Mężczyźni, siedzący w kucki i spluwający ponad porytymi przez obcasy schodkami, przyjrzeni się jej, gdy wolno i ostrożnie zeszła z kozła, niosąc węzełek i wachlarz. I tym razem Armstid nie poruszył się, żeby jej pomóc. Powiedział z kozła:

— Ta tu, to pani Burch. Chce jechać do Jefferson. Jeżeli ktoś tam dzisiaj jedzie, będzie wdzięczna, kiedy ją zabierze ze sobą.

Znalazła się na ziemi, ubrana w ciężkie, zakurzone buty. Spojrzała ku niemu, pogodna i spokojna.

— To było ogromnie uprzejme — powiedziała.

— Pewnie — powiedział Armstid. — Myślę sobie, że teraz dostaniecie się do miasta. — Spojrzał w dół ku niej. Później wydawało mu się, że nieskończenie długo trwała chwila, w której język poszukiwał słów. Równocześnie myślał cicho i szybko, chociaż myśli rozbiegały się: Mężczyzna. Jak wszyscy mężczyźni. Wyminie tysiąc okazji, żeby zrobić coś dobrego, dla jednej okazji, żeby się wtrącić tam, gdzie nie trzeba się wtrącać. Przegapi i nie zauważy okazji i możliwości zdobycia bogactw, sławy i zrobienia dobrych uczynków, a czasami nawet złych. Ale nigdy nie przegapi okazji, żeby się wtrącić. Wreszcie jego język znalazł

27

słowa, którym on sam przysłuchiwał się z tym samym może zdziwieniem, jak ona. — Tylko nie trzeba przywiązywać za dużej wagi do... za dużej wagi... — A równocześnie myślał: Ona nie słucha. Gdyby umiała słuchać takich słów, nie schodziłaby teraz samotnie z tego wozu, z tym brzuchem, tym wachlarzem i tym małym zawiniątkiem, dążąc do miejsca, którego nigdy jeszcze nie widziała, i szukając

człowieka, którego nigdy już nie zobaczy, a widziała o jeden raz za wiele, sądząc z tego, co tu widać. — ...jeżeli będziecie wracali tędy jutro albo nawet dzisiaj w nocy, to o każdej porze...

— Myślę, że teraz już dam sobie radę — powiedziała. — Mówili mi, że on tam jest.

Zawrócił wozem i pojechał ku domowi. Zgarbiony, o wyblakłych oczach, siedział na pogiętym siedzeniu i myślał: “To by nic nie pomogło. Nie uwierzyłyby gadaniu i nie wysłuchałyby tak, jak nie wierzy rozważaniom, które otaczają ją już od... Powiedziała, że to już cztery tygodnie. Nie czuje tego i nie uwierzyłyby temu i teraz. Siedzi tam, na najwyższym schodku, z rękami na podołku i tymi facetami naokoło, siedzącymi na piętach i plującymi obok niej na drogę. I nawet nie zaczeka, żeby ją zapytali, tylko sama zacznie opowiadać. Z własnej woli opowie im o tym durnym facecie, jakby nie miała nic szczególnego do powiedzenia albo ukrycia. A nawet wtedy, kiedy Jody Yarner albo któryś z nich powie jej, że ten facet z tartaku w Jefferson nazywa się Bunch, a nie Burch, to też się nie zmartwi. Myślę sobie, że ona wiedziała nawet więcej niż Marta, kiedy powiedziała Marcie wczoraj wieczorem, że Pan Bóg przypilnuje, żeby stało się to, co słuszne”.

28

Potrzeba było tylko jednego czy dwóch pytań. Później, siedząc na najwyższym schodku i trzymając węzełek i wachlarz na kolanach, Lena opowiada raz jeszcze swoją historię. Powtarza cierpliwie, ze szczerością kłamiącego dziecka, a słuchający, ubrani w drelichy mężczyźni, słuchają w milczeniu.

— Nazwisko tego człowieka jest Bunch — mówi Yarner. — Pracuje w tartaku już siedem lat. Skąd wiecie, że Burch też tam będzie?

Ona patrzy w dół, na drogę prowadzącą w kierunku Jefferson. Jej twarz jest spokojna, pełna oczekiwania, trochę roztargniona, ale nie rozmarzona.

— Myślę, że on tam będzie. W tartaku czy gdzieś blisko niego. Łukasz zawsze lubił ruchliwe życie. Nigdy nie lubił żyć spokojnie. Dlatego nigdy nie odpowiadało mu Doane's Mill. Dlatego postanowił... postanowiliśmy przenieść się: dla pieniędzy i ruchliwego życia.

— Dla pieniędzy i ruchliwego życia — mówi Yarner. — Łukasz nie jest pierwszym młodym jelonkiem, który rzucił to, do czego był stworzony, i tych, za których był odpowiedzialny: dla pieniędzy i ruchliwego życia.

Ale ona najwidoczniej nie słucha. Siedzi spokojnie na najwyższym schodku i

patrzy na pustą drogę, która odchodzi w dal, wspinając się zakosami ku Jefferson. Mężczyźni, siedzący na piętach pod murem, patrzą na jej nieruchomą, łagodną twarz i myślą, tak jak myślał Armstid i jak myśli Yarner, że myśli ona o łajdaku, który porzucił ją w potrzebie i o którym wiedzą, że nie zobaczy go ona już nigdy, z wyjątkiem może skrzydeł jego fraka, powiewających za nim w ucieczce. “A może myśli o tym Sloane's czy Bone's Mill? — myśli

ŚWIAT1.OŚĆ W SIERPNIU

29

Yarner. — Myślę, że nawet głupia dziewczucha nie musi iść aż do Missisipi, żeby się dowiedzieć, że miejsce, z którego uciekła, nie jest o wiele gorsze ani inne niż to, w którym się znalazła. Nawet jeżeli w tamtym był brat, który nie chciał, żeby siostra włączyła się po nocy”. A równocześnie myśli: Zrobiłbym to samo, co ten brat. Ojciec też by zrobił to samo. Ona musi nie mieć matki, bo krew ojcowska nienawidzi z miłością i dumą, ale krew matki może nienawidzić, a jednocześnie kochać i współżyć.

”

Ale ona wcale nie myśli o tym wszystkim. Myśli o pieniądzach leżących w zawiniątku pod jej dłońmi. Wspomina śniadanie, myśląc w tej chwili, że jeśli będzie miała ochotę, może wejść do sklepu i kupić ser, suchary, a nawet sardynki. U Armstida wypila tylko filiżankę kawy, zjadła kawałek chleba z kukurydzy i nic więcej, chociaż Armstid namawiał ją. Jadłam grzecznie” — myśli, opierając ręce na zawiniątku, wiedząc o ukrytych monetach, wspominając tę jedyną filiżankę kawy i zjedzoną z umiarem kromkę dziwnego chleba. I myśli z pewnego rodzaju spokojną dumą: Jadłam jak dama. Jak podróżująca dama. Ale teraz mogę kupić nawet sardynki, jeżeli zechcę”.

Tak więc zdaje się rozmyślać o wspinającej się drodze, podczas gdy przykucnięci na piętach mężczyźni spluwają z wolna i przyglądają się jej skrycie, przekonani, że myśli o tym mężczyźnie i nadchodzącym rozwiązaniu. W rzeczywistości prowadzi ona łagodną walkę z przekorną ostrożnością świata, z którego, w którym i dzięki któremu żyje. Tym razem zwycięża. Wstaje i idąc trochę niezgrabnie, a trochę ostrożnie, przechodzi obok uszeregowanej baterii męskich oczu i wchodzi do sklepu, a za nią ekspedient. “Zrobię to

30

31

— myśli, zamawiając ser i suchary. Zrobię to”. A głośno mówi: — I pudełko sardynek. — (Nazywa je: “ser-dynki.) — Za dziesiątkę pudełko.

— Nie mamy sardynek za dziesiątkę — mówi ekspedient. — Sardynki są po piętnaście centów. — On też mówi na nie “serdynki”.

Ona zastanawia się.

— A co macie w puszkach po dziesięć centów?

— Nic oprócz pasty do butów. Myślę, że nie chcecie tego? Nie da się zjeść w żaden sposób.

— Myślę, że w takim razie wezmę te za piętnaście centów.

Rozwija zawiniątko i pełen supelków woreczek. Rozsupłanie węzełków zabiera trochę czasu. Ale rozwija je cierpliwie, jeden po drugim, płaci, znowu robi węzełki na woreczku i zawiniątku i zabiera swoje zakupy. Kiedy pojawia się na ganku, obok schodków czeka już wóz. Na koźle siedzi mężczyzna.

— Ten tu wóz jedzie do miasta — mówią jej. — Zabierze was tam. Jej łagodna, ciepła twarz budzi się.

— O, to ogromnie uprzejmie z waszej strony — mówi.

Wóz porusza się wolno, równo, jak gdyby znajdował się poza słonecznym pustkowiem tej ogromnej krainy, poza czasem i poza pośpiechem. Od składu Yarnera do Jefferson jest dwanaście mil.

— Czy będziemy tam przed obiadem? — pyta ona. Woźnica spluwa.

— Możliwe — mówi.

Najwyraźniej nie spojrzał na nią ani razu, nawet wtedy, kiedy wsiadała na wóz. Najwyraźniej ona też ani razu nie spojrzała na niego. I teraz tego nie robi.

— Myślę, że jedziecie ostro do Jefferson.

On odpowiada: — Trochę. — Wóz posuwa się, skrzypiąc. Pola i lasy zdają się być zawieszane w przestrzeni, od której nie można uciec, bo jest zarazem stała, płynna i lotna jak miraż. A jednak wóz mija je.

— Myślę, że pewnie nie znacie w Jefferson nikogo, kto by się nazywał Łukasz Burch.

— Burch?

— Mam się z nim tam spotkać. Pracuje w tartaku.

— Nie — mówi woźnica. — Nie powiem, żebym go znał. Ale jest w Jefferson

cała kupa ludzi, których nie znam. Pewnie tam jest.

— Chciałabym, żeby był. Podróż robi się ogromnie kłopotliwa.

Woźnica nie patrzy na nią.

— A z jak daleka przyjechaliście, szukając go?

— Z Alabamy. To ładny kawałek stąd.

Nie patrzy na nią. Mówi głosem zupełnie niedbałym:

— A jak wasi rodzice mogli wam pozwolić ruszyć się w takim stanie?

— Moi rodzice nie żyją. Mieszkałam z bratem. I postanowiłam ruszyć w drogę.

— Rozumiem. On przysłał wam słówko, żebyście przyjechali do Jefferson.

Ona nie odpowiada. On widzi jej spokojny profil wystający spod czepeczka. Wóz posuwa się naprzód, powolny, zagubiony w czasie. Czerwone i niespieszne mile odwijają się pod miarowo idącymi nogami mułów, pod brzęczącymi i skrzypiącymi kołami. Słońce stoi już wysoko nad głową. Cień kapturka pada teraz na kolana siedzącej. Spogląda na słońce.

32

33

— Wydaje mi się, że czas coś zjeść — mówi. On patrzy kątem oka, gdy ona zaczyna otwierać ser, suchary i sardynki, a potem wyciąga je ku niemu.

— Nie trzeba mi ich — mówi on.

— Byłoby grzecznie, gdybyście spróbowali.

— Nie trzeba mi ich. Jedzcie.

Ona zaczyna jeść. Je wolno, równo i zlizuje z palców tłustą oliwę po sardynkach. Robi to z powolnym i zupełnym zadowoleniem. Potem przerywa jedzenie, nie gwałtownie, ale zupełnie. Szczeka zatrzymuje się pośród żucia, ręka trzyma nadgryzionego suchara, a głowa jest trochę schylona. W oczach widać pustkę, jak gdyby wsłuchiwała się w coś bardzo dalekiego albo tak bliskiego, że znajduje się w niej samej. Twarz straciła pełną, rumianą barwę. Siedzi zupełnie nieruchomo, wsłuchana i wyczuwająca nieubłagane, odwieczne życie. Ale nie ma w niej lęku ani zaniepokojenia. — To są co najmniej bliźniaki — mówi do siebie, nie poruszając wargami i nie wydając głosu. Później skurcz mija. Znowu je. Wóz nie zatrzymał się, czas nie zatrzymał się. Wóz wspina się na grzbiet ostatniego wzgórza i dostrzegają dym.

— Jefferson — mówi woźnica.

— No, no, kto by to powiedział — mówi ona. — Jesteśmy już prawie na miejscu, prawda?

Ale z kolei mężczyzna nie słyszy. Patrzy przed siebie na miasto leżące po przeciwnej stronie doliny. Idąc oczyma za jego wyciągniętym batem, kobieta widzi dwa słupy dymu. Jeden z nich wydobywa się z wysokiego komina i ma ciężką gęstość spalającego się węgla. Drugi, wysoki, żółty słup najwyraźniej wydobywa się z kępy drzew, leżącej w pewnej odległości od miasta.

oo < o

— Dom się pali — mówi woźnica. — Widzicie? Ale z kolei ona zdaje się nie słuchać i nie słyszeć.

— No, no — mówi. — Byłam w drodze tylko cztery tygodnie, a już jestem w Jefferson. No, no. Ale sobie człowiek podróżuje.

Byron Bunch wie, że działo się to przed trzema laty, pewnego piątkowego poranka. Ludzie pracujący w szopie heblarskiej unieśli głowy i zobaczyli nieznanego, który stał i przyglądał się im. Nie wiedzieli, jak długo już tak stoi. Wyglądał jak włóczęga. Miał zakurzone buty i poplamione spodnie. Ale spodnie były z porządnej wełny i ostro zaprasowane. A koszula, chociaż poplamiona, była biała. Nosił krawat i sztywny słomkowy kapelusz, zupełnie nowy, włożony zuchwale na bakier i wyglądający złowrogo nad nieruchomą twarzą. Nie wyglądał jak zawodowy włóczęga, ubrany w gałganiarski strój swego zawodu, ale było w nim coś zdecydowanie bezdomnego, jak gdyby żadne miasto, żadna ulica, żadne ściany i żaden plac na ziemi nie były mu domem. Jak gdyby nosił swą świadomość zawsze ze sobą jak sztandar oznaczający samotność, okrucieństwo i nieomal pychę. Ludzie mówili później, że: “Wyglądał, jakby znalazł się na chwilę na dnie, nie chciał długo pozostawać i nie zależało mu wcale, jak wysoko się znowu podniesie”. Był młody. Byron przyglądał mu się, gdy stał tak i patrzył na ludzi w przepoconych kombinezonach. Miał papierosa w kąciku ust, a mroczną, pogawftjwie nieruchomą twarz dym wykrzywił trochę¹»on¹/*tronę. Po pewnym '. .x”

«o

3 - Światłość...

34

czasie wypluł papierosa nie dotykając go ręką, zawrócił i wszedł do biura tartaku, a ludzie w wyblakłych i poplamionych kombinezonach patrzyli za nim ze swego rodzaju zawiedzioną obelżywością.

— Powinniśmy go przeciągnąć pod heblarką — powiedział majster. — Może by mu to zdjęło ten wyraz z twarzy.

Nie wiedzieli, kim był. Żaden z nich nie widział go nigdy przedtem. — To bardzo ryzykowny wyraz twarzy do noszenia w miejscu publicznym — powiedział jeden. — Może się zapomnieć i użyć go gdzieś, gdzie się komuś nie spodoba. — Potem przestali o nim mówić. Powrócili do pracy pomiędzy turkoczącymi i zgrzytającymi pasami i kołami napędowymi. Ale nie minęło dziesięć minut, gdy wszedł nadzorca tartaku, prowadząc ze sobą nieznanego.

— Postaw go do roboty — powiedział nadzorca do majstra. — Mówi, że potrafi obchodzić się z szuflą. Możesz postawić go przy tej kupie trocin.

Inni nie przestali pracować, ale nie było w szopie człowieka, który by znów nie zaczął się przypatrywać nieznanemu, jego poplamionemu, miejskiemu ubraniu, mrocznej, nie do zniesienia twarzy i wyrazowi bijącej z niej zimnej i spokojnej pogardy. Majster przyjrzał mu się szybko, tak samo zimnym spojrzeniem jak inni.

— Czy on będzie robił w tym ubraniu?

— To jego sprawa — powiedział nadzorca. — Nie zajmuję jego ubrania.

— Dobrze. Cokolwiek nosi, odpowiada mi, jeżeli odpowiada panu i jemu — powiedział majster. — W porządku, panie — powiedział. — Idź no tam, weź szuflę i pomóż tym ludziom odgarniać trociny.

Nowo przybyły odwrócił się bez słowa. Inni przy-

35

glądali mu się, gdy szedł w stronę góry trocin, zniknął za nią, wynurzył się z szuflą i stanął do roboty. Majster i nadzorca rozmawiali przy drzwiach. Rozeszli się i majster powrócił.

— On się nazywa Christmas — powiedział.

— Nazywa się jak? — zapytał ktoś.

— Christmas.

— Czy to cudzoziemiec?

— Czy słyszeliście kiedykolwiek o białym człowieku, który by nosił nazwisko Christmas?

— Nigdy nie słyszałem o żadnym człowieku, który by nosił takie nazwisko — powiedział tamten.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała jego pamięć, Byron pomyślał wtedy, jak bardzo nazwisko człowieka, które powinno być przecież tylko dźwiękiem oznaczającym jego

osobę, może stać się zapowiedzią tego, co on uczyni — jeśli tylko innym ludziom uda się na czas odczytać jego znaczenie. Wydawało mu się, że nikt z nich nie przyjrzał się dokładnie obcemu, zanim nie usłyszeli tego nazwiska. Ale gdy tylko usłyszeli je, było to tak, jak gdyby dźwięk jego chciał im powiedzieć, czego mają oczekiwać. Niósł z sobą nieuniknione ostrzeżenie, jak kwiat swój zapach, a grzechotnik swój grzechot. Tylko że żaden z nich nie miał dość rozsądku, aby je rozpoznać. Pomyśleli po prostu, że to cudzoziemiec, a przyglądając mu się przez resztę tego piątkowego dnia, pracującemu w tym krawacie, słomkowym kapeluszu i zaprasowanych spodniach, mówili między sobą, te pewnie ludzie w jego kraju tak pracują. Ale byli inni, którzy mówili: — Zmieni ubranie dziś wieczorem. Nie będzie miał na sobie tego niedzielnego ubrania, kiedy jutro rano przyjdzie do roboty.

Nadszedł sobotni poranek. Opóźnieni, którzy przy-

36

WILLIAM FAULKNER

szli tuż przed gwizdkiem, pytali od razu: — Czy on...? Gdzie...? — inni wskazywali. Nowy człowiek stał samotnie przy kupie trocin. Miał ze sobą szufłę. Stał w tym samym ubiorze, co wczoraj, w wyzywającym kapeluszu i palił papierosa. — Był tu już, kiedy przyszedliśmy — powiedzieli ci, którzy przyszedli pierwsi. — Stał tu tak, jak teraz. Jakby się wcale nie kładł do łóżka.

Ani razu nie odezwał się do żadnego z nich. I żaden z nich nie próbował się odezwać do niego. Ale wszyscy odczuwali obecność jego osoby, jego karku i ramion. Pracował nieźle, z pewnego rodzaju groźną i powstrzymaną siłą. Nadeszło południe. Z wyjątkiem Byrona żaden z nich nie przyniósł dziś z sobą drugiego śniadania i zaczęli teraz zbierać swoje rzeczy, przygotowując się, aby odejść stąd aż do poniedziałku. Byron wziął swoją menażkę, poszedł do szopy pomp, gdzie zwykle jadali, i usiadł. Później coś spowodowało, że spojrzał w górę. Niedaleko od niego stał oparty o słup nieznajomy i palił papierosa. Byron zrozumiał, że był on tu już przed jego wejściem i nie chciało mu się nawet odejść. Albo gorzej jeszcze, że przyszedł tu rozmyślnie, nie zwracając uwagi na Byrona, jak gdyby i on był jednym ze słupów.

— Czy nie masz zamiaru pójść stąd? — zapytał Byron.

Tamten wydmuchnął dym. Potem spojrzał na Byrona. Twarz miał wychudłą, ciało było koloru pergaminu. Nie skóra, a właśnie ciało, tak jakby czaszka została uformowana z nieruchomą i nieubłaganą prawidłowością, a potem upieczona na wolnym ogniu.

— Ile tu płacą za nadliczbowy czas? — zapytał. A wtedy Byron zrozumiał. Zrozumiał, dlaczego tamten pracował w niedzielnym ubraniu, dlaczego nie

37

miał ani wczoraj, ani dzisiaj żadnego drugiego śniadania ze sobą i dlaczego nie odszedł w południe razem z innymi. Zrozumiał to tak dobrze, jakby ten człowiek mu powiedział, że nie ma nawet pięciu centów w kieszeni i najprawdopodobniej już od dwóch albo trzech dni żyje samymi papierosami. Równocześnie z tą myślą Byron wyciągnął ku niemu swoją menażkę. Działanie było tak samo odruchowe jak myśl. Zanim działanie zostało zakończone, człowiek odwrócił twarz i nie zmieniając swojej niedbalej i pogardliwej postawy, spojrzął na ofiarowaną menażkę poprzez opadający dym papierosa.

— Nie jestem głodny. Zatrzymaj sobie ten gnój.

Nadszedł poniedziałkowy poranek i okazało się, że Byron miał słuszość. Człowiek przyszedł do pracy w nowym kombinezonie i z papierową torebką, zawierającą jedzenie. Ale nie przykucnął razem ze wszystkimi pod pompą, żeby zjeść południowy posiłek, a ów wyraz pozostał mu na twarzy.

— Niech sobie tam zostanie — powiedział majster. — Simms nie najmuje ani jego twarzy, ani jego ubrania.

“Simms nie najął także języka nieznajomego” — myślał Byron. W każdym razie wydawało się, że Christ-mas też tak myślał. Nawet po sześciu miesiącach nie miał nikomu nic do powiedzenia. Nikt nie wiedział, co robi z czasem, który spędza poza tartakiem. Niekiedy któryś z robotników spotykał go po kolacji na rynku w mieście, ale Christmas zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie widział tamtego na oczy. Ubrany był wówczas w nowy kapelusz, zaprasowane spodnie i miał papierosa w kąciku ust, a dym przekreślał mu szyderczo twarz. Nikt nie wiedział,

38

WILUAM FAULKNER

gdzie mieszka i sypia, poza tym, że od czasu do czasu widywano go, gdy szedł ścieżką, biegnącą przez lasy ku skrajowi miasta, jak gdyby mieszkał gdzieś w tamtej stronie.

To nie jest to, co Byron wie teraz. To jest tylko to, co wiedział wówczas, co słyszał, czemu przyglądał się i o czym się dowiadywał. Nikt z nich nie wiedział wówczas, gdzie Christmas mieszka i co w rzeczywistości robi za osłonę swego murzyńskiego zajęcia w tartaku. Możliwe, że nikt nigdy by się nie dowiedział, gdyby

nie ten drugi obcy – Brown. Ale jak tylko Brown powiedział, znalazł się tuzin ludzi, którzy przyznali się do kupowania whisky od Chrłstmasa, już od przeszło dwóch lat, i przypadkowego spotykania go w cztery oczy za starym domem pośrodku plantacji o dwie mile za miastem. W domu tym mieszkała samotna stara panna w średnim wieku, nosząca nazwisko Burden. Ale nawet ci, którzy kupowali whisky od Christmasa, nie wiedzieli, że mieszka on w walącej się chacie murzyńskiej na terenie posiadłości panny Burden i że mieszka tam już od przeszło dwóch lat.

Później, przed mniej więcej sześciu miesiącami, pojawił się drugi nieznajomy, poszukując pracy w tartaku, tak jak to uczynił przedtem Christmas. Był także młody, wysoki i ubrany w kombinezon, który wyglądał, jakby właściciel jego chodził w nim bez przerwy od pewnego czasu. On sam wyglądał, jakby także podróżował bez dobytku. Miał czujną, słabą, przystojną twarz, z małą, białą szramą obok ust, która wyglądała, jakby się jej bardzo wiele i pilnie przyglądano w lustrze. “Ma sposób podrywania głowy i rzucania spojrzenia przez ramię jak muł, kiedy spotka na drodze samochód” – myślał Byron. Ale nie było to tylko

39

spoglądanie za siebie. Wydawało się Byronowi, że jest w tym także rodzaj pewności siebie i bezczelności, jak gdyby człowiek ten powtarzał i twierdził bez przerwy, że nie lęka się niczego, co mogłoby albo umiałoby zająć go od tyłu.

Byron wierzył, że Mooney myśli to samo, co on. Mooney powiedział:

– Simms może być pewien, że nie najął nikogo, kiedy postawił tego człowieka przy robocie. Nie najął nawet pary spodni.

– Właśnie – powiedział Byron. – Przywodzi mi on na myśl jeden z takich samochodów, co to jadą po ulicy i mają radio w środku. Nie możesz zrozumieć, co ono gada, a samochód nie jedzie w żadnym określonym kierunku. A kiedy przyjrzesz mu się z bliska, widzisz, że w środku też nikogo nie ma.

– Tak – powiedział Mooney. – On przywodzi mi na myśl konia. Nie nędznego konia, a tylko bezwartościowego konia. Wygląda ślicznie na pastwisku, ale zawsze ucieka do sadzawki, kiedy ktoś pojawia się z uzdą przy furtce. Na pewno biega szybko, ale zawsze ma obdarte kopyto, kiedy nadchodzi czas zaprzęgania.

– Ale myślę, że może klacze go lubią – powiedział Byron.

– Pewnie – powiedział Mooney. – Nie zdaje mi się, żeby mógł nawet klaczy zrobić jakąś trwałą krzyw-de.

Nowy robotnik zaczął pracować razem z Christma-sem przy kupie trocin.

Robiąc wiele ruchu wokół siebie opowiadał każdemu, kim jest i gdzie przebywał, takim tonem i w taki sposób, który sam w sobie stanowił istotę człowieka, zawierając cały jego chaos i

40

kłamliwość. Byron pomyślał, że człowiek ten przykłada tak samo mało wagi do tego, co mówi o swoich uczynkach, jak do tego, co mówi o swoim nazwisku. Nie było żadnego powodu, dla którego nazwisko to nie mogło brzmieć Brown. Ale patrząc na niego człowiek wiedział, że w pewnej chwili doszedł on do jakiegoś przesilenia swej głupoty i pomyślał o tej zmianie na Browna z uczuciem pewnego rodzaju radosnego triumfu. Sedno leżało w tym, że nie istniała jakakolwiek przyczyna, dla której potrzebowałby jakiegokolwiek nazwiska. Nikogo ono nie obchodziło. Byron wiedział, że tak samo nie obchodziło nikogo — a w każdym razie nikogo noszącego portki — skąd ten człowiek przybył, gdzie odejdzie i jak długo pozostanie. Ponieważ skądkolwiek by przybył i gdziekolwiek by przebywał, wiadomo było, że pasożytuje na okolicy jak szarańcza. Sprawiał wrażenie, jak gdyby robił to już tak długo, że cały się rozsypał i rozsiał, a teraz nie pozostało już nic, poza przezroczystą i nic nie ważącą skorupką, unoszoną bez pamięci i bez celu przez każdy wiatr.

Trochę jednak pracował z przyzwyczajenia. Byron przypuszczał, że nie pozostało z niego nawet tyle, by umiał zręcznie i chytrze unikać pracy. Nie umiał nawet pragnąć żyć bez pracy, bo człowiek musi być trochę niepospolity, żeby umiejętnie symulować, tak samo, jak umiejętnie zajmować się czymkolwiek, nawet kradzieżą i mordowaniem. Musi dążyć do jakiegoś określonego i ostatecznego celu i posuwać się w jego kierunku. Byron sądził, że Brown tego nie robi. Słyszeli, że w pierwszą sobotnią noc poszedł i przegrał w kości całą swoją pierwszą tygodniową wypłatę. Byron powiedział do Mooneya:

41

— Dziwi mnie to. Myślałbym, że rzucanie kości jest jedyną rzeczą, którą umie dobrze robić.

— On? — powiedział Mooney. — Co sprawia, że myślisz o nim jak o zdolnym do jakiegoś zuchwalstwa, kiedy nie nadaje się nawet do czegoś tak łatwego, jak odgarnianie szuflą trocin? Albo że umiałby oszukać kogoś czymś tak trudnym do obchodzenia się jak kości, kiedy nie umie tego wykonać czymś tak łatwym do obchodzenia się jak szufla? — Później powiedział: — Myślę, że nie istnieje człowiek tak marny, który nie potrafiłby wyprzedzić kogoś w robieniu czegoś. Ten człowiek

wyprzedza przynajmniej tego Christ-masa — nie robiąc nic zupełnie.

— Pewnie — powiedział Byron. — Sądzę, że nie być złym to najłatwiejsza na świecie rzecz dla leniwego człowieka.

— Myślę, że bardzo prędko zrobiłby się zły — powiedział Mooney — gdyby tylko znalazł kogoś, kto by mu pokazał, jak to się robi.

— No, znajdzie gdzieś tego człowieka, prędzej czy później — powiedział Byron. Odwrócili się obaj i spojrzeli w stronę kupy trocin, gdzie pracowali Christ-mas i Brown, jeden z pełną zamyślenia okrutną miaro-wością, drugi nierównymi błędzającymi poruszeniami, które nie mogły chyba oszukać nawet jego samego.

— Tak sobie myślę — powiedział Mooney. — Ale gdybym chciał być zły, to pewnie brzydziłbym się go mieć za współnika.

Tak jak Christmas, Brown przyszedł do pracy w tym samym ubiorze, który nosił na ulicy. Ale w przeciwieństwie do Christmаса, nie robił w nim przez pewien czas żadnych zmian.

— Którejś sobotniej nocy wygra w kości akurat tyle,

42

żeby kupić sobie nowy garnitur i mieć jeszcze pięćdziesiąt centów piątkami, żeby mu grzechotały w kieszeni — powiedział Mooney. — A w następnym poniedziałek rano już go nie zobaczymy. — Tymczasem Brown przychodził do pracy w tym samym kombinezonie i koszuli, w których przyjechał do Jefferson. Przegrywał w kości swoje tygodniowe wypłaty, a może nawet czasem wygrywał trochę, witając jedno i drugie wybuchami głupkowatego śmiechu, żartując i zaśmiewając się z tymi samymi ludźmi, którzy najprawdopodobniej równocześnie go okradali. Później usłyszeli pewnego dnia, że wygrał sześćdziesiąt dolarów.

— No, ostatni raz go widzieliśmy — powiedział jeden.

— Nie wiem — powiedział Mooney. — Sześćdziesiąt dolarów to zła liczba. Gdyby to było albo dziesięć dolarów, albo pięćset, to myślę, że miałbyś rację. Ale nie akurat sześćdziesiąt. Dopiero teraz poczuje, że osiadł tu na dobre, wyciągnąwszy wreszcie skądś tyle, ile potrzebuje tygodniowo.

I powrócił w poniedziałek do pracy — w kombinezonie. Znowu zobaczyli ich obu, Browna i Christma-sa, przy kupie trocin. Od pierwszego dnia, kiedy Brown przyszedł do pracy, przyglądano się im obu: Christmasowi, wpychającemu swoją szufłę w trociny powoli, równomiernie i twardo, jak gdyby przecinał zakopanego węża ("albo człowieka" — mówił Mooney), i Brownowi, opartemu na szufli i najwyraźniej

opowiadającemu Christmasowi jakąś powiastkę albo anegdotę, bo zaraz wybuchał śmiechem, krzyczał ze śmiechu, odrzuciwszy głowę do tyłu, podczas gdy człowiek stojący obok niego pracował z cichym i

43

nie słabnącym okrucieństwem. Wtedy Brown znów się dołączył, pracując przez pewien czas tak szybko jak Christmas, ale unosząc coraz mniej i mniej na szufli, aż wreszcie jej opadający łuk przestawał się stykać z trocinami. Wtedy znów się na niej opierał i najwidoczniej kończył to, co miał do opowiedzenia Christmasowi, mówiąc do człowieka, który zdawał się nawet nie słyszeć jego głosu. Byron myślał, że było to tak, jakby ten drugi był odległy o milę albo mówił nie znanym pierwszemu językiem. W sobotnie popołudnie widywano ich czasem w mieście: Christmase w jego schludnym, surowym stroju, składającym się z wełnianych spodni, białej koszuli i słomkowego kapelusza, a Browna w jego nowym, jasnobrązowym garniturze w kolorową kratkę, w kolorowej koszuli i kapeluszu takim, jaki miał Christmas, tylko że z kolorową wstążką. Brown mówił i śmiał się, a głos jego słyhać było wyraźnie po drugiej stronie rynku i znowu po tej, gdy przynosiło go echo. Był on jak te nic nie znaczące odgłosy w kościele, które zdają się nadchodzić ze wszystkich stron równocześnie. Byron sądził, że robi to, aby wszyscy wiedzieli, jacy to przyjaciele z niego i Christmase. A później Christmas zawracał i z tą swoją nieruchomą, posepną twarzą wychodził z małego kręgu ludzi, których czysty i pusty dźwięk głosu Browna zgromadził naokół. Brown szedł za nim, śmiejąc się nadal i mówiąc. A za każdym razem inni robotnicy mówili:

— Zobaczycie, że w poniedziałek rano nie wróci do roboty.

Ale każdego poniedziałku wracał. To Christmas odszedł pierwszy.

Odszedł bez uprzedzenia, którejś sobotniej nocy,

44

po prawie trzech latach. O tym, że Christmas odszedł, zawiadomił ich Brown. Niektórzy robotnicy mieli rodziny, niektórzy byli kawalerami, byli w różnym wieku i prowadzili najrozmaitszy tryb życia, ale w poniedziałek rano przychodzili do pracy z pewnego rodzaju powagą, prawie uroczystą. Niektórzy z nich byli młodzi, pili i uprawiali hazard w sobotnie noce, a nawet, od czasu do czasu, jeździli do Memphis. Ale w poniedziałek rano przychodzili do pracy spokojni i trzeźwi, ubrani w czyste kombinezony i czyste koszule i czekali spokojnie, aż zabrzmie gwizdek, a potem spokojnie przystępowali do pracy, jak gdyby w rozciągającym się wokół ospałym powietrzu pozostawało wciąż jeszcze coś świątecznego, utrwalającego przekonanie, że

bez względu na to, co człowiek uczynił ze swym dniem wypoczynku, jest rzeczą właściwą i słuszną, aby przyszedł spokojny i czysty do pracy w poniedziałek. To jest właśnie to, co zawsze zauważali w Brownie. W poniedziałek rano prawie zawsze ukazywał się w tym samym poplamionym, zeszlotygodniowym stroju, z policzkami pokrytymi czarną szczecina, która nie znała brzytwy. I był wówczas bardziej hałaśliwy niż zwykle, pokrzykując i figlując jak dziesięcioletnie dziecko. Innym, zrównoważonym, nie wydawało się to przyzwoite. Było to dla nich tak, jakby przyszedł nagi albo pijany. Tak więc to Brown tego poniedziałkowego poranka zawiadomił ich, że Christmas odszedł. Przyszedł późno, ale nie o to chodziło. Nie ogolił się, ale to nie było to. Był spokojny. Przez pewien czas nie wiedzieli nawet, że jest obecny, bo w ciągu tego czasu powinna go już była połowa ludzi kłąć, a połowa słuchać życzliwie. Pojawił się w chwili, kiedy zabrzmiał gwizdek, podszedł prosto do kupy trocin i zaczął pra-

45

cować nie odezwałszy się słowem do nikogo, nawet wtedy, kiedy jeden z ludzi zagadnął go. Wtedy zauważyli, że jest tam sam, a jego współnik Christmas jest nieobecny. Kiedy wszedł majster, ktoś powiedział:

— Widzę, że stracił pan jednego ze swoich palaczy.

Mooney spojrzał tam, gdzie Brown wbijał łopatę w kupę trocin tak ostrożnie, jakby to były jajka. Splunął krótko.

— Tak. Za szybko się wzbogacił. Ten dawny, marny zarobek nie mógł go utrzymać.

— Wzbogacił się? — ktoś zapytał.

— Jeden z nich się wzbogacił — powiedział Mooney, wciąż patrząc na Browna. — Widziałem ich wczoraj jadących nowym samochodem. On — wskazał ruchem głowy Browna — prowadził. Nie dziwiło mnie to. Dziwi mnie tylko, że choć jeden z nich przyszedł dziś do roboty.

— No, myślę, że Simms nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem w tych czasach kogoś, kto go zastąpi — powiedział inny.

— Nie miałby z tym kłopotu w żadnych czasach — powiedział Mooney.

— Zdawało mi się, że pracuje zupełnie dobrze.

— Och — powiedział Mooney — rozumiem. Mówisz o Christmasie.

— A ty o kim mówiłeś? Czy Brown powiedział, że też odchodzi?

— A myślisz, że zostanie tu i będzie robił, kiedy tamten przez cały dzień jeździ

po mieście nowym samochodem?

— Och — tamten też spojrział na Browna. — Ciekaw jestem, skąd wzięli ten samochód?

— A ja nie — powiedział Mooney. — Ciekaw tylko

46

jestem, czy Brown porzuci robotę w południe, czy dopracuje do szóstej?

— No — powiedział Byron — gdybym umiał się tu wzbogacić tak, żeby sobie kupić nowy samochód, to też bym rzucił tę robotę.

Paru ludzi spojrzęło na Byrona. Uśmiechali się.

— Żaden z nich nie wzbogacił się tu — powiedział jeden. Byron spojrzęł na niego. — Pewnie Byron sam za bardzo trzyma się z daleka od draństwa, żeby dotrzymać kroku innym — powiedział inny. Spojrzęli na Byrona.

— Browna można nazwać sługą narodu. Christmas zmuszał facetów, żeby przychodzili do lasu za posiadłością panny Burden, a teraz Brown przynosi im to do rąk w mieście. Mówią, że wystarczy tylko znać hasło, żeby kupić pół kwaterki whisky, którą nosi pod koszulą po wszystkich zaułkach w każdą sobotę wieczorem.

— A jakie jest to hasło? — powiedział inny. — Sześć kawalków?

Byron przesuwęł spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej.

— Czy to prawda? Czy oni to robię?

— Brown to robi. Nie wiem nic o Christmasie. Nie przysięgłbym na to. Ale Brown nie może być daleko od miejsca, gdzie jest Christmas. Swój do swego, jak powiadają starzy ludzie.

— To prawda — powiedział inny. — Czy Christmas robi to, czy nie, nie dowiemy się. Nie będzie chodźł pomiędzy ludźmi z opuszczonymi portkami tak, jak to robi Brown.

— Nie będzie musiał — powiedział Mooney patrząc na Browna.

I Mooney miał słusność. Aż do popołudnia przy-

47

ględali się Brownowi, samotnemu przy kupie trocin. Później zabrzmiał gwizdek, więc wzięli swoje menażki, przykucnęli w szopie obok pompy i zaczęli jeść. Brown wszedł nachmurzony, z twarzą, na której, jak na twarzy dziecka, widać było jednocześnie ponurość i poczucie odniesionej krzywdy. Przykucnął pomiędzy nimi. Ręce zwisały mu między kolanami. Nie miał dziś ze sobą żadnego obiadu.

— Nie będziesz nic jadł? — zapytał któryś.

— Tego zimnego gnoju z brudnego, zatłuszczone-go kubła? — powiedział Brown. — Zaczynać o świcie i harować przez cały dzień jak tępy Murzyn, z godziną przerwy w południe po to, żeby jeść zimny gnój z pobielanego kubła?

— No, może niektórzy pracują tak, jak pracują Murzyni w stronach, z których przyszli. Ale Murzyn nie utrzymałby się tu nawet do południowego gwizdka, gdyby mu się zachciało pracować tak, jak pracują niektórzy biali.

Ale wydawało się, że Brown nie słyszy i nie słucha, gdy tak kuca ze swą ponurą twarzą i zwisającymi rękami. Było to tak, jakby nie słyszał nikogo prócz siebie. A siebie słyszał mówiącego: “Głupiec. Człowiek, który to robi, jest głupcem”.

— Nie jesteś przykuty do tej szufli — powiedział Mooney.

— A żebyś wiedział, że nie — powiedział Brown. Potem zabrzmiał gwizdek. Wrócili do roboty. Przyglądali się Brownowi stojącemu przy kupie trocin. Przez pewien czas kopał, potem zwalniał, poruszając się coraz to wolniej i wolniej, aż wreszcie chwycił szufłę tak, jakby to była szpicruta, i mogli zauważyć, że mówi do siebie.

48

— To dlatego, że nie ma tam nikogo, komu mógłby to powiedzieć — powiedział jeden.

— To nie dlatego — powiedział Mooney. — Nie przekonał jeszcze zupełnie samego siebie. Nie jest jeszcze zupełnie zaprzędany.

— Zaprzędany czemu?

— Tej myśli, że jest nawet większym głupcem, niż mu się zdaje — powiedział Mooney. Następnego ranka nie pojawił się.

— Od dziś zmienił adres i znajdziesz go w zakładzie fryzjerskim — powiedział jeden.

— Albo w zaułku, tuż za zakładem — powiedział inny.

— Myślę sobie, że zobaczymy go jeszcze raz — powiedział Mooney. — Przyjdzie tu jeszcze raz, żeby wziąć pieniądze za wczorajszą robotę.

I przyszedł. Pojawił się mniej więcej o jedenastej. Miał na sobie nowy garnitur i słomkowy kapelusz. Zatrzymał się w szopie i stanął, przyglądając się pracującym ludziom tak, jak to robił Christmas przed trzema laty — jak gdyby podobne, dawne zachowanie nauczyciela wpływało podświadomie na gorliwe mięśnie ucznia, który uczył się za szybko i za dobrze. Ale Brown potrafił wyglądać tylko na roztargnionego i pełnego pustej chępliwości, tam gdzie jego nauczyciel wyglądał ponuro, spokojnie i

śmiercionośnie jak zmija.

— Przyłóżcie się do roboty, wy niewolnicze bękarty! — powiedział Brown wesołym, krzykliwym głosem, szczerząc zęby.

Mooney spojrzał na Browna. Po tym spojrzeniu zęby Browna skryły się.

— Chyba nie mnie tak nazywasz? — zapytał Mooney. — A może mnie?

49

Na ruchliwej twarzy Browna dokonana się jedna z tych natychmiastowych zmian, które znali. Jak gdyby była tak rozluźniona i tak lekko zbudowana, że nawet on nie ma najmniejszego kłopotu ze zmienianiem jej wyrazu” — pomyślał Byron.

— Nie mówiłem tego do ciebie — powiedział Brown.

— A, rozumiem — ton, którym mówił Mooney, był zupełnie miły i swobodny. — To tych innych nazywasz bękartami.

Natychmiast ktoś drugi spytał: — Czy to mnie tak nazwałeś?

— Mówiłem do siebie — powiedział Brown.

— No, przynajmniej raz w życiu powiedziałaś prawdę — powiedział Mooney. — To znaczy połowę prawdy. Czy chcesz, żebym przyszedł tam do ciebie i wyszeptał ci drugą połowę do ucha?

Ostatni raz widzieli go wtedy w tartaku, chociaż teraz Byron przypomina sobie nowy samochód (mający czasem jeden albo dwa pogięte błotniki) jeżdżący po mieście, bezsensowny, nie dążący donikąd i pojawiający się nieustannie — z Brownem, który rozwalony za kierownicą próbował bez powodzenia wydawać się rozpustnym, godnym zazdrości i beczynnym. Od czasu do czasu pojawiał się przy nim Christmas. Ale nieczęsto. Nie jest już teraz żadną tajemnicą to, co robią. Każdy z młodych ludzi, a nawet chłopców, wie, że można prawie otwarcie kupić whisky od Browna, a miasto czeka tylko, że zostanie nakryty, gdy wyciągnie ją z kieszeni i ofiaruje do sprzedaży policjantowi w cywilu. Nadal nikt nie wie na pewno, czy Christmas jest z tym związany, czy nie, ale nikt nie wierzy, żeby sam Brown miał dość rozumu, aby ciągnąć zyski na-

50

wet z handlu alkoholem, a niektórzy wiedzą, że Christmas i Brown mieszkają razem w chatce, leżącej w posiadłości panny Burden. Ale nawet ci nie wiedzą, czy panna Burden wie o tym, czy nie. A gdyby wiedzieli, też by jej nie powiedzieli. Ta kobieta w średnim wieku mieszka w wielkim domu samotnie. Mieszka w tym domu od urodzenia, ale wciąż jeszcze jest tu obca, jest cudzoziemką, której rodzina

srowadziła się tu z Północy w czasie Odbudowy. Jest Jankeską, która kocha Murzynów. W mieście wciąż jeszcze mówi się o jej dziwnych stosunkach z Murzynami miejskimi i pozamiejskimi, chociaż już sześćdziesiąt lat minęło od chwili, gdy jej dziadek i brat zostali zabici na rynku przez byłego posiadacza niewolników podczas sporu o głosowanie Murzynów w wyborach stanowych. Ale wciąż jeszcze unosi się wokół niej i wokół posiadłości coś ciemnego, obcego i groźnego, chociaż jest ona tylko kobietą i tylko potomkiem tych, których przodkowie miasta mieli powód (lub sądzili, że mieli) lękać się i nienawidzić. Ale potomkowie spokrewnieni z duchami istnieją, a pomiędzy nimi stoi widmo dawno przelanej krwi, dawnego przerażenia i gniewu, i lęku.

Jeśli istniała kiedyś w jego życiu jakaś miłość, ludzie powiedzieliby, że Byron Bunch zapomniał o niej. Albo ona (mówię o miłości) o nim, albo raczej — o tym małym człowieczku, który nigdy już nie ujrzy znów trzydziestki, który od siedmiu lat spędza sześć dni tygodniowo w tartaku, wkładając tarcice pod maszynę. Sobotnie popołudnia także tam spędza, tym razem samotnie, bo wszyscy inni robotnicy są już w

51

mieście, ubrani w swe niedzielne ubrania i krawaty, zanurzeni w tej straszliwej bezcelowej i upartej bezczynności ludzi, którzy pracują fizycznie.

Ponieważ nie może sam operować heblarką, więc w te sobotnie popołudnia ładuje gotowe deski na platformy ciężarowe, pilnując własnej pracy, aż do ostatniej sekundy, kiedy zabrmi urojony gwizdek. Inni robotnicy i miasto (albo raczej ta jego część, która pamięta i myśli o nim) sądzą, że pracuje dla otrzymania dodatkowej zapłaty za nadliczbowy czas. Może to jest przyczyną. Człowiek tak mało wie o swoich bliźnich. W oczach człowieka wszyscy inni mężczyźni i kobiety działają z przyczyn, które, jak sądzi, powodowałyby nim samym, gdyby był na tyle szalony, aby robić to, co robi inny mężczyzna lub kobieta. W rzeczywistości jest tylko jeden człowiek w mieście, który mógłby mówić z jakąś pewnością o Bunchu. Ale miasto nie wie, że tego człowieka łączą jakieś stosunki z Bunchem, bo tylko nocą spotykają się oni ze sobą i rozmawiają. Nazwisko tego człowieka brzmi High-tower. Przed dwudziestu pięciu laty był pastorem jednego z ważnych, a może najważniejszego zboru. Tylko ten człowiek wie, gdzie Bunch udaje się każdego sobotniego wieczoru, gdy urojony gwizdek zagwizdże albo gdy ogromny, srebrny zegarek Buncha powie, że zagwizdał. Pani Beard, w której pensjonacie Bunch mieszka, wie tyle tylko, że każdej soboty, krótko

po szóstej, Bunch wchodzi, kąpie się, przebiera w nienowe ubranie z taniej wełny, zjada kolację i siodła muła, przebywającego za domem w szopie, którą sam sklecił i którą sam pokrył dachem. Potem odjeżdża. Pani Beard nie wie, dokąd odjeżdża. Tylko pastor High-tower wie, że Bunch jedzie trzydzieści mil za miasto i

52

spędza tam niedzielę, prowadząc wiejski chór. Jest to zajęcie, które ciągnie się przez cały dzień. Potem, gdzieś koło północy, znów siodła muła i jedzie z powrotem do Jefferson równym, całonocnym truchtem. A w poniedziałek rano, ubrany w czysty kombinezon i czystą koszulę, będzie przy pracy, kiedy zabrzmi gwizdek. Pani Beard wie tylko, że każdego tygodnia, od kolacji w sobotę aż do poniedziałkowego śniadania, jego pokój i sklecona od ręki stajnia muła będą wolne. Tylko jeden Hightower wie, gdzie on odjeżdża i co tam robi, bo podczas dwóch albo trzech nocy każdego tygodnia Bunch odwiedza Hightowera w małym domku, gdzie były pastor przebywa samotnie pośród swej — jak ją miasto nazywa — niesławy. Dom jest nie malowany, mały, skromny, źle oświetlony, przesiąknięty męską wonią i męską stęchlizną. Tu siadają obaj w gabinecie pastora i rozmawiają cicho: drobny, nieokreślony człowiek, zupełnie nie mający pojęcia, że jest uważany za tajemniczą osobę przez swoich towarzyszy pracy i pięćdziesięcioletni wyrzutek, którego zaparł się jego własny zbór.

A potem Byron zakochał się. Zakochał się wbrew wszystkim tradycjom swego surowego i podejrzliwego wiejskiego wychowania, które domaga się, by przedmiot miłości był fizycznie nienaruszony. Staje się to wszystko w sobotnie popołudnie, kiedy jest sam w tartaku. W odległości dwóch mil wciąż jeszcze płonie dom. Żółty dym stoi na widnokręgu prosto jak pomnik. Zauważyli dym jeszcze przed południem, kiedy wzbil się ponad drzewa. Było to przed gwizdkiem i odejściem innych.

— Myślę, że Byron też pójdzie dzisiaj — odezwał się któryś mając za darmo pożar do oglądania.

53

— To duży pożar — dorzucił inny. — Co to może być? Nie przypominam sobie w tamtej stronie nic tak dużego, co mogłoby tak dymić, chyba że to będzie dom panny Burden.

— Może to właśnie on — powiedział inny. — Mój tata mówi, że pamięta, jak pięćdziesiąt lat temu mówili, że powinien być spalony, a jeszcze do tego z domieszką ludzkiego tłuszczu, żeby się dobrze rozpałił.

— Może to twój tata się tam zakradł i podpalił go — powiedział trzeci.

Roześmieli się. Potem wrócili do roboty, czekając na gwizdek i przerywając od czasu do czasu na chwilę, żeby popatrzeć na dym. Po pewnym czasie zajechał samochód ciężarowy, załadowany kłodami drzewa. Zapytali kierowcy ciężarówki, który przejeżdżał przez miasto.

— Burden — powiedział kierowca. — Tak, to będzie to nazwisko. Ktoś w mieście powiedział, że szeryf też tam pojechał.

— No, myślę sobie, że Watt Kennedy lubi popatrzeć na pożar, nawet jeżeli musi wziąć ze sobą tę odznakę — powiedział ktoś.

— Z tego, jak wygląda rynek — powiedział kierowca — sędzę, że nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem tam każdego, kogo będzie chciał aresztować.

Zabrzmiał południowy gwizdek. Inni odeszli. Byron zjadł swoje drugie śniadanie, położywszy obok siebie otwarty srebrny zegarek. Kiedy wskazał on pierwszą godzinę, przystąpił znów do pracy. Był sam w szopie załadunkowej i odbywał regularne, nie kończące się wędrówki pomiędzy szopą a samochodem, na ramieniu mając złożony kawałek konopnego worka jako podkładkę, na tej podkładce spiętrzony ładunek klepek, o którym każdy inny powiedziałby, że nie

54

unesie go i nie zdoła z nim iść. A wtedy Lena Grove weszła w drzwi znajdujące się poza nim. Twarz miała już ułożoną w łagodny, przewidujący uśmiech, usta ułożone do wypowiedzenia imienia. Słyszyc ją, odwraca się i widzi jej twarz, której wyraz rozplywa się i niknie jak gasnący ruch kamyka rzuconego do stawu.

— Nie jesteście nim — mówi ona spoza swego gasnącego uśmiechu, z poważnym zdumieniem dziecka.

— Nie, proszę pani — mówi Byron. Urywa i robi pół obrotu z kiwającymi się klepkami. — Chyba nim nie jestem. A kto to jest ten, kim nie jestem?

— Łukasz Burch. Powiedzieli mi...

— Łukasz Burch?

— Powiedzieli mi, że go tu spotkam. — Mówi z pewnego rodzaju łagodną podejrzliwością i przygląda mu się bez zmrużenia oczu, jakby przypuszczała, że chce ją oszukać. — Kiedy podeszłam blisko do miasta, zaczęli mówić Bunch, zamiast Burch. Ale myślałam, że tylko się mylą. Że może ja źle usłyszałam.

— Tak, proszę pani — mówi on. — Tak ono brzmi: Bunch. Byron Bunch. — Z klepkami, wciąż jeszcze kiwającymi mu się na ramieniu, przygląda się jej, jej wzdętemu ciału, ciężkim biodrom, czerwonemu pyłowi na ciężkich męskich butach,

które ma na nogach. — Czy pani jest pani Burch?

Ona nie odpowiada od razu. Po prostu stoi w drzwiach, przyglądając mu się pilnie, ale bez niepokoju, tym swoim niezmaconym, nieco zawiedzionym, nieco podejrzliwym spojrzeniem. Jej oczy są zupełnie niebieskie. Ale jest w nich cień wiary w to, że chce on ją wprowadzić w błąd.

— Powiedzieli mi w drodze, że Łukasz pracuje w

55

tartaku precyzyjnym w Jefferson. Wielu mi tak mówiło. A kiedy przyszedłam do Jefferson, powiedzieli mi, gdzie jest tartak. A kiedy pytałam w mieście o Łukasza Burcha, powiedzieli mi: “Może masz na myśli Bun-cha?” Więc pomyślałam, że może po prostu nie znają dobrze nazwiska, więc to nie robi żadnej różnicy. Nawet wtedy, kiedy powiedzieli mi, że człowiek, którego mają na myśli, nie jest śniady. Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że nie znacie tu Łukasza Burcha?

Byron ułożył ładunek klepek w zgrabną stertę, gotową do uniesienia z ziemi.

— Nie, proszę pani. Nie tu. Żadnego Łukasza Burcha tu nie ma. A znam wszystkich ludzi, którzy tu pracują. Może pracuje gdzieś w mieście. Albo w innym tartaku.

— Czy jest tu jeszcze inny tartak precyzyjny?

— Nie, proszę pani. Ale jest trochę zwykłych tartaków, cała kupa ich jest. Ona przygląda mu się.

— Powiedzieli mi w drodze, że on pracuje w tartaku precyzyjnym.

— Nie znam tu nikogo o tym nazwisku — mówi Byron. — Nie przypominam sobie nikogo o nazwisku Burch prócz mnie, a moje nazwisko jest Bunch.

Ona nadal przygląda mu się z wyrazem nie tyle pełnym zaniepokojenia o przyszłość, ile podejrzliwości, gdy chodzi o terażniejszość. Później oddycha. Nie jest to westchnienie. Po prostu oddycha raz, głęboko i spokojnie.

— No, cóż — mówi. Na wpeł odwraca się i patrzy na przepiłowane deski i ułożone klepki. — Myślę, że chyba usiądę sobie na chwilę. To ogromnie męczące iść z miasta tymi twardymi ulicami. Zdaje się, że droga

56

z miasta tutaj więcej mnie zmęczyła niż cała droga z Alabamy. — Idzie w kierunku niskiego stosu desek.

— Zaczekajcie — mówi Byron. Wykonuje nieomal skok, zdejmując podkładkę z ramienia. Kobieta zatrzymuje się w trakcie siadania, a Byron rozpościera worek na

deskach. — Wygodniej wam się będzie siedziało.

— Och, jesteście ogromnie uprzejmi. — Siadła.

— Myślę, że na tym się trochę wygodniej siedzi — mówi Byron. Wyjmuje z kieszeni srebrny zegarek i spogląda nań. Później sam także siada na drugim końcu stosu desek.

— Myślę, że pięć minut będzie, mniej więcej, dobrze.

— Pięć minut odpoczynku? — mówi ona.

— Pięć minut od czasu, jak weszliście. Wygląda na to, że wtedy zacząłem odpoczywać. Sam sprawdzam swój czas w soboty — mówi.

— I za każdym razem, kiedy siadacie na minutę, obliczacie to? Skąd będą wiedzieli, żeście usiedli? Parę minut nie zrobiłoby przecież żadnej różnicy, prawda?

— Myślę sobie, że nie jestem płatny za siadanie — mówi on. — Więc przybywacie z Alabamy...

Z kolei ona opowiada mu, siedząc na konopnym worku, ociążała, z twarzą cichą i spokojną. On przygląda się jej tak samo spokojnie. Ona opowiada mu więcej, niż wie, że opowiada, tak samo jak innym nieznanym, pomiędzy którymi podróżuje od czterech tygodni z niezmaconą powolnością zmieniających się pór roku. Z kolei Byron uzyskuje wizerunek młodej kobiety, oszukanej i opuszczonej, a nie wiedzącej jeszcze nawet o tym, że ją opuszczono. A nazwisko jej nie jest jeszcze Burch.

57

— Nie, nie sędzę, żebym go znał — mówi wreszcie.

— Tak czy inaczej, nie ma tu dziś wieczorem nikogo prócz mnie. Reszta jest na pewno tam, przy tym ogniu. — Ukazuje jej żółtą kolumnę dymu, stojącego wysoko i bezwietrznie ponad drzewami.

— Widzieliśmy ją z wozu, zanim wjechaliśmy do miasta mówi ona. — To naprawdę duży pożar.

— To naprawdę duży, stary dom. Stał tu bardzo długo. Teraz nikt tam nie mieszka, tylko jedna pani, zupełnie sama. Myślę sobie, że nawet teraz są ludzie w tym mieście, którzy powiedzą, że to kara boża na nią. To Jankeska. Jej rodzina przyjechała tu w czasie Odbudowy, żeby buntować Murzynów. Dwóch zabito, kiedy to robili. Mówią, że ona jeszcze teraz ma konszachty z Murzynami. Odwiedza ich, kiedy chorują, jakby to byli biali. Nie chce mieć kucharki, boby to musiała być murzyńska kucharka. Ludzie mówią, że ona twierdzi, że Murzyni są tacy sami ludzie jak biali. Dlatego ludzie nigdy tam nie chodzą. Poza jednym.

— Ona patrzy na niego i słucha. Teraz on nie patrzy na nią, patrząc w bok. — A może dwoma, z tego, co słyszę. Mam nadzieję, że przybyli tam na czas, żeby pomóc jej wynieść meble. Może byli tam.

— Może kto tam był?

— Dwaj ludzie o imieniu Joe, którzy mieszkają gdzieś w tamtej stronie. Joe Christmas i Joe Brown.

— Joe Christmas? To dziwne nazwisko.

— To dziwny człowiek. — Jeszcze raz odwraca wzrok od jej zaciekawionej twarzy. — Jego wspólnik też jest osobliwy. Brown. On też tu pracował. Ale odeszli teraz obaj. Co, jak sobie myślę, nie przyniosło nikomu straty.

Kobieta siedzi na podkładce z worka, zaciekawić-

58

na, spokojna. Oboje mogliby tak siedzieć w swoich niedzielnych strojach na składanych krzeselkach przed wiejską chatą w sobotnie popołudnie.

— Czy jego wspólnik też ma na imię Joe?

— Tak, proszę pani. Joe Brown. Ale myślę, że to może być jego prawdziwe nazwisko. Bo kiedy się myśli o człowieku, który się nazywa Joe Brown, wtedy myśli się o gadatliwym człowieku, który ciągle się śmieje i głośno mówi. I dlatego myślę sobie, że Joe Brown jest jego prawdziwym nazwiskiem, chociaż wydaje się jakoś trochę za szybkie i za łatwe na prawdziwe. Bo gdyby mu płacono za gadanie, byłby już w tej chwileczce właścicielem tego tartaku. Ale ludzie lubią go, zdaje się. W każdym razie on i Christmas trzymają się razem.

Ona patrzy na niego. Jej twarz jest nadal pogodna, ale jest teraz poważna, jej oczy są zupełnie poważne i pełne skupienia.

— A co oni robią, on i ten drugi?

— Nic takiego, czego nie powinni robić, jak sobie myślę. Przynajmniej nie złapano ich jeszcze na tym. Brown pracował tu trochę, kiedy miał odrobinę czasu wolnego od śmiechu i robienia żartów z ludzi. Ale Christmas odszedł. Oni tam obaj mieszkają, właśnie gdzieś tam, gdzie się ten dom pali. Słyszałem o tym, co robią, żeby zarobić na życie. Ale po pierwsze, to nie mój interes. A po drugie, większość z tego, co ludzie mówią o innych ludziach, to nieprawda, żeby od tego zacząć. Więc myślę sobie, że nie jestem lepszy niż inni.

Ona przygląda mu się. Nie mruży nawet oczu. — I on mówi, że jego nazwisko jest Brown. — Mogłoby to być pytanie, ale ona nie oczekuje odpowiedzi. — Jakie

plotki słyszeliście o tym, co robią?

59

— Nie chciałbym krzywdzić nikogo — mówi By-ron. — Myślę, że nie powinienem tyle gadać. Faktycznie, wygląda mi na to, że człowiek popada w kłopoty, jak tylko rzuci pracę.

— Jakie plotki? — pyta ona. Nie poruszyła się. Jej głos jest spokojny, ale Byron jest już zakochany, chociaż nie wie o tym jeszcze. Nie patrzy na nią, czując jej poważne, skupione spojrzenie na swojej twarzy, na swoich ustach.

— Niektórzy twierdzą, że oni sprzedają whisky i trzymają ją schowaną tam, gdzie ten dom się pali. I jest plotka o tym, jak to Brown spił się w mieście którejs soboty i prawie że opowiedział o czymś, o czym nie powinien był opowiedzieć: o sobie i Christmasie pewnej nocy w Memphis czy na jakiejś ciemnej drodze obok Memphis. I o jakimś pistolecie, a może o dwóch pistoletach. Ale Christmas wmieszał się w to zaraz, zatkał mu usta i wyprowadził go. W każdym razie to było coś, o czym Christmas nie chciał, żeby wiedzano, i czego nawet Brown by nie opowiadał, żeby nie był pijany. Tak słyszałem, ale nie byłem przy tym.

Kiedy próbuje unieść twarz, uświadamia sobie, że spuścił oczy, zanim zdążyły spotkać się z jej oczami. Zdaje się mieć w tej chwili zdolność przewidywania czegoś już nieodwracalnego, czego nie można odwołać, on, który wierzył, że tu, w tartaku, w samotne sobotnie popołudnie, jest w miejscu, gdzie można robić krzywdy i ranienia innych nie odnajdzie go.

— Jak on wygląda? — pyta ona.

— Christmas? Dlaczego...

— Nie mam na myśli Christmasa.

— Och, Brown. Tak. Wysoki, młody. Śniady. Ko-

60

biety mówią, że jest przystojny. Wiele ich tak mówi, jak słyszałem. Dobry towarzysz do figłów, śmiechu i robienia żartów z ludzi. Ale ja... —Jego głos zamiera. Nie może spojrzeć na nią, czując na swojej twarzy jej niezmienny, spokojny wzrok.

— Joe Brown — mówi ona. — Czy ma on małą, białą szramę, o tu, przy ustach?

Nie może spojrzeć na nią i siedzi nieruchomo na stosie drzewa, ale jest już za późno i chciałby sobie odgryźć język.

Z okna swego gabinetu może widzieć ulicę. Nie jest ona odległa, bo trawnik nie jest szeroki. Jest to niewielki trawnik, na którym rośnie pół tuzina karłowatych

klonów. Brunatny, nie malowany i nie rzucający się w oczy dom jest także niewielki i z wyjątkiem luki, przez którą obserwuje ulicę — prawie ukryły za malwami, krzakami żalobnego mirtu i włoskiego bzu. Jest tak ukryty, że światło narożnej latarni prawie do niego nie dociera.

Z okna może także widzieć szyld, który nazywa swoim pomnikiem. Jest on ustawiony w kącie podwórza, niski i zwrócony ku ulicy. Ma trzy stopy długości i osiemnaście cali wysokości, ten zgrabny prostokąt, który ukazuje swoją twarz przechodniom, a plecy — jemu. Ale nie musi on go odczytywać, bo sam go wykonał za pomocą młotka i piły i wymalował widniejący na nim napis. Stało się to, gdy zrozumiał, że będzie potrzebował pieniędzy na chleb, opał i ubranie. Kiedy opuścił seminarium, miał niewielki dochód, odziedzi-

61

czony po ojcu, ale otrzymawszy probostwo, przekazał go natychmiast kwartalnymi przekazami instytutowi dla zbłąkanych dziewcząt w Memphis. Później stracił probostwo, a najbardziej gorzkim faktem, któremu musiał kiedykolwiek stawić czoło — bardziej gorzkim nawet niż pozbawienie godności i hańba — był list, który napisał do instytutu, aby powiedzieć, że odtąd będzie mógł im przysyłać tylko połowę poprzednio przysyłanej sumy. Tak więc nadal posyłał im połowę dochodu, który w całości zaledwie by go mógł utrzymać. “Na szczęście są rzeczy, które umiem robić” — powiedział wówczas. Stąd szyld, wykonany zgrabnie przez niego samego i przez niego samego zaopatrzony w litery. Zręcznie rozmieścił w farbie kawałeczki tłuczonego szkła tak, że nocą, kiedy na szyld padało światło narożnej latarni, litery migotały, wywołując wrażenie Bożego Narodzenia.

WIELEBNY GAIL HIGHTOWER, D. D.

LEKCJE RYSUNKU

RĘCZNIE MALOWANE POCZTÓWKI

NA BOŻE NARODZENIE I ROCZNICE

WYWOŁYWANIE FOTOGRAFII

Ale to było przed wieloma laty. Nikt nie uczył się u niego rysunku, a niewiele wykonał pocztówek na Boże Narodzenie i wywołał zdjęć. Farba i tłuczone szkło zwietrzały i odpadły z niknących liter. Pozostały one jednak czytelne, chociaż prawie wszyscy ludzie w mieście znali je tak jak sam Hightower. Ale od czasu do czasu jakaś murzyńska niańka ze swymi białymi podopiecznymi zatrzymywała się tam i sylabizowała je powoli z bezmyślną tępotą swego leniwego i niepiśmiennego gatunku.

Czasem ktoś obcy, idąc przypad-

62

kiem po tej cichej, odległej, nie brukowanej i odludnej uliczce, zatrzymywał się, odczytywał szyld, a potem spoglądał na mały, brunatny, prawie niewidoczny dom i szedł dalej. Od czasu do czasu ktoś obcy wspominał o szyldzie swemu znajomemu z miasta.

— Ach tak — mówił wówczas znajomy — High-tower. Mieszka tam samotnie. Przyjechał tu jako proboszcz parafii prezbiteriańskiej, ale żona mu zaszkodziła. Od czasu do czasu urywała się do Memphis i pozwalała tam sobie. To było dwadzieścia pięć lat temu, to znaczy zaraz po jego przyjeździe tutaj. Niektórzy ludzie mówili, że on wiedział o tym. Że nie mógł czy nie chciał sam jej zaspokoić i wiedział, co ona tam robi. A potem, pewnej sobotniej nocy, została zabita w jakimś hotelu czy czymś takim w Memphis. W gazetach pełno było o tym. Musiał odejść z parafii, ale dla jakiegoś powodu nie chciał wyjechać z Jefferson. Chcieli go do tego zmusić dla jego własnego dobra, dla dobra miasta i kościoła. Rozumiesz chyba, że to bardzo szkodziło kościołowi. Obcy tu przyjeżdżali i słuchali o tym, i tłumaczyli mu, żeby wyjechał. Ale nie chciał wyjechać. Od tego czasu mieszka na tej, kiedyś głównej ulicy zupełnie sam. Przynajmniej nie jest ona teraz główną ulicą. To też coś znaczy. Ale nim także nikt już się nie przejmuje i myśli, że większa część ludzi zapomniała o nim. Sam prowadzi swoje gospodarstwo. Nie myślę nawet, żeby w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat ktoś zajrzał do wnętrza tego domu. Nie wiemy, dlaczego on tu pozostaje. Ale każdego dnia, kiedy będziesz przechodził tamtędy o zmierzchu albo przed samym zapadnięciem nocy, zobaczysz go siedzącego w oknie. Po prostu siedzącego. Poza tym ludzie go wcale nie widują, chyba że od czasu do czasu, kiedy pracuje w ogrodzie.

63

Tak więc szyld, przez niego samego wykonany i zaopatrzony w napis, jest dla niego nawet mniej ważny niż dla miasta. Nie myśli już o nim świadomie, jako o szyldzie. Nie pamięta w ogóle o jego istnieniu, zanim nie zajmie swego miejsca w oknie gabinetu, tuż przed zmierzchem. A wówczas jest to tylko znajomy, niski, podłużny kształt bez żadnego znaczenia, który stoi nisko na przytykającym do ulicy krańcu wąskiego trawnika. Bez pomocy albo przeszkód z jego strony mógł on wyrosnąć z tej tragicznej ziemi — od której nie ma ucieczki — razem z nisko rozgałęziającymi się klonami i krzewami. Nie patrzy już nań nawet, tak jak nie dostrzega już drzew, pod którymi i pomiędzy którymi obserwuje ulicę czekając na

nadejście nocy, na czas nocy. Dom i gabinet są już ciemne za jego plecami i oczekuje teraz chwili, kiedy całe światło zniknie z nieba i nastanie noc, z wyjątkiem tego nikłego blasku, który zgromadziły w ciągu dnia liście i łodygi traw, a teraz opornie oddają, zachowując jeszcze trochę światła nad ziemią, chociaż noc już nadeszła. Teraz już niedługo — myśli. —Już niedługo teraz. Nie mówi do siebie nawet, że: “Pozostało jeszcze coś z honoru i dumy... z życia”.

Kiedy przed siedmiu laty Byron Bunch przybył po raz pierwszy do Jefferson i zobaczył mały szyld: G a i l Hightower, D.D. Lekcje rysunku. Ręcznie malowane pocztówki na Boże Narodzenie i rocznice. Wywoływanie fotografii — pomyślał: “D.D.? Co to jest D.D.?” — więc zapytał i powiedziano mu, że to znaczy: Darowany Diabłu. Gail Hightower Darowany Diabłu, a w każdym razie darowany diabłu przez mia-

64

sto Jefferson. Tak mu powiedziano. A jeszcze powiedziano mu o tym, jak to Hightower przybył do Jefferson prosto z seminarium odmawiając zgody na powołanie go gdziekolwiek indziej. Jak poruszał wszystkie możliwe sprężyny, żeby tylko być wysłanym do Jefferson. I jak przybył ze swoją młodą żoną. Wsiadając z pociągu znajdował się już w stanie podniecenia i zaczął opowiadać starym mężczyznom i kobietom, będącym filarami parafii, jak to uparł się na Jefferson od pierwszej chwili, kiedy postanowił zostać kapłanem. Opowiedział im także, ze swego rodzaju radością, o listach, które napisał, niepokojach, które odczuwał, i wpływach, których użył, żeby tu być powołanym. Dla mieszkańców zabrzmiało to jak radość handlarza końmi po korzystnej transakcji. Być może tak to zabrzmiało dla starszyny, ponieważ wysłuchali go trochę chłodno, ze zdumieniem i wątpliwościami, gdyż wydawało się, że chodzi mu o miasto, w którym pragnął mieszkać, a nie o parafię i ludzi, składających się na tę parafię, którym miał służyć. Wydało im się, że nie dba o ludzi, o żywych ludzi, o to, czy zechcą go tu, czy nie. Poza tym był młody, więc starzy mężczyźni i stare kobiety starali się przytłumić jego radosne podniecenie, mówiąc o poważnych sprawach parafii, o jej zadaniach i o jego zadaniach. Opowiedziano Byronowi, jak to po sześciu miesiącach młody proboszcz był wciąż jeszcze podniecony i wciąż mówił o Wojnie Domowej, o swoim dziadku kawalerzyście, który zginął, o palących się w Jefferson magazynach generała Granta, aż wreszcie przestało to mieć jakikolwiek sens. Opowiedziano Byronowi, że także z ambony mówił w ten sam sposób, szalony także na ambonie, traktujący religię tak, jak gdyby była urojeniem. Nie

65.

nocnym zwidem, ale czymś, co przebiegało szybciej niż słowa Pisma, czymś w rodzaju wichru, który nie potrzebował nawet ocierać się o świat rzeczywisty. I to także nie spodobało się starym mężczyznom i starym kobietom.

Było to tak, jak gdyby nawet na ambonie nie mógł oddzielić od siebie religii, galopującej jazdy i swego zabitego dziadka, zestrzelonego z galopującego konia. I jak gdyby nie mógł oddzielić ich od siebie w swoim prywatnym życiu, a może nawet w swoim domu. “Może nawet nie starał się o to w domu” — pomyślał Byron, myśląc, że jest to jedna z rzeczy, które mężczyźni robią kobietom, należącym do nich, i myśląc także, że jest to przyczyna, dla której kobiety powinny być silne i nie winione za to, co robią z, dla albo ze względu na mężczyzn, gdyż Bóg wiedział przecież, że być czyjąś żoną jest dostatecznie śliskim zajęciem. Opowiedziano mu, że ta żona była niewielką, spokojnie wyglądającą dziewczyną, o której miasto pomyślało początkowo, że niczym się nie wyróżnia. Ale miasto powiedziało, że gdyby Hightower był tylko trochę bardziej człowiekiem, na którym można polegać, takim, jakim kapłan powinien być, a nie człowiekiem urodzonym w trzydzieści lat po jedynym dniu, w którym, jak się wydawało, kiedykolwiek żył — dniu, w którym jego dziadek został zestrzelony z galopującego konia — wtedy i ona byłaby w porządku. Ale nie był. Więc sąsiedzi słyszeli ją, łkającą na plebanii w porze popołudniowej i późno nocami. I sąsiedzi wiedzieli, że mąż nie będzie wiedział, jak temu zaradzić, bo nie zna przyczyny zła. A czasem nie przychodziła nawet do kościoła w niedzielę, kiedy jej mąż miał kazanie. Patrzyli wtedy na niego i zastana-

5 - Światłość...

66

wiali się, czy on wie, że jej nie ma, i czy w ogóle nie zapomniał, że ma żonę, gdy tak stoi tam w górze na kazalnicy z rękami fruującymi wokół ciała, a prawda, którą głosi, pełna jest galopującej jazdy, klęski i chwały, zupełnie jak wówczas, gdy starał się im opowiedzieć na ulicy o galopujących koniach. Z kolei wszystko to mieszało się z rozgrzeszeniem i chórami walecznych archaniołów, póki nie stawało się oczywiste, że starzy mężczyźni i kobiety uwierzą, iż to, co głosił w domu bożym podczas dnia bożego, jest w rzeczywistości na krawędzi świętokradztwa.

I opowiedziano Byronowi, jak po mniej więcej roku pobytu w Jefferson twarz żony nabrała tego nieruchomego wyrazu. Kiedy panie z parafii składały wizytę, Hightower spotykał je sam, tylko w koszuli bez kołnierzyka, i bywał tak roztargniony, że wydawało im się, że nie wie zupełnie, po co przyszły i co ma robić. Po chwili prosił

je do wnętrza, przeproszał i wychodził. I wówczas nie słyszały żadnego odgłosu nigdzie w głębi domu. Siedziały więc w swoich niedzielnych sukniach, patrząc jedna na drugą, rozglądając się po pokoju, nasłuchując i nie słysząc żadnego odgłosu. A potem on powracał w tużurku i w kołnierzyku, siadał i rozmawiał z nimi o parafii i o chorych, a one odpowiadały, pogodne i ciche, ciągle nasłuchując, może nawet obserwując drzwi, a może nawet zastanawiając się, czy on wie o tym, o czym sądziły, że już wiedzą.

Panie przestały tam zachodzić. Wkrótce przestały poznawać na ulicy żonę proboszcza. A on ciągle zachowywał się tak, jakby nie zaszło nic złego. A potem ona zaczęła wyjeżdżać na dzień albo dwa. Widywali ją, wsiadającą do rannego pociągu. Twarz miała wy-

67

chudła i wymizerowaną — jakby nigdy nie mogła się najeść — i miała to nieruchome spojrzenie, jak gdyby nie dostrzegała tego, na co patrzy. A on opowiadał, że pojechała odwiedzić krewnych, gdzieś w głębi stanu. Ale pewnego dnia, gdy jej nie było, kobieta z Jefferson, robiąca zakupy w Memphis, zobaczyła ją wchodzącą szybko do hotelu. Tej samej soboty kobieta wróciła do domu i opowiedziała o tym. Ale następnego dnia Hightower stał na ambonie i znów mieszał religię z galopującą jazdą, a żona powróciła w poniedziałek. Następnej niedzieli, po raz pierwszy od sześciu czy siedmiu miesięcy, pojawiła się w kościele i usiadła samotnie w ostatniej ławce. Potem przychodziła przez pewien czas w każdą niedzielę. Potem znowu wyjechała, tym razem w środku tygodnia (było to w lipcu i w czasie upału), a Hightower powiedział, że pojechała odwiedzić krewnych na wsi, gdzie jest chłodniej. A starzy ludzie, starszyzna i stare kobiety, przyglądali mu się, nie wiedząc, czy wierzy w to, co mówi, czy nie. A młodzi ludzie gadali o tym za jego plecami.

Ale nie mogli zgadnąć, czy wierzy on w to, co im mówi, czy nie, i czy przejmuje się tym, czy nie, bo przecież pomieszało mu się wszystko: religia i ten dziadek zestrzelony z galopującego konia. I było to tak, jak gdyby owo nasienie, przekazane mu przez dziadka, jechało także tej nocy na tym koniu i także zostało zabite, a czas zatrzymał się dla nasienia i nic się już nie wydarzyło od tego czasu, nawet sam Hightower.

Żona wróciła przed niedzielą. Było gorąco. Starzy ludzie mówili, że to największe upały, jakie miasto kiedykolwiek przeżywało. Przyszła tej niedzieli do

68

kościół i zajęła samotnie miejsce na ostatniej ławce. W połowie kazania wyskoczyła z ławki i zaczęła krzyczeć, wykrzykiwać coś w kierunku ambony, gdzie jej mąż przestał mówić i stał pochylony ku przodowi z uniesionymi nad głową rękami. Kilku stojących bliżej ludzi chciało ją pochwycić, ale odepchnęła ich. Opowiedziano Byronowi, jak stała tam, pomiędzy ławkami, krzycząc i wygrażając rękami w kierunku ambony, gdzie jej mąż stał pochylony z rękami wciąż jeszcze uniesionymi i szaloną twarzą, zastygła w połowie pełnego gromów i alegorii zdania, którego nie ukończył. Nie wiedzieli, czy wygraża ona rękami jemu, czy Bogu. Potem zeszedł i zbliżył się do niej. Przestała wtedy walczyć i wyprowadził ją, a głowy odwracały się za nimi, gdy przechodzili, aż wreszcie przełożony zgromadzenia kazał organiście zagrać. Tego popołudnia starsi mieli zebranie za zamkniętymi drzwiami. Ludzie nie wiedzieli, co się działo za tymi drzwiami, poza tym, że Hightower wrócił, wszedł do zakrystii i też zamknął drzwi za sobą.

Ale ludzie nie wiedzieli, co się tam odbyło. Wiedzieli tylko, że zgromadzenie zebrało pewną kwotę, żeby wysłać żonę do sanatorium, a Hightower zawiózł ją tam, wrócił i następną niedzielę, jak zwykle, miał kazanie. Kobiety, sąsiadki, z których część nie odwiedziła probostwa już od miesięcy, były dla niego bardzo miłe. Od czasu do czasu zanosily mu jedzenie mówiąc jedna drugiej i swoim mężom, w jakim nieporządku jest plebania i że proboszcz musi jeść jak zwierzę wszystko, co uda mu się znaleźć, gdy poczuje głód. Co dwa tygodnie jeździł w odwiedziny do żony w sanatorium, ale zawsze wracał po jednym mniej więcej dniu i w niedziele zjawiał się znów na ambonie, jak gdyby cała ta

rzecz nigdy się nie wydarzyła. Ludzie ciekawie i uprzejmie zapytywali o jej zdrowie, a on dziękował im. A w niedzielę znów był na ambonie, ze swymi rozszalałymi rękami i rozszalałym, gorącym głosem, w którym Bóg i zbawienie, galopujące konie i zmarły dziadek grzmiąły jak widma, podczas gdy w dole siedzieli starsi i zgromadzenie, zakłopotani i oburzeni.

Późną jesienią powróciła żona. Wyglądała lepiej. Utyła trochę. Ale zmiana dotyczyła jeszcze czegoś więcej. Wydawała się teraz oczyszczona, a w każdym razie przebudzona. Tak czy inaczej, była teraz taka, jaką panie chciały ją widzieć od początku i jak sobie wyobrażały żonę proboszcza. Regularnie uczęszczała na nabożeństwa i zebrania modlitewne, a panie zachodziły do niej i ona do nich. Siedziała zawsze cicho i potulnie, nawet w swoim własnym domu, a one uczyły ją, jak ma go prowadzić, w co się ubierać i jak karmić męża.

Można by nawet powiedzieć, że przebaczyły jej. Żadna zbrodnia ani występki nie zostały w rzeczywistości wymienione i żadna pokuta nie została w rzeczywistości nałożona. Ale miasto nie sądziło, aby panie zapomniały o dawnych tajemniczych wycieczkach do Memphis, o których celu i przeznaczeniu wszyscy mieli to samo przekonanie, choć nikt nigdy nie ubrał tego w słowa i nie wypowiedział głośno. Miasto wierzyło, że dobre kobiety nie zapominają łatwo o sprawach dobrych czy złych, z obawy, aby smak i woń przebaczenia nie znikły z podniebienia ludzkich sumień. Bo miasto wierzyło, że panie znają prawdę, ponieważ wierzyło, że złe kobiety mogą być oszukane przez zło, ponieważ muszą część swego życia spędzać bez podejrzliwości. Ale żadna dobra kobieta nie

70

może być przez zło oszukana, bo będąc sama dobra, nie musi się troszczyć więcej o swoją czy czyjąkolwiek dobroć i dlatego ma masę czasu, żeby wywęszyć grzech. Miasto wierzyło, że dla tej właśnie przyczyny dobra kobieta może dać się oszukać, biorąc dobro za zło, ale samo zło nigdy jej nie oszuka. Więc gdy po czterech czy pięciu miesiącach żona znowu pojechała w odwiedzin, a mąż znowu powiedział, że pojechała odwiedzić swoich krewnych, miasto uwierzyło, że tym razem nawet on nie dał się oszukać. Bądź co bądź wróciła, a on nadal miał kazania w każdą niedzielę, jakby nic nie zaszło, zachodził do zdrowych i do chorych i rozmawiał o sprawach zgromadzenia. Ale żona nie przyszła już więcej do kościoła i wkrótce panie przestały w ogóle odwiedzać ją i plebanię. Nawet sąsiedzi, mieszkający po obu stronach, przestali w ogóle widywać ją przy domu. I wkrótce stało się tak, jakby jej tam nie było, jakby wszyscy zgodzili się, że jej tam nie ma, że proboszcz w ogóle nie ma żony. A on miał kazania w każdą niedzielę i już nie mówił im nawet, że pojechała odwiedzić swoich krewnych. Miasto myślało, że może cieszył się z tego. Może cieszył się, że nie musi już więcej kłamać.

Nikt nie zauważył jej, kiedy wsiadła w piątek do pociągu, a może nawet była sobota tego dnia. W porannych gazetach niedzielnych zobaczyli wiadomość o tym, że wyskoczyła czy wypadła z hotelowego okna w Memphis — i nie żyje. Razem z nią w pokoju był mężczyzna. Został aresztowany. Był pijany. Byli zarejestrowani pod fałszywym nazwiskiem jako mąż i żona. Policja odkryła jej prawdziwe nazwisko, bo wypisała je na kawałku papieru, który potem podarła i wrzuciła do kosza na śmieci. Gazety wydrukowały je

ŚWIATOŚĆ W SIERPNIU

razem z wiadomością: żona Wielebnego Gaila High-towera z Jefferson, Missisipi. A dalej opisano, jak gazeta o drugiej nad ranem połączyła się telefonicznie z mężem i jak mąż powiedział, że nie ma nic do powiedzenia.

Kiedy poszli do kościoła w ten niedzielny poranek, podwórzec pełen był reporterów z Memphis, którzy fotografowali kościół i plebanię. Potem nadszedł Hłghtower. Reporterzy chcieli go zatrzymać, ale przeszedł pomiędzy nimi do kościoła i udał się na ambonę. W kościele były już stare panie i część starych mężczyzn, przerażonych i oburzonych, nie tyle tą sprawą z Memphis, ile obecnością reporterów. Ale kiedy wszedł Hightower i rzeczywiście wstąpił na ambonę, zapomnieli nawet o reporterach. Panie wstały pierwsze i skierowały się do wyjścia. Potem wstali także mężczyźni, a potem kościół opustoszał, z wyjątkiem stojącego z uniesioną głową, pochylonego nieco ku przodowi i trzymającego w rozwartych dłoniach otwarte Pismo kapłana na ambonie i reporterów z Memphis (weszli oni za nim do kościoła), siedzących rzędem w ostatniej ławie. Powiedzieli oni, że nie widział swego zgromadzenia, gdy odchodziło. Nie patrzył w żadnym kierunku.

Opowiedziano o tym Byronowi i o tym, jak wreszcie proboszcz zamknął ostrożnie Pismo, zeszedł do pustej nawy, ruszył ku zakrystii, nie spojrzawszy ani razu (w przeciwieństwie do swych parafian) na rząd reporterów, i wyszedł. Przed kościołem czekało kilku fotografów z ustawionymi aparatami i głowami ukrytymi pod czarnymi kawałkami materiału. Najwidoczniej proboszcz oczekiwał tego, bo wynurzył się z kościoła, trzymając na wysokości twarzy otwarty śpiew-

nik. Ale fotografowie najwidoczniej także się tego spodziewali, bo wyprowadzili go w pole. Najprawdopodobniej dał się tak łatwo wyprowadzić w pole, bo nie był do tego przyzwyczajony. Jeden z fotografów ustawił swój aparat z boku i proboszcz wcale tego nie zauważył, a jeżeli zauważył, to za późno. Krył twarz przed tymi z przodu. A następnego dnia ukazało się w gazecie zrobione z boku zdjęcie proboszcza, zasłaniającego twarz śpiewnikiem. A za tą zasłoną widać było, że wargi jego są cofnięte, jakby się uśmiechał. Ale zęby były zaciśnięte, a twarz wyglądała jak twarz szatana ze starych sztychów. Następnego dnia przywiózł żonę do domu i pochował. Miasto przybyło na ten obrzęd. Nie był to pogrzeb. Nie wstawił w ogóle zwłok do kościoła. Zabrał je wprost na cmentarz i przygotował się, żeby samemu czytać Pismo, gdy inny kapłan podszedł i wyjął mu je z ręki. Po jego i innych odejściu wiele

młodszych osób pozostało i patrzyło na grób.

Później nawet członkowie innych parafii wiedzieli, że jego własna parafia poprosiła go, by ustąpił, a on odmówił. Następnej niedzieli wielu ludzi należących do innych kościołów przyszło do jego kościoła zobaczyć, co się stanie. Nadszedł i wszedł do kościoła. Zgromadzenie wstało jak jeden człowiek i wyszło, pozostawiając proboszcza i tych ludzi z innych kościołów, którzy przybyli tu jak na widowisko. Do nich więc wygłosił kazanie, tak jak wygłaszał je zawsze: z tą pełną uniesienia furią, którą uznano za świętokradztwo, a którą ci z innych kościołów wzięli za absolutne obłąkanie.

Nie chciał ustąpić. Starszyzna poprosiła radę kościelną, aby go odwołano. Ale po tej sprawie, po foto-

73

grafiach w pismach i tym wszystkim żadne inne miasto też by go nie chciało. Wszyscy dowodzili, że nie mają nic zupełnie przeciwko niemu osobiście. Po prostu był nieszczęśliwy. Po prostu urodził się nieszczęśliwy. Więc ludzie przestali w ogóle chodzić do kościoła, nawet ci z innych kościołów, którzy przez pewien czas przychodzili przez ciekawość. Nie był już więcej nawet widowiskiem, był już tylko zniewagą. Ale przychodził do kościoła w niedzielę o danej godzinie i wchodził na ambonę, a zgromadzenie wstawało i wychodziło. Próźniacy i im podobni zbierali się na zewnątrz, na ulicy, i słuchali go, wygłaszającego kazanie i modlącego się w pustym kościele. Następnej niedzieli drzwi były zamknięte, kiedy przybył, a próźniacy przyglądali się, gdy próbował otworzyć je, a potem zaniechał i stał tam z głową nadal pochyloną, mając za sobą ulicę wypełnioną ludźmi, którzy i tak nigdy nie chodzili do kościoła, i małymi chłopcami, którzy nie wiedzieli dokładnie, o co chodzi, ale wiedzieli, że to coś jest, więc przystanęli i przyglądali się nieruchomymi, okrągłymi oczami człowiekowi stojącemu zupełnie samotnie i bez ruchu przed zamkniętymi drzwiami. Następnego dnia miasto dowiedziało się, że poszedł do starszyzny i dla dobra kościoła ustąpił ze swej kazalnicy.

Potem miasto żałowało go ciesząc się, jak to czasem ludzie żałują tych, których wreszcie zmusili, żeby zrobili to, czego od nich żądano. Myśleli oczywiście, że teraz odejdzie stąd, i parafia zrobiła składkę, żeby mógł odjechać i osiąść gdzie indziej. A wtedy odmówił opuszczenia miasta. Opowiadano Byronowi o przerażeniu i oburzeniu, kiedy dowiedzieli się, że kupił mały domek przy bocznej uliczce, gdzie mieszkał i mieszka

od tamtej pory. Starsi zwołali drugie zebranie, ponieważ powiedzieli, że dali mu pieniądze, aby wyjechał, a jeśli wydał je na co innego, oznacza to, że wyłudził je pod fałszywymi pozorami. Poszli do niego i powiedzieli mu to. Poprosił, żeby poczekali chwilę, i powrócił do pokoju z ofiarowaną mu sumą, odliczoną do ostatniego centa w dokładnie tych samych banknotach, w jakich ją otrzymał. Domagał się, żeby ją zabrali z powrotem. Ale odmówili, a on nie chciał powiedzieć, skąd wziął pieniądze na kupno domu. Więc następnego dnia — opowiadano Byronowi — znaleźli się tacy, którzy powiedzieli, że ubezpieczył życie swojej żony i opłacił kogoś, żeby ją zamordował. Ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda, wyłączwszy tych, którzy opowiadali i powtarzali to, i tych, którzy słuchali, gdy to było opowiadane.

Ale nie chciał opuścić miasta. Później, pewnego dnia zobaczyli mały szyld, zrobiony, pomalowany i ustawiony przez niego samego przed domem, i zrozumieli, że ma zamiar pozostać. Wciąż jeszcze miał kucharkę Murzynkę. Była ona u niego przez cały czas. Ale opowiedzieli Byronowi, że gdy tylko żona umarła, ludzie od razu zdali sobie sprawę z tego, że Murzynka jest kobietą, że kobieta-Murzynka przebywa z nim w domu sam na sam przez cały dzień. Zaledwie żona zdążyła ostygnąć w swym haniebnym grobie, a już rozpoczęły się szeptki. O tym, że popchnął żonę na złą drogę, bo nie był prawdziwym mężem, prawdziwym mężczyzną, a ta Murzynka była powodem tego. Zabrała wszystko, wszystko, czego zabrakło. Byron słuchał spokojnie, myśląc o tym, że chociaż ludzie są wszędzie jednakowi, ale mogłoby się wydawać, że w małym mieście, gdzie trudniej jest popełniać grzechy i

gdzie mniej jest możliwości ukrywania ich, ludzie mogą o wiele więcej wymyślić w imieniu innych ludzi. Bo potrzebna była tylko jedna myśl, jedno bezpodstawne słowo, przenoszące się z umysłu w umysł. Pewnego dnia kucharka odeszła. Słyszeli o tym, że jednej nocy banda niedbale zamaskowanych mężczyzn weszła do domu proboszcza i kazała mu ją oddalić. Później usłyszeli, że następnego dnia kobieta sama odeszła, ponieważ jej chlebodawca chciał, żeby zrobiła coś, co, jak powiedziała, było przeciwne Bogu i naturze. I mówiło się, że kilku zamaskowanych ludzi przeraziło ją i zmusiło do wyjazdu, bo miała jasnobrą-zową skórę i było wiadomo, że jest co najmniej kilku mężczyzn w mieście, którzy sprzeciwiliby się temu, co uznała za przeciwne Bogu i naturze, gdyż, jak mówili młodszy mężczyźni, jeśli Murzynka uznaje coś za sprzeczne z Bogiem i naturą, to musi to być dostatecznie złe.

Tak czy inaczej proboszcz nie mógł — albo nie chciał — przyjąć innej kucharki. Prawdopodobnie ci mężczyźni przerazili tej nocy wszystkie inne Murzynki. Sam więc sobie gotował przez pewien czas, aż pewnego dnia usłyszeli, że ma Murzyna, który mu gotuje. I to go najprawdopodobniej skończyło. Ponieważ tego wieczora kilku ludzi, nie zamaskowanych nawet, wyprowadziło Murzyna z domu i wychłostało go. A kiedy Hightower obudził się następnego ranka; szyba w jego gabinecie była stłuczona, a na podłodze leżała cegła, do której przyczepiona była kartka, rozkazująca mu opuścić miasto przed zachodem słońca i podpisana KKK. Nie odjechał, a następnego ranka jakiś człowiek znalazł go w lesie, mniej więcej milę za miastem. Był przywiązany do drzewa i pobity do nieprzytomności.

76

Odmówił powiedzenia, kto to zrobił. Miasto wiedziało, że źle się stało, a niektórzy ludzie przyszedli do niego i jeszcze raz usiłowali go namówić, żeby opuścił Jefferson dla własnego dobra, tłumacząc mu, że następnym razem może być zabity. Ale odmówił. Nie chciał nawet mówić o pobiciu, chociaż zaproponowano mu ukaranie ludzi, którzy to zrobili. Ale nie chciał zrobić ani jednego, ani drugiego. Nie chciał powiedzieć ani odjechać. Potem, zupełnie nagle, zaczęło się wydawać, że cała rzecz odleciała jak zły wiatr. Było to tak, jakby wreszcie miasto zrozumiało, że będzie on częścią jego życia, póki nie umrze, i wobec tego mogą równie dobrze się pojednać. Byron pomyślał, że było to tak, jakby cała sprawa była sztuką wykonywaną przez wielu ludzi, a teraz wreszcie wszyscy odegrali przeznaczone sobie role i mogli odtąd żyć spokojnie obok siebie. Pozostawili proboszcza w spokoju. Widywali go pracującego na podwórku albo w ogrodzie, na ulicy i w sklepach z małym koszykiem na ramieniu. I rozmawiali z nim. Wiedzieli, że sam sobie gotuje i sprząta, więc po pewnym czasie sąsiedzi zaczęli posyłać mu znowu jedzenie, chociaż było to jedzenie, które posyłałoby ubogiej rodzinie robotniczej. Ale było to jedzenie i posłane z dobrymi zamiarami. Bo — jak sobie pomyślał Brown — ludzie wiele zapominają w ciągu dwudziestu lat. “Myślę sobie — myśli — że poza mną nie ma nikogo w Jefferson, kto wie, że dzień po dniu siedzi on w tym oknie, od zachodu słońca aż do pełnej nocy. Albo jak wygląda ten dom od środka. I nie wiedzą nawet, że ja wiem, bo gdyby wiedzieli, toby pewnie wyprowadzili nas obu na dwór i znów wychłostali, ponieważ ludzie zdają się zapominać o wiele więcej, niż pamiętają”. Ponieważ

77

jest jeszcze jedna sprawa, którą Byron uświadomił sobie i zaobserwował sam,

od czasu kiedy przybył do Jefferson.

Hightower wiele czytywał. To znaczy, Byron obejrzał z pewnego rodzaju rozmarzonym i pełnym szacunku roztargnieniem książki stojące szeregami na półkach biblioteki. Były to książki o religii, historii i naukach, o których istnieniu Byron nigdy nawet nie słyszał. Pewnego dnia, mniej więcej przed czterema laty, Murzyn, który mieszkał w leżącej tuż obok chacie na skraju miasta, przybiegł do domu proboszcza mówiąc, że żona rodzi. Hightower nie miał telefonu, więc poradził Murzynowi, żeby pobiegł do następnego domu i wezwał doktora. Patrzył za Murzynem, podchodzącym do furtki sąsiedniego domu. Ale zamiast wejść, Murzyn stał tam przez chwilę, a potem poszedł ulicą w stronę miasta. Hightower widziały że ten człowiek będzie szedł całą drogą do miasta, a potem straci jeszcze z pół godziny, szukając doktora w swój niezadany, powolny sposób, zamiast poprosić jakąś białą kobietę, żeby zatelefonowała. Potem podszedł do drzwi i usłyszał kobietę zawodzącą w nie bardzo odległej chacie. Nie czekał dłużej. Pobiegł do chaty i zobaczył, że z powodu, którego nigdy nie poznał, kobieta wyszła z łóżka i teraz klęczała oparta dłońmi i kolanami o podłogę, próbując wrócić do łóżka, krzycząc i zawodząc. Zaprowadził ją z powrotem do łóżka, kazał jej leżeć spokojnie i nastraszywszy ją tak, że posłuchała, pobiegł z powrotem do swego domu, zabrał jedną z książek stojących na półce w gabinecie, wziął swoją brzytwę i trochę sznurka, pobiegł z powrotem do chaty i przyjął dziecko. Ale było już nieżywe. Doktor, gdy przybył, powiedział, że bez

78

79

wątpienia musiała je zranić, kiedy wyszła z łóżka, zanim ją znalazł Hightower. Pochwalił także pracę High-towera, a mąż też był zadowolony.

“Ale to było zbyt blisko tej drugiej sprawy — pomyślał Byron — pomimo tych piętnastu lat, które je dzieliły”. Bo po dwóch dniach znaleźli się tacy, którzy powiedzieli, że dziecko było Hightowera i że rozmyślnie pozwolił mu umrzeć. Byron przypuszczał, że nawet ci, którzy to opowiadali, nie wierzyli w to. Przypuszczał, że miasto zbyt długo miało nawyk mówienia o zniesławionym proboszczu rzeczy, w które samo nie wierzyło, żeby teraz się go wyrzec. “Ponieważ — myśli — kiedy coś staje się nawykiem, potrafi także odsunąć się na dobry kawał drogi od prawdy i faktów”. I przypomina sobie pewien wieczór, kiedy rozmawiał z Hightowerem, a Hightower powiedział: “To są dobrzy ludzie. Muszą wierzyć w to, w co muszą wierzyć, zwłaszcza

że to ja byłem równocześnie panem i sługą ich przekonań. Nie jest więc moją sprawą znieważać ich przekonania ani nie jest sprawą Byrona Buncha mówić, że się mylą. Ponieważ każdy człowiek może mieć nadzieję przede wszystkim na to, że będzie mu dozwolone mieszkać spokojnie pomiędzy bliźnimi”. Było to niedługo potem, jak Byron usłyszał tę historię, i krótko po pierwszych wieczornych odwiedzinach w gabinecie Hightowera. Byron wciąż jeszcze zastanawiał się wówczas, dlaczego tamten pozostaje w Jefferson, nieomal w polu widzenia i w zasięgu słyszenia kościoła, który go wywłaszczył i wypędził. Pewnego wieczora Byron zapytał go o to.

— A dlaczego spędzasz swoje sobotnie popołudnia pracując w tartaku, kiedy inni ludzie szukają rozrywki w mieście? — powiedział Hightower.

— Nie wiem — powiedział Byron. — Myślę sobie, że takie właśnie jest moje życie.

— A ja też myślę sobie, że takie właśnie jest moje życie — powiedział ten drugi.

“Ale ja wiem, dlaczego tak się dzieje — myśli Byron. — Dlatego tak się dzieje, że człowiek więcej boi się kłopotów, które może mieć, niż tych, które już ma. Będzie się czepiał kłopotów, do których jest przyzwyczajony, zanim zaryzykuje zmianę. Tak. Człowiek może mówić o tym, jak bardzo by chciał uciec od innych żyjących. Ale to umarli robią mu krzywdę. To od umarłych, którzy leżą spokojnie i nie starają się go zatrzymać, człowiek nie może uciec”.

Przelecieli już obok z grzmotem i cicho wpadli w mrok. Nadeszła noc. Jednak nadal jeszcze siedzi w oknie gabinetu, mając za sobą cichy, ciemny pokój. Narożna latarnia migocze i lśni tak, że zębate cienie rozkwitłych klonów zdają się podskakiwać lekko w sierpniowej ciemności. Z dala słyszy słabe, ale zupełnie wyraźne, dźwięczne fale zgromadzonych w kościele głosów: jest to dźwięk jednocześnie surowy i bogaty, nikczemny i pełen dumy, rosnący i opadający w spokojnej, letniej ciemności jak harmonijne wody.

Potem widzi człowieka, który nadchodzi ulicą. W powszednią noc rozpoznałby postać, kształt, postawę i chód. Ale w niedzielę wieczorem i z echem widmowych kopyt, nadal łoskoczących bezgłośnie w ciemnym gabinecie, przygląda się tylko spokojnie drobnej, pozbawionej konia figurce, która porusza się z tą niepewną, fałszywą zręcznością zwierząt, chwiejących się na swoich tylnych nogach, zręcznością, z której

zwierzę ludzkie jest tak niedorzecznie dumne i która nieustannie zawodzi je wobec praw natury, takich jak ciężenie i lód, oraz przy pomocy obcych mu przedmiotów, które sam wymyślił, jak samochody, meble w ciemności i resztki jego własnego jedzenia porzucone na podłodze albo chodniku. I myśli spokojnie, jak wiele racji mieli starożytni czyniąc konia atrybutem i symbolem wojowników i królów, kiedy dostrzega, że człowiek na ulicy minął niski szyld, skręcił w furtkę i zbliża się ku domowi. Siedząc, pochyla się ku przodowi, przygląda człowiekowi, który idzie po ciemnej ścieżce w stronę ciemnych drzwi. Słyszy, jak człowiek potyka się ciężko na najniższym schodku.

— Byron Bunch — mówi. — W mieście, nocą, w niedzielę. Byron Bunch w mieście, w niedzielę.

Siedzą po przeciwnych stronach biurka, twarzami zwróceny ku sobie. Gabinet oświetlony jest w tej chwili stojącą na biurku lampą o zielonym abażurze. Hightower siedzi poza nią w staroświeckim fotelu na biegunach, a Byron naprzeciw, na zwykłym krzeselku. Twarze obu znajdują się tuż poza granicą blasku lampy. Przez otwarte okno wchodzi śpiew z odległego kościoła. Byron mówi miarowym, równym głosem:

— To była dziwna rzecz. Myślałem, że jeżeli może być gdzieś jakieś miejsce, gdzie człowiek nie miałby okazji do zrobienia komuś krzywdy, to jest nim ten tartak w ten sobotni wieczór. A w dodatku dom się palił, można by powiedzieć, że przed samym moim nosem. Jadłem obiad, od czasu do czasu unosiłem

głowę i myślałem sobie: “Nie zobaczę tutaj żywej duszy dzisiejszego wieczora. Nikt mi przynajmniej dziś nie przeszkodzi”. Potem spojrzałem, a ona stała tam, z twarzą gotową do uśmiechu i ustami gotowymi wymówić jego imię. I zobaczyła, że ja nie jestem nim. A ja nie miałem nic lepszego do roboty, tylko wypaplać całą sprawę. — Robi lekki grymas. Nie jest to uśmiech. Jego górna warga unosi się tylko na chwilę. Ruch ten, chociaż skóra marszczy się, nie posuwa się dalej i znika prawie natychmiast. — Nie podejrzewałem wtedy nawet, że to, czego nie wiedziałem, nie jest jeszcze najgorsze z tego wszystkiego.

— Musiała to być dziwna sprawa, jeżeli utrzymała Byrona Buncha w niedzielę w Jefferson — mówi Hightower. — Ale przecież ona szukała go, a tyś pomógł jej go odnaleźć. Chyba zrobiłaś to, co chciała, za czym zresztą szła pieszo przez całą tę drogę z Alabamy.

— Myślę, że na pewno powiedziałem jej to. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Siedziała tam, z tym wzdętym brzuchem, i przyglądała mi się. Przyglądała mi się tymi oczami, którym człowiek nie mógłby skłamać, nawet żeby chciał. A ja paplałem dalej, mając przed sobą w pełnym widoku ten dym, który jakby postawiono tam, żeby mnie ostrzec, żebym trzymał język za zębami. Ale nie miałem po prostu tyle rozsądku, żeby to zrozumieć.

— Och — mówi Hightower — to ten dom, który się spalił wczoraj. Ale nie widzę żadnego związku pomiędzy... Czyj to był dom? Zauważyłem ten dym i zapytałem przechodzącego Murzyna, ale nie wiedział.

— To ten stary dom Burdenów — mówi Byron. Spogląda na tego drugiego. Spoglądają na siebie, Hightower jest wysokim człowiekiem i był kiedyś chudy.

82

Ale teraz nie jest już chudy. Jego skóra ma barwę worka do mąki, a górna część tułowia posiada kształt na wpół napełnionego mąką worka, który własnym ciężarem osuwa się z wychudłych pleców na kolana.

Później Byron mówi: — Nie słyszał pan jeszcze. — Ten drugi przygląda mu się. Byron mówi zadumany głosem:

'— A więc i to też będę musiał opowiedzieć. W przeciągu dwóch dni będę musiał opowiedzieć dwóm osobom coś, czego nie chciałyby usłyszeć i czego nie powinny w ogóle usłyszeć.

— A cóż to jest, o czym, jak sądzisz, nie chciałbym usłyszeć?

— Nie o pożarze — mówi Byron. — Nic im się nie stało w czasie pożaru.

— Im? Wydawało mi się, że panna Burden mieszka tam samotnie.

Raz jeszcze Byron spogląda przez chwilę na tamtego. Ale twarz Hightowera jest tylko poważna i zadowolona.

— Brown i Christmas — mówi Byron. Twarz Hightowera nadal nie zmienia wyrazu. — Nawet nie słyszał pan o tym — mówi Byron. — Mieszkali tam.

— Mieszkali tam? Czy odnajmowali pokój w domu?

— Nie. Mieszkali w starej chacie murzyńskiej na tyłach. Christmas wyremontował ją trzy lata temu. Mieszkał tam od tego czasu, a ludzie zastanawiali się, gdzie sypia po nocach. Potem, kiedy on i Brown zaczęli razem kombinować, zabrał Browna do siebie.

— Och — powiedział Hightower. — Ale nie widzę... Jeżeli było im wygodnie, a

panna Burden...

— Myślę, że się jakoś godzili ze sobą. Sprzedawali whisky, a tej starej chaty używali jako głównej kwate-

83

ry i osłony. Nie sędzę, żeby panna Burden wiedziała o whisky. A przynajmniej ludzie nie wiedzą, czy wiedziała kiedykolwiek, czy nie. Mówią, że Christmas zaczął sam, trzy lata temu, sprzedając kilku stałym odbiorcom, którzy nawet nie wiedzieli o sobie nawzajem. Ale kiedy dopuścił Browna, to myślę, że Brown chciał rozwinąć interes i sprzedawał spod koszuli po pół kwaterki każdemu, kto chciał. To znaczy, sprzedawał to, czego sam nie zdążył wypić. I myślę, że sposób, w jaki zdobywali tę whisky, też by nie wytrzymał dokładnego wglądu. Bo w jakieś dwa tygodnie potem, jak Brown odszedł z tartaku i uznał, że jego podstawową pracą jest jazda tym nowym samochodem, upił się w mieście któregoś sobotniego wieczoru i zaczął paplać do ludzi u fryzjera coś o sobie i o Christ-masie, którejs nocy w Memphis czy też na drodze blisko Memphis. Coś o nich i o tym nowym samochodzie, ukrytym w krzakach, i o Christmasie z pistoletem, a także jeszcze dużo o jakiejś ciężarówce i stu galonach czegoś. Na to wszedł prędko Christmas, podszedł do niego i wyszarpnął go z krzesła. I Christmas powiedział tym swoim spokojnym głosem, który nie jest ani miły, ani zły: “Powinieneś uważać, pijąc ten jeffersoński płyn na porost włosów. Uderzył ci do głowy. Możesz dostać od tego zajęczej wargi”. Jedną ręką trzymał Browna, a drugą bił go po twarzy. Te uderzenia nie sprawiały wrażenia, jakby były silne. Ale kiedy ręka Christmasy unosiła się, pomiędzy uderzeniami ludzie mogli zauważyć zaczerwienienia nawet poprzez wąsiki Browna. “Wyjdź trochę na świeże powietrze — powiada Christmas. — Odrywasz tych ludzi od pracy”. — Byron wpada w zadumę. Potem znowu mówi: — A ona tam była, siedziała na tych

84

klepkach i przyglądała mi się. A ja wypaplałem jej całą sprawę. A ona przyglądała mi się. A potem mówi: “Czy on ma małą, białą szramę, o tu, obok ust?”

— Więc ten człowiek to Brown — mówi High-tower.

Siedzi nieruchomo, przyglądając się Byronowi z pewnego rodzaju spokojnym zdumieniem. Nie ma w nim nic wojowniczego, nic z oburzonej moralności. Tak, jakby słuchał o czynach ludzi innej rasy.

— Więc jej mąż jest przemytnikiem alkoholu, no, no, no.

A jednak Byron zauważa w twarzy tamtego coś skrytego, o czego budzeniu się

nie wie sam High-tower. Jak gdyby coś wewnątrz człowieka starało się go ostrzec albo przygotować. Ale Byron sądzi, że jest to tylko odbicie tego, co on sam już wie i ma zamiar opowiedzieć.

— I w ten sposób powiedziałem jej, zanim się dowiedziałem, że powiedziałem. I chciałem sobie odgryźć język, nawet wtedy, kiedy myślałem, że to już wszystko.

Nie patrzy teraz na tego drugiego. Poprzez cały wieczór nadpływa oknem słaby, ale wyraźny i zlewający się z głosami ludzkimi głos organów odległego kościoła. Ciekaw jestem, czy on to słyszy— myśli Byron. — A może słuchał tego tak często, że już więcej nie słyszy. Nie musi nawet słuchać.

— Siedziała tam przez cały czas, kiedy pracowałem. Dym opadł nareszcie, a ja rozmyślałem nad tym, co jej powiedzieć i co zrobić. Chciała od razu tam iść i chciała, żebym jej powiedział, którędy się idzie. Kiedy powiedziałem jej, że to dwie mile, to się tylko jakby uśmiechnęła. Jak gdybym był dzieckiem albo czymś

85

podobnym. “Przeszłam pieszo całą drogę z Alabamy powiedziała — to myślę, że się nie będę martwiła o jeszcze dwie mile”. A wtedy jej powiedziałem... — Urywa. Zdaje się przyglądać podłódze pod swoimi stopami. Unosi głowę. — Myślę, że skłamałem. Tylko że jakoś to nie było kłamstwo. Zrobiłem to dlatego, bo wiedziałem, że tam będą ludzie przyglądający się pożarowi, a ona przyjdzie i będzie próbowała go szukać. Sam nie wiedziałem wtedy o tym drugim, to znaczy, o reszcie tego. O najgorszym. Więc powiedziałem jej, że on jest zajęty przy robocie i że najłatwiej będzie go można odnaleźć po szóstej w mieście. To była prawda. Bo zdaje mi się, że on nazywa robotą to noszenie buteleczek na gołej piersi, a jeżeli go o tej porze nie było na rynku, to tylko dlatego, że się trochę spóźnił, wracając z zaułka, albo właśnie wszedł na chwilę w zaułek. Więc wytłumaczyłem jej, żeby zaczekała i posiedziała, a sam pracowałem dalej, próbując zdecydować, co zrobić. Kiedy teraz myślę o tym, jak bardzo się martwiłem tym, co wiedziałem, to wydaje mi się, że nie miałem w ogóle powodu do zmartwienia. Przez cały dzień myślę o tym, jakby to było łatwo, gdybym się mógł cofnąć do wczoraj i nie mieć innych zmartwień prócz tych, które miałem wtedy.

— Nadal nie rozumiem, co cię miało martwić — mówi Hightower. — To przecież nie twoja wina, że ten człowiek jest tym, czym jest, albo że ona jest tym, czym jest. Zrobiłeś to, co mogłeś. Wszystko, czego się można było spodziewać po kimś nieznanym... Chyba że...

Jego głos także cichnie. Później gaśnie, jak gdyby leniwe rozmyślanie zmieniło się w roztrząsanie, a potem w coś zbliżonego do zmartwienia. Naprzeciw nie-

86

go siedzi nieruchomy Byron z twarzą pochyloną i poważną. A naprzeciw Byrona, Hightower nie pomyślał jeszcze, miłość. Przypomina sobie tylko, że Byron jest jeszcze młody, że prowadzi życie w celibacie, że pracuje ciężko i że opowiadanie jego o kobiecie, której nigdy przedtem nie widział, posiada cechy co najmniej niepokojące, chociaż Byron nadal wierzy, że to tylko litość. Przygląda się więc Byronowi z pewnego rodzaju ograniczonością, bez chłodu i bez ciepła, podczas gdy Byron ciągnie dalej tym głosem bez wyrazu: o tym, jak to mniej więcej o szóstej godzinie niczego jeszcze nie postanowił; a kiedy on i Lena doszli do rynku, też nie był jeszcze zdecydowany. Teraz zaczyna do zakłopotanego wyrazu twarzy Hightowera przenikać pewien rodzaj wycofywania się i przewidywania, podczas gdy Byron mówi cicho; opowiadając, jak po dojściu do rynku zdecydował, że zabierze Lenę do pani Beard. Byron mówi cicho, rozmyśla i przypomina sobie: było to tak, jakby coś przeleciało powietrzem w ten wieczór, czyniąc twarze znajomych ludzi obcymi, a on, który jeszcze nie wiedział, nie musiał nawet wiedzieć, że stało się coś, co z poprzedniego problemu jego niewinności uczyniło dziecinną igraszkę. Więc, zanim dowiedział się, co się stało, wiedział już, że Lena nie powinna się o tym dowiedzieć. Nie trzeba mu było nawet słów, żeby się dowiedzieć, że odnalazł zaginionego Łukasza Burcha. Wydaje mu się teraz, że tylko najszaleńsza głupota i niedołężność mogły go utrzymać w nieświadomości. Wydaje mu się, że los postawił mu ostrzeżenie na niebie w postaci tej kolumny dymu, widocznej przez cały dzień, a on był zbyt głupi, aby je odczytać. Tak więc nie pozwolił im powiedzieć — tym przechodzącym ludziom, od

87

których wionęło to na niego i Lenę — aby i ona się nie dowiedziała. Może zresztą wiedział już wówczas, że ona też się musi dowiedzieć, usłyszeć o tym prędzej czy później, że w pewien sposób ma nawet prawo wiedzieć. Wydawało mu się tylko, że gdy uda mu się przedostać przez rynek i do domu, odpowiedzialność zostanie z niego zdjęta. Nie odpowiedzialność za grzech, o który się posądzał, tylko dlatego, że gdy to się wydarzyło, spędził z nią całe popołudnie, będąc wybranym przez okoliczności reprezentantem miasta Jefferson, wobec tej, która szła pieszo i bez pieniędzy przez trzydzieści dni, aby tu dotrzeć. Nie chciał ani nie miał nadziei uniknięcia tej odpowiedzialności. Chciał tylko sobie i jej dać czas, aby mogli być zdumieni i

wstrząśnięci. Mówi o tym spokojnie, niezdarnie, mając twarz pochyloną. Mówi swym płaskim, bezbarwnym głosem, a ponad biurkiem Hightower patrzy na niego z tym wyrazem lęku i wypierania się.

Dobrnęli wreszcie do pensjonatu i weszli. Było to tak, jakby ona także miała jakieś przeczucia, bo przyjrzała mu się, gdy stali w hallu, i odezwała po raz pierwszy:

— Co to było? Co ci ludzie chcieli panu powiedzieć?

— To nic nie było — odpowiedział głosem, który wydał mu się suchy i lekki. — To tylko coś o panie Burden, o tym, że została ranna w czasie pożaru.

— Jak to, ranna? Jak bardzo ranna?

— Myślę, że nie bardzo. Może wcale nie ranna. Tylko ludzie o tym gadają. A może być tak albo inaczej. Jak to ludzie.

Nie mógł spojrzeć na nią. Nie mógł w ogóle spotkać jej oczu. Ale mógł czuć, że ona mu się przygląda, wydało mu się, że słyszy miliardy dźwięków i gło-

88

WILUAM FAULKNER

sów, przyciszonych i pełnych napięcia, dochodzących z miasta i z rynku, przez który ją przeprowadził, z rynku, gdzie ludzie spotykali się pośród bezpiecznych i znajomych świateł, aby sobie o tym opowiedzieć.

Dom także wydawał się wypełniony znajomymi odgłosami, ale najbardziej nieruchomością i straszliwym odwlekaniem, gdy spojrzał w głąb mrocznego hallu, myśląc: Dlaczego ona nie nadchodzi. Dlaczego ona nie nadchodzi. Wtedy nadeszła. Pani Beard była zadowolona z siebie kobietą o czerwonych rękach i nieporządnie uczesanych włosach.

— To jest pani Burch — powiedział. Wyraz jego twarzy był nieomal złowrogi: natrętny i nagłący. — Dopiero co przybyła do miasta z Alabamy. Spodziewa się tu spotkać swojego męża. Jeszcze nie nadszedł. Więc przyprowadziłem ją tu, żeby mogła trochę odpocząć, zanim wejdzie w to całe podniecenie miasta. Nie była jeszcze w mieście i nie rozmawiała z nikim, więc pomyślałem sobie, że może pani potrafi dla niej znaleźć tu miejsce, w którym sobie odpocznie, zanim będzie musiała usłyszeć to gadanie i...

Jego głos ustał, zamarł, ostateczny, natrętny, nagłący. Uwierzył, że zrozumiała, co ma na myśli. Potem dowiedział się, że to nie ze względu na jego prośbę powstrzymywała się od opowiedzenia mu tego, co wiedział i o czym wiedział, że ona wie. Zauważyła ciężę i wobec tego ukryła całą sprawę. Spojrzała na Lenę, raz,

wszechobejmująca, jak to robiły wszystkie obce kobiety w ciągu minionych czterech tygodni.

— Jak długo chce tu zostać? — zapytała.

— Tylko jedną albo dwie noce — powiedział By-ron. — Może tylko przez dzisiejszą noc. Spodziewa

89

się tu spotkać swojego męża. Dopiero co znalazła się w mieście i nie miała jeszcze czasu, żeby zapytać i dowiedzieć się...

Jego głos był nadal pełen niedomówień i ukrytego znaczenia. Pani Beard przyjrzała mu się teraz. Wydawało mu się, że wciąż jeszcze stara się zrozumieć ukryte znaczenie jego słów. Ale ona przyglądała mu się, widząc, że brnie po omacku, i wierząc (albo: nieomal wierząc), że niezdarność jego wysłowienia ma inne przyczyny i znaczenie. Potem znowu spojrzała na Lenę. Jej wzrok nie był zupełnie zimny. Ale nie było w nim ciepła.

— Myślę, że nie powinna nigdzie iść tak od razu — powiedziała.

— Właśnie, tak sobie pomyślałem — powiedział Byron prędko i gorliwie. — Z tą całą gadaniną i podnieceniem, które by ją ogarnęło w mieście, po tak długim nieprzysłuchiwaniu się gadaniu i niepatrzeniu na podnieconych ludzi... Jeżeli ma pani dzisiaj wszystkie pokoje zajęte, to pomyślałem sobie, że może mogłaby wziąć mój pokój.

— Tak — powiedziała pani Beard. — Przecież pan i tak zabiera się za parę minut. Czy chce pan, żeby zajmowała pana pokój aż do poniedziałku, do pana powrotu?

— Nie odjadę dziś wieczór — powiedział Byron. Nie odwrócił oczu. — Nie będę mógł odjechać tym razem. — Spojrzał prosto w jej zimne, nie wierzące już oczy, wierząc, że odczytują one w jego oczach to, co w nich było, a nie to, co sądziła, że w nich jest. Mówią, że to wprawny kłamca umie oszukiwać. Ale najczęściej wprawny i nałogowy kłamca oszukuje tylko samego siebie. To właśnie kłamstwa człowieka, który

90

WILŁIAM EAULKNER

91

był przez całe życie przekonany o swej prawdomówności, znajdują najprędzej wiarę.

— Och — powiedziała pani Beard. Znowu spojrzała na Lenę. — Czy nie ma ona

żadnych znajomych w Jefferson?

— Nie zna tu nikogo — powiedział Byron. — Nikogo po tej stronie Alabamy. Pan Burch na pewno pojawi się rano.

— Och — powiedziała pani Beard. — A gdzie pan będzie spał? — Ale nie czekała na odpowiedź. — Myślę, że mogę jej posłać dzisiaj w moim pokoju. Jeżeli to jej będzie odpowiadało.

— Tak będzie świetnie — powiedział Byron. — Tak będzie świetnie.

Kiedy zabrzmiał dzwonek na kolację, był już całkowicie przygotowany. Znalazł okazję, żeby porozmawiać z panią Beard. Zużył więcej czasu na wymyślenie tego kłamstwa niż na wymyślenie któregośkolwiek z poprzednich. A potem okazało się ono niepotrzebne. To, co chciał ochronić, ochroniło się samo dzięki sobie.

— Ci mężczyźni będą o tym gadać przy stole — powiedziała pani Beard. — Myślę, że kobieta w tym stanie (i jednocześnie chcąc koniecznie znaleźć męża o nazwisku Burch — pomyślała z suchą ironią) nie powinna słuchać tych męskich paskudztw. Niech pan ją przyprowadzi później, kiedy oni wszyscy skończą jeść. — Co też Byron uczynił. Lena raz jeszcze zjadła wszystko z całym apetytem i z tą poważną i serdeczną etykietą. Zanim skończyła, usypiała już prawie i głowa wpadała jej do talerza.

— To podróżowanie jest rzeczywiście męczące — wyjaśniła.

— Niech pani teraz idzie i posiedzi trochę w saloniku, a ja pani pościelę — powiedziała pani Beard.

— Chciałabym pomóc — powiedziała Lena. Ale nawet Byron zauważył, że nie chce, że umiera z senności.

— Niech pani idzie posiedzieć w saloniku — powiedziała pani Beard. — Myślę, że pan Bunch nie będzie miał nic przeciwko dotrzymaniu pani towarzystwa przez minutę lub dwie.

— Bałem się ją zostawić samą — mówił Byron. High-tower nie poruszył się za biurkiem. — I właśnie wtedy, kiedy siadaliśmy tam, to wszystko zważyło się na miasto i wtoczyło do urzędu szeryfa. Właśnie wtedy Brown opowiadał to wszystko: o sobie i o Christma-sie, i o whisky, i o wszystkim. Tylko że whisky nie było dla nikogo żadną nowiną, od czasu kiedy przyjął Browna za współnika. Myślę, że jedyne pytanie, nad którym ludzie się zastanawiali, brzmiało: dlaczego Christmas w ogóle pokumał się z Brownem? Może dlatego, że swój nie zawsze ciągnie do swego, ale czasem uda mu się nawet od niego uciec. Zresztą, nawet w tym, w czym byli podobni, też się różnili.

Christmas łamał prawo, żeby zarobić pieniądze, a Brown łamał je, bo nigdy nie miał nawet tyle rozsądku, żeby o tym wiedzieć. Jak, na przykład, wtedy u fryzjera, kiedy upił się i gadał za głośno, póki Christmas nie wbiegł i nie wyciągnął go stamtąd. A pan Maxey powiedział: Jak myślisz, czego on, o mały włos, nie powiedział o sobie i o tyra drjugim?” — a kapitan McLendon powiedział: “W ogóle ó tym nie myślę” — a pan Maxey powiedział: “Czy sądzisz, że on napadł na inny samochód wiozący whisky?” — a McLendon powiedział: “Czy nie zdziwiłoby cię, gdybyś usłyszał, że ten facet Christmas nie zrobił nic gorszego w życiu?”

92

O tym właśnie opowiedział Brown zeszłego wieczoru. Ale wszyscy i tak wiedzieli o tym. Już od dłuższego czasu mówiono, że ktoś powinien powiedzieć o tym pannie Burden. Ale myślę, że nie było nikogo, kto by chciał tam pójść i jej powiedzieć,-bo nikt nie przewidywał tego, co się stanie. Myślę, że są ludzie tu urodzeni, którzy nigdy nie widzieli jej na oczy. Zresztą nie sądzę, żebym ja sam chciał tam pójść, do tego starego domu, gdzie nikt jej nigdy nie widywał, chyba że był to ktoś, kto przejeżdżał wozem i zauważył ją, stojącą na podwórku w sukni i czepku, którego nie włożyłyby na siebie niektóre znajome mi Murzynki, zważywszy jego krój i wygląd, jaki jej nadawał. A może wiedziała już o tym wszystkim? Może nie sprawiało jej to różnicy, bo była Jankeską i tak dalej. A zresztą nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stanie.

Więc nie odważyłem się pozostawić jej samej, zanim nie znalazła się w łóżku. Chciałem od razu zeszłego wieczoru przyjść do pana. Ale nie odważyłem się jej pozostawić. Inni lokatorzy chodzili ciągle przez hali i nie wiedziałem, kiedy któremuś z nich strzeli do głowy, żeby podejść i opowiedzieć całą sprawę. Zdawało mi się, że słyszę ich, jak rozmawiają o tym w sieni. A ona wciąż przyglądała mi się i twarz miała całą ułożoną do tego, żeby mnie znów zapytać o ten pożar. Tak więc nie odważyłem się jej pozostawić. I siedzieliśmy tam, w tym saloniku, a ona nie miała już wcale sił i oczy jej się zamykały, a ja opowiadałem jej, jak to znajdę go i przyprowadzę do niej, ale najpierw muszę pójść i pogadać z jednym znajomym duchownym, z którym ją zetknę. A kiedy tak mówiłem, ona siedziała z zamkniętymi oczami i nawet nie wiedziała, że ja wiem, że ona i ten facet nie mają ślubu. Zdawało

93

jej się, że oszukała wszystkich. Zapytała mnie, jaki to jest ten człowiek, któremu chcę o niej opowiedzieć. Powiedziałem jej, ale ona siedziała nieruchomo z

zamkniętymi oczami, więc w końcu powiedziałem do niej: “Nie słyszy pani słowa z tego, co do pani gadam” — a ona, jakby się ocknęła, ale bez otwierania oczu, i powiedziała: “Czy on jeszcze może dawać śluby?”

Hightower nie poruszył się. Siedzi wyprostowany za biurkiem, a ręce jego spoczywają równo na poręczach fotela. Nie ma na sobie kołnierzyka ani marynarki. Jego twarz jest równocześnie wychudła i obwisła, jak gdyby to były dwie nałożone na siebie twarze, wyglądające z bladej, łysej czaszki, otoczonej frędzlą siwiejących włosów, i ukryte za podwójnym, nieruchomym spojrzeniem jego okularów. Ta część jego tułowia, która wynurza się ponad biurkiem, jest bezkształtna, prawie potworna, i posiada miękką otyłość ciała człowieka, spędzającego wiele czasu na siedząco. Siedzi wyprostowany. Spłoszony i pełen zaprzeczenia wyraz jego twarzy stał się teraz zupełnie wyraźny.

— Byronie — mówi — Byronie. A cóż ty mi opowiadasz?

Byron milknie. Spogląda spokojnie na tamtego z wyrazem współczucia i litości.

— Wiedziałem, że pan jeszcze nie słyszał o tym. Wiedziałem, że to ja będę musiał panu powiedzieć. Spoglądają na siebie.

— O czym to jeszcze nie słyszałem?

— O Christmasie. O dniu wczorajszym i o Christma-sie. Christmas jest pół-Murzynem. O nim i o Brownie, i o dniu wczorajszym.

— Pół-Murzynem — mówi Hightower. Jego ton jest

94

pozornie lekki, niedbały i nie posiadający żadnej wagi jak przekwitły puch ostu, wypadający bezdźwięcznie w ciszę. Nie porusza się. Jeszcze przez chwilę się nie porusza. Potem zdaje się rozprzestrzeniać po całym jego ciele to cofanie się i zaprzeczenie, jak gdyby członki jego posiadały ruchliwość rysów twarzy. Byron dostrzega, że nieruchoma, łagodna twarz staje się nagle śliska od potu. Ale ton jego głosu jest nadal lekki i spokojny.

— Więc cóż o Christmasie i o Brownie, i o dniu wczorajszym?

Ustał już dawno dźwięk muzyki w odległym kościele. Teraz w pokoju nie słyhać już nic, poza wytrwałym dzwonieniem owadów i monotonnym dźwiękiem głosu Byrona. Za biurkiem siedzi wyprostowany High-tower. Ze swymi zwisającymi ku dołowi dłońmi i ukrytą pod biurkiem dolną połową ciała wygląda jak wschodni bożek.

— To było wczoraj rano. Jakiś wieśniak jechał z rodziną wozem do miasta. To

on odkrył pożar. Nie: on był drugim, który tam dotarł, bo opowiedział, że kiedy wyłamał drzwi, był tam już jakiś facet w środku. Opowiedział, jak zobaczył ten dom z daleka i powiedział do żony, że to pięknie, żeby dym tak buchał prosto z kuchni, a potem wóz zbliżył się i żona powiedziała: “Ten dom się pali”. I myślę, że wtedy pewnie zatrzymał wóz siedzieli przez chwilę, patrząc na ten dym, a potem on powiedział: “Na to mi wygląda”. I myślę, że to żona kazała mu zejść z wozu, pójść tam i sprawdzić. “Oni nie wiedzą, że się pali — powiedziała chyba. — Idź tam i powiedz im”. Więc on zeszedł z

95

wozu i podszedł do drzwi wejściowych, i stał tam trochę, wrzeszcząc: “Halo, halo!” Opowiedział, że już wtedy słyszał ogień w głębi domu, więc wyważył drzwi ramieniem i wszedł, i znalazł tego, który pierwszy odkrył pożar. Był to Brown. Ale wieśniak nie wiedział, że to Brown. Powiedział tylko, że był to pijany mężczyzna, wyglądający, jakby dopiero co skończył spadać ze schodów. Wieśniak powiedział: “Pański dom się pali, proszę pana”, ale zaraz spostrzegł, jak bardzo ten człowiek jest pijany. I opowiedział, jak to pijany mężczyzna zaczął powtarzać raz po raz, że na piętrze nikogo nie ma i że wszystko tam się już pali, i że nie warto ratować stamtąd czegokolwiek.

Ale wieśniak wiedział, że nie może być wielkiego ognia na górze, bo cały pożar był w tyle domu, w okolicy kuchni. A poza tym, ten mężczyzna był za bardzo pijany, żeby wiedzieć. I opowiedział, że zaczął coś podejrzewać po sposobie, w jaki ten pijany starał się go odwieść od pójścia na piętro. Ruszył na górę, ale pijany starał się go powstrzymać, więc odepchnął go i zaczął wchodzić po schodach. Opowiedział, jak pijany chciał pójść za nim, mówiąc ciągle, że na górze nic nie ma. I opowiedział, że gdy wracając z góry pomyślał o tym pijanym mężczyźnie, zobaczył, że go nie ma już nigdzie. Ale myślę, że musiało minąć trochę czasu, zanim sobie przypomniał Browna, bo kiedy wszedł na górę, zaczął otwierać kolejno wszystkie drzwi, aż wreszcie otworzył te właściwe i znalazł ją.

Urywa. W pokoju słychać tylko owady. Za oknem niezmordowane owady pulsują i uderzają, senne i niezliczone.

— Znalazł ją — mówi Hightower. — To pannę Bur-den znalazł.

96

Nie porusza się. Byron nie patrzy na niego. Mówiąc, zdaje się przyglądać swoim dłoniom leżącym na kolanach.

— Leżała na podłodze. Głowę miała prawie odciętą. Pani z początkami siwizny. Ten człowiek opowiedział o tym, jak stał tam, słyszał ogień i zobaczył w pokoju dym, który jakby przyszedł za nim. I o tym, jak bał się ją podnieść i wynieść stamtąd, bo bał się, żeby jej głowa zupełnie nie odpadła. A potem opowiedział, jak zbiegł ze schodów i wypadł na dwór, nie zwróciwszy nawet uwagi na to, że ten pijany zniknął. A potem pobiegł do żony i kazał jej pognać wóz do najbliższego telefonu i wezwać szeryfa. A potem obiegł dom dookoła, znalazł studnię i już wyciągnął kubełek wody, kiedy zrozumiał, że to głupie, bo już cały tył domu stoi w ogniu. Pobiegł więc z powrotem do domu i po schodach na górę, zerwał kapę z łóżka, zawinął ją w tę kapę, chwycił za oba końce, zarzucił sobie kapę na plecy jak worek mąki, wyniósł z domu i położył pod drzewem. I opowiedział, że stało się to, czego się bał przedtem. Bo kapa się rozwinęła i zobaczył, że ona leży na boku w jedną stronę, a głowę ma odwróconą dokładnie w drugą stronę, jakby patrzyła za siebie. I opowiedział, że chyba gdyby umiała tak robić za życia, to może nie musiałyby tego robić teraz.

Byron urywa i rzuca jedno spojrzenie na człowieka za biurkiem. Hightower nie poruszył się. Jego ukryta za podwójnym błyskiem okularów twarz poci się spokojnie i nieprzerwanie.

— Więc przyjechał szeryf i przyjechała straż ogniowa. Ale nie miała co robić, bo nie było żadnej wody do węża. Więc ten stary dom palił się do wieczora, a ja widziałem dym będąc w tartaku i pokazałem jej ten

97

dym, kiedy nadeszła, bo nie wiedziała wtedy. A oni przywieźli pannę Burden do miasta i znaleźli w banku papier, w którym napisała, co mają z nią zrobić po jej śmierci. W tym papierze było też napisane, że ma bratanka na Północy, z której pochodziła, to znaczy, z której pochodziła jej rodzina. Zatelegrafowali więc do tego bratanka i po dwóch godzinach dostali odpowiedź, że bratanek daje tysiąc dolarów nagrody za schwytanie tego, kto to zrobił.

A Christmas i Brown zniknęli. Szeryf wykrył, że ktoś zamieszkiwał tę chatę, i wtedy wszyscy od razu zaczęli mówić o Christmasie i Brownie, chociaż przedtem trzymali to tak długo w tajemnicy, aż jeden z nich (albo może nawet obaj) zamordował tę panią. Ale nie można było odnaleźć żadnego z nich aż do wczoraj wieczór. Ten wieśniak nie wiedział, że ten pijany w domu to był Brown. Ludzie myśleli, że pewnie on i Christmas uciekli. Aż nagle zeszłego wieczoru Brown zjawił się. Był trzeźwy i przyszedł na placą około ósmej, wrzeszcząc, że to Christmas ją zabił, i

żądając tego tysiąca dolarów. Sprowadzono policjantów, zaprowadzili go do urzędu szeryfa i powiedzieli mu, że nagroda będzie jego, jeżeli schwyta Christmаса i udowodni, że Christmas to zrobił. Więc wtedy Brown powiedział. Powiedział o tym, że Christmas przez trzy lata żył z panną Burden jak mąż z żoną, aż do czasu, kiedy to pokumał się z nim. Powiedział, że kiedy sprowadził się do chaty i zamieszkał z Christmąsem, Christmas powiedział mu, że sypia tu od samego początku. Potem opowiedział, jak to którejś nocy nie mógł usnąć i usłyszał, że Christmas wstaje z łóżka, zatrzymuje się nad jego posłaniem, a potem nasłuchuje przez chwilę, oddala na palcach do drzwi, otwiera

98

je cicho ł wychodzi. I Brown opowiedział, jak wstał, poszedł za Christmąsem, zobaczył go podchodzącego do tylnych drzwi domu i wchodzącego w nie, jakby pozostawiono je specjalnie otwarte dla niego albo jakby miał swój klucz do nich. Wtedy Brown wrócił do chaty i wszedł do łóżka. I opowiedział, jak to leżał w łóżku i nie mógł usnąć ze śmiechu, myśląc, za jakiego cwaniaka uważa się Christmas. Leżał tak, kiedy Christ-mas wrócił. I opowiedział, jak nie mógł już dłużej powstrzymać śmiechu i powiedział do Christmаса: “Ty, stary, taki owaki!” I opowiedział, jak Christmas znieruchomiał w ciemności, a on leżał, śmiejąc się i mówiąc Christmąsowi, że nie jest tak cwany, jak mu się wydaje, i żartując z siwych włosów i z tego, że jeżeli Christmas chce, to on może to robić za niego przez tydzień, żeby odpracować komorne.

Potem opowiedział, że tej nocy zrozumiał, że Christmas prędzej czy później zabije ją albo kogo innego. Powiedział, że leżał, śmiejąc się i myśląc, że Christmas zaraz położy się do łóżka, kiedy Christmas zapalił zapalkę. I opowiedział, że wtedy przestał się śmiać i leżał, przyglądając się Christmąsowi, gdy Christmas zapalał latarnię i stawiał ją na skrzyni obok posłania Browna. Potem Brown opowiedział, że zupełnie przestał się śmiać i leżał, a Christmas stał obok posłania i spoglądał w dół na niego. “Znalazłeś sobie dobry żart — powiada Christmas. — Dużo śmiechu będzie, kiedy opowiesz im to jutro wieczorem u fryzjera”. I Brown opowiedział, że nie wiedział jeszcze, że Christmas jest szalony, więc opowiedział mu coś, ale nie chciał przecież, żeby Christmas się wściekł. A Christmas powiedział, tak spokojnie, po swojemu: “Za mało sypiasz. Za długo nie możesz usnąć. Powinieneś wię-

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

99

cej spać”. A Brown zapytał: “O ile więcej?” A Christmas powiedział: “Może od teraz już bez przerwy”. I Brown opowiedział, że wtedy zrozumiał, że Christmas jest szalony, i że to nie jest czas, żeby z nim żartować, więc powiedział: “Czy nie jesteśmy kolegami? Dlaczego miałbym chcieć opowiadać coś, co mnie nie obchodzi? Czy nie możesz mi zaufać?” A wtedy on spojrział w dół na Browna. “Czy nie możesz mi zaufać?” I Brown powiedział, że on powiedział: “Mogę”.

I opowiedział im o tym, jak się zaczął bać, że Christmas zabije którejś nocy pannę Burden, a szeryf zapytał go, dlaczego nigdy nie doniósł o swoich obawach, a Brown powiedział, że myślał, że nie mówiąc nic nikomu i pozostając tam z nimi może będzie umiał zapobiec wszystkiemu, bez zwracania głowy policji. Na to szeryf jakby chrząknął i powiedział, że to było bardzo roztropne z jego strony, a panna Burden na pewno byłaby mu za to bardzo wdzięczna, gdyby wiedziała. A wtedy, jak sądzę, zaczęło świtać Brownowi, że i on trochę im śmierdzi. Bo zaczął im teraz opowiadać, że to właśnie panna Burden kupiła Christmasowi ten samochód, i o tym, jak próbował wyperswadować Christmasowi, żeby przestał sprzedawać whisky, zanim obaj wpadną w kłopoty; policjanci przyglądali mu się, a on mówił coraz prędzej i prędzej, i coraz więcej i więcej: o tym, jak zbudził się wcześniej w sobotę rano i zobaczył, że Christmas wstaje o świcie i wychodzi. Brown wiedział, gdzie Christmas idzie. Mniej więcej o siódmej Christmas wrócił do chaty i stanął, patrząc na Browna. “Zrobiłem to” — powiada Christmas. “Co zrobiłeś?” — pyta Brown. “Idź do domu i zobacz” — powiada Christmas. I Brown opowiedział, jak bardzo się wtedy przestra-

100

szył, ale że nie podejrzewał jeszcze prawdy nawet wtedy. Powiedział, że przypuszczał, że może Christmas ją po prostu pobił trochę. I opowiedział, że Christmas znowu potem wyszedł, a on wstał i zaczął rozniecać ogień, żeby przyrządzić śniadanie, ale kiedy spojrział przez drzwi, zobaczył, że cała kuchnia stoi w ogniu.

— Która to była godzina? — pyta szeryf.

— Myślę, że koło ósmej — mówi Brown. — Czas, kiedy człowiek wstaje. Chyba że jest bogaty. A Bóg widzi, że ja nie jestem.

— O tym pożarze doniesiono dopiero o jedenastej godzinie — mówi szeryf. — A dom ten palił się jeszcze o trzeciej po południu. Czy chcesz powiedzieć, że stary, drewniany dom, nawet tak duży, potrzebowałby sześciu godzin, żeby się spalić?

Więc Brown siedział tam, patrząc to tu, to tam, a ci faceci przyglądali mu się, stojąc wokół niego i osaczając go.

— Mówię wam tylko prawdę — powiada Brown. — To, o co prosiliście. — Patrzył to tu, to tam i podrzucał głową. A potem zaczął krzyczeć: — Skąd mogę wiedzieć, która to była godzina? Czy wymagacie od człowieka, który haruje w tartaku jak murzyński niewolnik, żeby miał swój zegarek?

— Nie pracowałeś w żadnym tartaku ani nigdzie indziej od sześciu tygodni — powiada szeryf. — A człowiek, którego stać na to, żeby jeździł przez cały dzień nowym samochodem, może sobie pozwolić na to, żeby przejeżdżając tak często obok sądu sprawdzał na zegarze, która godzina.

— To nie był mój samochód, powiedziałem wam już przecież! — powiada Brown. — To był jego samo-

101

chód. Ona go kupiła i dała mu go, ta kobieta, którą zamordował.

— To jest ni w pięć, ni w dziewięć — powiada szeryf. — Dajcie mu opowiedzieć wszystko do końca.

Więc Brown gadał dalej, coraz głośniej i głośniej, prędzej i prędzej, jakby chciał ukryć Joe'ego Browna za tym, co zrobił Christmas, do czasu, aż Brown będzie mógł wynurzyć się i porwać te tysiąc dolarów. To zdumiewające, jak niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że zdobywanie pieniędzy jest taką grą, w której nie obowiązują żadne reguły. Opowiedział, że nawet wtedy, kiedy zobaczył ten ogień, nie przyśniło mu się, że ona mogłaby być jeszcze w domu, a cóż dopiero nieżywa. Powiedział, że nie przyszło mu nawet do głowy, żeby zajrzeć do domu, a tylko starał się wymyślić sposób na ugaszenie pożaru.

— I to było, mniej więcej, o ósmej rano — powiada szeryf. — To znaczy, tak twierdzisz. A żona Hampa Wallera doniosła o tym pożarze dopiero o jedenastej. Zabrało ci to diabelnie wiele czasu, żeby zrozumieć, że nie ugasisz tego pożaru gołymi rękami. y

A Brown siedział pomiędzy nimi (zamknęli drzwi, ale w oknach było pełno twarzy, przyciśniętych do szyb) i patrzył to tu, to tam, a warga unosiła mu się, odsłaniając zęby.

— Hamp mówi, że kiedy wyłamał drzwi, był tam już jakiś człowiek w środku — powiada szeryf. — I że człowiek ten starał się go namówić, żeby nie szedł na piętro.

A on siedział tam pomiędzy nimi i oczy mu biegały i biegały.

Myślę, że był już w tej chwili zrozpaczony. Myślę, że nie tylko widział te tysiąc dolarów oddalające się

coraz bardziej i bardziej, ale że zaczął widzieć kogoś innego, kto je otrzyma. Myślę, że to było tak, jakby widział siebie, trzymającego te tysiąc dolarów w ręce, i kogoś innego, kto je wydaje. Bo opowiedzieli potem, że wyglądało to tak, jakby zachował to, co miał im powiedzieć, właśnie na taką chwilę. Jak gdyby wiedział, że gdy dojdzie do wpadki, wówczas to, co ma za chwilę powiedzieć, uratuje go, nawet gdyby gorzej było białemu człowiekowi przyznać się do tego, niż być oskarżonym o morderstwo.

— To prawda — powiada. — Walcie dalej. Oskarżajcie mnie. Oskarżajcie białego człowieka, próbującego pomóc wam tym, co wie. Oskarżajcie białego człowieka, a Murzyn niech sobie chodzi wolny. Oskarżajcie białego, a Murzyn niech ucieka.

— Murzyn? — powiedział szeryf. — Murzyn?

Pewnie już wiedział wtedy, że ma ich. Jak gdyby nic, co mógł zrobić, nie było dla nich tak złe, jak to, co mógł powiedzieć o tym, co zrobił kto inny.

— Tacy cwani jesteście — powiada. — Ludzie w tym mieście są tacy cwani. Oszukiwani przez lata. Nazywający go przez trzy lata cudzoziemcem, podczas gdy ja przyjrzałem mu się tylko i w trzy dni wiedziałem, że taki z niego cudzoziemiec jak ja. Wiedziałem o tym, zanim mi nawet sam powiedział.

— Radzę ci, żebyś uważał, jeżeli mówisz o białym człowieku — powiada na to nadzorca więzienia. — Wszystko jedno, czy mówisz o mordercy, czy nie.

— Mówię o Christmasie — powiada Brown. — O człowieku, który zamordował białą kobietę, po tym, jak żył z nią przez trzy lata na oczach całego miasta. A wszyscy pozwalacie mu uciekać, coraz dalej i dalej, oskarżając jedynie faceta, który może go wam znaleźć

i wie, że on to zrobił. On ma w sobie krew murzyńską, wiedziałem o tym od razu, jak tylko spojrzałem na niego. Ale wy, ludzie, wy, cwani szeryfowie, nic nie widzieliście. Kiedyś nawet przyznał mi się do tego: powiedział, że jest pół-Murzynem. Może był wtedy pijany. Nie wiem. Ale następnego dnia, po tym, jak mi to powiedział, przyszedł do mnie i powiada (Brown mówił teraz prędko wytrzeszczając na nich oczy i szczerząc zęby, i patrząc od jednego do drugiego) do mnie: “Omyliłem się zeszłej nocy. Nie zrób teraz ty żadnej omyłki”. A ja zapytałem: Jakiej omyłki?” — a on mówi: “Pomyśl chwilkę!” Więc pomyślałem o tym, co zrobił pewnej nocy, kiedy byliśmy

razem w Memphis, i zrozumiałem, że moje życie nie byłoby nic warte, gdybym mu się sprzeciwił, więc powiedziałem: “Myślę, że wiem, co chcesz powiedzieć. Nie będę się wtrącał w nie swoje rzeczy. Nigdy tego jeszcze nie robiłem”. Każdy z was powiedziałby to samo, będąc na moim miejscu — powiada do nich Brown na tym odludziu, sam na sam z nim w tej chacie, a dokoła nikogo, kto by usłyszał wasz krzyk. Bylibyście tak samo przerażeni, a w końcu ludzie, którym chcielibyście pomóc, zwróciliby się przeciw wam i oskarżyli was o morderstwo, któregoście nigdy nie popełnili.

I siedział tam, pomiędzy nimi, a oczy mu biegały i biegały, a oni spoglądali na niego i spoglądały na niego twarze przyciśnięte do okien.

— Murzyn — powiedział nadzorca więzienia. — Zawsze myślałem, że w tym człowieku jest coś dziwnego.

Potem szeryf znowu zagadał do Browna:

— I dlatego aż do dzisiaj nie chciałeś gadać o tym, co się tam stało?

104

105

A Brown siedział pomiędzy nimi z uniesioną wargą i tą małą szramą koło ust, białą jak indiańska kukurydza.

— Pokażcie mi człowieka, który by zrobił inaczej — powiada. — To wszystko, o co proszę. Pokażcie mi człowieka, który by żył obok niego tak długo jak ja i poznał go tak dobrze jak ja, a potem zrobił inaczej.

— Dobrze — powiada szeryf. — Wierzę, że nareszcie powiedziałeś prawdę. Idź teraz z Buckiem i prześpij się, a ja się zajmę Christmasem.

— Myślę, że to oznacza więzienie — powiada Brown. — Myślę, że chcecie mnie zamknąć pod klucz i zabrać sobie nagrodę.

— Zamknij gębę — powiada szeryf, wcale nie rozgniewany. — Jeżeli ta nagroda będzie ci się należała, sam przypilnuję, żebyś ją dostał. Zabiera) go, Buck.

Nadzorca podszedł, dotknął ramienia Browna i Brown wstał. Kiedy wychodzili, ci, którzy patrzyli przez okna, zbiegli się ku nim:

— Czy to ten? Bucku? Czy on to zrobił?

— Nie — powiada Buck. — Idźcie do domu, chłopcy. Idźcie spać teraz.

Głos Byrona cichnie. Jego płaski, pozbawiony akcentów wiejski zaśpiew zamiera w ciszy. Patrzy teraz na Hightowera spojrzeniem współczującym, zakłopotanym i nieruchomym, przyglądając się ponad biurkiem człowiekowi, który

siedzi z zamkniętymi oczami. Pot spływa jak łzy po twarzy Hightowera. Hightower mówi:

— Ale czy to jest pewne, dowiedzione, że on ma w sobie murzyńską krew? Pomyśl, Byronie, co to będzie oznaczać, jeżeli ludzie... jeżeli go złapią. Biedny człowiek. Biedna ludzkość.

— Tyle twierdzi Brown — mówi Byron głosem cichym, upartym, przekonanym. — A nawet kłamca może być tak przerażony, że powie prawdę, tak samo jak uczciwy człowiek może zostać zmuszony do powiedzenia kłamstwa.

— Tak — mówi Hightower. Siedzi z zamkniętymi oczami, wyprostowany. — Ale jeszcze go nie złapali. Jeszcze go nie złapali, Byronie.

Byron też nie patrzy na niego.

— Jeszcze nie. A przynajmniej jeszcze o tym nie słyszałem. Wzięli tam ze sobą dzisiaj psy gończe. Ale nie złapali go jeszcze, o ile wiem.

— A Brown?

— Brown — mówi Byron — poszedł tam z nimi. Może pomagał Christmasowi zrobić to. Ale nie sądzę. Myślę, że podłożenie ognia pod dom to wszystko, na co go stać. A jeżeli nawet to zrobił, to pewnie sam nie wie dlaczego. Może myślał sobie, że jeżeli wszystko się spali, to znów będzie tak, jakby się nigdy nic nie stało, a on i Christmas będą mogli dalej jeździć tym nowym samochodem. Myślę, że uważał to, co zrobił Christmas, nie za zbrodnię, ale za omyłkę. — Jego twarz jest zadumana, spogląda w dół. Raz jeszcze rozcina ją jak gdyby pełne ironii znużenie. Myślę, że jest bezpieczny. — Myślę, że może go ona odnaleźć w każdej chwili, o ile nie wyjdzie akurat z szeryfem i z psami. Nie chce uciekać. Wisi mu przecież nad głową ten tysiąc dolarów. Myślę, że z nich wszystkich on najbardziej chce schwycić Christmasa. Chodzi z nimi. Wypuszczają go z więzienia i zabierają ze sobą, a potem wracają i zamykają go znowu. To dziwne. Jak gdyby morderca chciał złapać sam siebie, żeby dostać za to nagrodę. Zdaje się, że się tym nie przejmuje, z

106

wyjātiem tych chwil, kiedy musi siedzieć pod kluczem i marnuje czas, zamiast tropić. Tak. Powiem jej jutro. Powiem jej, że na razie zajęty jest tropieniem, on i te dwa psy. Może zabiorę ją nawet do miasta, żeby mogła ich zobaczyć: całą trójkę, prowadzoną na smyczach przez innych ludzi, rwącą się, ujadającą.

— Nie powiedziałaś jej jeszcze?

— Nie powiedziałem jej. Ani jemu. Bo może uciec, nie oglądając się na

nagrodę. A jeżeli złapie Christma-sa i dostanie tę nagrodę, to może ożeni się z nią na czas. Ale ona nie wie jeszcze nic więcej, niż wiedziała wczoraj, kiedy zeszła z tego wozu na rynku. Z wzdętym brzuchem, złażąc wolno z tego obcego wozu, pomiędzy obcymi ludźmi i mówiąc do siebie z tym spokojnym zdziwieniem, chociaż nie myślę, żeby było to zdziwienie, bo przecież przyszła tu powoli i pieszo, a mówienie ani razu nie sprawiło jej kłopotu: “No, no, przyszedłam prosto z Alabamy i nareszcie jestem w Jefferson”.

Było już po północy. Christmas nie spał jeszcze, chociaż już od dwóch godzin leżał w łóżku. Usłyszał Browna, zanim go zobaczył. Usłyszał Browna, podchodzącego do drzwi, uderzającego w nie na oślep, i zobaczył jego sylwetkę, prostującą się w drzwiach. Brown oddychał ciężko, stojąc w drzwiach i podtrzymując się z obu stron rękami. Zaczął śpiewać nosowym, przesłodzonym tenorkiem. Sam nawet piskliwy ton jego głosu zdawał się śmierdzieć whisky.

— Zamknij się — powiedział Christmas. Nie poru-

107

szuł się i nie podniósł głosu. Ale Brown umilkł natychmiast. Stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, trzymając się ich, aby ustać prosto. Potem puścił drzwi i Christmas usłyszał go potykającego się w izbie; w chwilę później uderzył o coś. Nastąpiła pauza, wypełniona ciężkim, pracowitym oddechem. Potem Brown upadł na ziemię z wielkim łoskotem, potrącając pryczę, na której leżał Christmas, i wypełniając pokój głupkowatym śmiechem.

Christmas wstał z posłania. Niewidzialny Brown leżał u jego nóg, nie próbując wstać i śmiejąc się.

— Zamknij się! — powiedział Christmas. Brown nie przestał się śmiać. Christmas przeszedł przez Browna i wyciągnął rękę w stronę drewnianej skrzyni, która służyła jako stół. Stała tam latarnia i zapalki. Ale nie mógł namacać zapalek i przypomniał sobie odgłos pękającej latarni w chwili upadku Browna. Stanął okrakiem nad Brownem, pochylił się, znalazł jego kołnierzyk, uniósł głowę Browna i zaczął bić go otwartą dłonią, krótko, okrutnie i twardo, aż wreszcie Brown przestał się śmiać.

Brown zwiotczał. Christmas uniósł jego głowę i zaczął go kląć głosem niskim jak szept. Zaciągnął Browna ku drugiej pryczy i cisnął go na nią na wznak. Brown znowu zaczął się śmiać. Christmas położył lewą dłoń na jego ustach i nosie, przyciskając mu dolną szczękę, a prawą znowu zaczął bić Browna owymi twardymi, powolnymi uderzeniami, odmierzanymi, jak gdyby były odliczane. Brown przestał się

śmiać. Zaczął się szamotać. Szamocząc się, wydawał zdławione, bulgoczące odgłosy. Christmas zaciskał dłoń tak długo, aż Brown przestał się bronić i znieruchomiał. Wtedy Christmas zwolnił nieco dłoń.

108

109

— Czy będziesz teraz cicho? — zapytał. — Czy będziesz cicho?

Brown znowu zaczął się szamotać.

— Zdejmij swoją czarną rękę ze mnie, ty przeklęty Murzynie... — Ręka znowu opadła. Znowu Christmas bił go drugą ręką po twarzy. Brown uspokoił się znowu. Christmas zwolnił nacisk dłoni. Po chwili Brown odezwał się chytrym, cichym głosem:

— Jesteś przecież czarny. Sam to powiedziałeś. Ale ja jestem biały. Jestem bia...

Dłoń zacisnęła się znowu. I znowu Brown zaczął się szamotać, dłoń zwolniła. Teraz leżał cicho i ciężko oddychał.

— Czy teraz będziesz już cicho? — zapytał Christmas. j

— Tak — powiedział Brown. Oddychał głośno. — Daj mi odetchnąć. Będę cicho. Daj mi odetchnąć.

Christmas zwolnił ucisk dłoni, ale nie zdjął jej z twarzy leżącego. Brown zaczął oddychać lżej, jego oddech wchodził i wychodził teraz lżej i ciszej. Ale Christmas nie zabrał dłoni. Stał w ciemności, ponad leżącym bezładnie ciałem, czując na palcach na przemian ciepły i zimny oddech Browna. Myślał spokojnie: Coś się ze mną stanie. Zrobię coś. Nie odrywając lewej dłoni od twarzy Browna, mógł sięgnąć naprzeciw do swej pryczy i wyciągnąć spod poduszki brzytwę o pięć-calowym ostrzu. Ale nie zrobił tego. Być może, myślenie zaszło już tak daleko i tak głęboko, że powiedziało mu: To nie ten. Tak czy inaczej, nie sięgnął po brzytwę. Po pewnym czasie zdjął rękę z twarzy Browna. Ale nie odszedł. Stał nad pryczą, oddychając tak cicho i spokojnie, że sam nie słyszał swego oddechu. Niewidzialny Brown oddychał teraz spokojniej; więc po

pewnym czasie Christmas odwrócił się, usiadł na swojej pryczy i wyciągnął papierosa i zapalki ze spodni, wiszących na ścianie. W blasku zapalki Brown stał się widzialny. Przed przypaleniem papierosa Christmas uniósł zapalkę i spojrzał na Browna. Brown leżał na wznak, bezwładnie, z jedną ręką zwisającą ku ziemi. Usta miał otwarte. W czasie gdy Christmas przyglądał mu się, zaczął chrapać.

Christmas zapalił papierosa i cisnął zapalkę w stronę otwartych drzwi,

przyglądając się znikającemu w powietrzu płomykowi. Potem nasłuchiwał, żeby usłyszeć ów lekki zwykły odgłos, jaki wydaje wypalona zapalka, uderzając o podłogę. A potem wydało mu się, że słyszy ten odgłos. Potem wydało mu się, gdy tak siedział na pryczy w ciemnej izbie, że słyszy niezliczone, niewielkie odgłosy — głosy, szepty, pomrukiwania: drzew, ciemności, ziemi, ludzi; swój własny głos, inne głosy wywołujące imiona, lata i miejsca — z których zdawał sobie sprawę przez całe życie, nie wiedząc o tym, a które były jego życiem, i myślał: Może Bóg jest, a ja tego też nie wiem. Widział to napisane jak drukowaną sentencję, narodzoną i równocześnie zmarłą: Bóg kocha także i mnie, jak wyblakłe i zwietrzałe litery na zeszłorocznej tablicy ogłoszeniowej: Bóg kocha także i mnie.

Wypalił papierosa, nie dotykając go ani razu ręką. Cisnął go w stronę drzwi. W przeciwieństwie do zapalki papieros nie zniknął w powietrzu. Wówczas przyglądał się świecącemu koniuszkowi, który odbił się od podłogi i wyleciał za drzwi. Położył się na wznak na pryczy i założył ręce pod głowę, jak to robią ludzie, którzy nie mają nadziei na usniecie. Myślał: Jestem już w łóżku od dziesiątej i nie usnąłem. Nie

110

111

wiem, która może być godzina, ale jest już po północy, a ja jeszcze nie usnąłem. — To dlatego, że zaczęła modlić się za mnie — powiedział. Powiedział to głośno, niespodziewanym, donośnym głosem, zagłuszającym pijackie chrapanie Browna. — Tak, to dlatego. Dlatego, że zaczęła się modlić za mnie.

Wstał. Jego bosc stopy poruszały się bezszelestnie. Na sąsiedniej pryczy chrapał Brown. Przez chwilę Christmas stał z głową zwróconą w stronę dźwięku. Potem poszedł w kierunku drzwi. Boso i w bieliźnie wyszedł z chaty. Na zewnątrz było trochę jaśniej. Nad głową kołowały powolne konstelacje, gwiazdy, których istnienie uświadamiał sobie od lat trzydziestu, ale z których żadna nie miała dla niego nazwy ani nie różniła się od innych jasnością czy położeniem. Przed sobą widział wystający ze zbitej masy drzew komin i róg dachu domu. Sam dom był niewidzialny w ciemności. Ani jedno światło nie paliło się i żaden głos nie dochodził stamtąd, gdy Christmas podszedł i stanął pod oknem pokoju, w którym spała, myśląc: Jeżeli ona także śpi. Jeżeli ona śpi. Drzwi nie zamykała nigdy, aby mógł o każdej godzinie pomiędzy zmrokiem i świtem wejść do domu i znaleźć pewnie w ciemności drogę prowadzącą do jej łóżka. Zdarzało się, że nie spała wtedy, czekała na niego i

wymawiała jego imię. Zdarzało się też, że budził ją dotykiem swej twardej, brutalnej dłoni, a czasem brał ją twardo i brutalnie, nim zdążyła otrząsnąć się ze snu.

To było przed dwoma laty. Te dwa lata mieli już za sobą, gdy stał teraz myśląc: Może to właśnie jest ta obelga. Może wierzę, że zostałem oszukany, otumaniony. Okłamała mnie nie mówiąc, ile ma lat, nie mówiąc, co się przydarza kobietom w pewnym wieku.

Stojąc samotnie w ciemności, pod ciemnym oknem, powiedział głośno: — Nie powinna była zaczynać tych modłów za mnie. Byłaby w porządku, gdyby nie zaczęła się modlić za mnie. To przecież nie była jej wina, że się zestarzała i nie nadaje się już do niczego. Ale powinna byle mieć więcej rozsądku i nie modlić się za mnie. — Zaczął ją kłąć. Stał pod ciemnym oknem, klnąc ją z powolną i wyrachowaną wymyślnością. Nie patrzył w okno. W mniej niż półmroku zdawał się obserwować swoje ciało, gdy powoli i lubieżnie obracało się ono pośród szeptu pełnego rynsztokowej ohydy jak zatopione zwłoki w głębokiej, gęstej, czarnej sadzawce, wypełnionej czymś więcej niż wodą. Przeciągnął twardymi dłońmi po brzuchu i piersi ukrytej pod jegerowskim kompletem, zapiętym na jeden guzik pod szyją. Kiedyś miał bieliznę, do której były przyszyte wszystkie guziki. Przyszywała je kobieta. Tak było przed pewnym czasem, przez pewien czas. Później ten czas minął. Później porywał swoją bieliznę jak złodziejaszek, zabierając ją zaraz po upraniu, zanim zdążyła do niej dopaść i przyszyć brakujące guziki. Gdy uprzedzała go, starał się pamiętać, które guziki zostały zgubione i ponownie przyszyte. Z zimną krwią i spokojem chirurga odcinał scyzorykiem dopiero co przytwierdzone guziki.

Jego prawa dłoń pobiegła tak pewnie jak ostrze scyzoryka ku guzikowi[^] uderzając szybko i lekko. Poczul oddech ciemnego powietrza, gdy bielizna osuwała się w dół po nogach. Chłodne wargi ciemności, miękki, chłodny język. Poruszywszy się odczuł ciemne powietrze, jak gdyby było wodą. Pod stopami odczuwał rosę tak, jak nigdy jeszcze jej nie odczuwał.

112

113

Minął nadłamaną furtkę i przystanął obok drogi. Sierpniowe chwasty sięgały mu po uda. Na liściach i łodygach leżał pył wozów, które przeszły tędy w ciągu miesiąca.

Biegnąca przed nim droga była nieco jaśniejsza niż ciemność drzew i ziemi. W

jednym kierunku leżało miasto. W drugim droga unosiła się ku wzgórzu. Po pewnym czasie za wzgórzem zaczęło rosnać światło, zaostrezając jego zarys. Christmas usłyszał auto. Nie poruszył się. Stał z rękami na biodrach, zanurzony po uda w pokrytych pyłem chwastach, gdy samochód minął szczyt wzgórza i zaczął się zbliżać, oświetlając go pełnymi światłami. Przyglądał się swemu białemu ciału, wynurzającemu się z ciemności, jak klisza z wywoływacza. Gdy samochód mijał go, spojrzął prosto w reflektory.

— Białe bękarty! — zawołał. — Nie ty pierwsza z tych suk, widzisz... — Ale samochód oddalił się. Nie było nikogo, kto by słyszał, kto by słuchał. Oddalił się zabierając ze sobą swój kurz, swoje światła i cichnący głos białej kobiety. Christmas poczuł chłód. Było to tak, jak gdyby przyszedł tu po to, aby być świadkiem ostateczności. Teraz ostateczność była już poza nim i znów był wolny. Zawrócił ku domowi. Pod ciemnym oknem przystanął, poszukał swojej bielizny, znalazł ją i ubrał się. Nie było już ani jednego guzika, więc wracając do chaty musiał przytrzymywać materiał ręką. Usłyszał chrapanie Browna. Przez chwilę stał w drzwiach, nieruchomy i milczący, wsłuchany w długie, chrapliwe, nierówne westchnienia, kończące się zdławionym rżeniem. “Musiałem mu chyba uszkodzić nos więcej, niż mi się zdawało pomyślał. — Przeklęty skurwysyn”. Wszedł i stanął nad swoją pryczą,

przygotowany do położenia się. Kładł się już, kiedy znieruchomiał, zastygł, na w pół leżąc.

Może myśl o tym, że będzie tu musiał leżeć do świtu z chrapiącym pijanym człowiekiem i miliardem odgłosów naokół, była czymś nie do zniesienia. Usiadł, sięgnął cicho pod posłanie, znalazł buty, wsunął je na nogi i wzięwszy z pryczy połówkę bawełnianego koca, stanowiącą całą jego pościel, wyszedł z chaty. W odległości trzystu kroków stała stajnia. Rozpadała się i nie zagościł w niej już od trzydziestu lat żaden koń, ale właśnie w jej kierunku Christmas poszedł. Szedł szybko. Myślał teraz na głos: — Dlaczego, do diabła, chcę wdychać koński smród? — Potem powiedział, zastanawiając się: — Pewnie dlatego, że to nie kobiety. Nawet klacz jest w jakiś sposób mężczyzną.

Spał niecałe dwie godziny. Kiedy się obudził, świt rozpoczynał się właśnie. Leżał pod jednym kocem na luźno pokrytej deskami podłodze rozpadającego się i mrocznego pomieszczenia, wypełnionego drażniącą, cienką powłoką pyłu po dawno umarłym sianie i nikłą wonią amoniaku, będącego zapachem opuszczonych, starych stajni, mógł widzieć w pozbawionych okiennic oknach wschodniej ściany różowo-

niebieskie niebo i wysoką, bladą gwiazdę zaranną pełnego lata.

Czuł się zupełnie wypoczęty, jak gdyby spał bez przerwy osiem godzin. Był to niespodziewany sen, bo nie przypuszczał, że uśnie. Wsunąwszy znowu nogi w niezasnurowane buty i trzymając koc pod pachą zeszedł po pionowej drabince, macając stopami przegniłe, niewidzialne szczeble i opuszczając się ze szczebla na szczebel chwytami jednej ręki. Wynurzył się w szarożółtą barwę świtu. Przeszedł go ostry dreszcz. Odetchnął głęboko.

114

115

Chata była teraz ostro zarysowana na tle rosnącego wschodu, a wraz z nią i kępa drzew, w której ukryty był cały dom, z wyjątkiem komina. W wysokiej trawie leżała ciężka rosa. Buty przemokły mu natychmiast. Ich stykająca się ze stopami skóra stała się zimna. Żdźbła trawy ocierały się o nogi jak gibkie sople.

Brown przestał chrapać. Wchodząc Christmas zobaczył Browna w świetle, które padało ze wschodniego okna. Oddychał teraz spokojnie. Jest trzeźwy — pomyślał Christmas. — Trzeźwy i nie wie o tym. Biedny bękart”. Spojrzał na Browna. “Biedny bękart. Będzie wściekły, kiedy się obudzi i dowie, że znowu jest trzeźwy. Upicie się od nowa może mu zająć nawet całą godzinę”. Położył koc na pryczy i ubrał się w wełniane spodnie, białą, trochę zabrudzoną koszulę i krawat. Zapalił. Do ściany przybite było stłuczone lustro. W jego fragmencie przyglądał się swojej zamglonej twarzy, zawiązując krawat. Na gwoździu wisiał sztywny kapelusz. Nie zdjął go. Zamiast niego wziął z drugiego gwoźdźcia czapkę, a z podłogi podniósł magazyn, jeden z tych, których okładki przedstawiają albo kobiety w bieliźnie, albo mężczyzn, strzelających właśnie z pistoletu do innych mężczyzn. Spod poduszki wyjął brzytwę, pędzel i kawałek mydła do golenia. Włożył je do kieszeni.

Kiedy wyszedł z chaty, było już zupełnie widno. Ptaki śpiewały pełnym chórem. Tym razem odwrócił się plecami ku domowi. Przeszedł obok stajni i znalazł się na leżącym poza nią pastwisku. Buty i nogawki zaczęły wkrótce ociekać szarą rosą. Przystanął i ostrożnie podwinął nogawki do kolan. Poszedł dalej. Na krańcu pastwiska rozpoczynał się las. Nie było tu tak wiele rosy, więc znowu odwinął nogawki. Po

pewnym czasie znalazł się w małej dolince, z której wypływał strumyk. Położył magazyn na ziemi, zebrał trochę gałązek i suchego poszycia, zapalił ognisko i oparty o drzewo usiadł z nogami wyciągniętymi w stronę żaru. Mokre buty zaczęły parować po

chwili. Uczuł wędrujące w górę ciepło, a potem niespodziewanie otworzył oczy, zobaczył słońce wysoko na niebie i zupełnie wygaszone ognisko. Zrozumiał, że spał. “Niech będę przeklęty, jeżeli nie spałem — pomyślał. Niech będę przeklęty, jeżeli znowu nie spałem”.

Tym razem musiał spać dłużej niż dwie godziny, bo słońce oświetlało już źródło, lśniąc i migocząc na nieustannie ruchliwej wodzie. Wstał, prostując skurczone, zeszywniałe plecy i budząc obolałe mięśnie. Z kieszeni wyjął brzytwę, pędzel i mydło. Klęcząc nad źródłem ogolił się, używając powierzchni wody jako lusterka i ostrząc długą, lśniącą brzytwę na podeszwie buta.

Ukrył magazyn i przyrządy do golenia w kępie krzaków, a potem znowu zawiązał krawat. Odchodząc od źródła, ruszył w kierunku, który oddalał go od domu. Kiedy znalazł się na drodze, był już od domu o więcej niż pół mili. Niedaleko od tego miejsca stał mały sklepik, a przed nim pompa benzynowa. Wszedł do sklepiku, gdzie kobieta sprzedała mu suchary i puszkę konserwowego mięsa. Powrócił do źródła i martwego ogniska.

Śniadanie zjadł siedząc oparty plecami o drzewo i czytając magazyn. Poprzednio przeczytał tylko jedno opowiadanie, teraz rozpoczął od drugiego i przeczytał cały magazyn do końca, jak gdyby to była powieść. Od czasu do czasu odrywał oczy od stronicy i żując spoglądał na prześwietlone słońcem liście, tworzące

116

dach zagłębienia. “A może już to zrobiłem — myślał. — Może zrobienie tego już mnie nie czeka”. Wydawało mu się, że widzi przed sobą żółty dzień, rozpoczynający się spokojnie przed jego oczami, jak korytarz, jak arras utkany w kontrastowych barwach. Wydawało mu się, że gdy siedzi tak, żółty dzień przygląda mu się ociężale jak wyciągnięty wygodnie, senny żółty kot. Potem znowu zaczął czytać. Przewracał stronice równomiernie, ale od czasu do czasu zdawał się zastanawiać nad jedną stroną, jednym wierszem, może nawet jednym słowem. Nie spoglądał w takich chwilach w górę. Nie poruszał się, najwidoczniej powstrzymany i unieruchomiony jednym słowem, które jeszcze może nawet nie dotarło do jego istoty, zawieszony nagle, dzięki zwykłemu zestawowi liter, pośrodku spokojnej i cichej przestrzeni tak, że wisząc nieruchomo i nie wając nic, zdawał się patrzeć na powolne przepływanie czasu pod sobą, myśląc: Chciałem tylko spokoju i niczego więcej, myśląc: “Nie powinna była zacząć modlić się za mnie”.

Kiedy doszedł do ostatniego opowiadania, przestał czytać i przeliczył pozostałe

strony. Potem spojrział na słońce i czytał dalej. Czytał teraz tak, jak człowiek idący po ulicy liczy płyty chodnika — do ostatniej, końcowej strony; do ostatniego, końcowego słowa. Potem wstał, przytknął zapalną do magazynu i poruszał nim cierpliwie, póki nie strawił go ogień. Z przyborami do golenia w kieszeni ruszył wzdłuż rowu.

Po pewnym czasie rów rozszerzył się; miał teraz gładkie, posypane piaskiem dno, leżące między stromymi zboczami, porośniętymi od szczytu do dna zbitym w gąszcz cierniem. W górze nadal krzyżowały się gałęzie drzew, a w małym zagłębieniu pod jedną ze

117

ścian leżała masa zeschniętych cierni, wypełniając je prawie zupełnie. Zaczął odsuwać ciernie na jedną stronę, oczyszczając zagłębienie i odnajdując równocześnie szpadel o krótkiej rękojeści. Szpadlem zaczął kopać w piasku zakrytym dotąd przez ciernie i wykopał kolejno sześć metalowych baniek o zakręcanych pokrywach. Nie odkręcał pokryw. Położył każdą z baniek na boku i poprzebijał je ostrym końcem szpadla. Piasek pod bańkami ściemniał, gdy whisky zaczęła tryskać i wylewać się napełniając słoneczną samotnię i powietrze wonią alkoholu. Opróżnił bańki dokładnie i bez pośpiechu. Twarz miał zupełnie spokojną, prawie jak maska. Kiedy bańki były już puste, wrzucił je na powrót do wykopanej poprzednio dziury, zagrzebał byle jak, rozrzucił nad nimi ciernie i znowu ukrył szpadel. Ciernie zakryły płamę, ale nie mogły ukryć zapachu. Znowu spojrział na słońce. Było już popołudnie.

O siódmej wieczór tego dnia był w mieście, w restauracji, przy jednej z bocznych ulic. Jadł kolację, siedząc na wysokim stołku przy drewnianej, wygładzonej łokciami ladzie.

O dziewiątej stał przed zakładem fryzjerskim i patrzył przez szybę na człowieka, którego zrobił swoim wspólnikiem. Stał zupełnie nieruchomo z rękami w kieszeniach, a dym z papierosa przecinał jego nieruchomą twarz. Czapka tkwiła tak, jak kiedyś sztywny kapelusz: pod kątem równocześnie chełpliwym i groźnym. Tak zimny, tak groźny był, gdy tak stał, że Brown, który siedział w zakładzie, pośród świateł lśniących w powietrzu ciężkim od perfum i zapachu

118

ciepłego mydła, rozgestykulowany, bełkoczący, ubrany w poplamione, czerwono kratkowane spodnie i brudną koszulę, spojrział pośrodku słowa swymi zapalającymi oczami prosto w oczy człowieka stojącego za szybą. Tak zimny i groźny, że murzyński chłopiec, który gwizdząc zamiatał ulicę, przestał gwizdać, zobaczywszy jego

profil, zawrócił na pięcie i prześliznął się poza nim, oglądając się przez ramię. Ale Christmas już odchodził. Było to tak, jak gdyby zatrzymał się tylko po to, żeby Brown mógł na niego spojrzeć.

Powoli ruszył przed siebie, oddalając się od rynku. Ulica, zwykle cicha, teraz była zupełnie bezлюдna. Prowadziła w dół, poprzez dzielnicę murzyńską Freed-man Town, do dworca kolejowego. O siódmej minąłby ludzi białych i czarnych, idących w stronę kina¹ przy rynku. O wpół do dziesiątej będą szli stamtąd do domów. Ale film jeszcze się nie skończył, więc miał całą ulicę dla siebie. Wciąż jeszcze mijał domy białych ludzi. Szedł od latarni do latarni. Ciężkie cienie dębowych i klonowych liści prześlizgiwały się po jego białej koszuli jak skrawki czarnego aksamitu. Nic nie może wyglądać tak samotnie jak wysoki mężczyzna, idący pustą ulicą. Ale chociaż nie był wysoki, wyglądał w jakiś sposób bardziej samotnie niż samotny słup telefoniczny pośrodku pustyni. Na szerokiej, pustej, zaludnionej cieniami ulicy wyglądał jak zjawą, jak duch zabłąkany tu ze swego innego świata i zagubiony.

Potem odnalazł się. Zanim zdał sobie z tego sprawę, ulica zaczęła opadać i znalazł się w Freedman Town, otoczony letnią wonią i letnimi głosami Murzynów, Zdawali się go okrążać jak bezcielesne głosy, mruczące, rozmawiające, śmiejące się w języku, który

ŚWIA

w SIERPNIU

119

nie był jego językiem/ Wydawało mu się, że patrzy z dna głębokiej rozpadliny. Widział siebie, otoczonego zarysami chat, niewyraźnymi i oświetlonymi naftą tak, że nawet lampy uliczne wydawały się rzadziej rozstawione, jak gdyby istotą czarnego oddechu tego czarnego życia były nie tylko głosy, ale poruszające się ciała, a nawet samo światło, które stało się płynne i rozsypało na cząsteczki, będące tylko częścią gęstej nocy, jedynej i niepodzielnej.

Stał teraz zupełnie nieruchomo, oddychając ciężko i rozglądając się. Ponad nim słaby, duszny blask lamp naftowych wynurzał z ciemności czarne zarysy chat. Wszędzie, nawet w nim samym, mówiły cicho bezcielesne, dojrzałe głosy murzyńskich kobiet. Było to tak, jakby całe życie ludzkie wokół niego stało się znów ciemną, gorącą, pierwotną Kobieta. Zaczął biec ku najbliższej latarni, czując przy wdychaniu zimne powietrze na suchych zębach i zaschniętych wargach. Pod lampą była pokryta koleinami polna droga, biegnąca ukosem do równoległej ulicy, która wychodziła z tej

czarnej rozpadliny. Skręcił w nią biegiem i rzucił się ku ostremu podejściu. Serce biło mu jak młotem, gdy znalazł się na leżącej wyżej ulicy. Przystanął tu, oddychając ciężko i błyskając oczyma. Serce biło tak, jak gdyby nadal nie chciało uwierzyć, że powietrze tu jest chłodnym, twardym powietrzem białych ludzi.

Potem i on ochłódł. Zapach Murzynów i głosy Murzynów były poza nim i pod nim. Po lewej leżał rynek: gromada świateł, niskie, jasne ptaki o skrzydłach nieruchomych w drżącym zawieszeniu. W prawo maszerowały naprzód światła latarni ulicznych, odległych od siebie, nie połączonych, o nadgryzionych, obwisłych konarach. Poszedł dalej, znowu powoli, mając

120

plecy zwrócone ku rynkowi i znowu mijając domy białych ludzi. Tu także siedzieli ludzie w przedsionkach i na krzesłach, ustawionych pośród trawników. Ale tu potrafił iść spokojnie. Od czasu do czasu dostrzegał ich: zarysy głów, białe, niewyraźne kształty. Na oświetlonej werandzie siedziało czworo ludzi wokół karcianego stolika. Ich białe twarze były skupione i ostro zarysowane w niskim świetle lampy. Nagie ramiona kobiet lśniły gładko i biało nad bezsensownymi kartami. — “To wszystko, czego chciałem — pomyślał. — Nie wydaje się, żeby to było aż tak wiele”.

Z kolei i ta ulica zaczęła opadać. Ale opadała bezpiecznie. Jego biała koszula i kroczące ciemne nogi zniknęły pośród długich, wypukłych, odcinających się wyraźnie na tle sierpniowych gwiazd ogromnych cieni: magazynu bawełny, poziomego, cylindrycznego zbiornika, podobnego do tułowia ściętego mastodon-ta, szeregu samochodów ciężarowych. Przeciął tory kolejowe. Szyny zbiegły się na chwilę w dwa zielone, bliźniacze błyski wiszącej lampy sygnałowej i znowu rozbiegły. Za torami rozpoczynał się las, lecz Christ-mas odnalazł ścieżkę bez błędzenia. Wspinała się pod górę pomiędzy drzewami, ukazując ponownie światła miasta, widoczne teraz poza doliną, po której dnie biegnęły tory kolejowe. Ale nie obejrzał się, póki nie wszedł na grzbiet wzgórza. Wtedy zobaczył miasto i jego blask. Dostrzegał pojedyncze światła tam, gdzie ulice odbiegały promieniście od rynku. Widział biegnącą w dół ulicę, którą tu szedł, i tę drugą, która nieomal go zdradziła. Jeszcze dalej na prawo był daleki jasny kraniec miasta. A pomiędzy nimi leżała czarna przepaść, z której uciekł z bijącym gwałtownie sercem

121

i zeschniętymi wargami. Żadne światło nie dochodziło stamtąd, żaden oddech, żadna woń. Po prostu leżała tam, czarna, nieprzystępna, otoczona girlandą

sierpniowych światła. Mogłaby być pierwotną czeluścią, otchłanią.

Szedł pewnie, nie zwracając uwagi na drzewa i ciemność. Ani razu nie zeszedł ze ścieżki, której nie mógł nawet dostrzec. Las ciągnął się przez milę. Potem Christmas wyszedł na drogę i poczuł pył pod stopami. Dostrzegał teraz niewyraźny, roztaczający się szeroko widnokrąg. Tu i ówdzie błyskały słabo okna. Ale większość chat była ciemna. Mimo to krew znowu zaczęła mówić szybkimi głosami. Szedł szybko, utrzymując się w jej rytmie. Wydało mu się, że wiedział o grupce Murzynów, zanim zobaczył ich i usłyszał, zanim ukazali się, niewyraźni na tle matowego kurzu. Było ich pięcioro albo sześcioro w jednej wlokącej się grupce, chociaż mógł mgliście rozróżnić, że idą parami. Znowu dopadł go dojrzały szept głosów kobiecych, wyraźniejszy niż szum jego własnej krwi. Ruszył szybko wprost na nich. Zauważyli go i odstępili na jedną stronę drogi. Głosy ucichły. Wtedy i on zmienił kierunek, przechodząc ku nim na drugą stronę, jak gdyby chciał na nich wejść. W jednej chwili, jak gdyby na dany rozkaz, kobiety zniknęły w tyle i zaczęły go obchodzić dając mu szerokie przejście. Jeden z mężczyzn poszedł za nimi, jak gdyby popędzając je przed sobą. Mijając, obejrzał się przez ramię. Dwaj inni mężczyźni przystanęli na drodze na wprost Christmasa. Christmas także się zatrzymał. Żaden z nich nie zdawał się poruszać, ale zbliżyli się jednak, mając niewyraźnie jak dwa pędzone wietrzykiem cienie. Poczł murzyński zapach, zapach taniej tkaniny i potu. Gło-

122

wa wyższego Murzyna zdawała się pochylać ku niemu z nieba: na tle nieba.

— To biały człowiek — powiedział spokojnie, nie odwracając głowy. — Czego chcesz, biały człowieku? Czy szukasz kogoś? — W głosie nie było pogroźki. Nie było też służalczości.

— Chodź tu. Odejdź stamtąd, Jupe — powiedział ten, który ruszył za kobietami.

— Kogo pan szuka, szefie? — zapytał Murzyn.

— Jupe — powiedziała jedna z kobiet trochę za wysokim głosem. — Chodź tu zaraz!

Jeszcze przez chwilę dwie głowy, jasna i ciemna, zdawały się wisieć, unoszone przez ciemność, oddychając jedna w kierunku drugiej. Potem zdawało się, że głowa Murzyna odpływa. Zawiał skądś chłodny wiatr. Christmas odwrócił się powoli i patrzył za nimi, gdy rozpływali się i znikali znowu na tle niewyraźnej drogi. Poczł brzytwę w ręce. Nie była otwarta. To nie ze strachu. — Kurwy! — powiedział głośno. — Skurwysyny!

Powiał ciemny i chłodny wiatr. Nawet pył w butach był chłodny. “Co, do diabła, dzieje się ze mną?” — pomyślał. Włożył brzytwę do kieszeni i zapalił papierosa. Musiał kilka razy zwilżyć wargi, żeby móc go utrzymać. W świetle zapalki zauważył drzenie własnych rąk. “Tyle kłopotów” — pomyślał. — Tyle tych cholernych kłopotów — powiedział głośno i znowu ruszył. Spojrzał na gwiazdy, na niebo. “Musi już być chyba dziesiąta” — pomyślał i prawie równocześnie z tą myślą usłyszał zegar na gmachu sądu, odległym o dwie mile. Nadpłynęło ku niemu dziesięć powolnych, odmierzonych uderzeń. Liczył je, przystanąwszy ponownie na samotnej pustej drodze. “Dziesiąta — po-

123

myślał. — Wczoraj też słyszałem dziesięć uderzeń. I jedenaście. I dwanaście. Ale nie usłyszałem jednego. Może wiatr się zmienił wtedy”.

Tej nocy usłyszał jedenaście uderzeń, siedząc oparty plecami o drzewo, niedaleko rozwalonej furtki. Poza nim dom znów był cichy, ukryty w kosmatej kępie drzew. Nie myślał tej nocy: Może ona także nie śpi. Nie myślał teraz wcale. Myślenie nie rozpoczęło się teraz. Głosy także nie przemówiły teraz. Po prostu siedział nieruchomo do chwili, gdy usłyszał, że odległy o dwie mile zegar wybija dwunastą. Wtedy wstał i ruszył w stronę domu. Nie szedł szybko. Nie myślał nawet: Coś się stanie. Coś się ze mną stanie.

Pamięć wierzy, nim świadomość zdoła sobie przypomnieć. Pamięta dłużej, niż wspomina, dłużej nawet, niż świadomość wątpi. Wie, wierzy, pamięta korytarz w wielkim, długim, bezkształtnym, zimnym, pełnym ech budynku z czerwonej cegły, przyciemnionym sadzą wielu obcych kominów, położonych na nagim, wysypanym żużlem placu, okrążonym przez dymiące fabryki przedmieścia i odgrodzonym dziesięciostopową siatką z kolczastego drutu jak więzienie albo ogród zoologiczny, gdzie wzbijają się przypadkowo zabłąkane ptasie głosiki sierot, ubranych w jednakowe niebieskie mundurki, które pojawiają się i znikają w pieczarze pamięci, ale trwają w świadomości jak ponure mury i ponure okna, z których sadza dymiących przez cały rok kominów spływała jak czarne łzy.

W cichym i pustym korytarzu podczas cichej godzi-

124

ny wczesnego popołudnia był jak cień, niewielki, nawet jak na swoje pięć lat. Roztropny i cichy jak cień. Ktoś, znajdujący się w tym samym korytarzu, nie umiałby nawet powiedzieć, gdzie i kiedy zniknął, w których drzwiach którego pokoju. Ale

nikogo poza nim nie było o tej porze w korytarzu. Wiedział o tym. Robił to już prawie od roku, od dnia, w którym przypadkowo odkrył pastę do zębów, używaną przez kierowniczkę jadalni.

Kiedy już wszedł do pokoju, jego bose, bezgłośnie stopy skierowały się prosto do umywalni. Znalazł tubkę. Przyjrzał się różowej glicie, wijącej się, gładkiej i chłodnej na jego palcu o barwie pergaminu. Usłyszał kroki w korytarzu i głosy tuż pod drzwiami. Może poznał głos kierowniczkę jadalni. Ale nie czekał na to, czy głosy wyminą drzwi, czy nie. Z tubką w ręce, wciąż bezgłośnie jak cień, przebiegł pokój na swych bosych stopach i wśliznął się za zasłonę, oddzielającą jeden z kątów. Tu przykucnął pomiędzy kruchymi pantofelkami i porozwieszanymi strojami kobiecymi. Przycupnąwszy, usłyszał, że kierowniczka i jej towarzysz wchodzi do pokoju.

Kierowniczka była dla niego wciąż jeszcze tylko dodatkiem do ceremonii jedzenia posiłków na drewnianych ławkach, dodatkiem pojawiającym się od czasu do czasu przed jego oczami, ale nie pozostawiającym śladu poza czymś w rodzaju przyjemnego skojarzenia i przyjemnego obrazka — była młoda, trochę za tłusta, gładka, białoróżowa, każąca myśleć o jadalni, każąca ustom myśleć o czymś słodkim i lepkiem do jedzenia, a także o czymś różowym i potajemnym. Odkrył tę pastę do zębów pewnego dnia, gdy poszedł do jej pokoju bez wahania, chociaż nigdy nawet nie

125

słyszał o paście do zębów. Ale wiedział jak gdyby, że znajdzie tam coś takiego, bo ona musi coś takiego posiadać. Znał także głos jej towarzysza. Głos należał do młodego lekarza, internisty z okręgowego szpitala. Lekarz ten był asystentem parafialnego doktora. Lekarz także był osobą znaną w sierocińcu i nie był jeszcze nieprzyjacielem.

Był teraz bezpieczny poza zasłoną. Kiedy odejdą, położy pastę do zębów na poprzednie miejsce i też odejdzie. Więc przycupnął za zasłoną i> nie słuchając, słyszał pełen napięcia szept kobiecy: — Nie! Nie! Nie tu. Nie teraz. Złapią nas. Ktoś wejdzie... Nie, Karolu! Proszę! — Słów mężczyzny w ogóle nie mógł zrozumieć. Głos też był przyciszony. Brzmiał dziko jak głosy wszystkich mężczyzn, których poznał do tej pory. Był jeszcze za młody, żeby uciec ze świata kobiet i uzyskać krótkie wytchnienie, zanim ucieknie do niego z powrotem, aby w nim pozostać do godziny swojej śmierci.

Usłyszał znajome odgłosy: szuranie nogami, przekręcanie klucza w zamku. — Nie, Karol! Karol, proszę! Proszę, Karol! — mówi szeptem głos kobiecy. Usłyszał inne odgłosy, szelesty, szepty, ale nie głosy. Nie słuchał. Czekał, myśląc bez specjalnego

zaciekawienia, że to dziwna godzina, żeby iść do łóżka. Jeszcze raz, spoza cienkiej zasłony dobiegł omdlewający głos kobiety: — Boję się! Prędeży! Prędeży!

Siedział przykucnięty pomiędzy miękkimi ubiorami kobiecymi i bucikami. Dostrzegał, ale już tylko dotykiem, wyciśniętą tubkę pasty do zębów, przedtem cylindryczną. Smakiem, ale nie wzrokiem przyglądał się pilnie chłodnej, niewidzialnej glisty, która skręcała się na jego palcu i rozmażywała samorzutnie i słodko w ustach. Zwykle brał tylko jeden duży łyk, kładł tub-

126

kę na miejsce i wychodził z pokoju. Nawet mając dopiero pięć lat, wiedział, że nie wolno brać więcej. Może bardziej nawet niż lęk przed tym, że ona odkryje brak pasty, zwierzę ukryte w nim ostrzegało go, że się rozchoruje biorąc więcej. Dotykiem odczuwał zmniejszanie się tubki. Zaczął się pocić. Potem zrozumiał, że od pewnego czasu nie robi nic innego, tylko się poci. Nie słyszał już teraz nic. Prawdopodobnie nie usłyszałby, gdyby ktoś wystrzelił z pistoletu tuż za zasłoną. Był skierowany do wewnątrz, zapatrzony w siebie, gdy wyciskał sobie w usta następną glistę pasty, której jednak żołądek już nie chciał. Nie dawała się przełknąć. Nieruchomy, zupełnie zapatrzony w siebie, zdawał się być pochylony nad sobą jak chemik w laboratorium: czekając. Nie musiał długo czekać. Pasta, którą już połknął, uniosła się nagle w górę, starając się wydostać znowu na powietrze, gdzie było chłodno. Nie była już słodka. W gęstej, pachnącej kobietą ciemności za zasłoną kuczał, okryty różową pianą, wsłuchany w swoje wnętrze, oczekujący z pełnym zdziwieniem fatalizmem tego, co musi się z nim stać. Potem stało się. Powiedział do siebie z zupełnym biernym poddaniem: — Tak, odkryto mnie.

Kiedy zasłona odsunęła się, nie spojrział w górę. Gdy ręce wyciągnęły go gwałtownie z jego wymiotów, nie bronił się. Zwisiał jej z rąk, bezwładny, patrząc gapowato i idiotycznie w twarz, która nie była już gładko-różo-wo-biała, ale za to otoczona wzburzonymi, rozczochranymi włosami, których gładkie pasma nasuwały mu kiedyś na myśl cukierki. — Ty mały szurze! — syknął wysoki, cienki głos. — Ty mały szurze! Szpiegowałeś mnie! Ty mały bękarce murzyński!

127

Kierowniczka stołówki miała dwadzieścia siedem lat. Była dostatecznie dojrzała, żeby zaryzykować parę miłosnych awanturek, ale wciąż jeszcze na tyle młoda, żeby przykładać wiele wagi nie tyle do miłości, co do tego, żeby się nie dać złapać na gorącym uczynku. Była także dostatecznie głupia, aby pomyśleć, że

pięcioletnie dziecko może nie tylko wywnioskować prawdę z tego, co usłyszało, ale że będzie chciało to opowiedzieć tak, jakby to mógł zrobić dorosły. Więc skoro podczas następnych dwóch dni wydało jej się, że nie może nigdzie pójść ani nigdzie spojrzeć, żeby nie zobaczyć tego dziecka, przyglądającego się jej wzrokiem pełnym skupionego i głębokiego zapytania, dołączyła mu jeszcze więcej cech dorosłego: uwierzyła, że nie tylko chce opowiedzieć, ale że odwleka zrobienie tego, żeby ją bardziej udręczyć. Ani razu nie przyszło jej do głowy, że to on właśnie uważa się za kogoś schwytanego na przestępstwie, że jest dręczony odraczającą się karą i dlatego nasuwa się jej na oczy, żeby już raz z tym skończyć, otrzymać różgi, zrobić bilans i podkreślić go.

Pod koniec drugiego dnia była już w rozpacz. Nie mogła usnąć. Leżała przez większą część nocy wyprężona z zaciśniętymi zębami i rękami, dysząc z wściekłości, lęku i, co najgorsze, z żalu: z owej ślepej wściekłości, pragnącej cofnąć czas, choćby tylko o godzinę, o sekundę. To wyłączyło w niej nawet miłość na ten okres. Młody lekarz był teraz czymś mniej ważnym nawet niż to dziecko. Był po prostu narzędziem jej zniszczenia i nawet nie zbawienia. Nie umiałyby powiedzieć, którego z nich nienawidzi mocniej. Nie umiałyby nawet stwierdzić, kiedy śpi, a kiedy przebywa na jawie. Bo zawsze, pod powiekami albo na siat-

128

129

kówce oka, widziała tę nieruchomą, poważną, przyglądającą się jej twarz o barwie pergaminu, przed którą nie było ucieczki.

Na trzeci dzień przebudziła się z letargu, ze snu na jawie, ciągnącego się pośród godzin dnia i szpaleru twarzy, pomiędzy którymi niosła swoją własną twarz jak obolałą maskę, ułożoną w trwałą, obłudny grymas, którego nie miała odwagi zmienić. Na trzeci dzień zaczęła działać. Nie miała żadnego kłopotu ze znalezieniem go. Odkryło się to w korytarzu pustym podczas cichej popołudniowej godziny. Był tam, nie zajęty niczym. Może poszedł za nią. Nikt nie umiałby powiedzieć, czy czekał tam na nią, czy nie. Ale odnalazła go tam i nie zdziwiła się, a on usłyszał ją, odwrócił się i zobaczył ją bez zdziwienia. Dwie twarze: jedna już nie gładka i nie białoróżowa, a druga, o roztropnych oczach pozbawionych zupełnie wyrazu, poza wyrazem oczekiwania. “Teraz to się nareszcie skończy” — pomyślał.

— Słuchaj — powiedziała. Potem urwała, patrząc na niego. Było to tak, jak gdyby nie wiedziała, co ma teraz powiedzieć. Dziecko czekało, ciche, nieruchome.

Powoli i stopniowo mięśnie jego grzbietu stawały się płaskie i twarde jak deski. — Czy będziesz to opowiadał? — zapytała.

Nie odpowiedział. Każdy powinien był chyba wiedzieć, że ostatnią rzeczą na świecie, o której by opowiadał, byłaby ta pasta do zębów i te wymioty. Nie patrzył w jej twarz. Patrzył na jej dłonie i czekał. Jedna z tych dłoni była zaciśnięta w kieszeni spodnicy. Przez tkaninę mógł zauważyć, że jest mocno zaciśnięta. Nikt go jeszcze nigdy nie uderzył pięścią. Ale też nigdy jeszcze nie czekał trzy dni na ukaranie. Kiedy zoba-

czył dłoń wynurzającą się z kieszeni, pomyślał, że chce go uderzyć. Ale nie chciała: dłoń rozwarła się. Leżał na niej srebrny dolar. Głos kobiety był cienki, nagły, cichy, chociaż na korytarzu nie było nikogo.

— Możesz dużo za to kupić. To cały dolar. — Nigdy przedtem nie widział dolara, chociaż wiedział, co to jest. Przyjrzał mu się. Chciał go tak, jakby chciał mieć błyszczący kapsel od piwa. Ale nie wierzył, że może go dostać od niej, bo nie dałby go jej, gdyby był jego własnością. Nie wiedział, czego ona chce od niego. Czekał na to, żeby go zbito i żeby mu potem dano spokój. Jej głos mówił dalej, nagły, napięty, szybki:

— Cały dolar. Widzisz? Ile mógłbyś kupić. Mógłbyś dojadać przez cały tydzień. A następnego miesiąca może ci dam jeszcze jeden.

Nie poruszył się ani nie przemówił. Mógłby być rzeźbą albo wielką lalką: mały, nieruchomy, o okrągłej głowie i okrągłych oczach, ubrany w drelichowe spodnie. Był nieruchomy ze zdumienia, zaskoczenia, poczucia krzywdy. Patrząc na dolara zdawał się widzieć szeregi tubek pasty do zębów, nieskończone i przerażające. Jego cała istota wiała się w pełnej, gwałtownej niechęci.

— Nie chcę więcej — powiedział. Już nigdy nie chcę więcej” — pomyślał.

Potem nie odważył się nawet spojrzeć jej w twarz. Czuł ją, słyszał ją, jej głęboki, drżący oddech. Teraz— pomyślał błyskawicznie. Ale nie potrzęsła nim nawet. Trzymała go tylko silnie, nie potrząsając nim, jak gdyby jej ręka także nie wiedziała, co chce zrobić za chwilę. Jej twarz była tak blisko, że czuł jej oddech na policzku. Nie musiał spoglądać w górę, żeby wiedzieć, jak jej twarz teraz wygląda.

9 - Światłość...

130

— Więc powiedz! Powiedz! Ty mały murzyński bękarcie! Ty bękarcie murzyński!

To było trzeciego dnia. Na czwarty dzień oszalała spokojnie i zupełnie. Nie planowała już. Jej kolejne czynności były wynikiem pewnego rodzaju przeczuć, jak gdyby dni i bezsenne noce, podczas których piastowała za spokojną maską swój lęk i swoją wściekłość, przemieniły jej psychikę wraz z jej naturalną kobiecą nieomylnością spontanicznego rozumienia zła.

Była teraz zupełnie spokojna. Nie spieszyła się już nawet, jak gdyby miała czas, żeby rozejrzeć się i zaplanować coś. Jej rozbiegane spojrzenie, jej umysł, jej myśli pobiegły prosto i natychmiast w stronę odźwiernego, siedzącego pod drzwiami kotłowni. Nie było to wyrozumowane ani celowe. Wyjrzała po prostu z siebie na chwilę, jak podróżny wygląda z samochodu, i bez żadnego zaskoczenia zobaczyła tego małego, brudnego człowieka, który siedział na wyplatany krześle w przyciemnionym sadzą przedsionku i czytał przez oprawne w stalowy drut okulary leżącą na kolanach książkę. Był postacią, prawie przedmiotem, o którego istnieniu wiedziała już od pięciu lat, ale na który ani razu nawet nie spojrzała. Nie rozpoznałaby jego twarzy na ulicy. Przeszłaby obok niego, nie poznając go, chociaż był mężczyzną. Życie wydawało jej się teraz proste i jednoznaczne jak korytarz, na którego końcu siedział właśnie on. Podeszła do niego od razu, ruszywszy zaśmieconą ścieżką, zanim zdała sobie sprawę z tego, że się porusza.

Siedział na wyplatany krzeselku w przejściu, trzymając na kolanach otwartą książkę. Zbliżywszy się, zobaczyła, że jest to Biblia. Ale zauważyła to tylko tak, jakby mogła zauważyć muchę na jego nodze. — Pan

131

też go nienawidzi — powiedziała. — Pan też mu się przygląda. Widziałam pana przy tym. Niech pan nie mówi, że tak nie jest. — Spojrzał na nią. Okulary miał teraz uniesione ponad brwiami. Nie był stary. Był niedorzecznością w swoim obecnym zawodzie. Był twardym, dojrzałym mężczyzną, który żył dotąd twardym, czynnym życiem i którego czas, okoliczności albo jeszcze coś innego oszukały, zmiatając czerstwe ciało i umysł czterdziestopięcioletniego człowieka do cichego zaułka odpowiedniego dla sześćdziesięcio- albo sześćdziesięciopięcioletniego starca. — Pan wie — powiedziała. — Pan wiedział jeszcze przedtem, zanim inne dzieci zaczęły go nazywać czarnuchem. Przybył pan tu w tym samym czasie, co'on. Nie pracował pan jeszcze nawet miesiąc, kiedy Karol znalazł go w wieczór wigilijny na tych schodach. Niech mi pan powie. — Twarz odźwiernego była okrągła, trochę obwisła, bardzo brudna, pokryta brudną szczeciną. Jego oczy były bardzo przejryste, bardzo szare,

bardzo zimne. Były także bardzo szalone. Ale kobieta nie zauważyła tego. Albo, może, nie wydały się jej szalone. Spoglądali więc na siebie w zadymionym sadzą przedsionku. Szalone oczy patrzyły w szalone oczy, szalony głos rozmawiał z szalonym głosem, byli spokojni, cisi i zwięzli jak dwoje konspiratorów. — Przyglądałam się panu przez pięć lat. — Wierzyła, że mówi prawdę. — Siedział pan tu zawsze w tym krześle i przyglądał mu się pan. Nigdy pan tu nie siaduje, jeżeli dzieci nie bawią się na podwórzu. Ale jak tylko wyjdą na dwór, wystawia pan to krzesło do przedsionka, siada pan i przygląda się im pan. Przygląda się pan jemu i słyszy pan, jak inne dzieci nazywają go czarnuchem. O to panu właśnie chodzi. Wiem o tym. Po to właśnie pan

132

tu przybył, żeby mu się przyglądać i nienawidzić go. Pan już tu czekał w pogotowiu, kiedy on przybył. Może pan sam go tu przyniósł i położył na tamtym stopniu. Ale tak czy inaczej, pan wie. Jeżeli on powie o tym, wyrzucą mnie. A Karol może... Niech mi pan powie. Niech mi pan zaraz powie.

— Ach — powiedział odźwierny. — Wiedziałem, że znajdzie się on na miejscu, gdy nadejdzie czas, w którym Bóg da znak. Wiedziałem. Wiem, kto go tam postawił, by był oznaką i przekleństwem kurewstwa.

— Tak. Był tuż za zasłoną. Tak blisko, jak pan w tej chwili. A teraz niech mi pan powie. Widziałam już pana oczy, kiedy pan patrzy na niego. Obserwowałam pana przez pięć lat.

— Znam — powiedział. — Znam zło. Czyż nie uczyniłem zła, które powstało później, aby chodzić po bożym świecie? Uczyniłem je plamą chodzącą przed obliczem Boga. Lecz On nie ukrył prawdy w ustach małych dzieci. Słyszałaś je. Nigdy nie kazałem im tak go nazywać, imieniem jego prawdziwego rodzaju, imieniem jego wiekuistego potępienia. Nigdy im nie powiedziałem. Wiedziały. Powiedziano im, ale nie ja im powiedziałem. Czekałem, aż On wybierze najlepszą chwilę, aby odkryć to swej żywej społeczności. Ten czas nadszedł teraz. Oto znak powtórnie nakreślony grzechem niewieścim i kurewstwem.

— Tak. Ale co mam robić? Powiedz mi.

— Czekaj. Jak ja czekałem. Pięć lat czekałem, aby Pan skinął i okazał swą wolę. I uczynił to. Ty też zaczekaj. Gdy będzie gotów, sam okaże swą wolę tym, którzy będą jej wykonawcami.

— Tak. Wykonawcami. — Wpatrywali się w siebie, oboje nieruchomi, oddychający spokojnie.

ŚWIAH.OŚĆ W SIERPNIU

133

— Przełożona. Kiedy Pan Bóg będzie gotów, sam jej to odsłoni.

— Chce pan powiedzieć, 'że kiedy przełożona się dowie, wtedy go odeśle. Tak. Ale ja nie mogę czekać.

— Nie możesz także przynaglać Pana Boga. Czy ja nie czekałem pięć lat?

Zaczęła lekko uderzać dłonią w dłoń.

— Ale czy pan tego nie widzi? Przecież to właśnie może być droga, którą Pan Bóg sobie wybrał. Pan powiedział mnie, bo pan wie. Może to właśnie tę drogę Bóg wybrał. Żeby pan powiedział mnie, a ja przełożonej.

Jej szalone oczy były zupełnie spokojne, jej szalony głos był cierpliwy i spokojny, tylko ręce poruszały się nieustannie i nieznacznie.

— Zaczekasz tak, jak ja zacząłem — powiedział.

— Czulaś ciężar karzącej dłoni Pana przez trzy dni. Ja żyłem pod tym ciężarem przez pięć lat, patrząc i oczekując czasu, który w dobroci swojej mi przeznaczy, bo grzech mój jest większy niż twój. — Chociaż patrzył jej prosto w twarz, zdawał się zupełnie jej nie widzieć, oczy jego nie dostrzegały jej. Wyglądały jak oczy ślepeca, szeroko otwarte, lodowate, fanatyczne.

— W porównaniu z tym, co ja zrobiłem i co wycierpiałem, żeby odpokutować, twój czyn i twoje kobiece cierpienia są tylko garścią marnego pyłu. Zniosłem moje pięć lat, a kim ty chcesz być, by przynaglać Wszechmocnego Boga swymi małymi babskimi paskudztwami?

Natychmiast odwróciła się.

— Tak. Nie musi mi pan o tym mówić. I tak wiem. Przez cały czas wiedziałam, że jest pół-Murzynem. Zawróciła do gmachu. Nie szła szybko. Ziewnęła

134

straszliwie. “Wszystko, co mam teraz do zrobienia, to wymyślić jakiś sposób, żeby przełożona w to uwierzyła. On jej nie powie i nie pomoże mi”. Znowu ziewnęła potężnie. Twarz jej nie zawierała niczego poza ziewaniem, a później nie było w niej nawet ziewania. Pomyślała o czymś innym. Nie pomyślała o tym przedtem, ale zdawało jej się, że myślała o tym przez cały czas, tak słusznym jej się to wydało: nie tylko, że go usuną, ale będzie ukarany za przerażenie i troskę, które jej sprawił. “Wyślą go do murzyńskiego sierocińca — pomyślała. — Oczywiście, będą musieli”.

Nie poszła nawet od razu do przełożonej. Poszła w tamtą stronę, ale zamiast

otworzyć drzwi biura, zobaczyła, że mija je, rusza ku schodom i zaczyna się na nie wspinać. Było to tak, jak gdyby szła za sobą, żeby zobaczyć, gdzie pójdzie. W cichym i pustym obecnie korytarzu znowu ziewnęła, odczuwając zupełne odprężenie. Weszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz, rozebrała się i wsunęła do łóżka. Story były zasunięte. Leżała nieruchomo na wznak, w prawie zupełnej ciemności. Oczy miała zamknięte, a twarz gładką i pustą. Po pewnym czasie zaczęła wolno rozwierać i zwierać nogi, czując gładkie i chłodne prześcieradła, przesuwające się po ciele, a potem czując je znowu: gładkie i ciepłe. Myśli zdawały się zawieszony pomiędzy snem, którego nie zaznała od trzech dni, a snem, którego nie miała zaznać. Ciało jej było otwarte na przyjęcie snu, jak gdyby sen był mężczyzną. “Trzeba tylko, żeby przełożona mi uwierzyła” – pomyślała. A potem pomyślała: Będzie wyglądał zupełnie jak ziarnko grochu w garnku pełnym ziarek kawy.

To było po południu. O dziewiątej wieczór tego dnia rozbierała się ponownie, gdy usłyszała odźwiernego,

135

zbliżającego się ku jej drzwiom. Nie wiedziała, nie mogła nawet wiedzieć, kto nadchodzi, ale jakoś wiedziała, gdy usłyszała równe kroki, a potem- pukanie do drzwi, które zaczęły się otwierać, zanim zdążyła do nich przyskoczyć. Nie krzyknęła. Skoczyła ku drzwiom, opierając się o nie całym ciężarem i naciskając na nie.

— Rozbieram się — powiedziała cienkim, udreńczonym głosem, wiedząc, kto to jest. Nie odpowiedział. Jego ciężar, niewzruszony i nieustępliwy, naciskał na pełną drzwi i rozszerzającą się szparę.

— Nie może pan tu wejść! — zawołała trochę głośniejszym szeptem. — Czy pan nie wie, że oni... — Głos jej był zdyszany, omdlewający i pełen rozpacz. Nie odpowiedział. Starła się powstrzymać powolne cofanie się pełną drzwi. — Niech mi pan da coś na siebie włożyć, to wyjdę tam do pana. Czy może pan to zrobić? — Mówiła omdlewającym szeptem, z pozorną swobodą, oderwanie, jak ktoś mówiący do nieodpowiedzialnego dziecka albo szaleńca; kojąco, przymilnie: — Niech pan teraz zaczeka. Czy pan słyszy? Teraz pan zaczeka. — Nie odpowiedział. Powolne, nieustępliwe pełnięcie drzwi nie ustało. Opierając się o nie i nie mając na sobie nic, prócz majtek, była podobna do kukielki z farsy, przedstawiającej grabież i rozpacz. Napierająca, spoglądająca w dół, nieruchoma, zdawała się zagłębiona w rozmyślanie jak kukielka zagubiona pośrodku odgrywanej sceny. Potem odwróciła się, puściła drzwi, wskoczyła do łóżka i chwytając jakiś kawałek bielizny odwróciła się, żeby

spojrzeć na drzwi, skulona, przyciskająca ten kawałek bielizny do piersi. On wszedł już do jej pokoju. Najwyraźniej przyglądał się jej i czekał podczas przerwy, wywołanej zamieszaniem w łóżku i pośpiechem.

136

137

Nadal ubrany był w kombinezon i miał teraz na głowie kapelusz. Nie zdjął go. I znowu jego szalone, zimne, szare oczy zdawały się nie dostrzegać jej.

— Nawet gdyby Pan we Własnej Osobie wszedł do pokoju którejś z was, pomyślałybyście, że przybywa dla kurewstwa — powiedział. — Czy powiedziałaś jej?

Kobieta usiadła na łóżku. Zdawała się na powrót zatapiać w tamtej sprawie, ścisła w ręce kawałek bielizny, przyglądała się stojącemu, twarz jej pobladła.

— Powiedziałaś jej?

— Co ma zamiar z nim zrobić?

— Zrobić? — Patrzyła na niego, w te jasne, nieruchome oczy, które zdawały się jej nie dostrzegać do tego stopnia, że nawet nie czuła się okryta ich spojrzeniem. Usta miała otwarte jak idiotka.

— Gdzie go chcą posłać? — Nie odpowiedziała. — Nie okłamuj mnie, Pana Boga twego. Wyślą go do takiego dla Murzynów. — Jej usta zamknęły się, jak gdyby wreszcie zrozumiała, o czym mówi. — Tak. Przemyślałem to. Wyślą go do takiego dla murzyńskich dzieci. — Nie odpowiedziała, ale przyglądała mu się teraz nieruchomymi oczami, trochę przestraszonymi, ale knującymi w tajemnicy. Patrzył teraz na nią. Jego oczy zdawały się pomniejszać jej postać i całą istotę.

— Odpowiedz mi, Jezebel! — krzyknął.

— Szszszszszszszszszszszs! — powiedziała. — Tak. Będą musieli. Kiedy odkryją...

— Ach — powiedział. Jego spojrzenie zamgliło się. Oczy wypuściły ją i znowu okryły. Patrząc w nie, widziała się w nich jako coś mniejszego niż nic, żadnego jak zeschnięta gałązka, pływająca po powierzchni sadzawki. Niespodziewanie oczy jego stały się prawie

ludzkie. Zaczął rozglądać się po kobiecym pokoju, jak gdyby nigdy przedtem nie widział nic takiego. Ciasny pokój, ciepły, pełen porozrzucanych rzeczy, pachnący różowo i kobieco.

— Sprośność niewieścia — powiedział — przed obliczem Boga.

Odwrócił się i wyszedł. Po pewnym czasie kobieta wstała. Stała przez pewien czas, gapiąc się na puste drzwi, jak gdyby nie mogła wymyślić tego, co ma zrobić. Potem podbiegła. Skoczyła do drzwi, rzuciła się na nie, zamykając je z trzaskiem i przekręcając klucz. Potem oparła się o nie, oddychając ciężko, ściskając przekręcony klucz w obu rękach.

Odźwierny i dziecko nie zjawili się następnego ranka na śniadaniu. Nie można było odnaleźć żadnego śladu po nich. Natychmiast zawiadomiono policję. Odkryto, że boczne drzwi, do których odźwierny miał klucz, są otwarte.

— To dlatego, że on wie — powiedziała kierowniczka jadalni do przełożonej.

— Wie co?

— Że to dziecko, ten chłopiec Christmas, jest Murzynem.

— Czym? — zapytała przełożona. Szarpnęła się do tyłu, wciskając w krzesło, i wlepiła spojrzenie w młodszą kobietę. — Mu... Nie wierzę! — zawołała. — Nie wierzę w to!

— Nie musi pani w to wierzyć — powiedziała tamta. — Ale on o tym wie. Dlatego go wykradł.

Przełożona była już po pięćdziesiątce, miała obwisłą twarz o słabych, dobrych, zawiedzionych oczach.

— Nie wierzę w to! — powtórzyła. Ale na trzeci dzień posłała po kierowniczkę stołówki. Wyglądała,

138

jak gdyby nie spała od pewnego czasu. W przeciwieństwie do niej kierowniczka stołówki wyglądała zupełnie świeżo i pogodnie. Nie wstrząsnęła nią także wiadomość, że odźwierny i dziecko zostali odnalezieni.

— W Little Rock — powiedziała przełożona. — Starał się oddać dziecko do tamtejszego sierocińca. Wydawało się im, że jest nienormalny, i przytrzymali go do chwili, kiedy przyjechała policja. — Spojrzała na młodszą kobietę. — Powiedziała mi pani... Parę dni temu powiedziała pani... Skąd pani o tym wiedziała?

Kierowniczka stołówki nie odwróciła głowy.

— Nie wiedziałam. Nie miałam o tym pojęcia. Oczywiście, wiedziałam, że inne dzieci nazywają go Murzynem. Ale to nic nie znaczy...

— Murzynem? — powiedziała przełożona. — Inne dzieci?

— Od lat nazywają go Murzynem. Czasami wydaje mi się, że dzieci mają sposoby rozpoznawania niektórych rzeczy, których dorośli ludzie w wieku pani i

moim nie widzą. Dzieci i starzy ludzie jak on, jak ten stary człowiek. Dlatego zawsze siadał pod tamtymi drzwiami, kiedy bawiły się na podwórku. Przyglądał się dziecku. Może usłyszał, że inne dzieci wołają na tego małego: Murzynku. Ale mógł wiedzieć już wcześniej. Może przypomina pani sobie, że przybyli tu mniej więcej w tym samym czasie. Nie przepracował tu nawet miesiąca przed tą nocą, kiedy... pamięta pani przecież to Boże Narodzenie, kiedy Ka..., kiedy znaleźli dziecko przy schodach wejściowych?

Mówiła gładko, przyglądając się zawiedzionym, spłoszonym oczom starszej kobiety, wpatrzonym w nią, jak gdyby nie mogła odwrócić wzroku. Oczy kierowniczkii były łagodne i niewinne.

139

— Więc przed paru dniami rozmawialiśmy i starał mi się coś powiedzieć o tym dziecku. Było to coś, co chciał mi powiedzieć, komuś powiedzieć, ale w końcu pewnie załamał się, bo nie powiedział i rozstaliśmy się. Nie myślałam o tym wcale. Wyszło mi to zupełnie z głowy, kiedy...

Urwała. Wpatrywała się w przełożoną, a na twarzy jej pojawił się nagle wyraz niespodziewanego zrozumienia, jakby coś ją oświeciło. Nikt by nie mógł stwierdzić, czy to symulacja, czy nie.

— Więc to dlatego... Więc to... Ach, teraz rozumiem już wszystko. To się stało na dzień przed ich zaginięciem. Szłam przez korytarz do swojego pokoju. To był ten dzień, kiedy rozmawiałam z nim i nie chciał mi powiedzieć tego, co poprzednio chciał powiedzieć. Ale niespodziewanie wszedł na górę i znalazł się przy mnie. Pomyślałam sobie wtedy, że to śmieszne, bo nigdy jeszcze nie widziałam go wewnątrz gmachu. I powiedział... brzmiało to jak słowa wariata, wyglądał z resztą jak wariat. Złęklam się. Tak się złęklam, że bałam się poruszyć. Zresztą zagradzał sobą korytarz. Powiedział: “Czy pani już jej powiedziała?”, a ja zapytałam: “Powiedziała co? Komu?”, i uświadomiłam sobie, że on ma na myśli panią i to, czy powiedziała pani, że chciał mi coś powiedzieć o tym dziecku. Ale nie mogłam zrozumieć, co on chciał, żeby pani powiedziała. Chciałam zacząć krzyczeć, ale on powiedział: “Co ona robi, kiedy to odkryje?” A ja nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak się uwolnić od niego. A potem on powiedział “Nie musi mi pani rnówić. Wiem co ona robi. Wyśle go do sierocińca dla czarnuchów”.

— Dla Murzynów?

140

— Nie rozumiem, jak to się stało, że tak długo tego nie zauważyliśmy. Niech się pani przyjrzy teraz jego twarzy, oczom i włosom. Oczywiście, to straszne. Ale przypuszczam, że będzie trzeba go tam posłać.

Ukryte za okularami słabe, zatroskane oczy przełożonej miały wygląd udręczony i galaretowaty, jak gdyby chciała je zmusić do czegoś, co przekraczało granicę ich fizycznej wytrzymałości.

— Ale dlaczego chciał zabrać dziecko?

— Jeżeli chce pani wiedzieć, co myślę, to myślę, że on jest szalony. Gdyby mogła go pani zobaczyć na korytarzu, tego wie... tego dnia, jak ja go widziałam. Oczywiście, to źle dla małego, że musi iść do murzyńskiego sierocińca teraz, kiedy już zaczął dorastać między białymi ludźmi. To nie jego wina, że jest tym, czym jest. Ale i nasza wina...

Urwała przyglądając się przełożonej. Poza okularami oczy starszej kobiety były nadal udręczone, słabe, bez nadziei. Usta jej drżały, gdy próbowała przemówić. Jej słowa były także bez nadziei, ale dostatecznie stanowcze i dostatecznie zdecydowane.

— Musimy go umieścić. Musimy go od razu gdzieś umieścić. Jakie mamy zgłoszenia? Proszę mi podać wykaz...

Kiedy chłopiec zbudził się, niesiono go. Było zupełnie ciemno i zimno. Ktoś znosił go w dół po schodach, poruszając się cicho i z bezgraniczną ostrożnością. Wciśnięty pomiędzy jego ciało i jedną z niosących go rąk tkwił miękki tobołeczek, o którym wiedział, że jest jego ubraniem. Nie krzyknął, nie wydał z siebie żadnego głosu. Orientował się, gdzie jest, po zapachu powietrza, które wypełniało tylną klatkę schodową, prowadzącą w dół ku bocznemu wyjściu z

pokoju, gdzie, odkąd sięgała jego pamięć, stało pomiędzy czterdziestoma innymi łózkami jego łóżko. Poznawał, także po zapachu, że niosąca go osoba jest mężczyzną. Ale nie wydał żadnego głosu, leżąc tak nieruchomo i tak swobodnie, jak gdyby był nadal uspiiony. Unosił się wysoko nad ziemią w niewidzialnych ramionach, poruszając się, zniżając powoli ku bocznemu wyjściu, które wychodziło na plac zabaw.

Nie wiedział, kto go niesie. Ale nie przejmował się tym, bo wierzył, że wie, dokąd się udaje. To znaczy, dlaczego. Ale nie przejmował się jeszcze nawet tym, dokąd jest niesiony.

Stało się to przed dwoma laty, kiedy miał trzy lata. Pewnego dnia zabrakło

między nimi dwunastoletniej dziewczynki imieniem Alicja. Lubił ją na tyle, że pozwalał jej sobie trochę matkować. Była dla niego prawie tak dojrzała, tak duża, tak dorosła, jak kobiety, które zarządzały jego posiłkami, myciem i snem. Z tą różnicą, że nie była i nigdy nie będzie jego nieprzyjacielem. Pewnej nocy obudziła go. Żegnała się z nim, ale nie wiedział o tym. Był śpiący i trochę zniecierpliwiony, nie przebudzony zupełnie i znoszący ją, bo zawsze starała się być dobra dla niego. Nie wiedział, że ona płacze, bo nie wiedział, że dorośli płaczą, a do czasu, kiedy dowiedział się o tym, przestała istnieć w jego pamięci. Usnął znowu, kiedy była jeszcze przy nim, a następnego dnia zniknęła. Nie pozostał po niej żaden ślad, nawet nic z ubioru, a łóżko, w którym sypiała, zajęte już było przez nowego chłopca. Nigdy nie dowiedział się, gdzie zniknęła. Tego dnia słuchał, gdy kilka starszych dziewcząt (które pomagały jej przygotować się do odjazdu z tym samym stłumionym sykiem, z jakim sześć młodych dziewcząt pomaga

142

143

siódmej przed ślubem) opowiadało, oddychając wciąż jeszcze gniewnie, o nowej sukience, nowych butach, o pojeździe, który ją uniósł w dal. Zrozumiał wtedy, że odjechała na dobre i że przeszła przez żelazną bramę o żelaznych sztachetach. Wydało mu się wtedy, że dostrzega ją, jak wyrasta na bohaterkę w tej samej chwili, w której zniknęła za zatrzaśniętą bramą, i zmienia się, bez zmniejszenia wymiarów, w coś bezimiennego i wspaniałego jak zachód słońca. Więcej niż rok minął, zanim dowiedział się, że nie była ona pierwszą ani ostatnią, że jeszcze inni, prócz Alicji, znikną za zatrzaśniętą bramą — ubrani w nowe sukienki, nowe spodenki, zabierając ze sobą mały, schludny tobołek, mniejszy czasem niż pudełko na buty.

Myślał, że to właśnie dzieje się z nim teraz. Myślał, że teraz nareszcie dowiaduje się, jak to się działo, że znikali nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Myślał, że wynoszono ich, tak jak jego w tej chwili, pośród głuchoj nocy.

Wyczuwał teraz drzwi. Były już bardzo blisko. Wiedział dokładnie, jak wiele jeszcze pozostaje niewidzialnych stopni, po których musi zejść mężczyzna, niosący go z tak nieskończoną i cichą troskliwością. Na policzku czuł spokojny, szybki, ciepły oddech tego mężczyzny. Pod sobą miał twarde, napięte ramiona, a obok miękkie zawiniątko, o którym wiedział, że zawiera jego ubranie, które zostało zebrane po omacku w ciemności.

Mężczyzna przystanął. Gdy pochylił się, stopy dziecka zwiły i dotknęły podłogi. Palce skuliły się, unikając zimnych jak żelazo desek. Człowiek odezwał się po raz pierwszy.

— Stań — powiedział. I wtedy chłopiec poznał go.

1

Poznał go od razu, bez zdumienia. To przełożona byłaby zdumiona, gdyby wiedziała, jak dobrze zna on tego człowieka. Nie znał jego imienia, a podczas trzech ostatnich lat, odkąd stał się myślącym stworzeniem, nie zamienili ze sobą więcej niż sto słów. Ale mężczyzna ten był bardziej określoną osobą niż ktokolwiek inny w jego życiu, nie wyłączając Alicji. Nawet gdy miało trzy lata, dziecko wiedziało, że istnieje pomiędzy nimi coś takiego, o czym nie należy mówić. Wiedział, że nie może być na placu zabaw nawet przez chwilę, żeby ten człowiek nie zaczął mu się przyglądać ze skupioną i nie padającą uwagą, siedząc na swym krzeselku, ustawionym pod drzwiami kotłowni. Gdyby dziecko było starsze, pomyślałoby może: Nienawidzi mnie i obawia się mnie tak bardzo, że nie może ze mnie spuścić wzroku. Znając więcej słów, ale mając nie więcej lat, mógłby pomyśleć: Dlatego jestem inny niż reszta, bo on mi się ciągle przygląda. Pogodził się z tym. Teraz, gdy dowiedział się, kto zabrał go, śpiącego, i zniósł po schodach w dół, nie był zdumiony. Stojąc przy drzwiach pośród zimna i zupełnej ciemności, podczas gdy mężczyzna pomagał mu ubierać się, myślał być może: Nienawidzi mnie dostatecznie, aby spróbować zapobiec czemuś, co może mi się przydarzyć. Dygocząc ubrał się posłusznie, tak szybko jak umiał. Obaj gmerali w malutkich szatkach, wciągając je jakoś na niego.

— Buty — powiedział mężczyzna najciszej szeptem. — Tu...

Dziecko usiadło na zimnej podłodze, wciągając buty. Mężczyzna nie dotykał go teraz, ale dziecko mogło usłyszeć i wyczuć, że także jest pochylony i czymś zajęty. “On też wkłada swoje buty” — pomyślało.

144

Człowiek dotknął go znowu, szukając po omacku, i postawił go na nogi. Chłopiec nie miał zasnurowanych butów. Nie nauczył się tego jeszcze sam robić. Nie powiedział mężczyźnie, że nie zasnurował ich. Nie wydał żadnego dźwięku. Stał tylko, a potem owinięto go większym kawałkiem ubrania — po zapachu poznał, że należy do mężczyzny — a potem znowu go uniesiono. Drzwi otworzyły się do wewnątrz jak ziejąca czeluść. Wpadło świeże, zimne powietrze, a z nim razem światło ulicznych latarni. Widział te latarnie, gładki mur fabryczny i wysokie nie dymiące

kominy na tle gwiazd. W świetle ulicy żelazne sztachety wyglądały jak parada zagłodzonych żołnierzy. Gdy przecinali pusty plac zabaw, jego zwisające nogi bujały się rytmicznie w miarę kroków mężczyzny. Nie zawiązane buty klapały na kostkach. Dotarli do żelaznej bramy i minęli ją. Nie musieli czekać długo na autobus. Gdyby był starszy, zrozumiałby, jak dobrze mężczyzna obliczył czas. Ale nie zastanawiał się ani nie zauważał. Po prostu stał na rogu, obok mężczyzny, w nie zasznurowanych butach, zawinięty po pięty w marynarkę mężczyzny, mając oczy szeroko otwarte i okrągłe, a małą twarz nieruchomą i przebudzoną. Autobus nadjechał, rząd okien, zatrzymał się ze zgrzytaniem i mrucał, gdy wchodzili. Był prawie pusty, bo minęła już druga. Teraz mężczyzna zauważył nie zasznurowane buty i zasznurował je, a dziecko przyglądało mu się, siedząc na ławce zupełnie nieruchome z nogami wyciągniętymi zupełnie prosto przed siebie. Dworzec był bardzo odległy, a on jechał już przedtem autobusem, więc spał, kiedy zajechali. Kiedy się obudził, był dzień i znajdowali się już od pewnego czasu w pociągu. Nigdy jeszcze nie jechał pociągiem, ale

145

nikt nie umiałby tego poznać po nim. Siedział zupełnie nieruchomo, cały zawinięty w marynarkę mężczyzny, z wyjątkiem wyprostowanych nóg i głowy, przyglądając się krajobrazowi — pagórkom i drzewom, i krowom, i im podobnym widokom — którego nigdy dotąd nie widział. Gdy mężczyzna zauważył, że nie śpi, wyciągnął z gazety jedzenie. Był to chleb z szynką.

— Weź — powiedział mężczyzna. Wziął jedzenie i jadł, wyglądając przez okno.

Nie powiedział ani słowa, nie okazał żadnego zdziwienia, nawet wówczas, gdy na trzeci dzień przyszli policjanci i złapali ich, jego i mężczyznę. Miejsce, w którym się teraz znajdowali, było zupełnie takie samo jak to, które opuścili nocą — te same dzieci o innych imionach, ci sami dorośli o innym zapachu, nie widział żadnego powodu, dla którego nie miałby tu pozostać, tak jak nie widział żadnego powodu, dla którego porzucił poprzednie miejsce. Ale nie był zdumiony, gdy przyszli i znowu powiedzieli mu, żeby wstał i ubrał się, zapominając mu powiedzieć, dlaczego i gdzie ma teraz odjechać. Może wiedział, że powraca, może z dziecięcym jasnowidzeniem wiedział przez cały czas to, czego mężczyzna nie wiedział: że to nie będzie, nie może długo trwać. Znowu w pociągu, zobaczył te same wzgórza, te same drzewa, te same krowy, ale z innej strony, z innego kierunku. Policjant dał mu jeść. Był to chleb z szynką, chociaż nie wyjęty z gazety. Zauważył to, ale nie powiedział nic, może nie pomyślał.

Potem był znowu w domu. Może oczekiwał, że będzie ukarany po powrocie, za

co, za jaką zbrodnię, nie wiedział dokładnie, bo nauczył się już, że chociaż

146

dzieci traktują dorosłych jak dorosłych, dorośli mogą traktować dzieci wyłącznie jak dorosłych. Zapomniał już o tej przygodzie z pastą do zębów. Unikał teraz kierowniczkę jadalni w tym samym stopniu, w jakim starał się przed miesiącem wchodzić jej w drogę. Był tak zajęty unikaniem jej, że już od dawna zapomniał powodu, dla którego to robi. Wkrótce zapomniał także i o podróży, bo nigdy nie miał się dowiedzieć, że coś łączyło te dwie sprawy. Od czasu do czasu myślał o tym mgliście i nieokreślenie. Ale działało się to tylko wtedy, kiedy spoglądał w stronę drzwi kotłowni i przypominał sobie człowieka, który siadywał tam i przyglądał mu się, a teraz zniknął zupełnie i, jak wszyscy, którzy stąd odjeżdżali, nie pozostawił żadnego śladu, nawet wyplatanego krzesła w przejściu. Gdzie mógł zniknąć, nad tym dziecko nie zastanawiało się ani nie myślało o tym.

Pewnego wieczora przyszli do klasy i zabrali go. Było to na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Dwie młode kobiety — kierowniczkę jadalni nie było pomiędzy nimi — zabrały go do łazienki, umyły, uczesały jego wilgotne włosy, ubrały go w czyste spodniki i zaprowadziły do gabinetu przełożonej. W gabinecie siedział obcy mężczyzna. Chłopiec spojrział na mężczyznę i wiedział już, zanim przełożona zdążyła powiedzieć. Może to była świadomość pamięci, świadomość zaczynająca pamiętać. Może nawet pragnienie, bo przecież pięć lat to za mało, żeby zrozumieć dość rozpacz, aby mieć nadzieję. Może przypominał sobie nagle jazdę pociągiem i jedzenie, bo przecież pamięć nie sięgała o wiele głębiej niż do tego miejsca.

—Józefie — powiedziała przełożona — czy chciałbyś odjechać i zamieszkać z miłymi ludźmi na wsi?

147

Stał z uszami i twarzą płonącymi od szorstkiego mydła i szorstkiego wycierania ręcznikiem, w nowych spodniach, słuchając obcego. Spojrział raz i zobaczył ciężkiego mężczyznę z gęstą brunatną brodą i włosami obciętymi krótko, chociaż już dość dawno. Włosy i broda były twarde i żywotne, nie posiwiałe, jak gdyby zmiany, które zaznaczyły się w rysach twarzy, nie były powiązane ze zmianą barwnika. Oczy miał jasne i zimne. Na jego kolanie spoczywał czarny kapelusz, trzymany w szerokiej, czystej dłoni, zamkniętej — nawet na miękkim filcu kapelusza — w pięść. Jego grube, czarne buty, spoczywające równo obok siebie, zostały oczyszczone. Nawet pięcioletnie dziecko wiedziało, patrząc na niego, że nie używał tytoniu i nie znosił go u innych. Ale

chłopiec nie patrzył na mężczyznę z powodu jego oczu.

Czuł za to, że mężczyzna przygląda mu się spojrzeniem zimnym, rozważnym, ale nie umyślnie szorstkim. Było to spojrzenie podobne do tego, jakim mógłby lustrować konia albo używany pług, spojrzenie przeświadczone z góry, że dostrzeże skazy, przeświadczone z góry, że kupi. Słowa jego były pełne rozwagi, krótkie, ciężkie słowa człowieka, "który wymagał, aby go słuchano nie tyle z uwagą, ile w milczeniu.

— Więc pani nie może albo nie chce mi powiedzieć nic więcej o jego pochodzeniu.

Przełożona nie patrzyła na niego. Za okularami jej oczy stały się galaretowate przynajmniej w tej chwili. Odpowiedziała natychmiast, może trochę zanadto natychmiast:

— Nie robimy żadnych wysiłków, aby ustalić ich pochodzenie. Jak już panu powiedziałam, pozosta-

148

wiono go u naszych drzwi w wieczór wigilijny. Za dwa tygodnie minie pięć lat. Jeżeli pochodzenie dziecka jest dla pana ważne, to niech pan lepiej nie adoptuje żadnego.

— Nie miałbym ściśle tego na myśli — odpowiedział obcy. Jego głos był teraz trochę łagodniejszy. Zdołał natychmiast przeprosić, nie cofając się ani o jotę ze swego przeświadczenia. — Myślałem o tym, aby porozmawiać z panną Atkins (było to nazwisko kierowniczkii jadalni), ponieważ to z nią właśnie korespondowałem.

Raz jeszcze głos przełożonej stał się chłodny i zabrzmiał natychmiast, nieomal przed ucichnięciem jego głosu.

— Myślę, że mogę podać panu tyle samo informacji o tym czy którymkolwiek z naszych dzieci, co panna Atkins, zważywszy w dodatku, że jej praca tutaj związana jest wyłącznie z kuchnią i jadalnią. Zdarzyło się po prostu, że w tym wypadku była na tyle uprzejma, aby występować jako sekretarka w naszej korespondencji z panem.

— To nieważne — powiedział obcy. — To nieważne. Myślałem tylko...

— Myślał pan co? Nie zmuszamy nikogo do zabierania naszych dzieci ani nie zmuszamy dzieci, aby odchodziły wbrew swemu pragnieniu, jeżeli mają po temu rozsądne powody. Jest to sprawa, którą obie strony muszą załatwić pomiędzy sobą. My tylko doradzamy.

— Tak — powiedział obcy. — To nieważne, jak powiedziałem pani przed chwilą. Jestem przekonany, że ten kundelek się nada. Znajdzie dobry dom u pani McEachern

i u mnie. Nie jesteśmy już młodzi i lubimy spokojne życie. I nie znajdzie żadnych łakoci ani leni-

149

stwa. Ani więcej pracy, niż to będzie pożyteczne dla niego. Nie wątpię, że na przekór swemu pochodzeniu wyrośnie w bojaźń bożej i nienawiści do lenistwa i próżności.

I tak weksel, który podpisał tubką pasty do zębów w to popołudnie przed dwoma miesiącami, został zapłacony. Nie pamiętający jeszcze niczego płatnik, zawinięty w czystą końską derkę, mały, bezkształtny i nieruchomy, siedział na ławce lekkiej bryczki, trzęsącej się poprzez grudniowy półmrok po zamarznętej koleinie bocznej dróżki. Jechali przez cały ten dzień. W południe mężczyzna, nakarmił go, wyjąwszy spod siedzenia pudełko, które zawierało wiejskie jedzenie, ugotowane przed trzema dniami. Ale dopiero teraz odezwał się do niego. Powiedział jedno słowo i urękawiczni-oną pięścią, w której zaciskał bat, wskazał pojedyncze światło, które lśniło w mroku na krańcu drogi.

— Dom — powiedział. Dziecko nic nie odpowiedziało. Mężczyzna spojrział w dół ku niemu. Był także dobrze zawinięty ze względu na mróz, skupiony, bezkształtny i w jakiś sposób podobny do głazu, nie tyle nieprzyjazny, ile niemiłosierny. — Powiedziałem, że to twój dom. — Dziecko nadal nie odpowiadało. Nie widziało nigdy domu, więc nie miało o nim nic do powiedzenia. A nie było jeszcze na tyle dorosłe, aby mówić, nie mówiąc niczego równocześnie. — Znajdziesz tu jadło, dach nad głową, chrześcijańską opiekę — powiedział mężczyzna — i pracę w miarę twych sił, która ustrzeże cię od występku. Bo wkrótce nauczę cię, że dwoma obrzydliwościami są: gnuśność i próżniacze myślenie, a dwiema cnotami: praca i bo-jaźń boża.

Dziecko nadal nic nie mówiło. Nigdy jeszcze nie

150

pracowało, a nie obawiało się Boga. Wiedziało mniej o Bogu niż o pracy. Widziało pracę w osobach ludzi z grabiami i szpadlami, poruszających się przez sześć dni w tygodniu po placu zabaw, ale Bóg zdarzał się tylko w niedzielę. A wówczas — poza towarzyszącym mu zjawiskiem czystości — był tylko przyjemną dla ucha muzyką i słowami, które nie kłopotwały ucha w ogóle — w sumie przyjemność, nawet jeśli trochę nużąca. Nie odpowiedział nic. Bryczka trzęsła się. Tłusta, dobrze utrzymana para koni zmierzała gorliwie ku domowi, ku stajni.

I był jeszcze jeden obraz, który miał zapamiętać dopiero później, gdy pamięć

nie przyjmowała już dłużej jego oblicza, nie przyjmowała już powierzchni obrazów zapamiętanych. Byli w biurze przełożonej: on, stojący nieruchomo, nie spoglądający obcemu w oczy, których spojrzenie czuł na sobie, czekający, aby obcy powiedział to, co myślały te jego oczy. Potem to nadeszło.

— Christmas. Bezbożne nazwisko. Błuznierstwo. Zmienię to.

— Będzie pan miał do tego oficjalne prawo — po-, wiedziała przełożona. — Nie interesuje nas, jak się ich nazywa, ale jak się z nimi postępuje.

Ale obcy tak samo nie słuchał nikogo, jak nie mówił do kogokolwiek.

— Od tej chwili jego nazwisko będzie brzmiało McEachern.

— Będzie rzeczą właściwą — powiedziała przełożona — gdy da mu pan swoje nazwisko.

— Będzie jadł mój chleb i wyznawał moją wiarę — powiedział obcy. — Dlaczegoż by nie miał nosić mego nazwiska?

151

Dziecko nie słuchało. Nie obchodziło go to. Nie zwracało na to uwagi więcej, niż gdyby ten człowiek mówił, że dzień jest gorący, gdy nie był gorący. Nie chciało mu się nawet powiedzieć do siebie: Moje nazwisko nie jest McEachern. Moje nazwisko jest Christmas. Nie było potrzeby przejmować się tym jeszcze. Miał jeszcze wiele czasu.

— Rzeczywiście, dlaczegoż by nie? — powiedziała przełożona.

7

Pamięć wie o tym. Po dwudziestu latach pamięć nadal wierzy: Tego dnia stałem się mężczyzną.

Schludny, spartański pokój pachniał niedzielą. W oknach lekko powiewały czyste, pocerowane firanki, poruszane wietrzykiem, który niósł zapach przeoranej ziemi i dzikiej jabłoni. Na-pokrytym żółtą imitacją dębu melodeonie, o pedałach wyściełanych kawałkami postrzępionego, przetartego dywanu, stała misa na owoce, a w niej niebieskie polne kwiaty. Chłopiec siedział w krześle przy stole, na którym stała niklowana lampa i ogromna Biblia o mosiężnych klamrach, mosiężnych zawiasach i mosiężnym zamku. Miał na sobie czystą białą koszulę pozbawioną kołnierzyka. Jego spodnie były ciemne, szorstkie i nowe. Jego buty zostały oczyszczone niedawno i nieporządnie, tak jak to mógł zrobić ośmioletni chłopiec. Miały wąskie matowe pasma tu i ówdzie, głównie w okolicy obcasów, gdzie nie dotarła pasta. Na stole, naprzeciw niego, leżał otwarty katechizm prezbiteriański.

McEachern stał obok stołu. Miał na sobie czystą

152

wykrochmaloną koszulę i tę same czarne spodnie, w których chłopiec widział go po raz pierwszy. Jego włosy, wilgotne i nadal nie posiwiałe, były zaczesane gładko i sztywno wokół okrągłej czaszki. Broda była także zaczesana, i także jeszcze wilgotna.

— Nie próbowałeś się nauczyć — powiedział. Chłopiec nie spojrział w górę. Nie poruszył się. Ale twarz mężczyzny nie była bardziej podobna do skały.

— Próbowałem.

— Więc spróbuj jeszcze raz. Dam ci jeszcze godzinę.

McEachern wyjął z kieszeni masywny, srebrny zegarek i położył go na stole tarczą w górę, a potem przysunął sobie drugie krzesło i usiadł, kładąc swe czyste, wyszorowane dłonie na kolanach, a ciężkie, oczyszczone buty opierając równo, jeden obok drugiego. Nie było na nich żadnych pasm bez połysku. Co prawda pasma te znajdowały się tam jeszcze wczoraj wieczorem w porze kolacyjnej. Później, rozebrany już, chłopiec otrzymał chłostę i oczyścił je raz jeszcze. Chłopiec siedział przy stole. Jego głowa była pochylona, nieruchoma, bez wyrazu. Do ponurego, czystego pokoju wpadały podmuchy przesyconego wiosną powietrza.

Działo się to o dziewiątej. Byli tam już od ósmej. Kościoły znajdowały się niedaleko, ale kościół prezbi-teriański był odległy o pięć mil. Dojechanie tam zajmowało godzinę. O wpół do dziesiątej weszła pani McEachern. Była czarno ubrana i nosiła czepek — mała, trochę zgarbiona kobieta, wchodząca pokornie z zagonioną twarzą. Wyglądała o piętnaście lat starzej niż surowy, żywotny mąż. Stała w drzwiach i stała tam przez chwilę w swym czepku i czarnej, wypłowiałej, chociaż często czyszczonej sukni, trzymając parasolkę i wachlarz z liści palmowych. Miała w

153

oczach coś dziwnego, jak gdyby wszystko, cokolwiek zobaczyła albo usłyszała, odbywało się za pośrednictwem ciała albo głosu mężczyzny, a ona była tylko czymś pośrednim, gdy żywotny i bezlitosny mąż był władzą. Być może usłyszał ją. Ale nie spojrział ani nie przemówił. Odwróciła się i odeszła.

Dokładnie z nadejściem godziny McEachern uniósł głowę.

— Czy umiesz to teraz? — zapytał. Chłopiec nie poruszył się.

— Nie.

McEachern wstał rozważnie, bez pośpiechu. Podniósł zegarek, zamknął go i włożył na powrót do kieszeni, przeciągając ponownie łańcuszek przez kara-bińczyk.

— Chodź — powiedział. Nie obejrzał się. Chłopiec ruszył za nim, wzdłuż przedpokoju, ku tyłowi domu. On także szedł wyprostowany, milcząc z uniesioną głową. Było w ich grzbietach pokrewieństwo uporu, jakby odziedziczone podobieństwo. Pani McEachern była w kuchni. Nadal miała na sobie kapelusz, nadal trzymała parasolkę i wachlarz. Patrzyła na drzwi, gdy mijali je.

— Ojczulku — powiedziała. Żaden z nich nie obejrzał się nawet ku niej. Jak gdyby nie usłyszeli jej w ogóle, jak gdyby w ogóle nie odezwała się. Poszli dalej, jeden za drugim, dwa grzbiety w sztywnym zaprzeczeniu wszelkiego kompromisu, bardziej podobne, niż mogłyby tego dokonać prawdziwe więzy krwi. Przeszli podwórko w tył domu, znaleźli się przed stajnią i weszli. McEachern otworzył drzwi komórki i odsunął się. Chłopiec wszedł do komórki. McEachern zdjął ze ściany rzemień od uprzęży. Rzemień był nie

154

nowy i nie stary, jak buty McEacherna. Był czysty jak buty i wydzielał tę samą woń, co mężczyzna: woń czystej, twardej, męskiej, żywej skóry. McEachern spojrzał w dół ku chłopcu.

— Gdzie jest książka?

Chłopiec stał przed nim, nieruchomy, twarz miał spokojną i trochę bladą pod gładką, pergaminową skórą.

— Czy nie przyniosłeś jej? — zapytał McEachern. — Wróc po nią i przynieś ją tu.

Jego głos nie był nieprzyjazny. Nie był w ogóle ludzki, osobisty. Był tylko zimny, niewzruszony jak napisane albo drukowane słowa. Chłopiec zawrócił i wyszedł.

Gdy dotarł do domu, pani McEachern była w przedpokoju.

— Joe — powiedziała. Nie odpowiedział. Nie spojrzał nawet na nią, na jej twarz, na sztywny ruch jednej ręki, na wpół uniesionej w karykaturze najmieszego ruchu, jaki ludzka ręka może uczynić. Przeszedł sztywno obok niej, mając twarz surową, z dumy może, a może z rozpacz. A może była to próżność, głupia męska próżność. Wziął ze stołu katechizm i wrócił do stajni.

McEachern czekał, trzymając rzemień.

— Połóż ją — powiedział. Chłopiec położył książkę na podłodze. — Nie tam — powiedział McEachern bez gniewu. — Uwierzyłbyś, że stajenna podłoga, miejsce stąpania bydła, jest odpowiednim miejscem dla położenia słowa bożego. Ale i tego cię

nauczę. — Sam uniósł książkę i położył ją na wystającej belce. — Opuść spodnie. Nie będziemy ich brudzić.

Więc chłopiec stanął ze spodniami opuszczonymi na

155

kostki, ukazując nogi pod krótką koszulą. Stał drobny i wyprostowany. Gdy rzemień opadł, nie drgnął, żaden skurcz nie przebiegł po jego twarzy. Patrzył prosto przed siebie w zamyśleniu, ze spokojnym wyrazem twarzy mnicha na obrazie. McEachern zaczął uderzać metodycznie z powolną i rozważną siłą, nadal bez gniewu i bez rozgorączkowania. Trudno byłoby powiedzieć, która z tych twarzy była bardziej zamyślona, spokojniejsza, bardziej pełna przekonania. Uderzył dziesięć razy i przestał.

— Weź książkę — powiedział. — Spodnie pozostaw tak, jak są. — Podał chłopcu katechizm. Chłopiec wziął katechizm. Uniósłszy twarz i broszurę, stał teraz wyprostowany, w postawie pełnej zapamiętania. Gdyby nie brak komży, mógłby być katolickim chłopcem z chóru, mającym za nawę majaczącą w mroku, cienistą komórkę, a za sobą — ścianę, zbitą z nie heblowanych desek, za którą w mroku napelnionym wonią amoniaku i suszy bydło poruszało się od czasu do czasu z chrząka-niem i ospałymi głuchymi odgłosami. McEachern usiadł sztywno na pokrywie skrzyni z sieczką, szeroko rozstawiwszy kolana. Jedną rękę miał opartą na kolanie, a srebrny zegarek trzymał w drugiej. Jego czysta, brodata twarz była twarda jak kamienna rzeźba, oczy bezlitosne, zimne, ale nie nieprzyjazne.

Pozostali tak przez następną, godzinę. Zanim minęła, pani McEachern ukazała się w tylnych drzwiach domu. Ale nie odezwała się. Stała tam tylko, patrząc na stajnię — w kapeluszu, z parasolką i wachlarzem. Potem weszła z powrotem do domu.

Dokładnie, co do sekundy, po minięciu godziny McEachern znowu włożył zegarek do kieszeni.

— Czy umiesz to teraz? — powiedział.

156

Chłopiec nie odpowiedział, sztywny, wyprostowany, trzymający otwartą broszurę przed oczyma. Mc-Eachern wyjął mu książkę z rąk. Chłopiec nie poruszył się.

— Powtórz swój katechizm — powiedział Mc-Eachern. Chłopiec patrzył prosto w ścianę przed sobą. Jego twarz była teraz zupełnie biała, mimo że blada skóra była gładka i żywa. Ostrożnie i rozważnie Mc-Eachern położył książkę na wystającej desce i

wziął ramię. Uderzył dziesięć razy. Kiedy skończył, chłopiec stał jeszcze przez chwilę nieruchomo. Nie jadł jeszcze śniadania. Żaden z nich nie jadł jeszcze śniadania. Zachwiał się i byłby upadł, gdyby mężczyzna nie pochwycił go za ramię i nie podtrzymał.

— Chodź — powiedział McEachern, starając się go podprowadzić do skrzyni z paszą. — Siadaj tu.

— Nie — powiedział chłopiec. Jego ramię zaczęło szarpać się w uścisku mężczyzny.

— Czy dobrze się czujesz? Czy jest ci słabo?

— Nie — powiedział chłopiec. Głos mu omdlewał, a twarz była zupełnie biała.

— Weź książkę — powiedział McEachern, wkładając ją chłopcu do rąk. Przez okno komórki można było dostrzec panią McEachern, wynurzającą się z domu. Miała teraz na sobie wyblakłą chustę i czepek, a w ręce dźwigała cedrowe wiadro. Nie patrząc w stronę komórki, przeszła obok okna i zniknęła. Po pewnym czasie powolny skrzyp studziennego żurawia dobiegł do nich, nadchodząc spokojnie i zdumiewająco w świątecznym powietrzu. Potem pani McEachern znów ukazała się w oknie, pochylając ciało dla zrównoważenia trzymanego w ręce wiadra. Weszła do domu, nie spojrzawszy w stronę stajni.

157

Punktualnie po minięciu godziny McEachern raz jeszcze uniósł spojrzenie znad zegarka.

— Czy nauczyłeś się? — zapytał. Chłopiec nie odpowiedział, nie poruszył się. Kiedy McEachern podszedł, zauważył, że chłopiec nie patrzy na stronicę, a jego oczy są nieruchome i zupełnie bez wyrazu. Gdy położył rękę na książce, zauważył, że chłopiec trzyma się jej, jak gdyby była sznurem albo słupem. Gdy McEachern wyjął mu siłą książkę z rąk, chłopiec upadł prosto, nie zginając się, i nie poruszył się już.

Gdy oprzytomniał, było późne popołudnie. Leżał w swoim łóżku w pokoiku na niskim poddaszu. Pokój był cichy i wypełniał się już mrokiem. Czuł się zupełnie dobrze i leżał przez pewien czas, patrząc spokojnie w górę na skośny sufit ponad głową, póki nie spostrzegł, że ktoś siedzi obok łóżka. Był to McEachern. On także miał na sobie w tej chwili swoje codzienne ubranie — nie drelich, w którym szedł co dnia w pole, ale wyblakłą, czystą koszulę bez kołnierzyka i wyblakłe, czyste spodnie koloru khaki.

— Przebudziłeś się — powiedział. Jego ręka wysunęła się i odrzuciła koldrę. —

Chodź — powiedział. Chłopiec nie poruszył się.

— Czy będzie mnie pan znowu bił?

— Chodź — powiedział McEachern. — Wstawaj.

Chłopiec wstał z łóżka, chudy, w źle dopasowanej bawełnianej bieliźnie. McEachern także się poruszył, ciężko, niezgrabnie, jak gdyby wprawianie w ruch tego grubo umięśnionego ciała kosztowało go ogromnie wiele wysiłku. Przyglądając się z dziecinnym, pozbawionym zdziwienia zainteresowaniem, chłopiec zobaczył, że mężczyzna klęka powoli i ciężko obok łóżka.

158

— Ukłęknij — powiedział McEachern. Chłopiec ukląkł. Klęczeli obaj blisko siebie w zalegającym pokój półmroku: mała figurka w przyciętym, za wiel-kciem podkoszulku i bezlitosny mężczyzna, który nie zaznał nigdy litości ani zwątpienia. McEachern zaczął się modlić. Modlił się długo, mrukliwym, usypiającym, monotonnym głosem. Prosił, aby mu przebaczone pogwałcenie dnia świątecznego i podniesienie ręki przeciw dziecku, sierocie, które jest drogie Bogu. Prosił, aby uparte serce dziecka zostało zmiękczone i aby został mu wybaczony grzech nieposłuszeństwa, a to za wstawiennictwem człowieka, z którego szydziło i któremu było nieposłuszne. Prosił Wszechmogącego, aby był tak wspaniałomyślny jak on sam, a to dzięki swej łasce, dla jej przyczyny i poprzez jej działanie.

Skończył i wstał, dźwigając się ciężko na nogi. Chłopiec nadal klęczał. Nie poruszył się w ogóle. Ale oczy miał otwarte (twarz ani na chwilę nie była ukryta ani pochylona), a twarz jego była zupełnie spokojna; spokojna, cicha, zupełnie nieodgadniona. Usłyszał, że człowiek szuka po omacku po stole, na którym stała lampa. Zapalka trzasnęła, potem zapłonęła. Płomyk osiadł na knocie pod kloszem, na którym ukazała się teraz ręka mężczyzny, wyglądająca, jakby zanurzono ją we krwi. Cienie zawirowały i uspokoiły się. McEachern uniósł coś, co leżało na stole obok lampy: katechizm. Spojrzał w dół, ku chłopcu: nos, wystający, granitowy policzek obrzeżony brodą, aż po głęboko zapadnięte i ukryte za szkłem okularów oko.

— Weź książkę.

Zaczął się to w niedzielę rano przed śniadaniem. Nie jadł śniadania. Najprawdopodobniej ani on, ani mężczyzna nie pomyśleli o tym ani razu. Mężczyzna

159

też nie jadł śniadania, chociaż podszedł do stołu i poprosił o rozgrzeszenie za jadło i konieczność spożywania go. W porze południowego posiłku chłopiec spał,

ukołyszany wyczerpaniem nerwowym. A w porze kolacyjnej żaden z nich nie pomyślał o jedzeniu. Chłopiec nie wiedział nawet, co się z nim dzieje niezwykłego i dlaczego czuje się taki słaby i spokojny.

Tak właśnie odczuwał to, leżąc w łóżku. Lampa paliła się nadal. Na dworze było zupełnie ciemno. Minęło już trochę czasu, ale wydawało mu się, że jeśli odwróci głowę, zobaczy siebie i mężczyznę, klęczących wciąż jeszcze obok łóżka albo, co najmniej, na macie odbicie dwóch par kolan, pozbawionych namacalnej substancji. Nawet powietrze zdawało się nadal wydzielać ten monotony głos, jak gdyby kogoś mówiącego we śnie, mówiącego, zaklinającego, dyskutującego z Obecnością, która nie mogła nawet pozostawić widmowego odcisku na istniejącej macie.

Leżał na wznak, z rękami skrzyżowanymi na piersi jak pomnik grobowy, gdy znów usłyszał odgłos stóp na kręconych schodkach. Nie były to kroki mężczyzny. Słyszał McEacherna, odjeżdżającego bryczką, znikającego w półmroku, w drodze do odległego o trzy mile nieprezbiteriańskiego kościoła, aby odbyć tam pokutę, którą naznaczył sobie za ten ranek.

Nie odwracając głowy chłopiec usłyszał panią McEachern, wspinającą się mozolnie po schodach. Słyszał ją, gdy zbliżała się. Nie spojrzał, chociaż po pewnym czasie jej cień ukazał się na ścianie w obrębie jego wzroku, i zobaczył, że niesie coś. Była to taca z jedzeniem. Położyła tacę na łóżku. Ani razu nie spojrzał na nią. Nie poruszył się.

160

161

— Joe — powiedziała pani McEachern. Nie poruszył się. — Joe — powiedziała. Widziała, że oczy jego są otwarte. Nie dotknęła go.

— Nie jestem głodny — powiedział.

Nie poruszyła się. Stała z rękami ukrytymi w fartuchu. Ona także zdawała się nie patrzeć na niego. Zdawała się mówić do ściany nad łóżkiem.

— Wiem, co myślisz. To nie to. Nie kazał mi tego przynosić. To ja o tym pomyślałam. On nie wie. To nie od niego.

Nie poruszył się. Jego twarz była spokojna jak twarz rzeźby, gdy patrzył na stromy szczyt zbiegających się skośnie desek sufitu.

— Nie jadłeś dzisiaj. Siadaj i jedz. To nie on kazał mi to tu przynieść. Nie wie o tym. Zaczekałam, aż odjedzie, i przyrządziłam to sama.

Wtedy usiadł. Patrzyła na niego, gdy wstał z łóżka, wziął tacę, zaniósł ją do kąta i przekreślił dnem do góry, strącając jedzenie i naczynia na podłogę. Potem wrócił do łóżka, niosąc pustą tacę, jak gdyby była monstrancją, a on tym, który ją niesie, mającym jako komżę męski wełniany podkoszulek, który został kupiony, aby go nosił dorosły człowiek. Nie patrzyła na niego teraz, chociaż nie poruszyła się. Jej złożone ręce nadal były ukryte pod fartuchem. Powrócił do łóżka i znów położył się na wznak. Oczy miał szeroko otwarte i wpatrzone w sufit. Widział jej nieruchomy cień, bezkształtny, trochę zgarbiony. Potem cień odszedł. Nie spojrział, ale usłyszał, że uklękła w kącie i pozbierała na tacę rozbite skorupy naczyń. Potem wyszła z pokoju. Zrobiło się zupełnie cicho. Lampa paliła się równo nad przyciętym równo knotem. Wirujące cienie ciem na ścianie były wielkie

jak ptaki. Zza okna nadpływał zapach ciemności, wiosny, ziemi.

Miał wtedy dokładnie osiem lat. Minęły całe lata, nim pamięć dowiedziała się o tym, co pamięta. Całe lata po tej nocy, gdy w godzinę później wstał z łóżka, poszedł do kąta i ukląkł na macie nad znieważonym jedzeniem, aby jeść je rękami jak dzikus, jak pies.

Był zmierzch. O tej porze powinien był znajdować się już całe mile bliżej domu. Chociaż miał wolne popołudnia w sobotę, nigdy jeszcze nie oddalał się tak daleko od domu o tak późnej porze. Gdy przyjdzie do domu, zostanie wychłostany. Ale nie za to, co zrobił albo co mógł zrobić w czasie swojej nieobecności. Gdy przyjdzie do domu, zostanie wychłostany, chociaż nie popełnił żadnego grzechu, zupełnie tak samo, jak gdyby McEachern widział go popełniającego grzech.

Ale może on sam nie wiedział jeszcze, że nie popełni grzechu. Pięciu ich zebrało się cicho przy rozklekotanych drzwiach opuszczonej szopy tartacznej. Ukryci w odległości stu kroków zobaczyli dziewczynę murzyńską, która weszła tu, rozejrzała się raz i zniknęła. Jeden ze starszych chłopców załatwił to i on wszedł pierwszy. Inni, ubrani w identyczne spodnie i bluzy, chłopcy, zamieszkujący w promieniu najbliższych mil, którzy tak jak Joe McEachern umieli, mając czternaście albo piętnaście lat, orać, doić i rąbać drzewo jak dorośli mężczyźni, ciągnęli słomki, żeby ustalić kolejkę. Może nie pomyślał o tym jako o grzechu, zanim nie pomyślał o czekającym go w domu człowieku, ponieważ dla czternastolatka najważniejszym grzechem jest publiczne przyznanie się do dziewiczości.

11-Światłość...

Nadeszła jego kolej. Wszedł do szopy. Było ciemno. Natychmiast został ogarnięty przez straszliwy pośpiech. Odezwało się w nim coś, co chciało się stąd wydostać, jak wówczas, gdy myślał o tej paście do zębów. Ale nie mógł się poruszyć od razu, stojąc tam, czując jednocześnie zapach kobiety i zapach Murzyna, okrążony przez murzyńską kobiecość i pośpiech, popychany, oczekujący jej odezwania się: dźwięku, który miał mu wskazać drogę, a nie był żadnym słowem i miał być zupełnie niespodziewany. Potem wydało mu się, że ją dostrzeżę — ce>4 nikczemnego nisko nad ziemią, może jej oczy. Pochylając się, zajrzał jak gdyby do głębokiej studni, a na jej dnie zobaczył dwa błyski podobne do odbicia umarłych gwiazd. Widocznie poruszał się jednak, gdyż dotknął jej stopą. Potem znowu dotknął i kopnął. Kopnął mocno, kopiąc w sam środek zdławionego okrzyku zdumienia i strachu. Zaczęła krzyżeć. Poderwał ją w górę, chwyciwszy za ramię, bijąc szerokimi, dzikimi uderzeniami, chcąc może trafić w głos i wyczuwając, pomimo to, jej ciało — okrążony przez murzyńską kobiecość i pośpiech.

Potem umknęła spod pięści, a on cofnął się, gdy inni rzucili się na niego, wszyscy równocześnie, szamocąc się i macając w ciemności. Oddawał uderzenia, sapiąc z wściekłości i rozpaczy. Teraz poczuł samca — ich zapach. A gdzieś w dole, ona, umykająca, krzycząca. Kołysali się i tratowali, uderzając we wszystko, czego ręka albo ciało dotknęły, póki nie upadli wszyscy razem, mając go na spodzie. Ale szamotał się dalej, bijąc, łkając. Nie było już żadnej Jej teraz. Jak gdyby przewiał pomiędzy nimi ostry, czysty wiatr. Trzymali go teraz, nie mógł się poruszyć.

— Przystaniesz? Mamy cię. Przymknij, że przestaniesz.

— Nie — powiedział. Dźwignął się, wykręcając.

— Przestań, Joe! Nie możesz pobić nas wszystkich. Zresztą, nikt się z tobą nie chce bić.

— Nie — powiedział oddychając ciężko, szamocząc się. Żaden z nich nie widział drugiego ani nie mógłby powiedzieć, kto kim jest. Zapomnieli zupełnie o dziewczynie i o tym, dlaczego się bili, jeżeli w ogóle wiedzieli o tym kiedykolwiek. Ze strony tamtych czterech było to czysto automatyczne i odruchowe: spontaniczna konieczność samca, by walczyć ze względu na — albo o — towarzyszkę, z którą niedawno kopulował albo ma zaraz kopulować. Ale żaden z nich nie wiedział, dlaczego się bili. A on nie mógł im powiedzieć. Trzymali go przy ziemi, mówiąc jeden do drugiego cichymi, napiętymi

głosami:

— Ci, którzy są z tyłu, niech się cofną. Potem inni go puszcza.

— Kto go trzyma? Kogo ja trzymam?

— Tu. Puszczaj. Czeka. Tu jest. Ja i... — Znowu kłęb ich zakołysał się i zaczął szamotać. Przytrzymali go znowu. — Tu go mamy. Puszczajcie i wychodźcie. Dajcie nam miejsce.

Dwóch wstało i cofnęło się do drzwi. Potem dwóch pozostałych wybiegło, jakby wypadli spod ziemi i z wypełnionej mrokiem szopy. Gdy tylko go uwolnili, Joe zamachnął się, ale już byli daleko. Leżąc na grzbiecie, przyglądał się im, gdy biegli w czterech, poprzez zmierzch, zwalniając, oglądając się, żeby spojrzeć za siebie. Wstał i wyszedł z szopy. Stał w drzwiach, otrzepując się, także zupełnie odruchowo, a oni zbili się niedaleko w grupkę i spokojnie patrzyli na niego.

164

Nie patrzył na nich. Poszedł poprzez zmierzch, w swych spodniach koloru zmierzchu. Było już późno teraz. Gwiazda wieczorna była wielka i ciężka jak kwiat jaśminu. Nie obejrzał się ani razu. Odchodził, znikając, podobny do zjawy. Twarze czterech przyglądających mu się chłopców były małe i blade pośród mroku. Z gromadki jakiś głos powiedział wyraźnie i niespodziewanie: — Jaaaa!

Nie odwrócił się. Drugi głos powiedział spokojnie wyraźnie: — Zobaczymy się jutro w kościele, Joe.

Nie odpowiedział. Szedł. Od czasu do czasu odruchowo otrzepywał dłońmi spodnie.

Gdy dom ukazał się w jego polu widzenia, całe światło zniknęło już z zachodu. Na pastwisku za stodołą była wiosna: kępa wierzb w ciemności, osiągalna węchem i słuchem, ale niewidzialna. Gdy zbliżył się, ucichła muzyka żab, jak gdyby ktoś przeciął nożyczkami wiele strun. Ukląkł. Było za ciemno, aby dostrzec chociażby zarys własnej głowy. Umył twarz i spuchnięte oko. Poszedł dalej, przecinając pastwisko ku kuchennemu światłu. Zdawało się go ono śledzić, wyzywające i groźne jak oko.

Gdy doszedł do płotu zagrody, zatrzymał się, patrząc na światło w kuchennym oknie. Trawa była głośna, żywa od świerszczy. Na de poszarzałej od rosy ziemi i ciemnych kęp drzew ukazywały się i znikwały świętojańskie robaczki, błędzące i przypadkowe. Drozd śpiewał na drzewie obok domu. Za nim, w lesie, gwizdały nad źródłem dwa nocne ptaki. Dalej jeszcze, poza nimi, jakby za jakimś ostatecznym horyzontem lata, wył pies. Przeszedł przez płot i zobaczył kogoś, siedzącego zupełnie

nieruchomo w drzwiach obory, w której czekały dwie krowy, jeszcze nie wydojone przez niego.

165

Zupełnie bez zdziwienia zdawał się rozpoznawać McEacherna, jak gdyby cała sytuacja była zupełnie logiczna, rozumna i nieuchronna. Może pomyślał wtedy, że on i ten człowiek mogą zawsze liczyć na siebie, polegać na sobie, a tylko ta kobieta jest nieobliczalna. Może nie dostrzegał żadnej niedorzeczności w fakcie, że zostanie zupełnie tak samo ukarany za to, że cofnął się przed tym, co McEachern uznałby za główny z grzechów, jakie by mógł popełnić, jak gdyby ten grzech popełnił. McEachern nie wstał. Siedział nadal, ciężki i podobny do skały. Jego koszula była białą plamą na tle czarnej czeluści drzwi.

— Wydoilem i nakarmiłem — powiedział. Potem wstał statecznie. Może chłopiec wiedział, że trzyma ramię w ręce. Unosił się on i opadał statecznie, miarowo, z tępy, miarowym od głosem. Ciało chłopca mogłoby być z drzewa albo z kamienia, mogłoby być słupem albo wieżą, na której jego czująca istota stała zamyślona jak pustelnik, pełna zapamiętania i oddalenia, ekstazy i samoukrzyżowania.

Zbliżając się do kuchni, szli ramię przy ramieniu. Gdy padło na nich światło z okna, mężczyzna zatrzymał się i odwrócił, pochylając się i patrząc.

— Bitka — powiedział. — O co chodziło?

Chłopiec nie odpowiedział. Jego twarz była zupełnie nieruchoma, spokojna. Po pewnym czasie odpowiedział. Jego głos był spokojny i chłodny.

— O nic. Nadal stali.

— Mam rozumieć, że nie chcesz, czy nie możesz mi powiedzieć?

Chłopiec nie odpowiedział. Nie patrzył w dół. Nigdzie nie patrzył.

166

—Jeżeli nie wiesz, o co chodziło, jesteś głupcem. A jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, jesteś łajdakiem. Czy byłeś u kobiety?

— Nie — powiedział chłopiec. Mężczyzna przyjrzał mu się. Gdy się odezwał, głos jego pełen był zamyślenia.

— Nie skłamałeś mi jeszcze nigdy. To znaczy, o ile wiem. Spojrzał na nieruchomy profil chłopca. — Z kim się biłeś?

— Było ich więcej niż jeden.

— Ach — powiedział mężczyzna. — Pozostawiłeś na nich ślady, mam nadzieję?

— Nie wiem. Myślę, że chyba tak.

— Ach — powiedział mężczyzna. — Idź się umyć. Kolacja jest gotowa.

Tego wieczora, kładąc się do łóżka, był już zdecydowany uciekać. Czuł się jak orzeł: twardy, odpowiedzialny za siebie, władczy, bezlitosny, silny. Ale to minęło, chociaż nie wiedział jeszcze wtedy, tak jak tego nie wie orzeł, że własne ciało i cała przestrzeń są także klatkami.

McEachern przez dwa dni nie zauważał braku jałówki. Potem znalazł nowe ubranie tam, gdzie zostało ono ukryte: w stodole. Badając je, dowiedział się, że nigdy jeszcze nie było noszone. Znalazł ubranie przed południem. Ale nie powiedział o tym ani słowa. Tego wieczora wszedł do obory, gdy Joe doił. Siedzące na niskim stołku, z głową pochyloną obok krowiego uda ciało chłopca było teraz męskiego wzrostu. Ale McEachern nie zauważył tego. Jeżeli zauważał kogokolwiek, to było to wciąż jeszcze dziecko, pięcioletnia

167

sierota, która z nieruchomą, czujną i niedbałą biernością zwierzątka siedziała na ławeczce bryczki w ten grudniowy wieczór przed dwunastoma laty.

— Nie widzę twej jałówki — powiedział McEachern. Joe nie odpowiedział. Pochylił się nad wiadrem, nad równomiernym sykiem mleka. McEachern stał za nim i ponad nim, spoglądając na niego z góry.

— Powiedziałem, że twoja jałówka nie wróciła z pastwiska.

— Wiem o tym — powiedział Joe. — Myślę, że jest nad rzeczką. Dogładnę jej, bo przecież do mnie należy.

— Aha — powiedział McEachern. Nie uniósł głosu.

— Rzeczka nie jest podczas nocy odpowiednim miejscem dla pięćdziesięci dolarowej krowy.

— Więc to będzie moja strata — powiedział Joe. — To była moja krowa.

— Była? — powiedział McEachern. — Czy powiedziałaś: była moja krowa?

Joe nie uniósł oczu. Pomiędzy jego palcami mleko syczało równomiernie do wiadra. Usłyszał poza sobą poruszenie McEacherna. Ale nie obejrzał się, póki mleko jeszcze tryskało. Potem odwrócił się. McEachern siedział na kłocu przy drzwiach.

— Odnieś najpierw mleko do domu — powiedział. Joe stał, kołysząc wiadrem w ręce. Jego głos był uparty, choć spokojny.

— Znajdę ją rano.

— Zanieś mleko do domu — powiedział McEachern. — Zaczekam tu na ciebie.

Jeszcze przez chwilę Joe stał. Potem drgnął, wyszedł i ruszył w stronę kuchni. Pani McEachern weszła, gdy stawiał wiadro na stole.

168

— Kolacja już gotowa — powiedziała. — Czy pan McEachern nie przyszedł jeszcze do domu? Joe odwracał się ku drzwiom.

— Niedługo wróci — powiedział. Czuł, że kobieta przygląda mu się. Powiedziała na próbę, zaniepokojonym głosem:

— Będziecie mieli czas tylko na to, żeby się umyć.

— Wrócimy zaraz.

Powrócił do obory. Pani McEachern podeszła do drzwi i patrzyła za nim. Nie było jeszcze zupełnie ciemno i widziała swego męża, stojącego we wrotach. Nie zawołała. Stała tam i przyglądała się spotkaniu obu mężczyzn. Nie mogła dosłyszeć tego, co mówili.

— Więc powiadasz, że będzie nad rzeczką? — powiedział McEachern.

— Powiedziałem, że może tam być. Jest to duże pastwisko.

— Ach — powiedział McEachern. Głosy ich obu były ciche. — Więc myślisz, że gdzie będzie?

— Nie wiem. Nie jestem krową. Nie wiem, gdzie może być.

McEachern poruszył się.

— Pójdziemy i zobaczymy — powiedział. Wyszli, jeden za drugim, na pastwisko. Rzeczka była odległa o ćwierć mili. Na czarnej linii drzew, pomiędzy którymi płynęła, robaczki świętojańskie mrugały i gasły. Doszli do tych drzew. Ich pnie były obrośnięte bagiennym poszyciem, trudnym do przejścia nawet za dnia.

— Zawołaj ją — powiedział McEachern. Joe nie odpowiedział. Nie poruszył się. Stali naprzeciw siebie.

— To moja krowa — powiedział. — Dał mi ją pan. Wyhodowałem ją od cielaka, bo mi ją pan dał i była moja własna.

169

— Tak — powiedział McEachern. — Dałem ci ją. Aby nauczyć cię odpowiedzialności posiadania, władania, bycia właścicielem. Odpowiedzialności właściciela w stosunku do tego, co posiada za pozwoleniem boskim. Aby nauczyć cię przewidywania i powiększania dóbr. Zawołaj ją.

Jeszcze przez chwilę stali naprzeciw siebie. Może spoglądali na siebie. Potem Joe odwrócił się i poszedł wzdłuż moczarów, a McEachern za nim.

— Dlaczego jej nie wołasz? — zapytał. Joe nie odpowiedział. Zdawało się, że nie patrzy w ogóle na ba-gnisko, na rzeczkę. Przeciwnie, patrzył na pojedyncze światełko, które oznaczało dom, odwracając się od czasu do czasu, jakby oceniał odległość. Nie szli szybko, ale doszli po pewnym czasie do granicznego płotu, oznaczającego koniec pastwiska. Było już zupełnie ciemno. Gdy Joe doszedł do płotu, przystanął i odwrócił się. Raz jeszcze stanęli twarzą w twarz. McEachern powiedział:

— Co zrobiłeś z tą jałówką?

— Sprzedałem ją.

— Ach, sprzedałeś ją. A co otrzymałeś za nią, jeżeli wolno zapytać?

Nie mogli już teraz odróżnić rysów swoich twarzy. Byli tylko kształtami, prawie jednego wzrostu, chociaż McEachern był grubszy. Ponad białą plamą koszuli głowa McEacherna przypominała jedną z tych marmurowych kul armatnich, widocznych na pomnikach Wojny Domowej.

— To była moja krowa — powiedział Joe. — Jeżeli nie była moja, dlaczego mi pan powiedział, że jest moja? Dlaczego mi ją pan dał?

— Masz zupełną słusność. Była twoja. Nie wyłaja-

170

WILLIAM FAULKNER

łem cię jeszcze za to, że ją sprzedałeś, zważywszy, że otrzymałeś dobrą cenę. A nawet, jeśli cię oszukano przy sprzedaży, co u osiemnastoletniego chłopca jest więcej niż możliwe, nie będę cię łajał i za to. Chociaż lepiej by było, gdybyś poprosił w sprawach światowych o radę kogoś starszego niż ty. Ale musisz się uczyć tak, jak ja się uczyłem. Pytam o to, gdzie zabezpieczyłeś pieniądze? Joe nie odpowiedział. Stali naprzeciw siebie.

— Czy może dałeś je swojej przybranej matce, aby je przechowała dla ciebie?

— Tak — powiedział Joe. Jego usta to wypowiedziały, powiedziały kłamstwo. Nie miał w ogóle zamiaru odpowiedzieć. Z pewnego rodzaju zaskoczonym zdumieniem usłyszał, że jego usta wypowiadają to słowo. — Dałem jej, żeby je schowała — powiedział.

— Ach — powiedział McEachern. Westchnął. Był to odgłos wyrażający prawie zachwyt, zadowolenie i zwycięstwo. — I niewątpliwie powiesz także, że to twoja przybrana matka kupiła ci nowe ubranie, które znalazłem w stodole. Objawiłeś wszystkie inne grzechy, do których jesteś zdolny: lenistwo, niewdzięczność, brak szacunku i bluźnierczość. A teraz przyłapałem cię na dwóch pozostałych: kłamstwie i

rozpuście. Na cóż innego potrzebne jest ci nowe ubranie, jeśli nie na kurwienie się?

I tak uznał, że dziecko, które zaadoptował przed dwunastu laty, jest mężczyzną. Stojąc naprzeciw niego i będąc prawie tego samego wzrostu, uderzył Joe'ego pięścią.

Joe przyjął dwa pierwsze uderzenia, może z nawyku, może przez zaskoczenie. Ale przyjął je, czując

171

dwukrotnie twardą pięść mężczyzny, uderzającą w jego twarz. Potem odskoczył, skulony, liżąc krew, oddychając ciężko. Stali naprzeciw siebie.

— Niech się pan nie waży mnie już uderzyć — powiedział.

Później, gdy leżał zimny i sztywny w swym łóżku na poddaszu, usłyszał ich głosy, dobiegające wzdłuż pogiętych schodów, z pokoju na dole.

— Ja je kupiłam dla niego! — powiedziała pani McEachern. — Ja! Kupiłam je za moje maślane pieniądze. Powiedziałeś, że mogę je mieć... wydać... Szymonie! Szymonie!

— Jesteś nawet gorszym kłamcą niż on — powiedział mężczyzna. Jego głos nadbiegał miarowo, po kręconych schodach, do leżącego w łóżku Joe'ego, szorstki, beznamiętny. Joe nie słuchał. — Uklęknij. UKLEKNIJ, KOBIEITO! Proś o łaskę i przebaczenie Boga, a nie mnie.

Zawsze starała się być dobra dla niego, od tego pierwszego grudniowego wieczoru przed dwunastoma laty. Gdy bryczka zajechała, czekała na progu — cierpliwe, przybite stworzenie, bez jakichkolwiek cech płciowych, poza schludnym warkoczem siwiejących włosów i sukienką. Było to tak, jak gdyby zamiast być zręcznie zamordowaną i zamienioną przez okrutnego i świątobliwego męża na coś przekraczającego jego pragnienie i jej świadomość, została, jak coraz cieńszy i cieńszy, bierny i podatny kawałek metalu, rozklepana wytrwale, aż do zupełnego osłabienia niemych nadziei i zawiedzionych pragnień, zamglonych teraz i wyblakłych jak zimny popiół.

172

Gdy bryczka zatrzymała się, podeszła, jak gdyby uplanowała to już sobie poprzednio i wypróbowała: jak to będzie znosiła go z siedzenia i wносиła do domu. Od czasu gdy był na tyle duży, żeby samodzielnie chodzić, nigdy nie był noszony przez żadną kobietę. Ześliznął się na ziemię i wszedł do domu na swych własnych nogach, wkroczył, mały, bezkształtny w swym okryciu. Poszła za nim i zmusiła go, żeby usiadł. Unosiła się nad nim z pewnego rodzaju napię- \ tą czujnością, z wyrazem czujnym i

zawiedzionym, czekając, żeby rozpocząć to raz jeszcze i spróbować, chcąc, aby oboje zachowali się tak, jak to sobie uplanowała. Klęcząc przed nim, starała się zdjąć mu buty, póki nie zrozumiał, co chce zrobić. Odsunął jej ręce i sam zdjął buty, nie kładąc ich jednak na podłogę. Trzymał je. Zdjęła mu pończochy i przyniosła miednicę gorącej wody, przyniosła ją tak natychmiast, że każdy, prócz dziecka, wiedziałby, że prawdopodobnie miała ją gotową i czekającą przez cały dzień. Wtedy odezwał się po raz pierwszy.

— Myłem się przecież dopiero wczoraj — powiedział.

Nie odpowiedziała. Klęczała przed nim, a on przyglądał się tyłowi jej głowy i jej dłoniom, gmerającym trochę niezdarnie przy jego stopach. Nie próbował jej teraz pomagać. Nie wiedział, co chciała zrobić. Nie wiedział nawet wówczas, gdy siedział, trzymając zziębnięte stopy w ciepłej wodzie. Nie wiedział, że to już wszystko, bo to było za dobre. Czekał, że teraz zacznie się reszta, ta część, która nie będzie przyjemna, bez względu na to, co to będzie. To także mu się jeszcze nigdy przedtem nie przydarzyło.

Później położyła go do łóżka. W ciągu ostatnich

173

dwóch lat ubierał się i rozbierał sam, nie zauważony i nie otrzymujący żadnej pomocy, chyba czasem od jakiejś przypadkowej Alicji. Był już zanadto zmęczony, żeby usnąć od razu, a teraz był zaciekawiony i zaniepokojony, czekając, kiedy ona wreszcie wyjdzie i będzie mógł usnąć. Ale ona nie wychodziła. W pokoju nie napalono. Było zimno. Miała teraz szal narzucony na ramiona, skuliła się pod tym szalem, a jej oddech parował, jakby paliła papierosa. Obudził się zupełnie. Czekał teraz na tę część, która będzie nieprzyjemna, cokolwiek to będzie, cokolwiek zrobił. Nie wiedział, że to było już wszystko. To także nigdy przedtem mu się nie przydarzyło.

Rozpoczęło się to tej nocy. Wierzył, że będzie się ciągnęło przez resztę jego życia. Mając lat siedemnaście i patrząc wstecz, widział teraz długi szereg mało ważnych, niezdarnych, nieudanych wysiłków, zrodzonych z zawodu, poszukiwania po omacku i ślepego instynktu: posiłki, które przygotowywała dla niego w tajemnicy, a potem nalegała, aby je przyjął i zjadł w tajemnicy, gdy tymczasem on nie chciał ich i wiedział, że McEachernowi nie zależałoby na tym; chwile, gdy, jak dzisiejszego wieczora, starała się wepchnąć pomiędzy niego i karę, która, zasłużona czy nie, słuszna czy niesłuszna, była bezosobowa i zaakceptowana przez nich obu, przez mężczyznę i przez chłopca, jako naturalny i nieunikniony fakt, póki ona, wchodząc w

drogę, nie nadała mu woni, rozcieńczenia, złego smaku.

Chwilami myślał, że powie jej jednej, jej, która w swej beznadziejnej słabości nie mogła ani zmienić tego, ani pominąć, a musiałaby wiedzieć o tym i ukrywać to przed człowiekiem, którego natychmiastowa i łatwa do przewidzenia reakcja tak bardzo zniweczyła-

i

174

by to, jako czynnik w ich stosunkach, że nie pojawiłoby się to już nigdy. Przekazać jej to w tajemnicy, jako tajemną zapłatę za potajemne posiłki, których nie chciał: — Słuchaj. Powiada, że wyhodował pod swoim dachem bluźniercę i niewdzięcznika. Ostrzegam cię, abyś nie mówiła mu, co wyhodował. Wyhodował Murzyna pod swoim własnym dachem, karmiąc go swoim własnym jedzeniem, przy swoim własnym stole. \

Ponieważ była zawsze dobra dla niego. Mężczyzna, twardy, sprawiedliwy, bezlitosny mężczyzna, po prostu polegał na tym, że będzie postępował w pewien sposób i otrzyma pewną nagrodę albo karę, tak jak on mógł polegać na mężczyźnie, aby reagował w pewien określony sposób na jego własne uczynki dobre i złe. To ta kobieta posiadała kobiecy instynkt i skłonność do tajemniczości, do tego, by cechować drobną skazą nieprawości najbardziej zwykłe i niewinne zdarzenia. Ukryła małą sumę pieniędzy w blaszanej puszcze za obłuzowaną deską w ścianie jego pokoju na poddaszu. Suma była błaha i nie było to najwyraźniej tajemnicą wobec nikogo poza jej mężem, a chłopiec sądził, że on także nie dbałby o to. Ale nie było to nigdy tajemnicą wobec niego samego. Nawet gdy był jeszcze dzieckiem, zabierała go ze sobą, gdy z całym skupieniem i tajemniczością bawiącego się dziecka wspinała się na poddasze i dodawała do swego skarbu ubogie, rzadkie, okropne pięcio- i dziesięciocentówki (będące owocem nie znanych nikomu pod słońcem maleńkich oszustw i krętactw) i wkładała do puszek, pod spojrzeniem jego okrągłych poważnych oczu — monety, których wartości nie umiał nawet rozpoznać. To ona mu ufała, nalegała na to, aby móc mu ufać, tak jak nalega-

175

ła, aby jadał: w ukryciu, w tajemnicy, robiąc tajemnicę z samego faktu zaufania.

To nie ciężkiej pracy nienawidził ani kar, ani niesprawiedliwości. Był do nich przyzwyczajony, nim zobaczył po raz pierwszy ich oboje. Nie oczekiwał niczego lepszego, więc nie był ani oburzony, ani zdumiony. Nienawidził kobiety: miękkiej

dobroci, której, jak sądził, był na wieki ofiarą i której nienawidził bardziej niż twardej i bezlitosnej sprawiedliwości mężczyzn. “Ona chce mnie zmusić do płaczu — myślał, leżąc zimny i sztywny na swym łóżku, z rękami założonymi pod głowę, światłem księżyca padającym w poprzek ciała i słuchając równego pomruku męskiego głosu, wspinającego się po schodach ku niebu. — Starła się mnie zmusić do płaczu. Myśli, że potem będą mnie już mieli”.

8

Poruszając się cicho, wyciągnął z ukrycia sznur. Jeden z końców sznura był już przygotowany do umocowania na ramie okiennej. Opuszczenie się na ziemię i powrót nie zajmowały mu teraz prawie wcale czasu. Mając w tej chwili za sobą niemal rok wprawy, umiał wspinać się po sznurze, dłoń za dłonią, nie dotykając ani razu ściany domu. Robił to cicho jak cień i ze zwinnością kota. Wyglądając przez okno, powoli opuścił sznur. W świetle księżyca sznur wyglądał krucho jak nić pajęcza. Później, mając buty związane razem i przełożone przez pasek, ześliznął się po sznurze, przesuwał się szybko jak cień przed oknem, za którym spali starzy ludzie. Sznur wisiał tuż przed oknem. Napiąwszy go, przesunął go na bok i przywiązał tak,

176

WILLIAM FAULKNER

że przylegał płasko do ściany domu. Potem ruszył w księżycowym świetle ku stodołę, wspinał się na strych i wyjął z ukrycia nowe ubranie. Było ono ostrożnie zapakowane w papier. Przed odwinieniem pomacał dłońmi załamania papieru. “Znalazł je” — pomyślał. Wie — powiedział szeptem. — Bękart. Skurwysyn.

Szybko ubrał się w ciemności. Był już spóźniony, bo musiał im dać czas, aby usnęli po całym tym hałasie o jałówkę. Hałasie, który spowodowała kobieta, wtrącając się, kiedy było już po wszystkim i wszystko było już załatwione — na tę noc przynajmniej. Zawiniątko zawierało białą koszulę i krawat. Wsunął krawat do kieszeni, ale włożył marynarkę, aby biała koszula nie była tak widoczna w świetle księżyca. Zeszedł i wynurzył się ze stajni. Nowy materiał wydawał się gruby i szorstki po jego miękkim i często pranym drelichu. Dom przycupnął w świetle księżyca, ciemny, niski, trochę zdradziecki. Wydawało się, że w świetle księżyca dom uzyskał osobowość: groźną, zwodniczą. Minął go i wszedł na polną drogę. Wyjął z kieszeni zegarek za dolara. Kupił go przed trzema dniami za część tych pieniędzy. Ale ponieważ nigdy przedtem nie miał zegarka, więc zapomniał go nakręcić. Lecz nie potrzebował zegarka, żeby wiedzieć, że jest opóźniony.

Polna droga biegła prosto pod księżycem, okolona z obu stron drzewami. Cienie ich gałęzi leżały na miękkim piasku, grube i ostre jak czarna, farba. Szedł szybko, mając dom za sobą i będąc już niewidzialny z domu. Szosa spotykała się z polną drogą, niedaleko przed nim. Oczekiwał, że każdej chwili może przejechać samochód, bo powiedział jej, że jeżeli nie będzie czekał u wylotu ścieżki, spotkają się w budynku szkolnym, gdzie miała się odbyć zabawa. Ale żaden samo-

177

chód nie przejechał, a kiedy znalazł się na szosie, nie usłyszał niczego. Droga i noc były puste. “Może już przejechała?” — pomyślał. Znowu wyjął martwy zegarek i spojrzał nań. Zegarek był martwy, bo nie miał żadnej okazji, aby go nakręcić. Spóźnił się przez tych, którzy nie dali mu żadnej okazji, żeby nakręcić zegarek i dowiedzieć się, czy jest spóźniony, czy nie. Na końcu ciemnej koleiny, w widocznym już stąd domu, spała kobieta, która zrobiła wszystko, co mogła, aby się spóźnić. Spojrzał w tamtą stronę wzdłuż polnej drogi i nagle czynności myślenia i patrzenia, czynności umysłu i ciała, urwały się, jakby za przekręceniem wspólnego kontaktu, bo wydało mu się, że dostrzegł jakiś ruch między cieniami na drodze. Potem pomyślał, że chyba jednak nie, że to musiało być coś w jego myśli, co odbiło się jak cień na ścianie. “Ale mam nadzieję, że to on — pomyślał. — Chciałbym, żeby to był on. Chciałbym, żeby szedł za mną i zobaczył mnie, wsiadającego do samochodu. Chciałbym, żeby spróbował pójść za nami, chciałbym, żeby spróbował mnie zatrzymać”. Ale nie mógł dostrzec niczego na polnej drodze. Była pusta, poprzecinana zdradzieckimi cieniami. Potem, daleko na szosie, usłyszał odgłos samochodu, nadjeżdżającego od strony miasta. Spojrzawszy, zobaczył blask reflektorów.

Była kelnerką w małej, brudnej restauracyjce przy jednej z bocznych ulic miasta. Nawet przelotne spojrzenie dorosłego mężczyzny umiałoby powiedzieć, że nie zobaczy już nigdy trzydziestki. Ale dla Joe'ego nie wyglądała na więcej niż siedemnaście, może ze względu na to, że była taka mała. Była nie tylko niewysoka,

12 - Światłość...

178

była także drobna, prawie jak dziecko. Ale spojrzenie dorosłego zauważyłoby, że nie zawdzięczała tego żadnej naturalnej smukłości, ale gniciu całej istoty: smukłości, która nigdy nie była młoda i nigdy nie posiadała w żadnej ze swych linii niczego młodocianego. Miała ciemne włosy i twarz o wystających kościach, która spoglądała zawsze w dół, jak gdyby głowa została umieszczona na szyi trochę poza

zwykłym układem członków ciała. Jej oczy były szklanymi oczami zwierzątka-zabawki; były bardziej niż twarde, nie będąc nawet twardymi.

Właśnie dlatego, że była taka drobna, pokusił się o nią, jak gdyby to, że była drobna, mogło albo powinno było ochronić ją przed powłóczystymi i zbójckimi spojrzeniami większości mężczyzn, pozostawiając mu większe szansę. Gdyby była wysoką kobietą, nie odważyłby się. “To nie będzie miało sensu. Ma już peW-nie jakiegoś faceta, jakiegoś mężczyznę”.

Zaczął się to jesienią, gdy miał siedemnaście lat. Był to powszedni dzień. Przybywali zwykle do miasta w sobotę. Chcąc spędzić cały dzień w mieście, zabierali ze sobą jedzenie: zimny obiad w koszyku, zakupionym i trzymanym dla tej przyczyny. Tym razem McEachern przyjechał, żeby zobaczyć się z adwokatem, mając nadzieję załatwić swoją sprawę wcześniej i wrócić do domu na obiad. Ale była już prawie dwunasta, kiedy wynurzył się na ulicę, gdzie Joe czekał na niego. Ukazał się, spoglądając na zegarek. Potem spojrzął na miejski zegar, umieszczony na wieży sądu, a potem na słońce z wyrazem gniewu i oburzenia. Z tym samym wyrazem spojrzął także na Joe'ego, trzymając w ręce otwarty zegarek i mając zimne, zaniepokojone oczy. Po raz pierwszy zdawał się badać i wa-

179

żyć chłopca, którego wychował od dzieciństwa. Potem odwrócił się.

— Chodź — powiedział. — Nie można temu zaradzić teraz.

Miasto było węzłem kolejowym. Nawet w powszedni dzień na ulicach widać było wielu ludzi. Cała atmosfera miejscowości była męska, przemijająca; ludność składała się z mężów, którzy przebywali w domu tylko przelotnie, i to w święta. Byli to mężczyźni prowadzący tajemne życie, którego istotne sceny zostały usunięte. Ich chwilowa obecność była sama w sobie stręczycielem w tym samym stopniu, co obecność protektorów w teatrze.

Joe nigdy przedtem nie widział miejsca, do którego McEachern go zabrał. Była to restauracja przy bocznej ulicy: wąskie, brudne wejście pomiędzy dwoma brudnymi oknami. W pierwszej chwili nie wiedział, że to restauracja. Nie było żadnego szyldu na zewnątrz i nie usłyszał ani nie wyczuł węchem, że gotuje się tu jedzenie. Zobaczył tylko długą ladę z rzędem pozbawionych oparcia stołków i wielką, jasnowłosą kobietę, stojącą przy kasie blisko wejścia, a w dalszym końcu lady grupkę nie zajętych jedzeniem mężczyzn. Odwrócili się wszyscy jak jeden i poprzez dym papierosów spojrzeli na niego i na McEacherna. Nikt nic nie powiedział. Patrzyli tylko na

McEacherna i Joe'ego, jak gdyby oddychanie urwało się razem z rozmową i odpływało teraz, popychane bez celu swym własnym ciężarem. Mężczyźni nie byli ubrani w drelichy, wszyscy mieli na głowach kapelusze i twarze ich wszystkich były podobne: nie młode i nie stare, nie wiejskie i nie miejskie. Wyglądali jak ludzie, którzy dopiero co zeszli z pociągu, odjadą jutro i nie mają żadnego adresu.

180

McEachern i Joe jedli siedząc przy ladzie na pozbawionych oparcia stołkach. Joe jadł szybko, ponieważ McEachern jadł szybko. Siedzący obok niego człowiek nawet czynność jedzenia wypełniał z oburzeniem, które widoczne było w jego sztywno wyprostowanym karku. Jedzenie, które McEachern zamówił, było proste: szybko przyrządzone i szybko zjadane. Ale Joe wiedział, że nie skąpstwo było przyczyną tego. Skąpstwo przywiodło ich, być może, tutaj, a nie do innego miejsca, ale wiedział, że to pragnienie jak najszybszego odejścia stąd stanowiło o wyborze posiłku. Gdy tylko odłożył nóż i widelec, McEachern powiedział:

— Chodź — wstając już ze swego stołka. Przy kasie McEachern zapłacił miedzianowłosej kobiecie. Było w niej coś, co przeciwstawiało się upływowi czasu: godność wojownicza i twarda jak powierzchnia diamentu. Nie spojrzała nawet na nich, gdy wchodzili, ani wówczas, gdy McEachern dawał jej pieniądze. Mimo to, nie patrząc na nich, wydała resztę, dokładnie i zręcznie, zsuwając monety na szklaną podstawkę prędeej, niż McEachern zdążył podać jej banknot. Była pełna blasku, przebijającego spoza fałszywego lśnienia starannie ułożonych włosów, starannie ułożonej twarzy — jak rzeźba lwicy, strażująca przy portalu — ukryta za swą godnością jak za tarczą, przed którą stłoczeni, leniwi i dwuznacznie wyglądający mężczyźni mogli nasuwać na bakier swoje kapelusze i ćmić swoje urągliwe papierosy. McEachern przeliczył resztę i wyszli na ulicę. Znowu patrzył na Joe'ego. Powiedział:

— Chcę, żebyś zapamiętał to miejsce. Są takie miejsca na tym świecie, gdzie mężczyzna może wejść, ale chłopiec, młodzieniec w twoim wieku, nie może. To

181

właśnie jest jedno z nich. Być może, nigdy nie powinieneś był tam wejść. Ale musisz obejrzeć i takie, abyś wiedział, czego się wystrzegać i unikać. Może to nawet dobrze, że obejrzałeś je w mojej obecności, abym mógł ci to wyjaśnić i ostrzec cię. A obiad tam jest tani.

— Co w nim jest nie w porządku? — zapytał Joe.

— To już sprawa tego miasta, a nie twoja. Ty masz tylko zapamiętać moje

słowa: nie życzę sobie, abyś wszedł tu kiedykolwiek, chyba że w moim towarzystwie. Co już nigdy nie nastąpi. Następnym razem zabierzemy ze sobą obiad.

Tyle tylko zobaczył tego dnia, jedząc szybko u boku niezłomnego, pełnego niemego oburzenia mężczyzny. Obaj byli zupełnie oddzieleni pośrodku lady, w której jednym końcu znajdowała się miedzianowłosa kobieta, w drugim grupka ludzi, a kelnerka, o nieprzystępnej, spoglądającej w dół twarzy i dużych, za dużych dłoniach, ustawiała szklanki i talerze, wynurzając zza lady głowę na wysokość, na jaką sięgałaby głowa dobrze rozwiniętego dziecka. Potem on i McEachern odeszli. Nie przypuszczał, że wróci tu jeszcze. Nie dlatego, że McEachern mu zabronił. Po prostu nie wierzył, że jego życie doprowadzi go tu raz jeszcze. Jak gdyby powiedział do siebie: "To nie moi ludzie. Mogę ich widzieć, ale nie wiem, czym się zajmują ani dlaczego. Mogę ich słyszeć, ale nie wiem, co mówią ani dlaczego, ani do kogo. Wiem, że coś tu się dzieje poza posiłkami, poza jedzeniem. Ale nie wiem co. I nigdy nie będę wiedział".

Więc zniknęło to z powierzchni jego rozmyślania. W ciągu następnych sześciu miesięcy przyjeżdżał od czasu do czasu do miasta, ale nie widział już tej restauracji ani nie przeszedł obok niej. Mógł przecież.

182

Ale nie pomyślał o tym. Może nie potrzebował tego. Częściej, być może, niż zdawał sobie z tego sprawę, myśli jego przybierały niespodziewanie kształt drugiej, nagiej i w jakiś sposób nieprawdziwej lady, mającej na jednym krańcu nieruchomą, będącą jak gdyby strażnikiem kobietę o chłodnej twarzy i gwałtownych włosach, a na drugim końcu mężczyzn z pochylonymi ku sobie głowami, palących równomiernie, zapalających i odrzucających swe nieodstępne papierosy. Była tam także kelnerka, kobieta nie większa niż dziecko, przesuwająca się tam i z powrotem w stronę kuchni i z kuchni, mająca ręce pełne naczyń, podczas każdej swej wędrówki wymijająca na odległość wyciągniętego ramienia grupkę mężczyzn, którzy opierali się na ladzie, mając przekrzywione na bakier kapelusze, i zagadywali ją poprzez dym papierosów, pomrukiwali ku niej prawie radośnie i triumfująco, a ona szła z twarzą zamyśloną, nieprzystępną i pochyloną, jak gdyby nie słysząc. "Nie wiem nawet, co do niej mówią" — pomyślał, myśląc: Nie wiem nawet, czy to, co mówią do niej, nie jest czymś takim, co mężczyźni mówią czasem do przechodzącego dziecka, wierząc: Nie wiem jeszcze, że w tym śnie zamykające się więzienie powiek czyni jej twarz nieprzystępną, zamyśloną. Tragiczna, młoda i smutna, czeka, ubarwiona całym nieuchwytnym i bezcielesnym czarem pożądania młodości. Że jest już coś, czym miłość może się żywić: ten sen.

Teraz wiem, dlaczego uderzyłem tę murzyńską dziewczynę przed trzema laty. I wiem, że ona też musi o tym wiedzieć i też musi być dumna, pełna oczekiwania i dumy.

Tak więc przypuszczał, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, gdyż miłość nie wymaga początkowo wielu na-

183

dziei i pożądaniami, aby mieć się czym żywić. Prawdopodobnie był zdziwiony swoim uczynkiem, płynącymi z niego wnioskami i tym, co on mu objawił, bardziej niż byłby zdziwiony nim sam McEachern. Tym razem działo się to w niedzielę, wiosną. Miał osiemnaście lat. Raz jeszcze McEachern musiał spotkać się z adwokatem. Ale teraz był przygotowany.

— Będę tam godzinę — powiedział. — Możesz się przejść i obejrzeć miasto. — Raz jeszcze spojrzał na Joe'ego, twardo, z namysłem, trochę z niepokojem, jak człowiek, który musi wybierać pomiędzy sprawiedliwością i rozsądkiem. — Masz — powiedział. Otworzył woreczek i wyciągnął z niego monetę. Była to dziesięciocentówka. — Może spróbujesz nie wyrzucić jej natychmiast, tylko znajdzie się ktoś, kto będzie ci chciał ją zabrać. To dziwne — powiedział patrząc z niepokojem na Joe'ego — ale wydaje mi się, że człowiek nie może nauczyć się wartości pieniądza, zanim nie nauczy się go przepuszczać. Masz tu być za godzinę.

Joe wziął monetę i poszedł prosto do tej restauracji. Nie włożył nawet monety do kieszeni. Zrobił to bez planu, bez pomysłu, nieomal bezwolnie, ponieważ nogi dyktowały mu teraz poruszenia, a nie głowa. Zaciśniętą i gorącą, niósł monetę w dłoni tak, jakby mogło ją nieść dziecko. Wszedł za stanowiącą drzwi zasłonę, niezgrabnie, potknąwszy się lekko. Stojąca za ladą jasnowłosa kobieta (stojąca tak, jak gdyby nie poruszyła się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, nie dotknęła ani jednego pasma swych twardych włosów koloru miedzi, ani jednej fałdy sukni) przyjrzała mu się. Z drugiego końca lady spojrzała na niego grupka mężczyzn w kapeluszach na bakier, trzymających pa-

184

pierosy i pachnących zakładem fryzjerskim. Właściciel był pomiędzy nimi. Zauważył, zobaczył po raz pierwszy tego właściciela. Jak inni, właściciel miał na głowie kapelusz i palił. Był niewysokim mężczyzną, niewiele większym niż Joe. W jednym kąciku jego ust tlił się papieros, jak gdyby odsunięty tam, aby nie zawadzał w mówieniu. Od tej twarzy, nieruchomej i wykrzywionej dymem papierosa, który tlił się bez jednego dotknięcia ręką, nim został spalony, wypluty i przygnieciony obcasem,

Joe miał przyjąć jeden ze swych nawyków. Ale jeszcze nie wówczas. Miało to nadejść później, gdy życie zaczęło się toczyć tak prędko, że przejmowanie zajęło miejsce wiedzy i wiary. Teraz spojrział tylko na człowieka, opierającego się o wewnętrzną krawędź lady i mającego na sobie brudny fartuch, który przytwierdził tak, jak bandyta przytwierdza sobie na chwilę fałszywą brodę. Przejmowanie miało nadejść później, razem z całą sumą oburzenia na łatwowierność, która wzięła tych dwoje ludzi za męża i żonę, a za jadalnię ten lokal, gdzie przywożone z daleka kelnerki niezdarnie babrały się wśród tanich dań, składających się na proste posiłki, które usprawiedliwiały istnienie całego interesu. A on przyjmował to podczas swego krótkiego i gwałtownego wypoczynku jak młody ogier, znajdujący się w stanie zachwyconego i pełnego niewiary zdumienia na ukrytym pastwisku zmęczonych, zarodowych klaczy, nim sam stał się z kolei ofiarą nieznanym, niezliczonych mężczyzn.

Ale jeszcze nie wówczas. Podszedł do lady, ściskając dziesięciocentówkę. Sądził, że wszyscy mężczyźni przestali mówić i przyglądają mu się, bo nie słyszał nic, tylko dziki syk czegoś smażącego się za drzwiami

185

kuchni. Myślał: Ona jest tam. Dlatego jej nie widzę. Osunął się na stołek. Sądził, że wszyscy na niego patrzą. Sądził, że jasnowłosa kobieta za ladą przygląda mu się, że przygląda mu się właściciel, którego twarz dym papierosa przecinał teraz zupełnie równo w swym leniwym unoszeniu się. Potem właściciel powiedział jedno słowo. Joe wiedział, że papieros nie poruszył się przy tym.

— Bobbie.

Męskie imię. Nie było to myślenie. Było to za szybkie, za zupełne: Nie ma jej. Mają mężczyznę na jej miejsce. Zmarnowałem te dziesięć centów, tak jak on to powiedział. Sądził, że nie może wyjść teraz, że jeżeli będzie chciał wyjść, jasnowłosa kobieta zatrzyma go. Sądził, że mężczyźni przy dalekim krańcu lady wiedzą o tym i śmieją się z niego. Siedział więc zupełnie nieruchomo na stołku, patrząc w dół i mając dziesięciocentówkę zaciśniętą w pięści. Nie zauważył kelnerki, póki dwie zbyt wielkie dłonie nie pojawiły się na ladzie naprzeciw niego. Widział wzór na jej sukience, górny róg fartucha i dwie dłonie o zbyt wielkich stawach, leżące na brzegu lady tak nieruchomo, jak gdyby były czymś, co przyniosła z kuchni.

— Kawę i ciastko — powiedział.

Jej głos był przygnębiony, pełen pustki.

— Cytrynowe, ananasowe, czekoladowe. Zważywszy wysokość, z której dochodził jej głos, te dłonie nie mogły być jej dłońmi.

— Tak — powiedział Joe.

Dłonie nie drgnęły. Głos nie drgnął.

— Cytrynowe, ananasowe, czekoladowe. Które z nich?

Dla innych musieli wyglądać bardzo dziwnie. Pa-

186

trząc na siebie, ponad ciemną, poplamioną, zatłuszczoną i wygładzoną wycieraniem ładą, musieli wyglądać, jak gdyby się modlili: młody chłopak o wiejskiej twarzy, ubrany w czyste, spartańskie ubranie, którego niezgrabny krój czynił go zaściankowym i niewinnym; a naprzeciw niego kobieta, przygnębiona, nieruchoma, wyczekująca, ze względu na swoją nikłość także trochę wyposażona w jego cechy — w coś bezcielesnego. Twarz miała mizerną, o wystających kościach policzkowych. Skóra była na nich napięta i ciemno zabarwiona wokół oczu. Za opuszczonymi powiekami oczy jej wydawały się pozbawione głębi, jak gdyby nie mogły nawet odbijać światła. Jej dolna szczęka wydawała się za wąska, aby móc zawierać dwa rzędy zębów.

— Ananasowe — powiedział Joe. Jego usta to wypowiedziały, bo on sam chciał natychmiast nie powiedzieć tego. Miał tylko dziesięć centów. Trzymał je zbyt mocno, aby uświadomić sobie do tej pory, że to tylko dziesięć centów. Jego ręka zaczęła się pocić wokół monety. Sądził, że mężczyźni znów mu się przyglądają i śmieją się z niego. Nie słyszał ich i nie mógł spojrzeć na nich. Ale wierzył, że śmieją się. Dłonie zniknęły. Potem powróciły, stawiając przed nim filiżankę i talerzyk.

— Ile kosztuje ciastko? — zapytał.

— Ciastko, dziesięć centów. — Stała przed nim za ładą, a jej wielkie dłonie znów leżały na ciemnym drzewie z pewnego rodzaju wyczerpaniem i wyczekiwaniem. Nie spojrzała na niego. Powiedział cichym, zrozpaczonym głosem:

— To myślę, że chyba nie chcę kawy. Przez chwilę nie poruszała się. Potem jedna z wielkich dłoni drgnęła i wzięła filiżankę. Dłoń i filiżanka

187

zniknęły. Siedział nieruchomo, patrząc w dół, czekając. To kobieta za kasą powiedziała:

— Co to?

— Nie chce kawy — powiedziała kelnerka. Jej głos płynął, jak gdyby nie zastanawiała się nad pytaniem. Był bez wyrazu i spokojny. Głos drugiej kobiety także

był spokojny.

— A czy nie zamówił kawy?

— Nie — powiedziała kelnerka tym płaskim głosem, który wciąż płynął, oddalając się. — Źle go zrozumiałam.

Gdy wyszedł, gdy dusza jego, skrzyta z ponizenia i żalu i pragnąca gwałtownie kryjówki, przemknęła obok chłodnej twarzy kobiety za kasą, uwierzył, że nigdy już nie zechce i nie będzie mógł jej zobaczyć. Nie wierzył, że mógłby znieść jeszcze jedno spotkanie z nią, a nawet spojrzenie na tę ulicę, na brudne drzwi, nawet z daleka. Ale nie myślał jeszcze: To straszne być młodym. To straszne. Straszne. Gdy nadchodziły soboty, starał się znajdować, wymyślać przyczyny, żeby nie jechać do miasta, co obserwujący go McEachern przyjmował jeszcze bez podejrzliwości. Spędzał dni pracując ciężko, za ciężko. McEachern przyglądał się tej pracy z podejrzliwością. Ale nie było niczego, co mógł wiedzieć, wywnioskować. Praca była mu dozwolona. W ten sposób mógł jakoś spędzić noc, bo był zbyt zmęczony, żeby leżeć bezsennie. A po pewnym czasie nawet rozpacz i żal, i wstyd stały się mniejsze. Nie przestawał jednak odczuwać tego i reagować na to. Ale teraz stało się to już trochę zużyte jak płyta gramofonowa: bliska tylko dzięki zużytej powierzchni, która zniekształcała głosy. Po pewnym czasie nawet McEachern przyjął ten fakt. Powiedział:

188

— Przyglądam ci się ostatnio. I teraz nie widzę innego wyjścia, tylko albo nie wierzyć własnym oczom, albo wierzyć, że wreszcie zaczynasz przyjmować to, co Bóg raczył ci przydzielić. Ale nie chcę, abys stał się próżny, dlatego że dobrze o tym mówię. Znajdziesz czas i okazję (i skłonności, nie wątpię w to), abym pożałował tego, co teraz mówię. Okazję, by wpaść znów w gnuśność i lenistwo. Mimo to nagroda została stworzona dla człowieka tak samo jak kara. Czy widzisz tę tam jałówkę? Od dziś jest ona twoją własnością. Uważaj, abym nie pożałował tego później.

Joe podziękował mu. Będzie mógł patrzeć na tę krowę i mówić: “To należy do mnie”. Potem spojrzał na nią i znów było to zbyt szybkie i zbyt zupełne, aby mogło być myśleniem: To nie jest dar. To nie jest nawet przyrzeczenie: to groźba, myśląc: “Nie prosiłem o nią. Dał mi ją sam. Nie prosiłem o nią”. Wierząc: Bóg wie, że zapracowałem sobie na nią.

Było to w miesiąc później. W sobotni ranek.

— Myślałem, że nie lubisz już miasta — powiedział McEachern.

— Myślę, że jeszcze jedna przejażdżka nie zaszkodzi mi — powiedział Joe. Miał

w kieszeni pół dolara. Dała mu je pani McEachern. Poprosił o pięć centów. Uparła się, żeby wziął pół dolara. Wziął, ważąc je na dłoni, chłodno, pogardliwie.

— Myślę, że nie — powiedział McEachern. — Pracowałeś ciężko. Ale miasto nie daje dobrych przyzwyczajęń człowiekowi, który ma jeszcze życie przed sobą.

Nie musiał uciekać, chociaż uciekłby, może nawet używając siły. Ale McEachern ułatwił to. Poszedł szyb-

189

ko ku restauracji. Tym razem wszedł bez potykania się. Kelnerki nie było tam. Może dostrzegł, zauważył, że jej nie ma. Zatrzymał się przy kasie, za którą siedziała ta kobieta, i położył pół dolara na podstawce.

— Jestem winien pięć centów. Za filiżankę kawy. Powiedziałem, że chcę ciastko i kawę, zanim wiedziałem, że ciastko kosztuje dziesięć centów. Jestem pani winien pięć centów.

Nie oglądał się za siebie. Mężczyźni byli tam w swych kapeluszach na bakier i ze swymi papierosami. Właściciel też tam był, wyczekując. Joe usłyszał go wreszcie, ubranego w brudny fartuch, mówiącego z papierosem w ustach:

— O co chodzi? Czego on chce?

— Mówi, że jest winien Bobbie pięć centów — powiedziała kobieta. — Chce dać Bobbie pięć centów. — Jej głos był spokojny. Głos właściciela był także spokojny.

— No, na miłość boską — powiedział. Dla Joe'ego pokój pełen był słuchających. Słyszał, nie słysząc, widział, nie patrząc. Szedł teraz w stronę drzwi. Pół dolara leżało na szklanej podstawce. Nawet z końca sali właściciel musiał je zauważyć, bo zapytał:

— A to za co?

— Mówi, że jest winien za filiżankę kawy — powiedziała kobieta. Joe był już prawie przy drzwiach.

— Czekaj, Jasiu — powiedział mężczyzna. Joe nie zatrzymał się. — Daj mu jego pieniądze — powiedział mężczyzna głosem bez wyrazu, nie poruszając się jeszcze. Dym z papierosa równo przecinał jego twarz, nie zakłócony najmniejszym poruszeniem. — Daj mu je z powrotem — powiedział. — Nie wiem, co to za

190

numer. Ale tu nie przejdzie. Daj mu je z powrotem. Wróć lepiej na farmę, Jasiu. Może tam skaptujesz sobie dziewczuchę za piąta.

Był teraz na ulicy, ręka pociła mu się wokół tego pół dolara, moneta pociła się w ręce, większa niż koło wozu, wyczuwalna. Wyszedł wśród śmiechu. Minął drzwi

wśród tego śmiechu, śmiechu tych mężczyzn. Gnał go on i pędził ulicą. Potem zaczął przepływać obok i zamierać w oddaleniu, pozostawiając go ziemi, chodnikowi. On i kelnerka stali naprzeciw siebie. Nie zauważyła go od razu, bo szła szybko, patrząc w dół, ubrana w ciemną sukienkę i kapelusz. Zatrzymawszy się, nie spojrzała nawet na niego, bo już na niego spojrzała, wszystkowidząca, jak wówczas, gdy stawiała kawę i ciastko na ladzie. Powiedziała:

— Och. A pan wrócił, żeby mi oddać. Przy nich. A oni pana wyśmieli. No, powiedzcie.

— Myślałem, że może pani musiała zapłacić za to. Myślałem...

— No, powiedzcie. Czy można w to uwierzyć? Czy można?

Nie patrzyli na siebie, stojąc twarzą w twarz. Dla kogoś obcego musieli wyglądać jak dwoje mnichów, którzy spotkali się na ogrodowej ścieżce w godzinie kontemplacji.

— Myślałem tylko, że...

— Gdzie pan mieszka? — zapytała. — Na wsi? No, powiedzcie. Jak pan się nazywa?

— Nie McEachern — powiedział. — Moje nazwisko jest Christmas.

— Christmas? Czy to pana nazwisko? Christmas? No, powiedzcie.

ŚWIATIOŚĆ W SIERPNIU

191

W sobotnie popołudnie, podczas lat dziecińczych i później, on i czterech albo pięciu innych chłopców polowało razem i łowiło ryby. Dziewczyny widywał tylko podczas niedziel w kościele. Były one powiązane z niedzielą i kościołem. Nie mógł więc ich nie zauważać. Gdyby to zrobił, byłoby to, nawet dla niego, wyłomem w jego nienawiści do religii. Ale on i inni chłopcy rozmawiali o dziewczynach. Może niektórzy z nich (na przykład ten, który załatwiał tę całą sprawę z murzyńską dziewczyną owego popołudnia) wiedzieli. “One wszystkie chcą — opowiedział innym — ale nie zawsze mogą”. Inni nie wiedzieli o tym. Nie wiedzieli, że wszystkie dziewczyny tego chcą, nie mówiąc już o tym, że bywają takie chwile, kiedy nie mogą. Myśleli inaczej. Ale przyznać się do tego, że się nie wie o pierwszym, znaczyło, że się nie wie o drugim. Słuchali więc, gdy tamten chłopak opowiadał im, że “jest to coś, co trafia się im raz w miesiącu”. Opisał im, jak sobie wyobraża tę fizyczną przypadłość. Może wiedział. Bądź co bądź mówił dostatecznie malowniczo i dostatecznie przekonująco. Gdyby starał się to opisać jako stan duchowy, jako coś, co tylko

przypuszczał, nie słuchaliby go. Ale nakreślił im obraz fizyczny, rzeczywisty, dający się stwierdzić przy pomocy zmysłu węchu, a nawet wzroku. Poruszyło to ich: ta czasowa i nikczemna bezradność owego dręczącego, pożądanego, przyjemnego i pięknego kształtu, w którym przebywało pragnienie, skazane na to, aby w przewidzianych i nieuniknionych odstępach stawać się ofiarą periodycznego plugastwa. Tak właśnie chłopak ten opowiedział im to, a pięciu innych słuchało spokojnie, spoglądając jeden na drugiego pytająco i ukradkiem. Następnej soboty Joe nie poszedł z nimi

192

193

na polowanie. McEachern pomyślał, że już poszedł, ponieważ zabrał broń. Ale Joe był ukryty w oborze. Pozostawał tam przez cały dzień. Następnej soboty poszedł, ale sam, wcześniej, zanim chłopcy przyszli, żeby go zawołać. Ale nie polował. Był niecałe trzy mile od domu, gdy późnym popołudniem zastrzelił dziką owcę. Znalazł stado w ukrytej dolince, podkradł się i zabił jedną. Potem ukląkł, mając ręce zanurzone w ciepłej krwi umierającego zwierzęcia. Drżał, usta miał zaschnięte, oczy stawały mu w słup. Potem przeszło mu to. Odzyskał siły. Nie zapomniał o tym, co mu chłopak opowiedział. Po prostu przyjął to. Dowiedział się, że może żyć z tym, ramię w ramię z tym. Było to tak, jak gdyby powiedział, nielogicznie i ze spokojną rozpaczą: Dobrze. Więc jest tak. Ale nie dla mnie. Nie w moim życiu i w mojej miłości. Ale to było trzy czy cztery lata wstecz i zapomniał o tym w takim sensie, w jakim zdarzenie jest zapomniane, gdy ugnie się pod naciskiem umysłu, twierdzącego, że nie jest ono ani prawdziwe, ani nieprawdziwe.

Spotkał się z kelnerką w noc poniedziałkową, która nastąpiła po owej sobocie, gdy chciał zapłacić za tę filiżankę kawy. Nie miał jeszcze wtedy sznura. Zawisł w oknie i skoczył z dziesięciu stóp na ziemię, a potem przeszedł pięć mil, dzielących go od miasta. Nie pomyślał w ogóle o tym, jak wróci do pokoju.

Kiedy wszedł do miasta, ruszył w stronę rogu ulicy, na którym kazała mu czekać. Był to cichy zakątek, a on przyszedł bardzo wcześniej, myśląc: Muszę pamiętać, żeby mi pokazała, co mam robić, i jak, i kiedy. Nie pozwolić jej dowiedzieć się, że nie wiem, że muszę się dowiedzieć od niej.

Czekał przeszło godzinę, nim ukazała się. Tak wcześnie przyszedł. Nadeszła pieszo. Nadeszła i stanęła przed nim, drobna, z tym wyrazem pewności siebie i oczekiwania, spoglądająca w dół, wynurzona z ciemności.

— Więc jesteś — powiedziała.

— Przyszedłem tak prędko, jak mogłem. Musiałem zaczekać, aż usną. Bałem się, że się spóźnię.

— Czy długo tu czekasz? Jak długo?

— Nie wiem. Biegłem prawie przez całą drogę. Bałem się, że się spóźnię.

— Biegłeś. Całe trzy mile?

— Pięć mil. Nie trzy.

— No powiedzcie.

Potem nie mówili już. Stali tam. Dwa zwrócone ku sobie cienie. Więcej niż po roku, przypominając sobie tę noc, powiedział, rozumiejąc nagle: To było tak, jakby czekała, żebym ją uderzył.

— No — powiedziała.

Zaczął się trząść trochę. Czuł jej zapach, czuł oczekiwanie: spokojne, mądre, trochę znużone, myśląc: Czeka, żebym ja zaczął, a ja nie wiem jak. Nawet dla niego samego jego głos wydał się idiotyczny, gdy powiedział:

— Myślę, że już późno.

— Późno?

— Pomyślałem, że może czekają na ciebie. Czekają, aż ty...

— Czekają, aż... czekają, aż.. — Jej głos zamarł, ustał. Powiedziała, nie poruszając się, gdy tak stali jak dwa cienie: — Mieszkam z Mamę i Maxem. Wiesz przecież. Restauracja. Powinieneś ich pamiętać, jeżeli starałeś się zapłacić wtedy te pięć centów. — Zaczęła się śmiać. Nie było wesołości w tym śmiechu. Nie było w nim nic. — Kiedy myślę o tym. Kiedy myślę o tobie,

13-Światłość...

i

194

wchodzącym z tą pięciocentówką. — Potem przestała się śmiać. Nie było w tym także żadnego zniknięcia wesołości. Nieruchomy, nikczemny, spoglądający w dół głos dotarł do niego.

— Pomyliłam się dzisiaj. Zapomniałam o czymś.

Może czekała, że zapyta ją: o czym zapomniała. Ale nie zapytał. Stał tam tylko, słysząc nieruchomy, mówiący w dół głos, zamierający wokół jego uszu. Zapomniał o zastrzelonej owcy. Za długo żył w towarzystwie faktu, który opowiedział mu tamten starszy chłopak. Zbyt dawno kupił sobie swobodę tą zabita owcą, aby ta swoboda

mogła być jeszcze żywa. Więc w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć tego, co mu chciała powiedzieć. Stali na rogu. Był to kraniec miasta, gdzie ulica stawała się drogą, wybiegającą poza uporządkowane i odmierzone ścieżki, pomiędzy małymi, luźno rozrzuconymi domkami i nagimi polami — pomiędzy małymi, tanimi domami, które stanowią przedmieścia takich miast. Powiedziała:

— Słuchaj. Jestem chora dzisiaj.

Nie zrozumiał. Nic nie powiedział. Może nie potrzebował rozumieć. Może już oczekiwał jakiegoś fatalnego niepowodzenia, myśląc: “To i tak było za dobre, żeby było prawdziwe” — myśląc za szybko nawet jak na myśl: Za chwilę ona zniknie. Nie będzie jej. A potem będę z powrotem w domu, w łóżku, nie pozostawiwszy tego wcale. Jej głos ciągnął dalej:

— Zapomniałam o dniu miesiąca, kiedy ci powiedziałam, że w poniedziałek wieczorem. Pewnie zaskoczyłeś mnie. Wtedy, na ulicy, w sobotę. I tak, zresztą, nie pamiętałam, co to jest za dzień. Dopiero później, kiedy odszedłeś.

Jego głos był tak spokojny jak jej.

195

— Jak to, chora? Czy nie masz w domu jakiegoś lekarstwa, które możesz wziąć?

— Gzy nie mam... — Jej głos zamarł. Powiedziała: — No, powiedzcie. — Nagle powiedziała: — Już późno. A ty masz te cztery mile do przejścia.

— Już je przeszedłem. Jestem tutaj. — Jego głos był spokojny, beznadziejny, cichy. — Myślę, że robi się późno — powiedział. Potem coś się zmieniło. Nie patrząc na niego wyczuła to, nim usłyszała jego twardy głos. — Co to za choroba?

Nie odpowiedziała od razu. Potem powiedziała, nieruchoma, patrząc w dół:

— Pewnie nie miałeś jeszcze żadnej dziewczyny? Założę się, że nie miałeś. — Nie odpowiedział. — Miałeś? — Nie odpowiedział. Poruszyła się. Po raz pierwszy dotknęła go. Podeszła i lekko ujęła jego ramię obiema dłońmi. Spoglądając w dół mógł dostrzec ciemny zarys pochylonej głowy, która zdawała się trochę wytrącona z linii, łączącej ją z szyją. Stało się to pewnie wtedy, gdy przyszła na świat. Powiedziała mu, zacinając się, niezdarnie, używając jedynych słów, które знаła. Ale on słyszał to już przedtem. Zdażył już uciec wstecz, omijając cenę swobody: zabitą owcę, do popołudnia, kiedy siedząc nad brzegiem strumienia nie był tak bardzo dotknięty ani zdumiony, ale oburzony. Ramię, które trzymała, uwolniło się szarpnięciem. Nie przypuszczała, że chce ją uderzyć. W rzeczywistości przypuszczała coś wręcz przeciwnego. Ale wynik był ten sam. Gdy zniknął na drodze i był już tylko samym

kształtem, samym cieniem, przypuszczała, że biegnie. Przez pewien czas słyszała odgłos jego stóp, nie mogąc go już dojrzeć. Nie poruszyła się od razu. Stała tak, jak ją pozostawił, nieruchoma, spoglądająca w

196

dół, jak gdyby oczekując uderzenia, które już otrzymała.

Nie biegł. Ale szedł szybko w kierunku, który jeszcze bardziej oddalał go od domu, od odległego o pięć mil domu, który opuścił, zeskakując z okna, i do którego nie wiedział jeszcze, jak ma powrócić. Szedł szybko drogą, a potem skręcił i przeskoczył przez płot na zaoraną ziemię. Coś rosło w bruzdach. Dalej był las, drzewa. Dotarł do lasu i wszedł pomiędzy twarde pnie, ocienione konarami, ciche, twardo wyczuwalne, twardo pachnące, niewidzialne. Zanurzywszy się w tym niewidzeniu i w nierozoznaniu jak w jaskini, miał wrażenie, że widzi malejący szereg łagodnie ukształtowanych urn, które białły w świetle księżyca. Ani jedna nie była doskonała. Każda była pęknięta i z każdego pęknięcia sączyło się coś płynnego, matowego, plugawego. Dotknął drzewa, opierając się o nie ramionami, patrząc na szeregi oświetlonych księżycem urn. Zwymiotował.

Następnego poniedziałku miał już sznur. Czekał na tym samym rogu. Znowu przyszedł bardzo wcześnie. Potem zobaczył ją. Podeszła do miejsca, gdzie stał.

— Myślałam, że może cię tu nie będzie — powiedziała.

— Myślałaś? — Wziął ją pod ramię i poprowadził drogą.

— Dokąd idziemy? — zapytała. Nie odpowiedział, ciągnąc ją.

Musiała podbiegać, żeby mu dotrzymać kroku. Robiła to niezgrabnie. Zwierzę, któremu na przeszkodzie stało to, co różniło je od innych zwierząt: obcasy, ubranie, mały wzrost. Odciągnął ją od drogi w stronę ogrodzenia, które przeskoczył przed tygodniem.

197

— Czekaj — powiedziała jękając się. — Ogrodzenie... Nie mogę...

Gdy pochyliła się, aby przejść pomiędzy drutami, które przydepnął, zaczęła o nie sukienką. Pochylił się i uwolnił ją szarpnięciem. Rozległ się odgłos rozdzieranego materiału.

— Kupię ci inną — powiedział. Nie odpowiedziała. Pozwoliła się wpół wnieść, a na wpół wciągnąć, pomiędzy dojrzewającymi roślinami, po bruzdach, do lasu, pomiędzy drzewa.

Dokładnie zwinięty sznur ukrywał za tą samą obluzowaną deską, za którą pani

McEachern miała swój skarbczyk miedziaków, z tą różnicą, że sznur był wepchnięty głębiej do otworu, poza zasięgiem ręki pani McEachern. To ona nasunęła mu ten pomysł. Czasami, słysząc parę staruszków, pochrapującą na dole, myślał o tym paradoksie, wyciągając cicho sznur. Czasami myślał o tym, że powinien powiedzieć jej. Pokazać jej, gdzie ukrywa narzędzie grzechu, i powiedzieć, że pomysł ten i kryjówkę ma od niej. Ale wiedział, że pragnęłyby tylko pomóc mu w ukryciu sznura, że pragnęłyby, aby grzeszył tylko po to, aby móc mu pomagać w ukrywaniu tego grzechu, że w końcu zaczęłyby tak wiele szeptać znacząco i tyle robić znaczących ruchów, że McEachern zaczęłyby coś podejrzewać, nawet gdyby nie chciał.

Więc zaczął kraść pieniądze ze skarbczyka. Bardzo możliwe, że kelnerka nie dała mu tego do zrozumienia, że nigdy nie wspomniała przy nim o pieniądzach. Prawdopodobnie nie wiedział nawet o tym, że płaci za przyjemność. Wynikało to z tego, że przez całe lata

198

przyglądał się pani McEachern, chowającej pieniądze w pewnym określonym miejscu.

Potem on sam zaczął mieć coś, co należało ukrywać. Ukrył to w najbardziej bezpiecznym miejscu, jakie znał. Za każdym razem, gdy chował lub odnajdywał sznur, widział blaszaną puszkę, zawierającą pieniądze.

Za pierwszym razem wziął pięćdziesiąt centów. Wahał się przez pewien czas, czy wziąć pięćdziesiąt, czy dwadzieścia pięć centów. Wreszcie wziął pięćdziesiąt centów, gdyż było to dokładnie tyle, ile potrzebował. Kupił za nie stęchłe i upstrzone przez muchy pudełko czekoladek od pewnego człowieka, który wygrał je, stawiając dziesięć centów na loteryjkę. Dał je kelnerce. Była to pierwsza rzecz, którą jej dał. Dał jej to pudełko, jak gdyby nikt nigdy jeszcze nie pomyślał o daniu jej czegokolwiek. Wyraz jej twarzy był trochę dziwny, gdy wzięła jaskrawe, liche pudełko w swoje wielkie dłonie. Siedziała w owej chwili na łóżku w swej sypialni, znajdującej się w małym domku, gdzie mieszkała z mężczyzną i kobietą, nazwanymi Maxem i Mamę. Pewnej nocy, mniej więcej na tydzień przedtem, ten mężczyzna wszedł do pokoju. Rozbierała się, siedząc na łóżku i zdejmując pończochy. Wszedł i oparł się o biurko, paląc papierosa.

— Bogaty farmer — powiedział. — Jan Astor z obory-

Zakryła się, siedząc na łóżku, nieruchoma, spoglądająca w dół.

— Płaci mi.

— Czym? Czy jeszcze nie zużył tych pięciu centów? — Spojrzał na nią. — Czy mój zakład to przytułek dla kmiotków? To po to przywiozłem cię tu z Memphis? Może żarcie też mam zacząć rozdawać?

199

— Nie robię tego wtedy, kiedy pracuję dla ciebie.

— Pewnie. Nie mogę ci zabronić. Tylko nie mogę na to patrzeć. Dzieciak, który przez całe życie nie widział całego dolara. A tu miasto pęka od facetów, którzy mogliby cię dobrze potraktować.

— Może go lubię. Może nie pomyślałeś o tym.

Spojrzał na nią, na nieruchomy, pochylony wierzchołek jej głowy, gdy siedziała na łóżku z rękami na kolanach. Oparł się o biurko, paląc papierosa. Powiedział: — Mamę! — Po chwili znowu powiedział: — Mamę! Wejdz tu. — Ściany były cienkie. Po pewnym czasie wielka blondyna przeszła, nie spiesząc się, przez sień. Oboje słyszeli ją. Weszła. — Słuchaj — powiedział mężczyzna. — Ona mówi, że może go lubi. To Romeo i Julia. Mój słodki Jezu!

Jasnowłosa kobieta spojrzała na ciemną głowę kelnerki.

— I co z tego?

— Nic. Świetnie. Max Confrey przedstawia pannę Bobbie Allen, przyjaciółkę młodzieży.

— Wyjdz — powiedziała kobieta.

— Pewnie. Przyniosłem jej tylko resztę z tych pięciu centów. — Wyszedł. Kelnerka nie poruszyła się. Jasnowłosa kobieta podeszła do biurka i oparła się o nie, przyglądając się pochylonej głowie tej drugiej.

— Czy płaci ci czasem? Kelnerka nie poruszyła się.

— Tak. Płaci mi.

Jasnowłosa kobieta patrzyła na nią, oparta o biurko, tak samo jak przed chwilą Max.

— Przyjechać tu cały ten kawał drogi z Memphis. Wieść to ze sobą całą drogę, a potem rozdawać. Kelnerka nie poruszyła się.

200

— Nie szkodzę tym Maxowi.

Jasnowłosa kobieta patrzyła na jej pochyloną głowę. Potem odwróciła się i podeszła ku drzwiom.

— Pamiętaj, żebyś nie zaszkodziła — powiedziała. — To nie będzie trwało

wiecznie. Te małe miasta nie wytrzymują tego długo. Wiem. Pochodzę z jednego z nich.

Siedząc na łóżku i trzymając w rękach tanie, pstrokate pudełko czekoladek, siedziała teraz tak samo, jak wtedy, gdy przemawiała do niej jasnowłosa kobieta. Ale teraz był tu Joe, oparty o biurko i przyglądał się jej. Zaczęła się śmiać. Śmiała się, trzymając jaskrawe pudełko w swych dłoniach o za wielkich przegubach. Joe przyglądał się jej. Przyglądał się jej, gdy wstała i przeszła obok niego z opuszczoną głową. Wyszła przed drzwi i zawołała Maxa po imieniu. Joe nigdy nie widział Maxa poza restauracją, gdzie był ubrany w kapelusz i brudny fartuch. Wchodząc, Max nie palił nawet. Wyciągnął rękę.

— Jak się masz, Romeo? — powiedział.

Joe ścisnął mu dłoń, nieomal zanim go rozpoznał.

— Moje nazwisko jest Joe McEachern — powiedział. Jasnowłosa kobieta weszła także. Ją także widział po raz pierwszy poza restauracją. Zobaczył ją, wchodzącą, i przyglądał się jej, przyglądał się kelnerce, gdy otwierała pudełko i wyciągnęła je przed siebie.

— Joe przyniósł mi je — powiedziała. Jasnowłosa kobieta spojrzała na pudełko raz. Nie poruszyła nawet ręką.

— Dziękuję — powiedziała. Mężczyzna także spojrzał na pudełko, nie wyciągając ręki.

— No, no, no — powiedział. — Boże Narodzenie trwa czasem bardzo długo. Co, Romeo? Joe odsunął się trochę od biurka. Nigdy przedtem

201

nie był w tym domu. Patrzył na tego człowieka, mając na twarzy wyraz błagalny i trochę zmieszany, ale nie zaniepokojony. Przyglądał się twarzy tego człowieka, nieprzeniknionej i podobnej do twarzy mnicha. Ale nic nie powiedział. To kelnerka powiedziała:

— Jeżeli nie lubisz tego, możesz nie jeść.

Joe przyglądał się Maxowi, przyglądał się jego twarzy, słysząc głos kelnerki, spoglądający w dół głos: — Nie robię tobie ani nikomu innemu żadnej szkody... Nie w tym czasie, kiedy robię dla ciebie...

Nie przyglądał się jej ani jasnowłosej kobiecie. Przyglądał się Maxowi z wyrazem błagalnym, pełnym zaciekawienia, ale nie lęku. Teraz przemówiła jasnowłosa kobieta, jak gdyby rozmawiali o nim w jego obecności, ale używając

języka, którego nie znał.

— Wyjdź stąd — powiedziała jasnowłosa kobieta.

— O, mój słodki Jezu — powiedział Max. — Właśnie miałem zamiar postawić Romeowi kieliszek na koszt firmy.

— Ale czy on go chce? — powiedziała jasnowłosa kobieta. Nawet gdy zwracała się bezpośrednio do Joe'-ego, było to tak, jakby nadal mówiła do Maxa. — Czy chcesz się napić?

— Nie trzymaj go w zawieszaniu z powodu jego dawnego zachowania. Powiedz mu, że to na koszt firmy.

— Nie wiem — powiedział Joe. — Nigdy jeszcze nie próbowałem.

— Nigdy jeszcze nie próbował niczego na koszt firmy — powiedział Max. — O, mój słodki Jezu.

Od czasu gdy wszedł do pokoju, nie spojrzał na Joe'ego ani razu. Znowu było to tak, jakby mówili do niego i o nim w języku, którego nie rozumiał.

202

— Chodź — powiedziała jasnowłosa kobieta. — Chodź już.

Wyszli oboje. Jasnowłosa kobieta ani razu nie spojrzała na niego, a mężczyzna ani razu nie przestał patrzeć, nie patrząc. Zniknęli. Joe stał obok biurka. Na środku pokoju stała kelnerka, spoglądając w dół i trzymając w ręce otwarte pudełko czekoladek. Pokój był ciasny i pachniał zwietrzałymi perfumami. Joe nie był tu nigdy przedtem. Nie wierzył, że będzie tu kiedykolwiek. Firanki były zapuszczone. Pojedyncza żarówka paliła się na końcu sznura, oświetlona spiętą szpilkami gazetą, brązową od gorąca.

— W porządku — powiedział. — W porządku.

Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Pomyślał o ciemności za oknem, w której zanurzali się poprzednio.

— Chodźmy — powiedział.

— Chodźmy? — powiedziała. Wtem spojrzał na nią. — Gdzie mamy iść? — powiedziała. — Po co? — Nadal jej nie rozumiał. Przyglądał się jej, gdy podchodziła do biurka i kładła na nim pudełko czekoladek. W czasie gdy przyglądał się jej, zaczęła się rozbierać zdzierając z siebie bieliznę i ciskając ją w dół.

Powiedział: — Tu? Tu? — Po raz pierwszy widział w tej chwili nagą kobietę, chociaż od miesiąca był jej kochankiem. Ale nawet wtedy nie wiedział, że nie wiedział, co spodziewa się zobaczyć.

Tej nocy rozmawiali. Leżeli w łóżku, w ciemności rozmawiając. To znaczy, on mówił. Przez cały czas myślał: Jezu, Jezu. A więc to to”. On także leżał nagi, obok niej, dotykając jej dłonią i mówiąc o niej. Nie o tym, skąd pochodzi, ani nawet o tym, co zrobiła, ale o jej ciele, jak gdyby nikt nigdy nie robił tego przedtem z

203

nią ani z nikim innym. Było to tak, jak gdyby mówiąc uczył się ciała kobiecego z ciekawością dziecka. Opowiedziała mu o chorobie tamtego pierwszego wieczora. Nie wstrząsnęło nim to teraz. Jak nagość i jej kształt cielesny, było to coś, co się jeszcze nigdy przedtem nie wydarzyło ani nie istniało. Powiedział jej więc z kolei to, co wiedział. Opowiedział jej o murzyńskiej dziewczynie w szopie tartacznej tego popołudnia przed trzema laty. Opowiedział spokojnie i cicho, leżąc obok i nie dotykając jej. Może nie umiałby nawet powiedzieć, czy ona słucha go, czy nie. Więc wreszcie powiedział:

— Czy zauważyłaś moją skórę i moje włosy?. — czekając, aby odpowiedziała, i głaszcząc powoli dłonią jej ciało.

Ona także mówiła szeptem.

— Tak. Myślałam, że może jesteś cudzoziemcem. Że nie możesz pochodzić z tych stron.

— To jest jeszcze coś innego niż to. Więcej niż tylko cudzoziemiec. Nie możesz zgadnąć?

— Co? Jak to, więcej niż cudzoziemiec?

— Zgadnij.

Ich głosy były przyciszone. Było cicho, spokojnie. Noc była już poznana, nie upragniona już więcej.

— Nie mogę. Czym jesteś?

Jego dłoń gładka powoli i spokojnie jej niewidzialne biodro. Nie odpowiedział od razu. To nie było tak, jakby się z nią droczył. Było to tak, jak gdyby nie pomyślał, że należy mówić dalej. Jeszcze raz zapytała go. Wtedy powiedział jej:

— Mam w sobie murzyńską krew.

Leżała, zupełnie nieruchoma, inną nieruchomością. Ale zdawał się nie zauważać tego. On także leżał spokojnie, głaszcząc jej biodro.

204

205

— Masz w sobie co? — zapytała.

— Myślę, że mam murzyńską krew w sobie. — Oczy miał zamknięte, a ręka głaskała powoli i nieustannie. — Nie wiem. Przypuszczam, że mam.

Nie poruszyła się. Natychmiast odpowiedziała:

— Kłamiesz.

— Dobrze — powiedział, nie poruszając się, a dłoń jego nie ustawała.

— Nie wierzę w to — powiedział jej głos w ciemności.

— Dobrze — odpowiedział, nie ustając.

Następnej soboty wyjął następne pół dolara z kryjówki pani McEachern i dał je kelnerce. W dzień albo dwa później miał powód przypuszczać, że pani McEachern dostrzegła brak pieniędzy i podejrzewa go o zabranie ich. Bo czekała w zasadzce na niego tak długo, póki nie wiedział, że ona wie, że McEachern im nie przeszkodzi. Wtedy powiedziała:

— Joe. — Zatrzymał się i spojrzał na nią, wiedząc, że ona nie patrzy na niego. Nie patrząc na niego powiedziała matowym, płaskim głosem: — Wiem, że dorastający młodzi ludzie potrzebują pieniędzy. Więcej niż ojciec... niż pan McEachern ci daje...

Spojrzał na nią i patrzył, póki głos jej nie zamarł i nie ucichł. Najwidoczniej czekał, aż ucichnie. Potem

powiedział:

— Pieniądze? A cóż bym ja zrobił z pieniędzmi?

Następnej soboty zarobił dwa dolary, rąbiąc drzewo dla sąsiada. Skłamał McEachernowi, gdzie idzie, gdzie był i co robił. Dał te pieniądze kelnerce. McEachern dowiedział się o tej pracy u sąsiada. Może przypuszczał, że Joe ukrył pieniądze. Pani McEachern mogła mu to powiedzieć.

Mniej więcej dwa razy w tygodniu Joe i kelnerka spotykali się nocą w jej pokoju. Nie wiedział początkowo, że ktokolwiek inny może robić to samo. Może przypuszczał, że została mu zesłana jakaś szczególna łaska Opatrzności. Prawdopodobnie aż do ostatka wierzył, że Mamę i Maxa trzeba przekupywać, nie za to, co się działo, ale ponieważ tam byli. Nie widział ich już więcej w domu, chociaż wiedział, że się tam znajdowali. Ale nie miał pewności, czy oni wiedzą, że on tam jest, i czy wiedzą, że kiedykolwiek powrócił po tej nocy z czekoladkami.

Spotykali się zwykle na świeżym powietrzu, szli gdzieś albo wałęsali się przy drodze prowadzącej w stronę jej domu. Może do ostatniej chwili wierzył, że to on tak

chciał. A potem, pewnej nocy, nie spotkała go w miejscu, w którym czekał. Czekał aż do chwili, gdy zegar na wieży sądu wybił dwunastą. Potem poszedł w stronę jej mieszkania. Nie zrobiła tego nigdy przedtem, chociaż nawet wówczas nie mógłby powiedzieć, że zabroniła mu przychodzić do siebie, gdy nie było jej z nim. Ale poszedł tam tej nocy, oczekując, że zastanie dom nie oświetlony i uspiony. Dom był nie oświetlony, ale nie był uspiony. Chłopiec wiedział o tym, wiedział, że za ciemnymi firankami jej pokoju ludzie nie śpią i że nie jest tam sama. Jak to wiedział, nie umiałby powiedzieć. Nie przyznałby się także do tego, że wie. “To tylko Max — pomyślał. — To tylko Max”. Ale wiedział lepiej. Wiedział, że w jej pokoju jest z nią jakiś mężczyzna. Nie spotkał się z nią przez dwa tygodnie, chociaż wiedział, że czekała na niego. Potem, pewnej nocy, stał na rogu, gdy ukazała się. Uderzył, bez ostrzeżenia, czując dotyk jej ciała. Dowiedział się wtedy tego, czego jeszcze nie wiedział.

i

206

— Och! — zawołała. Uderzył ją jeszcze raz. — Nie tu! — wyszeptała. — Nie tu!

Zobaczył, że ona płacze. On sam nie płakał, odkąd sięgała jego pamięć. Płakał teraz, przeklinając ją, bijąc ją. Potem przytuliła się do niego. Wówczas nawet powód bicia zniknął. — No, już — powiedziała. — No, już...

Tej nocy nie odszedł z tego rogu. Nie spacerowali ani nie zeszli z drogi. Usiedli na pochyłym, pokrytym trawą brzegu rowu i rozmawiali. Tym razem ona mówiła, wyjaśniając mu. Nie trzeba było wiele tłumaczyć. Pojmował teraz to, co widział przez cały czas: leniwych ludzi w restauracji, z papierosami drgającymi, gdy mówili do niej, nieustannie mijającej ich tam i na powrót, spoglądającej w dół, upodlonej. Słuchając jej głosu zdawał się wachać cuchnące wyziewy wszystkich bezimiennych mężczyzn. Jej głowa była trochę pochylona, gdy mówiła, a wielkie dłonie leżały na podolku. Nie mógł jej widzieć, oczywiście. Nie musiał jej widzieć.

— Myślałam, że wiesz — powiedziała.

— Nie — odparł. — Myślę, że nie wiedziałem.

— Myślałam, że tak.

— Nie — odparł. — Myślę, że nie.

W dwa tygodnie później zaczął palić, krzywiąc twarz, aby uniknąć dymu. Zaczął także pić. Pił po nocach z Maxem i Mamę, czasem z trzema albo czterema mężczyznami i z jedną albo dwiema kobietami, pochodzącymi czasem z miasta, ale zwykle obcymi, przyjezdnymi z Memphis. Przyjeżdżały, aby pozostać tydzień albo

miesiąc jako kelnerki za ladą restauracji, gdzie próżnujący mężczyźni zbierali się w ciągu całego dnia. Nie zawsze znał ich imiona, ale umiał wkładać kape-

207

lusz na bakier, zupełnie jak oni. Wkładał go tak podczas nocy za zapuszczonymi storami w jadalnym pokoju Maxa i mówił o kelnerce do innych, nawet gdy była obecna, swym donośnym, podpitym, pełnym rozpaczy młodym głosem, nazywając ją swą kurwą. Od czasu do czasu zawoził ją samochodem Maxa na wiejskie zabawy. Ale zawsze był bardzo ostrożny, zwracając uwagę, aby McEachern nie usłyszał o tym.

— Nie wiem, co by go więcej rozwściekliło — powiedział jej. — Ty czy taniec?

Pewnego razu położyli go, beznadziejnie pijanego, do łóżka w tym domu, o dostaniu się do którego nawet nie śnił kiedyś. Następnego ranka kelnerka odwiozła go przed świtem pod dom, aby mógł dostać się do siebie, zanim go przyłapią. A podczas tego dnia McEachern przyglądał mu się z uważnym i niechętnym uznaniem.

— Ale wciąż jeszcze masz wiele czasu, aby zmusić mnie do pożałowania tej jałówki — powiedział McEachern.

McEachern leżał w łóżku. W pokoju było ciemno, ale nie spał. Leżał obok pani McEachern, o której sądził, że śpi, i rozmyślał szybko i z wysiłkiem. Myślał: “Ubranie jest noszone. Ale kiedy? Nie mógł go nosić w ciągu dnia, mam go ciągle na oku, poza sobotnimi popołudniami. Ale w każde sobotnie popołudnie mógł pójść do stodoły, zdjąć i ukryć stosowny strój, który mu każe nosić, a wdziać szaty, których mógłby i chciałby potrzebować tylko jako dodatek do grzechu”. I wów-

208

czas dowiedział się, jak gdyby ktoś mu powiedział. Można wywnioskować, że ubranie noszone było w tajemnicy, a wobec tego najprawdopodobniej nocą. Jeśli tak, nie chciał wierzyć, aby chłopiec miał ku temu przyczynę inną niż rozpusta. On sam nigdy nie dopuścił się rozpustnego czynu i ani razu nie zgodził się na to, aby ktokolwiek mówił przy nim o rozpuszcie. A jednak po mniej więcej trzydziestu minutach wytężonego myślenia wiedział* o uczynkach Joe'ego prawie tyle, ile sam Joe mógłby mu powiedzieć, z wyjątkiem imion i miejsc. Najprawdopodobniej nie uwierzyłby w ich prawdziwość, nawet usłyszawszy je z ust Joe'ego, bo ludzie tego rodzaju mają zwykle tak samo silnie utwierdzone przekonanie o mechanice zła i dekoracjach, w których ono istnieje, jak przekonanie na temat dobra. W ten sposób bigoteria i przenikliwość stały się w praktyce jednym i tym samym, lecz bigoteria była

niewielko zbyt powolna, bo gdy Joe, opuszczając się po swoim sznurze, prześliznął się jak szybki cień wzdłuż otwartego i wypełnionego księżycem okna, za którym leżał McEachern, McEachern nie od razu rozpoznał go, a może nie od razu uwierzył w to, co zobaczył, chociaż nadal widział sznur. A gdy znalazł się przy oknie, Joe odciągnął już sznur, przymocował go i szedł ku stodole. Patrząc na niego z okna McEachern odczuwał coś w rodzaju czystego i bezosobistego oburzenia, jakie musiałby odczuwać sędzia, gdyby zobaczył, że ktoś; komu zagraża na procesie kara śmierci, pochyła się i spluwa na rękaw strażnika.

Ukryty pośród cieni w połowie drogi pomiędzy domem a szosą, widział Joe'ego u wylotu polnej drogi. On także usłyszał samochód, zobaczył go, gdy podjeżdżał i zahamował, by Joe mógł wsiąść do środka.

209

Możliwe, że nie zależało mu nawet na tym, kto jeszcze jest w samochodzie. Może wiedział już, a chciał tylko zobaczyć, w jakim kierunku samochód odjedzie. Może przypuszczał, że i to wie, bo przecież samochód mógł pojechać gdziekolwiek, w okolicy pełnej różnych możliwych celów i dróg, które do nich prowadziły. Może tak było, bo zawrócił teraz ku domowi, idąc szybko, pełen tego samego czystego i bezosobistego oburzenia, jak gdyby wierzył, że zostanie poprowadzony przez jakieś większe i czystsze oburzenie i że nie będzie musiał nawet wątpić w swe siły. W filcowych nocnych pantoflach, bez kapelusza, z nocną koszulą wciśniętą w spodnie, z dyndającymi szelkami poszedł prosto jak strzała ku stajni i osiodłał swego wielkiego starego, białego konia, a potem powrócił ciężkim galopem na polną drogę i wjechał na szosę, choć pani McEachern wołała go po imieniu, stojąc w kuchennych drzwiach, gdy wyjeżdżał z zagrody. Wyjechał na szosę powolnym, okazałym galopem. Obaj, człowiek i koń, pochyleni byli nieco sztywno ku przodowi, jak gdyby w jakimś ofiarnym obrzędzie, polegającym na udawaniu wielkiej szybkości — choć żadna szybkość przy tym nie istniała jak gdyby w chłodnym, niewzruszonym i nieugiętym przekonaniu o wszechmocy i przenikliwości ich obu, wobec których szybkość i znajomość kierunku nie są konieczne.

Z tą samą szybkością dojechał wprost do miejsca, którego poszukiwał i które odnalazł pośród całej nocy i prawie połowy okręgu, choć nie było ono bardzo odległe. Nie przejechał nawet czterech mil, gdy usłyszał przed sobą muzykę, a potem zobaczył obok szosy światła w jednoizbowym budynku szkolnym. Wiedział, gdzie ten budynek się znajduje, ale nie miał ani

powodu, ani sposobu dowiedzenia się, że będzie tam wieczorek taneczny. Ale zdążył prosto ku niemu, a potem wjechał pomiędzy rozrzucone cienie zaparkowanych samochodów i bryczek, osiodłanych koni i mułów, wypełniających zagajnik, który rósł wokół szkoły. Zeskoczył, zanim koń zdążył się zatrzymać. Nie spętał go nawet. Zeskoczył i w swych nocnych pantoflach, z dyndającymi szelkami, z okrągłą gołą głową i krótką, ostrą, oburzoną brodą pobiegł ku otwartym drzwiom i otwartym oknom, z których dobiegała muzyka i w których naftowe cienie przesuwają się w pewnym uporządkowanym ruchu.

Jeśli w ogóle myślał, wchodząc do sali, wierzył może, że przywiódł go, a teraz porusza nim jakiś waleczny Michał w Swej Własnej Osobie. Najwyraźniej oczy jego nawet na chwilę nie zostały oślepione niespodziewanym światłem i ruchem > gdyż rzucił się pomiędzy ciała, których głowy odwracały się ku niemu, jak gdyby szła za nim fala zdumienia i rozpoczynającego się dzikiego zgiełku. Podbiegł do młodzieńca, którego usynowił ze swej własnej i nieprzymuszonej woli i którego starał się wychować jak najlepiej zgodnie ze swym sumieniem. Joe i kelnerka tańczyli i Joe nie zauważył go jeszcze. Kobieta nie widziała go nigdy, z wyjątkiem tamtego jednego razu, ale może zapamiętała go albo może jego ukazanie się wystarczyło. Bo przestała tańczyć i na jej twarzy pojawił się wyraz bardzo podobny do przerażenia. Joe dostrzegł ten wyraz i odwrócił się. Gdy się odwracał, Mc-Eachern dopadł ich. McEachern także widział tę kobietę tylko raz i najprawdopodobniej nie spojrzął nawet na nią wówczas, tak jak nie słuchał, gdy ludzie mówili o cudzołóstwie. A jednak podszedł prosto do

niej, nie zwracając chwilowo żadnej uwagi na Joe'ego.

— Precz, Jezebel! — powiedział. Jego głos zagrzemiał wśród wstrząśniętej ciszy, wstrząśniętych, oświetlonych naftowymi lampami twarzy, wśród przerywanej muzyki, wśród spokojnej księżycowej nocy wczesnego lata. — Precz, nierządnicu!

Może nie wydawało mu się, że porusza się szybko ani że mówi głośno. Zdawało mu się prawdopodobnie, że stoi, sprawiedliwy i podobny do opoki, nie ogarnięty pośpiechem ani gniewem, podczas gdy naokół nędzni swą człowieczą słabością ludzie zachłyśnięci są przerażeniem na jego widok — na widok przedstawiciela gniewnego i karzącego Tronu. Może to nawet nie jego ręce uderzyły w twarz młodzieńca, którego

żywił, ochraniał pod swym dachem i przy-odziewał od dziecka. I może, gdy twarz uchyliła się przed ciosem, a potem pojawiła znowu, nie była to twarz tego dziecka. Ale to go nie zdziwiło, bo nie był zainteresowany teraz twarzą dziecka: była to twarz Szatana, którą znał równie dobrze. I gdy, wpatrując się w tę twarz, ruszył ku niej z uniesioną ręką, szedł — najprawdopodobniej we wściekłym i sennym jak gdyby uniesieniu męczennika, który został już rozgrzeszony — prosto ku opadającemu krzesłu, którym Joe trzasnął go w głowę — i ku nicości. Może nicość zdziwiła go trochę, ale nie bardzo i nie na długo.

Wszystko nagle odbiegło od Joe'ego huczając, zamierając, pozostawiając go pośrodku izby, trzymającego w ręce pogruchotane krzesło i spoglądającego w dół ku swemu przybranemu ojcu. McEachern leżał na wznak. Wyglądał teraz zupełnie spokojnie. Zdawał się uśpiony, tępogłowy, niepokonany nawet w spoczynku. Nawet krew na jego czole była cicha i spokojna.

212

Joe oddychał ciężko. Słyszał swój oddech i jeszcze coś cienki, przenikliwy, daleki dźwięk. Zdawało mu się, że słucha bardzo długo, nim poznał, że to głos, kobiecy głos. Spojrzał i zobaczył, że dwóch mężczyzn trzyma ją, a ona skręca się i wrywa, “włosy opadły jej na pobladłą, wykrzywioną, brzydką i pokrytą plamami rozartej szminki twarz. Usta były małym, nierówno wykrojonym otworem, pełnym wrzasku.

— Nazwał mnie nierządnicą! — krzyczała wrywając się mężczyznom. — Stary skurwysyn! Puśćcie mnie! Puśćcie mnie! — Potem przestała mówić i krzyczała tylko, wrywając się, wijąc i próbując gryźć ręce mocujących się z nią mężczyzn.

Nadal trzymając pogruchotane krzesło, Joe podszedł ku niej. Stłoczeni pod ścianami, zbici w gromadki, przyglądali mu się pozostali ludzie: dziewczęta w lichych pończochach i w pantoflach na wysokich obcasach, kupionych za zaliczeniem pocztowym; i młodzi mężczyźni w źle uszytych, workowatych ubraniach, także kupionych za pocztowym zaliczeniem. Mieli twarde, zniszczone ręce i oczy zdradzające już teraz lata cierpliwego brnięcia po nieskończonych brzdach za powolnymi zadami mułów. Joe podbiegł, wymachując krzesłem.

— Puśćcie ją! — powiedział.

Natychmiast przestała się wrywać i zwróciła swoją wściekłość ku niemu. Wrzasnęła na niego, jak gdyby dopiero teraz go zobaczyła, jakby dopiero w tej chwili zrozumiała, że on także tu jest.

— Ty! Tyś mnie tu przywiózł! Przeklęty wsiowy bękaracie! Bękaracie! Ty

skurwysynu! Taki sam skurwysynu jak on! Napuściłeś go na mnie, która nigdy nawet nie spojrzalam na...

213

Joe nie zdawał się biec ku żadnemu poszczególnemu człowiekowi, a jego widoczna pod uniesionym krzesłem twarz była spokojna. Inni odsunęli się od kobiety i uwolnili ją, ale nadal wykręcała ramiona, jak gdyby nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Uciekaj stąd! — krzyknął Joe. Zakręcił się, wymachując krzesłem. Twarz jego wciąż była spokojna. — Cofnąć się! — powiedział, chociaż nikt nie ruszył ku niemu. Wszyscy byli nieruchomi i cisi jak człowiek leżący na podłodze. Zamachnął się krzesłem, wycofując się teraz ku drzwiom. — Cofnijcie się! Powiedziałem, że zabiję go kiedyś! Powiedziałem mu to! — Kręcił wokół siebie krzesłem, spokojnie cofając się ku drzwiom. — Niech nikt się nie rusza teraz! — powiedział, patrząc pewnie i nie spuszczać oka z twarzy, które mogłyby być maskami. Potem rzucił krzesło na ziemię, zakręcił się na pięcie i skoczył za drzwi w miękkie, cętkowane światło księżyca. Dogonił kelnerkę, gdy wsiadła do samochodu, którym przyjechali. Oddychał ciężko, ale mimo to głos jego także był spokojny. Twarz była senna.

— Wracaj do miasta — powiedział. — Będę tam, jak tylko...

Najwyraźniej sam nie rozumiał tego, co mówił, ani tego, co się dzieje. Gdy kobieta odwróciła się niespodziewanie w drzwiczkach samochodu i zaczęła go bić po twarzy, jego głos nie zmienił się.

— Tak. W porządku. Będę tam, jak tylko...

Potem odwrócił się i zaczął biec, gdy ona nadal próbowała go bić.

Nie mógł wiedzieć, gdzie McEachern pozostawił konia, ani nawet nie mógł mieć pewności, że w ogóle go tu pozostawił. A jednak pobiegł prosto w jego stro-

214

nę, prowadzony czymś, co przypominało absolutną wiarę i nieomylną jego przybranego ojca. Wskoczył na konia i skręcił ku drodze. Zobaczył tylne światelko samochodu, które zmalowało i znikło.

Stary, silny, chłopski koń powrócił do domu swym równym, powolnym kłusem. Młodzieniec na jego grzbiecie jechał lekko, kołysał się lekko, pochylony głęboko ku przodowi, radując się, być może, w tej chwili, tak samo jak kiedyś Faust, z pozostawienia za sobą na zawsze owego Nie Będziesz, radując się z ostatecznego uwolnienia od honoru i prawa. Jadąc, wdychał słodkawą, ostrą zapach końskiego potu, podobny do zapachu siarki, niesiony przez niewidzialny wiatr. Zawołał głośno:

— Zrobiłem to! Zrobiłem to! Powiedziałem im, że to zrobię!

Wjechał na prowadzącą ku domowi polną drogę i nie zwalniając popędził konia w blasku księżyca. Myślał, że będzie ciemno, ale nie było ciemno. Starannie ukryty sznur był teraz w tym samym stopniu częścią jego umarłego życia, jak honor, nadzieja i stara, wyniszczona kobieta, która przez trzynaście lat była jego wrogiem, a teraz nie spała, czekając na niego. W sypialni jej i McEacherna płonęło światło, a ona stała w drzwiach zawinięta w szal, okrywając nim nocną koszulę.

— Joe? — zapytała. Szybko przeszedł sieni. Jego twarz była tą samą twarzą, którą zobaczył McEachern, gdy krzesło opadało. Może nie widziała jej jeszcze wyraźnie. — Co się stało? — zapytała. — Ojczulek odjechał na koniu. Słyszałam...

W tej chwili zobaczyła jego twarz. Ale nie miała nawet czasu, żeby się odsunąć. Nie uderzył jej. Jego

215

dłoń na jej ramieniu była bardzo łagodna. Spieszył się tylko, odsuwając ją ze swej drogi. Odsunął ją tak, jak się odsuwa zasłonę przy drzwiach.

— Jest na tańcach — powiedział. — Odsuń się, stara kobieto. — Odwróciła się, chwytając jedną ręką za brzeg szala, a drugą drzwi, i patrzyła za nim, gdy przebiegł pokój i zaczął prędko wspinać się po schodach prowadzących na poddasze. Nie przystając, obejrzał się. Zobaczyła wtedy jego zęby, lśniące w świetle lampy. — Na tańcach, słyszysz? Ale nie tańczy!

Roześmiał się ku lampie i odwrócił głowę, a jego śmiech wbiegł na schody i zniknął w górze, jak gdyby Joe biegł głową naprzód i śmiał się ku czemuś, co wymazywało go jak narysowany kredą na tablicy obrazek.

Poszła za nim, wdrapując się mozolnie po schodach. Zaczęła iść za nim prawie w tej samej chwili, kiedy ją minął, jak gdyby ta nieubłagana konieczność, która kazała jej mężowi odjechać, powróciła jak płaszcz narzucony na ramiona chłopca i została z kolei przekazana jej. Wdrapywała się po pogiętych schodkach, ściskając poręcz jedną ręką, a szal drugą. Nie mówiła; nie wołała go. Była jak gdyby zjawą, posłuszną rozkazowi, przysłanemu przez nieobecnego władcę. Joe nie zapalił u siebie lampy. Ale pokój pełen był odbitego światła księżycowego. Zresztą, nawet gdyby i tego nie było, z łatwością odgadłaby, co robi. Wyprostowała się przy ścianie, macając po niej ręką, aż wreszcie dotknęła łóżka i osunęła się na nie, siadając. Zajęło jej to trochę czasu, a kiedy spojrzała w stronę obluźowanej deski, on podchodził już do łóżka, gdzie bezpośrednio padało światło księżyca. Przyglądała mu się, gdy opróżniał blaszaną

puszkę, wsypując monety i banknoty do

216

ręki, a potem wpychając ręką do kieszeni. Dopiero wtedy spojrzał na nią, siedzącą, trochę odchyłoną do tyłu, opartą na jednej ręce i ściskającą szal w drugiej.

— Nie poprosiłem cię o to — powiedział. — Pamiętaj. Nie poprosiłem, bo bałem się, że mi je dasz. Wziąłem je sam. Nie zapominaj o tym.

Odwracał się już, zanim głos jego ucichł. Widziała go, gdy wkraczał w padający na schody blask lampy. Zaczął schodzić. Zniknął z jej pola widzenia, ale nadal słyszała go. Usłyszała go raz jeszcze w sieni, idącego szybko, a po pewnym czasie znów usłyszała galopującego konia. A potem odgłos końskich kopyt ucichł.

Zegar wybijał gdzieś pierwszą, gdy Joe popędził wyczerpanego już zupełnie, starego konia przez ulice miasta. Od pewnego czasu koń oddychał ciężko, ale Joe wciąż utrzymywał go w niepewnym klusie przy pomocy ciężkiego kija, którym okładał jego zad. Nie był to pręt, ale kawałek szczotki, który został wbity w klomb pani McEachern, aby coś rosło przy nim przed domem. Chociaż koń nadal poruszał się, jak gdyby galopował, biegł w tempie idącego człowieka. Kij także unosił się i opadał z tą samą okropną i pełną wyczerpania powolnością, a chłopak na końskim grzbiecie pochylał się głęboko ku przodowi, jak gdyby nie wiedział, że koń stracił siły, albo jak gdyby chciał pociągnąć ku przodowi słabnące zwierzę, którego powolne podkowy dzwoniły równomiernie i głucho na pustych i pocętkowanych księżycem ulicach. Wyglądali — koń i jeździec — dziwnie i sennie, jak gdyby byli częścią zwolnionego obrazu w kinie: gdy posuwali się słabnącym równomiernym galopem w stronę

217

tego rogu ulicy, na którym czekał zwykle kiedyś, mniej przynaglany może, ale tak samo gwałtowny i młodszy.

Koń nie biegł teraz nawet klusem. Nogi stawiał sztywno, a oddech miał głęboki, zmęczony i urywany. Każde odetchnięcie podobne było do jęku. Kij opadał nadal. Dokładnie w tym samym stopniu, w jakim malała szybkość konia, zwiększała się szybkość kija. Ale koń zwolnił, walcząc z wędzidłem, i zatrzymał się, drżący, z opuszczoną głową, pocętkowany cieniem. Oddech jego przypominał prawie zupełnie głos ludzki. Ale mimo to jeździec nadal pochylał się do przodu w nieruchomym siodle, jak gdyby poruszał się z ogromną szybkością, bijąc konia kijem po zadzie. Gdyby nie unoszenie się i opadanie kija i jękliwy oddech konia, można ich było wziąć za konny posąg zablakany ze swego cokołu i stojący w postawie, która znamionowała zupełne

wyczerpanie, na cichej i pustej ulicy, poplamionej i pocętkowanej światłem księżyca.

Joe zsiadł. Podszedł do konia od przodu i zaczął go ciągnąć, szarpiąc, jak gdyby chciał go wprowadzić w ruch siłą, a potem wskoczył mu na grzbiet. Koń nie poruszył się. Joe ciągnął. Był pochylony w stronę konia. Znowu znieruchomieli: wyczerpane zwierzę i młody człowiek, stojąc naprzeciw siebie. Głowy mieli zupełnie blisko, jak gdyby wyrzeźbiono ich w postawie nadśłuchującej albo modlitewnej, a może podczas narady. Potem Joe uniósł kij i zaczął nim bić konia po nieruchomej głowie. Bił go równomiernie; póki kij nie pękł. Bił go dalej kawałkiem nie dłuższym niż jego własna dłoń. Ale może zrozumiał, że nie zadaje już żadnego bólu, a może ręka mu się w końcu zmęczyła, bo odrzucił kij, odwrócił się

218

i zakreślił na pięcie, biegnąc. Nie obejrzał się. Mała. Jego biała koszula unosiła się, opadała, niknąc w księżycowych cieniach. Zniknął tak zupełnie z życia konia, jakby nigdy nie istniał.

Minął róg, na którym zwykł był kiedyś czekać. Jeżeli zauważył to albo myślał w ogóle wtedy, musiał sobie powiedzieć: Mój Boże, jak to dawno. Jak dawno to już było. Ulica zmieniła się w pokrytą kocimi łbami drogę. Miał jeszcze całą milę przed sobą, więc biegł nie za szybko, ale ostrożnie, równo, z pochyloną głową, jak gdyby przyglądał się drodze. Łokcie trzymał blisko ciała jak wytrenowany biegacz. Droga wiała się, ubielona księżycem, mając po bokach rozrzucone w dużych odstępach małe, nowe, okropne domki, w których ludzie, przybyli wczoraj znikąd i mający jutro odjechać nie wiadomo gdzie, mieszkali na skrajach miast. Wszystkie były już nie oświetlone, poza tym jednym, ku któremu biegł.

Gdy dobiegł do tego domu, skreślił z drogi. Jego stopy uderzały równo i głośno wśród późnej ciszy. Może widział już kelnerkę, ubraną w ciemną sukienkę podróżną, w kapeluszu na głowie i z zapakowaną walizką — czekającą. (Ale czym mają odjechać, jak i za pomocą jakich środków, nie pomyślał ani razu). A może widział także Maxa i Mamę, prawdopodobnie rozebranych już — Maxa bez marynarki, a może nawet w podkoszulku, a Mamę w lekkim, niebieskim kimonie — krzątających się głośno i wesoło, jakby kogoś zegnali. Ale w rzeczywistości nie myślał wcale, bo w ogóle nie powiedział kelnerce, żeby przygotowała się do drogi. Może myślał, że powiedział jej albo że sama powinna wiedzieć, bo jego plany na przyszłość i niedawne uczynki wydawały mu się dostatecznie pro-

219

ste, aby każdy mógł je zrozumieć. Może nawet wierzył, że gdy wsiadała do samochodu, powiedział jej o tym, że jedzie do domu po pieniądze.

Wbiegł na ganek. Nawet podczas rozkwitu swego życia w tym domu zawsze instynktownie usuwał się z drogi w cień ganku, a stamtąd do mieszkania, gdzie go oczekiwano, starając się to robić jak najszybciej i bez zwracania uwagi. Zapukał. W jej pokoju paliło się światło, a drugie, jak tego oczekiwał, płonęło w końcu sieni. Spoza zasłoniętych okien dobiegały głosy, kilka głosów, które zdawały się raczej podniecone, a nie wesołe. Tego też oczekiwał, myśląc: Może myślą, że się nie zjawię. Ten przekłety koń. Ten przekłety koń. Zapukał raz jeszcze, głośniejszym głosem, trzymając klamkę w dłoni i potrząsając nią, przyciskając twarz do matowej szyby frontowych drzwi. Głosy ucichły. Potem z głębi domu nie dobiegł już żaden dźwięk. Dwa światła, jedno za rozjaśnioną firanką jej pokoju i drugie za matową zasłoną drzwi frontowych, płonęły równym, nie chybotliwym blaskiem, jak gdyby wszyscy ludzie w tym domu umarli nagle w chwili; gdy dotknął klamki. Zaczął pukać znowu, nie robiąc prawie żadnych przerw w pukaniu. Pukał jeszcze, gdy drzwi (żaden cień nie padł na zasłonę i nie słychać było żadnych kroków) usunęły mu się niespodziewanie i cicho spod uderzającej dłoni. Przekroczył już słomiankę, jak gdyby był przytwierdzony do tych drzwi, gdy Max pojawił się spoza nich i zagroził mu drogę. Był zupełnie ubrany, miał nawet kapelusz na głowie.

— No, no, no — powiedział. Nie mówił głośno. Szybko wciągnął Joe'ego do sieni, zamknął za nim drzwi i przekręcił klucz, zanim Joe zrozumiał, że jest w środku. Jednak głos jego zachował nadal swoją dwu-

220

znaczność, tę dwuznaczność serdeczną, pustą i zupełnie pozbawioną radości albo wesołości, jak muszla albo coś, czym osłaniał twarz, aby móc spoza tego patrzeć na Joe'ego, który dawniej czuł, że złości go to i dziwi. — Nareszcie przybył Romeo — powiedział. — Wesoły chłopak z ulicy Beale. — To wypowiedział trochę głośniejszym głosem, wymawiając słowo Romeo zupełnie głośno. — Wejź i spotkaj się z całym towarzystwem.

Joe szedł już w stronę znajomych drzwi, znowu prawie biegł, o ile w ogóle przestał biec przedtem. Nie słuchał Maxa. Nigdy nie słyszał o ulicy Beale, trzech albo czterech przecznicach w Memphis, w porównaniu z którymi Harlem jest bajeczką filmową. Joe nie patrzył na nic. Niespodziewanie zobaczył jasnowłosą kobietę stojącą w głębi sieni. Nie słyszał jej, gdy wchodziła do sieni, która na pewno była pusta, kiedy

wszedł. A jednak, niespodziewanie, stała tam. Ubrana była w ciemną suknię i trzymała w ręce kapelusz. A tuż obok w otwartych bocznych drzwiach piętrzyła się góra bagażu, wiele walizek. Może nie zauważył ich. A może, patrząc, zobaczył je raz i spojrzenie było szybsze niż myśli: Nie myślałem, że tyle ich będzie miała. Może pomyślał wtedy po raz pierwszy, że nie mają czym podróżować, myśląc: Jak mogę nieść to wszystko. Ale nie zatrzymał się skręcając ku znajomym drzwiom. Dopiero wtedy, gdy położył rękę na klamce, uświadomił sobie zupełną ciszę za drzwiami, ciszę, o której wiedział, mając osiemnaście lat, że spowodowana może być tylko przez obecność więcej niż jednej osoby. Ale nie zatrzymał się. Może nie zauważył nawet, że się znowu opustoszała, że jasnowłosa kobieta znowu zniknęła, a on nie usłyszał tego ani nie zobaczył.

Otworzył drzwi. Biegł teraz, to znaczy biegł, jeżeli

221

można biec, wyprzedzając samego siebie i swoją świadomość, stając równocześnie nieruchomo jak pień. Kelnerka siedziała na łóżku, zupełnie tak samo, jak siadywała wiele razy przedtem. Miała na sobie ciemną sukienkę i kapelusz, tak jak to przewidywał, jak o tym wiedział. Siedziała z pochyloną głową, nie patrząc nawet na otwierające się drzwi i trzymając papierosa w nieruchomej dłoni, wyglądającej prawie monstrualnie w swej nieruchomości na tle ciemnej sukienki. W tej samej chwili zobaczył drugiego mężczyznę. Nie widział go nigdy przedtem. Ale nie zdawał sobie teraz z tego sprawy. Dopiero później przypomniał to sobie i przypomniał sobie stos waliz w ciemnym pokoju, na które spojrział, gdy myśl biegła szybciej niż spojrzenie.

Nieznajomy też siedział na łóżku i też palił. Kapelusz miał nasunięty na czoło tak, że cień ronda padał mu na usta. Nie był stary, ale nie wyglądał także młodo. On i Max mogliby być braćmi w tym sensie, w jakim każdych dwóch białych ludzi, zabłąkanych w afrykańskiej dżungli, mogłoby się wydawać braćmi tym, którzy tam mieszkają. Jego twarz, to znaczy jego podbródek, na który padało światło, była nieruchoma. Joe nie wiedział, czy nieznajomy patrzy na niego, czy nie. Nie wiedział także, że Max stoi tuż za nim. Słyszał ich głosy, nie rozumiejąc, co mówią, nie słuchając nawet: Zapytaj go.

Skąd może wiedzieć. Może usłyszał te słowa. Ale chyba nie. Chyba znaczyły nadal nie więcej niż szelest owadów za zamkniętym oknem albo zapakowane walizki, które już widział i których nie zobaczył. Bobbie powiedziała, że urwał się stamtąd od razu po tym.

Może wiedzieć. Dowiedzmy się przynajmniej, jeżeli możemy, przed czym właściwie uciekamy.

222

Joe biegł nadal, chociaż nie poruszał się od chwili, kiedy wszedł. Gdy Max dotknął jego ramienia, odwrócił się, jak gdyby zatrzymano go w pół kroku. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że Max jest w pokoju. Spojrzał na Maxa przez ramię z pewnego rodzaju wściekłym zniecierpliwieniem.

— No, gadaj, dziecko — powiedział Max. — Co z tym słycać?

— Z czym? — zapytał Joe.

— Z tym starym facetem. Myślisz, żeś go wykończył? Powiedzmy sobie szczerze. Nie chcesz chyba wpakować Bobbie w kabałę?

— Bobbie — powiedział Joe, myśląc: Bobbie, Bobbie. Odwrócił się, znowu biegnąc. Tym razem Max chwycił go za ramię, ale nie mocno.

— Jazda! — powiedział Max. — Czy nie jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi? Czy wykończyłeś go?

— Czy wykończyłem go? — powiedział Joe złym głosem, w którym była niecierpliwość i hamowana złość, jak gdyby był nagabywany i zatrzymywany przez dziecko.

Nieznajomy odezwał się:

— Ten, którego uderzyłeś w głowę krzesłem. Czy umarł?

— Umarł? — zapytał Joe. Spojrzał na nieznajomego. Spojrzawszy, znowu zobaczył kelnerkę i znowu zaczął biec. Rzeczywiście poruszył się teraz. Usunął zupełnie obu mężczyzn ze swych myśli. Podszedł do łóżka, sięgając do kieszeni i mając na twarzy równocześnie wyraz zachwyty i triumfu. Kelnerka nie spojrzała na niego. Nie spojrzała na niego ani razu od chwili, kiedy wszedł, chociaż bardzo jest możliwe, że zupełnie tego nie zauważył. Nie poruszyła się. Papie-

ŚWIAT1.OŚĆ W SIERPNIU

223

roś nadal palił się w jej dłoni. Jej wielka dłoń była tak wielka, martwa i blada jak kawał gotującego się mięsa. Znowu ktoś go chwycił za ramię. Tym razem był to nieznajomy. Nieznajomy i Max stali teraz ramię przy ramieniu patrząc na Joe'ego.

— Zupełnie zatłkany — powiedział nieznajomy. — Jeżeli wykończyłeś faceta, to powiedz. Długo się tego nie utrzyma w tajemnicy. Powinni chyba usłyszeć o tym w przyszłym miesiącu.

— Nie wiem, mówię wam przecież! — powiedział Joe. Spojrzał od jednego do drugiego, zły, ale jeszcze nie błyskający oczami. — Uderzyłem go. Upadł. Powiedziałem mu, że zrobię to któregoś dnia. — Spojrzał kolejno na dwie nieruchome, prawie identyczne twarze. Zaczął szarpać ramieniem w uścisku nieznanego.

Max odezwał się:

— Więc po coś tu przyszedł?

— Po co?... — powiedział Joe. — Po co? — powiedział z zamierającym zdumieniem, błyskając oczami od jednej twarzy ku drugiej, pełen oburzonego, ale wciąż jeszcze cierpliwego rozjątrzenia. — Po co przyszedłem? Przyszedłem po Bobbie. Czy myślicie, że ja... jeżeli wróciłem się ten cały kawał drogi do domu, żeby wziąć pieniądze potrzebne, żeby się ożenić...

Raz jeszcze usunął ich zupełnie, zapomniał o nich. Wyrwał się i zwrócił do kobiety, mając znowu na twarzy ten wyraz zapomnienia, zachwycenia i dumy. Najprawdopodobniej obaj mężczyźni zostali zdmuchnięci w tej chwili z powierzchni jego życia, jak dwa kawałki papieru. Najprawdopodobniej nie wiedział nawet, że Max podchodzi do drzwi i woła, a w chwilę później wchodzi jasnowłosa kobieta. Pochylił się nad łóżkiem, na którym siedziała nieruchoma i spogląda-

224

jąca w dół kelnerka. Pochylił się nad nią, wyrzucając z kieszeni pomietą kupkę banknotów i monet na jej kolana i na łóżko obok niej.

— Tu! Spójrz na nie! Zobacz! Mam! Widzisz?

Potem znów powiał na niego wiatr, tak samo jak przed trzema godzinami w budynku szkolnym, gdy stał pośród ludzi, o których istnieniu chwilowo zapomniał. Stał cicho, jakby we śnie, wyprostowany uderzeniem, które otrzymał od podrywającej się z łóżka kelnerki, i patrzył na nią, stojącą, zbierającą pomietę rozrzucone pieniądze i ciskającą je. Spokojnie patrzył na jej wykrzywioną twarz, na krzyżące usta i na oczy, także krzyżące. Spośród nich wszystkich tylko on sam wydawał się sobie cichy i spokojny. Jego głos był tak cichy, że zaledwie dawał się słyszeć: — To znaczy, że nie chcesz? — powiedział. — To znaczy, że nie chcesz?

Było to bardzo podobne do tego, co się stało w budynku szkolnym: ktoś trzymał ją wyrywającą się i krzyżącą, z włosami rozwianymi szamotaniem. Jej twarz, nawet jej usta, w przeciwieństwie do włosów, były martwe jak martwe usta w martwej twarzy.

— Bękart! Skurwysyn! Wpakował w kabałę mnie, co go zawsze traktowałam jak

białego człowieka! Białego człowieka!

Ale bardzo możliwe, że nawet dla niego był to ciągle jeszcze hałas, którego nie dawało się uchwycić: po prostu część świstu przeciągłego wiatru. Wpatrywał się w nią tylko, w tę twarz, której nigdy przedtem nie widział, mówiąc spokojnie (a czy głośno, czy nie, tego nie umiał powiedzieć): Jak to, przecież popełniłem morderstwo dla niej. Nawet ukradłem dla niej, jak gdyby dopiero teraz usłyszał o tym, pomyślał o tym, dowiedział się, że to zrobił.

225

A wtedy ona także zdawała się znikać z jego życia, zdmuchnięta jak trzeci kawałek papieru. Zaczął kołysać ramieniem, jak gdyby ręka nadal trzymała to pogruchothane krzesło. Jasnowłosa kobieta znajdowała się od pewnego czasu w pokoju. Zobaczył ją po raz pierwszy, bez zdumienia, sądząc, że najwidoczniej zmaterializowała się z powietrza, nieruchoma, z tym twardym jak powierzchnia diamentu spokojem, który wyposażał ją w godność tak niewzruszoną i cichą jak uniesiona biała rękawiczka policjanta. Ani jeden z jej włosów nie wysunął się z fryzury. Miała teraz na sobie jasnoniebieskie kimono zarzucone na ciemną suknię podróżną. Powiedziała spokojnie:

— Weźcie go. Musimy się stąd wynosić. Niedługo przyjdzie tu policja. Będą wiedzieli, gdzie go szukać.

Może Joe nie słyszał wcale jej ani kelnerki, krzyczącej: — Sam mi powiedział, że jest czarnuchem! Skurwysyn! A ja pierdoliłam się za darmo z czarnuchem, skurwysynem, który wkopał mnie w kabałę z wsiową policją. Na wsiowej potańcówce!

Może słyszał już tylko świst tego przeciągłego wiatru, gdy, kołysząc ręką, jak gdyby nadal trzymał w niej krzesło, skoczył na tych dwóch mężczyzn. Najprawdopodobniej nie wiedział nawet, że szli już ku niemu. Bo w zachwyceniu, podobnym do zachwycenia swego przybranego ojca, skoczył sam i ze swej własnej woli prosto na pięść nieznajomego. Może nie czuł także uderzenia, chociaż nieznajomy uderzył go dwa razy w twarz, nim dotknął podłogi, gdzie jak ów człowiek, którego powalił niedawno, upadł na wznak, zupełnie nieruchomo. Ale nie stracił przytomności, bo oczy jego były wciąż jeszcze otwarte i patrzyły na nich zupełnie spokojnie. Nie było w tych oczach nic, żadne-

15 - Światłość...

226

go bólu, żadnego zdumienia. Ale najwidoczniej nie mógł się poruszyć. Leżał

tam tylko z wyrazem głębokiego zamyślenia, patrząc spokojnie na dwóch mężczyzn i na jasnowłosą kobietę, ciągle nieruchomą, zupełnie gotową i gładką jak świeżo ustawiony posąg. Może nie słyszał także głosów, a może słyszał, ale raz jeszcze miały one nie więcej znaczenia niż suche brzęczenie owadów za oknem:

Skurwili mi świetny, piękny interes, który był jak wymarzony.

Powinien trzymać się z daleka od kurew.

Nie może się powstrzymać. Urodził się za blisko jednej.

Czy on naprawdę jest czarnuchem? Nie wygląda na to.

Tak powiedział do Bobbie którejs nocy. Ale myślę, że ona do tej pory nie wie więcej o tym, czym on jest, niż on sam. Te wiejskie bękarty mogą być wszystkim.

Dowiemy się. Zobaczymy, czy jego krew jest czarna. Leżąc spokojnie i nieruchomo, Joe przyglądał się nieznajomemu, który pochylał się i uniół jego głowę z podłogi, a potem znowu uderzył go w twarz. Tym razem było to krótkie, ostre uderzenie. Po chwili polizał swoją wargę, tak jak dziecko liże gorącą łyżkę. Patrzył na rękę nieznajomego, gdy cofnęła się do drugiego zamachu. Ale nie opadła.

To wystarczy. Wyośmy się do Memphis.

Jeszcze tylko raz. Joe leżał spokojnie i przyglądał się ręce. Potem Max także pochylał się obok nieznajomego. Musimy mieć jeszcze trochę krwi, żeby powiedzieć na pewno.

Pewnie. Nie musi się martwić. To też będzie na koszt firmy.

227

Ręka nie opadła. Jasnowłosa kobieta także stała już przy nich. Trzymała za przegub uniesioną rękę nieznajomego. Powiedziałam, że to wystarczy.

10

Nie smutek, ale świadomość pamięta tysiąc dzikich, samotnych ulic. Biegną one od tej nocy, gdy leżał i słyszał ostatni odgłos czyjejs stopy na podłodze, a potem ostatnie trzaśnięcie drzwiami (nie zgasili nawet światła). Leżał później spokojnie na wznak, mając otwarte oczy, a nad nim paliła się bolesnym, nie słabnącym blaskiem niska żarówka, jakby płonęła w domu, którego wszyscy mieszkańcy umarli. Nie wiedział, jak długo tam leżał. Nie myślał w ogóle, nie cierpiał. Może miał świadomość, że w głębi jego istoty leżą dwa przewody: wola i czucie, nie stykające się teraz, czekające na to, żeby się zetknąć, połączyć od nowa, tak aby mógł się poruszyć. Kończąc swoje przygotowania do odjazdu, przestępowali go od czasu do czasu, jak ludzie, którzy opuszczając na zawsze jakiś dom, wymijają przedmiot, który chcą

pozostawić.

Tu bobbie tu dziecko tu jest twój grzebień zapomniałaś go tu jest romea kieszonkowe za karmienie kur jezu musiał chyba obrabować po drodze niedzielną szkołę to należy do bobbie czy nie widziałeś jak jej to dawał czy nie widziałeś ty stary tak wielkodusznie w porządku pozbieraj to dziecko możesz je sobie schować jako ratę albo pamiątkę albo coś ona tego nie chce no powiedzcie to fatalnie no może to paskudnie ale nie możemy tego tak zostawić leżącego na podłodze wygryzie dziurę w podłodze i tak już pomogły wygryźć

228

jedną dziurę bardzo piękną jak na swój wzrost jak na jakikolwiek wzrost hej bobbie hej dziecko pewnie że tylko je przechowam dla Bobbie gównu przechowasz no mam na myśli że połowe przechowam dla bobbie zostawcie je tu wy bekany czego chcecie od nich przecież należą do niego o mój słodki jezu a na co mu one nie używa pieniędzy nie potrzebuje ich zapytaj bobbie czy ich potrzebuje one dają mu za darmo to za co my wszyscy musimy płacić zostaw je tam powiedziałam a gównu nie są moje żebym je zostawiał należą do bobbie też nie są chyba że słodki jezu chcesz mi powiedzieć że ci jest winien forszę że i ciebie pierdolił za moimi plecami na kredyt powiedziałam zostaw to spieszcie się to nie jest więcej niż pięć albo sześć dolarów na lepek. Potem jasnowłosa kobieta pochyliła się nad nim, a on patrzył spokojnie, gdy uniosła spódnicę i wyjęła z górnej części pończochy płasko złożony plik banknotów, wyjęła jeden i wsunęła go do kieszonki w jego spodniach. Potem odeszła. Jazda jazda stąd nie jesteś jeszcze gotowa sama musisz włożyć gdzieś to kimono i zamknąć walizkę i znów się upudrować przynieś moją torebkę i kapelusz idź już i zabierz bobbie i tamte walizki i wejdź do samochodu i czekaj na mnie i maxa czy myślicie że pozostawię któregoś z was tutaj żebyście mu ukradli i to jazda teraz wynoście się.

A potem już ich nie było: ostateczne trzaśnięcie drzwiami, ostateczny odgłos stóp. Potem usłyszał samochód, zagłuszający hałas owadów, głośny, cichnący do tego samego poziomu, a potem opadający niżej tak, że słyszał znowu tylko owady. Leżał tam, pod żarówką. Nie mógł się jeszcze poruszyć, tak jak mógł patrzeć, nie patrząc, i słyszeć, nie wiedząc w rzeczywistości. Dwa końce drutu nie zetknęły się jeszcze,

229

gdyż leżał spokojnie, od czasu do czasu liżąc swoje wargi jak dziecko.

Potem końce drutu zetknęły się i uzyskały połączenie. Nie wiedział dokładnie, kiedy to się stało, tyle tylko, że w pewnej chwili uświadomił sobie istnienie swej

wypełnionej dzwonieniem głowy i usiadł powoli, odnajdując się znowu, wstając na nogi. Był oszołomiony. Pokój wirował wokół niego powoli i równo jak rozmyślanie, tak że myśli powiedziały: Jeszcze nie. Ale nie czuł żadnego bólu, nawet wówczas, gdy oparty o biurko przyjrzał się w lustrze swojej spuchniętej i pokrwawionej twarzy i dotknął jej. — Słodki Jezu — powiedział. — Ależ mnie pobili. — Nie myślał jeszcze. Nie urosło to jeszcze do wysokości: Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli wyniosę się stąd. Podszedł do drzwi, wyciągając przed sobą ręce jak ślepiec albo lunatyk. Znalazł się w sieni, nie pamiętając o tym, że minął drzwi i znalazł się w drugiej sypialni, mając wciąż jeszcze nadzieję, że idzie ku frontowym drzwiom. Ten pokój też był mały. Ale zdawał się przesycony obecnością jasnowłosej kobiety, nawet jego popaczone, szorstkie ściany zdawały się tchnąć na zewnątrz tą wojowniczą i twardą jak powierzchnia diamentu godnością. Na pustym biurku stała półlitrowa butelka, prawie pełna whisky. Wypił ją powoli, nie czując wcale ognia, utrzymując równowagę dzięki temu, że chwycił za krawędź biurka. Whisky przeszła mu przez gardło, zimna jak melasa i pozbawiona smaku. Postawił pustą butelkę i opuściwszy głowę pochylił się nad biurkiem, nie myśląc, może czekając, i nie wiedząc o tym, że czeka, a może nie czekając. Potem whisky zaczęła parzyć mu wnętrzności i zaczął kręcić głową, powoli, z boku na bok, podczas gdy myślenie złało

230

się w jedno z powolnym, gorącym skręcaniem się jego wnętrzności: “Muszę się stąd wydostać”. Powrócił do sieni. Tym razem głowa była jasna, ale ciało nie chciało słuchać. Musiał je wlec wzdłuż sieni, slaniając się po ścianie ku drzwiom, myśląc: Gdybym tylko mógł się wydostać na zewnątrz, napowietrzę, chłodne powietrze, chłodną ciemność. Przyglądał się swoim rękom, guzdrzącym się przy drzwiach, starał się pomóc im, przypochebić się im i opanować je. “W każdym razie, nie zamknęli mnie — pomyślał. — Słodki Jezu, nie mógłbym się wydostać aż do rana. Nigdy bym nie mógł otworzyć okna i wyskoczyć”. Otworzył wreszcie drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą, klóćąc się ze swym ciałem, które nie chciało ich zamykać i zostało zmuszane do zamknięcia ich, a wraz z nimi do zamknięcia pustego domu, w którym dwa światła płonęły martwym i nieruchomym blaskiem, nie wiedząc, że dom jest pusty i nie dbając o to, nie dbając bardziej o opuszczenie i ciszę, niż dbały o tanie i brutalne noce cuchnących, za często używanych szklanek i cuchnących, za często używanych łóżek. Jego ciało stawało się coraz posłuszniejsze i coraz bardziej uległe. Wynurzył się z ciemnego ganku na światło księżycy i z pokrwawioną głową, pustym żołądkiem,

rozgrzany, odważny i dziko podniecony alkoholem wszedł w ulicę, która miała ciągnąć się przez piętnaście lat.

Whisky wygasło, zapalało się od nowa i znowu wygasło, ale ulica biegła ciągle naprzód. Począwszy od tej nocy tysiąc ulic biegło jak jedna ulica, o niedostrzegalnych zakrętach i zmianach dekoracji, przecięta odstępami wyproszonych albo wykradzionych podróży w pociągach, ciężarówkach i chłopskich wozach — z nim, mającym dwadzieścia, dwadzieścia pięć i

231

trzydzieści lat, siedzącym na ławce z nieruchomą, posępną twarzą i ubranym w strój (nawet jeśli strój ten był poplamiony i znoszony) człowieka z miasta. A woźnica nie wiedział, kim i czym jest jego pasażer, i nie odważał się zapytać. Ulica biegła przez Oklahomę i Missouri, i na Południe, aż do Mexico, a potem z powrotem do Chicago i Detroit, a potem znów na południe i wreszcie do Missisipi. Miała piętnaście lat długości: biegła pomiędzy dzikimi i nierzeczywistymi, zbitymi z nieheblowanych desek frontami domów miast naftowych, gdzie w swym nieodzownym wełnianym garniturze w jodełkę i lekkich półbutach, czarnych od bezdenne błota, jadł proste jedzenie, które kosztowało go dziesięć albo piętnaście dolarów za jeden posiłek i płacone było z pliku banknotów wielkości ogromnej ropuchy, także poplamionego tłustym błotem, które zdawało się tak bezdenne jak złoto, które wydzielalo. Biegła przez żółte pola pszeniczne, pochylające się pod ciężarem wściekłych, żółtych dni pracy i ciężkiego snu w stogach siana, oświetlonych szalonym, zimnym księżycem wrześnie i kruchymi gwiazdami. Był kolejno robotnikiem rolnym, górnikiem, poszukiwaczem złota, szulerem. Zaciągnął się do wojska, przesłużył cztery miesiące, zdezerterował i nigdy nie został schwytyany. I zawsze, prędzej czy później, ulica biegła przez wielkie miasta, a w nich przez jednakowe prawie dzielnice bez nazw godnych zapamiętania, gdzie za ciemnymi, dwuznacznymi i symbolicznymi drzwiami nocy kładł się do łóżka z kobietami, którym płacił, gdy miał pieniądze, a gdy nie miał pieniędzy, także się z nimi kładł, a potem mówił im, że jest Murzynem. Przez pewien czas udawało się to, póki był jeszcze na Południu. Było to zupełnie proste i zupełnie łatwe. Zwykle

232

ryzykował tylko, że zostanie zwymyślany przez kobietę i jej szefową, chociaż bywało, że "szefowie" niektórych domów publicznych masakrowali go do nieprzytomności i przytomniał potem na ulicy albo w więzieniu.

Stało się to, gdy znajdował się jeszcze (mówiąc ogólnie) na Południu. Pewnej nocy nie udało mu się. Wstał z łóżka i powiedział kobiecie, że jest Murzynem.

— Naprawdę? — zapytała. — Myślałam, że jesteś może jakimś Włochem albo kimś takim. — Spojrzała na niego bez specjalnego zainteresowania, a potem najwidoczniej dostrzegła coś w jego twarzy, a potem powiedziała: — I co z tego? Wyglądasz zupełnie dobrze. Szkoda, żeś nie widział czarnucha, którego tu miałam przed twoim przyjściem. — Patrzyła teraz na niego. Była zupełnie nieruchoma. — A myślałeś, że co? Że ta dziura to Hotel Ritz? — Potem przestała mówić. Wpatrując się w niego zaczęła się cofać powoli. Krew uciekła jej z twarzy i usta otworzyły się jak do krzyku. Potem krzyknęła. Trzeba było dwóch policjantów, żeby go obezwładnić. Początkowo myśleli, że kobieta nie żyje.

Był chory potem. Nie wiedział do tej chwili, że istnieją białe kobiety, które chcą człowieka o czarnej skórze. Był chory przez dwa lata. Czasami wspominał to i naciągał białych ludzi, żeby nazywali go Murzynem, aby móc z nimi walczyć, pobić ich albo samemu być pobitym. Potem pobił się z Murzynem, który nazwał go białym człowiekiem. Był teraz na Północy: w Chicago, a potem w Detroit. Mieszkał z Murzynami, unikając białych ludzi. Jadał z nimi, sypiał z nimi, wojowniczy, nieobliczalny, nietowarzystki. Żył teraz jak mąż z żoną z kobietą, która przypominała hebanową

233

rzeźbę. Leżąc podczas bezsennych nocy u jej boku, oddychał Umyślnie głęboko, przyglądając się swej piersi, zapadającej się coraz głębiej i głębiej, gdy próbował wchłonąć w siebie ciemny zapach, ciemne i nie-odgadnione myślenie i istnienie Murzynów, a przy każdym wydechu próbował wypędzić z siebie białą krew, białe myślenie i istnienie. Przez cały ten czas nozdrza jego białały i kurczyły się w zetknięciu z wonią, którą chciał uznać za własną, a cała jego istota skręcała się i prężyła z fizycznej niechęci i duchowego wypierania się.

Myślał, że ucieka przed samotnością, a nie przed sobą samym. Ale ulica biegła dalej: jak kot. Wszystkie miejsca były do siebie podobnie w jego oczach. Ale w żadnym z nich nie mógł znaleźć spokoju. Ulica biegła dalej. Zmieniała się w zależności od nastrojów i okresów, lecz zawsze była pusta. Gdyby mógł siebie widzieć, zobaczyłby siebie, jak gdyby w nieskończonej ilości milczących wcieleń, skazanego na ruch, popychanego przez odwagę rosnącej i opadającej rozpacz, przez rozpaczliwą odwagę, której możliwości trzeba było podniecać i hamować. Miał trzydzieści trzy lata.

Pewnego popołudnia ulica zamieniła się w wiejską drogę w Missisipi. Niedaleko jakiegoś małego miasteczka wyrzucono go z jadącego na południe towarowego pociągu. Nie wiedział, jak się to miasteczko nazywa, nie obchodziło go zupełnie słowo, które stanowiło jego nazwę. Zresztą, nie zobaczył nawet tego miasteczka. Obszedł je, idąc lasami, wynurzył się na drogę i spojrzął w obie strony. Nie była to brukowana droga, chociaż wyglądała na dosyć uczęszczaną. Dostrzegł kilka chat murzyńskich, rozrzuconych po obu jej stronach, a potem zobaczył, mniej więcej

234

odległości mili, wielki dom, ukryty w kępie drzew i sprawiający wrażenie miejsca, które musiało kiedyś mieć jakieś duże znaczenie. Ale widać było, że drzewa domagają się opieki ogrodnika, a sam dom nie jest odnawiany od lat. Ale Joe, który nie jadł już od dwudziestu czterech godzin, wiedział, że dom jest zamieszkały.

“Ten może być w sam raz” — pomyślał.

Ale nie podszedł od razu do domu, chociaż kończyło się już popołudnie. Zamiast tego odwrócił się doń plecami i poszedł w przeciwną stronę, ubrany w brudną białą koszulę, znoszone spodnie w jodełkę i spękane zakurzone miejskie buciki. Sukienną czapkę miał naciśniętą zaczepnie ponad trzydniowym zarostem. Ale nawet teraz nie wyglądał jak włóczęga, a przynajmniej nie w oczach murzyńskiego chłopca, którego spotkał właśnie, nadchodzącego drogą i wymachującego blaszanym wiadrem.

— Kto mieszka w tym dużym domu, tam, poza mną? — zapytał

— Tam, gdzie mieszka panna Burden?

— Pan i pani Burden?

— Nie, proszę pana. Nie ma żadnego pana Burden. Nikt tam nie mieszka, tylko ona.

— Och, myślę, że to pewnie stara kobieta?

— Nie, proszę pana. Panna Burden nie jest stara. I też nie młoda.

— I sama tam mieszka? Nie boi się?

— A kto jej zrobi krzywdę tu, w mieście? Murzyni w okolicy pilnują jej.

— Murzyni jej pilnują?

Było to tak, jak gdyby chłopiec zatrzasnął nagle drzwi pomiędzy sobą a pytającym go mężczyzną.

235

— Myślę, że nikt tu w okolicy nie chce jej zrobić krzywdy. Nie skrzywdziła nikogo.

— Na pewno nie — powiedział Christmas. — Jak daleko stąd do najbliższego miasta w tamtym kierunku?

— Mówią, że jakieś trzydzieści mil. Ale nie chce pan przecież iść piechotą, prawda?

— Nie — powiedział Christmas. Zawrócił i ruszył przed siebie. Chłopak patrzył za nim. Potem i on odwrócił się, wymachując wiadrzem obok swego szczupłego biodra. Po kilku krokach znów się odwrócił. Człowiek, który go wypytywał, szedł wciąż naprzód, równomiernie, ale nie prędko. Chłopiec znowu ruszył w swych wyblakłych, pocerowanych, przykrótkich spodniach. Był bosy. Po chwili zaczął podrzucać piasek stopami, idąc ciągle wśród czerwonego kurzu, unoszącego się wokół jego chudych czekoladowych łydek i postrzępionych nogawek przykrótkich spodni. Zaczął podśpiewywać, bez melodii, ale rytmicznie i muzykalnie, choć opierał się tylko na jednej nucie:

Chcesz tego, moja mała, Nie mów: nie, Nie mów: nikt. Schowaj wstyd.

Leżąc w splątanych krzewach, mniej więcej w odległości stu kroków od domu, Christmas słyszał uderzenia odległego zegara, wybijającego dziewiątą, a potem dziesiątą. Przed nim wynurzał się z kępy drzew wielki i kwadratowy dom. W jednym z okien na piętrze płonęło światło. Story nie były zasunięte, więc zauważył, że paliła się naftowa lampa. Od czasu do

236

czasu widział na ścianie cień przesuwającej się osoby. Ale ani razu nie zobaczył tej osoby. Po pewnym czasie światło zgasło.

Dom był teraz ciemny, więc Christmas przestał go obserwować. Leżał w gęstych zaroślach, przylegając piersią do niewidocznej ziemi. Ciemność w zaroślach była nieprzenikniona. Wyczuwał ją przez koszulę i spodnie, jak gdyby była chłodna, bliska i trochę wilgotna, jak gdyby słońce nigdy nie docierało do powietrza gąszczu. Czuł tę nigdy nie tkniętą słońcem ziemię, gdy przenikała ku niemu przez ubranie, docierając do pachwin, brzucha, piersi i łokci. Ramiona miał skrzyżowane i opierał na nich czoło. W nozdrzach czuł ciężki zapach ciemnej i żywej ziemi.

Nie spojrzał już ani razu w stronę nie oświetlonego domu. Leżał jeszcze w gąszczu zupełnie nieruchomo, dłużej niż godzinę. Potem wstał. Nie skradał się. Nie było nic tchórzliwego ani nawet ostrożnego w jego zbliżaniu się ku domowi. Po prostu szedł cicho, jak gdyby to był jego zwykły sposób poruszania się. Obszedł wkoło bezkształtną bryłę domu, aż dostał się na tyły, gdzie powinna była znajdować się

kuchnia. Nie robiąc więcej hałasu niż kot, zatrzymał się i stał przez chwilę pod oknem, w którym poprzednio paliło się światło. Świerszcze — które ucichły w trawie u jego stóp, gdy szedł otoczony małą wysepką ciszy, podobną do cienkiego, tchórzliwego cienia ich głosików — znowu przemówiły, a gdy poruszył się, ucichły znowu z tą swoją maleńką i nagłą czujnością. W tyle domu była parterowa przybudówka. “To będzie kuchnia — pomyślał. — Tak, na pewno”. Szedł bezgłośnie, poruszając się pośrodku swej maleńkiej wysepki nagle uciszonych owadów. W ścianie kuchni dostrzegł drzwi.

237

Gdyby spróbował je otworzyć, przekonałby się, że nie są zamknięte na klucz. Ale nie spróbował. Minał je i zatrzymał się pod oknem. Zanim spróbował je odemknąć, przypomniał sobie, że nie dostrzegł okiennicy w oknie na piętrze. Okno było otwarte, nawet podparte patykiem. “I co myślisz o tym?” — pomyślał. Stał spokojnie pod oknem, trzymając dłonie na parapecie, oddychając cicho, nie nasłuchując, nie śpiesząc się, jak gdyby nigdzie pod słońcem nie było powodu do pośpiechu. “No, no, no, co ty wiesz o tym. No, no, no”. Potem wskoczył na okno. Wydawało się, że frunął do ciemnej kuchni: cień powracający bezdźwięcznie i bez ruchu do pramatki ciemności. Może pomyślał o tamtym oknie, którego musiał używać, i o sznurze, na którym musiał polegać; a może nie pomyślał.

Najprawdopodobniej nie, tak jak kot nie wspomina tamtych okien. I, jak kot, zdawał się widzieć w ciemności, gdy posuwał się bezbłędnie ku pożywieniu, którego potrzebował, jak gdyby wiedział, gdzie ono się znajduje, albo był kierowany przez nadrzędną siłę, która wiedziała.

Z niewidzialnego garnka wyjął niewidzialnymi palcami trochę niewidzialnego jedzenia. Nie dbał o to, co je. Nie wiedział, że zastanawia się i próbuje, dopóki szczęka nie zatrzymała się niespodziewanie w czasie żucia, a myśl uciekła nagle dwadzieścia pięć lat w głąb tej ulicy, wymijając wszystkie niedostrzegalne zakręty gorzkich porażek i jeszcze bardziej gorzkich zwycięstw, a nawet cofając się pięć mil, poza ów zakręt, gdzie czekał w straszliwych czasach wczesnej miłości na kogoś, kogo imienia już nawet nie pamiętał. Cofnęła się o pięć mil dalej: Za chwilę będę wiedział. Jadłem to już kiedyś gdzieś. Za chwilę będę. Pa-

238

239

mięć zgrzyta, uświadamia sobie: Widzę widzę więcej niż widzę słyszę widzę

moją pochyloną głowę słyszę monotony stanowczy głos i zdaje mi się że nie ucichnie on nigdy i będzie brzmiał zawsze i patrząc spod oka widzę niewyciężoną okrągłą głowę i czystą ostrą brodę one też są pochylone a ja myślę jak on może być tak nie głodny i czuję ustami i językiem smakuje łyż ciepłą sól oczekiwania a moje oczy smakuje ciepłą parę z garnka. — To groch — powiedział głośno. — Słodki Jezu, groszek polny gotowany z melasą.

Może nie tylko myśl jego była nieobecna w tej chwili, bo powinien był przecież usłyszeć ten dźwięk, zanim go usłyszał, bo osoba, od której dźwięk ten pochodził, nie więcej dbała o ciszę i ostrożność niż przedtem on sam. Może zresztą usłyszał. Ale nie poruszył się, gdy miękki odgłos stóp obutych w nocne pantofle zbliżył się do kuchni od strony mieszkalnej części domu. A kiedy wreszcie odwrócił się, błysnąwszy nagle oczami, zobaczył pod drzwiami, łączącymi kuchnię z domem, słabe, zbliżające się światełko. Miał pod ręką otwarte okno: mógłby się wydostać przez nie nieomal jednym susem. Ale nie poruszył się. Nie odstawił nawet garnka. Stał więc pośrodku kuchni trzymając garnek i jedząc, gdy drzwi otworzyły się i kobieta weszła. Ubrana była w wyblakły szlafrok i niosła świecę, trzymając ją tak wysoko, że światło padało na jej twarz: twarz cichą, poważną, zupełnie nie zaniepokojoną. W miękkim świetle świecy nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Stała w drzwiach. Patrzyli na siebie dłużej niż minutę, oboje prawie w tej samej postawie: on — trzymając garnek, ona — świecę. Przestał jeść.

— Jeżeli szuka pan wyłącznie jedzenia, znajdzie je
pan — powiedziała spokojnym, trochę gardłowym, zimnym głosem.

11

W blasku świecy nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat — w miękkim blasku, opadającym na miękką sylwetkę kobiety przygotowanej do snu. Gdy zobaczył ją w świetle dziennym, zrozumiał, że ma więcej niż trzydzieści pięć. Później powiedziała mu, że ma lat czterdzieści. “Z tonu, jakim to powiedziała, może wynikać, że ma albo czterdzieści jeden, albo czterdzieści dziewięć” — pomyślał. Ale ani tej nocy, ani w ciągu wielu następnych nie powiedziała mu nawet tego.

W ogóle powiedziała mu bardzo mało. Rozmawiali bardzo mało i tylko od czasu do czasu, nawet wówczas, gdy został jej kochankiem i gościem jej staropanieńskiego łóżka. Czasami wydawało mu się, że nigdy nie rozmawiali i że w ogóle jej nie zna. Jak gdyby to były dwie osoby: jedna, którą widywał czasem za dnia i na którą spoglądał, gdy mówili do siebie nic nie znaczące słowa, gdyż żadne z nich nie starało

się, aby znaczyły one coś, i nie miało zamiaru ich wypowiadać — i druga, z którą leżał w nocy, której nie widział nawet i z którą w ogóle nie mówił.

Nawet po roku (pracował już wówczas w tartaku) widywał ją za dnia wyłącznie w sobotnie popołudnia, w niedziele albo gdy przychodził do domu po jedzenie, które przygotowywała dla niego i pozostawiała na stole kuchennym. Od czasu do czasu przychodziła do kuchni, chociaż nigdy nie pozostawała tam, kiedy jadł, a czasem spotykała się z nim przy tylnym wejściu

L

240

do domu, gdzie zwykle stali przez kilka chwil i rozmawiali ze sobą, prawie jak dwoje obcych ludzi. Stali zawsze: ona w jednej ze swych niezliczonych czystych perkalikowych sukien domowych i czasem w wiejskim czepeczku na głowie, a on — w czystej białej koszuli i wełnianych spodniach w jodełkę, każdego tygodnia świeżo odprasowanych. Nigdy nie siadali, żeby porozmawiać. Nigdy nie widział jej siedzącej, z wyjątkiem jednego razu, kiedy spojrzawszy przez parterowe okno zobaczył ją, jak siedzi przy biurku i pisze. Zauważył bez zaciekawienia, że otrzymuje ona i wysyła wielką ilość listów. Co dnia przed południem siadywała przy zniszczonym, porysowanym biurku w jednym z rzadko używanych i prawie nie umeblowanych pokoiów na dole i pisała przez dłuższy czas. Ale dopiero po roku dowiedział się, że otrzymywała oficjalne i prywatne listy, datowane w pięćdziesięciu rozmaitych urzędach pocztowych, a wysyłała porady handlowe, finansowe i religijne dla dyrektorów, rad opiekuńczych i władz, a także osobiste porady dla młodych studentek, a nawet absolwentek tuzina rozmaitych murzyńskich szkół i uczelni na Południu. Od czasu do czasu wyjeżdżała na trzy albo cztery dni z domu i chociaż mógł się z nią spotykać teraz co noc, rok upłynął, zanim dowiedział się, że podczas tych wyjazdów wizytowała osobiście szkoły, aby rozmawiać z nauczycielami i uczniami. Jej sprawy majątkowe prowadził murzyński adwokat w Memphis, który był członkiem rady nadzorczej jednej ze szkół i posiadał w swej kasie ogniotrwałej, prócz jej testamentu, własnoręcznie napisaną przez nią instrukcję, dotyczącą losu jej ciała po śmierci. Gdy dowiedział się o tym, zrozumiał stanowisko, jakie miasto zajęło wobec niej,

241

choć wiedział, że miasto nie wie tak wiele jak on. Powiedział do siebie: — Nie będą mi się tu wtrącać.

Pewnego dnia zdał sobie sprawę, że nigdy naprawdę nie zaprosiła go do domu. Nigdy nie wszedł dalej niż do kuchni, do której wszedł zresztą bez jej zaproszenia. Pomyślał, unosząc górną wargę: “Nie mogłaby mnie stąd wypędzić. Myślę, że wie o tym”. Wchodził do kuchni za dnia tylko po jedzenie, które przygotowywała dla niego i pozostawiała na stole. A gdy wchodził do domu nocą, było to zawsze podobne do jego pierwszego wtargnięcia tutaj. Czuł się jak złodziej, rabuś, nawet wówczas, gdy wchodził do sypialni, w której czekała na niego. Nawet po roku było to tak, jak gdyby wdzierał się tu ukradkiem, aby za każdym razem na nowo okradać ją z jej dziewictwa. Jak gdyby każde zapadnięcie ciemności stwarzało mu nową konieczność okradania jej na nowo z tego, co już ukradł — albo czego nigdy nie ukradł i nigdy nie uda mu się skraść.

Czasem myślał o tym w ten sposób, przypominając sobie twarde, nie łzawe, nie rozczulające się nad sobą prawie męskie jej poddanie się. Jej duchowe odosobnienie było tak długo nienaruszone, że gdy przybrało fizyczną formę męskiej siły i hartu, zostało poświęcone przez ten sam instynkt, który dążył do jego zachowania. Dwie osobowości — pierwsza: kobiety, na widok której w blasku uniesionej świecy (a może nawet na sam odgłos jej stóp, zbliżających się w nocnych pantoflach) otworzył się przed nim, tak nagle jak blask błyskawicy otwiera nocą krajobraz, widnokrąg fizycznego bezpieczeństwa i fizycznego kontaktu, jeśli nie rozkoszy — i druga osobowość: o męskich mięśniach i męskim sposobie myślenia, narodzonym z

16 - Światłość...

242

dzielectwa i otoczenia, z którymi musiał walczyć do ostatniej sekundy. Nie było żadnej kobiecej chwiejności, żadnego nieśmiałego pożądania i zamiaru poddania się w końcu. Było to tak, jak gdyby walczył z innym mężczyzną o przedmiot, który nie miał wartości dla żadnego z nich, ale o który walczyli jedynie dla zasady. Gdy zobaczył ją znowu, pomyślał: “Mój Boże, jak mało wiedziałem o kobietach, chociaż zdawało mi się, że tyle wiem”. Było to zaraz następnego dnia. Patrzył na nią i słuchał jej słów, myśląc, że wspomnienie tego, co wydarzyło się przed niecałymi dwunastu godzinami i co na pewno było prawdą, nie mogło być prawdziwe. Myślał: Pod tą suknią ona na pewno jest taka, że to się w ogóle nie mogło wydarzyć. Nie zaczął jeszcze wtedy pracować w tartaku. Większą część dnia spędził leżąc na pryczy, którą mu wypożyczyła, w chatce, którą przeznaczyła mu na mieszkanie. Trzymał ręce założone pod głową i leżał, paląc. “Mój Boże — myślał — to było tak, jakbym ja był

kobietą, a ona mężczyzną”. Ale to też nie było zgodne z prawdą. Bo broniła się do ostatka. Ale nie była to obrona kobieca, obrona, która jeśli jest prawdziwa, nie może być przewycięzona przez żadnego mężczyznę, gdyż kobieta nie uznaje żadnych reguł fizycznego zmagania się. Broniła się uczciwie, według zasad, które stwierdzały, że po załamaniu się jedno z dwojga jest pokonane, bez względu na to, czy można się jeszcze bronić, czy nie. Tej nocy czekał, aż światło w kuchni zgaśnie, a potem ukaże się w jej pokoju. Ruszył ku domowi. Nie szedł w pośpiechu, ale ze spokojną wściekłością. — Ja jej pokażę — powiedział na głos. Nie starał się iść cicho. Wszedł do domu śmiało i zaczął wchodzić na schody. Usłyszała go od razu.

243

— Kto tam? — zapytała. Ale w głosie jej nie było zaniepokojenia. Nie odpowiedział. Wspiął się po schodach i wszedł do pokoju. Była nadal ubrana, odwróciła się i spojrzała na drzwi, gdy wszedł. Ale nie odezwała się do niego. Przyglądała mu się tylko, gdy podszedł do stołu i zdmuchnął lampę, myśląc: “Teraz pobiegnie”. Skoczył więc w stronę drzwi, żeby jej przeszkodzić. Ale nie uciekała. Odnalazł ją w ciemności, dokładnie w tym samym miejscu i w tej samej postawie, w jakiej mu zniknęła z oczu. Zaczął zdzierać z niej suknię. Mówił do niej napiętym, twardym, niskim głosem: — Ja ci pokażę! Pokażę ci, ty kurwo! — Nie broniła się wcale. Pomagała mu nieomal, zmieniając trochę położenie ciała, gdy zachodziła konieczność pomocy. Ale ciało, które trzymał w rękach, mogło być nie zeszywniałym jeszcze ciałem umarłej kobiety. Ale nie zaniechał jej. Choć ręce jego poruszały się twardo i gwałtownie, była to tylko wściekłość. “Zrobiłem z niej chociaż kobietę w końcu — pomyślał. — Teraz nienawidzi mnie. Przynajmniej tego nauczyłem ją w końcu”.

Następnego dnia znowu leżał przez cały dzień na swojej pryczy w chacie. Nie jadł. Nie poszedł nawet do kuchni, żeby sprawdzić, czy zostawiła mu coś do jedzenia. Czekał zachodu słońca i zmierzchu. “Wtedy się stąd urwę” — pomyślał. Nie przypuszczał, że spotka ją jeszcze kiedykolwiek. “Lepiej się urywać — pomyślał. — Nie dawać jej możliwości wyrzucenia mnie z tej chaty. To w każdym razie coś. Żadna biała kobieta nie zrobiła mi tego. Tylko czarna kobieta wywaliła mnie, wypędziła mnie”. Leżał więc na pryczy, paląc i czekając zachodu słońca. Przez otwarte drzwi widział, jak opadające ukośnie słońce robi się coraz większe i

244

nabiera koloru miedzi. Potem miedź zamgliała się i przybrała zamglony, liliowy

odcień pełnego zmierzchu. Wtedy usłyszał żaby, a robaczki świętojańskie zaczęły przelatywać w poprzek otworu nie zamkniętych drzwi. W miarę jak zmrok gęstniał, światełka ich stawały się coraz jaśniejsze. Wtedy wstał. Nie posiadał nic prócz brzytwy, więc kiedy włożył ją do kieszeni, był gotów do odbycia podróży milowej albo tysiącami-lowej, w kierunku, w którym ulica o tysiącu niedostrzegalnych zakrętów zapragnie znów pobiec. A jednak poszedł w kierunku domu. Było to tak, jak gdyby w tej samej chwili, gdy zrozumiał, że jego stopy pragną tam pójść, pozwolił im na to, dał im się unieść, poddając się, myśląc: No dobrze. No dobrze, unosząc się, płynąc poprzez zmrok ku tylnemu wejściu do domu i nigdy nie zamykanym drzwiom, przez które miał wejść. Ale gdy nacisnął klamkę, nie otworzyły się. Może przez chwilę ani ręka, ani świadomość nie chciały w to uwierzyć. Stał tam, spokojny, nie zastanawiając się jeszcze, przyglądając się swojej ręce, która potrzasała drzwiami, i słysząc odgłos zasuwy wewnątrz. Odwrócił się spokojnie. Nie był jeszcze rozwścieczony. Podszedł do drzwi kuchni. Oczekiwał, że i one będą zamknięte. Ale zanim stwierdził, że są otwarte, nie wiedział, że chciał, aby były zamknięte. Kiedy stwierdził, że są otwarte, przyjął to jak obelgę. Jak gdyby nieprzyjaciel, na którego uderzył z całą wściekłością, siłą i zuchwalstwem, stał nietknięty i nie poraniony, przyglądając mu się z pełną zadumy, niezdolną pogardą. Wszedłszy do kuchni, nie zbliżył się do drzwi prowadzących w głąb domu, do tych drzwi, w których ukazała mu się po raz pierwszy, trzymając świecę. Podszedł do stołu, gdzie stało jedzenie, które

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

245

mu przygotowała. Nie musiał widzieć. Jego ręce zobaczyły. Garnki były jeszcze ciepłe. Pomyślał: Wystawione tu dla Murzyna. Wystawione tu dla Murzyna.

Przyglądał się swojej ręce, jak gdyby z wielkiej odległości. Przyglądał się jej, gdy uniosła garnek, zamachnęła się, a potem cofnęła i znieruchomiała. Oddychał głęboko i powoli, myśląc szybko. Usłyszał swój głos, mówiący donośnie, jakby podczas jakiejś gry towarzyskiej: — Szynka — a potem przyglądał się swojej ręce, gdy zrobiła zamach i cisnęła garnek ku niewidzialnej ścianie. Zaczekał, aby trzask ucichł, i znów nadpłynęła zupełna cisza, nim wziął drugi garnek. Trzymał go poziomo, wężąc. Ten wymagał pewnego czasu. — Fasola czy warzywa? Fasola czy szpinak?... No, dobrze. Nazwijmy to fasolą. — Cisnął garnek silnie i czekał, aż trzask ucichnie. Uniósł trzecie naczynie. — Coś z cebulą — powiedział, myśląc: To zabawne. Dlaczego przedtem o tym nie pomyślałem?

— Kobiecte żarcie. — Cisnął go silnie i z powolnym rozmachem. Usłyszał trzask. Potem usłyszał coś innego: zbliżający się do drzwi odgłos stóp wewnątrz domu. “Tym razem będzie miała ze sobą lampę” — pomyślał myśląc: Gdybym teraz spojrział, zobaczyłbym światło pod drzwiami. Ręka jego wahała się tam i na powrót! Teraz jest już prawie przy drzwiach.

— Ziemniaki — powiedział wreszcie z nieodwołalną pewnością. Nie obejrzał się nawet wówczas, kiedy usłyszał zasuwę w drzwiach, usłyszał otwierające się do wewnątrz drzwi i światło padło na miejsce, gdzie stał, trzymając garnek. — Tak, to ziemniaki — powiedział pełnym zdziwienia i zapamiętania głosem bawiącego się samotnie dziecka. To uderzenie usłyszał i zobaczył. Potem światło zniknęło, raz jeszcze usłyszał

246

zamykanie i zgrzyt zasuwy. Nie obejrzał się jeszcze. Uniósł następny garnek. — Buraki — powiedział. — I tak nie lubię buraków.

Następnego dnia zgłosił się do pracy w tartaku. Poszedł do pracy w piątek. Nie jadł nic od środy wieczór. Nie wziął pieniędzy aż do soboty wieczór, pracując w sobotę nadliczbowe. W sobotę wieczór jadł po raz pierwszy od trzech dni w miejskiej restauracji. Nie powrócił już do domu. Przez pewien czas nie patrzył nawet w jego stronę, gdy wychodził z chaty albo powracał do niej. Pod koniec szóstego miesiąca wydeptał sobie własną ścieżkę, pomiędzy chatą i tartakiem. Ścieżka prowadziła prosto jak strzelił, omijając wszystkie zabudowania, zagłębiając się szybko w lesie i biegła co dnia wyraźniejsza i dokładniej zaznaczona do kupy trocin, przy której pracował. Zawsze, gdy gwizdek rozbrzmiewał o piątej trzydzieści, powracał tą ścieżką do chaty i przebierał się w białą koszulę i ciemne, odprasowane spodnie, jak gdyby wstydził się kombinezonu, i znów szedł dwie mile z powrotem do miasta, aby zjeść tam kolację. A może nie był to wstyd, chociaż prawdopodobnie nie o wiele lepiej umiałby wytłumaczyć, co to było, niż gdyby miał wytłumaczyć, że to wstyd.

Zaprzestał już umyślnego niepatrzenia na dom, tak jak zaprzestał umyślnego spoglądania nań. Przez pewien czas wierzył, że ona przyśle po niego. “Zrobi pierwszy krok” — pomyślał. Ale nie zrobiła. Po pewnym czasie uwierzył, że nie oczekuje już tego. A jednak, gdy po raz pierwszy spojrział umyślnie na dom, uczył gwałtowne uderzenie krwi do głowy i nagły odpływ. Wtedy zrozumiał, że przez cały czas boi się, że zobaczy ją, że przez cały czas ona śledzi go z tą

247

wyraźną i spokojną pogardą. Uczuł, że się poci, że jest wystawiony na próbę i musi walczyć. “To minęło — pomyślał. — Przeszedłem już przez to teraz”. Więc gdy pewnego dnia naprawdę ją zobaczył, nie czuł żadnego zaskoczenia. Może był przygotowany. Tak czy inaczej nie było żadnego gwałtownego uderzenia i odpływu krwi z twarzy, gdy spojrzawszy zupełnie przypadkowo zobaczył ją na podwórzu w tyle domu, ubraną w szarą sukienkę i czepeczek. Nie umiałby powiedzieć, czy przyglądała mu się do tej pory, czy zauważyła go, czy patrzy na niego w tej chwili, czy nie patrzy. “Nie sprawiasz mi kłopotu ani ja ci nie sprawiam kłopotu” — pomyślał, myśląc: Śniło mi się to. Nic takiego się nie stało. Teraz nie ona nic pod sukienką tak, żeby to się mogło stać.

Zgłosił się do pracy na wiosnę. Pewnego wieczora we wrześniu powrócił do domu, wszedł do chaty i zatrzymał się w pół kroku, zupełnie zaskoczony. Siedziała na pryczy i patrzyła na niego. Miała odkrytą głowę. Nigdy przedtem nie widział jej z odkrytą głową, chociaż dotykał w ciemności jej luźno rozrzuconych włosów, nie splecionych, leżących na niewidzialnej poduszce. Ale nigdy jeszcze nie widział jej włosów i stał, wpatrując się tylko w nie, a ona przyglądała mu się. W chwili kiedy miał się poruszyć, powiedział do siebie: — Ona się stara. Myślałem, że jest w nich trochę siwizny. Ona stara się być kobietą i nie wie jak. — Myśląc, wiedząc: Przyszła, żeby ze mną porozmawiać. W dwie godziny później mówiła jeszcze. Siedzieli obok siebie na pryczy w ogarniętej już mrokiem chacie. Powiedziała mu, że ma czterdzieści jeden lat, że urodziła się w tym domu i mieszka w nim dotąd. Nie wyjeżdżała z Jefferson nigdy na dłużej niż sześć

248

miesiący, i to bardzo rzadko. Okresy tych wyjazdów wypełnione były tęsknotą za domem, nawet za widokiem znajomych desek i gwoździ, za ziemią, drzewami i krzewami, które składały się na posiadłość stojącą na ziemi, która była obca jej i jej rodzinie. Nawet teraz, po czterdziestu latach pobytu wśród niewyraźnych spółgłosek i płaskich samogłosek krainy, na którą ci-śnięto jej istnienie, w głosie jej brzmiał akcent z Nowej Anglii tak wyraźnie, jak brzmiał w głosach jej krewnych z New Hampshire, z którymi spotkała się może trzy razy w ciągu swego czterdziestoletniego życia. Wśród gasnącego światła siedząc obok niej na niewyraźnej pryczy i słuchając jej głosu, który zdawał się nie mieć źródła, i był równy, nieustanny, i miał głębokość niemal męskiego głosu, Christmas myślał: “Ona jest taka, jak one wszystkie. Czy mają siedemnaście lat, czy czterdzieści siedem, poddają się zupełnie, zawsze za pomocą słów”.

Calvin Burden był synem pastora o nazwisku Nata-niel Burrington. Był najmłodszym z dziesięciorga dzieci i uciekł z domu na statek, gdy miał dwanaście lat, zanim jeszcze umiał się podpisać swym nazwiskiem (albo zanim chciał się nim podpisać, jak twierdził jego ojciec). Odczytał podróży wokół przylądka Horn do Kalifornii i stał się katolikiem. Przez rok mieszkał w klasztorze. W dziesięć lat później dotarł do Missouri od zachodu. W trzy tygodnie po przyjeździe ożenił się z córką pewnej rodziny hugenockiej, która wyemigrowała z Karoliny poprzez Kentucky. W dzień po weselu powiedział: — Myślę, że lepiej będzie, jeżeli osiade tu na stałe. — Tego dnia rozpoczął swoje osiadanie. Uroczystości weselne trwały jeszcze, gdy formalnie wyrzekł się przynależności do Kościoła katolickiego.

249

Uczynił to w szynku, nalegając, aby wszyscy obecni wysłuchali go i wypowiedzieli swoje zastrzeżenia. Nalegał nawet trochę na to, aby były jakieś zastrzeżenia, choć żadnych nie było, to znaczy, nie było żadnych do chwili, póki nie został wyprowadzony przez swych przyjaciół. Następnego dnia stwierdził, że obstaje przy tym, co powiedział, i nie chce należeć do kościoła jadających żaby właścicieli niewolników. Działo się to w Saint Louis. Kupił tam dom i po roku został ojcem. Powiedział wówczas, że wyrzekł się religii katolickiej z myślą o zbawieniu duszy swego syna. Prawie natychmiast po narodzeniu tego syna zaczął mu wpajać wiarę jego przodków z Nowej Anglii. Nie było pod ręką żadnego zboru unitariańskiego, a Burden nie umiał czytać z angielskiej Biblii. Ale od księży w Kalifornii nauczył się czytać po hiszpańsku, więc gdy tylko dziecko nauczyło się chodzić, Burden zaczął mu czytać po hiszpańsku z księgi, którą przywiózł z Kalifornii, przerywając wspaniały potok dźwięcznego, obcojęzycznego mistycyzmu szorstkimi, improwizowanymi rozprawami, złożonymi w połowie z ponurej, bezbarwnej logiki zapamiętanej od ojca w czasie nie kończących się niedziel w Nowej Anglii, a w połowie z natychmiastowego ognia piekielnego i namacalnej siarki, które byłyby powodem dumy każdego wędrownego kaznodziei metodystów. Siadali sami w pokoju: wysoki, kościsty mężczyzna o nordyckim wyglądem i drobne, ciemne, pełne życia dziecko, które odziedziczyło budowę i odcień skóry po matce. Wyglądali jak ludzie należący do dwu różnych ras. Kiedy chłopiec miał lat pięć, Burden zabił jakiegoś człowieka w czasie kłótni o sprawę niewolnictwa. Musiał zabierać ze sobą rodzinę i wyjeżdżać, usunąć

250

się z Saint Louis. Pojechał na zachód, aby uwolnić się od demokratów — jak

powiedział.

Osada, w której zamieszkał, składała się ze sklepu, kuźni, kościoła i dwóch szynków. Burden spędzał tu wiele czasu na rozmowach o polityce, klnąc swym szorstkim, donośnym głosem niewolnictwo i właścicieli niewolników. Jego reputacja przybyła wraz z nim, wiadano, że nosi przy sobie pistolet, więc poglądy jego były przyjmowane co najmniej bez komentarzy. Czasami, a najczęściej w sobotnie wieczory, powracał do domu pełen czystej whisky i odgłosów swoich donośnych tyrad. Budził wówczas swego syna (matka nie żyła już od trzech lat, a przybyły jeszcze trzy córki, wszystkie niebieskookie) swą twardą ręką, — Nauczę cię, abys nienawidził dwóch rzeczy — mówił — albo wycisnę z ciebie smołę! A rzeczami tymi są piekło i właściciele niewolników. Słyszysz?

— Tak — odpowiadał chłopiec. — Nie mogę nic zrobić, żeby cię nie słyszeć. Połóż się do łóżka i daj mi spać.

Nie był żadnym kaznodzieją ani misjonarzem. Z wyjątkiem niewiele znaczących, przypadkowych wydarzeń, w których brały udział pistolety, ale z których żadne nie zakończyło się śmiertelnie, ograniczał się do swojej rodziny.

— Niech każdy z nich idzie do swojego mrocznego piekła — powiedział do swych dzieci. — Ale będę wbijał miłującego Boga w każde z was tak długo, jak długo będę zdolny do uniesienia ręki. — Tak mawiał w niedziele. Każdej niedzieli, umyte, czyste, ubrane w perkaliki albo w bawełnę dzieci i ojciec ubrany w sukienny frak (opinający się wokół ukrytego w tylnej kieszeni pistoletu) i w obszytej frędzlą koszuli bez

ŚWIATIOŚĆ W SIERPNIU

251

kołnierzyka, którą najstarsza córka prała każdej soboty, tak jak to robiła przed nią jej zmarła matka — zbierali się w surowo umeblowanym salonie, gdzie Burden czytał im ze złocone i ozdobnej niegdyś księgi słowa w języku, którego żadne z nich nie rozumiało. Robił to aż do czasu, kiedy jego syn uciekł z domu.

Syn miał na imię Nataniel. Uciekł mając czternaście lat i nie powracał przez lat szesnaście, chociaż dwukrotnie otrzymał od niego ustne wiadomości za pośrednictwem wysłanników. Pierwsza wiadomość pochodziła z Kolorado, druga z Meksyku. Nie mówił, co robi w żadnym z tych miejsc. — Czuł się dobrze, kiedy odjeżdżałem — powiedział wysłannik. Był to drugi wysłannik. Działo się to w roku 1863 i jadł właśnie śniadanie w kuchni, pałaszując jedzenie ceremonialnie, ale prędko.

Trzy dziewczyny, z których dwie były już prawie dorosłe, obsługiwały go, stojąc z naczyniami w rękach i mając lekko otwarte usta. Ubrane były w szerokie, szorstkie, czyste suknie. Naprzeciw posłańca, po drugiej stronie nie malowanego stołu, siedział ich ojciec, z głową podpartą na jedynej pozostałej ręce. Drugą rękę stracił przed dwoma laty, gdy był członkiem konnej grupy partyzanckiej walczącej w Kansas. Jego głowę i brodę okryła już siwizna. Ale nadal był pełen życia, a jego frak nadal unosił się nad tylną kieszenią wokół kolby ciężkiego pistoletu.

— Miał trochę kłopotów — powiedział wysłannik. — Ale wszystko było w porządku, kiedy słyszałem o nim po raz ostatni.

— Kłopotów? — zapytał ojciec.

— Zabił Meksykanina, który twierdził, że ukradł mu konia. Wie pan, jak ci Hiszpanie zachowują się wobec białych ludzi, nawet tych, którzy nie zabijają Meksyka-

252

nów. — Wysłannik wypił trochę kawy. — Ale myślę, że muszą być trochę surowi mając kraj pełen nowych osadników i innych różności. Dziękuję bardzo — powiedział, gdy najstarsza dziewczyna położyła mu na talerz świeżą stertę placków z kukurydzy. — Ludzie powiadają, że to nie był koń tego Meksykanina. Mówią, że ten Meksykanin nigdy nie miał konia. Ale myślę, że nawet Hiszpanie muszą być surowi, patrząc na tych ludzi ze Wschodu, którzy zdążyli już popsuć dobre imię Zachodu. Ojciec chrząknął.

— Jestem przekonany. Jestem przekonany, że jeśli była tam jakaś awantura, to on musiał wziąć w niej udział. Powiedz mu — powiedział gwałtownie — że jeżeli pozwoli okpić się tym czarnym księżulom, zastrzelę go tak spokojnie, jakbym zabijał buntownika.

— Niech pan mu powie, żeby wrócił już do domu — powiedziała najstarsza dziewczyna. — Właśnie to niech mu pan powie.

— Tak, proszę pani — powiedział wysłannik. — Pewnie, że mu powiem. Jadę na wschód, do Indiany, i będę tam trochę czasu. Ale spotkam się z nim zaraz po powrocie. Na pewno mu powiem. A właśnie! Mało co, a bym zapomniał. Kazał wam powiedzieć, że kobieta i dziecko czują się dobrze.

— Jaka kobieta i dziecko? — zapytał ojciec.

—Jego — powiedział wysłannik. — Dziękuję wam raz jeszcze. I do widzenia wszystkim.

Po raz trzeci usłyszeli słowa syna, zanim go zobaczyli. Usłyszeli go, wołającego, choć znajdował się jeszcze dosyć daleko od domu. Było to w roku 1866. Rodzina przeprowadziła się znowu o sto mil dalej na zachód i odnalezienie jej zajęło synowi dwa miesiące.

ŚWIATŁOŚĆ, W SIERPNIU

253

Jeździł tam i z powrotem wzdłuż Kansas i Missouri w wozie o plecionej z wikliny budzie, zanim odnalazł ich ziemiankę i podjechał ku niej nawołując. Pod siedzeniem wozu leżały rzucone jak para starych butów dwa skórzane worki pełne złotego piasku, złotych monet i nie oszlifowanych drogich kamieni. Przed drzwiami lepianki siedział na krześle jakiś mężczyzna.

— To ojciec — powiedział Nataniel do kobiety siedzącej przy nim na ławce wozu. — Widzisz?

Chociaż ojciec nie dobiegł jeszcze sześćdziesiątki, wzrok zaczął mu się psuć. Nie rozpoznał twarzy syna, póki wóz nie zatrzymał się i piszczące siostry nie wytrysnęły przez drzwi jak wzburzone fale. Wówczas Kalwin podniósł się. Wydał ze siebie przeciągły grzmiący ryk.

— No — powiedział Nataniel. — Oto jesteśmy. Kalwin nie wypowiedział żadnej myśli. Wrzeszczał tylko i przeklinał.

— Smołę z ciebie wycisnę! — grzmiał. — Dziewczęta! Ewangelino! Elżbieto! Saro!

Siostry pojawiły się już. Zdawało się, że w swych szerokich sukniach wykłaniały przez drzwi jak balony pędzone huraganem. Wydawały cienkie okrzyki, które zagłuszały grzmiący ryk ojca. Jego frak — frak niedzielny, frak człowieka bogatego albo człowieka, który usunął się na starość w zacisze — był odpięty w tej chwili, a on sam szarpał coś ukrytego za pasem, wykonując te same ruchy i stojąc w postawie podobnej do tej, jaką miałby, wyciągając pistolet. Ale swą jedyną ręką wyciągnął tylko skórzany rzemień i uniósłszy go, zaczął przepychać się i przeciskać przez tłoczące się z piskiem dziewczyny.

— Nauczę cię jeszcze! Nauczę cię uciekać z domu!

254

255

Rzemień upadł dwa razy na plecy Nataniela. Upadł dwa razy, nim dwaj

mężczyźni zwarli się.

W pewnym sensie były to żarty: rodzaj niebezpiecznej zabawy, uśmiechniętej poważnie: zabawa dwóch lwów, która może pozostawić ślady albo ich nie pozostawić. Zwarli się, rzemień nie opadł; stali pierś w pierś i twarzą w twarz: stary człowiek o kościstej posiwiałej czaszce i jasnych oczach Nowoangielczyka i w ogóle do niego niepodobny młodszy mężczyzna o jastrzębim nosie, uśmiechający się swymi białymi zęba-

mi.

— Przestań — powiedział Nataniel. — Czy nie widzisz, kto ci się przygląda z tego wozu?

Do tej chwili nikt z nich nie spojrział na wóz, na którego ławce siedziała kobieta i dwunastoletni chłopiec. Ojciec spojrział na kobietę i nie musiał spoglądać na chłopca. Spojrział tylko na kobietę i szczęka opadła mu, jakby zobaczył ducha.

— Ewangelina! — powiedział. Była tak podobna do jego zmarłej żony, że mogłaby być jej siostrą. Chłopiec, który prawie nie pamiętał matki, wziął sobie za żonę kobietę, wyglądającą prawie zupełnie tak samo jak ona.

— To Juana — powiedział. — A to Kalwin, tam z nią. Przyjechaliśmy, żeby się pobrać.

Tego wieczora, po kolacji, gdy kobieta i chłopiec leżeli już w łóżkach, Nataniel opowiedział im. Siedzieli wokół lampy: ojciec, siostry i syn, który powrócił. Nie było pastorów w miejscu, w którym się znajdował, tylko księża i katolicy.

— Więc kiedy dowiedzieliśmy się, że mały jest w drodze, zaczęła mówić o księdzu. Ale nie chciałem dopuścić, żeby któryś z Burdenów urodził się pogani-

nem. Zacząłem więc rozglądać się, żeby jej dogodzić. Ale najpierw coś przeszkodziło, a potem znów coś innego i nie mogłem się oddalić, żeby poszukać pastora. A potem chłopiec urodził się i nie było już powodu do pośpiechu. Ale ona wciąż martwiła się, że to wszystko tak bez księdza. Po paru latach usłyszałem, że biały pastor ma być pewnego określonego dnia w Santa Fe. Spakowaliśmy się więc i pojechaliśmy do Santa Fe, ale zdążyliśmy tam, kiedy opadał kurz po karetkce pocztowej, którą pastor odjechał. Postanowiliśmy więc zaczekać tam i po paru latach zdarzyła się nam nowa okazja — w Teksasie. Tylko że tym razem byłem trochę zajęty, pomagając wojskom granicznym, które oczyszczały pewną miejscowość, gdzie ludzie powiesili w sali tanecznej zastępcę szeryfa. Więc kiedy to minęło, postanowiliśmy wrócić do domu i pobrać się jak się należy. I oto jesteśmy.

Ojciec siedział pod lampą, surowy, kościsty i siwy. Słuchał, ale na twarzy miał wyraz zamyślenia, połączony z pewnego rodzaju gwałtownym sennym zamyśleniem i pełnym oburzenia oszołomieniem.

— Jeszcze jeden przeklęty czarny Burden — powiedział. — Ludzie pomyślą, że płodziłem z jakąś przeklętą niewolnicą. A teraz on też musi z taką płodzić.

Syn słuchał spokojnie, nie próbując nawet powiedzieć swemu ojcu, że ta kobieta jest Hiszpanką, a nie uwolnioną Murzynką.

— Przekłęci niscy, czarni ludzie: niscy, bo przytłacza ich waga gniewu bożego, czarni, bo grzech niewoli zabarwił ich krew i ciało. — Jego spojrzenie było dalekie, fanatyczne, pełne wiary. — Ale uwolniliśmy ich teraz, zarówno czarnych, jak białych. Zbieleją teraz. Za sto lat znów staną się białymi ludźmi. A wtedy

Jfc

256

257

może pozwolimy im powrócić do Ameryki. — Zamyślił się, trawiony wewnętrznym ogniem, nieruchomy. — Na Boga — powiedział niespodziewanie — w każdym razie zbudowany jest jak mężczyzna, chociaż ma taki czarny wygląd. Na Boga, będzie tak wysokim mężczyzną jak jego dziadunio, a nie karłowatym byczkiem jak jego tata. Będzie taki, pomimo swej czarnej maciory i czarnego wyglądu.

Opowiedziała to Christmasowi, gdy siedzieli na pryczy w ciemniejącej coraz bardziej chacie. Nie poruszyli się już przeszło od godziny. Nie widział już zupełnie jej twarzy. Zdawało mu się, że kołysze nim dźwięk jej głosu, nieznacznie, jakby siedział w nieruchomej łodzi, unoszony pośród jakiejś niezmierzonej, sennej przestrzeni spokoju, wpływającej znikąd i nie powiązanej z żadną chwilą. Nie słuchał prawie.

— Na imię miał Kalwin, jak jego dziadek, i był wysoki jak dziadek, chociaż był ciemny jak rodzina babki i matki. Nie była ona moją matką. Był tylko moim przyrodnim bratem. Dziadek był ostatnim z dziesięciorga, ojciec ostatnim z dwojga, a Kalwin ostatnim w ogóle. Rozpoczął właśnie dwudziesty rok życia, kiedy został zabity w odległym stąd o dwie mile mieście, przez byłego posiadacza niewolników i byłego żołnierza Konfederacji o nazwisku Sartoris. Chodziło o sprawę głosowania Murzynów.

Opowiedziała Christmasowi o grobach — brata, dziadka, ojca i obu żon ojca — na porośniętym cedrami pagórku, wśród pastwisk o pół mili od domu. Słuchając spokojnie Christmas pomyślał: “Ach, zabierze mnie tam, żebym je obejrzał. Będę

musiał pójść”. Ale nie zabrała go. Nigdy więcej już nie wspomniała mu o tych grobach, po tej nocy, gdy powiedziała mu, gdzie

się one znajdują, dodając, że może, jeżeli zechce, pójść i je sobie obejrzeć. — Zresztą, najprawdopodobniej nie mógłbyś ich znaleźć — powiedziała. — Bo kiedy przywieźli dziadka i Kalwina do domu tego wieczora, ojciec zaczekał, aż zrobi się ciemno, pochował ich i ukrył groby, wyrównując ziemię i obsypując ją gałązkami.

— Ukrył je? — zapytał Christmas. Nie było nic miękkiego, żalosego i wspominającego w jej głosie.

— Tak, żeby ich nie mogli odnaleźć. Wykopać ciała. A może porznać je na kawałki. — Mówiła dalej. Głos jej był trochę niecierpliwy, gdy tłumaczyła: — Nienawidzili nas tutaj. Byliśmy Jankesami. Cudzoziemcami. Gorzej niż cudzoziemcami: wrogami. Intruzami. A ona — wojna — była jeszcze zbyt niedawna, żeby nawet ci, którzy zostali pobici, mogli mieć wiele rozumu w głowie. Nazywali to podjudzaniem Murzynów do morderstw i gwałtów. Zagrożeniem panowania białych. Więc przypuszczam, że pułkownik Sartoris został bohaterem tego miasta, ponieważ dwoma strzałami z jednego pistoletu zabił starego, jednorękiego mężczyznę i chłopca, który nigdy jeszcze nawet nie głosował. Może mieli słuszość. Nie wiem.

— Och — powiedział Christmas. — Czy to możliwe, żeby to zrobili? Żeby ich wykopali, umarłych, po zabiciu ich? Kiedy w końcu ludzie, mający w sobie różną krew, przestaną się nienawidzić?

— Kiedy przestaną? — Jej głos ucichł. Potem zaczęła mówić: — Nie wiem. Nie wiem, czy wykopaliby ich, czy nie. Nie było mnie jeszcze na świecie wtedy. Urodziłam się dopiero w czternaście lat po śmierci Kalwina. Nie wiem, co ludzie mogli wtedy zrobić. Ale

17 - Światłość...

A

258

ojciec przypuszczał, że mogą. Więc ukrył groby. A potem umarła matka Kalwina i pochował ją tam razem z Kalwinem i z dziadkiem. I w ten sposób miejsce to stało się naszym grobem rodzinnym, zanim jeszcze dowiedzieliśmy się o tym. Może ojciec nie chciał jej tam pochować. Pamiętam, jak moja matka (wkrótce po śmierci matki Kalwina ojciec posłał po nią do New Hampshire, gdzie mieszka jeszcze część naszej rodziny. Był tu sam. Myślę, że gdyby nie te groby dziadka i Kalwina, tam nieopodal, wyjechałby stąd) powiedziała mi, że ojciec zaczął przygotowywać się do

wyjazdu stąd, gdy umarła matka Kalwina. Ale umarła latem i było za gorąco, żeby ją wieźć z powrotem do jej rodziny w Meksyku. Więc pochował ją tutaj. Może dlatego postanowił tu pozostać. A może zaczął się już starzeć wtedy i z nim razem zaczęli się już starzeć wszyscy ludzie, którzy brali udział w wojnie, a Murzyni nie zgwałcili ani nie zamordowali nikogo, o kim warto by wspomnieć. Bądź co bądź pochował ją tutaj. I ten grób musiał ukryć, bo pomyślał, że ktoś może przypomnieć sobie Kalwina i dziadka, kiedy nań spojrzy. Nie mógł ryzykować nawet wtedy, kiedy to wszystko już dawno się stało, minęło i zniknęło. A następnego roku napisał do naszego kuzyna w New Hampshire. Powiedział: — Mam pięćdziesiąt lat. Mam wszystko, czego będzie kiedykolwiek potrzebowała. Przyślij mi kobietę dobrą na żonę. Nie dbam o to, kim jest, chcę, żeby była dobrą gospodynią i miała co najmniej trzydzieści pięć lat. — Do listu dołączył bilet kolejowy. Po dwóch miesiącach przybyła tu moja matka i tego samego dnia wzięli ślub. Jak na niego było to szybkie małżeństwo. Poprzednio zużył dwanaście lat na to, żeby wziąć ślub, wtedy w Kansas, gdy on, Kalwin i

259

matka Kalwina spotkali się wreszcie z dziadkiem. Przybyli wtedy do domu pośród tygodnia, ale zaczęli z weselem do niedzieli. Odbyli je na świeżym powietrzu, nad strumieniem, upiekli na rożnie całego wołu i postawili beczkę whisky, a wszyscy, których zdążyli zawiadomić, i wszyscy, którzy chcieli przyjść, przyszli. Zaczęli się tam zbierać w sobotę rano, a w sobotę wieczorem przybył pastor. Przez cały ten dzień siostry ojca robiły suknię ślubną i welon dla matki Kalwina. Suknię zrobiły z worków po mące, a welon z siatki przeciw moskitom, którą szynkarz przybił na jakimś obrazie za ladą. Pożyczyły ją od niego. Zrobiły nawet jakiś strój dla Kalwina. Miał wtedy dwanaście lat i chciały, żeby podawał obrączki. Nie chciał. Wywiedział się poprzedniej nocy, czego chcą od niego, i następnego ranka (chcieli odbyć ślub o szóstej albo o siódmej rano następnego dnia), kiedy wszyscy już wstali i zjedli śniadanie, trzeba było odłożyć ceremonię do chwili, kiedy znajdą Kalwina. Znaleźli go wreszcie, kazali mu włożyć ten strój i ślub odbył się. Matka Kalwina wystąpiła w sukni domowej roboty i w welonie przeciw moskitom, a ojciec z włosami namaszczoneymi niedźwiedzim tłuszczem i ubrany w wytłaczane hiszpańskie wysokie buty, które przywiózł z Meksyku. Dziadek prowadził pannę młodą. Tylko że podczas polowania na Kalwina zachodził co chwila do beczki z whisky, więc gdy przyszli i powiedzieli mu, żeby powiódł pannę młodą, wygłosił zamiast tego przemówienie. Zaczął od Lincolna i niewolnictwa i wyzwał każdego z obecnych mężczyzn, który zaprzeczyłby,

że Lincoln, Murzyn, Mojżesz i dzieci Izraela są jednym i tym samym i że Morze Czerwone było tylko krwią, którą trzeba było rozlać, aby

260

czarna rasa mogła wejść do Ziemi Obiecanej. Uciszenie go zajęło im trochę czasu, ale potem wesele mogło się odbyć. Po weselu siedzieli tam mniej więcej miesiąc. Później pewnego dnia dziadek i ojciec pojechali na wschód do Waszyngtonu i otrzymali od rządu polecenie przybycia tutaj i wzięcia udziału w rozwiązywaniu kłopotów, jakie zaistniały z uwolnionymi Murzynami. Przybyli do Jefferson wszyscy, z wyjątkiem sióstr ojca, z których dwie wyszły za mąż, a trzecia zamieszkała z jedną z nich. Dziadek, ojciec, Kalwin i matka Kalwina przybyli tutaj i kupili dom. A potem to, co, jak przypuszczali, powinno się było stać, stało się, i mój ojciec pozostał sam do chwili przyjazdu mojej matki z New Hampshire. Nie widzieli się nawzajem nigdy w życiu przedtem, nawet na obrazku. Wzięli ślub w dniu, w którym tu przyjechała, a po dwóch latach ja przyszłam na świat i ojciec dał mi na imię Joanna — po matce Kalwina. Nie przypuszczam, że chciał mieć drugiego syna. Nie przypominam go sobie dobrze. Jedyna chwila, w której przypominam go sobie jako kogoś, jako żywą osobę, to dzień, kiedy zabrał mnie ze sobą, żeby mi pokazać grób Kalwina i dziadka. Był to słoneczny, wiosenny dzień. Przypominam sobie, że nie chciałam pójść, nie wiedząc nawet, gdzie mamy pójść. Nie chciałam wchodzić pomiędzy cedry. Nie wiem, dlaczego nie chciałam. Nie mogłam przecież wiedzieć, co tam jest. Dopiero co skończyłam cztery lata. A nawet gdybym wiedziała, nie przestraszyłoby to dziecka. Myślę, że to było jakoś związane z ojcem, z czymś, co za jego pośrednictwem promieniowało na mnie z cedrowego zagajnika. Odczuwałam to jako coś, co zostawił w cedrowym zagajniku. Kiedy wejdem, cedrowy zagajnik

261

przekaze to mnie i nigdy już nie będę mogła tego zapomnieć. Nie wiem. Ale zmusił mnie, żebym weszła. Kiedy stanęliśmy tam we dwoje, powiedział: Pamiętaj o tym, że tu leży twój dziadek i twój brat, obaj zamordowani nie przez jednego białego człowieka, ale przez klątwę, którą Bóg rzucił na całą tę rasę, zanim jeszcze pomyślano o twoim bracie, o mnie czy o tobie. Na tę rasę przeklętą i skazaną na to, żeby być częścią klątwy, którą rzucono na białą rasę za jej grzechy. Pamiętaj o tym. Jej los i jej klątwa. Na wieki wieków. Moja. Twej matki. Twoja, chociaż jesteś jeszcze dzieckiem. Klątwa, wisząca nad każdym białym dzieckiem, które już się narodziło i które kiedykolwiek się narodzi. Nikt jej nie umknie. — Zapytałam: — Nawet ja? — a on

powiedział: — Nawet ty. Ty najmniej ze wszystkich. — Odkąd sięga moja pamięć, widywałam i znałam Murzynów. Miałam do nich stosunek taki, jaki ma się do deszczu, mebli, jedzenia albo snu. Ale potem zobaczyłam ich po raz pierwszy, nie jako ludzi, ale jako cień, pośród którego żyję, żyjemy, żyją wszyscy biali ludzie, wszyscy inni ludzie. Myślałam o wszystkich dzieciach, przychodzących ciągle na świat — o białych dzieciach, na które pada czarny cień, zanim zdążą po raz pierwszy odetchnąć. Wydawało mi się, że dostrzegam ten czarny cień w kształcie krzyża. I wydawało mi się, że białe dzieci pragną uciec od tego cienia, który kładł się nie tylko na nie, ale leżał także pod nimi, rozrzucony, jak rozrzucone były ich ramiona, jak gdyby były przybite do krzyża. Widziałam wszystkie małe dzieci, które kiedykolwiek przyjdą na świat, te jeszcze nawet nie narodzone — długi ich szereg z ramionami skrzyżowanymi na czarnych krzyżach. Nie umiałam wtedy powiedzieć, czy śniły mi się,

262

czy widziałam je naprawdę. Ale to było okropne. Płakałam nocami. W końcu opowiedziałam ojcu, to znaczy, starałam mu się opowiedzieć. Starałam mu się wytłumaczyć, że muszę uciec spod tego cienia, bo inaczej zginę. — Nie możesz — powiedział. — Musisz walczyć, musisz starać się powstać. Ale powstając uniesiesz ten cień ze sobą. A nigdy nie będziesz go mogła unieść na swoją wysokość. Widzę to teraz, chociaż nie widziałam tego, zanim tu przybyłam. Ale nie możesz od niego uciec. Przekleństwo wiszące nad czarną rasą jest przekleństwem Boga. Ale przekleństwem białej rasy jest czarny człowiek, który będzie na wieki wieków wybrańcem bożym, gdyż został przez Niego kiedyś przeklęty. — Jej głos ucichł. Przez niewyraźny czworokąt drzwi przelatywały robaczki świętojańskie. Wreszcie Christmas powiedział:

— Chciałem cię o coś zapytać. Ale zdaje mi się, że teraz sam już poznałem odpowiedź.

— Co?

Nie poruszyła się. Jej głos był cichy.

— Dlaczego twój ojciec nie zabił człowieka... jak on się nazywał? Sattoris?

— Och — powiedziała. Znowu zapadło milczenie. Za drzwiami wciąż przelatywały robaczki świętojańskie. — Ty zabiłbyś. Prawda?

— Tak — odpowiedział natychmiast. Potem spostrzegł, że ona patrzy w kierunku jego głosu, prawie tak, jakby dostrzegała go. Jej głos brzmiał teraz prawie łagodnie, tak był spokojny, tak cichy.

— Czy nie masz zupełnie pojęcia, kim byli twoi rodzice?

Gdyby mogła widzieć teraz jego twarz, zobaczyłaby, że jest ona posepna i zamyślona.

263

— Nie. Poza tym, że jedno z nich było pół-czarnu-chem. Tak jak ci to powiedziałem.

Nadal przyglądała mu się. Powiedział mu to jej głos. Głos ten był cichy, bezosobowy, zainteresowany, ale bez zaciekawienia.

— Skąd o tym wiesz?

Nie odpowiadał przez pewien czas. Potem powiedział:

— Nie wiem.

Głos jego znowu przycichł. Po brzmieniu poznała, że Christmas patrzy w dal, w kierunku drzwi. Twarz jego była posepna i zupełnie nieruchoma. Potem znowu się odezwał i poruszył: w jego głosie brzmiała teraz dodatkowa nutka, nie wesoła, ale jednak kpiąca, równocześnie pozbawiona humoru i sarkastyczna.

— Jeżeli tak nie jest, to niech będę przeklęty, jeżeli nie zmarnowałem wiele czasu.

Teraz z kolei ona zdawała się wpadać w zamyślenie. Była cicha, nie oddychała prawie, a jednak nie było w niej nic z uzalania się nad sobą ani z rozpamiętywania.

— Myślałam o tym. Dlaczego ojciec nie zastrzelił pułkownika Sartorisa? Myślę, że dlatego, że miał w sobie francuską krew.

— Francuską krew? — powiedział Christmas. — Czy nawet Francuz nie jest wściekły, kiedy jakiś człowiek jednego dnia zabija mu ojca i syna? Myślę, że twój ojciec musiał być religijny. Może stał się potem kaznodzieją?

Nie odpowiadała przez pewien czas. Robaczki świętojańskie przelatywały, gdzieś zaszczekał pies — głęboko, smutnie, daleko.

— Myślałam o tym — powiedziała. — Było już po

264

wszystkim wtedy. Skończyło się zabijanie w mundurach i ze sztandarami i zabijanie bez mundurów i bez sztandarów. I żadne z nich nie zrobiło niczego dobrego. Żadne. A my byliśmy cudzoziemcami, obcymi, myślącymi inaczej niż ludzie, do których kraju przybyliśmy nieproszeni i niepożądani. A on był półkrwi Francuzem. W dostatecznym stopniu Francuzem, żeby szanować czyjąś miłość do rodzinnego kraju i do swych bliskich i żeby rozumieć, że człowiek musi postępować tak, jak go jego kraj nauczył postępować. Myślę, że to było to.

W ten sposób rozpoczęła się druga faza. Odczuwał to tak, jak gdyby wpadł do podziemnego ścieku. Myślał teraz o tym twardym, męskim jej poddaniu, jak gdyby należało ono do jakiegoś innego istnienia. Poddanie straszliwe i twarde, przypominające pęknięcie duchowego kręgosłupa, którego trzask można było nieomal usłyszeć ludzkim uchem. Ten akt kapitulacji stał się odprężeniem, jak gdyby generał po ostatecznie przegranej bitwie zdążył wypocząć przez noc, ogolić się i oczyściwszy buty z pyłu bitewnego, oddać swą szablę przedstawicielom zwycięzców.

Ściek płynął tylko nocą. Dni były takie same jak dawniej. O wpół do siódmej rano wychodził do pracy. Opuszczał chatę, nie spoglądając w ogóle na dom. O szóstej wieczór powracał, także nie spoglądając na dom. Mył się, przebierał w białą koszulę i ciemne, odprasowane spodnie, a potem wchodził do kuchni i znajdował tam czekające na stole jedzenie. Siadał i zja-

265

dał kolację, nadal nie zobaczywszy jej jeszcze. Ale wiedział, że znajduje się ona w domu, a wtargnięcie mroku w te stare mury przełamuje coś i napęnia je oczekiwaniem. Wiedział, jak spędzała dnie. Wiedział, że obecne jej dni także nie różnią się niczym od poprzednich, tak jakby i ona przeżywała je jako inna osoba. W ciągu całego dnia wyobrażał ją sobie, siedzącą długo przy biurku albo rozmawiającą z murzyńskimi kobietami, które schodziły się ze wszystkich stron, idąc ścieżkami wydeptanymi od lat i zbiegającymi się ku domowi jak szprychy. Nie wiedział, o czym z nią rozmawiały, chociaż widywał je, gdy podchodziły do domu, nie kryjąc się, ale idąc przezornie. Przychodziły zwykle pojedynczo, czasem po dwie lub trzy ubrane w fartuchy, w chustki na głowach, a czasem w narzucone na ramiona męskie marynarki. Potem wynurzały się ponownie z domu i wracały po swych promieniście biegnących ścieżkach, idąc nie spiesźnie, ale i bez ociągania się. Migały mu przelotnie w głowie, gdy myślał: Teraz ona robi to. A teraz robi tamto, nie myśląc o niej wiele. Wydawało mu się, że podczas dnia nie myśli ona o nim więcej niż on o niej. Nawet gdy nocą, w swej ciemnej sypialni, nalegała na to, aby mu opowiedzieć z nudnymi szczegółami swoje sprawy codzienne, nalegając z kolei, aby opowiedział jej przebieg swego dnia, działo się to tak, jak bywa pomiędzy kochankami: w formie despotycznej, pełnej nienasyconego żądania, aby najbliższe szczegóły dni obojga wypowiedziane zostały słowami, pomimo braku najmniejszej potrzeby opowiadania ich lub wysłuchiwania. Później kończył kolację i siedł ku miejscu, w którym go oczekiwała. Szedł często bez

pośpiechu. W miarę jak czas mijał i urok nowości drugiej fazy zaczynał się zużywać

266

i przechodzić w przyzwyczajenie, coraz częściej zatrzymywał się w otwartych drzwiach kuchni, patrzył w zmierzch i dostrzegał (być może: przewidując i przeczuwając) tę dziką, samotną, wybraną swobodnie ulicę, oczekującą go, myśląc: To nie moje życie. Nie należę tutaj.

W pierwszej chwili wstrząsnęło to nim: ta nikczemna furia lodowca Nowej Anglii ciśnięta nagle w płomienie nowoangielskiego biblijnego piekła. Może zdawał sobie sprawę z zawartego w tym wyrzeczenia: z naglącego i gwałtownego pośpiechu, poza którym kryła się rozpacz zmarnowanych i niepowrotnych lat i próba conocnego powetowania sobie ich, jak gdyby wierzyła, że każda z tych nocy jest jej ostatnią nocą na ziemi, skazującą ją na wiekiwie piekło jej przodków, gdyż przebiegały one nie tylko w grzechu, ale i w plu-gastwie. Chciwie słuchała zakazanych słów, pragnęła nienasyconie słyszeć ich dźwięk w swoich i jego ustach. Miała straszną, bezosobistą ciekawość dziecka, dotyczącą zakazanych spraw i przedmiotów: pełną zamyślenia, niezmordowaną i odosobnioną ciekawość chirurga, dotyczącą ciała i jego możliwości. A za dnia widywał spokojną, chłodną, prawie męską, prawie w średnim wieku kobietę, która przez dwadzieścia lat żyła samotnie, bez żadnych lęków kobiecych, w samotnym domu, którego sąsiedztwo stanowili tylko Murzyni — spędzającą część każdego dnia na spokojnym siedzeniu za biurkiem i spokojnym wypisywaniu połączonych rad kapłana, bankiera i wyszkolonej pielęgniarki do młodzieży i starszych.

Podczas tego okresu (nie można go było nazywać miodowym miesiącem) Christmas przyglądał się jej, przechodzącej przez wszystkie wcielenia zakochanej

267

kobiety. Wkrótce więcej niż wstrząsnęła nim: zdumiała go i oszołomiła. Zaskakiwała go znienacka wybuchami wściekłej zazdrości. Nie mogła mieć żadnych doświadczeń ani nie było przyczyn dla takich scen, nie miała także żadnej ewentualnej przeciwniczki. Wiedział, że wiedziała o tym. Ale było to tak, jak gdyby wymyśliła całą sprawę umyślnie, aby rozegrać ją jak sztukę. Mimo to działała z taką furią i z takim przekonaniem, że gdy wydarzyło się to po raz pierwszy, zdawało mu się, że pozostaje pod wpływem jakiegoś złudzenia, a za trzecim razem pomyślał, że jest szalona. Ujawniła w sobie niespodziewany i niezawodny instynkt intrygi. Nalegała na wynalezienie miejsca, gdzie można by ukrywać kartki i listy. Odkryła je w

spróchniałym paliku ogrodzenia niedaleko rozpadającej się stajni. Nigdy nie widział, aby wkładała tam kartkę, ale nalegała, aby zaglądał tam codziennie, a kiedy to robił, znajdował list. Kiedy nie zajrzał i kłamał jej, dowiadywał się, że zastawiła pułapkę, aby go schwytać na kłamstwie; płakała wtedy i łkała.

Czasem kartki mówiły mu, aby nie przychodził przed pewną godziną do tego domu, do którego żaden inny biały człowiek poza nim nie wszedł w ciągu ostatnich lat i w którym od dwudziestu lat spędzała samotnie wszystkie noce. Przez cały tydzień zmuszała go, aby wdzierał się do niej przez okno. Robił to i musiał czasem przeszukiwać cały pograżony w ciemności dom, żeby ją znaleźć, kryjącą się w niszach, pustych pokojach, czekającą, oddychającą szybko, z oczami świecącymi w ciemności jak oczy kota. Od czasu do czasu naznaczała mu schadzki pod krzewami w ogrodzie, gdzie odnajdywał ją nagą albo w sukni podartej na strzępy w napadach nimfomanii. Ciało jej

268

lśniło wówczas, gdy powoli poruszała się, zmieniając pozycje tak pełne erotycznej postawy i pozy, że mógłby je narysować Beardsley, gdyby żył w czasach Petro-niusza. Była wówczas zupełnie dzika w tej ciasnej, pozbawionej ścian ciemności. Każde pasemko jej dzikich rozwianych włosów zdawało się ożywać jak macka ośmiornicy. Jej ręce także były szalone. Dyszała: — Murzyn! Murzyn! Murzyn!

Po sześciu miesiącach była już zupełnie zdeprawowana. Nie można było powiedzieć, że to on ją zdeprawował. Jego własne życie, przy całej swej anonimowej przypadkowości, było dość przeciętne, tak jak bywa przeciętny zwykły, zdrowy grzech. Zepsucie nadeszło ze źródła, które dla niego było jeszcze bardziej nawet nieodgadnione niż dla niej. W rzeczywistości wydawało się, że zepsucie spływa na nią z otaczającego powietrza i że to ona zaczyna deprawować jego. Zląkł się. Nie umiałby powiedzieć, czego się boi. Ale zaczął widzieć siebie jak gdyby z wielkiego oddalenia, jakby patrzył na człowieka, którego połknęło bezdenne trzęsawisko. Niezupełnie jeszcze to sobie uświadomił. Widział teraz ulicę, samotną, dziką, chłodną. To było właśnie to: chłodną. Czasem myślał na głos, mówiąc do siebie: — Trzeba już ruszać. Powinienem stąd odejść.

Ale trzymało go to, co zawsze może zatrzymać fa-talistę: ciekawość, pesymizm, zwykła bezwładność. Tymczasem ich stosunek trwał dalej, zatapiając go coraz głębiej i głębiej, dzięki nie znoszącemu sprzeciwu, zmiatającemu wszystko szateństwu tych nocy. Może zdawał sobie sprawę z tego, że nie potrafi uciec. Tak czy inaczej pozostał,

przyglądając się tym dwu stworzeniom, które walczyły ze sobą w jednym ciele, jak dwa oświetlone księżycowym blaskiem kształty, zma-

269

gające się i tonące kolejno w bolesnych skurczach pod powierzchnią czarnej, gęstej sadzawki lśniącej w księżycu. Chwilami była to tamta nieruchoma, zimna, zamknięta w sobie postać pierwszej fazy, która choć zagubiona i przeklęta, pozostawała w pewien sposób nieprzenikniona i nietykalna. Później pojawiała się ta druga, która w szalonym zaprzeczeniu tej nietykalności starała się utopić w stworzonej przez nią samą przepaści ową fizyczną niewinność, która została zachowana zbyt długo, by mogła być teraz utracona. Od czasu do czasu pojawiały się na czarnej powierzchni obie, splecione z sobą jak siostry, a wówczas czarne wody odpływały. Świat nadbiegał znowu ze wszystkich stron: pokój, ściany, spokojny głos miliarda owadów, dochodzący spoza okna, za którym owady szumiały od czterdziestu lat. Patrzyła wówczas na niego dzika, zrozpaczona twarz nieznanym kobiecie. Przyglądając się jej w takich chwilach parafrazował własną myśl: "Ona chce się modlić, ale i tego nie umie". Zaczęła tyć.

Koniec tej fazy nie był gwałtowny, nie miał punktu przesilenia poprzedniej fazy. Przeszedł w trzecią fazę tak stopniowo, że Christmas nie umiałby powiedzieć, gdzie się jedna skończyła i zaczęła następna. Było to lato, które stawało się już jesienią. Jak słońce, które zniżając się ku zachodowi kładzie przed sobą coraz dłuższe cienie, zawierało ono chłodną i nieuniknioną zapowiedź jesieni, zwyciężającej umierające lato, które wybuchało znów chwilami jak gasnący płomień.

Trwało to przez dwa lata. Nadal pracował w tartaku, ale równocześnie zaczął sprzedawać małe ilości whi-

270

sky, bardzo ostrożnie, ograniczając się do kilku przygodnych nabywców, z których żaden nie znał innych. Nie wiedziała o tym, chociaż trzymał whisky na terenie posiadłości i spotykał się ze swymi klientami w lesie obok pastwiska. Najprawdopodobniej nie miałyby nic przeciwko temu. Ale pani McEachern także nie miała nic przeciwko ukrytemu sznurowi, więc może nie powiedział jej o tym dla tej samej przyczyny, dla której nie powiedział pani McEachern. Myśląc o pani McEachern, o tym sznurze, o tej kelnerce, której nigdy nie powiedział, skąd pochodzą pieniądze, jakie jej dawał, a teraz o swej obecnej kochance i whisky, uwierzył prawie, że sprzedaje tę whisky nie po to, żeby zarobić pieniądze, ale ponieważ jest wiekuiście

skazany na ukrywanie czegoś przed kobietami, które go otaczały. Za dnia widywał ją czasem z oddalenia, poruszającą się pośród zabudowań w tyle posiadłości, ubraną w czyste, surowe odzienie, pod którym jej spróchniała obfitość gotowa była rozpaść się przy dotknięciu jak coś rosnącego na grzędawisku. Nie spoglądała nigdy ani w jego kierunku, ani w kierunku chaty. Kiedy myślał o tej drugiej osobowości, która zdawała się egzystować w czarnej głębi jej ciała, zdawało mu się, że to, co widzi teraz przy dziennym świetle, jest tylko zjawą kogoś, kogo tamta nocna siostra zamordowała; błądzącą bez przyczyny po miejscach, gdzie dawniej żyła w spokoju, pozbawioną teraz nawet mocy oplakiwania.

Oczywiście ta pierwsza namiętność drugiej fazy nie mogła trwać. Początkowo była rwącą powodzią, teraz falowała, mając przyływy i odpływy. Podczas przyływów potrafiła nieomal oszukiwać i siebie, i jego. Jak gdyby z wiedzy o tym, że jest to tylko przyływ, który

271

musi za chwilę minąć, rodziła się jeszcze dziksza namiętność, gwałtowne zaprzeczenie, które potrafiło pogrążyć ją i jego w cielesne wyuzdanie, pobudzające wyobraźnię i niosące ich samą siłą rozpędu, bez udziału ich woli i bez planu. Jak gdyby wiedziała, że ma mało czasu, a jesień już ją dopędza, choć nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co ta jesień oznacza.. Wydawało się, że jest to tylko sam instynkt cielesny i instynktowne zaparcie się tamtych zmarnowanych lat. Potem następował odpływ. Słyszac cichnący wicher, leżeli wyrzuceni na pełne przesytu i wyczerpania wybrzeże, spoglądając na siebie jak dwoje nie znanych sobie nawzajem ludzi, beznadziejnymi, pełnymi wyrzutu (zmęczonymi u niego — u niej zrozpaczonymi) oczami.

Ale cień jesieni leżał już na niej. Zaczęła mówić o dziecku, jak gdyby instynkt ostrzegł ją, że nadszedł czas, kiedy trzeba będzie albo usprawiedliwić się, albo odpokutować. Mówiła o tym w chwilach odpływów. Początkowo pierwsze chwile nocy były rwącymi nawałnicami, jak gdyby godziny dnia i rozłuki stanowiły dostateczną tamę dla usychającego strumienia, po to, aby zamienić go w powódź. Ale po pewnym czasie strumyczek stał się zbyt nikły. Christmas przychodził do niej teraz niechętnie: jak obcy człowiek, spoglądający już wstecz. I jak obcy człowiek opuszczał ją później po rozmowie w ciemnej sypialni, gdzie siedział, mówiąc o trzecim nieznanym. Zauważył teraz, że jak gdyby umyślnie spotykają się obecnie zawsze w sypialni, jak małżeństwo. Nie musiał jej już więcej poszukiwać w domu. Noce, kiedy ją musiał

odnajdywać ukrytą, oddychającą gwałtownie i naga, pośród ciemnego domu albo między krzewami zniszczonego parku, umarły już tak jak spróchniały palik ogrodzenia obok stajni.

272

Wszystko już umarło: sceny, bezbłędnie odgrywane sceny tajemnej i potwornej rozkoszy i zazdrości. A przecież gdyby wiedziała o tym teraz, miałaby powody, żeby być zazdrosną. Wyjeżdżał teraz mniej więcej co tydzień, mówiąc jej, że jedzie załatwić interesy. Nie wiedziała, że te interesy prowadziły do Memphis, gdzie zdradzał ją z innymi kobietami — z kobietami kupowanymi za pieniądze. Nie wiedziała o tym. Być może, w tej fazie, w której się teraz znajdowała, nie dałoby się jej przekonać, nie wysłuchałaby dowodów, nie dbałaby o nie. Ponieważ zaczęła już spędzać noce bezsennie, odsypiając je po południu. Nie była chora. To nie jej ciało było chore. Nigdy nie czuła się lepiej. Miała ogromny apetyt i ważyła o trzydzieści funtów więcej niż kiedykolwiek przedtem w całym swoim życiu. Nie to powodowało jej bezsenność. Było to coś pochodzącego z ciemności, z ziemi, z umierającego lata, coś groźnego i straszliwego dla niej, ponieważ instynkt upewniał ją, że nie zrobi jej to krzywdy, ale ogarnie ją zupełnie i zwiedzie, nie krzywdząc; przeciwnie, zostanie ocalona, a życie pobiegnie dalej tak samo, może nawet lepiej, mniej przerażająco. Przerażające było tylko to, że nie chciała być ocalona. — Nie jestem jeszcze gotowa do modlitwy — mówiła głośno, spokojnie, nieruchoma, z otwartymi oczyma, a blask księżyca wlewał się i wlewał przez okno, wypełniając pokój czymś zimnym, nieodwołalnym i pełnym dzikiego żalu. — Nie każ mi jeszcze się modlić, dobry Boże. Daj mi być jeszcze trochę przeklętą, jeszcze tylko trochę. — Zdawała się widzieć wszystkie minione lata, wygłodniałe lata, jak szary tunel, na którego dalekim i nieodwołalnym krańcu, niezmaszalna jak wyrzut jej naga pierś przed trzech lat wiała się w bólu kona-

273

nią, dziewicza i ukrzyżowana. — Jeszcze nie, dobry Boże. Jeszcze nie, dobry Boże.

Więc gdy pozostawał u niej teraz po biernych, zimnych i przyzwoitych, wynikających z czystego przyzwyczajenia pieszczotach, zaczęła mówić o dziecku. Zaczęła o nim mówić najpierw w sposób nieosobisty, omawiając dzieci w ogóle. Być może była w tym prosta, instynktowna kobieca chytryść i brak bezpośredniości. Być może nie. Tak czy inaczej, działo się to przez pewien czas, dopóki nie uświadomiła sobie z pewnego rodzaju wstrząsem, że omawia to jako prawdopodobieństwo, jako

praktyczną myśl. Natychmiast powiedział: Nie.

— Dlaczego nie? — zapytała. Patrzyła na niego zamyślona i rozważająca. Myślał szybko, myśląc: Ona chce wyjść za mąż. O to chodzi. Nie więcej myśli o dziecku niż ja. “To tylko podstęp — pomyślał. — Powiniennem był wiedzieć o tym, przewidzieć to. Powiniennem był się wynieść stąd już rok temu”. Ale bał się jej to powiedzieć, aby słowo “małżeństwo” nie padło pomiędzy nimi głośno. Myślał: “Może nie pomyślała o tym, a ja wpakuję jej tę myśl do głowy”. Przyglądała mu się.

— Dlaczego nie? — zapytała. A wtedy coś w nim błysnęło: Dlaczego nie? To by oznaczało spokój, bezpieczeństwo do końca życia. Nie musiałbyś już nigdy odchodzić. A możesz być równie dobrze jej mężem jak tym, czym jesteś teraz, myślał: “Nie. Jeżeli się poddam teraz, zaprę się tych trzydziestu lat, które przeżyłem po to, żeby mnie zrobiły tym, czym chciałem zostać”. Powiedział:

— Gdybyśmy mieli je mieć, to myślę, że mielibyśmy lata temu.

— Nie chcieliśmy go wtedy.

18 - Światłość...

274

WILLIAM FAULKNER

— Teraz też go nie chcemy.

Działo się to we wrześniu. Zaraz po Bożym Narodzeniu powiedziała mu, że jest w ciąży. Niemal zanim skończyła mówić, nabrał przekonania, że kłamie. Odkrył teraz, że oczekiwał od niej tych słów od trzech miesięcy. Ale kiedy spojrział na jej twarz, zrozumiał, że nie kłamie. Uwierzył, że ona także wie o tym. Pomyślał: “Oto nadchodzi. Teraz powie to: ożeń się. Ale przynajmniej mogę najpierw uciec z tego domu”.

Lecz nie powiedziała. Siedziała zupełnie nieruchomo na łóżku, trzymając ręce na kolanach i opuściwszy w dół swą spokojną twarz mieszkanki Nowej Anglii. Była to nadal twarz starej panny: o wydatnych kościach, długa, trochę wychudzona, prawie męska w przeciwieństwie do jej pulchnego ciała, które było bardziej obfite teraz i zwierzące niż kiedykolwiek. Powiedziała zamyślonym, dalekim, oderwanym głosem:

— Pełna sprawiedliwość. Nawet dla dziecka murzyńskiego bękarta. Chciałabym zobaczyć teraz twarz ojca i Kalwina. Jeżeli chcesz uciekać, to teraz jest najlepsza pora, żeby to zrobić.

Ale mówiła to, jak gdyby nie słuchając swego własnego głosu, jak gdyby nie zamierzała nadać tym słowom żadnego współczesnego im znaczenia. Był to ostatni błysk upartego, umierającego lata, zaskoczonego niespodziewanie przez świt jesieni,

będącej już tylko na wpół życiem. Już po wszystkim — myślała spokojnie. — Skończone”. Teraz pozostawał tylko miesiąc oczekiwania, żeby się upewnić. Nauczyła się tego od kobiet murzyńskich: że nie można mieć pewności, zanim nie miną dwa miesiące. Miała więc jeszcze przed sobą miesiąc oczekiwania i przyglądania się kalendarzowi. Żeby mieć pewność i nie omylić się, zrobiła

275

znaczek na kalendarzu. Przez okno sypialni przyglądała się przemijaniu tego miesiąca. Nadszedł mróz i część liści zaczęła zmieniać barwę. Zaznaczony na kalendarzu dzień nadszedł i minął. Dała sobie jeszcze tydzień czasu, żeby się podwójnie upewnić. Nie była podniecona, bo nie zaskakiwało jej to.

— Będę miała dziecko — powiedziała spokojnie na głos.

— Odejdę jutro — powiedział sobie tego samego dnia. “Odejdę w niedzielę — pomyślał. — Zaczekam na tygodniówkę, a potem nie ma mnie”. Zaczął rozmyślać o nadchodzącej sobocie, zastanawiając się, gdzie odejdzie. Nie widział jej przez cały ten tydzień. Spodziewał się, że wezwie go. Wchodząc do chaty i wychodząc, łapał się na unikaniu spojrzenia w stronę domu, podobnie jak podczas pierwszego tygodnia tutaj. Nie widywał jej w ogóle. Od czasu do czasu dostrzegał murzyńskie kobiety, ubrane w nieokreślone stroje, chroniące je od jesiennych przymrozków. Nadchodziły albo odchodziły po wydeptanych ścieżkach, wchodząc do domu albo wychodząc z niego. “Mogę przecież poczekać na całą forszę, jaką mam do zabrania — pomyślał. — Jeżeli ona nie nalega, żebym się usunął, to nie ma powodu, żebym ja się spieszył. Odejdę następnej soboty”.

Pozostał. Było nadal zimno: słonecznie i zimno. Kiedy kładł się obecnie do łóżka pod swoim bawełnianym kocem w pełnej przeciągów chacie, rozmyślał o sypialni w domu z kominkiem i obszernymi, pikowanymi, wyściełanymi posłaniami. Był teraz bliższy litowania się nad sobą niż kiedykolwiek przedtem. “Mo-

276

gła przynajmniej przysłać mi jeszcze jeden koc” — pomyślał. Mógł go sobie kupić, oczywiście. Ale nie kupił. Ona także nie. Czekał. Wydawało mu się, że czekał długo. Później, pewnego wieczora w lutym, powrócił do chaty i zastał na pryczy kartkę od niej. Kartka była krótka: nieomal rozkazująca, kazała mu się stawić tej nocy w domu. Nie był zdziwiony. Nie znał jeszcze nigdy kobiety, która by, nie mając pod ręką innego mężczyzny, nie powróciła po pewnym czasie. Wiedział także, że jutro odejdzie stąd. “Pewnie na to właśnie czekałem — pomyślał. — Czekałem na to, żeby postarano

się udowodnić mi, że tu należę”.

Przebrał się i ogolił. Nie wiedząc o tym, przygotowywał się zupełnie jak pan młody. Znalazł stół w kuchni zastawiony jak zwykle potrawami. W ciągu całego czasu, kiedy jej nie widział, to jedno nie zawiodło ani razu. Zjadł i poszedł na górę. Nie spieszył się. “Mamy całą noc przed sobą — myślał. — Będzie miała dużo do przemyślenia jutrzejszej nocy i następnej, kiedy odkryje, że chata jest pusta”.

Siedziała przed kominkiem. Nie odwróciła nawet głowy, kiedy wszedł.

— Przysuń tu sobie tamto krzesło — powiedziała.

Tak się zaczęła trzecia faza. Zdziwiła go ona przez pewien czas jeszcze bardziej nawet niż dwie poprzednie. Oczekiwał gwałtowności, może pewnego rodzaju milczących przeprosin; a w braku tego — przyzwolenia do zgody, czekającego tylko na to, żeby się dać trochę prosić. Był nawet przygotowany, żeby posunąć się do tego. Ale znalazł obcą kobietę, która z męską, spokojną nieustępliwością odsunęła jego dłoń, gdy w końcu, zrozpaczony i zmieszany, podszedł i dotknął jej.

— Chodź — powiedział — jeżeli masz mi coś do

277

powiedzenia. Zawsze nam się lepiej rozmawia po tym. Nie bój się, to nie zaszkodzi dziecku.

Powstrzymała go jednym słowem. Po raz pierwszy spojrzał w jej twarz: spojrzał w twarz zimną, obcą i fanatyczną.

— Czy zdajesz sobie sprawę — powiedziała — że marnujesz swoje życie?

A on usiadł i patrzył na nią jak skamieniały, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Zrozumienie tego, co miała na myśli, zajęło mu trochę czasu. Nie spojrzała na niego od razu. Siedziała, patrząc w ogień. Twarz miała zimną, nieruchomą, zamyśloną, gdy mówiła do niego, jak gdyby był kimś obcym, a on słuchał ze zdumieniem i wściekłością. Chciała, żeby przejął wszystkie jej sprawy — korespondencję i okresowe wizyty — związane ze szkołami murzyńskimi. Wypracowała sobie już cały plan. Wyrecytowała mu go, podczas gdy on słuchał z wzrastającą wściekłością i zdumieniem. Miał kierować wszystkim, a ona będzie jego sekretarką i asystentem. Będą jeździli razem do murzyńskich szkół i odwiedzali razem murzyńskie domy. Słuchając, wiedział pomimo ogarniającego go gniewu, że ten plan został wymyślony przez szaleńca. A przez cały czas jej spokojny profil wydawał się w miękkim blasku kominka poważny i cichy jak portret w swych ramach. Odchodząc

przypomniał sobie, że ani razu nie wspomniała o spodziewanym dziecku.

Nie wierzył jeszcze, że jest szalona. Przypuszczał, że przyczyną tego była ciąża, tak jak przypuszczał, że to było przyczyną, dla której nie pozwoliła mu się dotknąć. Starał się ją przekonać. Ale równie dobrze mógł chcieć przekonać drzewo: nie pobudziło jej to nawet

278

WILLIAM FAULKNER

do zaprzeczenia, wysłuchiwała tylko spokojnie i znów zaczęła mówić tym bezbarwnym, zimnym głosem, jak gdyby Christmas w ogóle się przedtem nie odzywał. Kiedy wstał wreszcie i wyszedł, nie wiedział, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że już go tam nie ma.

W ciągu następnych dwóch miesięcy widział ją tylko raz. Żył jak dawniej, ale nie zbliżał się już w ogóle do domu, jadając znowu w mieście, jak wówczas, gdy po raz pierwszy zaczął pracować w tartaku. Ale wtedy, gdy po raz pierwszy zaczął pracować w tartaku, nie musiał o niej myśleć podczas dnia. Nie myślał o niej prawie wcale. Teraz nie mógł się powstrzymać od tego. Znajdowała się w jego myślach nieustannie. Widział ją nieomal bez przerwy: siedzącą w domu, cierpliwą, wyczekującą, nieuniknioną, szaloną. Podczas pierwszej fazy było to tak, jakby stał na śniegu przed domem i starał się dostać do środka. Podczas drugiej fazy znajdował się na dnie przepaści, pośród gorącego, dzikiego mroku. Teraz znajdował się pośrodku równiny, na której nie było żadnego domu ani śniegu, ani nawet wiatru.

Zaczął się teraz bać, on, na którego uczucia do tej chwili składały się: oszołomienie, trochę przeczuć i świadomość niedobrego zbiegu okoliczności. Miał teraz współnika do sprzedaży whisky: nieznanego nazwiskiem Brown, który pojawił się w tartaku pewnego wiosennego dnia, poszukując pracy. Wiedział, że ten człowiek jest głupcem, ale w pierwszej chwili pomyślał: "Będzie przecież miał przynajmniej tyle rozumu, żeby robić to, co mu każe. Nie będzie musiał wcale myśleć przy tym". Dopiero później powiedział do siebie: "Wiem teraz, że głupiec jest to ten, który nie umie posłuchać nawet własnej dobrej rady". Wziął

279

Browna, bo Brown był tu obcy, miał w sobie pewnego rodzaju wesołą i pozbawioną skrupułów wesołość, a poza tym nie za wiele odwagi. Wiedział, że w rękach roztropnego człowieka tchórz może być w ograniczony sposób bardzo pożyteczny dla wszystkich z wyjątkiem siebie samego.

Bał się, że Brown może dowiedzieć się o mieszkającej w domu kobiecie i uczynić coś nieodwracalnego w swojej nieobliczalnej głupocie. Bał się, że kobieta, której zaczął teraz unikać, może przyjść którejś nocy do chaty. Widział ją tylko raz od lutego. Było to wtedy, kiedy odnalazł ją, aby powiedzieć, że Brown zamieszka z nim w chacie. Działo się to w niedzielę. Zawołał ją i wyszła na tylny ganek, gdzie stał. Wysłuchiwała go spokojnie.

— Nie musiałeś tego robić — powiedziała. Nie rozumiał wtedy, co miała na myśli. Dopiero później myśl zabłysła nagle jak wydrukowane zdanie: Ona myśli, że sprowadziłem go tutaj, żeby utrzymać ją z daleka od siebie. Wierzy, że ja go trzymam w chacie, bo myślę, że nie odważy się tam przyjść, kiedy on tam jest, i będzie musiała mnie pozostawić w spokoju.

Tak więc zasiał swój lęk i swoje przekonanie we własnym umyśle, wierząc, że zasiał je w jej umyśle. Wierzył także, że obecność Browna nie tylko nie odstraszy jej, ale będzie dla niej pobudką, żeby przyjść do chaty. Ze względu na to, że w ciągu ostatniego miesiąca nie uczyniła nic, nie zrobiła najmniejszego posunięcia, wierzył, że jest zdolna do zrobienia wszystkiego. Teraz i on także leżał nie śpiąc po nocach. Ale myślał: “Muszę coś zrobić. Zrobię coś”.

Tak więc oszukiwał i unikał Browna, aby dotrzeć przed nim do chaty. Za każdym razem spodziewał się,

280

że zastanie ją, czekającą. Gdy dopadał chaty, aby przekonać się, że jest pusta, myślał z pewnego rodzaju bezsilną wściekłością o pośpiechu, kłamstwach i o niej, samotnej i bezczynnej przez cały dzień wewnątrz domu, nie mającej do roboty nic więcej, tylko rozważanie, czy sprzeniewierzyć mu się od razu, czy też torturować go nieco dłużej. W zwykłych warunkach nie dbałby, czy Brown wie o ich stosunkach, czy też nie. Nie miał w swej naturze dyskrecji ani rycerskości wobec kobiet. Ale ta sprawa była realna, rzeczywista. Byłoby mu obojętne, gdyby całe Jefferson wiedziało, że jest jej kochankiem. Ale nie chciał, aby ktokolwiek zaczął zastanawiać się nad tym, jak przebiega jego osobiste życie tutaj, bo chodziło mu o ukrytą whisky, która dawała trzydzieści do czterdziestu dolarów tygodniowo. To była jedna przyczyna. Drugą przyczyną była próżność. Wolałby umrzeć albo zamordować kogoś, niż dopuścić, aby jakiś inny mężczyzna dowiedział się, jakiego rodzaju są obecnie ich stosunki: że ona nie tylko zmieniła zupełnie swój tryb życia, ale starała się także zmienić jego samego i uczynić z niego coś pośredniego między pustelnikiem a misjonarzem dla Murzynów.

Wierzył, że gdy Brown dowie się o pierwszym, musi nieuchronnie dowiedzieć się i o drugim. Tak więc dopadał wreszcie drzwi chaty po okłamaniu Browna i pośpiesznym biegu i kładąc dłoń na klamce przypominał sobie ten pośpiech i myślał, że za chwilę okaże się on niepotrzebny, a jednak jest środkiem ostrożności, z którego nie ma odwagi zrezygnować. Nienawidził jej wówczas z dziką nagłością lęku i bezsilnej wściekłości. A potem, pewnego wieczora, otworzył drzwi i znalazł kartkę na pryczy.

281

Zobaczył ją natychmiast po wejściu. Leżała tam prostokątna, biała i nieodgadniona na tle ciemnego koca. Christmas zatrzymał się, aby pomyśleć, że wie, jaką wiadomość zawiera i co obiecuje. Nie czuł żadnego pośpiechu, żadnej ulgi. “Minęło teraz — pomyślał, nie biorąc jeszcze do ręki złożonego papieru. — Teraz będzie tak, jak było przedtem. Żadnych więcej rozmów o czarnuchach i dzieciach. Rozum jej wrócił. Wypędziła tamtą drugą, widząc, że nigdzie jej to nie zaprowadzi. Widzi teraz, że chce i potrzebuje mężczyzny. Chce mieć mężczyznę nocą, a to, co on robi w dzień, nie ma znaczenia”. Powinien był w owej chwili zrozumieć przyczynę, dla której nie odjechał. Powinien był dostrzec, że jest przykuty tak mocno tym małym prosto-kącikiem papieru o nie znanej jeszcze treści, jak gdyby to były zamki i łańcuchy. Nie pomyślał o tym. Widział siebie tylko raz jeszcze na krawędzi obietnicy i rozkoszy. Ale teraz będzie jednak spokojniej. Oboje będą tego tak bardzo pragnęli teraz. A poza tym, będzie miał bat na nią. “Cała ta bzdura — pomyślał, trzymając w ręce nie otwarty jeszcze papier. — Cała ta przeklęta bzdura. Ona jest nadal sobą, a ja jestem nadal mną. A teraz, po całej tej przeklętej bzdurze...”, i myślał o tym, jak będą się oboje śmieli z tego tej nocy, później, po tym, gdy nadejdzie czas cichej rozmowy i cichego śmiechu. Będą się śmieli z tej całej sprawy, jedno z drugiego, z siebie.

W ogóle nie zajrzał do kartki. Schował ją, umył się, ogolił i przebrał, gwizdząc, gdy robił to wszystko. Nie skończył jeszcze, gdy wszedł Brown.

— No, no, no — powiedział Brown. Christmas nic nie powiedział. Patrzył w przybity do ściany kawałek lustra, zawiązując sobie krawat. Brown zatrzymał się

282

WILUAM FAULKNER

pośrodku izby: wysoki, smukły, młody człowiek w brudnym kombinezonie, mający ciemną, słabą, przystojną twarz i zaciekawione oczy. Blisko ust miał wąską szramę jak nitka śliny. Po pewnym czasie Brown powiedział:

— Wygląda na to, że wychodzisz gdzieś?

— Naprawdę? — powiedział Christmas. Nie obejrzał się. Gwizdał monotonicznie, ale czysto: coś w minorze, melancholijnego i murzyńskiego.

— Myślę, że nie będę się teraz mył, bo już jesteś gotów — powiedział Brown. Christmas obejrzał się.

— Gotów do czego?

— Nie idziesz do miasta?

— Czy powiedziałem, że idę? — powiedział Christmas. Odwrócił się do lustra.

— Och — powiedział Brown. Patrzył na tył głowy Christmasa. — To znaczy, że idziesz w sprawie osobistej. — Przyglądał się Christmasowi. — To będzie trochę za zimna noc na to, żeby leżeć na mokrej ziemi nie mając pod sobą nic prócz cienkiej dziewczyny.

— Tak myślisz? — powiedział Christmas pogwizdując, zajęty i niespieszny. Odwrócił się, wziął marynarkę i włożył ją na siebie. Brown przyglądał mu się nadal. Christmas podszedł do drzwi.

— Zobaczymy się rano — powiedział. Drzwi nie zamknęły się za nim. Wiedział, że Brown stoi w nich patrząc za nim. Ale nie próbował ukryć swoich zamiarów. Ruszył w stronę domu. “Niech patrzy — pomyślał. — Niech idzie za mną, jeżeli chce”.

Stół był zastawiony dla niego w kuchni. Zanim usiadł, wyjął z kieszeni nie czytana kartkę i położył obok talerza. Nie była zamknięta ani zapieczetowana,

283

otworzyła się sama, jak gdyby zapraszając go, nalegając. Ale nie spojrzał na nią. Zaczął jeść. Jadł bez pośpiechu. Kończył już, gdy nagle uniósł głowę, nasłuchując. Potem wstał i zbliżył się do drzwi, którymi poprzednio wszedł. Poruszając się bezgłośnie jak kot niespodziewanie otworzył drzwi. Brown stał na zewnątrz z twarzą przyłożoną do drzwi, a właściwie do miejsca, gdzie się przedtem znajdowały. Światło padło na jego twarz, na której malował się wyraz napiętego i dziecięcego zaciekawienia, które zmieniło się w zdumienie, gdy Christmas spojrzał na nią. Potem powróciła do zwykłego stanu, cofnąwszy się trochę. Głos Browna był wesoły, chociaż mówił cicho, przezornie, jak spiskowiec, jak gdyby ofiarował już swe przymierze i przyjaźń Christmasowi, nie proszony i nie czekając nawet na to, żeby zrozumieć, co się tu dzieje, ale z czystej lojalności dla swego współnika, a może dla abstrakcyjnego mężczyzny, przeciwstawionego wszystkim kobietom.

— No, no, no — powiedział. — Więc to tu skradasz się co noc jak kocur. Przed samymi naszymi frontowymi drzwiami, można powiedzieć...

Nie mówiąc słowa Christmas uderzył go. Cios nie był silny, bo Brown znajdował się już w wesołym i niewinnym ruchu wstecz, parskając równocześnie śmiechem. Uderzenie uciszyło go. Odskakując do tyłu, zniknął z pola pokrytego padającym z drzwi światłem. Z ciemności dobiegł jego głos, nadal cichy, jak gdyby nawet teraz nie chciał narażać interesów swego współnika, ale napięty niepokojem i zdumieniem.

— Nie próbuj mnie bić!

Był wyższy: wysmukły kształt, cofający się zabawnie, jak gdyby znajdował się na krawędzi bezładnego

284

upadku na ziemię, aby rozpaść się tam zupełnie, gdy potykał się wstecz cofając przed powolnym i cichym posuwaniem się tamtego. Raz jeszcze głos Browna nadbiegł, wysoki, pełen niepokojem i udanej pogroźki:

— Nie próbuj mnie bić!

Tym razem uderzenie ugodziło go w ramię, gdy odwracał się. Pobiegł. Przebiegł sto jardów, zanim zwolnił, oglądając się. Potem zatrzymał się i odwrócił.

— Ty tępy, tchórzliwy makaroniarzu — powiedział na próbę, natychmiast podrywając głowę, jak gdyby jego głos narobił więcej hałasu i zabrzmiał donośniej, niż tego pragnął. Od strony domu nie dobiegał żaden odgłos. Drzwi kuchni były znowu ciemne, znowu zamknięte. Uniósł trochę głosu:

— Ty tępy, tchórzliwy makaroniarzu! Nauczę cię jeszcze, z kim zadzierasza!

Znikąd nie dobiegał żaden odgłos. Było chłodno. Zawrócił i poszedł w stronę chaty, mamrocząc do siebie.

Gdy Christmas powrócił do kuchni, nie spojrział nawet na stół, na którym leżała nie przeczytana jeszcze kartka. Minął drzwi, które prowadziły w głąb domu i ku schodom. Zaczął wchodzić, nie spiesząc się. Wchodził równym krokiem. Widział teraz drzwi sypialni, a pod nimi smugę blasku — blasku kominka. Wszedł równym krokiem i położył dłoń na klamce. Potem otworzył drzwi i zamarł. Zobaczył postać, którą znał, ubraną w surową suknię, którą znał — suknię, która wyglądała, jak gdyby był w nią ubrany niedbały mężczyzna. Ponad suknią dostrzegł głowę z początkami siwizny we włosach, ściągniętych do tyłu w węzeł tak dziki i brzydki jak zgrubienie na chorej gałęzi. Potem

ŚWIATC.OŚĆ W SIERPNIU

285

spojrzała na niego i zobaczył, że ma na nosie oprawne w stalowy drut okulary, których nigdy dotąd nie widział. Stał w drzwiach, nadal trzymając dłoń na kłamca. Był zupełnie nieruchomy. Wydawało mu się, że słyszy w sobie słowa: Powinieneś był przeczytać tę kartkę. Powinieneś był przeczytać tę kartkę, myśląc: Ja przecież zrobię coś. Zrobię coś”.

Słyszał to nadal, stojąc przy stole — na którym leżały porozrzucane papiery i od którego nie wstała — i słuchając potworności, które roztaczał jej spokojny, chłodny głos. Usta jego powtarzały za nią słowa, gdy patrzył na porozrzucane zagadkowe papiery i dokumenty, a myśli płynęły gładko i leniwie, zastanawiając się, co ten papier oznacza, a co tamten. — Do szkoły — powiedziały jego usta.

— Tak — powiedziała. — Przyjmą cię. Każda z nich cię przyjmie. Za moją poręką. Możesz wybrać, którą chcesz. Nie będziemy musieli nawet płacić za to.

— Do szkoły — powiedziały jego usta. — Do murzyńskiej szkoły. Ja.

— Tak. A potem możesz pojechać do Memphis. Możesz uczyć się prawa w biurze Peeblesa. Nauczy cię prawa. A potem możesz zająć się wszystkimi moimi sprawami. Wszystkim tym, wszystkim, co robi teraz Peebles.

— A potem uczyć się prawa w biurze murzyńskiego adwokata — powiedziały jego usta.

— Tak. A potem przekażę ci wszystkie moje interesy, wszystkie pieniądze. Wszystkie. Gdy będziesz potrzebował dla siebie pieniędzy, będziesz mógł... wiedziałbyś, jak to robić. Adwokaci wiedzą, jak to robić, żeby... Pomagałbyś mi w wynurzeniu się z ciemności i nikt nie mógłby się oskarżać ani potępiać, nawet

286

gdyby odkryto to... nawet gdybyś nie zwrócił... ale mógłbyś zwrócić pieniądze i nikt by nigdy nie wiedział...

— Ale murzyńska szkoła, murzyński adwokat — powiedział jego głos, cichy, nawet nie spierający się, po prostu podpowiadający. Nie patrzyli na siebie. Nie uniosła głowy od chwili, gdy wszedł.

— Powiedz im — powiedziała.

— Powiedzieć Murzynom, że też jestem Murzynem? Patrzyła teraz na niego. Jej twarz była zupełnie spokojna. Była to już twarz starej kobiety.

— Tak. Będziesz musiał to zrobić. Aby nie policzyli ci nic za naukę. Za moją poręką.

A potem było to tak, jak gdyby powiedział nagle swoim ustom:

— Zamknij się. Przestań bredzić. Daj mi mówić.

Pochylił się. Nie drgnęła. Twarze ich dzieliła mniej niż stopa odległości: tę zimną, trupiobiałą, fanatyczną, szaloną i tę drugą koloru pergaminu, o wardze uniesionej, ułożonej do bezgłośnego, ostrego warknięcia. Powiedział cicho:

— Jesteś stara. Nie zauważyłem tego nigdy przedtem. Stara kobieta. Masz siwe włosy.

Uderzyła go, natychmiast, otwartą dłonią. Reszta jej ciała nie drgnęła. Jej uderzenie wydało tępy odgłos, a jego uderzenie padło tuż za nim jak echo. Uderzył pięścią, potem wśród tego porywistego, wiejącego wichru, wyrwał ją z krzesła i trzymał, twarzą naprzeciw swej twarzy, nieruchomą. Jej nieruchoma twarz nie drgnęła nawet, a przez niego przelatywał wicher świadomości.

— Nie masz żadnego dziecka — powiedział. — Nigdy nie byłaś w ciąży. Nic się z tobą nie dzieje poza

287

tym, że jesteś stara. Po prostu postarzałaś się i nie jesteś już do niczego zdalna. To wszystko, co ci się przydarzyło niedobrego.

Puścił ją i znowu uderzył. Upadła bezwładnie na łóżko, patrząc na niego, a on uderzył ją znowu w twarz i stojąc nad nią mówił słowa, które tak kiedyś kochała, gdy je wymawiał jego język, i o których mówiła, że może je prawie smakować, ciche, plugawe, pieszczotliwe.

— To wszystko. Po prostu zużyłaś się. Nie nadajesz się już do niczego. To wszystko.

Leżała na łóżku bokiem, z głową odwróconą ku niemu i krwawiącymi ustami.

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy oboje umarli — powiedziała.

Zobaczył kartkę leżącą na kocu, gdy tylko otworzył drzwi. Podniósł ją i rozpostarł. Przypomnił sobie teraz spróchniały palik ogrodzenia jak coś, o czym mu opowiadano i co miało miejsce w jakimś innym życiu nie należącym nigdy do jego życia. Ponieważ papier, atrament, kształt i styl były te same. Te listy nigdy nie były długie. Nie były długie i teraz. Ale teraz nie było w nich nic wołającego głosem nie wypowiedzianej obietnicy, pełnej soczystych i niewysłowionych rozkoszy. Były teraz krótsze niż epitafia i bardziej zwięzłe niż przykazania.

W pierwszym odruchu nie chciał pójść. Przypuszczał, że boi się nie pójść. Później zrozumiał, że boi się, że nie uda mu się nie pójść. Nie przebierał się teraz. W swym przepoconym kombinezonie przecinał późny zmierzch majowy i wchodził do

kuchni. Stół nie bywał już nigdy zastawiony jedzeniem dla niego. Czasem spoglądał nań, przechodząc, i myślał: “Mój Boże, kie-

288

dy to ostatni raz usiadłem spokojnie, żeby się najeść”. I nie mógł sobie przypomnieć.

Potem wchodził do domu i wspinał się po schodach. Już stamtąd słyszał jej głos. Stawał się on coraz głośniejszy w miarę wchodzenia i zbliżania się do drzwi jej sypialni. Drzwi były zamknięte na klucz. Spoza nich dochodził monotony, równomierny głos. Nie mógł rozróżnić słów, słyszał jedynie nieskończony, monotony dźwięk. Nie miał odwagi, aby rozróżnić słowa. Nie miał odwagi uświadomić sobie tego, co robiła w tej chwili. Stał więc tam i czekał, a po pewnym czasie głos cichł, otwierała drzwi i wchodził. Mijając łóżko, spoglądał na podłogę i wydawało mu się, że może odróżnić na niej odcisk jej kolan. Odwracał oczy gwałtownie, jak gdyby ujrzał śmierć.

Zwykle lampa nie bywała jeszcze zapalona. Nie siadali. Znowu stali, aby porozmawiać tak, jak to robili przed dwoma laty. Stali wśród zmierzchu, a głos jej powtarzał tę samą opowieść:

— ...więc nie do szkoły, jeżeli nie chcesz tam iść... Obejdzie się bez tego... Twoja dusza. Pokuta za... — A on czekał chłodny, nieruchomy, póki nie dokończyła: — ...piekło... na wieki, wieki wieków...

— Nie — powiedział. A ona słuchała tak spokojnie jak on, i wiedział, że jest nie przekonana, a ona wiedziała, że on jest nie przekonany. Ale żadne z nich nie poddawało się, gorzej: nie pozostawiali się nawzajem w spokoju, nawet on nie chciał odejść.

Stali więc jeszcze przez chwilę w cichym zmierzchu, zaludnionym miliardami grzechów i rozkoszy, pochodzących z ich bioder, patrząc nawzajem na swe rozpływające się w zmierzchu nieruchome twarze, wyczerpane, zmęczone i niezłomne.

289

Potem odchodził. A zanim drzwi zamknęły się i opadła zasława, znowu słyszał jej głos, monotony, spokojny i pełen rozpaczy, mówiący o czymś do kogoś czy do czegoś, czego nie miał odwagi poznać ani nawet przypuszczać.

I gdy w trzy miesiące później siedzieli owej sierpniowej nocy w cieniu zdziczałego parku i usłyszał zegar wybijający dziesiątą, potem jedenastą na odległym o dwie mile gmachu sądu, wierzył ze spokojnym poczuciem sprzeczności, że jest tylko

bezwolnym sługą nieszczęsnego zbiegu okoliczności; co do których wierzył, że nie wierzy w nie. Mówił do siebie: Musiałem to zrobić, już w czasie przeszłym: Musiałem to zrobić. Sama tak powiedziała.

Powiedziała to przedwczoraj w nocy. Znalazł kartkę i poszedł do niej. W miarę jak wchodził po schodach, monotony głos stawał się coraz donośniejszy i wyraźniejszy niż zwykle. Gdy znalazł się u szczytu schodów, zrozumiał przyczynę tego. Tym razem drzwi były otwarte, a kiedy wszedł, nie powstała z miejsca przy łóżku, gdzie klęczała. Nie drgnęła, jej głos nie ucichł. Jej głowa nie była pochylona. Twarz miała uniesioną, prawie dumnie, a jej postawa, pełna zewnętrznej pokory, była tylko częścią tej dumy. W mroku głos jej brzmiał cicho, spokojnie i był pełen wyrzeczenia. Zdawała się nie wiedzieć o jego obecności, dopóki nie dokończyła pełnego fragmentu modlitwy. Wówczas odwróciła głowę.

— Uklęknij ze mną — powiedziała.

— Nie.

— Uklęknij — powiedziała. — Nie musisz nawet mówić do Niego. Uklęknij tylko. Zrób tylko pierwsze posunięcie.

19-światło«...

290

WILUAM FAULKNER

— Nie — powiedział. — Idę. Nie poruszyła się. Była odwrócona i spoglądała na niego.

— Joe — powiedziała — czy możesz zostać? Czy zrobisz chociaż to?

— Tak — powiedział. — Zostanę. Ale pospiesz się.

Znowu zaczęła się modlić. Mówiła cicho z tym poniżeniem pełnym dumy. Kiedy zachodziła konieczność wymawiania symbolicznych słów, których nauczyła się od niego, wymawiała je zdecydowanie i bez wahania, mówiąc do Boga, jak gdyby był mężczyzną, znajdującym się w tym pokoju wraz z dwoma innymi mężczyznami. Mówiła o sobie i o nim jak o dwojgu obcych ludziach, a głos jej był spokojny, monotony i nijaki. Potem urwała. Wstała cicho. Stali pośród zmierzchu, patrząc na siebie. Tym razem nie postawiła nawet pytania. Nie musiał nawet odpowiadać. Po pewnym czasie powiedziała cicho:

— Więc pozostaje już tylko jedno do zrobienia.

— Pozostaje już tylko jedno do zrobienia — powtórzył.

“Więc teraz wszystko już się dokonało, wszystko się skończyło” — pomyślał

spokojnie, siedząc w gęstym cieniu zarośli i słysząc ostatnie uderzenie zegara, które ucichło i zamarło w oddali. Było to miejsce, gdzie dognał ją i odnalazł jednej z tych dzikich nocy przed dwoma laty. Ale to działo się w innym czasie, w innym życiu. Teraz było tu cicho, nieruchomo, a od żywno] ziemi szedł chłodny powiew. Ciemność wypełniona była miliardem głosów, pochodzących z całego okresu jego życia, jak gdyby przeszłość była płaskim obrazem, a potem miała pobiec dalej, przez jutro i wszystkie inne jutra, będące także częścią tego płaskiego,

291

poruszającego się obrazu. Myślał o tym ze spokojnym zdumieniem: poruszającego się... miliardem... bliskie, bo przecież to wszystko, co kiedykolwiek było, było takie samo, jak to, co kiedykolwiek będzie, gdyż jutro to, co było, i to, co będzie, będą tym samym. A potem czas nadszedł.

Wstał. Wynurzył się z cienia, okrążył dom i wszedł do kuchni. Dom był nie oświetlony. Nie zaglądał do chaty od wczesnego ranka i nie wiedział, czy pozostawiła dla niego kartkę, czy nie i czy oczekiwała go. Nie próbował zachowywać się cicho. Jak gdyby nie myślał o śnie, o tym, czy ona śpi, czy nie. Wspiął się miarowymi krokami na schody i wszedł do sypialni. Prawie natychmiast odezwała się z łóżka:

— Zapal lampę.

— Nie będzie trzeba światła — powiedział.

— Zapal lampę.

— Nie — powiedział. Stał nad łóżkiem. W ręce trzymał brzytwę. Ale nie była ona jeszcze otwarta. Lecz kobieta nie odezwała się już, a wtedy jak gdyby ciało jego odeszło od niego. Podeszło ono do stołu, na którym ręce jego położyły brzytwę, odnalazły lampę i zapaliły zapalną. Siedziała w łóżku z głową opartą o wezglowie. Nocną koszulę okrywał szal, którego końce krzyżowały się na piersiach. Ręce miała skrzyżowane na szalu, a dłonie ukryte. Stał przy stole. Spojrzeli na siebie.

— Czy uklęknieś ze mną? — powiedziała. — Nie proszę o to.

— Nie — powiedział.

— Nie proszę o to. To nie ja proszę o to. Uklęknij ze mną.

— Nie.

292

Spojrzeli na siebie.

— Joe — powiedziała — po raz ostatni. Nie proszę o to. Pamiętaj o tym. Uklęknij ze mną.

– Nie – powiedział.

Zobaczył, że jej ręce rozwierają się, a prawa dłoń wynurza spod szala. Trzymała starego typu dwustrza-łowy skałkowy rewolwer, prawie tak ciężki i długi jak mała strzelba. Ale widoczny na ścianie cień rewolweru i jej ramienia, i dłoni nie drgnął nawet. Potworny cień potwornego, sterczącego kurka, odciągniętego do tyłu i złośliwie uniesionego jak wygięta głowa węża. Nie drgnął nawet. I oczy jej nie drgnęły nawet. Były tak nieruchome jak czarny, okrągły pierścień muszki pistoletu. Ale nie było w nich ciepła ani wściekłości. Były spokojne i nieruchome, jakby zawarta w nich była cała litość, cała rozpacz i całe przekonanie. Lecz on nie patrzył na nie. Patrzył na cień pistoletu na ścianie. Patrzył, gdy sterczący cień kurka opadł.

Stojąc pośrodku drogi z prawą ręką uniesioną w pełnym blasku nadjeżdżającego samochodu, nie spodziewał się, że naprawdę się zatrzyma. A jednak przystanął z piskliwą i skrzypiącą nagłością, która była prawie śmieszna. Było to małe, poobijane, stare auto. Gdy podszedł do niego, zobaczył w odbitym blasku reflektorów dwie młode twarze, które zdawały się unosić jak dwa lekko ubarwione i znieruchomiałe z przerażenia balony. Bliższy balon to była dziewczyna, skulona i cofnięta, pełna miękkiej zgrozy. Ale Christmas nie zauważył tego w owej chwili.

– Co myślicie o tym, żeby mnie zabrać tam, gdzie jedziecie? – zapytał.

293

Nie odpowiedzieli, przyglądając mu się z tą nieruchomą i pełną ciekawości zgrozą, której nie zauważał. Otworzył więc drzwi i usiadł na tylnym siedzeniu.

Kiedy to zrobił, dziewczyna zaczęła wydawać z siebie zdławione, zawodzące dźwięki, które za chwilę powinny były stać się głośniejsze, gdyż lęk jej nabierał powoli odwagi. Samochód był już w ruchu, zdawało się, że skoczył naprzód, a chłopiec, nie zdejmując rąk z kierownicy i nie odwracając głowy ku dziewczynie, syknął:

– Zamknij się! Cicho! To nasza jedyna szansa! Czy zamkniesz się nareszcie?

Christmas nie usłyszał także i tego. Siedział w tyle, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że jedzie tuż za plecami pełnego rozpaczny przerażenia. Pomyślał tylko z przelotnym zainteresowaniem, że mały samochodzik jedzie z dość niebezpieczną szybkością jak na tak wąską, wiejską drogę.

– Jak daleko prowadzi ta droga? – zapytał.

Chłopiec odpowiedział mu, podając nazwę tego samego miasta, które podał mu murzyński chłopak przed trzema laty, gdy po raz pierwszy ujrzał Jefferson. Głos chłopca miał suche; lekkie brzmienie.

— Czy pan chce się tam dostać, szefie?

— Dobrze — powiedział Christmas. — Tak. Tak. To będzie w porządku. To mi odpowiada. Czy jedziecie tam?

— Pewnie — odpowiedział chłopiec tym lekkim, bezbarwnym tonem. — Gdzie tylko pan każe.

Siedząca obok niego dziewczyna znowu rozpoczęła to zdławione, zduszone, drobne, zwierzęce zawodzenie. Raz jeszcze chłopiec syknął ku niej mając

294

twarz sztywno skierowaną ku przodowi, podczas gdy maryl samochodzik pędził i podskakiwał:

— Cicho! Szszszszszszszszszsz! Cicho! Cicho!

Ale raz jeszcze Christmas nie zauważył tego. Widział tylko dwie sztywno patrzące przed siebie głowy na tle odbłasku świateł, w który wpadała wstęga drogi, zataczając się i uciekając. Ale dostrzegał ich oboje i drogę bez zaciekawienia. Nie zwracał nawet uwagi na to, że od pewnego czasu chłopiec mówi coś do niego. Jak daleko zajechali i gdzie są, nie wiedział. Chłopiec wymawiał teraz słowa powoli, streszczając się, każdy wyraz był, jak gdyby wybrany uważnie i wypowiedziany powoli i wyraźnie, jak gdyby był przeznaczony dla ucha cudzoziemca.

— Niech pan słucha, szefie. Tu skręczę. To tylko skrót. Skrót do lepszej drogi. Chcę pojechać na skrót. Do lepszej drogi. Tak, żebyśmy się dostali tam prędzej. Rozumie pan?

— Dobrze — powiedział Christmas. Auto podskakiwało i pędziło naprzód, zataczając się na zakrętach, wyjeżdżając na pagórki i opadając znów w dół, jak gdyby ziemia uciekła spod kół. Skrzynki pocztowe na słupach przydrożnych wpadały w reflektory i przelatywały obok. Od czasu do czasu mijali nie oświetlony dom. Chłopiec znów przemówił:

— Tu jest ten skrót, o którym panu mówiłem. O tu. Mam zamiar tam skręcić. Ale to nie znaczy, że chcę zjechać z drogi. Chcę tylko przejechać kawałek do lepszej drogi. Rozumie pan?

— Dobrze — powiedział Christmas, a potem bez powodu zapytał: — Musicie mieszkać tu gdzieś w okolicy?

Teraz przemówiła dziewczyna. Odwróciła się na

295

siedzeniu. Jej mała twarzyczka pociemniała z niepewności, przerażenia i ślepej,

szczurzej rozpaczy:

— Tak! — krzyknęła. — Oboje tu mieszkamy! Tu niedaleko! A kiedy mój tata i bracia...

Jej głos ucichł, zduszony w pół słowa. Christmas zobaczył, że ręka chłopca opada na jej twarz, a jej dłonie szarpia ją i równocześnie wydobywa się spod tej ręki jej głos, przytłumiony, zdławiony i kipiący. Christmas pochylił się ku przodowi.

— Tu — powiedział. — Tu wysiądę. Możecie mnie tu wysadzić.

— Widzisz! Zrobiłaś to! — krzyknął chłopiec cienko jak ona i jak ona z pełną rozpaczyc wściekłością. — Gdybyś tylko siedziała cicho...

— Zatrzyma] samochód — powiedział Christmas. — Nie zrobię krzywdy ani tobie, ani jej. Chcę tylko wysiąść.

Po raz drugi wóz zatrzymał się z tą gwałtowną nagłością. Ale silnik nadal pracował pełnym gazem i auto skoczyło naprzód, zanim Christmas zdążył zrobić krok. Musiał skoczyć i przebiec kilka kroków, żeby odzyskać równowagę. Podczas tego coś ciężkiego i twardego uderzyło go w bok. Samochód popędził, znikając z najwyższą szybkością. Uniosło się z niego przenikliwe zawrodenie dziewczyny. Potem samochód zniknął. Powróciła ciemność, niewidoczny, opadający pył i cisza pod letnimi gwiazdami. Przedmiot, który go uderzył, zadał mu mocny cios. Po chwili dostrzegł, że przedmiot ten jest przytwierdzony do jego prawej dłoni. Unosząc dłoń odkrył, że trzyma w niej staroświecki ciężki pistolet. Nie wiedział, że go ma, nie przypominał sobie chwili, w której go podniósł ani dlaczego to zrobił. Ale był tu. "A ja zatrzymałem to

296

auto prawą ręką — pomyślał. — Nic dziwnego, że ona... oni..." Zamachnął się prawą ręką do rzutu, trzymając w niej pistolet. Potem znieruchomiał, zapalił zapałkę i obejrzał pistolet w świetle słabiutkiego, gasnącego płomyka. Zapałka wypaliła się i zgasła, ale mimo to zdawało mu się, że nadal widzi ten staroświecki przedmiot o dwóch naładowanych komorach: jednej, na którą kurek opadł już i która nie wybuchła — i drugiej, na którą żaden kurek jeszcze nie opadł, ale miał opaść, bo tak zaplanowano. Dla niej i dla mnie — powiedział. Jego ramię cofnęło się i cisnęło. Usłyszał, jak pistolet uderza w zarośla. Nie rozległ się żaden inny dźwięk. — Dla niej i dla mnie.

13

W pięć minut po odkryciu ognia przez wieśniaka ludzie zaczęli się schodzić.

Jedni z nich, udający się do miasta, żeby w nim spędzić sobotę, także zatrzymywali się, inni przybyli pieszo z najbliższego sąsiedztwa. Był to obszar zajęty przez murzyńskie chaty i pokryty mizernymi półkami, z których nawet pluton detektywów nie potrafiłby wyczesać dziesięciu osób, wliczając w to mężczyzn, kobiety i dzieci. A jednak wynurzyły się stamtąd w ciągu godziny, jak gdyby pojawiając z powietrza, grupy i grupki, poczynając od pojedynczych osób, a kończąc na całych rodzinach. Jeszcze inni przybyli z miasta, ścigając się w jaskrawych samochodach. Pomiędzy nimi przybył szeryf hrabstwa: gruby, zadowolony z siebie mężczyzna o twardej, przebiegłej głowie i dobrodusznym wyglądzie — który rozpędził gapiów, zebranych wokół leżącego na prze-

297

ścieradle ciała, stojących z bezwładnym i dziecięcym zadziwieniem, z jakim dorośli przyglądają się swym nieuniknionym przyszłym wizerunkom. Pomiędzy nimi byli przypadkowi Jankesi, ubodzy biali, a nawet południowcy, którzy na głos przypuszczali, że jest to anonimowy mord murzyński, popełniony nie przez jakiegoś Murzyna, ale przez tego Murzyna, i którzy wiedzieli, przypuszczali i mieli nadzieję, że została ona również zgwałcona: co najmniej raz, zanim poderżnięto jej gardło, i co najmniej raz po tym fackie. Szeryf nadszedł, spojrzął i odesłał ciało, skrywając biedne resztki przed ich oczyma.

Nie pozostało im więcej już nic do oglądania poza pożarem i miejscem, gdzie leżały poprzednio zwłoki. Wkrótce nikt nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, gdzie położono prześcieradło i jaki kawałek ziemi nakrywało, więc pozostał im tylko pożar. Patrzyli więc na pożar z tym samym tępym i nieruchomym zadziwieniem, które przybyło za nimi z owych cuchnących pieczar, gdzie narodziła się świadomość, jak gdyby nie widzieli jeszcze nigdy ognia i śmierci. Wreszcie zajechał dzielnie samochód straży pożarnej z hałasem, gwizdkami i dzwonkami. Był nowy, pomalowany na czerwono, ozdobiony złoceniami, miał ręczną syrenę i dzwon o złocistej barwie i pogodnym, zuchwałym i dumnym brzmieniu. Mężczyźni i młodzieńcy pozbawieni nakryć głowy uwieszeni byli wokół niego ze zdumiewającą pogardą dla praw fizycznych, taką, jaką posiadają muchy. Samochód miał mechaniczne drabiny, które za dotknięciem dłoni wyskakiwały w górę na zadziwiająco wysoką wysokość jak szapoklaki. Ale w tej chwili nie miały ku czemu wyskoczyć. Samochód posiadał czyste i dziewicze zwoje węża, przywodzące na myśl

298

ogłoszenia trustów telefonicznych w popularnych magazynach. Ale nie było niczego, do czego można by je było przykręcić, ani niczego, co by mogło przez nie płynąć. Tak więc owi mężczyźni bez kapeluszy, którzy porzucili lady i biurka, zeskoczyli, nie wyłączając nawet tego, który kręcił syreną. Podeszli i pokazano im kilka rozmaitych miejsc, w których leżało prześcieradło, a niektórzy z nich mający już pistolety w kieszeniach, zaczęli się rozglądać za kimś, kogo by można ukrzyżować.

Ale nie było nikogo takiego. Żyła tak cicho, tak bardzo poświęcona była swoim własnym sprawom, że przekazała po sobie miastu, w którym urodziła się, mieszkała i umarła, wspomnienie o obcej osobie, cudzoziemce. Było to dziedzictwem zdumienia i oburzenia, dzięki któremu nigdy nie zasłuży sobie na ich przebaczenie i nie pozwolą jej być umarłą w ciszy i spokoju, choć w końcu zaopatrzyła ich w emocję całopalenia, nieomal w rzymskie igrzyska. Nie. Spokój nie zdarza się tak często. Tak więc tłoczyli się i kłębili, wierząc, że te płomienie, ta krew i to ciało, które zmarło przed trzema laty i zaczęło teraz dopiero znowu żyć, wołają o pomstę. Nie wierzyli, że pełna uniesienia wściekłość płomieni i nieruchomość ciała były potwierdzeniem osiągnięcia granicy, leżącej poza zasięgiem ran i krzywd ludzkich. Nie. Ponieważ tamto drugie było przyjemniejsze do uwierzenia. Było lepsze niż półki i lady, wypełnione zbyt dobrze znanymi przedmiotami, kupionymi nie dlatego, aby właściciel pragnął ich, podziwiał je albo mógł mieć jakąkolwiek przyjemność z posiadania ich, ale po to, aby zarobić na nich, zmuszając innych ludzi pochlebstwem i oszustwem do ich kupienia. Od czasu do czasu właściciel

299

musiał przyglądać się jeszcze nie sprzedanym przedmiotom i ludziom, którzy mogli je kupić, a nie kupili, ze złością, a może nawet z oburzeniem i rozpaczą. Było to lepsze niż pleśniejące biura, gdzie adwokaci wyczekiwali pośród duchów dawnych pożądań i kłamstw albo gdzie lekarze czekali z ostrymi nożami i ostrymi lekami, mówiąc ludziom (i wierząc, że ludzie w to uwierzą bez drukowanych zapewnień), że pracują dla osiągnięcia celu, którego ostateczne osiągnięcie pozbawiłoby ich w ogóle pracy. Kobiety także nadeszły, te leniwe w jaskrawych, a niektóre w szybko narzuconych sukienkach. Spojrzenia ich były skryte, namiętne i lśniące, a w piersiach niosły skryte uczucie zawodu, gdyż kochały śmierć o wiele bardziej niż spokój. Tysiącami maleńkich twardych obcasów, pośród nieustannego szeptu: Kto to zrobił? Kto to zrobił?, odcisnęły takie może zdania: Czy on jeszcze jest na wolności? Ach, czy tak? Czy tak?

Szeryf także wpatrywał się w płomienie z gniewem i zdumieniem, ponieważ przepadło mu miejsce do przeprowadzenia śledztwa. Nie pomyślał jeszcze o tym, że ten zawód został mu sprawiony przez człowieka. To był ogień. Wydawało mu się, że ogień sam się narodził dla tego celu i z tej przyczyny. Wydawało mu się, że to właśnie, co spowodowało, że mógł mieć tak wielu przodków, aby narodzić się w końcu sobą samym, stało się współnikiem zbrodni. Tak więc, pełen zawodu i gniewu, spacerował nadal wokół tego nie dbającego o nic pomnika o barwie będącej równocześnie barwą nadziei i klęski, póki nie nadszedł jego zastępca i nie powiedział mu, że w chacie niedaleko domu odkrył ślady niedawnego zamieszkania. A wtedy wieśniak, który odkrył ogień (nie dotarł jeszcze do

300

WILUAM FAULKNER

miasta, jego wóz nie posunął się naprzód ani o cal, od chwili gdy zeszedł z niego przed dwiema godzinami, a on sam chodził teraz z rozwianymi włosami pomiędzy ludźmi, wymachiwał rękami, twarz miał odurzoną, wyczerpaną i zarumienioną, a głos zachrypnięty niemal do szeptu), natychmiast przypomniał sobie, że wyłamując drzwi zauważył w domu jakiegoś człowieka.

— Białego człowieka? — zapytał szeryf.

— Tak, proszę pana. Zataczającego się w sieni, jakby właśnie przed chwilą skończył spadać ze schodów. Starał się mnie powstrzymać od wejścia na te schody. Powiedział mi, że już tam był i nikogo tam nie ma. A kiedy zeszedłem, już go nie było.

Szeryf rozejrzał się po ludziach.

— Kto mieszkał w tej chacie?

— Nie wiedziałem, że ktoś tam mieszkał — powiedział zastępca. — Myślę, że chyba Murzyni. Z tego, co o niej słyszałem, Murzyni mogli mieszkać nawet razem z nią w tym domu. Jedno mnie tylko dziwi, że tak długo trwało, zanim któryś z nich ją wykończył.

— Znajdźcie mi Murzyna — powiedział szeryf. Zastępca i dwóch czy trzech innych znaleźli mu Murzyna. — Kto mieszkał w tej chacie? — zapytał szeryf.

— Nie wiem, panie Wart — powiedział Murzyn. — Nigdy mnie to nie obchodziło. Nie wiedziałem nawet, że ktoś w niej mieszkał.

Zbierali się teraz wokół szeryfa, zastępcy i Murzyna, patrząc oczyma, w których zaczął już błyskać ohydnie odbłask płomieni. Twarze ich były zupełnie jednokie. Wyglądało to, jakby ich pięć zmysłów zmieniło się w jeden zmysł wzroku, pełen

podniecenia. Słowa, które przebiegały pomiędzy nimi, były jak narodzone z wia-

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

301

tru i powietrza: Czy to on? Czy to ten, który to zrobił? Szeryf ma go już. Szeryf już go złapał. Szeryf spojrział na nich.

— Odejdźcie — powiedział. — Wszyscy. Idźcie popatrzeć na pożar. Jeżeli będę potrzebował jakiejś pomocy, zawołam was. Odejdźcie stąd.

Odwrócił się i poprowadził grupkę ludzi ku chacie. Poza jego plecami ci odepchnięci stali zbici w tłum i przyglądali się trzem białym ludziom i Murzynowi, wchodzącym do chaty i zamykającym drzwi za sobą. Za ich plecami grzmiał dogasający pożar, nie wypełniając jednak powietrza dźwiękiem donośniejszym niż głosy ludzkie, lecz o wiele bardziej nieokreślonym. Na Boga, jeżeli to ten, to co robimy, stojąc tu? Zabił białą kobietę ten czarny skurwysyn. Żaden z nich nigdy nie wszedł do tego domu. Za jej życia nie pozwalali swoim żonom odwiedzać jej. Kiedy byli młodszy, kiedy byli dziećmi (a ojcowie niektórych z nich także to robili), wołali za nią na ulicy: — Kochanica murzyńska! Ko-chanica murzyńska!

W chacie szeryf usiadł ciężko na jednej z prycz. Westchnął. Był gruby jak beczka i posiadał kamienną bezwładność beczki.

— A teraz chciałbym się dowiedzieć, kto mieszkał w tej chacie?

— Powiedziałem panu, że nie wiem — powiedział Murzyn. Jego głos brzmiał niechętnie, był zaniepokojony, skrycie zaniepokojony. Przyglądał się szeryfowi. Dwaj inni biali ludzie znajdowali się poza nim i nie mogli ich widzieć. Nie odwrócił się, żeby na nich spojrzeć, nie rzucił na nich nawet jednego spojrzenia. Patrzył na twarz szeryfa tak, jak człowiek patrzy w lustro. Może, zanim to nadeszło, dostrzegł to, tak jak

302

się dostrzega w lustrze. A może nie dostrzegł, bo jeśli w twarzy szeryfa nastąpiła zmiana, to tylko na mgnienie. Ale Murzyn nie obejrzał się. Gdy rzemień upadł na jego plecy, przebiegło mu tylko przez twarz drgnienie, przelotne, nagłe, unoszące w górę kąciki warg i obnażające na chwilę zęby jak w uśmiechu. Potem twarz jego wygładziła się i pozostała nieodgadniona.

— Myślę, że niedostatecznie próbowałeś sobie przypomnieć — powiedział szeryf.

— Nie mogę sobie przypomnieć, bo nie mogę wiedzieć — powiedział Murzyn. — Nie mieszkam nawet nigdzie blisko tego miejsca. Powinniście wiedzieć, gdzie

mieszkam, biali ludzie.

— Pan Buford mówi, że mieszkasz tuż przy drodze, o tam — powiedział szeryf.

— Dużo ludzi mieszka przy drodze. Pan Buford powinien wiedzieć, gdzie mieszkam.

— Kłamie — powiedział zastępca szeryfa. Jego nazwisko brzmiało Buford. Trzymał ramię uniesiony sprzączką ku przodowi. Patrzył w twarz szeryfa. Wyglądał jak spaniel czekający na rozkaz, aby skoczyć do wody.

— Może tak, a może nie — powiedział szeryf. W zamyśleniu spojrzał na Murzyna. Był nieruchomy, ogromny, bezwładny, a sprężyny pryczy uginały się pod nim. — Myślę, że on jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, że ze mną to nie zabawa. Wystarczy, żeby pomyślał o tych wszystkich ludziach na zewnątrz i o tym, że nie mam żadnego więzienia pod ręką, do którego mógłbym go zamknąć, gdyby zaszło coś nieprzyjemnego. A oni nie zawracaliby sobie głów zamykaniem go do więzienia, nawet gdyby tu mieli jakieś więzienie.

303

Może pojawił się w jego oczach jakiś znak, a może nie. Może Murzyn dostrzegł ten znak, a może nie. Ramię znowu opadł, a sprzączka przeorała grzbiet Murzyna.

— Czy jeszcze nie możesz sobie przypomnieć? — zapytał szeryf.

— Dwóch białych ludzi — powiedział Murzyn. Jego głos był zimny, nie niechętny, bezbarwny. — Nie wiem, kim oni są ani co robią. To nie moja rzecz. Nigdy ich nie widziałem. Słyszałem tylko, jak opowiadano, że mieszka tu dwóch białych ludzi. Było mi wszystko jedno, co to za jedni. To wszystko, co wiem. Możecie ze mnie życie wybić. Ale to wszystko, co wiem.

Szeryf raz jeszcze westchnął.

— To wystarczy. Myślę, że to prawda.

— To ten facet, Christmas, który pracował w tartaku, i drugi facet, nazwiskiem Brown — powiedział trzeci biały człowiek. — Mógłby pan zaczepić każdego człowieka w Jefferson, od którego zajeżdża alkoholem, i dowiedzieć się tego samego.

— Myślę, że i to prawda — powiedział szeryf.

Powrócił do miasta. Kiedy tłum zdał sobie sprawę, że szeryf odjeżdża, rozpoczął się generalny odpływ. Jak gdyby nie było już na co patrzeć teraz. Ciało odjechało, a teraz odjeżdżał szeryf. Jak gdyby gdzieś w głębi tej nieruchomej i wzdychającej masy swego mięsa zabierał ze sobą jądro tajemnicy: to, co poruszało ich i wywoływało obietnicę czegoś przekraczającego gnuśność wypchanych brzuchów i

monotonnych dni. Tak więc nie pozostało im nic do oglądania poza pożarem, na który patrzyli już od trzech godzin. Przyzwyczaili się już do niego i żyli z nim. Ta kolumna dymu w

304

bezwietrznym powietrzu, stojąca jak wysoki, trwałe pomnik, do którego można było zawsze powrócić, stała się codziennością ich życia i ich doświadczenia. Tak więc, gdy karawana dojechała do miasta, miała w sobie coś z zuchwałej pompy konduktu pogrzebowego: auto szeryfa jechało na przedzie, a inne auta trąbiły, pełne pychy, pośród kurzu unoszonego przez samochód szeryfa i przez nie same. Przystanęli na krótką chwilę na skrzyżowaniu ulic niedaleko rynku, gdzie zatrzymał się wiejski wóz, z którego zsiadał podróżny. Wychyliwszy się szeryf zobaczył młodą kobietę, schodzącą powoli i ostrożnie z wozu, z ową ostrożną niezgrabnością daleko posuniętej ciąży. Wóz zjechał na bok, karawana ruszyła, przecinając rynek, przy którym kasjer banku wyjął już ze skarbca kopertę, zdeponowaną przez zmarłą kobietę i zaopatrzoną w napis: Otworzyć po mojej śmierci. Joanna Burden,

Kiedy szeryf wszedł do swego gabinetu, kasjer czekał tam już, mając ze sobą kopertę i jej zawartość. Składała się na nią jedna jedyna kartka papieru, na której ta sama ręka, która zaadresowała kopertę, wypisała: Zawiadomić E. E. Peeblesa, adwokata, ulica Beale, Memphis, Tennessee, i Nataniela Burringtona St. Exeter. NewHaven. To było wszystko.

— Ten Peebles to murzyński adwokat — powiedział kasjer.

— Czy tak? — zapytał szeryf.

— Tak. Co pan chce, abym zrobił?

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli zrobi pan to, czego żąda ten papier — powiedział szeryf. — Myślę, że może nawet lepiej będzie, jeżeli ja sam to zrobię.

Wysłał dwie depesze. Po trzydziestu minutach otrzymał odpowiedź z Memphis. Druga odpowiedź

305

przyszła w dwie godziny później, a jeszcze w dziesięć minut później przez miasto przebiegła wieść, że kuzyn panny Burden, mieszkający w New Hampshire, ofiarował tysiąc dolarów nagrody za schwytanie mordercy. O dziewiątej wieczór tego dnia pojawił się mężczyzna, którego wieśniak spotkał w płonącym domu. Wiedział tylko, że ten, mieszkający od niedawna, w mieście człowiek, o którym wiedzieli, że nazywa się Brown i jest potajemnym handlarzem whisky, pojawił się na rynku, bardzo

podniecony, poszukując szeryfa. Potem zaczęło się to wszystko układać w jedną całość. Szeryf wiedział, że Brown jest związany w jakiś sposób z innym obcym o nazwisku Christmas, o którym wiedziano jeszcze mniej niż o Brownie, choć mieszkał w Jef-ferson od trzech lat. Wiedziano tylko, że Christmas mieszkał przez trzy lata w chacie za domem panny Burden, a szeryf dowiedział się teraz o tym. Brown chciał zeznawać. Nalegał głośno i usilnie, aby pozwolono mu zeznawać. Od razu stało się jasne, że pragnie otrzymać tysiąc dolarów nagrody.

— Czy chcesz złożyć oficjalne zeznania? — zapytał go szeryf.

— Nie chcę niczego składać — powiedział Brown cierpko, ochryple, z trochę dzikim wyrazem twarzy. — Wiem, kto to zrobił, a kiedy dostanę moją nagrodę, powiem.

— Złap tego faceta, który to zrobił, a dostaniesz nagrodę — powiedział szeryf. Tak więc zabrali Browna do więzienia, żeby go tam przetrzymać. — Ale zdaje mi się, że nie było żadnej potrzeby robienia tego — dodał szeryf. — Myślę, że jak długo ten tysiąc dolarów znajduje się w odległości, z której może go wywęszyć, nie można go będzie stąd za nic odpędzić.

20 - Światłość...

306

Gdy zabrano wciąż jeszcze zachrypniętego, gestykulującego i oburzonego Browna, szeryf zatelefonował do sąsiedniego miasta, gdzie znajdowała się para psów gończych. Psy miały nadjechać porannym pociągiem.

W smutnym przedświcie niedzielnego poranka trzydziestu, a może nawet czterdziestu ludzi czekało na mrocznym peronie, gdy nadjechał pociąg i zatrzymał się na chwilę, błyskając i wyszczerzając oświetlone okna. Był to pociąg pospieszny i nie zawsze zatrzymywał się w Jefferson. Przystanął tylko po to, aby wysadzić dwa psy. Tysiąc kosztownych ton niezrozumiałego i tajemniczego metalu, hamujących ze lśnieniem i zgrzytem nim nastąpiła prawie wstrząsająca cisza wypełniona nikłymi głosami ludzi — po to, by wyrzygać ze siebie dwie wychudłe, pełznące przy ziemi zjawy o pochylonych, łagodnych pyskach, spoglądających ze smutnym upodleniem w zmęczone, blade twarze ludzi, którzy niewiele spali od przedwczorajszej nocy, i przyglądających się tym twarzom z wyrazem, który miał w sobie coś strasznego, pełnego gorliwości i bezsily. Jak gdyby wystarczyła sama początkowa wściekłość zbrodni, aby uczynić wszystkie następujące po niej zdarzenia potwornymi, sprzecznymi i niesłusznymi, skierowanymi przeciw rozsądkowi i naturze.

Wschodziło właśnie słońce, gdy pościg dotarł do chaty leżącej poza zwęglonymi już i zimnymi popiołami domu. Nabierając odwagi pod wpływem ciepła i promieni słonecznych albo może przejmując pełne napięcia podniecenie ludzi, psy zaczęły miotać się i ujadać wewnątrz chaty. Węsząc głośno i równocześnie, wybrały kierunek i pociągnęły za sobą człowieka, trzymającego smycze. Biegły obok siebie na przestrzeni stu jardów, zatrzymały się, zaczęły kopać wście-

307

kle w ziemi i odkryły jamkę, w której ktoś niedawno ukrył opróżnione puszki po jedzeniu. Odciągnięto od nich psy siłą. Potem odciągnięto je na pewną odległość od chaty i zrobiono nową próbę. Przez krótki czas psy kręciły się w kółko, skowycząc, potem znowu ruszyły z wywieszonymi językami, śliniąc się, szarpiąc biegnących i klnących ludzi i ciągnąc ich z największą szybkością ku chacie, gdzie wbiwszy łapy w podłogę, zaczęły wyć ku otwartym drzwiom z namiętnym smutkiem dwóch barytonów, śpiewających włoską operę. Mężczyźni odwieźli psy samochodami do miasta i nakarmili je. Gdy mijali rynek, dzwony kościelne dzwoniły powoli i spokojnie, a wzdłuż ulic szli pod parasolami odświętnie ubrani ludzie, niosąc pod pachami Biblie i modlitewniki.

Tej nocy przybyli do szeryfa: pewien młody człowiek z okolicy i jego ojciec. Chłopak opowiedział o tym, że jechał nocą w piątek samochodem, gdy o milę albo dwie od miejsca zabójstwa jakiś człowiek zatrzymał go pistoletem. Chłopak przypuszczał, że zostanie obrabowany, a może nawet zabity, i opowiedział później o tym, że chciał oszukać tego człowieka i przywieźć go wprost na swoje podwórko, gdzie miał zamiar zatrzymać samochód, wyskoczyć i zacząć wołać o ratunek, ale najwidoczniej mężczyzna zaczął coś podejrzywać, bo kazał mu zatrzymać samochód i wysiadł. Ojciec chciał się dowiedzieć, jaka przypadnie im część z tego tysiąca dolarów.

— Schwytajcie go, a wtedy zobaczymy — powiedział szeryf. Obudzono więc psy, wsadzono je do drugiego samochodu, a młody człowiek pokazał, gdzie tamten mężczyzna wysiadł. Wypuszczono psy, które zniknęły w lesie i dzięki swej wyraźnej nieomyślnej

308

skłonności do metali pod każdą postacią, odnalazły prawie natychmiast stary pistolet o dwóch naładowanych komorach.

— To jeden z tych pistonowych pistoletów z czasu Wojny Domowej — powiedział zastępca. — Jeden kurek opadł, ale nie wypalił. Jak pan myśli, co on z tym

robił?

— Spuście te psy — powiedział szeryf. — Może smycze im przeszkadzają.

Zrobili to. Psy były teraz wolne. Po pół godzinie zagubiły się. To nie ludzie zagubili psy, to psy zagubiły ludzi. Znajdowały się tuż obok, za małym źródelkiem, na pagórku. Ludzie słyszeli je doskonale. Nie naszcze-kiwały już z dumą, pewnością i być może z radością. Dźwięk, wydawany teraz przez nie, był przeciągłym i beznadziejnym zawodzeniem, które mężczyźni słyszeli, wspinając się ku nim powoli. Ale najwyraźniej zwierzęta nie mogły także nic usłyszeć. Ich głosy dawały się od siebie odróżnić, lecz wahające się, nikczemne zawodzenie zdawało się wydobywać z jednej piersi, jak gdyby oba stworzenia skuliły się i przytuliły jedno do drugiego. Po pewnym czasie ludzie odnaleźli je właśnie w tej pozycji, skulone w rowie. Głosy ich brzmiały już wówczas niemal jak głosy dzieci. Mężczyźni przykucnęli także, czekając, aż rozwidni się na tyle, żeby móc odnaleźć drogę do samochodów. Działo się to w poniedziałek rano.

Temperatura zaczęła rosnać w poniedziałek. We wtorek ciemność nocy, która nastąpiła po gorącym dniu, jest gęsta, nieruchoma i uciążliwa. Gdy tylko Byron przekracza próg domu, koniuszki jego nozdrzy zaczy-

309

nają unosić się i opadać pod wpływem ciężkiej, zatechłej woni gospodarstwa samotnego mężczyzny. A kiedy zbliża się Hightower, zapach pulchnego, niemytego ciała i nieświeżej bielizny (jest to woń siedzącego trybu życia i bezwładnej nadwagi nie dość często kąpanego ciała) jest przytłaczający. Wchodząc Byron myśli to samo, co myślał poprzednio: “To jego prawo. To nie jest pewnie mój sposób życia, ale to jest jego sposób i jego prawo”. I przypomina sobie; jak to raz, prawie dzięki natchnieniu, znalazł odpowiedź: “To woń dobroci. Oczywiście musi być ona przykra dla nas, którzy jesteśmy źli i grzeszni”.

Znowu siedzą naprzeciw siebie w gabinecie, przedzieleni biurkiem i lampą. Byron znów siedzi na twardym krzeselku; twarz ma pochyloną i nieruchomą. Głos jego jest spokojny, uparty: jest to głos człowieka zaczynającego mówić coś, co będzie nie tylko nieprzyjemne, ale także przyjęte jako nieprawda.

— Mam zamiar znaleźć dla niej inne miejsce, bardziej zaciszne. Gdzie będzie mogła...

Hightower przygląda się jego pochylonej twarzy.

— Dlaczego musi się przeprowadzać? Jeżeli jest jej tam wygodnie i ma pod ręką kobietę, której może potrzebować?

Byron nie odpowiada. Siedzi nieruchomo, spoglądając w dół. Jego twarz jest uparta. Patrząc na nią, Hightower myśli: “To dlatego, że tak wiele się dzieje. Zbyt wiele się dzieje. Tak. Człowiek wywołuje i spełnia o wiele więcej, niż może znieść. I w ten sposób odkrywa, że może znieść wszystko. Tak. To właśnie jest straszne. Że może znieść wszystko; wszystko”. Przygląda się Byronowi. — Czy pani Beard jest jedyną przyczyną, dla której ma się przeprowadzić?

310

Byron nadal nie unosi głowy, mówiąc tym spokojnym, upartym głosem:

— Potrzebne jest jej miejsce, które będzie dla niej czymś w rodzaju domu. Pozostało już jej mało czasu, a w pensjonacie, gdzie są prawie sami mężczyźni... Pokój, w którym będzie przytulnie, kiedy jej czas nadejdzie. A tu... każdy głupi handlarz końmi albo facet z sądu... przechodząc przez przedpokój...

— Rozumiem — mówi Hightower. Przygląda się twarzy Byrona. — I chcesz, żebym przyjął ją tu. — Byron chce coś odpowiedzieć, ale tamten ciągnie dalej chłodnym, bezbarwnym głosem: — To się nie da zrobić, Byronie. Gdyby tu była druga kobieta, mieszkająca w domu. Oczywiście, to wielka szkoda, bo tyle tu miejsca i jest tak cicho. Myślę o niej, widzisz. Nie o sobie. Byłoby mi obojętne, co powiedzą.

— Nie proszę o to — Byron nie unosi głowy. Czuje, że tamten przygląda mu się. Myśli: On też wie, że nie to miałem na myśli. Wie. Powiedział to tylko tak sobie. Wiem, co on myśli. Myślę, że spodziewałem się tego. Myślę, że nie ma przyczyny, aby myślał inaczej niż inni ludzie, nawet o mnie. — Myślę, że powinien pan wiedzieć o tym. — Może wie o tym. Ale Byron nie unosi głowy, żeby sprawdzić. Mówi dalej tym tępym, bezbarwnym głosem, spoglądając w dół, podczas gdy siedzący po drugiej stronie biurka wyprostowany teraz trochę Hightower przygląda się chudej, wysmaganej niepokodami, zniszczonej pracą twarzy człowieka naprzeciw.

— Nie chcę pana w to wplątywać, bo to nie powinien być pana kłopot. Nie widział jej pan nawet nigdy i myślę, że pewnie nigdy jej pan nie zobaczy. Jego też pan pewnie nigdy nie zobaczy i nie pozna. Pomyślałem sobie tylko, że może...

311

Urywa. Spoza biurka spogląda na niego wyprostowany kapłan, czekając, nie oferując żadnej pomocy.

— ...Kiedy jest to coś, czego ma się nie zrobić, to myślę, że człowiek może zaufać własnym radom. Ale myślę, że w tym, co ma zrobić, człowiek powinien wysłuchać wszystkich rad, które może otrzymać. Ale nie będę pana w to wplątywał.

Nie chcę, żeby się pan tym przejmował.

— Myślę, że wiem o tym — mówi Hightower. Przygląda się pochylonej twarzy tamtego. “Nie należę już więcej do życia myśli. — Dlatego nie ma sensu wtrącać się albo zawadzać. Nie wysłuchałby mnie uważniej, niż ten mężczyzna, ta kobieta (i to dziecko) by mnie wysłuchali albo zadbali o to, co mówię, gdybym spróbował powrócić do życia”. — Ale przecież ona wie, że on jest tutaj. Zdaje się, że powiedziałeś mi o tym?

— Tak — mówi Byron w zamyśleniu. — Właśnie tam, gdzie, jak myślałem, nie dosięgnie mnie możliwość skrzywdzenia mężczyzny, kobiety albo dziecka. I nie zdążyła tam nawet wejść na dobre, a ja już wypaplałem całą sprawę.

— Nie to mam na myśli. Sam wtedy o tym nie wiedziałeś. O nim i o tej... tym... Minęły już trzy dni. Musiała się już dowiedzieć, bez względu na to, czy powiedziałeś jej, czy nie powiedziałeś. Musiała już usłyszeć o tym do tej chwili.

— Christmas — mówi Byron, nie unosząc głowy. — Nie powiedziałem już nic po tym, kiedy zapytała o tę małą, białą szramę obok ust. Przez cały czas, kiedy szliśmy do miasta tamtego popołudnia, bałem się, że zapyta. Starłem się myśleć o rzeczach, które jej powiem, żeby nie miała możliwości wypytywania mnie.

312

A przez cały ten czas, kiedy myślałem, że chronię ją przed odkryciem tego, że on nie tylko uciekł i pozostawił ją w kłopotcie, ale zmienił nazwisko, żeby nie mogła go odnaleźć; a teraz, kiedy go w końcu odnalazła, stał się przemytnikiem whisky — ona wiedziała już o tym. Wiedziała już, że jest nicponiem. — Mówi teraz z pełnym zamyślenia zdumieniem: — Nie miałem nawet żadnej potrzeby kłamać i utrzymywać jej z dala od tego. To było tak, jakby z góry wiedziała, co jej powiem. Jakby wiedziała, że teraz będę ją okłamywał. Jak gdyby sama już o tym pomyślała i nie wierzyła w to, co powiem, zanim zdążyłem to wypowiedzieć, i wiedziała, że tak powinno być. Ale część jej znała' prawdę i nie mogłem jej obelgać. — Jąka się, szuka po omacku, a wyprostowany człowiek za biurkiem przygląda mu się, nie ofiarowując żadnej pomocy. — Jak gdyby składała się z dwóch części. Jedna z tych części wie, że to łajdak, ale druga wierzy, że gdy mężczyzna i kobieta mają mieć dziecko, Pan Bóg dogładnie, aby znaleźli się wszyscy razem, kiedy ten czas nadejdzie. Jak gdyby Bóg zajmował się strzeżeniem kobiet przed mężczyznami. A jeśli Bóg nie uważa za stosowne, żeby obie te strony spotkały się, to ja też nie będę w tym pomagał.

— Bzdura — mówi Hightower. Spogląda ponad biurkiem na nieruchomą, upartą, ascetyczną twarz tamtego: twarz pustelnika, który mieszkał przez długi czas

na pustyni, gdzie wieją piaski. —Jedyne, co powinna zrobić, to powrócić do Alabamy, do swojej TO-dziny.

— Myślę, że nie — mówi Byron. Mówi to natychmiast z natychmiastową, ostateczną pewnością, jak gdyby przez cały czas czekał, że zostanie to wypowie-

313

dziane. — Tego nie robi. Myślę, że nie będzie musiała tego robić.

Ale nie unosi głowy. Czuje, że tamten przygląda mu się.

— Czy Bu... Brown wie, że ona jest w Jefferson?

Przez chwilę Byron prawie się uśmiecha. Jego górna warga unosi się: jest to wążiuteńki ruch, prawie cień ruchu, pozbawiony wesołości.

— Był zanadto zajęty. Goni te tysiąc dolarów. To prawdziwa zabawa — przyglądać mu się. Jakby człowiek, który nie umie zagrać jednej nuty, dał głośno w róg i miał nadzieję, że za chwilę będzie z tego muzyka. Ciągną go w kajdankach przez rynek co dwanaście albo piętnaście godzin, kiedy najprawdopodobniej nie mogliby go odpędzić od siebie, nawet żeby spuścili na niego te psy gończe. Spędził sobotnią noc w więzieniu, ciągle gadając o tym, jak to chcą go pozbawić tego jego tysiąca dolarów i wmawiają mu, że pomógł Christmasowi w zabójstwie. Aż w końcu Buck Conner wszedł do jego celi i powiedział mu, że wsadzi mu knebel w usta, jeżeli się nie zamknie i nie przestanie przeszkadzać innym więźniom, którzy chcą spać. Wtedy zamknął się, a w niedzielę w nocy wyruszyli z psami. Narobił wtedy takiego wrzasku, że musieli go wypuścić i zabrać ze sobą. Ale psów wcale nie spuszczone, więc zaczął wrzeszczeć i kłąć te psy i chciał je bić, bo nie wpadły na trop. Mówił wszystkim naokoło, że to przecież on pierwszy doniósł na Christmasa i że nie chce niczego, tyłka sprawiedliwości. Aż wreszcie szeryf wziął go na bok i pogadał z nim. Nie wiedzieli, co mu powiedział. Może zagroził mu, że go znów zamknie w więzieniu i nie zabierze ze sobą następnym razem. Bądź co bądź uspokoił się trochę i poszli dalej.

314

Wrócili do miasta dopiero w poniedziałek późnym wieczorem. Nadal był spokojny. Może się wyczerpał. Nie spał wcale od pewnego czasu i opowiedzieli, jak to starał się przeganiać psy, aż szeryf musiał mu zagrozić, że go przykuje do zastępcy, żeby pozwolić psom zwęszyć coś jeszcze prócz niego. Wymagał już ogolenia, a kiedy zamknęli go w niedzielę w nocy, bardzo już wymagał ogolenia. Myślę, że pewnie bardziej musiał wyglądać na mordercę niż sam Christmas. Kłął teraz tego Christmasa, jakby ten Christmas chował się tylko po to, żeby mu zrobić na złość, oszukać go i

pozbawić tego tysiąca dolarów. Przywieźli go do więzienia i zamknęli na noc. A dziś rano poszli po niego i znowu go zabrali, a potem ruszyli wszyscy z psami po nowym tropie. Ludzie mówią, że słyszeli go, klnącego i mówiącego, póki pościg nie odszedł kawał drogi od miasta.

— I mówisz, że ona o tym nie wie. Mówisz, że utrzymałeś to w tajemnicy przed nią. Woląłeś, żeby go uważała za łajdaka niż za głupca, czy tak?

Twarz Byrona jest znowu nieruchoma, nie uśmiechnięta. Jest zupełnie opanowana.

— Nie wiem. To było w niedzielę wieczór. Potem przyszedłem do pana, żeby porozmawiać i wróciłem do domu. Myślałem, że ona już śpi w łóżku, ale ona siedziała wciąż jeszcze w saloniku i powiedziała: “Co to jest? Co się tu stało?” A ja nie patrzyłem na nią i czułem, że ona na mnie patrzy. Powiedziałem jej, że to Murzyn zabił białą kobietę. Nie skłamałem wtedy. Myślę, że byłem bardzo zadowolony, nie musząc kłamać wtedy. Bo zanim pomyślałem, powiedziałem: “...i podpalił dom”. A potem już było za późno. Pokazałem jej dym i opowiedziałem o dwóch facetach, Brownie i

315

Christmasie, którzy tam mieszkali. I czułem, że ona przygląda mi się tak samo, jak pan mi się teraz przygląda. I powiedziała: Jakie miał nazwisko ten Murzyn?” Było to tak, jakby Bóg dbał o to, żeby one odkrywały pośród kłamstw męskich to, co im jest potrzebne, i nie musiały nawet pytać o to. I aby nie dowiadywały się o tym, czego nie muszą wiedzieć, nie wiedząc nawet o tym, że nie dowiedziały się. I tak, nie wiem na pewno, co ona wie, a czego nie wie. Tyle tylko, że ukryłem przed nią, że to właśnie ten człowiek, na którego ona poluje, doniósł przeciw mordercy, a teraz jest trzymany w więzieniu i wypuszczany tylko po to, żeby mógł biec razem z psami, ścigając człowieka, który przyjął go do siebie i uczynił go swoim przyjacielem. Ukryłem to przed nią.

— A co chcesz teraz zrobić? Gdzie ona chce się przenieść?

— Chce pójść tam i czekać na niego. Powiedziałem jej, że wyjechał, bo ma jakąś sprawę do załatwienia dla szeryfa. Tak więc niezupełnie skłamałem. Pytała mnie już, gdzie on mieszka, i powiedziałem jej. Powiedziała, że do czasu, póki on nie wróci, to jest dla niej odpowiednie miejsce, ponieważ jest to jego dom. Powiedziała, że on by chciał, żeby tak postąpiła. A ja nie mogłem jej powiedzieć przecież, że ta chata jest ostatnim miejscem na ziemi, w którym on by chciał ją widzieć. Chciała tam pójść, jak tylko wróć wieczorem z tartaku. Miała już swój węzełek zapakowany i czepek na

głowie, czekając, aż wrócę do domu. “Zacząłam już iść tam sama — powiedziała mi. — Ale nie byłam pewna, czy znam drogę”. A ja powiedziałem: “Dobrze, tylko że dzisiaj będzie za późno, więc pójdziemy tam jutro” — a ona powiedziała: “Mamy jeszcze godzinę

316

do zmroku, a to przecież nie więcej niż dwie mile, prawda?” A ja powiedziałem, że lepiej będzie, jeżeli zaczekamy, bo muszę najpierw zapytać. A ona powiedziała: “Kogo zapytać? Czy to nie jest dom Łukasza?” I czułem, że przygląda mi się, kiedy powiedziała: “Zdawało mi się, że pan mówił, że Łukasz tam mieszka”. I przyglądała mi się dalej, i powiedziała: “Kto to jest ten duchowny, z którym chce pan o mnie mówić?”

— Czy pozwolisz jej pójść i zamieszkać tam?

— To może być najlepsze. Będzie tam odosobniona, daleko od tego całego gadania, póki się ta sprawa nie skończy.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ona tak postanowiła, a ty nie masz zamiaru jej powstrzymać? Nie chcesz jej powstrzymać?

Byron nie unosi głowy.

— W pewien sposób można to nazwać jego domem, jak mi się zdaje. Jest to pewnie najbardziej zbliżone do jego domu, ze wszystkiego, co kiedykolwiek będzie w życiu posiadał. A on jest jej...

— Sama, tam za miastem, z dzieckiem, które się ma narodzić, mając w najbliższym sąsiedztwie odległą o pół mili murzyńską chatę.

Przygląda się twarzy Byrona.

— Pomyślałem o tym. Są sposoby, można zrobić pewne rzeczy...

— Jakie rzeczy? Co możesz zrobić, żeby ją tam ochraniać?

Byron nie odpowiada od razu; nie spogląda w górę. Kiedy odzywa się, głos jego jest uparty.

— Są pewne utajone rzeczy, które człowiek może robić nie będąc złym, Wasza Wielbność. Bez względu na to, jak ludzie będą na nie patrzeć.

317

— Nie sędzę, abys był w stanie zrobić coś, co byłoby bardzo złe, Byronie, bez względu na to, jak by ludzie na to patrzyli. Ale czy masz zamiar mi wyjaśnić, jak wiele zła będzie zawierało to, co będzie sprawiało złe wrażenie? Po prostu, gdzie jest granica pomiędzy robieniem zła a sprawianiem wrażenia, że się robi zło?

— Nie — mówi Byron. Potem porusza się nieznacznie. Mówi, jak gdyby i on

przebudził się w tej chwili.

— Mam nadzieję, że nie. Myślę, że w miarę mego rozumienia staram się zrobić dobry uczynek.

“A to — myśli Hightower — jest pierwszym kłamstwem, które kiedykolwiek mi powiedział. Które powiedział komukolwiek, być może nawet włączając siebie samego”. Spogląda ponad biurkiem w upartą, zaciętą, spokojną twarz, która jeszcze nie spojrzała na niego. „A może to nie jest jeszcze kłamstwem, bo on sam nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że to kłamstwo”. Mówi:

— A więc — mówi teraz z pewnego rodzaju pozorną szorstkością, której zaprzecza jego obwisła twarz o zapadniętych, ciemno podkrążonych oczach — sprawa jest postanowiona. Zabierzesz ją tam, do jego domu, i będziesz dbał o to, żeby jej było wygodnie i żeby jej nie przeszkadzano, nim to nie minie. A potem powiesz temu człowiekowi — Bunchowi, Brownowi

— że ona tam jest.

— A wtedy on zwieje — mówi Byron. Nie unosi głowy, ale sprawia wrażenie, jakby przebiegła przezeń fala radości i triumfu. Stara się ją powstrzymać i ukryć, kiedy jest już za późno. Przez chwilę zresztą nie stara się jej ukryć. Prostuje się w krześle i odchyliwszy głowę spogląda po raz pierwszy na kapłana, mając twarz

318

pełną pewności siebie, odważną i zarumienioną. High-tower spokojnie przyjmuje jego spojrzenie.

— Czy chcesz, aby to zrobił? — pyta. Siedzą nieruchomo, oświetleni lampą. Przez otwarte okno wlewa się gorące, nieskończone milczenie upalnej nocy. — Pomyśl o tym, co robisz. Starasz się wśliznąć pomiędzy męża i żonę.

Byron połapał się. Twarz jego nie jest już triumfalna. Ale patrzy spokojnie na starszego mężczyznę. Może starał się poskromić także swój głos? Ale nie udaje mu się to jeszcze.

— Nie są jeszcze mężem i żoną — mówi.

— Czy ona tak myśli? Czy wierzysz w to, że tak powie? — Patrzą na siebie. — Ach, Byronie, Byronie. Czym jest kilka wybąkanych słów w porównaniu z Bogiem i z siłą kobiecej natury. W porównaniu z tym dzieckiem?

— Pewnie, może nie zwać. Jeżeli dostanie tę nagrodę, te pieniądze. Najprawdopodobniej będzie tak pijany za tych tysiąc dolarów, że może zrobić wszystko, nawet ożenić się.

— Ach, Byronie, Byronie.

— Więc co pan sądzi? Co my... co ja powinienem zrobić? Co mi pan radzi?

— Odejdź. Wyjedź z Jefferson. — Patrzą na siebie. — Nie — mówi Hightower — nie potrzebujesz mojej pomocy. Udziela ci już pomocy kto inny, silniejszy niż ja.

Przez chwilę Byron milczy. Patrzą na siebie z uporem.

— Kto mi udziela pomocy?

— Diabeł — mówi Hightower.

ŚWIAT1.OŚĆ W SIERPNIU

319

“I udziela pomocy także i jemu” — myśli Hightower. Idzie, jest w połowie drogi do domu, na ramieniu niesie swój mały, naładowany koszyk. “On także. On także” — myśli idąc. Jest gorąco. Ubrany jest tylko w koszulę; wysoki, o cienkich nogach, odziany w czarne spodnie. Ma wychudłe, długie ręce i ramiona i obwisły tłusty brzuch, przypominający potworną ciężę. Koszula jest biała, ale nieświeża, a kołnierzyk jest brudny, tak jak i biały batystowy, niedbale zawiązany krawat. Twarz jest od trzech dni nie ogolona. Słomkowy kapelusz jest poplamiony i wystają spod niego końce brudnej chustki, chroniącej przed upałem. Był w mieście, aby dokonać zakupów, które robi dwa razy w tygodniu. Ze swą siwiejącą szczecina, swymi ciemnymi, wyblakłymi od okularów oczyma, czarnymi paznokciami i swą zatechłą męską wonią wszedł do cuchnącego i niechlujnego sklepu, do którego stale uczęszczał i gdzie zawsze płacił gotówką za wszystko, co kupił.

— No, wpadli nareszcie na trop tego czarnucha — powiedział właściciel sklepu.

— Murzyna? — powiedział Hightower. Znieruchomiał zupełnie pośród czynności wkładania do kieszeni reszty wydanej z zakupów.

— Tego skur... faceta, tego mordercy. Zawsze mówiłem, że on nie jest w porządku. Że nie jest białym człowiekiem. Że jest w nim coś dziwnego. Ale nie da się ludziom niczego wytłumaczyć, póki...

— Znaleźli go? — zapytał Hightower.

— Pewnie, że go znaleźli. Głupiec, nie miał nawet tyle rozumu, żeby się wynieść z tego hrabstwa. Tu szeryf telefonuje za nim po całym kraju, a ten czarny skur... a on siedzi przez cały czas pod samym jego nosem.

320

321

— A czy go...

Pochylił się nad ladą, opierając o nią ponad swym naładowanym koszykiem. Czuł brzeg lady na brzuchu. Brzeg był twardy, dostatecznie mocny. Wydawało mu się, że to raczej] ziemia kołysze się lekko, gotowa do poruszenia. Potem zdawało mu się, że ruszyła, jak coś popchniętego z wolna, bez pośpiechu, z rosnącym nachyleniem i sprytnie, bo oko zostało równocześnie oszukane, aby mogło uwierzyć, że pokrzywione półki, pokryte upstrzonymi przez muchy puszkami, a wraz z nimi i stojący za ladą kupiec nie poruszyli się. Poniżające, pełne niepewności uczucie. Myślał: “Nie! Nie! Kupiłem sobie nietykalność. Zapłaciłem. Zapłaciłem”.

— Nie złapali go jeszcze — powiedział właściciel sklepu — ale go złapią. Dzisiaj przed świtem szeryf zabrał psy do kościoła. Wyprzedza ich teraz o niecałe sześć godzin. I pomyśleć, że przekłety głupiec nie miał więcej rozumu, niż... Nawet jeżeli nie mają innych dowodów, to najlepiej wskazuje, że jest Murzynem... Właściciel pytał:

— Czy to wszystko na dziś?

— Co? — powiedział Hightower. — Co?

— Czy to wszystko, czego pan potrzebował?

— Tak. Tak.

Zaczął grzebać w kieszeni, a właściciel sklepu przyglądał mu się. Wreszcie ręka jego wynurzyła się, nadal się poruszając. Po omacku uderzyła o ladę, rozsypując monety. Właściciel sklepu zatrzymał dwie czy trzy z nich, zanim zdążyły upaść.

— A to za co? — zapytał.

— Za... — Ręka Hightowera zaczęła grzebać w wyładowanym koszyku. — Za...

— Zapłacił pan już. — Właściciel sklepu przyglądał

mu się z ciekawością. — To jest reszta, którą panu wydałem. Z banknotu dolarowego.

— Och — powiedział Hightower. — Tak. Ja... Ja tylko... — Kupiec zbierał monety. Zwrócił mu je. Kiedy dłoń kupującego zetknęła się z jego dłonią, poczuł, że jest zimna jak lód.

— To ten upał — powiedział właściciel. — Wyczerpuje człowieka. Czy chce pan usiąść na chwilę, zanim pan pójdzie do domu?

Ale najwyraźniej Hightower nie usłyszał go. Szedł teraz w stronę drzwi, a kupiec przyglądał mu się. Minał drzwi i znalazł się na ulicy, trzymając koszyk na ramieniu, idąc sztywno i ostrożnie, jak człowiek stąpający po lodzie. Było gorąco. Z asfaltu unosił się drżący upał, tworząc aureolę wokół znajomych, otaczających rynek

budynków: aureolę żywego, pulsującego światłocienia. Ktoś przechodzący odezwał się do niego, ale nie spostrzegł tego nawet. Szedł przed siebie myśląc: 7 on także. I on także, idąc teraz szybko. Kiedy skręcił na rogu i znalazł się na wymarłej, pustej, maleńkiej uliczce, gdzie oczekiwał go jego maleńki, wymarły domek, dyszał gwałtownie. “To upał” — raz po raz mówiła do niego wyjaśniająca powierzchnia jego umysłu. Ale nawet teraz, nawet na tej cichej uliczce, gdzie rzadko ktokolwiek się zatrzymywał, by spojrzeć i przypomnieć sobie, nawet widząc już ten szyld, ten swój dom, to swoje schronienie, płyną pod powierzchnią jego umysłu słowa: “Nie. Nie. Kupiłem sobie nietykalność”. Teraz brzmią one jak słowa wypowiedane' na głos: powtarzające się, cierpliwe, usprawiedliwione: “Zapłaciłem za to. Nie targowałem się o cenę. Nikt z ludzi nie może tego powiedzieć. Chciałem tylko spokoju. Zapłaciłem im ich cenę bez targowania się”. Uli-

i

322

ca skrzy się i kołysze. Był spocony, ale teraz nawet powiew południa wydaje mu się zimny. Pot, upał, miraż, wszystko to pędzi skłębione ku ostateczności, która traktuje całą logikę i usprawiedliwienie, niszcząc je jak pożar: Nie chcę/Nie chcę!

Gdy siedząc w oknie gabinetu, pośród narastającego zmierzchu, zobaczył Byrona wchodzącego w blask latarni ulicznej i znikającego ponownie, wyprostował się gwałtownie w krześle. Nie dlatego, aby był zaskoczony, widząc tam Byrona o tej porze. W pierwszej chwili, gdy tylko rozpoznał sylwetkę idącego, pomyślał: Ach. Zdawało mi się, że przyjdzie dziś wieczór. W jego naturze nie mieści się poparcie nawet dla czegoś przypominającego zło. Właśnie myśląc to, poderwał się i usiadł prosto: w pierwszej chwili po rozpoznaniu widocznej w pełnym świetle postaci zdawało mu się, że się omylił, wiedząc przez cały czas, że nie mógł się omylić, że nie może to być nikt inny poza Byronem, gdyż skręca on w tej chwili w furtkę.

Tej nocy Byron jest zupełnie zmieniony. Widać to po jego chodzie i sposobie trzymania się na nogach. Pochylając się ku przodowi, Hightower mówi do siebie: Jak gdyby nauczył się dumy albo zuchwałości. Głowa Byrona jest uniesiona wysoko, on sam porusza się szybko i jest wyprostowany. Niespodziewanie Hightower mówi prawie na głos: — Zrobił coś. Zrobił jakieś posunięcie. — Młaska językiem i przechyliła się w nie oświetlonym oknie, przyglądając się postaci, która szybko znika spod okna w kierunku sieni i drzwi wejściowych, przed którymi po chwili Hightower słyszy odgłos jego kroków, a potem pukanie. “I nie chciał mi

o tym opowiedzieć — myśli. — Wysłuchałbym go, pozwoliłbym mu myśleć na głos przy mnie”. Przechodzi przez pokój, zatrzymując się przy biurku, aby zapalić światło. Idzie w stronę drzwi frontowych.

— To ja, Wasza Wielbność — mówi Byron.

— Poznałem cię — mówi Hightower. — Pomimo tego, że tym razem nie potknąłeś się na pierwszym schodku. Wchodziłeś do tego domu w niedzielne wieczory, ale nigdy, aż do dziś wieczór, nie wszedłeś bez potknięcia się o pierwszy schodek, Byronie.

Była to nutka, która towarzyszyła zwykle wizytom Byrona: troszeczkę przytłaczająca nutka, ciepła i niepoważna, która spowodowana była pragnieniem, aby gość stał się swobodny. Ze strony gościa odpowiedź nadchodziła w formie powolnej, wiejskiej nieufności, która oznacza uprzejmość. Czasem wydawało się Hightowerowi, że wciąż Byrona do domu przy pomocy rozumnego stosowania samego oddechu, jak gdyby Byron miał żagiel.

Ale tym razem Byron wchodzi już, nim Hightower ma czas skończyć zdanie. Wchodzi natychmiast, otoczony tą nową atmosferą, która zrodziła się jako coś pośredniego pomiędzy pewnością siebie a zuchwalstwem.

— Odkryje pan, zdaje mi się, że bardziej pan nie lubi mojego niepotykania się niż potykania — mówi Byron.

— Czy to nadzieja, czy pogrożka, Byronie?

— No, nie chciałem, żeby to była pogrożka — mówi Byron.

— Ach, innymi słowy, nie możesz ofiarować żadnej nadziei. No, jestem przynajmniej z góry ostrzeżony. Byłem ostrzeżony z góry, gdy tylko zobaczyłem cię w

świecie latarni. Ale przynajmniej opowiedz mi o tym. O tym, co już zrobiłeś, nawet jeżeli nie sądziłeś, że należało o tym mówić przed czasem.

Idą w kierunku drzwi gabinetu. Byron przystaje. Odwraca się i patrzy w twarz wyższego człowieka.

— Więc pan wie — mówi. — Już pan słyszał. — A potem, chociaż głowa jego nie drgnęła, nie patrzy już na tamtego. — No tak — mówi. — Każdy człowiek ma prawo mówić. I każda kobieta. Ale chciałbym wiedzieć, kto panu powiedział. Nie dlatego, żebym się wstydził. I nie dlatego, żebym to chciał ukryć przed panem. Sam przyszedłem, żeby panu o tym powiedzieć, kiedy tylko znalazłem czas.

Stoją tuż pod drzwiami oświetlonego pokoju. High-tower widzi teraz, że ręce Byrona obładowane są pakunkami i zawiniątkami, które zawierają prawdopodobnie żywność.

— Co? — mówi Hightower. — Co przyszedłeś mi powiedzieć?... Ale najpierw wejdź. Może już wiem, co to jest. Ale chcę widzieć twoją twarz, kiedy będziesz mówił o tym. Ja też cię z góry ostrzegam, Byronie.

Wchodzą do oświetlonego pokoju. Te paczki zawierają żywność. Zbyt wiele ich kupował i nosił, aby nie wiedzieć o tym.

— Siadaj — mówi.

— Nie — mówi Byron. — Nie zostanę tak długo. — Stoi, spokojny, wstrzemięźliwy, nadal mając wyraz pełen współczucia, stanowczy, ale niepewny siebie, ufny, ale nie bezgranicznie. Jest to wyraz twarzy człowieka, który musi uczynić coś, czego ktoś mu drogi nie zrozumie i nie pochwali, choć on sam wie, że jest to czyn słuszny i sprawiedliwy, mimo że przyjaciel nigdy tego nie zrozumie. Mówi:

325

— Nie spodoba się to panu. Ale nie pozostało nic innego do zrobienia. Chciałbym, żeby pan też tak to widział. Ale myślę, że pan nie może. I myślę, że to będzie wszystko, co można powiedzieć.

Siedząc znowu, Hightower przygląda mu się posepnie zza biurka.

— Co uczyniłeś, Byronie?

Byron odpowiada tym swoim nowym głosem: głosem zwięzłym, jasnym, którego każdy wyraz posiada określone znaczenie. Nie jąka się.

— Zabrałem ją tam dziś wieczór. Urządziłem już chatę, oczyściłem ją. Mieszka tam teraz. Chciała tego bardzo. Była to najbardziej podobna do domu rzecz, jaką kiedykolwiek miał albo będzie miał, więc myślę, że ona ma prawo jej używać, tym bardziej że właściciel nie używa jej teraz. Będąc zatrzymanym gdzie indziej, można powiedzieć. Wiem, że nie spodoba się to panu. Może pan wymienić wiele przyczyn, i to poważnych. Może pan powiedzieć, że nie była to jego chata, abym ją jej ofiarowywał. Dobrze. Może i nie była. Ale nie ma ani jednego żyjącego mężczyzny ani kobiety w tym stanie, ani w tym kraju, który mógłby jej zabronić używania tej chaty. Może pan powiedzieć, że w tym położeniu powinna mieć przy sobie kobietę. Dobrze. Jest tam Murzynka dość stara na to, żeby mieć rozum, mieszka ona o dwieście jardów od chaty. Może ją zawołać nie wstając z krzesła albo z łóżka. Może pan powiedzieć: ale to nie jest biała kobieta. Ale ja pana mogę zapytać, co otrzyma ona od białych kobiet w

Jefferson, kiedy dziecko przyjdzie, jeżeli w tej chwili, nie mieszkając jeszcze nawet przez tydzień w Jefferson, nie może przez dziesięć minut rozmawiać z żadną kobietą, żeby ta nie wiedziała, że ona nie jest jesz-

326

cze zameżna. A przecież jak długo ten głupi łajdak znajduje się na ziemi w miejscu, z którego może go ona usłyszeć albo o nim usłyszeć — nie wyjdzie za mąż na pewno. Ile pomocy otrzyma w tym czasie od białych dam? Na pewno przypilnują, żeby miała łóżko, na którym będzie mogła leżeć, ściany, które oddziela ją od ulicy. Nie o to mi chodzi. I myślę, że ktoś może być usprawiedliwiony, mówiąc, że nie zasługuje ona na więcej, bo nie było nawet żadnych ścian tam, gdzie doprowadziła się do tego stanu. Ale to dziecko nigdy nie miało wyboru. A nawet gdyby miało, to niech będę głupcem, jeżeli taki mały, biedny kundelek, mający znieść to, co on będzie musiał znieść na tym świecie, nie zasługuje... zasługuje na więcej... więcej niż... Ale myślę, że pan wie, co chcę powiedzieć. — Spoza biurka Hightower przygląda mu się, gdy mówi o tym swoim bezbarwnym wstrzemięźliwym głosem, nie odczuwając braku słów aż do chwili, kiedy doszedł do czegoś zbyt nowego i mglistego, aby mógł więcej niż tylko odczuwać. — I trzecia przyczyna: biała kobieta, samotna, tam, za miastem. Nie spodoba się to panu. To się panu spodoba najmniej ze wszystkiego.

— Ach, Byronie, Byronie.

Głos Byrona jest teraz uparty. Ma jednak głowę nadal uniesioną.

— Nie mieszkam z nią w tej chacie. Mam namiot. I nie stoi on blisko, ale w odległości, z której mogę ją usłyszeć, jeżeli będzie mnie potrzebowała. I przymocowałem zasuwę do drzwi. Każdy z nich może tam przyjść, kiedy zechce, i zobaczyć mnie w namiocie.

— Ach, Byronie, Byronie,

— Wiem, że pan nie myśli tego, co myśli większość z nich. Ja wiem, że pan rozumiałby to, nawet gdyby

327

ona nie była... gdyby nie chodziło o... Wiem. Powiedział pan to, myśląc o tym, co inni pomyślą.

Hightower nadal siedzi w postawie wschodniego bożka, pomiędzy swymi dwiema rękami, leżącymi równolegle na poręczach krzesła.

— Odejdź, Byronie. Odejdź. Teraz. Natychmiast. Porzuć na zawsze to miejsce. To straszliwe miejsce, to straszliwe, straszliwe miejsce. Czytam w tobie. Powiesz mi,

że dopiero teraz poznałeś miłość. Odpowiem ci, że dopiero teraz poznałeś nadzieję. To wszystko. Przedmiot nie gra roli ani dla twojej nadziei, ani nawet dla ciebie. Ale jest tylko jedno zakończenie tej drogi, na którą wszedłeś: grzech albo małżeństwo. A ty odrzucisz grzech. O to chodzi, Boże, zniknij się nade mną. To będzie, musi być, małżeństwo albo nic, gdy ty wchodzisz w grę. I będziesz nalegał, aby to było małżeństwo. Przekonasz ją; może już ją przekonałeś, jeżeli tylko dowiedziała się o tym i przyznała do tego, że wie. Bo inaczej, dlaczego zadowala się pozostawaniem tutaj, a nie robi żadnych starań, żeby spotkać się z człowiekiem, którego przy była odnaleźć? Nie mogę ci powiedzieć: “Wybierz grzech”, bo nie tylko że byś mnie za to znienawidził: zaniósłbyś tę nienawiść wprost do niej. Więc mówię: “Odejdź stąd”. Teraz. Zaraz. Odwróć twarz i nie spoglądaj za siebie. Ale nie rób tego, Byronie.

Spoglądają na siebie.

— Wiedziałem, że się to panu nie spodoba — mówi Byron. — Myślę, że miałem rację nie siadając i nie stając się przez to pana gościem. Ale tego się nie spodziewałem. Że zwróci się pan przeciwko kobiecie, skrzywdzonej i zdradzonej.

— Żadna kobieta, która ma dziecko, nie jest zdradzona. Mąż matki jest zdradzony zawsze, bez względu

328

na to, czy dziecko jest jego, czy nie. Daj sobie przynajmniej jedną szansę na dziesięć, Byronie. Jeżeli musisz się ożenić, istnieją przecież wolne kobiety, dziewczęta, dziewice. To nieuczciwe, że chcesz się poświęcać dla kobiety, która już raz wybrała i teraz chce się zaprzeć swego wyboru. To niesłuszne. To niesprawiedliwe. Bóg nie to miał na myśli tworząc małżeństwo. Tworząc? Kobiety je stworzyły.

— Poświęcać? Ja, poświęcać? Mnie się wydaje, że ona poświęca...

— Nie ona. Dla takich jak Lena Grove jest zawsze dwóch mężczyzn na świecie, a tych dwóch są całe legiony: Łukaszów Burchów i Byronów Bunchów. Ale żadna kobieta nie zasługuje na więcej niż na jednego z nich. Istniały dobre kobiety, które były ofiarami bydlaków, spełniając swój kielich goryczy. Ale która kobieta, dobra czy zła, tyle ucierpiała od brutalnego bydlęcia, ile mężczyźni wycierpieli od dobrych kobiet? Odpowiedz mi na to, Byronie.

Rozmawiają spokojnie, nie gorączkowo, robiąc przerwy, aby słowa drugiego mogły nabrać wagi, jak dwaj ludzie, już niewzruszeni w swych przekonaniach.

— Myślę, że pan ma rację — mówi Byron. — A w każdym razie ja nie mam prawa mówić, że jej pan nie ma. Ale myślę, że i pan nie ma prawa mówić, że ja nie

mam racji, nawet jeżeli jej nie mam.

– Nie – mówi Hightower.

– Nawet jeżeli jej nie mam – mówi Byron. – Więc myślę, że chyba powiem teraz dobranoc. – Mówi cicho: – Ładny kawał drogi trzeba zrobić, żeby tam dojść.

– Tak – mówi Hightower. – Szedłem tamtędy kilka razy. To musi być mniej więcej trzy mile.

– Dwie mile – mówi Byron. – No. – Odwraca

329

się. Hightower nie porusza się. Byron unosi paczki, których nie położył. – Dobranoc – mówi idąc w stronę drzwi. – Myślę, że zobaczymy się kiedyś, niedługo.

– Tak – mówi Hightower. – Jeżeli będę mógł w czymś pomóc. Czy potrzebujesz czegoś? Bielizny pościelowej albo czegoś podobnego?

– Dziękuję bardzo. Myślę, że ma dosyć. Trochę już tam było. Dziękuję.

– I dasz mi znać? Jeżeli coś się stanie? Jeżeli dziecko... Czy załatwiłeś już doktora?

– Przypilnuję tego.

– Ale widziałeś się już z którymś z nich? Czy zamówiłeś go?

– Chcę przypilnować tego wszystkiego. I dam panu znać.

Potem odchodzi. Patrząc znów z okna Hightower widzi go, niosącego swoje paczki, odchodzącego ulicą w stronę krańca miasta, w kierunku swego dwumi-lowego spaceru. Zniknął z pola widzenia, wyprostowany, idący szybko, tak szybko, że stary, trochę już otyły człowiek, który zbyt wiele czasu stracił siedząc, nie mógłby mu dotrzymać kroku. I Hightower wychyla się z okna, zanurzony w sierpniowym upale, nie zdający sobie sprawy z woni, wśród której mieszka – woni ludzi, którzy już nie żyją wśród żywych: woni tłustej, wilgotnej, przesiąkniętej zapachem stęchłej bielizny i będącej jak gdyby zwiastunem grobu – i słucha odgłosu stóp, które zdaje się słyszeć jeszcze długo po tym, kiedy wie już, że nie może już ich słyszeć. Myśli: Być młodym. Być młodym. Nie istnieje nic jak to: nie istnieje nic innego na świecie. Myśli spokojnie: “Nie powinienem był wychodzić z nawyku modlenia

330

się”. Potem nie słyszy już stóp. Słyszy teraz tylko nieskończoną ilość głosów niezliczonych owadów, wychyla się przez okno, wdycha gorący, nieruchomy, bogato zróżnicowany zapach ziemi i myśli o tym, że gdy był młody, kochał ciemność, przechadzki i wysiadanie nocą wśród drzew. Wówczas ziemia i kora drzew stawały

się rzeczywiste, dzikie, wypełnione myślą o dziwnych, okropnych półradościach i półlękach. Bał się tego. Lękał się. Kochał swoje lęki. Potem, pewnego dnia, gdy był w seminarium, zrozumiał, że nie boi się już. Jak gdyby zamknęły się gdzieś drzwi. Nie bał się już ciemności. Po prostu nienawidził jej. Uciekał od niej do pokoiów, do sztucznego światła. “Tak — myśli. — Me powinienem być sobie nigdy pozwolić na wyjście z tego nawyku modlitwy”. Odwraca się od okna. Jedna ściana gabinetu jest zajęta książkami. Zatrzymuje się przed nimi, szuka, wreszcie znajduje tę, która mu jest potrzebna. Jest to Tennyson. Książka ma pozaginane rogi. Ma ją od czasów seminaryjnych. Siada pod lampą i otwiera ją. Nie zajmuje mu to wiele czasu. Wkrótce piękny, galopujący język, bezsilne półomdlenie, pełne uschniętych drzew i osuszonych pożądań, zaczyna płynąć gładko, szybko i spokojnie. Jest to lepsze niż modlitwa i nie zmusza do głośnego myślenia. Jest to jak gdyby słuchanie eunucha w katedrze, śpiewającego w języku, którego nie trzeba nawet nie rozumieć.

14

— Ktoś tam jest w tej chacie — powiedział zastępca do szeryfa. — Nie ukrywa się: mieszka w niej.

— Pójdź i zobacz — powiedział szeryf.

331

Zastępca poszedł i powrócił.

— To kobieta. Młoda kobieta. I jest przygotowana, żeby tam długo mieszkać, sądząc z tego, jak tam wygląda. A Byron Bunch mieszka w namiocie, tak blisko chaty, jak stąd do urzędu pocztowego.

— Byron Bunch? — mówi szeryf. — Kim jest ta kobieta?

— Nie wiem. To obca. Młoda kobieta. Wszystko mi opowiedziała. Zaczęła mi opowiadać, zanim zdążyłem na dobre wejść do chaty, jakby to było wyuczone przemówienie. Jakby przyzwyczała się do wypowiedzania go i zrobiła sobie z tego nawyk. I myślę, że tak musi być, jeżeli szukając swojego męża przyszła tu pieszo z Alabamy. On tu przybył przed nią, zdaje się, szukając roboty, a po pewnym czasie ona wyruszyła za nim i ludzie po drodze powiedzieli jej, że on jest tutaj. Akurat w tej samej chwili wszedł Byron i powiedział mi, że może to wszystko wytłumaczyć. Mówi, że chciał panu powiedzieć.

— Byron Bunch — mówi szeryf.

— Tak — mówi zastępca. Mówi: — Ona będzie miała dziecko. I to wkrótce.

— Dziecko? — mówi szeryf. Patrzy na zastępcę. — Z Alabamy? Skądkolwiek.

Nie powiesz mi tego o By-ronie Bunchu.

— Wcale się nie staram — mówi zastępca. — Nie mówię wcale, że to Byrona. A przynajmniej Byron wcale nie mówi, że to jego. Powtarzam panu tylko to, co mi powiedział.

— Och — mówi szeryf. — Rozumiem. A dlaczego ona tam jest? Pewnie to jeden z tych facetów. Czy to Christmas?

— Nie. To właśnie powiedział mi Byron. Wyciągnął

332

mnie z chaty i opowiedział, gdy odeszliśmy na odległość, z której nie mogła nas już usłyszeć. Powiedział, że chciał przyjść do pana i opowiedzieć panu. To dziecko jest Browna. Tylko że jego nazwisko nie jest Brown, ale Łukasz Burch. Byron mi to opowiedział. O tym, jak Brown czy Burch porzucił ją w Alabamie. Powiedział jej, że musi odjechać, żeby przygotować dom i znaleźć pracę, a potem przyśle po nią. Ale jej czas zaczął się zbliżać i nie dostała od niego żadnej wiadomości, ani o tym, gdzie on się znajduje, ani żadnej innej, więc postanowiła nie czekać dłużej. Wyruszyła pieszo, pytając po drodze, czy ktoś nie zna faceta o nazwisku Łukasz Burch. Od czasu do czasu podwożono ją i każdego, kogo napotkała, pytała, czy go nie zna. Po pewnym czasie ktoś powiedział jej, że facet o nazwisku Burch czy Bunch, czy jakoś podobnie pracuje w tartaku w Jefferson, więc przybyła tutaj. Przyjechała tu wozem w sobotę, kiedy byliśmy wszyscy zajęci tym morderstwem, poszła do tartaku i odkryła, że to Bunch, a nie Burch. Byron mówi, że powiedział jej o obecności jej męża w Jefferson, zanim zdążył o tym pomyśleć. Mówi, że potem miała go już jak na szpilce i musiał jej powiedzieć, gdzie Brown mieszka. Ale nie powiedział jej, że Brown czy Burch jest zamieszany razem z Christmasem w to zabójstwo. Powiedział jej tylko, że Brown wyjechał w swoich interesach. To znaczy, że pracuje gdzieś chwilowo. Myślę, że można to nawet nazwać interesami. A pracą na pewno. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który by bardziej niż on chciał mieć tysiąc dolarów i znosił więcej, żeby je otrzymać. Więc ona powiedziała, że mieszkanie Browna to jest właśnie ten dom, który

333

Łukasz Burch obiecał dla niej przygotować, żeby mogła w nim zamieszkać. I wobec tego przeprowadziła się tutaj, żeby zaczekać, aż Brown wróci skończywszy załatwiać te swoje interesy. Byron mówi, że nie mógł jej powstrzymać, bo nie chciał jej powiedzieć prawdy o Brownie, kiedy już raz skłamał jej w pewien sposób. Mówi, że chciał przyjść do pana i opowiedzieć o tym wcześniej, ale dowiedział się pan o tym za

prędko, zanim zdążył ją porządnie ulokować.

— Łukasz Burch? — mówi szeryf.

— Ja sam byłem trochę zdziwiony — mówi zastępca. — Co pan chce zrobić w tej sprawie?

— Nic — mówi szeryf. — Myślę, że nie zrobią żadnej szkody. A nie jest to mój dom, żebym miał prawo kazać jej się wynieść. A jak słusznie powiedział jej Byron, ten Burch czy Brown, czy jak on się nazywa, będzie zajęty jeszcze trochę.

— Czy chce pan powiedzieć o niej Brownowi?

— Myślę, że chyba nie — mówi szeryf. — To nie moja rzecz. Nie jestem zainteresowany żonami, które porzucił w Alabamie albo gdzie indziej. Jestem zainteresowany mężem, którego miał od czasu, gdy przybył do Jefferson.

Zastępca wybucha śmiechem.

— Myślę, że to prawda — mówi. Poważnieje, zastanawia się. — Jeżeli on nie dostanie tego tysiąca dolarów, to myślę, że po prostu umrze.

— Myślę, że nie — mówi szeryf.

W środę o trzeciej nad ranem pewien Murzyn wjechał do miasta na pozbawionym siodła mule. Zajechał pod dom szeryfa i obudził go. Przybywał wprost z murzyńskiego kościoła, odległego o dwadzieścia mil,

334

gdzie odbywało się nocne zebranie zboru ewangelickiego. Poprzedniego wieczora rozległ się w czasie hymnu potężny łoskot, dobiegający z głębi kościoła. Odwróciwszy się, wierni ujrzeli stojącego w drzwiach człowieka. Drzwi nie były zamknięte na klucz ani nawet przymknięte, a jednak ten człowiek najwyraźniej pochwycił je za klamkę i pchnął ku ścianie tak, że odgłos uderzenia rozległ się pośród chóru głosów jak wystrzał z pistoletu. Potem nieznajomy przeszedł szybko korytarzem pomiędzy ławkami, na których śpiew urwał się nagle, i zbliżył do kazalnicy, gdzie stał kaznodzieja o nadal uniesionych rękach i z otwartymi wciąż ustami. Wtedy zobaczyli, że to biały człowiek. W gęstym jaskiniowym półmroku, który powiększały tylko dwie oliwne lampy, nie mogli od razu dostrzec, kim jest, zanim nie przeszedł połowy drogi pomiędzy ławkami. Wtedy zobaczyli, że twarz jego nie jest czarna. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć przeraźliwie, a ludzie w głębi zerwali się i zaczęli biec ku drzwiom. Wtedy inna kobieta, siedząca na ławce żałobników i znajdująca się już w stanie na wpół histerycznym, zerwała się, zakręciła na pięcie i wpatrywała w niego przez chwilę białymi, przewróconymi w słup oczyma, a później zawołała: — To diabeł! To sam

szatan! — Potem zaczęła uciekać zupełnie na oślep. Pobiegła wprost ku niemu, a on powalił ją na ziemię. Nie zatrzymując się, przeszedł przez nią i poszedł dalej, a wokół niego cofały się otwarte do krzyku twarze, aż wreszcie doszedł do kazalnicy i położył rękę na duchownym.

— Nawet wtedy nikt go nie dotknął — powiedział wysłannik. — Wszystko działo się tak szybko, nikt go nie znał, nikt nie wiedział, kim jest ani czego chce, ani w ogóle nic. Kobiety wrzeszczały i piszczały, a on do-

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

335

szedł do kazalnicy i złapał brata Bedenberry'ego za gardło, starając się go wyciągnąć z kazalnicy. Widzieliśmy, że brat Bedenberry mówi coś do niego, stara się go uspokoić, a on poderwał się ku bratu Bedenberry'emu i uderzył go dłonią w twarz. A baby piszczały i wrzeszczały tak, że nie można było usłyszeć, co brat Bedenberry mówi, poza tym, że nie próbował mu oddać uderzenia ani się szarpnąć, a potem paru starszych ludzi, diakonów, podeszło do niego i starało się z nim porozumieć. Wtedy puścił brata Bedenberry'ego, odwrócił się i uderzył pięścią siedemdziesięcioletniego dziadka Thompsona tak, że wpadł prościuteńko w ławkę żałobników. A potem pochylił się, chwycił krzesło, zakręcił nim naokoło siebie i zrobił sobie przejście, bo wszyscy cofnęli się. A ludzie ciągle krzyczeli i piszczeli, starając się wydostać z kościoła. Potem odwrócił się i wdrapał na kazalnicę, a brat Bedenberry wyskoczył z niej drugą stroną. Stał tam — całe portki i koszulę miał zabłocone, a szczęki czarne od rosnących wąsów — z uniesionymi rękami, jakby był kaznodzieją. I zaczął przeklinać, wygrażając ludziom. I przeklinał Boga głośniejszym głosem niż krzyczały kobiety, a niektórzy mężczyźni próbowali powstrzymać syna córki dziadka Thompsona, Róża Thompsona, który ma sześć stóp wzrostu; w ręce trzymał on otwartą brzytwę i krzychał: — Zabiję go! Puśćcie mnie, ludzie! Uderzył mojego dziadka! Zabiję go! Puśćcie mnie! Proszę was, puśćcie mnie! — a ludzie starali się wydostać, pędząc i gniotąc się między ławkami i w drzwiach, a on przeklinał Boga z kazalnicy, a ludzie wyciągali Róża Thompsona tyłem, a Roz ciągle prosił ich, żeby go puścili. Ale wyprowadzili jakoś Róża i schowaliśmy się w krzakach, a on ciągle stał na kazalnicy i przeklinał. Potem przestał i

336

zobaczyliśmy, że podchodzi ku drzwiom i stoi w nich. Wtedy znowu musieli przytrzymać Róża. Musiał chyba usłyszeć ten hałas, który robili, trzymając Róża, bo

zaczął się śmiać. Stał tam w drzwiach, światło padało na niego z tyłu, śmiał się głośno, a potem znowu zaczął i zobaczyliśmy, że chwyta za nogę od ławki i ciska ją za siebie. Usłyszeliśmy, że pierwsza lampa pęka i w kościele zrobiło się mroczno, a potem usłyszeliśmy, że druga lampa pęka i zrobiło się ciemno, i nie mogliśmy go już więcej widzieć. A kiedy starali się utrzymać Róża, zrobił się okropny hałas, bo wrzeszczeli szeptem: — Trzymaj go! Trzymaj go! Łap go! Łap go! — A potem ktoś wrzasnął: — Wyrwał się! — i usłyszeliśmy, że Roz biegnie w stronę kościoła, a wtedy diakon Vi-nes powiedział do mnie: — Roz go zabije. Wskakuj na muła i pędź do szeryfa. Powiedz mu to wszystko, co widziałeś. I naprawdę nikt go nie zaczepiał, panie szefie — powiedział Murzyn. — Nie wiedzieliśmy nawet, jak się nazywa, żeby móc go poprosić po nazwisku. Nigdyśmy go nawet przedtem nie widzieli. I staraliśmy się przytrzymać Róża. Ale Roz to wielki mężczyzna, a on zwałił z nóg siedemdziesiąt lat mającego dziadka Róża, a do tego Roz miał w ręce tę gołą brzytwę i nie bardzo mu zależało na tym, kogo jeszcze nią porznie, zanim utworze sobie drogę do kościoła, gdzie był ten biały człowiek. Ale przysięgam na Boga, że staraliśmy się utrzymać Róża.

To właśnie opowiedział, bo to tylko wiedział. Odjechał natychmiast: nie wiedział, że w chwili gdy to opowiadał, Murzyn Roz leżał nieprzytomny w sąsiedniej chacie z czaszką pękniętą w miejscu, w które stojący w ciemnych drzwiach Christmas uderzył go nogą od ławki, gdy Roz wpadł do kościoła. Christmas uderzył

337

raz, okrutnie, mocno, mierząc w odgłos biegnących stóp, w ciężki kształt, wpadający głową naprzód przez drzwi. Usłyszał, że kształt ten, nie zatrzymując się, wpada z trzaskiem pomiędzy przewrócone ławki, a potem leży cicho. Także nie zatrzymując się, Christmas wyskoczył z kościoła i znalazł się na zewnątrz, gdzie przystanął, pochylony lekko, nadal trzymając w zaciśniętej ręce nogę ławki, nie zgrzany, nie oddychający nawet szybko. Był zupełnie spokojny, nie spocony, otoczony spokojną ciemnością. Podwórzec kościelny był bladym półksiężycem wydeptanej i ubitej ziemi, ukształtowanym i okrążonym przez zarośla i drzewa. Wiedział, że zarośla są pełne Murzynów: czuł na sobie ich oczy. “Patrzą i patrzą — pomyślał. — Nie wiedzą nawet, że nie mogą mnie zobaczyć”. Odetchnął głęboko i odkrył, że waży w ręce nogę ławki, jak gdyby starając się poznać jej ciężar, jak gdyby nigdy przedtem nie miał jej w ręce. Jutro zrobię na niej korbę” — pomyślał. Ostrożnie oparł nogę o mur i wyciągnął z kieszeni koszuli papierosa i zapalki. Zapalając zapalkę, znieruchomiał na chwilę i w świetle nikłego, rosnącego, żółtego płomyczka stał tak, odwróciwszy nieco głowę.

Usłyszał podkowy. Usłyszał je, bijące coraz prędeej. Potem ucichły. — Muł — powiedział na głos, ale nie głośno. — Pędzi do miasta i niesie dobrą nowinę. — Zapalił papierosa, odrzucił zapalną i stał, paląc, czując oczy Murzynów na maleńkim, płonącym kółeczku żaru. Chociaż stał tam, póki nie wypalił całego papierosa, był teraz czujny. Oparł się plecami o ścianę i trzymał w prawej ręce nogę ławki. Wypalił papierosa do końca i odrzucił iskrzący się niedopałek w stronę zarośli, gdzie czuł oczy skulonych Murzynów. — Macie niedopałek, chłopcy — powiedział.

22-Świattóć...

338

Głos jego zabrzmiał w ciemności donośnie i niespodziewanie. Skuleni w zaroślach, przyglądali się isierce papierosa, opadającej ku ziemi i tłącej się tam przez chwilę. Ale nie mogli dostrzec, gdy odchodził, ani nie wiedzieli, w jakim kierunku poszedł.

O ósmej następnego ranka nadjechał szeryf, mając ze sobą ludzi należących do pościgu i psy gończe. Natychmiast zrobiono pewne odkrycie, chociaż psy nie miały z nim nic wspólnego. Kościół był pusty. Ani jednego Murzyna nie widać było w zasięgu wzroku. Grupa pościgowa weszła do kościoła i spokojnie przyglądała się dziełu zniszczenia. Potem wyszli. Psy natychmiast wpadły na jakiś trop, ale zanim wyruszono, zastępca znalazł kawałek papieru wsunięty w szparę deski bocznej ściany kościoła. Był on tam najwyraźniej wsunięty ręką ludzką. Kiedy go rozpostarto, okazał się pustym opakowaniem paczki papierosów, rozerwanym i wygładzonym. Na czystej, wewnętrznej stronie był list napisany ołówkiem. Litery były nierówne, jak gdyby pisane niewprawną ręką albo w ciemności. List był niedługi. Zaadresowany był na nazwisko szeryfa i zawierał jedno — nie nadające się do druku — zdanie. Był nie podpisany.

— Czy nie mówiłem wam? — powiedział jeden ze ścigających. Był nie ogolony i zabłocony podobnie jak ich zwierzyna, której jeszcze nawet nie widzieli, a twarz jego była napięta i prawie obłąkana z zawodu i oburzenia. Głos miał zachrypły, jak gdyby niedawno krzyczał wiele albo wiele mówił. — Mówiłem panu przez cały czas! Mówiłem panu!

— Co mi mówiłeś? — zapytał szeryf zimnym, spokojnym głosem, kierując na tamtego zimne i spokojne spojrzenie i trzymając w ręce ten napisany ołówkiem

339

list. — Co i kiedy mi mówiłeś? — Tamten spojrzał na szeryfa, wściekły,

zrozpaczony, umęczony prawie do granic możliwości. Patrząc na niego, zastępca szeryfa pomyślał: Jeżeli nie dostanie tej nagrody, to po prostu umrze”. Usta miał otwarte, choć nie wydobywał się z nich żaden głos. Patrzył na szeryfa z wyrazem zmieszanego i pełnego niewiary zdumienia.

— Ale ja ci mówiłem — powiedział szeryf swoim ponurym, spokojnym głosem — że jeśli nie podoba ci się sposób, w jaki prowadzę tę sprawę, możesz poczekać w mieście. Mamy tam dla ciebie dobrą poczekalnię. Jest chłodna i nie będziesz musiał się tam tak gorączkować jak tu, w słońcu. Czy nie mówiłem ci tego? Powiedz.

Ten drugi zamknął usta. Odwrócił głowę i z ogromnym, ogromnym wysiłkiem odpowiedział: — Tak — suchym, zdławionym głosem.

Szeryf odwrócił się ciężko, mnąc w ręce list.

— Postaraj się więc, żeby ci to znów nie uciekło z głowy — powiedział — jeżeli oczywiście masz jakąś głowę, z której to może uciec. — Stali wokół niego we wczesnym blasku słońca, a twarze ich były spokojne i zaciekawione. — A mam wątpliwości, czy sam Pan Bóg w to nie wątpi, jeżeli chcesz wiedzieć. Ktoś parsknął śmiechem. — Uciszcie się — powiedział szeryf. Ruszajmy. Wypuść te psy, Bufe.

Psy zostały skierowane na trop, ale nie spuszczone ze smyczy. Trafiły natychmiast. Trop był wyraźny i łatwo można go było odnaleźć ze względu na leżącą rosę. Uciekający nie zadawał sobie najwyraźniej żadnego trudu, żeby go ukryć. Mogli nawet przyjrzeć się odciskom jego kolan i dłoni w miejscu, gdzie ukląkł, aby napić się ze źródelka.

340

— Nigdy nie znałem mordercy mającego więcej rozumu niż ten w stosunku do facetów, którzy go ścigają — powiedział zastępca. — Ale ten głupiec nie podejrzewa nawet, że możemy użyć psów.

— Wypuszczaliśmy za nim psy co dnia, od niedzieli — rzekł szeryf — i nie pochwyciliśmy go jeszcze.

— To były zimne tropy. Nie trafiliśmy na dobry, ciepły trop aż do dziś. Ale w końcu popełnił błąd. Dostaniemy go dzisiaj. Może nawet przed południem.

— Myślę, że zaczekam sobie na to, a potem zobaczę — powiedział szeryf.

— Zobacz pan — powiedział zastępca. — Ten trop biegnie prosto jak tor kolejowy. Mógłbym sam go wytropić. Niech pan tu spojrzy. Można odróżnić nawet odciski jego stóp. Głupiec nie ma nawet tyle rozumu, żeby wydostać się na drogę, gdzie jest kurz i przechodzą ludzie, a psy nie mogłyby go wywęszyć. Te psy dojdą

przed dziesiątą do końca tych śladów.

I psy doszły. W pewnej chwili trop skręcił ostro w prawo. Idąc za nim, wyszli na drogę, po której ruszyli za wrywającymi się, węszącymi przy ziemi psami, które przebiegły-mały odcinek drogi i rzuciły się w bok, ku wąskiej ścieżce, biegnącej w stronę składziku bawełny, stojącego na przyległym polu. Zaczęły ujadać, skomlać, miotając się w podnieceniu, kręcąc w kółko i wrywając, a głosy ich były donośne, głębokie i dźwięczne.

— A cóż to za głupiec! — powiedział zastępca. — Usiadł tu i odpoczywał. Tu są ślady jego stóp, te same gumowe obcasy. Nie wyprzedza nas teraz nawet o milę! Jazda, chłopcy!

Ruszyli, smycze były wyprężone, psy ujadały, męż-

341

czyźni biegli teraz kłusem. Szeryf odwrócił się ku nie ogolonemu człowiekowi.

— Teraz masz okazję, żeby pobiec przed nami, schwytać go i otrzymać ten tysiąc dolarów. Dlaczego tego nie robisz?

Człowiek nie odpowiedział. Żaden z nich nie miał zbyt wiele tchu do rozmowy, zwłaszcza teraz, kiedy po przebiegnięciu mniej więcej mili psy, nadal ciągnąc i ujadając, skręciły z drogi i pobiegły ścieżką wspinającą się na wzgórze i niknącą w polu zarośniętym kukurydzą. Tu zatrzymały się, ujadając, ale gorliwość zdawała się nawet wzrastać. Mężczyźni biegli teraz. Spoza sięgającej głów ludzkich kukurydzy widać było chatę murzyńską.

— Tam jest — powiedział szeryf, wyciągając pistolet. — Uważajcie na siebie teraz, chłopcy. Tym razem ma przy sobie broń palną.

Zostało to wykonane zgrabnie i ze znajomością rzeczy: dom otoczony został przez niewidocznych ludzi, którzy powyciągali pistolety, a szeryf wraz z zastępcą, pomimo swego potężnego brzucha, szybko i zręcznie przywarł na płask do ściany chaty, poza zasięgiem któregokolwiek z okien. Nadal przywarty do ściany, obiegł chatę wokół, kopnął drzwi i wpadł do wnętrza, trzymając przed sobą pistolet. Wewnątrz znajdowało się murzyńskie dziecko. Było zupełnie nagie i siedziało w zimnym popiele paleniska, jedząc coś. Było najwyraźniej samo w domu, lecz po pewnym czasie nadeszła kobieta. Wynurzywszy się z wewnętrznych drzwi, otworzyła usta i wypuściła z rąk żelazną patelnię. Na nogach miała męskie buty, w których jeden z członków pościgu rozpoznał buty uciekającego. Opowiedziała im o białym człowieku, spotkanym o świcie na

drodze, i o tym, jak wymienił z nią buty, biorąc w zamian chodaki jej męża, które miała właśnie na nogach. Szeryf słuchał.

— To się stało obok tego magazynu bawełny? — zapytał.

Powiedziała mu, że tak. Powrócił do swoich ludzi i do uwiązanych na smyczach, pełnych zapachu psów. Patrzył w dół, ku psom, gdy mężczyźni zadawali pytania, a potem umilkli, przyglądając mu się. Zobaczyli, że wsuwa pistolet do kieszeni, a potem odwraca się i wymierza obu psom po mocnym kopniaku.

— Zabierzcie do miasta te durne bydłeta — powiedział.

Ale szeryf był dobrym urzędnikiem. Wiedział tak samo dobrze jak jego ludzie, że powróci do składziku bawełny, gdzie, jak sądził, Christmas był przez cały czas ukryty, chociaż wiedział, że nie będzie już tam ukryty teraz, gdy powrócą. Mieli trochę kłopotu z odciągnięciem psów od chaty, więc dopiero wśród jaśniejącego, gorącego blasku dziesiątej godziny otoczyli składzik ostrożnie, mądrze i cicho — a potem wpadli tam znienacka z pistoletami, tak jak chciały tego przepisy, ale nie mając żadnej nadziei. Znaleźli jednego przerażonego i zdumionego polnego szczura. Mimo to szeryf kazał sprowadzić psy, które nie chciały w ogóle podejść do składu bawełny, nie chciały zejść z drogi, opierając się i szarpiąc obroże z głowami odwróconymi zupełnie jednakowo i skierowanymi ku chacie, od której je niedawno odciągnięto. Dwóch ludzi musiało je siłą przyciągnąć, ale gdy tylko obluźnio-no smycze, poderwały się jak jeden, obiegiły skład dokoła i przecinając ślady, pozostawione przez stopy uciekającego, porzuciły wysokie, rosnące w cieniu

domu i nadal jeszcze pokryte rosą chwasty, aby popędzić, szarpiąc, podskakując i wyrywając się, w kierunku drogi. Ciągnęły za sobą obu ludzi przez pięćdziesiąt jardów, zanim tym ostatnim udało się owinąć smycze wokół młodego drzewka i zatrzymać psy. Tym razem szeryf nawet ich nie kopnął.

Hałas i nawoływanie, odgłosy i furia nagonki cichną wreszcie i zamierają w uszach. Gdy mijali go ludzie i psy, nie znajdował się w składzie bawełny, jak to przypuszczał szeryf. Zatrzymał się tam tylko, by zasnurować chodaki: czarne buciory śmierdzące Murzynem. Wyglądają one tak, jakby wyciosano je tępą siekierą z rudy żelaznej. Patrząc w dół, na ich szorstką, surową, niezgrabną bezkształtność, powiedział przez zęby: — Ha. — Wydało mu się, że wreszcie widzi siebie, wpędzonego przez białych ludzi w czarną otchłań, która czekała trzydzieści lat, by zatopić go, i do

której wszedł wreszcie teraz, mając wokół kostek ostateczne i nie dające się usunąć znamię głębokości, na jaką się uniosła.

Jest dopiero świt: szara i tęskna nieruchomość światła, wypełniona spokojnymi próbami śpiewu budzących się ptaków. Wdychane powietrze jest jak źródłana woda. Oddycha głęboko i powoli, czując, że z każdym oddechem coraz bardziej roztapia się w bezbarwnej szarości, staje się częścią samotności i ciszy, które nigdy nie zaznały wściekłości ani rozpacz. “Niczego więcej nie chciałem — myśli z powolnym i cichym zdumieniem. — Niczego więcej, w ciągu całych tych trzydziestu lat. Nie wydaje się, żeby to było za wiele w ciągu trzydziestu lat”.

344

Niewiele spał od środy, a teraz znowu nadeszła środa i znowu minęła, chociaż nie wie o tym. Kiedy myśli teraz o czasie, wydaje mu się, że przez trzydzieści lat żył wewnątrz maszerującej szeregami defilady nazwanych i ponumerowanych dni, podobnych do palików ogrodzenia. A potem pewnej nocy usnął i gdy obudził się, był już poza nimi. Przez pewien czas po ucieczce owej piątkowej nocy starał się z przyzwyczajenia pamiętać o dniach tygodnia. Pewnego razu, przeleżawszy całą noc w stogu siana, zdążył się obudzić w chwili, gdy budziła się chałupa wiejska. Zobaczył przed świtem lampę ozywającą żółto w kuchni, a potem w szarej, wciąż — jeszcze — ciemności usłyszał powolny, człapiący odgłos siekiery i poruszenia mężczyzny pośród odgłosów bydła, budzącego się w niedalekiej oborze. Potem poczuł zapach dymu i jedzenia, gorącego, okrutnego jedzenia. Zaczął powtarzać raz po raz: Nie jadłem od nie jadłem od, starając się przypomnieć sobie, ile dni minęło od tego piątku, gdy jadł kolację w restauracji w Jefferson. Po pewnym czasie, gdy leżał nadal nieruchomo, czekając chwili, gdy mężczyźni zjedzą i odejdą w pole, nazwa dnia tygodnia wydała mu się ważniejsza niż pożywienie. Bo gdy mężczyźni wreszcie oddalili się i zaszedłszy znalazł się w blasku nisko stojącego słońca o barwie żółtego narcyza, i zbliżył się do kuchennych drzwi, nie poprosił w ogóle o pożywienie. Miał zamiar poprosić o nie. Czuł szorstkie słowa, szeregujące się w umyśle, tuż za wargami. A potem wychudła, twarda jak rzemień kobieta podeszła do drzwi, spojrzała na niego i dostrzegł w jej oczach wstrząs i rozpoznanie. A gdy myślał: Zna mnie. Ona też słyszała już o tym, usłyszał, jak jego własne wargi powiedziały spokojnie: — Czy może mi

345

pani powiedzieć, jaki mamy dzisiaj dzień? Chcę tylko wiedzieć, jaki to jest dzień.

— Jaki dzień? — Jej twarz była wychudła jak jego twarz, a jej ciało tak samo wychudłe, nieznużone i zgonione. Powiedziała: — Odejdź stąd! Jest wtorek! Odejdź stąd! Zawołam mojego męża!

Gdy drzwi trzasnęły, powiedział głośno: — Dziękuję. — Potem biegł. Nie przypominał sobie chwili, w której zaczął biec. Przez pewien czas myślał, że biegnie ku jakiemuś znanemu sobie celowi, o którym bieg niespodziewanie sobie przypomniał, a umysł nie musi się zajmować przypominaniem sobie, dlaczego biegnie, ponieważ sam bieg jest bardzo łatwy. Miał uczucie, że jest zupełnie lekki, jakby nic nie ważył. Nawet w pełnym biegu stopy jego zdawały się poruszać lekko i przypadkowo po ziemi pozbawionej ciężaru. Wreszcie upadł. Nic go nie podcięło. Upadł po prostu jak długi, wierząc jeszcze przez pewien czas, że nadal biegnie. Ale leżał twarzą ku ziemi w płytkiej bruździe na skraju zaoranego pola. Potem powiedział nagle: — Myślę, że lepiej będzie, jeżeli wstanę. — Kiedy usiadł, odkrył, że słońce, które przebiegło połowę drogi po niebie, świeci teraz na niego z przeciwnego kierunku. W pierwszej chwili przypuszczał, że to on sam przekręcił się. Potem zdał sobie sprawę, że to już wieczór. Że kiedy upadł biegnąc, był ranek, a teraz, choć zdaje mu się, że natychmiast usiadł, jest wieczór. “Spałem — pomyślał. — Spałem więcej niż sześć godzin. Musiałem usnąć, biegnąc, i nie wiedziałem o tym. To właśnie zrobiłem”.

Nie był zdumiony. Czas, okresy światła i ciemności już od dawna straciły swój porządek. Obecnie było to zwykle jedno z nich, następujące bez ostrzeżenia, po-

346

między dwoma drgnięciami powiek. Nie wiedział już, kiedy przechodzi z jednego z tych stanów w drugi, odkrywał, że spał, nie przypominając sobie, kiedy się położył, albo budził się, nie pamiętając chwili przebudzenia. Czasem wydawało mu się, że noc, gdy spał w sianie, w rowie, pod porzuconym dachem, pociągnęła za sobą natychmiast następną noc, bez dziennej przerwy, bez światła pomiędzy nimi, które pozwoliłoby widzieć i uciekać. Dzień mógł następować natychmiast po poprzednim dniu, wypełnionym ucieczką i pośpiechem, bez żadnej nocy i przerwy na wypoczynek, jak gdyby słońce nie zachodziło, ale krążyło po niebie zawracając, nim dotknęło widnokregu. Gdy usypiał idąc, a nawet klęcząc nad źródłem, nie wiedział nigdy, czy oczy jego, otwierając się, zobaczą światło słoneczne, czy gwiazdy.

Przez pewien czas był nieustannie głodny. Zbierał i zjadał gnijące i nagryzione przez robaki owoce; od czasu do czasu wczołgiwał się na pole kukurydzy, pochylał i ogryzał dojrzałe kolby, twarde jak skrobaczki do ziemniaków. Przez cały czas myślał o

jedzeniu, wyobrażając sobie rozmaite dania i posiłki. Myślał o tym posiłku, zostawionym dla niego w kuchni przed trzema laty, i raz jeszcze z bolesnym skurczem i bolesną udręką żalu, wyrzutów sumienia i wściekłości przeżywał powolne, rozważne wahanie się ramienia, ciskającego naczyniami w ścianę. Potem, pewnego dnia, przestał odczuwać głód. Nadeszło to niespodziewanie i spokojnie. Przyjął to spokojnie i obojętnie. Ale wiedział, że musi jeść. Zmuszał się do jedzenia zgniłych owoców i twardej kukurydzy, żując je powoli i zupełnie nie czując ich smaku. Zjadał ich olbrzymie ilości, co wywoływało napady krwawej biegunki. Ale

347

natychmiast potem znowu stawał się opętany pragnieniem pożywienia. Nie głód opętywał go teraz, ale konieczność jedzenia. Starał się sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jadł gotowane, przyzwoite jedzenie. Czuł, pamiętał, że gdzieś był dom i chata. Dom, a może chata, biała, a może czarna: nie mógł sobie przypomnieć jaka. Potem, gdy siedział zupełnie nieruchomo, mając na wychudłej, chorej, pokrytej zarostem twarzy wyraz głębokiego zamyślenia, poczuł zapach Murzyna. Siedząc nieruchomo (siedział oparty o drzewo nad strumykiem, głowę miał odrzuconą ku tyłowi, ręce złożone na kolanach, a twarz wyczerpaną i spokojną) widział murzyńskie garnki, murzyńskie jedzenie i czuł jego zapach. Było to w izbie. Nie przypominał sobie, jak się tam dostał. Ale izba wypełniona była ucieczką i nagłym zaskoczeniem, jak gdyby ludzie uciekali z niej przed chwilą niespodziewanie, pełni lęku. Siedział przy stole, czekając i nie myśląc o niczym, pośród pustki i milczenia wypełnionego ucieczką. Potem ukazało się przed nim jedzenie, pojawiając się nagle w dwu gibkich, długich, czarnych dłoniach, które także uciekły po postawieniu garnka. Wydawało mu się, że nie słysząc, słyszy wokół siebie żalosne zawodzenie pełne lęku i rozpacz, cichsze niż westchnienie, niż odgłos żucia i połykania. “Tym razem to była chata — pomyślał. — Bali się. Bali się swego brata”.

Tej nocy przyszła mu do głowy dziwna myśl. Leżał przygotowany do snu, nie śpiąc, nie zdając się potrzebować snu w tym samym stopniu, w jakim kazał swemu żołądkowi zgadzać się na przyjmowanie pokarmu, którego nie zdawał się on pragnąć ani potrzebować. Było to dziwne, bo nie znajdował żadnego źródła, po-

348

wodu ani wytłumaczenia dla tej myśli. Odkrył, że stara się obliczyć, jaki jest dzień tygodnia. Jak gdyby teraz wreszcie miał istotną, pilną potrzebę, aby wykreślić minione dni, które zbliżały go do jakiegoś celu, jakiegoś dnia, a może czynności, a

musiał to zrobić, nie skreślając ich za mało lub za wiele. Mając w umyśle tę konieczność, wstąpił w stan letargicznej drzemki, jaką stał się teraz jego sen. Kiedy obudził się pośród szarego od rosy świtu, ta konieczność była już tak skryształizowana, że nie wydawała się dziwna.

Jest świt, i światło dnia. Wstaje, schodzi do strumyka i wyjmuje z kieszeni brzytwę, pędzel i mydło. Ale jest jeszcze za ciemno, aby mógł wyraźnie widzieć w wodzie swoją twarz, siada więc obok źródła i czeka chwili, kiedy będzie mógł więcej zobaczyć. Potem cierpliwie namydla twarz twardą, zimną wodą. Pomimo pośpiechu czuje znużenie, więc zmusza się. Brzytwa jest tępa. Usiłuje ją wyostrzyć o bok jednego z chodaków, ale skóra jest twarda jak żelazo i wilgotna od rosy. Goli się, jak umie. Ręka mu drży, więc nie za dobrze się to udaje. Zacina się trzy czy cztery razy, tamując krew zimną wodą, aż wreszcie przestaje ona płynąć. Chowa przyrządy do golenia i zaczyna iść. Idzie po linii prostej, nie zważając na łatwiejszą drogę, biegnącą poniżej wierzchołków wzgórz. Po krótkim czasie wychodzi na drogę i siada przy niej. Jest to cicha droga, pojawiająca się i znikająca łagodnie. Błady kurz poznaczony jest wąskimi i rzadkimi śladami kół, podków mułów i koni, a miejscami przez odciski ludzkich stóp. Siada przy tej drodze. Jest bez marynarki, a biała niegdyś koszula i zaprasowane niegdyś spodnie są zakurzone i poplamione błotem. Wychudła, pokryta pasmami zarostu i zaschniętej krwi twarz drży z wy-

349

czerpania i zimna. Wschodzi słońce i ogrzewa go. Po pewnym czasie spoza zakrętu pojawia się para murzyńskich dzieci i nadchodzi w jego kierunku. Nie dostrzegły go, dopóki nie przemówił. Zatrzymują się, zamierają, patrząc na niego oczyma o przewróconych białkach.

— Jaki jest dziś dzień tygodnia? — powtarza. Nie odpowiadają, wpatrując się w niego. Porusza głową.

— Idźcie — mówi. Idą. Nie patrzy za nimi. Siedzi, najwyraźniej wpatrzony z zamyśleniem w miejsce, gdzie poprzednio stały, jak gdyby odchodząc wyszły po prostu z dwóch skorup. Nie widzi, że biegną.

Potem, siedząc tak w ciepłym słońcu, usypia nie zdając sobie z tego sprawy, bo następnym wrażeniem, które dociera do jego świadomości, jest straszliwy brzęk, stuk i trzask turkoczącego drzewa, metalu i podków. Unosi powieki i widzi, że wóz zawraca w miejscu na zakręcie i znika mu z oczu, a siedzący w nim ludzie patrzą na niego przez ramię, gdy bat woźnicy wznosi się i opada. “Oni także mnie rozpoznali —

myśli. — Oni. Ta biała kobieta. I ci Murzyni, u których jadłem tego dnia. Każdy z nich mógł mnie pochwycić, jeżeliby mu na tym zależało. Ale najpierw każdy z nich ucieka. Wszyscy chcą, żeby mnie schwytano, a potem, kiedy przychodzę, gotów do powiedzenia: «Oto Jestem-. Tak powiedziałbym Oto Jestem Jestem Jestem zmęczony Jestem zmęczony ucieczką i niesieniem mego życia jakby to był kosz pełen jaj, wszyscy uciekają. Jak gdyby istniała jakaś zasada, według której należy mnie pochwycić, a w ten sposób odbyłoby się to wbrew tej zasadzie”.

Powraca więc w krzaki. Tym razem jest czujny i słyszy wóz, zanim go może dostrzec. Nie wynurza się na

350

drogę, zanim wóz nie znajduje się naprzeciw. Potem wychodzi i mówi:

— Hej.

Poderwany ostro wóz zatrzymuje się. Głowa murzyńskiego woźnicy także podrywa się ostro. Na jego twarzy pojawia się zdumienie, potem rozpoznanie i przerażenie.

— Jaki dzień dzisiaj mamy? — pyta Christmas. Murzyn wpatruje się w niego z otwartymi ustami.

— C-co pan mówi?

— Jaki jest dzień tygodnia? Czwartek? Piątek? Jaki? Jaki dzień? Nie zrobię ci krzywdy.

— Jest piątek — mówi Murzyn. — O, Panie Boże, jest piątek.

— Piątek — mówi Christmas. Szybko unosi głowę. — Jedź! — Bat opada, muły podrywają się ku przodowi. Ten wóz także znika z pola widzenia galopem, a bat unosi się ponad nim i opada. Ale Christmas zawrócił już i znowu wszedł w las.

Raz jeszcze idzie po linii prostej jak mierniczy, nie zwracając uwagi na wzgórza, doliny i bagna. Nie spieszy się jednak. Zachowuje się jak człowiek, który wie, gdzie jest, gdzie chce dojść i jak wiele czasu z dokładnością do jednej minuty zużyje, aby tam dotrzeć. Jak gdyby zapragnął obejrzeć swą ziemię rodzinną po raz pierwszy, a może ostatni podczas wszystkich jej przemian. Wyrósł na mężczyznę we wsi, gdzie ciało jego i myśli zostały ukształtowane przez przyrodę wiejską, choć nie nauczyła go ona niczego ze swego rzeczywistego obrazu i istnienia, jak gdyby był nie umiejącym pływać marynarzem. Od tygodnia ukrywał się i skradał pośród jej tajemniczych zakątków, a jednak pozostał obcy najbardziej niezmiennym prawom, którym

351

ziemia musi podlegać. Przez pewien czas, idąc równomiernie naprzód, myśli, że właśnie to — patrzeć i dostrzeganie — daje mu spokój, brak pośpiechu i ucieszenie, ale nagle dobiega do niego prawdziwa odpowiedź. Ma uczucie, że jest spokojny i lekki. “Nie muszę się już więcej martwić o to, co będę jadł — myślał.

— To właśnie jest to”.

Nim minęło południe, przeszedł osiem mil. Dotarł teraz do szerokiej, brukowanej szosy. Tym razem na widok jego uniesionej dłoni wóz zatrzymuje się spokojnie. Na twarzy młodego powożącego Murzyna nie widać ani zdumienia, ani rozpoznania.

— Dokąd prowadzi ta droga? — pyta Christmas.

— Do Mottstown. Tam, gdzie jadę.

— Mottstown. A do Jefferson też zajedziesz? Młody człowiek drapie się w głowę.

— Nie wiem, gdzie to jest. Jadę do Mottstown.

— Och — mówi Christmas. — Rozumiem. Nie mieszkasz tu w okolicy.

— Nie, proszę pana. Mieszkam o dwa hrabstwa w tyle. Już trzeci dzień jestem w drodze. Jadę do Mottstown, żeby przywieźć cielaka, którego kupił tata. Czy chce pan pojechać do Mottstown?

— Tak — mówi Christmas. Siada na wozie obok młodego człowieka. Wóz rusza. “Mottstown — myśli.

— Jefferson jest stamtąd odległe tylko o dwadzieścia mil. Teraz mogę trochę rozluźnić — myśli. — Nie rozluźniałem przez siedem dni, więc myślę, że teraz mogę trochę”. Myśli, że może zaśnie siedząc tak w wozie, który go ukołysze. Ale nie zasypia. Nie jest śpiący ani głodny, ani nawet zmęczony. Znajduje się gdzieś pośrodku, zawieszony pomiędzy tymi wszystkimi stanami, kołysząc się w rytmie ruchu wozu, nie

352

myśląc, nie czując. Stracił rachubę czasu i odległości. Może minęła godzina, a może trzy. Młody człowiek mówi:

— To jest Mottstown.

Spoglądając, widzi dym nisko na niebie, poza niedostrzegalnym zakrętem. Wkracza na nią znowu, na tę ulicę, która ciągnęła się przez trzydzieści lat. Była to brukowana ulica, po której należało iść szybko. Zatoczyła krąg i nadal zamyka go. W ciągu ostatnich siedmiu dni nie szedł żadną brukowaną ulicą, a jednak odbył drogę dłuższą niż w ciągu całych tych trzydziestu lat. Mimo to nadal znajduje się wewnątrz

kręgu. “A przecież oszedłem dalej w ciągu tych siedmiu dni niż w ciągu tych całych trzydziestu lat — myśli. — Ani razu nie wydostałem się z kręgu, ani nie wyłamałem się z pierścienia tego, co już zrobiłem i czego nie mogę odrobić” — myśli spokojnie, siedząc na ławeczce wozu i mając oparte na błotniku przed sobą buty, czarne buty, śmierdzące Murzynem; mając wokół kostek ostateczne i nie dające się usunąć znamię głębokości fali, która wspina się po jego nogach, od stóp ku górze, tak jak nadchodzi śmierć.

15

Tego piątku, kiedy Christmas został schwytany w Mottstown, mieszkała w owym mieście para staruszków nazwiskiem Hines. Byli już zupełnie starzy. Żyli w małym domku, sąsiadującym z murzyńskim przedmieściem, a jak żyli i z czego, tego miasto nie wiedziało, gdyż zdawali się tkwić w obrzydliwej nędzy i zupełnej bezczynności. O ile miasto mogło stwierdzić,

353

Hines nie miał żadnej stałej pracy w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

Przybyli do Mottstown przed trzydziestu laty. Pewnego dnia miasto odkryło, że kobieta urządziła się w tym małym domku, w którym mieszkali odtąd, choć w ciągu pierwszych pięciu lat Hines przyjeżdżał do domu tylko raz w miesiącu na weekend. Wkrótce stało się wiadome, że ma jakąś posadę w Memphis. Jaka, dokładnie nie wiadano, gdyż już wówczas był to tajemniczy człowiek, mogący mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak pięćdziesiąt lat i posiadający w spojrzeniu coś zimnego, gwałtownie fanatycznego i trochę obłąkanego, co wykluczało wypytywanie go i ciekawość. Miasto patrzyło na nich oboje jak na ludzi trochę trąconych — samotnych, szarych, nieco mniejszych niż większość innych mężczyzn i kobiet, jak gdyby należeli do innej rasy albo gatunku — choć jeszcze w pięć czy sześć lat po tym, jak ten człowiek zaczął sprawiać wrażenie, że przybył do Mottstown na dobre, aby osiąść w małym domku, gdzie mieszkała jego żona, ludzie najmowali go do różnych niewielkich robót, które uznawali za odpowiednie dla jego sił. Ale po pewnym czasie zaprzestał także i tego. Przez pewien czas miasto zastanawiało się, z czego będą teraz żyli, potem zapomniało o tym, że się zastanawia, a później nie zastanawiało się, dowiedziawszy się, że Hines obchodzi pieszo całe hrabstwo, prowadząc zebrania religijne w zborach murzyńskich, a Murzynki, niosące coś, co jest najwyraźniej garnkami z pożywieniem, widywane są od czasu do czasu, gdy wchodzą tylnymi drzwiami do domu, zamieszkiwanego przez parę staruszków. Miasto zastanawiało się nad tym przez

pewien czas, a potem zapomniało o tym. Po

23 - Światłość...

354

pewnym czasie, ponieważ Hines był starym i nieszkodliwym człowiekiem, miasto zapomniało, a może odgrodziło się od tego, co potępiłoby w młodym człowieku. Powiedziało tylko: — Oni są zwariowani na punkcie Murzynów. Może to Jankesi? — i na tym poprzestało. A może odgrodziło się, nie od myśli, że człowiek ten poświęcił się dla ratowania dusz murzyńskich, ale publicznie zignorowało jałmużnę, otrzymywaną z murzyńskich rąk, gdyż jest to jedną ze szczęśliwszych umiejętności umysłu obawiać się tego, czego świadomość nie chce sobie przyswoić.

Tak więc, w ciągu dwudziestu pięciu lat para staruszków nie miała żadnego widomego źródła utrzymania, a miasto zakrywało swe zbiorowe oko nie dostrzegając Murzynek, zawiniętych garnków i patelni, przede wszystkim dlatego, że część tych garnków i patelni pochodziła według wszelkiego prawdopodobieństwa z białych kuchni, gdzie Murzynki te gotowały. Może to była część owej obawy umysłu. Tak czy inaczej, miasto nie wglądało w tę sprawę. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat para staruszków żyła w martwym zaułku swego samotnego odosobnienia, jak para reniferów zabłąkana z bieguna północnego albo dwa bezdomne i zapóźnione stworzenia z epoki przedlodowcowej.

Kobiety nie widywano prawie nigdy, ale mężczyzna — znany pod imieniem Wujek Doc — tkwił bez przerwy na rynku. Był to brudny, mały, stary człowieczek, o twarzy, która miała kiedyś wyraz odważny albo gwałtowny, marzycielski albo pełen najwyższego egoizmu. Nie nosił kołnierzyka. Ubrany był w brudne, niebieskie, cająkowe ubranie i zawsze trzymał ręcznie obdarty z kory ciężki kij hikorowy o uchwycie ciem-

355

nowyślizganym na kolor kasztana i gładkim jak szkło. Początkowo, gdy miał tę posesję w Memphis, mówił trochę o sobie, podczas swych comiesięcznych bytności, zachowując się z pewnością siebie człowieka nie tylko niezależnego, ale posiadającego także inne wartości, jak gdyby w pewnym, nie tak odległym okresie swego życia był bardziej niż niezależny. Nic w nim nie sprawiało wrażenia, że jest pobity. Była to raczej pewność siebie człowieka, który kontrolował ludzi mniejszych niż on sam, a potem własnowolnie zmienił tryb życia z powodów, których, jak przypuszczał, żaden inny człowiek nie mógłby kwestionować ani zrozumieć. Ale to, co mówił o sobie i o

swoim obecnym zajęciu, nie miało żadnego sensu, pomimo swej wyraźnej zbieżności. Więc już wówczas zaczęli przypuszczać, że jest trochę pomyłony. Nie dlatego, aby sprawiał wrażenie, że chce ukryć jedno, opowiadając drugie. Ale dlatego, że jego słowa i jego sposób opowiadania nie zgadzały się po prostu z tym, co, jak jego słuchacze przypuszczali, powinno być (i musi być) polem działania pojedynczego człowieka. Czasami dochodzili do wniosku, że może był dawniej pastorem. Ale potem zaczynał opowiadać o mieście, o Memphis w nieokreślony, pyszny sposób, jak gdyby przez całe życie pełnił tam obowiązki w jakimś ważnym, choć bezimiennym urzędzie. — Pewnie — mówili za jego plecami ludzie z Mottstown — był tam dróżnikiem i stawał z czerwoną chorągiewką pośrodku ulicy za każdym razem, kiedy przejeżdżał pociąg. — Albo: — Jest to wielki dziennikarz. Zbiera dzienniki spod ławek w parku. — Nie mówili mu tego w oczy, nawet najodważniejsi z nich nie robili tego, nawet ci, mający najbardziej nieuzasadnioną reputację jako dowcipnisie.

356

Później stracił tę posadę w Memphis albo może porzucił ją. Przyjechał do domu na pewien weekend, a gdy nadszedł poniedziałek, nie odjechał. Od tego czasu przebywał całymi dniami w mieście, w okolicach rynku, małomówny, brudny, mający w oczach ten wściekły i odpychający wyraz, który ludzie brali za oznakę szaleństwa: coś, co jak zapach, jak smród przywodziło na myśl przebrzmiałe już okrucieństwo i fanatyzm, podobny do gasnącego i prawie wypalonego węgielka, jak gdyby był on wiarą misjonarza o zaciśniętych pięściach, składającą się w jednej czwartej z gwałtownego przekonania, a w trzech czwartych z cielesnej odwagi. Nie zdziwili się więc, gdy się dowiedzieli, że obchodzi pieszko okolicę i odbywa kazania, w murzyńskich kościołach, przerywając nabożeństwa, wchodząc na kazalnice i swym zachrypłym, suchym głosem nauczając Murzynów pokory wobec wszystkich ludzi o skórze jaśniejszej niż ich skóra. Mówił przy tym niekiedy wiele sprośności, wykładając wyższość białej rasy i z fanatyczną, nieświadomą prawdy sprzecznością przedstawiając siebie, jako Okaz Numer Jeden tej wyższości. Murzyni przypuszczali, że jest obłąkany, tknięty przez Boga albo może jest kimś, kto sam raz dotknął Boga. Może brali go za samego Boga, ponieważ Bóg był dla nich także białym człowiekiem, a uczynki Jego także były nieco niezrozumiałe.

Znajdował się w mieście tego popołudnia, gdy nazwisko Christmas po raz pierwszy przebiegło wzdłuż całej ulicy, a chłopcy i dorośli mężczyźni — kupcy, urzędnicy, lenie i ciekawscy, pomiędzy którymi najwięcej było ubranych w dreluchy

wieśniaków — zaczęli biec. Hines także pobiegł. Ale nie mógł biec prędko i gdy pojawił się na miejscu, okazało się, że

357

jest za niski, aby zobaczyć coś ponad stłoczonymi plecami. Mimo to starał się, tak samo brutalnie i gwałtownie jak wszyscy, utorować sobie siłą drogę do wnętrza głośnego, kotłującego się zbiegowiska. W przypiływie dawnej gwałtowności, której ślady pozostały w rysach jego twarzy, zaczął wbijać palce w ich grzbiety, a w końcu zaczął walić w nie laską, póki mężczyźni nie odwrócili się, nie poznali go i nie przytrzymali. Wtedy zaczął walczyć, bijąc ich ciężką laską.

— Christmas? — krzyczał. — Czy powiedzieli Christmas?

— Christmas! — odkrzyknął mu jeden z trzymających go ludzi, mający twarz także napiętą i spoglądającą złowrogo. — Christmas! Ten biały Murzyn, który dokonał morderstwa w Jefferson w zeszłym tygodniu!

Hines wpatrzył się w tego człowieka, a jego bezzębne usta pokryła piana. Znowu zaczął wydzierać się gwałtownie, przeklinając: kruchy, drobny człowieczek o kruchych, drobnych kościach dziecka, starający się uderzeniami laski utorować sobie drogę do wnętrza grupy, gdzie z pokrwawioną twarzą stał schwytyany człowiek.

— No, Wuju Doc — powiedzieli, przytrzymując go. — No, Wuju Doc. Złapali go. Nie może uciec. No, no.

Ale wyrwał się i walczył, przeklinając suchym nikłym głosem i śliniąc się, a ludzie, którzy go trzymali, musieli walczyć także, jakby starali się utrzymać niewielki, wijący się wąż gumowy, mający wewnątrz ciśnienie, które przerastało wielokrotnie jego objętość. W całym tym zbiegowisku tylko schwytyany człowiek zachowywał się spokojnie. Trzymali przeklinającego Hinesa. Jego kruche kości i podobne do sznurków

358

mięśnie posiadały w tej chwili taką giętkość i płynność, jakby był wściekłą łasicą. Wyrwał się i skoczył ku przodowi, nurkując, a potem przedarł się i stanął twarzą w twarz ze schwytanym. Tu znieruchomiał na chwilę, wpatrując się w twarz schwytanego. Była to długa przerwa, ale nim zdążyli go znów pochwycić, uniósł laskę i uderzył tego człowieka, a potem uniósł ją znowu, starając się uderzyć powtórnie, lecz pochwycili go i przytrzymali, bezsilnego i rozwścieczonego, mającego wokół warg cienką, lekką smugę piany. Ale nie mogli zatkać mu ust.

— Zabijcie tego bękarta! — zawołał. — Zabijcie go! Zabijcie!

W pół godziny później dwaj ludzie przywieźli go do domu samochodem. Jeden z nich prowadził samochód, a drugi podtrzymywał Hinesa na tylnym siedzeniu. Twarz jego była teraz blada pod pokrywą brudu i zarostu. Oczy miał zamknięte. Zupełnie bezwładnego wynieśli go z samochodu i przetransportowali aż pod stopnie, przez furtkę i ścieżkę pełną porzrzucanych, rozsypujących się cegieł i kawałków betonu. Oczy miał teraz otwarte, ale zupełnie puste, cofnięte tak daleko w głąb czaszki, że widać było tylko brudne niebieskie białka. Ale nadal był zupełnie bezwładny i bezradny. Nim doszli do ganku, drzwi frontowe otworzyły się i wyszła z nich jego żona, zamykając je za sobą i przyglądając się im. Zrozumieli, że to jego żona, bo wyszła z drzwi domu, który zamieszkiwał. Choć jeden z tych dwu ludzi był stałym mieszkańcem miasta, nie widział jej nigdy przedtem.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic mu nie jest — powiedział pierwszy z mężczyzn. — Przed chwilą było w mieście trochę zamie-

359

szania, a w dodatku mamy taki gorący dzień. Okazało się, że to wszystko razem dało mu radę.

Stała przed drzwiami, jak gdyby zagradzała wejście do domu: posępna, tłusta, mała kobieta o okrągłej, brudnej twarzy, podobnej do nie wysmażonego pączka, okolonego ciasnym warkoczem włosów.

— Złapali tego Murzyna Christmasa, który zeszłego tygodnia zabił tę panią w Jefferson — powiedział mężczyzna. — Wuj Doc trochę się tym zdenerwował.

Pani Hines odwracała się już, jak gdyby chcąc otworzyć drzwi. Pierwszy z mężczyzn powiedział później do swego towarzysza, że zamarła w półobrocie, jak gdyby ktoś ją uderzył leciutko małym kamykiem.

— Kogo złapali? — zapytała.

— Christmasa — powiedział mężczyzna. — Tego murzyńskiego mordercę, Christmasa.

Stała na skraju ganku zwróciwszy ku nim swą szarą, nieruchomą twarz. — Jak gdyby już wiedziała, co jej powiem — powiedział później pierwszy mężczyzna do swego towarzysza, gdy powrócili do samochodu. — Jakby przez cały czas chciała, żebym jej powiedział, że to on, a równocześnie: nie on.

— Jak on wygląda? — zapytała.

— Nie bardzo mu się przyglądałem — powiedział mężczyzna. — Musieli go

trochę pokrwawić, kiedy go chwyтали. Młody facet. Nie wygląda na Murzyna bardziej niż ja.

Kobieta spojrzała ku nim w dół. Hines stał pomiędzy oboma mężczyznami, wspierając się już na swoich własnych nogach i mamrocząc, jakby budził się ze snu.

— Co pani chce, żebyśmy zrobili z Wujem Doc? — zapytał jeden z mężczyzn.

— W ogóle nie odpowiedziała. Jak gdyby nie roz-

360

poznała swego męża — powiedział później pierwszy z mężczyzn do swego towarzysza.

— Co z nim zrobią? — zapytała.

— Z kim? — powiedział mężczyzna. — Och, z tym Murzynem. O tym niech rozstrzyga Jefferson. On należy do nich.

Patrzyła w dół ku nim, szara, nieruchoma, daleka.

— Czy zaczekają na tych z Jefferson?

— Zaczekają? — powiedział mężczyzna. — Och... no, jeżeli ci z Jefferson nie będą się zanadto guzdrać. — Wzmocnił uścisk, którym obejmował starego człowieka.

— Gdzie pani chce, żebyśmy go położyli? — Wówczas kobieta drgnęła. Zeszła po stopniach i zbliżyła się. — Wniesiemy go do domu.

— Sama go mogę wnieść — powiedziała. Ona i Hines byli mniej więcej tego samego wzrostu, choć ona była cięższa z nich dwojga. Ujęła go pod ramiona. — Eufeuszu — powiedziała półgłosem — Eufeuszu. — Do obu mężczyzn powiedziała cicho: — Puście. Trzymam go.

Puścili go. Mógł teraz iść już trochę o własnych siłach. Przyglądali się jej, gdy podtrzymując go, pomogła mu wejść po stopniach i minąć drzwi. Nie obejrzała się.

— Nie podziękowała nam nawet — powiedział drugi mężczyzna. — Może powinniśmy go zabrać z powrotem i wsadzić do więzienia razem z tym Murzynem, bo wydaje się, że zna go bardzo dobrze.

— Eufeusz — powiedział pierwszy mężczyzna. — Eufeusz. Przez piętnaście lat zastanawiałem się, jak on może mieć na imię. Eufeusz.

— Chodźmy. Wróćmy tam. Możemy stracić coś z tego, co się tam dzieje.

361

Pierwszy mężczyzna patrzył na dom i na zamknięte drzwi, za którymi zniknęło dwoje ludzi.

— Ona też go zna.

— Kogo zna?

— Tego Murzyna. Christmasa.

— Chodźmy.

Powrócili do samochodu.

— Co myślisz o tym głupim facecie, przyjeżdżającym do miasta odległego o dwadzieścia mil od miejsca, gdzie to zrobił, i spacerującym tam i z powrotem po głównej ulicy do czasu, kiedy ktoś go rozpozna. Szkoda, że to nie ja go rozpoznałem. Wiedziałbym, co zrobić z tym tysiącem dolarów. Ale nigdy nie mam szczęścia.

Samochód ruszył. Pierwszy mężczyzna nadal patrzył na zamknięte drzwi, za którymi zniknęło dwoje ludzi.

W przedpokoju tego małego domku, małym, ciemnym i cuchnącym stęchlizną jak pieczara, stała para staruszków. Stan wyczerpanego starego człowieka ciągle jeszcze trochę różnił się od letargicznego snu. Gdy żona jego podprowadziła go do krzesła i posadziła w nim, wydawało się to wynikiem pieczołowitości i troski. Ale nie było żadnej potrzeby cofnięcia się do drzwi i zamknięcia ich na klucz. Lecz uczyniła tak. Powróciła i przez pewien czas stała nad nim. Początkowo mogło się zdawać, że po prostu patrzy na niego z troską i serdecznością. Później ktoś trzeci mógłby zauważyć, że całe jej ciało drży gwałtownie, a posadziła go na krześle albo dlatego, by nie grzmotnąć nim o podłogę, albo dlatego, by móc go więzić, póki nie będzie mógł mówić. Pochyliła się nad nim: przysadzista, tęga, szara, z twarzą podobną do twarzy topielca. Gdy odezwała się, głos jej drżał i musiała się z nim zmagać,

362

dygocząc, z rękami zaciśniętymi na poręczach krzesła, w którym na wpół leżał mężczyzna. Głos jej drżał, powstrzymywała się:

— Eufeuszu. Wysłuchaj mnie. Musisz mnie wysłuchać. Nie niepokoiłam cię dawniej. W ciągu trzydziestu lat nie niepokoiłam cię. Ale teraz zrobię to. Muszę wiedzieć, a ty musisz mi powiedzieć. Co zrobiłeś z dzieckiem Milly?

W ciągu długiego popołudnia tłoczyli się na rynku i przed więzieniem urzędnicy, lenie, wieśniacy w drelichach. Rozmowy odbywały się tu i ówdzie w mieście, zamierając i rodząc się na nowo, jak wiatr albo pożar, aż wreszcie, pośród rosnących cieni, wieśniacy zaczęli odjeżdżać wozami i w zakurzonych samochodach, a mieszkańcy miasta ruszyli w kierunku swych kolacji. Wówczas rozmowy rozgorzały na nowo, jako opowiadania dla żon i rodzin, odrodzone wokół zastawionych kolacją stołów w oświetlonych elektrycznością pokojach i w blasku naftowych lamp,

oświetlających odległe chaty górskie.

Następnym dniem była powolna, przyjemna, wiejska niedziela. A oni, ubrani w czyste koszule i barwne szelki, mając w ustach spokojne fajki, siedzieli na piętach pod ścianami wiejskich kościółków albo w cienistych sieniach domów, przed którymi stały spętane zaprzęgi gości i samochody zaparkowane wzdłuż ogrodzenia.

Kobiety przygotowywały obiad w kuchniach, a oni opowiadali znowu:

— Nie jest bardziej podobny do Murzyna niż ja. Ale to musiała zrobić ta jego murzyńska krew. Wygląda na to, że ustroił się po to, żeby się dać schwycić, jak człowiek stroi się w dzień ślubu. Wymykał im się przez

363

cały tydzień. Gdyby nie podpalił domu, mogliby się nie dowiedzieć o tym morderstwie jeszcze nawet przez cały miesiąc. I nie podejrzewaliby go nawet o to, gdyby nie pewien facet nazwiskiem Brown, który sprzedawał razem z tym Murzynem whisky w czasie, kiedy ten Murzyn udawał białego człowieka. Starał się zwalić na Browna to sprzedawanie whisky i to morderstwo, a wtedy Brown wyznał prawdę.

A potem, wczoraj rano, przybył do Mottstown w biały dzień i to w sobotę, kiedy miasto jest pełne ludzi. Poszedł do białego fryzjera, jak gdyby był białym człowiekiem, a ponieważ wyglądał jak biały człowiek, nikt go o nic nie podejrzewał. Nawet kiedy czyścibut zauważył, że ma na nogach używane, za wielkie chodaki, także nic nie podejrzewał. Ogolili go, ostrzygli, a on zapłacił im, wyszedł i poszedł prosto do sklepu, gdzie za część tych pieniędzy, ukradzionych tej kobiecie, którą zamordował, kupił nową koszulę, krawat i słomkowy kapelusz.

A potem, jak gdyby miasto należało do niego, zaczął w biały dzień spacerować po ulicach, przechadzając się tam i z powrotem może z tuzin razy, aż wreszcie Halliday zobaczył go, podbiegł, pochwycił i zapytał: “Czy twoje nazwisko nie jest Christmas?” — a Murzyn odpowiedział, że tak. Nie zaprzeczył nawet. Nie uczynił niczego. Nie zachował się ani jak Murzyn, ani jak biały człowiek. Otóż to. To właśnie rozwścieczyło ludzi, że będąc mordercą, wystroił się i spacerował po mieście, jak gdyby wyzywał ich, aby go dotknęli, gdy powinien był ukrywać się i drzeć w lasach, zabłocony, brudny i ogarnięty ucieczką. Jak gdyby nigdy nie zdawał sobie sprawy, że jest mordercą, nie mówiąc już o tym, że jest Murzynem.

364

Więc Halliday, który był podniecony myślą o tym tysiącu dolarów i uderzył Murzyna kilka razy w twarz, a Murzyn po raz pierwszy zachował się jak Murzyn, bo

przyjął to bez słowa: stał tylko, posepny i spokojny. Halliday wrzeszczał i trzymał go, gdy nadszedł stary człowiek, którego nazywają Wujem Doc Hinesem, i zaczął bić Murzyna swoją laską spacerową, aż wreszcie musiało pochwycić go dwóch ludzi i odwieźć samochodem do domu. Nikt nie wie, czy znał w rzeczywistości tego Murzyna, czy nie. Nadbiegł tylko, utykając i skrzecząc: “Czy jego nazwisko jest Christmas? Czy powiedzieliście: Christmas?” Przepchał się, spojrział raz na Murzyna, a potem zaczął go bić spacerową laską. Zachowywał się, jakby był zahipnotyzowany albo jakoś tak podobnie. Musieli go trzymać, a oczy przewróciły mu się tak, że tylko widać było białka, ślina zaczęła cieknąć mu z ust i walił tą laską we wszystko, co mu wpadło pod rękę, aż nagle jakby obwisnął. Wtedy dwóch facetów zabrało go samochodem do domu, a jego żona wyszła i wprowadziła go do środka, a tych dwóch facetów wróciło do miasta. Nie wiedzieli, co go tak podnieciło przy schwytaniu tego Murzyna, ale pomyśleli, że w każdym razie teraz jest już w porządku. Ale nie minęło pół godziny, kiedy znowu zjawił się w mieście. Teraz oszalał już zupełnie, stanął na rogu i zaczął wrzeszczeć do wszystkich przechodzących, nazywając ich tchórzami, bo nie chcą wyciągnąć tego Murzyna z więzienia i powiesić go od razu, Jefferson czy nie Jefferson. Twarz miał obląkaną, jak ktoś, kto się wyrwał z domu wariatów i wie, że nie ma wiele czasu, bo zaraz przyjdą i znowu go pochwyca. Ludzie mówią, że był kiedyś pastorem.

Powiedział, że ma prawo zabić tego Murzyna. Nie

ŚWIATIOŚĆ W SIERPNIU

365

powiedział dlaczego i był zanadto podniecony i zwariowany, żeby mówić rozsądnie, nawet kiedy ktoś podchodził i pytał go. Zebrał się wkoło niego duży tłum, a pośrodku on wrzeszczał, że ma największe prawo do tego, aby powiedzieć, czy ten Murzyn ma żyć, czy umierać. Ludzie zaczęli myśleć, że może najlepszym miejscem dla niego byłoby to więzienie, w którym można by go zamknąć razem z tym Murzynem. A wtedy nadeszła żona.

Są ludzie, którzy mieszkają w Mottstown trzydzieści lat i ani razu jej nie widzieli. Zawsze siedziała w tym malutkim domu, na skraju dzielnicy murzyńskiej, gdzie mieszkają, ubrana w fartuch i jeden z jego znoszonych kapeluszy. Ale teraz była wystrojona. Miała na sobie purpurową jedwabną suknię i kapelusz z piórem, niosła parasolkę, podeszła do zbiegowiska, pośrodku którego wrzeszczał i przeklinał, i powiedziała: “Eufe-uszu”. Przestał wrzeszczeć i spojrział na nią, wciąż jeszcze trzymając uniesioną laską w trzęsącej się ręce. Szczeka opadła mu i zaczął się ślinić.

Wzięła go za ramię. Wielu ludzi bało się podejść do niego ze względu na tę laskę, bo wyglądał, jakby w każdej chwili mógł uderzyć każdego, kto by się pod nią nawinął, nie wiedząc nawet o tym i nie mając tego zamiaru. Ale ona weszła wprost pod tę laskę, wzięła go za ramię i poprowadziła go do krzesła stojącego przed jednym ze sklepów, posadziła go na tym krześle i powiedziała: “Zaczekaj tu, aż wrócę. Nie ruszaj się. I przestań wrzeszczeć”.

I przestał. O, przestał. Siedział tam, gdzie go posadziła, a ona nawet nie obejrzała się. Wszyscy to zauważyli. Może dlatego, że ludzie nigdy nie widywali jej nigdzie indziej, tylko przy domu. A on jest gniew-

366

nym, małym staruszkim, któremu człowiek nie chciałby się sprzeciwiać, nie pomyślawszy przedtem dwa razy. Bądź co bądź, byli zdumieni. Nie przyszło im nawet nigdy do głowy, że mógłby przyjmować rozkazy od kogoś. Wyglądało to, jakby miała coś przeciwko niemu i musiał się z tym liczyć, bo kiedy mu kazała to zrobić, siedział w tym krześle, nie przeklinając i nie przemawiając, ale opuściwszy głowę. Trzęsły mu się ręce, oparte na tej spacerowej lasce, a trochę śliny ciągle spływało z ust na koszulę.

Poszła prosto do więzienia. Przed więzieniem zebrał się wielki tłum, bo z Jefferson przyszła wiadomość, że są już w drodze, żeby zabrać tego Murzyna. Rozepchnęła ich, weszła do więzienia i powiedziała do Metcalfa: — Chcę zobaczyć tego człowieka, którego schwytali.

— Dlaczego chce go pani zobaczyć? — zapytał Met-calf.

— Nie będę go niepokoiła — powiedziała. — Chcę tylko spojrzeć na niego.

Metcalf powiedział jej, że cała kupa ludzi chce zrobić to samo i że on wie, że ona nie chce mu pomóc w ucieczce, ale on jest tylko strażnikiem więziennym i nie może wpuścić nikogo bez pozwolenia szeryfa. A ona stała tam, w tej purpurowej sukni i z tym piórem, tak nieruchoma, że to pióro nawet nie drgnęło.

— Gdzie jest szeryf? — zapytała.

— Może jest w biurze — powiedział Metcalf. — Proszę go znaleźć i dostać od niego pozwolenie. Wtedy będzie pani mogła zobaczyć tego Murzyna.

Metcalf myślał, że to zakończy całą sprawę. Przyglądał się jej więc, kiedy zawróciła, wyszła, przecisnęła przez stojący przed więzieniem tłum i ruszyła ulicą w

367

stronę rynku. Pióro kiwało się teraz. Widział, jak kiwa się wzdłuż płotu. A potem zobaczył, że przecina ona rynek i wchodzi do sądu. Ludzie nie wiedzieli, co ona

ma zamiar zrobić, bo Metcalf nie miał czasu, żeby powiedzieć im, co się stało w więzieniu. Przyglądali się jej tylko, gdy wchodziła do sądu, a dopiero potem Russell opowiedział im, że siedział w biurze, spojrzął przypadkowo w górę i zobaczył ten kapelusz i to pióro tuż pod oknem po drugiej stronie bariery. Nie wiedział, jak długo stała ona tam, czekając, aż on uniesie głowę. Powiedział, że była akurat tego wzrostu, by móc widzieć ponad barierą, więc wydawało się, jakby wcale nie miała ciała. Wyglądało to tak, jakby ktoś podkraść się i przymocował tam balonik ze śmiesznym kapeluszem na wierzchu, jak to robią te dzieci Katzenjammer w rysunkowych, humorystycznych pismach.

— Chciałabym się widzieć z szeryfem — powiada ona.

— Nie ma go tu — powiada Russell. — Jestem jego zastępcą. Czym mogę pani służyć?

Powiedział, że przez chwilę stała, nie odpowiadając. Potem powiedziała:

— Gdzie go mogę znaleźć?

— Może jest w domu — powiada Russell. — Był bardzo zajęty w tym tygodniu. Także nocami, bo pomagał policji z Jefferson. Może poszedł do domu, żeby sobie uciąć drzemkę. Ale może ja mogę...

Ale opowiedział, że już jej nie było. Powiedział, że wyjrzał przez okno i zobaczył ją, przecinającą rynek i znikającą za rogiem ulicy, która szła w kierunku domu szeryfa. Powiedział, że wciąż jeszcze starał się ją umiejscowić, przypomnieć sobie, kim ona jest.

368

Nie znalazła szeryfa. Ale i tak było wtedy już za późno. Bo szeryf był już w więzieniu, tylko że Metcalf nie powiedział jej tego, a poza tym nie zdążyła nawet odejść daleko od więzienia, kiedy w dwóch samochodach zajechali policjanci z Jefferson i weszli do więzienia. Zajechali szybko i szybko weszli do wnętrza, ale wiadomość o tym, że są, już się rozeszła i musiało być chyba ze dwustu mężczyzn, chłopców, a także kobiet przed frontem więzienia, kiedy obaj szeryfowie wyszli na ganek i nasz szeryf wygłosił przemówienie, prosząc ludzi, aby szanowali prawo, i mówiąc, że on i szeryf z Jefferson obaj przyrzekają im, że Murzyn zostanie szybko i sprawiedliwie osądzony. A wtedy ktoś z tłumu powiedział: — Sprawiedliwe piekło! A czy on sprawiedliwie osądził tę białą kobietę? — Zaczęli przeklinać, tłocząc się i wrzeszcząc, nie do szeryfów, ale jeden do drugiego, o tej umarłej kobiecie.

Ale szeryf dalej mówił do nich spokojnie, że zaprzysiągł im to w dniu, gdy go

wybrali, i stara się tej przysięgi dotrzymać. Nie mam więcej przyjaźni dla murzyńskich morderców niż każdy z obecnych tu białych ludzi — powiada. — Ale złożyłem przysięgę i, na Boga, pragnę jej dotrzymać. Nie chcę żadnych zaburzeń, ale nie będę się ich bał. Lepiej sobie to przemyślcie. — A Halliday też tam był razem z szeryfami. On najbardziej wzywał do zachowania rozsądku i nierobienia zamieszania. — Pewnie! — zawołał ktoś. — Rozumiemy, że nie chcesz go widzieć zlinczowanym. Ale dla nas on nie jest wart tysiąca dolarów. Nie wart dla nas nawet tysiąca wypalonych zapalek. — A wtedy szeryf prędko powiedział: — I co z tego, że Halliday nie chce, aby go zabito? Czy wszyscy nie chcemy tego samego? Tu macie obywatela naszego miasta, który

369

otrzyma nagrodę, pieniądze zostaną wydane tu, w Mottstown. Przypuście tylko, że otrzymałby je jakiś człowiek z Jefferson. Czy to nie słuszne, ludzie? Czy to nie mądre? — Jego głos brzmiał trochę jak głos lalki. Nawet głos dorosłego człowieka brzmi tak, gdy mówi on do ludzi, którzy nie chcą go słuchać, ale są już na wpół zdecydowani przeciwko niemu.

Ale to zdawało się ich przekonywać, nawet jeżeli ludzie wiedzieli, że jeżeli te pieniądze mają być wydane przez Hallidaya, to ani Mottstown, ani żadne inne miejsce na ziemi nie zobaczy nawet tyle z tego tysiąca dolarów, żeby wystarczyło na utuczenie cielaka. Ale to przeważało. Ludzie są dziwni. Mogą upierać się przy jednym sposobie myślenia czy postępowania, póki nie uzyskają innej przyczyny, aby postępować tak samo jak przedtem. A kiedy uzyskają tę przyczynę, wtedy są, mimo to, skłonni do zmiany. Więc nie zrezygnowali zupełnie, ale było to tak, jak gdyby poprzednio tłum wylewał się ze środka na zewnątrz, a teraz wlewał z zewnątrz do środka. A szeryfowie wiedzieli o tym i wiedzieli także, że nie może tak długo potrwać. Weszli szybko do więzienia i natychmiast znowu wyszli, prawie nie zdążywszy zawrócić, mając między sobą tego Murzyna, a za sobą pięciu albo sześciu zastępców. Musieli go przez cały czas trzymać w gotowości tuż za drzwiami więzienia, bo wynurzyli się prawie natychmiast; prowadząc między sobą tego Murzyna, który miał posiniaczoną twarz, a nadgarstki skute w kajdanki i przykute do szeryfa z Jefferson. A wtedy tłum powiedział coś w rodzaju: Achhhhhhhhh!

Utworzyli coś w rodzaju szpaleru przez ulicę, do miejsca, gdzie bliższy samochód z Jefferson stał z pracującym motorem i człowiekiem za kierownicą. Obaj

szeryfowie ruszyli naprzód, nie tracąc czasu, gdy w tej samej chwili podeszła ona, ta kobieta, pani Hines. Przepychała się przez tłum. Była tak niska, że wszyscy mogli widzieć to pióro, podskakujące powoli jak coś, co nie mogłoby się poruszać wiele prędzej, nawet gdyby nic nie stało na drodze, i czego nic by nie mogło zatrzymać, jak nie można zatrzymać traktora. Przepchnęła się przez tłum, znalazła na tej ścieżce utworzonej przez ludzi i stanęła tuż przed oboma szeryfami, mającymi pomiędzy sobą tego Murzyna, tak że musieli zatrzymać się, żeby na nią nie wpaść. Jej twarz wyglądała jak wielka buła kitu, a kapelusz przekrzywił się i pióro zwisało teraz ku przodowi, więc musiała odsunąć je, żeby spojrzeć. Zatrzymała ich tylko na chwilę i stała tam, patrząc na Murzyna. Nie powiedziała ani jednego słowa, jak gdyby to było wszystko, czego jej było potrzeba i dla czego sprawiała ludziom kłopot — jak gdyby to była przyczyna, dla której wystroila się i przyszła do miasta: spojrzeć tylko raz w twarz temu Murzynowi. Bo odwróciła się i znowu zagrzebała w tłumie, a kiedy samochody odjechały, unosząc policjantów z Jefferson i tego Murzyna, ludzie zaczęli się rozglądać, ale nie było jej już. Wrócili wtedy na rynek. Wuj Doc zniknął z tego krzesła, na którym go posadziła i kazała czekać. Ale nie wszyscy ludzie poszli prosto na rynek. Wielu z nich pozostało, patrząc na więzienie, jak gdyby tylko cień tego Murzyna wyszedł stamtąd.

Myśleli, że zabrała Wuję Doc do domu. Było to przed wejściem do składu Dollara. Dollar opowiedział im o tym, jak zobaczył ją, gdy powracała ulicą wyprzedzając tłum. Powiedział, że Wuję Doc nie poruszył się, że nadal jak zahipnotyzowany siedział nieruchomo w krze-

śle, na którym go pozostawiła, póki nie podeszła i nie dotknęła jego ramienia. Wtedy wstał i odeszli razem, a Dollar patrzył za nimi. I Dollar powiedział, że sądząc z wyrazu twarzy Wuję Doc, dom był jedynym miejscem, w którym powinien się w tej chwili znajdować.

Tylko że nie zaprowadziła go w ogóle do domu. Po pewnym czasie ludzie zobaczyli, że nie musi go ona nigdzie prowadzić. Jak gdyby oboje chcieli zrobić to samo. To samo, ale dla zupełnie różnych celów, a każde wiedziało, że cel drugiego jest zupełnie różny i jeśli któreś osiągnie swój cel, to będzie on wymierzony przeciwko drugiemu. Jak gdyby oboje wiedzieli o tym nie mówiąc o tym i śledzili się, a równocześnie wiedzieli, że z obojga ona ma więcej rozsądku, aby rozpocząć.

Poszli prosto do garażu, gdzie Salmon trzyma swój samochód do wynajęcia. Ona wzięła na siebie całą rozmowę. Powiedziała, że chcą się dostać do Jefferson. Być może nawet nie śnili, że Salmon policzy im więcej niż dwadzieścia pięć centów od osoby, bo gdy powiedział, że trzy dolary, zapytała go jeszcze raz, jakby nie mogła uwierzyć swoim uszom. — Trzy dolary — powiada Salmon. — Nie mogę tego zrobić taniej. — A oni stoją tam. Wujko Doc nie bierze żadnego udziału w rozmowie, jak gdyby czekał, jakby go to nie obchodziło, jakby wiedział, że nie musi się przejmować, bo ona doprowadzi do tego, że się tam znajdą.

— Nie mogę tyle zapłacić — powiada ona.

— Nikt pani tego nie zrobi taniej — powiada Salmon. — Chyba że koleją. Oni biorą pięćdziesiąt dwa centy od osoby.

Ale ona już odchodziła, a Wujko Doc szedł za nią jak pies.

372

WILLIAM FAULKNER

To działo się około czwartej. Aż do szóstej ludzie widzieli ich, siedzących na ławce w podwórzu sądowym. Nie rozmawiali, jak gdyby jedno nie wiedziało nawet o obecności drugiego. Siedzieli tylko obok siebie, a ona nadal była wystrojona w swoją niedzielną suknię. Może nawet znajdowała przyjemność w tym stroju i spędzeniu całego popołudnia w mieście. Może było to dla niej tym samym, czym dla innych ludzi jest spędzenie całe go dnia w Memphis.

Siedzieli tam, póki nie wybiła szósta. Potem wstali. Ludzie, którzy na to patrzyli, powiedzieli, że nie odezwała się do niego nawet jednym słowem. Po prostu wstali, jak dwa ptaki podrywają się z gałęzi, a człowiek nie umie powiedzieć, który z nich dał sygnał do odlo-. tu. Gdy ruszyli, Wujko Doc podreptał za nią.

Przebiegli rynek i poszli ulicą w stronę dworca kolejowego. A ludzie wiedzieli, że nie będzie żadnego pociągu przez najbliższe trzy godziny, i zastanawiali się, czy tamci chcą naprawdę pojechać gdzieś pociągiem, zanim odkryli, że chcą oni zrobić coś, co zadziwi ludzi jeszcze bardziej nawet niż tamto. Weszli do tej małej restauracyjki obok stacji i zjedli tam kolację: oni, których od czasu ich przyjazdu do Mottstown nigdy jeszcze nie widziano nawet razem na ulicy, nie mówiąc już o restauracji. Ale tam właśnie go zaprowadziła. Może bali się, że się spóźnią na pociąg, jeżeli wrócą, żeby zjeść kolację na przedmieściu, ponieważ znaleźli się tam przed wpół do szóstej i usiedli na dwóch malutkich stołkach przy ladzie, i jedli to, co zamówiła, nie zapytawszy przedtem nawet Wujka Doc o zdanie. Zapytała kelnera o pociąg do

Jefferson. Odpowiedział jej, że odchodzi o drugiej nad ranem. — Wiele niepokoju będzie dziś wieczór w Jefferson — powiada. —

373

Możecie zatrzymać jakiś samochód na przedmieściu i znaleźć się w Jefferson za czterdzieści pięć minut. Nie musicie czekać na ten pociąg o drugiej. — Pomyślał, że może to jacyś obcy, i wskazał jej stronę, w której leżało miasto.

Ale nie odpowiedziała wcale. Skończyli jeść, zapłaciła mu: dziesięcio- i pięciocentówką, wyjętymi z węzła, który wyciągnęła z parasolki, a Wuj Doc siedział i czekał, mając na twarzy ten nieprzytomny wyraz, jakby poruszał się we śnie. Potem odeszli. Kelner myślał, że posłuchają jego rady, pójdą do miasta i zatrzymają samochód, ale wyjrawszy przez okno zobaczył, że idą przez boczne tory w stronę stacji. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale nie krzyknął. — Zdaje się, że źle ją zrozumiałem. — Powiada, że tak pomyślał. — Może chcą wsiąść do tego pociągu o dziewiątej, który idzie na południe?

Siedzieli już na ławce w poczekalni, gdy komiwojażerowie, włóczędzy i tym podobni zaczęli wchodzić i kupować bilety na pociąg w kierunku południowym. Zawiadowca opowiedział, że zauważył jakichś ludzi w poczekalni, gdy przyszedł po kolacji o wpół do ósmej, ale że nie zwrócił na nich uwagi, póki nie podeszła do okienka biletowego i nie zapytała, o której godzinie odjeżdża pociąg do Jefferson. Opowiedział, że był wtedy zajęty, więc zerknął tylko na nią i powiada: — Jutro — nie zastanawiając się, co robi. Opowiedział, że po pewnym czasie coś tknęło go i kazało mu unieść głowę. I mówi, że zobaczył w okienku tę okrągłą, przyglądającą mu się twarz i to nieruchome pióro. Ona powiada:

— Chcę dwa bilety na ten pociąg.

— Pociąg nie odejdzie przed drugą rano — mówi

374

zawiadowca. On także jej nie rozpoznał. — Jeżeli chce się pani dostać do Jefferson wcześniej, to lepiej będzie, jeżeli pójdzie pani do miasta i wynajmie samochód. Czy wie pani, w którym kierunku jest miasto? — Ale opowiedział, że stała tam, licząc piątki i dziesiątki z tej szmatki. Podeszedł więc i dał jej te dwa bilety, a potem spojrzawszy obok niej przez okienko, zobaczył Wuję Doc i zrozumiał, kim ona jest. I opowiedział, jak siedzieli tam, a ludzie przyszli na pociąg w kierunku południowym, i jak pociąg przyszedł i odszedł, a oni nadal tam siedzieli. Opowiedział, że Wuj Doc nadal wyglądał, jakby spał albo był pod narkozą. A potem pociąg odjechał, ale

niektórzy ludzie nie odeszli do miasta. Pozostali tam, zaglądając przez okno, a od czasu do czasu wchodzili i przyglądali się Wujowi Doc i jego żonie, siedzącym na ławce, póki zawiadowca nie wszedł i nie zgasił światła w poczekalni.

Część ludzi pozostała nawet potem. Zaglądali przez okno i widzieli ich, siedzących tam w ciemności. Może udawało im się też dostrzec to pióro i siwiznę na głowie Wuja Doc. A później Wuj Doc zaczął się budzić. Nie wyglądał na zaskoczonego, odkrywszy, gdzie się znajduje, ani na człowieka, który znajduje się w miejscu, w którym nie chce się znajdować. Po prostu zaczął nabierać sił, jakby długo leżał na kotwicy, a teraz nadszedł czas, aby rozniecić w kotłach. Słyszeli ją, gdy mówiła: — Szszszszszsz. Szszszszszsz — do niego, a potem rozlegał się jego głos. Gdy zawiadowca zapalił światło i powiedział im, że nadchodzi pociąg o godzinie drugiej, nadal siedzieli tam: ona, mówiąc: — Szszszszszszsz. Szszszszszszsz — jak do dziecka, a Wuj Doc, złorzecząc: — Kurewstwo i ohyda! Ohyda i kurewstwo!

375

16

Nie otrzymując odpowiedzi na swoje pukanie By-ron zstępuje z ganku, obchodzi dom i wchodzi do małego, zagrodzonego tylnego ogródka. Natychmiast dostrzega stojące pod drzewem morwowym krzesło. Jest to płócienne ogrodowe krzesło, pocerowane, wyblakłe i wypchane tak długo ciałem Hightowera, że nawet gdy jest puste, zdaje się zamykać w swym nierealnym uścisku otyłą bezkształtność właściciela. Zbliżając się Byron myśli o tym, że to nieme krzesło, przywodzące myśl o przestarzałości, ociężałości i wynędzniałym odgrodzeniu się od świata, jest w jakiś sposób symbolem istnienia, a nawet samym istnieniem tego człowieka. “Którego znowu zaniepokoję” — myśli z tym lekkim uniesieniem wargi, myśląc: Znowu? Ten niepokój, jaki na niego poprzednio sprowadziłem, jest niczym w porównaniu z tym, jaki sprowadzę teraz. Nawet on to zrozumie. I znowu w niedzielę. Ale myślę, że niedziela też pewnie pragnie zemścić się na nim, bo jest przecież wymyślona przez ludzi.

Podchodzi z tyłu do krzesła i spogląda w dół. High-tower śpi. Na jego wzdętym brzuchu, w miejscu gdzie biała koszula — jest to czysta i świeża koszula tym razem — wypływa jak balon z czarnych, zniszczonych spodni, leży otwarta książka grzbietem ku górze. Na książce złożone są dłonie Hightowera, spokojne, dobrotliwe, nieomal kapłańskie. Koszula jest staromodna i pomięta na piersi, choć trochę ją odprasowano. Nie posiada kołnierzyka. Usta Hightowera są otwarte, obwisłe i opadają luźno, a ciało

odstaje od okrągłego otworu — w którym widać dziurawe dolne zęby — i od pięknego wciąż jeszcze nosa, który nie ulegając

376

zmianie, sam jeden oparł się klęsce wieku i zmarnowanych lat. Gdy patrzy w dół na tę pozbawioną świadomości twarz, wydaje się Byronowi, że jak gdyby cała postać tego człowieka uciekała od tego nosa, który tkwiąc niezwykłe ponad pobożowiskiem klęski, zachowuje w sobie jeszcze dumę i odwagę, jak zapomniany sztandar nad zburzoną fortecą. Odbicie nieba i światła, padającego przez morwowe liście, migocze i lśni w szkle okularów, więc Byron nie umie dokładnie powiedzieć, kiedy Hightower otworzył oczy. Widzi tylko zamykające się usta i ruch złożonych rąk, gdy Hightower siada.

— Tak — mówi. — Tak? Kto to... Och, Byron.

Byron spogląda w dół, ku niemu. Twarz jego jest bardzo poważna. Ale nie jest współczująca. Nie ma na niej żadnego wyrazu. Jest tylko trzeźwa i bardzo zdecydowana. Mówi, nie zmieniając wyrazu:

— Schwycili go wczoraj. Nie sędzę, aby pan o tym słyszał, tak jak nie słyszał pan o zabójstwie.

— Schwycili go?

— Christmasa. W Mottstown. Mogłem się dowiedzieć tylko tyle, że wszedł do miasta i tak długo stał na ulicy, aż ktoś go rozpoznał.

— Schwycili go. — Hightower siedzi teraz wyprostowany w krześle... — Przyszedłeś mi powiedzieć, że on jest... że oni...

— Nie. Nikt mu jeszcze nic nie zrobił. Nie umarł jeszcze. Jest w więzieniu. Dobrze się czuje.

— Dobrze. Mówisz, że dobrze się czuje. Byron mówi, że on się dobrze czuje. Byron Bunch pomógł kochankowi tej kobiety sprzedać przyjaciela za tysiąc dolarów i Byron Bunch mówi, że on się dobrze czuje. Ukrył kobietę przed ojcem jej dziecka, podczas gdy...

377

czy mam powiedzieć drugi kochanek, Byronie? Czy mam to powiedzieć? Czy mam się cofnąć przed powiedzeniem prawdy, ponieważ Byron Bunch ją ukrywa?

— Jeżeli plotki ludzkie są prawdą, to myślę, że to jest prawda. A szczególnie, gdy odkryją, że mam ich obu zamkniętych w więzieniu.

— Obu?

— Browna także. Chociaż myślę, że większość ludzi zdecydowała już, że Brown nie był bardziej zdolny do zabójstwa albo pomocy przy zabójstwie, niż był zdolny do schwytania człowieka, który je popełnił, albo pomocy przy tym schwytaniu. Ale wszyscy mogą powiedzieć, że Byron Bunch ma go teraz bezpiecznie zamkniętego pod kluczem.

— Ach, tak. — Długa i wychudła twarz Hightowera drży nieco. — Byron Bunch, strażnik publicznego dobra i moralności. Zdobywca, spadkobierca nagród, gdyż obecnie przelana ona zostanie na morganatycz-ną żonę... Czy mam i to powiedzieć? Czy i tu mam odczytać Byrona? — Zaczyna płakać. Siedzi, wielki i rozplywający się w rozepchanym krześle. — Nie myślę tego. Wiesz, że nie. Ale to nieuczciwe niepokoić mnie, dręczyć mnie, gdy zrobiłem... gdy nauczyłem się pozostawać... zostałem przez nich nauczony, ale pozostawać... Aby to spotykało mnie, gdy jestem stary i pogodzony z tym, co oni o mnie sądzą...

Poprzednio Byron widział go raz, siedzącego, gdy pot spływał po jego twarzy jak łzy. Teraz widzi łzy, spływające po obwisłych policzkach jak pot.

— Wiem. To nędzna rzecz. Nędzna rzecz dręczyć pana. Nie wiedziałem. Nie wiedziałem, kiedy po raz pierwszy wplątałem się w to. Gdybym wiedział, to-

378

bym... Ale pan jest Człowiekiem Bożym. Pan nie może się temu wymknąć.

— Nie jestem Człowiekiem Bożym. I nie z mojej woli. Pamiętaj o tym. Nie z mego wyboru nie jestem w dalszym ciągu Człowiekiem Bożym. Była to wola, więcej niż żądanie, takich jak ty, jak ona, jak ten w więzieniu i jak ci, którzy go tam wtrącili, aby stało się zadość ich woli, tak jak to zrobili ze mną: pośród obelg i przemocy, wobec tych, którzy tak jak oni zostali stworzeni przez tego samego Boga, a zostali przez nich zagnani i zmuszeni czynić to, za co mszczą się teraz na nich i rozszarpują ich.

— Wiem o tym. Ponieważ człowiekowi nie dano tak wielu możliwości wyboru. Pan dokonał swego wyboru wcześniej. Hightower spogląda na niego. — Dano panu możliwość wyboru, nim się urodziłem, i wybrał pan, zanim ja, ona albo on urodziliśmy się. To był pana wybór. I myślę, że Ci, którzy są dobrzy, muszą tak samo cierpieć, jak ci, którzy są źli. Tak samo jak ona, jak ja i tak samo jak tamci, jak tamta kobieta.

— Tamta kobieta? Jaka kobieta? Czy życie moje musi być, po pięćdziesięciu latach, zamaczone przez dwie zagubione kobiety, Byronie?

— Ta druga nie jest już więcej zagubiona. Była zagubiona przez trzydzieści lat.

Ale została teraz odnaleziona. To jego babka.

— Czyja babka?

— Christmasa — mówi Byron.

Oczekując, przyglądając się z okna gabinetu ulicy i furcie, Hightower słyszy odległą muzykę w chwili, gdy rozpoczyna się ona. Nie wie, że oczekiwał jej, że w

379

każdy środowy i niedzielny wieczór, siedząc w nie oświetlonym oknie, czeka na jej rozpoczęcie. Wie prawie co do sekundy, kiedy powinna się rozpocząć i nie musi przy tym odwoływać się do zegarka ani do zegara. Nie używa żadnego z nich. Żaden z nich nie był mu potrzebny w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Żyje odłączony od mechanicznego czasu. A jednak, dla tej właśnie przyczyny, nigdy go nie utracił. Jak gdyby bez pomocy woli podświadomość wytwarzała w obecnie istniejącym świecie krystalizację kilku ustalonych chwil, które rządziły jego dawnym życiem. Nie odwołując się do zegara, umie natychmiast uświadamiać sobie, gdzie dokładnie, w swoim minionym życiu, znajdowałby się i co by robił pomiędzy dwiema ustalonymi chwilami, które wyznaczały początek i koniec porannej mszy niedzielnej i wieczornej mszy niedzielnej, ^ także mszy środkowej. Wie dokładnie, kiedy wszedłby do kościoła i kiedy doprowadzałyby modlitwę albo kazanie do z góry obliczonego zakończenia. Więc nim zmierzch zniknie zupełnie, mówi do siebie: Teraz schodzą się, powoli nadciągają ulicami i pozdrawiając się nawzajem, wchodzą: grupy, pary, samotni ludzie. Weumątrz kościoła odbywa się też trochę niewłaściwych rozmów, prowadzonych przyciszonymi głosami; panie nieustannie szumią wachlarzami, skinieniami głów pozdrawiając przechodzące pomiędzy ławkami przyjaciółki. Panna Caruthers (była ona jego organistką i zmarła przed prawie dwudziestoma laty) jest pomiędzy nimi. Wkrótce wstanie i wejdzie na chór. Zebranie modlitewne w niedzielny wieczór. Wydawało mu się zawsze, że o tej godzinie człowiek bardziej zbliża się ku Bogu niż podczas którejkolwiek godziny wszystkich siedmiu dni tygodnia. Jedynie ona

380

zawiera w sobie ów spokój, który jest nadzieją i ostatecznym celem Kościoła. Serce i umysł oczyszczone są wówczas, a wszystkie klęski minionego tygodnia podsumował i rozgrzeszył pełen surowości, urzędowy niemal gniew porannego kazania. Następny tydzień nie narodził się jeszcze, wraz ze wszystkimi klęskami, które może ze sobą przynieść; serce jest na krótko uciszone chłodnym, miękkim powiewem wiary i nadziei. Siedząc w nie oświetlonym oknie, zdaje się ich widzieć. Teraz zbierają

się. Wchodzą przez drzwi. Już prawie wszyscy są wewnątrz. A potem mówi: — Teraz, teraz — pochylając się trochę ku przodowi. I wówczas, jak gdyby dotąd czekała na ten jego znak, rozpoczyna się muzyka. Melodia organów nadpływa, pełna i donośna wśród letniej nocy, chóralna, dźwięczna, wypełniona pokorą i wzniosłością, jak gdyby wyzwolone dźwięki brały na siebie postać ukrzyżowania, ekstatyczne, uroczyste i głębokie w swym ogromie. Ale nawet wówczas jest w tej muzyce coś surowego i nieubłaganego, statecznego, pozbawionego namiętności i poświęcenia, zebrzącego, proszącego, nie o miłość, nie o życie, ale wzbraniającego go innym, domagającego się (jak cała protestancka muzyka) śmierci, jak gdyby śmierć była dobrodziejstwem. Brzmi to, jak gdyby ci, którzy poddali się jej i wzniesli swe głosy, aby sławić, stawszy się tym, czym są, dzięki temu, co owa muzyka sławi i co symbolizuje, mścili się teraz przy pomocy tego właśnie sławienia na tym, co ich takimi uczyniło. Słuchając, zdaje się słyszeć w tej muzyce apoteozę swego własnego życia, swego własnego kraju, swego własnego ludu: tego ludu, z którego wyrósł i pomiędzy którym żyje, ludu, który nie może przyjąć żadnej radości ani nieszczęścia, aby nie kłócić

381

się o nie. Nie umieją oni znieść radości ani uniesienia: znajdują ucieczkę od nich w gwałtowności, pijaństwie, bijatykach i modlitwie. W nieszczęściu także odzywa się gwałtowność, ta sama i najwyraźniej nieunikniona. Więc dlaczegoż by ich wiara nie miała doprowadzić ich do krzyżowania samych siebie i innych?— myśli. Wydaje mu się, że słyszy w tej muzyce żądanie i chęć poświęcenia bóstwu tego, co jutro będą musieli uczynić. Wydaje mu się, że ostatni tydzień przeleciał jak fala powodzi, tydzień nadchodzący podobny jest do otchłani, a oni, zawieszeni na krawędzi wodospadu, wydają z siebie jeden połączony, groźny okrzyk, nie będący usprawiedliwieniem się, ale poprzedzającym upadek salutem pożegnalnym, kierowanym nie ku jakemukolwiek bogu, ale ku znajdującemu się w zasięgu ich głosów i głosów z dwu pozostałych kościołów, zamkniętemu w pustej celi człowiekowi, którego także ukrzyżują, wzniosłszy mu krzyż. — I uczynią to z radością — mówi siedząc w nie oświetlonym oknie. Czuje, że coś ostrzegawczo zaciska mu mięśnie szczęk, coś straszliwszego nawet niż śmiech. — Ponieważ litość nad nim byłaby równoznaczna ze zwątpieniem, nadzieją i przyznaniem się do tego, że sami potrzebują litości. Uczynią to z radością, z radością. Dlatego to jest takie okropne, okropne, okropne. — Później, wychyliwszy się, dostrzega ludzi, którzy podchodzą, skręcają w furtkę, wyraźni na tle latarni ulicznej, świecącej pośród cieni. Rozpoznał już Byrona i przygląda się dwóm

innym, którzy za nim idą. Wie, że są to mężczyzna i kobieta, choć gdyby nie spódnica, którą jedno z nich ma na sobie, można by wziąć jedno za drugie: są równego wzrostu i posiadają objętość dwukrotnie przekraczającą objętość normalnego człowieka,

382

jak dwa niedźwiedzie. Zanim zdążył się przygotować do powstrzymania śmiechu, zaczyna się śmiać. “Gdyby tylko Byron miał chustkę na głowie i kolczyki” — myśli, śmiejąc się i śmiejąc bezgłośnie, i próbując przestać się śmiać, aby móc podejść do drzwi, gdy Byron zapuka.

Byron wprowadza ich do gabinetu — przysadzistą kobietę w purpurowej sukni, w kapeluszu z piórem, niosącą parasolkę i mającą zupełnie nieruchomą twarz — i nieprawdopodobnie brudnego, nieprawdopodobnie starego mężczyznę, mającego pocętkowaną tytoniem kozią bródkę i szalone oczy. Wchodzą bez nieufności, ale mają w sobie coś z marionetek, jakby poruszani byli niezdarnie za pomocą sprężyn. Kobieta zdaje się być bardziej pewna siebie, a co najmniej bardziej przytomna z dwojga. Jak gdyby, pomimo całego swego zakrzepłego i mechanicznie poruszanego bezwładu, przybyła dla jakiejś ściśle określonej przyczyny, a co najmniej z jakąś nieokreśloną nadzieją. Ale Hightower dostrzega od razu, że mężczyzna znajduje się w stanie na wpół letargicznego snu, jak gdyby niepomny i zupełnie obojętny wobec otoczenia, a jednak skryty i wybuchowy, posiadający paradoksalnie ze sobą pomieszane: czujność i obojętność dla świata.

— Ta tu — mówi Byron — to pani Hines.

Stoją nieruchomo: kobieta jak gdyby dotarła do celu dalekiej podróży, a teraz stała, czekając pośród nieznanego otoczenia i obcych twarzy, spokojna jak lodowiec, jak coś uczynionego z kamienia i pomalowanego. Obok niej stoi spokojny, a jednak czujny, wściekły, brudny człowieczek. Żadne z nich nie spojrzęło

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

383

nawet na Hightowera z zaciekawieniem ani bez zaciekawienia. Wskazuje im krzesła. Byron podprowadza kobietę, która siada ostrożnie, ściskając parasolkę. Mężczyzna siada natychmiast. Hightower zajmuje miejsce w swoim krześle za biurkiem.

— O czym ona chce ze mną mówić? — pyta.

Kobieta nie porusza się. Najwidoczniej nie usłyszała. Jak ktoś, kto podtrzymywany siłą nadziei odbył gorączkową podróż, cichnie teraz zupełnie i czeka.

— To on —: mówi Byron. — To wielebny Hightower. Niech mu pani opowie. Niech mu pani powie to, co pani chce, żeby wiedział.

Ona spogląda na mówiącego Byrona. Twarz jej jest zupełnie pusta. Jeżeli w głębi jej twarzy kryje się niemożność mówienia, to możliwość mówienia kryje się za nieruchomością twarzy. Jeśli jest tam nadzieja lub tęsknota, to twarz ta nie wyraża ani nadziei, ani tęsknoty.

— Niech mu pani powie — mówi Byron. — Niech mu pani powie, dlaczego pani tu przyjechała. Dlaczego pani przyjechała do Jefferson.

— Dlatego, że... — mówi ona. Mówi szybko, niskim głosem, prawie zachrypniętym, ale nie donośnym. Jak gdyby nie spodziewała się uczynić tyle hałasu, cichnie z pewnego rodzaju zdumieniem na dźwięk swego głosu, wodząc spojrzeniem po ich twarzach.

— Proszę opowiedzieć — mówi Hightower. — Proszę postarać się opowiedzieć mi...

— Dlatego, że ja...

Choć i teraz nie zaczęła mówić głośno, raz jeszcze jej głos zamiera chrapliwie, jak gdyby zaskoczony swoim własnym dźwiękiem. Jak gdyby te trzy słowa były przeszkodą, której głos nie może przeskoczyć.

384

Dostrzegają niemal, że stara się opanować, aby je o-bejść.

— Nigdy nie widziałam go, gdy już umiał chodzić

— mówi. — Nie widziałam go przez trzydzieści lat. Chodzącego na swoich własnych nogach i wymawiającego swoje imię...

— Kurewstwo i ohyda! — mówi nagle mężczyzna. Głos jego jest wysoki, ostry i silny. — Kurewstwo i ohyda! — Potem cichnie. Ze swego półsnu, półjawy wykrzykuje te trzy słowa z pełną oburzenia proroczą nagłością. I to wszystko. Hightower spogląda na niego, a potem na Byrona. Byron mówi cicho:

— On jest synem ich córki. On... — nieznacznym ruchem głowy wskazuje starego człowieka, który patrzy teraz na Hightowera jasnym, szalonym wzrokiem

— zabrał dziecko zaraz po urodzeniu i ukrył je. Nie wiedziała, co z nim zrobił. Nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyje, póki...

Stary człowiek przerywa mu z tą swoją przerażającą nagłością. Ale nie krzyczy tym razem. Głos jego jest teraz cichy i logiczny jak głos Byrona. Jest jasny, może tylko trochę drżący:

— Tak. Stary Doc Hines zabrał go. Bóg dał staremu Doc Hinesowi okazję, więc stary Doc Hines także dał Bogu okazję. A wówczas ustami małych dzieci Bóg obwieścił swoją wolę. Małe dzieci wołały: “Murzyn! Murzyn!” na niego, a Bóg to słyszał i ludzie to słyszeli, aby ukazana była wola boża. A wtedy stary Doc Hines powiedział do Boga: “To nie wystarczy. Te małe dzieci nazywają się nawzajem o wiele gorszymi wyrazami niż Murzyn”. A Bóg odpowiedział: “Czekaj i przyglądaj się, bo nie mam zbyt wiele czasu, aby go marnować na brudy i kurewstwo tego świata. Położyłem na nim

385

znamię, a teraz tchnę w niego świadomość. I postawiłem cię tu, abyś czuwał nad wykonaniem mej woli. Ty masz czuwać i mieć pieczę nad jego wykonaniem”.

Głos cichnie, ale aż do ostatniego słowa napięcie jego nie opada. Głos cichnie dokładnie tak, jak cichnie płyta gramofonowa, gdy ktoś, nie słuchający muzyki, uniesie membranę. Hightower przenosi prawie złowrogie spojrzenie z niego na Byrona.

— Cóż to jest? Cóż to jest? — pyta.

— Chciałem to tak załatwić, żeby mogła tu przyjść bez niego i porozmawiać z panem — mówi Byron. — Ale nie było go gdzie zostawić. Mówi, że musi uważać na niego. Wczoraj w Mottstown starał się namówić ludzi, żeby go zlinczowali, zanim nawet dowiedział się, co tamten zrobił.

— Zlinczowali? — mówi Hightower. — Zlinczowali jego własnego wnuka?

— Ona tak mówi — mówi Byron pojednawczo. — Mówi, że przybył tu właśnie dlatego. I musiała z nim przybyć, żeby go od tego powstrzymać.

Kobieta znowu zaczyna mówić. Może słuchała ich. Ale twarz jej w tej chwili jest tak samo pozbawiona wyrazu, jak w chwili, gdy tu weszła. Mając nieruchomą twarz zaczyna mówić z głośnością prawie taką samą jak mężczyzna.

— Przez pięćdziesiąt lat był taki. Przez więcej niż pięćdziesiąt lat, ale przez pięćdziesiąt lat ja musiałam to cierpieć. Nawet zanim wzięliśmy ślub, ciągle był zamieszany w bójki. W tę noc, kiedy Milly przyszła na świat, był zamknięty w więzieniu za bójkę. To musiałam ciągle znosić i cierpieć. Mówił, że musi się bić, bo jest mniejszy niż większość ludzi i pogardzano by nim. To był powód jego próżności i jego dumy. Ale powie-

25 - Światłość...

386

działam mu, że dzieje się tak dlatego, bo diabeł w nim mieszka. I że pewnego

dnia diabeł go opanuje, a on nie będzie wiedział o tym do czasu, kiedy będzie za późno, a wtedy diabeł powie: “Eufeuszu Hines, przyszedłem po moją należność”. To właśnie powiedziałam mu na drugi dzień po narodzeniu Milly, kiedy byłam jeszcze za słaba, żeby nawet unieść głowę, a on właśnie wyszedł z więzienia. Powiedziałam mu, że Bóg miał wielką słuszość, dając mu znak i ostrzeżenie: zamykając go do więzienia w tej właśnie godzinie i minucie, gdy przyszła na świat jego córka, jak gdyby sam chciał mu przesłać znak, że nie jest godzien, by wychowywać córkę. Ów znak boży, niesiony nad tym miastem, czyni mu tylko szkodę. Był wówczas zwrotniczym na kolei. Wziął sobie te moje słowa do serca, ponieważ one także były znakiem, i wyruszyliśmy na wieś, aby żyć z dala od miast. Po pewnym czasie został majstrem w tartaku i powodziło mu się dobrze, bo nie zaczął jeszcze używać imienia Pana Boga swego nadaremno i zarozumiale, aby usprawiedliwić i wytłumaczyć diabła, który w nim mieszka. Więc gdy tej nocy powracający z cyrku wóz Lema Busha minął nasz dom i nie zatrzymał się, a Eufeusz powrócił do domu i zaczął wyrzucać wszystko z szuflady, póki nie natknął się na pistolet, powiedziałam: “Eufeuszu, to diabeł, a nie niebezpieczeństwo Milly popędza cię teraz”. A on powiedział: “Wszystko jedno, diabeł czy nie diabeł. Diabeł czy nie diabeł”. Uderzył mnie. Upadłam na łóżko i przyglądałam mu się...

Urywa. Ale głos jej opada powoli, jak gdyby nie nakręcony patefon zatrzymał się pośrodku płyty. Raz jeszcze Hightower przenosi spojrzenie z niej na Byro-na, z tym wyrazem prawie złowrogiego zdumienia.

387

— Ja też tak to usłyszałem — mówi Byron. — Początkowo też nie umiałem się w tym połapać. Mieszkali w Arkansas, w tartaku, gdzie był majstrem. Dziewucha miała wtedy mniej więcej osiemnaście lat. Pewnej nocy obok tartaku przejeżdżał cyrk, kierując się ku miastu. Był grudzień, napadało wiele deszczów i jeden z wozów spadł z mostu, niedaleko tartaku, więc ludzie przyszli do ich domu, żeby poprosić o liny potrzebne do jego wydobycia.

— Znamię ohydy ciała kobiecego, dane przez Boga! — woła nagle stary człowiek. Potem głos jego opada i cichnie, jak gdyby poprzednio chciał tylko zwrócić na siebie uwagę. Znowu zaczyna mówić szybko, głosem normalnym, przytłumionym, fanatycznym, nadal określając siebie w trzeciej osobie.

— On wiedział. Stary Doc Hines wiedział. Widział już na niej boże znamię ohydy ciała kobiecego, znajdujące się pod jej szatami. Gdy włożył płaszcz

nieprzemakalny, zapalił latarnię i powrócił, stała już przy drzwiach także ubrana w nieprzemakalny płaszcz. Powiedział: “Wracaj do łóżka”. A ona powiedziała: “Chcę też pójść”. A on powiedział: “Wracaj do pokoju”. Więc ona wróciła, a on poszedł do tartaku, wziął stamtąd grubą linę i wyciągnął ten wóz. Pracował aż do świtu, wierząc, że usłuchała rozkazu ojca, którego dał jej Pan. Ale powinien był wiedzieć. Powinien był wiedzieć o ohydzie, którą Bóg Zesłał na ciało kobiece. Powinien był dostrzec kroczącą postać kurewstwa i ohydy, cuchnącą już przed obliczem bożym. A tamten chciał wmówić staremu Doc Hinesowi, że jest Meksykaninem. Ale Doc Hines wiedział co innego. Widział w jego twarzy czarne przekleństwo Wszechmogącego Boga. A tamten chciał mu wmówić...

388

WILUAM FAULKNER

— Co? — mówi Hightower. Mówi głośno, jak gdyby przewidując, że może zagłuszyć tamtego wyłącznie przekrzykując go. — Co to znaczy?

— To był jakiś facet z cyrku — mówi Byron. — Powiedziała mu, że to Meksykanin, ta córka mu to powiedziała, kiedy ją przyłapała. Może to właśnie ten facet powiedział dziewczynie. Ale on... — znowu wskazuje staruszka — wiedział skądś, że ten facet ma w sobie murzyńską krew. Może ludzie z cyrku mu o tym powiedzieli. Nie wiem. Nigdy nie powiedział, skąd się o tym dowiedział, jakby to nie robiło żadnej różnicy i myślę, że nie robiło po tej następnej nocy.

— Następnej nocy?

— Myślę, że wykradła się tej nocy, kiedy cyrk ugrzązł. On mówi, że to zrobiła. Bądź co bądź zachował się, jakby to zrobiła, a zresztą to, co zrobił, nie mogłoby się stać, gdyby nie wiedział i gdyby się nie wykradła. Następnego dnia pojechała z sąsiadami do cyrku. Pozwolił jej pojechać, bo nie wiedział, że wykradła się z domu poprzedniej nocy. Nie podejrzewał nawet niczego, gdy w swej niedzielnej sukience wskoczyła na wóz sąsiadów. Ale czekał na powrót tego wozu wieczorem, nad słuchując, gdy nadjechał drogą i minął ich dom, nie zatrzymując się, aby ją wysadzić. Wybiegł i zawołał, a wtedy sąsiad zatrzymał wóz, w którym nie było tej dziewczyny. Sąsiad powiedział, że pożegnała się z nim przed cyrkiem, aby spędzić noc u innej dziewczyny, mieszkającej w odległości sześciu mil. I sąsiad dziwił się, że Hines nie wie o tym, bo przecież dziewczyna miała ze sobą walizkę, siadając do wozu. Hines nie zauważył tej walizki. A ona... — tym razem wskazuje siedzącą z kamienną twarzą kobietę, która może słyszała, a może nie usłyszała tego,

co mówił — ...mówi, że to diabeł go poprowadził. Mówi, że nie mógł wiedzieć więcej niż ona o tym, gdzie jest w tej chwili dziewczyna, a jednak wszedł do domu, porwał pistolet, przewrócił ją na łóżko, kiedy starała się go zatrzymać, osiodłał konia i odjechał. I mówi ona, że spośród tuzina innych skrótów wybrał w ciemności jedyny skrót, który umożliwił mu ich schwytanie. A przecież nie miał najmniejszej możliwości znania drogi, którą wybrali. Ale ich schwycił. Znalazł ich, jak gdyby wiedział przez cały czas, gdzie są, jak gdyby on i ten człowiek, o którym córka powiedziała mu, że to Meksykanin, naznaczyli sobie spotkanie w tym miejscu. Jak gdyby wiedział. Było zupełnie ciemno, więc nawet wówczas, gdy zrównał się z bryczką, nie miał żadnej możliwości stwierdzenia, że to ta bryczka, której poszukuje. Ale podjechał od tyłu do pierwszej napotkanej tej nocy bryczki. Zbliżył się z prawej strony wciąż jeszcze w zupełnej ciemności, pochylił i nie mówiąc słowa, nie wstrzymując nawet konia, pochwycił człowieka, który równie dobrze mógł być kimś zupełnie nieznanym, bo nie widział go przecież ani nie słyszał. Pochwycił go jedną ręką, drugą przyłożył do niego pistolet, zastrzelił go na miejscu i zabrał ze sobą z powrotem dziewczynę, posadziwszy ją z tyłu na koniu. Pozostawił bryczkę i tego człowieka na drodze. Znowu padał deszcz wtedy.

Kończy, a kobieta natychmiast zaczyna mówić, jakby z powstrzymywaną niecierpliwością czekała tylko, żeby skończył. Mówi tym samym martwym, niskim głosem: dwa głosy w monotonnej strofie i antystrofie: dwa bezcielesne głosy, opowiadające sennie o czymś, co w obszarze pozbawionym wymiarów uczynili bezcieleśni ludzie:

— Leżałam na łóżku i słyszałam go, gdy wychodził, a potem usłyszałam konia galopującego od strony stajni i mijającego dom. Więc leżałam tam, nie rozbierając się i przyglądając się lampie. Nafta opadała coraz niżej, więc po pewnym czasie wstałam, zabrałam lampę do kuchni, napełniłam ją, oczyściłam knot, a potem rozebrałam się i położyłam przy zapalanej lampie. Ciągłe padało i było zimno. Po pewnym czasie usłyszałam konia powracającego na podwórze i zatrzymującego się przed gankiem. Wstałam, zarzuciłam szal i usłyszałam, że wchodzi do domu. Usłyszałam kroki Eufeusza, a potem kroki Milly, które minęły sień i zbliżyły się do drzwi. Miny stanęła w drzwiach. Na twarzy i na włosach miała krople deszczu, a jej nowa sukienka była cała umazana błotem. Oczy miała zamknięte, a wtedy Eufeusz uderzył ją, upadła na

podłogę i leżała tam, wyglądając zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy stała. A Eufeusz stał w drzwiach. Był tak samo mokry i zabłocony. Powiedział: “Mówiłaś, że to diabelska robota, więc przywiozłem ci diabelskie nasienie. Zapyta.} jej, co nosi teraz w swoich wnętrznościach. Zapytaj jej”. A ja byłam bardzo zmęczona i było zimno. Zapytałam: “Co się stało?” a on odpowiedział: “Pojeźdź tam i spójrz w błoto, to zobaczysz. Mógł ją oszukać, mówiąc, że jest Meksykaninem. Ale mnie nie oszukał. I jej też nie oszukał. Nie musiał. Powiedziałaś, że któregoś dnia diabeł przyjdzie do mnie po swoją należność: Oto przyszedł. Moja żona urodziła mi kurwę. Ale przynajmniej zrobił, co mógł, gdy nadszedł czas odebrania należności. Wskazał mi właściwą drogę i trzymał pistolet, by lufa nie zadrżała”.

Więc czasem myślałam, że diabeł pokonał Pana Boga. Bo dowiedzieliśmy się, że Milly będzie miała

391

dziecko, a Eufeusz wyjechał, żeby znaleźć doktora, który by to załatwił. Przypuszczałam, że go znajdzie, i czasami wydawało mi się, że może lepiej byłoby, żeby dzieci ludzkie żyły na świecie. Ale czasem miałam nadzieję, że znajdzie tego doktora, bo byłam bardzo, bardzo zmęczona. Gdy rozprawa sądowa skończyła się, przyjechał właściciel cyrku i powiedział, że ten człowiek nie był Meksykaninem, ale pół-Murzynem, tak jak to Eufeusz twierdził przez cały czas. A Eufeusz znów zabierał pistolet i mówił, że albo znajdzie jakiegoś doktora, albo zabije jakiegoś doktora. Wyjeżdżał czasami na tydzień, a ludzie wiedzieli o wszystkim, więc starałam się go namówić, żebyśmy się przenieśli, bo to przecież tylko ten człowiek z cyrku mówił, że tamten był pół-Murzynem, ale może nie wiedział na pewno. A poza tym on także odjechał i prawdopodobnie nie zobaczymy go już nigdy w życiu. Ale Eufeusz nie chciał się przenosić, a czas Milly nadchodził, a Eufeusz jeździł z tym pistoletem, starając się znaleźć doktora, który by to zrobił. A potem dowiedziałam się, że znowu jest w więzieniu, bo zaczął wchodzić do kościołów w czasie zebrań modlitewnych, wstępował na kazalnice i miał kazania; wrzeszcząc przeciw Murzynom i nawołując, aby biali ludzie wystąpili i pozabijali ich wszystkich. A kiedy ludzie w pewnym kościele kazali mu zejść z kazalnicy i wyjść, zaczął grozić im pistoletem, tam w kościele, aż przyszła policja i zaarrestowała go, a on przez pewien czas zachowywał się, jakby był szalony. Odkryli wtedy, że w innym mieście pobił doktora i uciekł, zanim zdołano go schwytać. Więc gdy wydostał się z więzienia i wrócił do domu, czas Milly właśnie nadszedł. Pomyślałam wtedy, że dał za wygraną, że zrozumiał wreszcie wolę

Bożą, bo chodził spokojnie po domu. Pewnego dnia znalazł wyprawkę, którą przygotowywałam razem z Milly i ukrywałam przed nim. Ale nie powiedział ani słowa, zapytał tylko, kiedy to będzie. Pytał o to codziennie i pomyślałyśmy, że może dał za wygraną, może chodzenie do tych kościołów czy pobyt w więzieniu ułagodziły go, jak w tę noc, kiedy Milly przysłała na świat. I tak czas nadszedł. Pewnej nocy Milly obudziła mnie i powiedziała, że już się zaczęło, więc ubrałam się i powiedziałam Eufeuszowi, żeby pojechał po doktora. Ubrał się i wyszedł. Przygotowałam wszystko i czekałyśmy, ale czas, kiedy Eufeusz i doktor powinni się byli zjawić, nadszedł i minął, a Eufeusz nie powracał. Więc czekałam na doktora prawie do ostatniej chwili, a potem wysłałam na frontowy ganek, żeby popatrzeć, i zobaczyłam Eufeusza siedzącego na najwyższym stopniu z dubeltówką przełożoną przez kolana. Powiedział: “Wracaj do tego domu, ty kurewska samico”. A ja powiedziałam: “Eufeuszu”. Wtedy podniósł dubeltówkę i powiedział: “Wracaj do tego domu. Niech diabeł sam zbiera swoje plony, on sam je przecież zasiał”. Staralam się wyjść tylnymi drzwiami, ale usłyszał mnie, obiegł dom dokoła i uderzył mnie lufą dubeltówki. Wróciłam więc do Milly, a on stał na zewnątrz w drzwiach sieni, skąd mógł przyglądać się Milly, póki nie umarła. Potem podszedł do łóżka, spojrział na dziecko, podniósł je i trzymał wysoko ponad lampą, jak gdyby chciał zobaczyć, czy diabeł zwyciężył, czy Pan Bóg. A ja byłam bardzo zmęczona, siedziałam przy łóżku i przyglądałam się odbitemu na ścianie cieniowi jego ramion i tego małego tłumoczek. A potem zdawało mi się, że Pan Bóg zwyciężył. Bo Eufeusz położył dziecko obok Milly i wyszedł. Usły-

szłam, że wychodzi frontowymi drzwiami, wstałam i zagrzałam trochę mleka.

Milknie. Jej zachrypły, monotony głos zamiera. Zza biurka Hightower przygląda się jej: nieruchomej, ubranej w purpurową suknię kobiecie o kamiennej twarzy, która nie poruszyła się od chwili, gdy weszła do pokoju. Potem zaczyna mówić znowu, nie poruszając niemal wargami, jak gdyby była marionetką, a głos jej pochodził od znajdującego się w sąsiednim pokoju brzuchomówcy.

— Eufeusz odjechał. Właściciel tartaku nie wiedział dokąd. Najął więc nowego majstra, ale pozwolił mi pozostać jeszcze trochę w tym domu, bo nie wiedzieliśmy, co się stało z Eufeuszem, a nadchodziła zima i byłam sama z dzieckiem. A ja nie wiedziałam, gdzie jest Eufeusz, tak samo jak nie wiedział pan Gillman. Wreszcie przyszedł list. Nadany był w Memphis i zawierał przekaz na pieniądze. To było

wszystko. Więc nadal nie wiedziałam. A potem w listopadzie przyszedł drugi przekaz bez listu czy słowa wiadomości. Byłam bardzo zmęczona i na dwa dni przed Bożym Narodzeniem wyszłam na tylne podwórko, żeby narąbać drzewa. A kiedy wróciłam do domu, dziecka już nie było. Byłam poza domem niecałą godzinę i wyglądało na to, że powinnam go była zobaczyć, kiedy wchodził i wychodził. Ale nie widziałam. Znalazłam tylko list, tam gdzie go Eufeusz pozostawił: na poduszce, którą kładłam pomiędzy brzegiem łóżka a dzieckiem, żeby się nie stoczyło. I byłam zmęczona. Więc czekałam, a po Bożym Narodzeniu Eufeusz wrócił do domu i nie chciał mi powiedzieć. Powiedział tylko, że przeniesiemy się, więc pomyślałam, że zabrał już tam dziecko, a teraz wrócił się tylko po mnie. Nie chciał mi także powiedzieć, gdzie się

394

przeniesiemy, powiedział tylko, że niedaleko, a ja byłam prawie obłąkana z niepokoju o to, co się będzie działo z dzieckiem, zanim tam dojedziemy. Ale on nie chciał mi nic powiedzieć, jakbyśmy nigdy nie mieli tam dojechać. Potem dojechaliśmy i dziecka nie było tam, więc powiedziałam: "Powiedz mi, co zrobiłeś z Joe'em. Musisz mi powiedzieć". A on spojrzał na mnie, tak samo jak spojrzał na Milly tej nocy, gdy leżała na łóżku i umarła. I powiedział: Jest on obrzydliwością przed obliczem Pana, którego ja jestem narzędziem". A następnego dnia odjechał i nie wiedziałam, dokąd. Przyszedł jeszcze jeden przekaz pocztowy, a następnego miesiąca Eufeusz wrócił do domu i powiedział, że pracuje w Memphis. Wtedy wiedziałam już, że ukrywa Joe'ego gdzieś w Memphis, i pomyślałam, że to też coś jest, bo będąc w Memphis może on doglądać Joe'ego, nawet kiedy mnie tam nie ma. I wiedziałam, że będę musiała poczekać, aż Eufeusz powie mi sam z własnej woli. I za każdym razem myślałam, że może następnym razem zabierze mnie ze sobą do Memphis. Więc czekałam. Szyłam i robiłam ubranka dla Joe'ego, żeby mieć je gotowe, kiedy Eufeusz wróci do domu. Staralam się go wybadać, czy ubranka będą pasowały na Joe'ego i czy Joe dobrze się czuje, ale Eufeusz nie chciał mi nic powiedzieć. Siedział tylko i czytał na głos Biblię, nie mając poza mną nikogo, kto by go słuchał. Czytał i wrzeszczał na cały głos słowa Biblii, jakby przypuszczał, że nie wierzę temu, co mówi. Ale nie powiedział mi nic przez całe pięć lat i nie wiedziałam, czy oddaje Joe'emu te ubranka, które robiłam, czy nie. Bałam się go pytać i niepokoić, bo to, że był tam, gdzie był Joe, też coś znaczyło, nawet jeżeli mnie tam nie było. A potem, po pięciu latach powrócił pewnego dnia do domu i powie-

395

dział: “Przenosimy się”. Wtedy pomyślałam, że się to stanie, że nareszcie zobaczę go. Jeżeli był jakiś grzech, to myślę, że wszyscy już go odpokutowaliśmy. Przebaczyłam nawet Eufeuszowi, bo myślałam, że tym razem przeniesiemy się nareszcie do Memphis. Ale to nie było Memphis. Przybyliśmy do Mottstown. Musieliśmy przejeżdżać przez Memphis i zaczęłam go prosić. Pierwszy raz poprosiłam go wtedy. Ale zrobiłam to. Żeby chociaż na chwilę, na sekundę. Nie dotykając ani mówiąc do niego, ani nic. Ale Eufeusz nie chciał. Nie wyszliśmy nawet ze stacji. Wysiedliśmy z jednego pociągu i czekaliśmy siedem godzin, nie wychodząc nawet z dworca, aż przyszedł drugi pociąg i przyjechaliśmy do Mottstown. A Eufeusz nigdy więcej nie pojechał do pracy w Memphis. Po pewnym czasie powiedziałam: “Eufeuszu” — a on spojrzał na mnie. Powiedziałam: “Czekałam pięć lat i nie niepokoiliam cię. Czy możesz mi chociaż powiedzieć, czy on żyje?” A on powiedział: “Umarł”. A ja zapytałam: “Umarł dla świata czy tylko dla mnie? Jeżeli zmarł tylko dla mnie, powiedz mi chociaż to. Powiedz mi chociaż tyle, bo przez pięć lat nie niepokoiliam cię”. A on odpowiedział: “Umarł dla ciebie i dla mnie, i dla Boga, i dla całego bożego świata na wieki wieków”.

Znowu milknie. Spoza biurka Hightower przygląda się jej z cichym i rozpaczliwym zdumieniem. Byron także jest nieruchomy, głowę ma nieco pochyloną. Wszyscy troje podobni są do trzech skał nadbrzeżnych, stojących ponad odpływem. Wszyscy z wyjątkiem starego człowieka. Słuchał teraz, prawie uważnie, z tą swoją zdolnością przerzucania się w jednej chwili ze stanu zupełnej uwagi, która zdaje się niczego nie słyszeć, do na wpół letargicznego zamyślenia,

396

podczas którego spojrzenie jego najwyraźniej osłupiałych oczu jest tak niemiłe, jak gdyby trzymał je w rękach. Nagle gdcze wesoło, głośno i zupełnie obląkańcza. Potem zaczyna mówić, nieskończenie stary, nieskończenie brudny:

— To Pan. On tam był. Stary Doc Hines też dał Panu Bogu okazję. Pan powiedział staremu Doc Hinesowi, co ma robić, a stary Doc Hines zrobił to. Potem Pan powiedział do starego Doc Hinesa: “Przypatrz się teraz. Przypatrz się wykonaniu mojej woli”. Stary Doc Hines przypatrzył się i wsłuchał w głosy małych dzieci bożych, nie mających ojców ani matek. To On włożył im w usta swą wolę i wiedzę, choć nie mogły jej pojąć, bo były jeszcze bezgrzeszne. Nawet dziewczynki były wciąż jeszcze bez grzechu i bez kurew-stwa. A on kazał wołać: “Murzyn! Murzyn!” — niewinnym wargom małych dzieci. “A co? Nie mówiłem ci? — powiedział Pan Bóg

do starego Doc Hinesa. — Wprawilem moją wolę w ruch i teraz znikam. Za mało tu grzechów, by mogły mnie zatrudniać, bo czymże jest dla mnie cudzołóstwo niechlujnych dziewczek, jeżeli jest ono częścią mego zamierzenia”. A stary Doc Hines zapytał: Jakże cudzołożenie niechlujnych dziewczek może być częścią Twego zamierzenia?” — a Bóg rzekł: “Zaczekaj, to się przekonasz. Czy myślisz, że tylko przypadkiem przysłałem tu tego młodego lekarza, aby ową rzecz mi obrzydłą znalazł zawiniętą w koc na tych stopniach, tej nocy wigilijnej? Czy myślisz, że to tylko przypadkiem przełożona była nieobecna tej nocy, dając tym młodym nierządnicom okazję, aby nazwały go Christmasem i bluźniły memu Synowi? Więc odchodzę teraz, bo wprawilem mą wolę w ruch i mogę pozostawić cię tu, abyś się jej przypatrywał”.

397

Więc stary Doc Hines przypatrywał się i czekał. Z bożej kotłowni przypatrywał się tym dzieciom i pomiotowi diabelskiemu, chodzącemu skrycie pomiędzy nimi i plugawiącemu ziemię, gdyż Słowo ciążyło nad nim. Nie bawił się już teraz z innymi dziećmi. Chodził samotnie, stawał nieruchomo, a wtedy stary Doc Hines wiedział, że wsłuchuje się w ukryte ostrzeżenie bożego wyroku. Więc stary Doc Hines zapytał go: “Dlaczego nie bawisz się jak dawniej z innymi dziećmi?” — a on nie odpowiedział. Wtedy stary Doc Hines zapytał: “Czy dlatego, że wołają na ciebie Murzyn?” — a on nie odpowiedział. A stary Doc Hines zapytał: “Czy myślisz, że jesteś Murzynem, bo Pan Bóg napiętnował tak twoją twarz?” — a on zapytał: “Czy Bóg też jest Murzynem?” A stary Doc Hines powiedział: Jest Panem Bogiem gniewnych zastępów. Jego wola spełni się. Nie twoja i nie moja, gdyż my obaj jesteśmy tylko częściami Jego zamierzenia i Jego pomsty”. Wtedy odszedł, a stary Doc Hines przypatrywał mu się, posłuszny mściwej woli bożej, i zobaczył, że przygląda on się pracującemu na podwórku Murzynowi, chodząc za nim po całym podwórzu, gdy ten pracuje. Aż wreszcie Murzyn zapytał: “Czemu mi się tak przyglądasz, chłopcze?” A on powiedział: Jak stałeś się Murzynem?” A Murzyn powiedział: “Kto ci powiedział, że jestem Murzynem, ty mały śmieciucho, biały bękarcie?” A on powiedział: “Nie jestem Murzynem”. A Murzyn mówi: Jesteś czymś gorszym. Nie wiesz, czym jesteś. A nawet więcej: nigdy nie będziesz wiedział”. A on mówi: “Bóg nie jest Murzynem”. A Murzyn mówi: “Myślę, że powinienes wiedzieć, kim jest Bóg, bo tylko Bóg wie, kim ty jesteś”. Ale Bóg nie był tam obecny wówczas, aby powiedzieć, ponieważ wprawił swą wolę w ruch i

398

WILLIAM FAULKNER

pozostawił starego Doc Hinesa, aby się jej przypatrywał. Od owej pierwszej nocy, gdy wybrał Świętą Rocznicę Narodzin Swego Syna, by puścić swą wolę w ruch, wybrał także starego Doc Hinesa, aby się jej przypatrywał. Było zimno tej nocy, a stary Doc Hines stał w ciemności za rogiem, skąd mógł widzieć schody przy wejściu i wypełnienie woli bożej. Zobaczył młodego lekarza, nadchodzącego dla lubieżności i cudzołóstwa, zatrzymującego się, pochylającego, unoszącego obrzydliwość bożą i wnoszącego ją do gmachu. A stary Doc Hines poszedł za nim, widział i słyszał. Przypatrywał się tym młodym nierządnicom, bezczeszczącym pod nieobecność przełożonej Najświętszą Rocznicę ajerkoniakiem i whisky, gdy odwijają koc. I właśnie ona, ta Jezebel lekarza, który stał się bożym narzędziem, powiedziała: „Nazwijmy go Christmas”. A druga powiedziała: „Jaki Christmas? Kto Christmas?” — a wtedy Bóg powiedział do starego Doc Hinesa: „Powiedz im” — a oni spojrzeli wszyscy na starego Doc Hinesa, cuchnąc plugastwem i wrzeszcząc: „O, to Wuj Doc! Spójrz, Wuj Doc, co nam przyniósł Święty Mikołaj i pozostawił na schodach wejściowych!” — a stary Doc Hines powiedział: „Imię jego jest Józef. A oni przestali się śmiać i spojrzeli na starego Doc Hinesa, a Jezebel zapytała: „Skąd pan wie?” — a stary Doc Hines powiedział: „Bóg tak mówi” a wtedy zaczęli się znowu śmiać, wrzeszcząc: „Tak jest w Piśmie: Christmas, syn Joe'ego, Joe, syn Joe'ego, Joe Christmas — powiedzieli. — Zdrowie Joe'ego Christmasa!” I próbowali namówić starego Doc Hinesa, aby wypił za zdrowie tej obrzydliwości przed obliczem Boga, ale odrzucił kielich. A potem musiał już tylko przypatrywać się i czekać. Uczynił to, a w czasie naznaczonym przez Pana

399

zło porodziło zło. Jezebel doktora przybiegła ze swego chutliwego łóża, cuchnąc jeszcze grzechem i lękiem. „Był ukryty za łóżkiem” — mówi, a stary Doc Hines odpowiedział jej: „Aby przyspieszyć twe zniszczenie, używałaś tego perfumowanego mydła, będącego obrzydliwością Panu. Cierp teraz”. A ona powiedziała: „Porozmawiaj z nim. Podpatrywałam cię. Mógłbyś mu wytłumaczyć”. A stary Doc Hines odpowiedział: „Dbam o twe cudzołóstwo nie więcej niż Bóg”. A ona powiedziała: „On opowie o tym, a wtedy mnie wyrzucą. Będę zhańbiona”. Cuchnęła wówczas chucią i rozpustą, stojąc przed starym Doc Hinesem, a wola boża była w tej chwili na niej położona, na niej, która zbecze ściła dom, gdzie Bóg umieścił swe sieroty. Jesteś niczym powiedział stary Doc Hines — ty i wszystkie nierządnice. Jesteś narzędziem gniewnego zamierzenia bożego, tak samo jak Joe Christmas i stary Doc Hines”. A ona

odeszła. Stary Doc Hines czekał i przypatrywał się, a nie minęło wiele czasu, gdy powróciła, a oblicze jej było jako oblicze drapieżnej bestii pustynnej. “Załatwiłam go” — powiedziała, a stary Doc Hines zapytał: Jak go załatwiłaś?” — choć nie było to nic, o czym by stary Doc Hines nie wiedział, bo Pan nie ukrywał swego zamierzenia przed wybranym przez siebie narzędziem. Więc stary Doc Hines powiedział: “Wypełniłaś z góry przewidziany rozkaz boży. Teraz możesz odejść i być Mu obrzydliwością, póki nie nadejdzie Dzień”. A jej oblicze podobne było obliczu drapieżnej bestii pustynnej, gdy śmiała się z Boga, będąc prochem. I przyszedł, by go zabrać. Stary Doc Hines widział, gdy zabierano go bryczką, a potem zawrócił, by zaczekać na Pana. I przyszedł Pan, i powiedział Pan do starego Doc Hinesa: “Ty także możesz teraz

400

odejść. Wykonałeś pracę, którą ci zleciłem. Nie ma tu więcej żadnego zła, prócz zła kobiecego, które nie jest warte, aby wybrane przeze mnie, narzędzie przypatrywało mu się”. A stary Doc Hines odszedł, gdy Bóg mu kazał odejść. Ale pozostawał w łączności z Bogiem i nocą mawiał: “Ten bękart, Panie” — a Bóg mówił: “Chodzi jeszcze po mym świecie” — a stary Doc Hines nadal pozostawał w łączności z Bogiem i pewnej nocy szamotał się i miotał, i zakrzyknął na głos: “Ten bękart, Panie! Czuje! Czuje zęby i żądło zła!” A Bóg odpowiedział: “To ten bękart. Twoja praca nie dobiegła jeszcze kresu. Jest on skazą i obrzydliwością mego świata”.

Ucichły już od dawna dźwięki muzyki z odległego kościoła. Przez otwarte okna nadpływają teraz tylko spokojne, nieskończone odgłosy letniej nocy. Za biurkiem siedzi Hightower, bardziej niż zwykle wyglądając jak niezgrabne zwierzę, okpione i oszukane, gdy miało możliwość ucieczki, a teraz osaczone przez tych, którzy okpili je i oszukali. Pozostała trójka siedzi naprzeciw niego, prawie jak sąd przysięgłych. Dwoje z nich jest także nieruchomych, ta kobieta z tą kamienną cierpliwością czekającej skały i ten stary człowiek, wyglądający jak zużyty knot świecy, której płomień gwałtownie zdmuchnięto. Tylko Byron zdaje się być żywy. Głowę ma pochyloną. Zdaje się wpatrywać z zamyśleniem w leżącą na kolanie dłoń, której kciuk i wskazujący palec pocierają się o siebie, jak gdyby coś ugniatały, a on zdaje się im przyglądać z pełnym zamyślenia skupieniem. Gdy Hightower zaczyna mówić, Byron wie, że nie kieruje on swoich słów do niego ani nikogo innego z obecnych w pokoju.

— Czego oni chcą ode mnie — mówi Hightower. — Chcą, mają nadzieję, przypuszczają, że mogę zrobić?

401

Później jest zupełnie cicho. Ani mężczyzna, ani kobieta nie usłyszeli prawdopodobnie. Byron nie przypuszczał, aby mężczyzna usłyszał. “On nie potrzebuje żadnej pomocy — myśli. — Nie on. Jemu potrzebne są przeszkody”. Przypomina sobie letargiczny stan, sennego, a równocześnie szalonego zawieszenia, w którym, od chwili gdy się z nim spotkał, stary człowiek poruszał się z miejsca na miejsce, idąc trochę z tyłu za starą kobietą. “On potrzebuje przeszkód. Myślę, że to szczęśliwe, nie tylko dla niej, ale dla wielu innych ludzi, że jest prawie bezradny”. Przypatruje się kobiecie. Mówi cicho, prawie łagodnie:

— Proszę mówić. Niech pani mu powie, czego pani chce. On chce wiedzieć, czego pani od niego chce. Chce wiedzieć, co ma zrobić. Niech mu pani powie.

— Myślałam, że może... — mówi ona. Mówi nie poruszając się. Jej głos nie jest niepewny, ale zardzewiały, jakby został zmuszony do wypowiedzenia czegoś, co znajduje się poza obszarem głośnego mówienia i istnienia jako coś więcej niż odczucie i uświadamianie. — Pan Bunch powiedział, że może...

— Co? — mówi Hightower. Mówi ostro, niecierpliwie, trochę za wysokim głosem. On także nie poruszył się, siedząc głęboko w krześle i opierając ręce na poręczach. — Co? Że co?

— Myślałam... — Głos znowu zamiera. Za oknem szeleszczą niestrudzone owady. Potem znowu słyhać głos, bezbarwny i równy, a ona siedzi, także z pochyloną głową, jakby przysłuchując się swemu głosowi z tym samym cichym napięciem: — To mój wnuk, mały chłopczyk mojej córki. Myślałam, że może, jeżeli ja... jeżeli on...

Byron przysłuchuje się spokojnie, myśląc: To na-

26 - Światłość...

402

prawdę śmieszne. Można by pomyśleć, że ktoś ich zamienił. Jakby to on miał wnuka Murzyna, który czeka na powieszenie. Głos ciągnie dalej:

— Wiem, że to nieładnie robić kłopoty nieznanym. Ale pan ma szczęście. Jest pan kawalerem, samotnym człowiekiem, który mógł zestarzeć się nie znając rozpaczy miłości. Ale myślę, że nie mógłby pan tego zrozumieć, nawet gdybym to panu umiała mądrze powiedzieć. Pomyślałam tylko, że może przez jeden dzień to by mogło być tak, jakby nic się nie stało. Jakby ludzie nigdy nie znali go jako człowieka, który zabił...

Głos cichnie znowu. Nie poruszyła się. Jak gdyby wsłuchiwała się w jego ucichnięcie, tak samo jak w jego pierwsze dźwięki: z tym samym zaciekawieniem i

tym samym spokojnym zdziwieniem.

— Dalej — mówi Hightower tym wysokim, niecierpliwym głosem. — Dalej.

— Nie widziałam go nigdy, gdy już umiał chodzić i mówić. Nie widziałam go przez trzydzieści lat. Nie mówię wcale, że nie zrobił tego, o co go oskarżają. Że nie powinien cierpieć za to, jak cierpią ci, którzy kochali i utracili. Ale może ci ludzie mogliby go puścić chociaż na jeden dzień. Tak jakby to się nigdy nie stało. Jakby świat nie miał jeszcze niczego przeciwko niemu. Byłoby to wtedy tak, jakby wyjechał w podróż, wyrósł na dorosłego człowieka i wrócił. Gdyby tak mogło być przez jeden chociaż dzień. Po tym dniu nie wtrącałabym się już. Jeżeli to zrobił, nie wkraczałabym pomiędzy niego, a to, co musi wycierpieć. Tylko przez jeden dzień, rozumie pan. Jakby wyjechał w podróż i wrócił, i opowiedział mi o tej podróży, a nikt z żyjących nie miałby jeszcze nic przeciwko niemu.

403

— Och — mówi Hightower swym piskliwym, wysokim głosem. Chociaż nie poruszył się, choć stawy palców, obejmujących poręcz krzesła, są zaciśnięte i białe, ciałem jego zaczyna wstrząsać powolne i powstrzymywane drżenie. — Ach tak — mówi. — To wszystko. To bardzo proste. Proste. Proste. — Najwyraźniej nie może powstrzymać się od wymawiania tego słowa. — Proste. Proste. — Mówił dotychczas cicho, teraz głos jego staje się donośniejszy. — Czego oni chcą ode mnie? Co mam zrobić? Byronie! Byronie! Co to znaczy? O co mnie proszą?

Byron wstał. Stoi teraz przy biurku, opierając na biurku ręce, patrząc na Hightowera. Hightower nadal się nie porusza, jeżeli nie brać pod uwagę rosnącego ciągle drżenia jego sflaczałego ciała.

— Ach tak. Powinienem był wiedzieć. To Byron poprosi o to. Powinienem był wiedzieć. To będzie zachowane dla Byrona i dla mnie. Mów, mów. Jazda. Czemu się teraz wahasz?

Byron patrzy na biurko, na swe oparte na biurku dłonie.

— To nędzna sprawa. Nędzna sprawa.

— Ach, współczucie? Po tak długim czasie? Współczucie dla mnie czy dla Byrona? No, wykrztuś to. Co chcesz, abym uczynił? Bo to ty chcesz: wiem o tym. Wiedziałem o tym przez cały czas. Ach, Byronie, Byronie. Jakim pisarzem dramatycznym mogłeś zostać!

— A może agentem handlowym, komiwojażerem albo subiektem — mówi Byron. — To nędzna sprawa. Wiem o tym. Nie musi mi pan o tym mówić.

— Ale nie jestem jasnowidzący jak ty. Sprawiasz wrażenie, jakbyś wiedział, co ci odpowiem, a jednak nie mówisz mi tego, co chcesz, żebym wiedział. Cze-

404

go chcesz ode mnie? Czy mam się przyznać do tego morderstwa? Czy tak?

Twarz Byrona krzywi się w lekkim, przelotnym, ironicznym, wyczerpanym, pozbawionym wesołości grymasie.

— Myślę, że nieomal tyle. — Potem twarz jego staje się poważna, zupełnie ponura. — To paskudna rzecz, o którą chcę prosić. Bóg wie, że wiem o tym. — Przygląda się swej dłoni, błędzącej bez sensu po powierzchni biurka. — Przypominam sobie, jak to kiedyś powiedziałem do pana, że jest cena, którą trzeba zapłacić za to, że się jest dobrym; jest taka sama jak cena, którą się płaci za to, że się jest złym. Cena do zapłacenia. I właśnie ci dobrzy ludzie nie mogą cofnąć się przed zapłaceniem, kiedy nadchodzi rachunek. Nie mogą cofnąć się, bo nie ma żadnego sposobu, który mógłby ich zmusić do zapłacenia, tak jak nie ma sposobu, żeby zmusić do zapłacenia uczciwego człowieka, który przegrał w karty. Żli ludzie mogą nie płacić, dlatego nikt nie spodziewa się po nich, że zapłacą natychmiast albo kiedykolwiek. Ale dobrzy nie mogą tak zrobić. Może trzeba dłużej płacić za to, że się jest dobrym, niż za to, że się jest złym. I w końcu zrobił pan to już raz przedtem: zapłacił pan już taki rachunek. Teraz nie powinno to już być takie trudne jak wtedy.

— Dalej. Dalej. Co mam zrobić? Byron przygląda się w zamyśleniu swej powolnej, poruszającej się bez przerwy dłoni.

— On nigdy nie przyznał się do tego, że ją zabił. A jedynym dowodem, który mają przeciwko niemu, jest słowo Browna, które znaczy tyle co nic. Mógłby pan powiedzieć, że był on tu z panem owej nocy. W ciągu

405

tych wszystkich nocy, gdy Brown widział go, wchodzącego do tego dużego domu. Ludzie by panu uwierzyli. Uwierzyliby w to w każdym razie. Woleliby uwierzyć w to o panu, niż uwierzyć, że żył z nią jak mąż z żoną, a potem ją zabił. A pan jest już stary. Nie zrobiliby panu w tej chwili już nic, co by mogło pana zranić. A myślę, że przywykł pan już do wszystkiego innego, co mogą panu zrobić.

— Och — mówi Hightower. — Ach. Tak. Tak. Uwierzyliby w to. To byłoby proste i bardzo dobre. Dobre dla wszystkich. A później on zostanie przywrócony tym, którzy cierpieli dzięki niemu, a pozbawionego nagrody Browna będzie można zmusić do uczynienia jej dziecka ślubnym i potem Brown ucieknie znowu, tym razem na

zawsze. A wtedy pozostaną już tylko: ona i Byron. Ponieważ jestem tylko starym człowiekiem, który był na tyle szczęśliwy, że doszedł do późnego wieku, nie zaznawszy cierpień miłości.

Drży nieustannie. Spogląda w górę. W świetle lampy twarz jego zdaje się tak śliska, jak gdyby była naoliwiona. Skręcona i wykrzywiona, lśni w świetle lampy. Żółtawa, zbyt często prana koszula, która rano była świeża, jest teraz mokra od potu.

— To nie dlatego, że nie mogę, że nie mam odwagi

— mówi. — Ale dlatego, że nie chcę! Czy słyszycie? — Unosi ręce z poręczy krzesła. — Dlatego, że nie chcę!

— Byron nie porusza się. Jego dłoń na powierzchni biurka znieruchomiała. Przygląda się tamtemu, myśląc: To nie na mnie on krzyczy. Jakby wiedział, że jest coś bliższego niż ja, co musi przekonać o tym. Ponieważ w tej chwili Hightower krzyczy: — Nie zrobię tego! Nie zrobię! — mając ręce uniesione i zaciśnięte pięści, twarz oblaną potem, a wargę uniesioną ponad

406

gnijącymi zębami, od których odstaje obwisłe mięso koloru czerwonej gliny. Nagle głos jego wznosi się jeszcze wyżej: — Precz! — krzyczy. — Precz z mojego domu! Precz z mojego domu!

Potem pada na biurko z twarzą pomiędzy wyciągniętymi rękami o zaciśniętych pięściach. Byron ogląda się spod drzwi. Widzi, że Hightower nie poruszył się. Jego łyśa głowa i wyciągnięte ręce o zaciśniętych pięściach leżą w kręgu światła lampy. Głos owadów za otwartym oknem nie zamarł, nie przycichł ani na chwilę.

17

Działo się to w niedzielę wieczorem. Dziecko Leny urodziło się następnego ranka. Dniało, kiedy Byron zatrzymał swego galopującego muła przed domem, który opuścił przed niecałymi sześcioma godzinami. Zeskoczył na ziemię, biegnąc już w powietrzu, i przebiegł wąską ścieżkę, dzielącą go od ciemnego ganku. Pomimo całego swego pośpiechu zdawał się stać z boku i przyglądać sobie z pewnego rodzaju ponurym brakiem zdziwienia: “Byron Bunch, akuszer. Gdybym przed dwoma tygodniami mógł zobaczyć siebie takim, jakim jestem teraz, nie uwierzyłbym własnym oczom. Powiedziałbym im, że kłamią”.

Okno, za którym przed sześcioma godzinami pozostawił duchownego, było teraz nie oświetlone. Biegnąc, pomyślał o łysej głowie, zaciśniętych pięściach, sflaczałym ciele, ciśniętym twarzą w dół na powierzchnię biurka. “Myślę, że nie spał

wiele pomyślał. — Nawet jeżeli nie zabawi się w... zabawi się w...” Nie mógł

407

sobie przypomnieć słowa położna, wiedząc, że Hightower by go użył. “Myślę, że nie muszę sobie przypominać — pomyślał — tak jak człowiek uciekający od lufy pistoletu albo biegnący ku niej nie musi się przejmować, czy właściwym słowem na określenie tego, co robi, jest odwaga czy tchórzostwo”.

Drzwi nie były zamknięte. Najwyraźniej wiedział, że nie będą. Po omacku szedł przez przedpokój, nie zachowując się cicho i nie próbując nawet zachowywać się cicho. Nigdy nie zapuszczał się dalej niż do pokoju, gdzie niedawno widział właściciela domu, rozciągniętego nad biurkiem, w pełnym blasku skierowanej ku dołowi lampy. A jednak poszedł prosto do właściwych drzwi, jak gdyby wiedział, widział albo był poprowadzony. “Tak by to nazwał — pomyślał — a ona też”. Miał na myśli Lenę, leżącą teraz w tamtej chacie i walczącą już z bólami. Tylko że każde z nich miałyby inne imię, dla tego, co mnie poprowadziło. Nim wszedł do pokoju, usłyszał chrapiącego Hightowera. Jak gdyby nie był roztrzęsiony mimo wszystko” — pomyślał. Potem natychmiast pomyślał: “Nie, to nieprawda. Nie wierzę w to. Wiem, że on śpi, a ja nie śpię, dlatego że jest on starym człowiekiem i nie może wytrzymać tyle, ile ja mogę”. Podszedł do łóżka. Niewidzialny człowiek w łóżku chrapał głęboko. W chrapaniu tym było zupełne i głębokie poddanie. Nie wyczerpanie, ale poddanie, jak gdyby porzucił zupełnie i zaniechał kurczowego trzymania się mieszanki dumy, nadziei, próżności i lęku, tej siły trwania przy swych zwycięstwach i klęskach, oznaczającej ludzkie ja, którego zaniechanie równa się zwykle śmierci. Stojąc przy łóżku, Byron raz jeszcze pomyślał: Nędzna sprawa. Nędzna sprawa. Wydało mu się

408

teraz, że zbudzenie tego człowieka będzie najboleśniejszą krzywdą ze wszystkich, jakie mu wyrządził. “Ale to nie ja czekam — pomyślał. — Sam Pan Bóg to widzi. Bo myślę, że i On przygląda mi się ostatnio tak jak oni wszyscy, żeby przekonać się, co jeszcze zrobię”.

Dotknął śpiącego, nie szorstko, ale stanowczo. High-tower ucichł w połowie chrapania. Pod dłonią Byro-na dźwignął się nagle w górę.

— Tak? — powiedział. — Co? Co się stało? Kto tu jest? — To ja — powiedział Byron. — To znowu By-ron. Czy przebudził się pan?

— Tak. Co?...

— Tak — powiedział Byron. — Ona mówi, że to już. Że nadszedł czas.

– Ona?

– Niech mi pan powie, gdzie jest lampa... Pani Hi-nes. Ona tam jest. Idę teraz po doktora. Ale to może zająć trochę czasu. Więc może pan wziąć mojego muła. Myślę, że tak daleko pan ujedzie. Czy ma pan jeszcze swoją książkę?

Łóżko skrzypnęło, gdy Hightower poruszył się. — Książkę? Moją książkę?

– Tę książkę, której pan używał, kiedy urodziło się to murzyńskie dziecko. Chciałem panu o niej tylko przypomnieć, na wypadek, gdybym nie zdążył wrócić na czas z doktorem. Muł jest przy furtce. Zna drogę. Ja pójdę pieszo do miasta i sprowadzę doktora. Wrócę tam tak prędko, jak tylko będę mógł.

Odwrócił się i przeszedł przez pokój. Słyszał, wyczuwał, że tamten siedzi na łóżku. Zatrzymał się na środku pokoju na tak długo, aby znaleźć wiszącą lampę i przekręcić kontakt. Gdy zapłonęła, był już w

409

drzwiach. Nie odwrócił się. Poza sobą usłyszał głos Hightowera:

– Byronie! Byronie!

Nie zatrzymał się i nie odpowiedział.

Świt rósł. Szedł szybko pustą ulicą pod rzadko rozstawionymi, blednącymi latarniami, w które nadal uderzały wirujące ćmy. Ale dzień rósł. Gdy doszedł do rynku, jego wschodnia fasada rysowała się ostrym konturem na tle nieba. Myślał szybko. Nie umówił się z doktorem. Idąc teraz, przeklinał samego siebie ze wściekłością pomieszaną z lękiem, tak samo, jakby to zrobił każdy rzeczywisty młody ojciec: za to, co nazywał w myśli niechlujstwem i zbrodniczym niedopatrzeniem. A jednak nie była to tylko troskliwość początkującego ojca. Kryło się poza tym coś jeszcze, co miał poznać dopiero później. Jak gdyby w umyśle jego, ciągle jeszcze przytłoczonym myślą o pośpiechu, czaiło się coś, co miało skoczyć na niego z rozcapierzonymi szponami. Ale myślał: “Muszę szybko zdecydować. Mówią, że dobrze przyjął to murzyńskie dziecko. Ale to jest co innego. Powinienem był to zrobić w zeszłym tygodniu, porozumieć się z doktorem, a nie czekać i musieć teraz tłumaczyć wszystko w ostatniej chwili, polować od domu do domu, zanim znajdę takiego, który przyjdzie i uwierzy w te wszystkie kłamstwa, które mu opowiem. Niech będę psem, jeżeli nie wyglądam na człowieka, który ostatnio tyle się nakłamał, że mógłby powiedzieć wiarygodne kłamstwo, w które uwierzyłby każdy mężczyzna i każda kobieta”. Idzie szybko, a głos jego kroków brzmi głucho i tęsknie na pustej ulicy. Postanowił już, nie zdając sobie jeszcze nawet z tego sprawy. Nie ma w tym żadnej

sprzeczności ani komedianctwa. Wpadło mu to do

410

głowy zbyt szybko i zbyt szybko usadowiło się tam tak mocno, że gdy zdał sobie z tego sprawę, jego nogi już słuchały tego. Niosły go do domu tego samego lekarza, który przybył zbyt późno, w chwili narodzenia tego murzyńskiego dziecka, przy którym pomagał High-tower ze swą brzytwą i książką.

I tym razem lekarz przybył zbyt późno. Byron musiał czekać, nim się ubierze. Był to stary człowiek, drobiazgowy i trochę rozzłoszczony tym, że zbudzono go o takiej porze. Musiał szukać kluczyka do swego samochodu. Trzymał ten kluczyk w żelaznej kasetce, do której klucza także nie mógł natychmiast znaleźć. Nie pozwolił także Byronowi wyłamać zamka. Gdy więc przybyli wreszcie do chaty, wschód nabrał barwy pierwiosnka i widać już było kawałek rączego, letniego słońca. Raz jeszcze ci dwaj ludzie, obaj nieco już starsi teraz, spotkali się w drzwiach jednoizbowej chaty. Zawodowiec znowu przegrał z amatorem, bo wchodząc w drzwi, lekarz usłyszał płacz niemowlęcia. Lekarz zaczął mrugać z rozdrażnieniem w stronę pastora.

— No, doktorze — powiedział. — Żałuję, że Byron nie powiedział mi, że wezwał już pana. Byłbym jeszcze w łóżku. — Wchodząc, przepchnął się obok pastora. — Zdaje się, że tym razem miał pan więcej szczęścia niż podczas poprzedniej naszej współpracy. Ale wygląda pan, jakby pan sam potrzebował lekarza. A może potrzebuje pan tylko filiżanki kawy?

Hightower odpowiedział coś, ale doktor poszedł dalej, nie zatrzymawszy się, aby usłyszeć. Wszedł do pokoju, gdzie na wąskiej prycy leżała blada i wyczerpana młoda kobieta, której nie widział nigdy przedtem. Ubrana w purpurową suknię stara kobieta, której także nigdy przedtem nie widział, trzymała dziecko na

411

kolanach. W cieniu, na drugiej prycy, spał człowiek. Zauważywszy go, doktor powiedział do siebie, że człowiek ten wygląda, jakby nie żył, tak głęboko i spokojnie jest uśpiony. Ale doktor nie zauważył od razu tego starego człowieka. Podeszedł do starej kobiety, która trzymała dziecko.

— No, no — powiedział. — Byron musiał być podniecony. Nie powiedział mi, że cała rodzina jest na miejscu, nawet babcia i dziadek. — Kobieta spojrzała na niego. Pomyślał: “Chociaż siedzi, ale wygląda, jakby była tak samo nieżywa jak ten staruszek. Nie wygląda, aby miała dość rozumu, aby wiedzieć, że jest matką, a co dopiero babką”.

— Tak — powiedziała kobieta. Spojrzała na niego, tuląc do siebie dziecko. Wtedy zauważył, że twarz jej nie jest głupia, ale pusta. Zauważył, że jest ona jednocześnie spokojna i straszliwa, jak gdyby spokój i lęk umarły i zniknęły z niej już dawno, a teraz ożyły jednocześnie. Ale najbardziej rzuciło mu się w oczy jej równoczesne podobieństwo do skały i skulonego zwierzęcia. Wskazała głową śpiącego człowieka, a doktor po raz pierwszy przyjrzał mu się dokładnie, leżącemu we śnie na sąsiedniej pryczy. — Oszukałam go. Powiedziałam mu, że tym razem wejdzie pan tylnym wejściem. Oszukałam go. Ale teraz jest pan już tutaj. Może pan doglądać Milly teraz. A ja zajmę się Joe-yem. — Potem minęło to. Gdy przyglądał się jej, życie i ożywienie rozpląnęły się, uciekły nagle z twarzy, która zdawała się teraz zbyt nieruchoma, zbyt tępa na to, aby kiedykolwiek na niej gościły. Oczy wpatrywały się w niego spojrzeniem tępym, zmieszonym, głupkowskim, gdy kuląc się tuliła do siebie dziecko, jak gdyby jej chciał je wyrwać. Jej ruch obudził je może, bo za-

f

412

413

plakało raz. A wtedy zmieszanie także zniknęło. Zniknęło lekko jak cień. Spojrzała na dziecko, zachwycona, śmieszna, z twarzą nieruchomą, jakby była z drewna.

— To Joey — powiedziała. — To mały chłopczyk mojej Milly.

A Byron, stojący za drzwiami, przed którymi zatrzymał się, gdy wszedł w nie doktor, usłyszał ten krzyk dziecka i stało się z nim coś strasznego. Pani Hines wywołała go w nocy z namiotu. Było w jej głosie coś takiego, że wciągnął spodnie, biegnąc już minął panią Hines, która wcale się nie rozbierała, wpadł w drzwi chaty i wbiegł do izby. Wtedy zobaczył ją i zamarł jak głaz. Pani Hines stała u jego boku, mówiąc do niego. Być może odpowiedział jej, odezwał się do niej. W każdym razie osiodłał muła i galopował do miasta, a wydawało mu się, że nadal patrzy na nią, leżącą na pryczy, dźwigającą się na wykręconych ramionach i patrzącą z pełnym jęku przerażeniem na zarys swego ciała, widocznego pod prześcieradłem. Widział to przez cały czas, gdy budził Hightowera, przez cały czas, gdy starał się przyspieszyć wyruszenie starego doktora, a gdzieś wewnątrz czaiła się ta czekająca uzbrojona w pazury myśl, gdyż myśli jego biegły zbyt szybko, aby miał czas pomyśleć. Otóż to: myśl zbyt szybka, aby ją można było pomyśleć, nim on i doktor przybyli do chaty. A

potem, stojąc przed drzwiami chaty, usłyszał płacz dziecka i stało się z nim coś strasznego.

Wiedział, że to właśnie czało się z pazurami i czekało, gdy przecinał pusty rynek, poszukując lekarza, którego zaniedbał zamówić. Wiedział teraz, dlaczego zaniedbał zamówić z góry lekarza. Dlatego, że nie wierzył, póki pani Hines nie wywołała go z namiotu,

że on (ona) będzie go potrzebował(o), że zaistnieje taka potrzeba. Jak gdyby w ciągu tego ostatniego tygodnia oczy jego rozumiały jej brzuch, a jego umysł nie przyjmował tego. “A jednak wiedziałem i wierzyłem — pomyślał. — Musiałem wiedzieć, jeżeli zrobiłem to, co zrobiłem, biegając, kłamiąc i robiąc ludziom kłopot”. Ale teraz wiedział, że nie wierzył, póki nie wyminął pani Hines i nie zajrzał do chaty. Gdy głos pani Hines wdarł się po raz pierwszy w jego sen, wiedział, co on oznacza i co się stało. Wstał i wciągnął na siebie jak parę spodni konieczność pośpiechu, wiedząc, dlaczego to robi, wiedząc, że od pięciu nocy oczekiwał tego. A jednak nadal nie wierzył. Wiedział teraz, że gdy podbiegł do chaty i zajrzał, spodziewał się zobaczyć ją, siedzącą, spodziewał się może spotkać ją przy drzwiach, łagodną, niezmienną, niezmienną. Ale nawet wówczas, gdy dotknął ręką klamki, usłyszał coś, czego nie słyszał nigdy przedtem. Było to jęklliwe zawodzenie, głośne, jednocześnie namiętne i nędzne, zdające się przemawiać do kogoś w języku, o którym wiedział, że niezrozumiały jest dla niego ani dla żadnego innego mężczyzny. Potem wyminął panią Hines w drzwiach i zobaczył ją, leżącą na pryczy. Nie widział jej nigdy przedtem w łóżku i przypuszczał, że jeżeli ją kiedykolwiek w nim zobaczy, będzie ona czujna, napięta, może trochę uśmiechnięta i zupełnie świadoma jego obecności. Ale gdy wszedł, nie spojrzała nawet na niego. Zdawała się nie wiedzieć nawet, że drzwi się otworzyły, że poza nią samą ktoś czy coś było w pokoju, a jeżeli nawet było — że przemawiała do niego w tym języku, niezrozumiałym dla mężczyzny. Była zakryta po szyję, ale górna połowa jej ciała była uniesiona na wyprostowanych ramionach, a głowę miała

414

opuszczoną. Włosy były w nieładzie, oczy wyglądały jak dwa otwory, a usta były tak bezkrwiste jak leżąca poza nią poduszka. W postawie pełnej niepokoju i zaskoczenia, zdawała się przyglądać z wyrazem skrzywdzonego niedowierzania swemu ukrytemu pod prześcieradłami ciała. Wydała znowu ze siebie ten głośny, beznadziejny, zawodzący okrzyk. Pani Hines pochylała się teraz nad nią. Odwróciła

głowę i spojrzała swą drewnianą twarzą przez purpurowe ramię.

— Niech pan idzie — powiedziała. — Niech pan idzie po doktora. To już nadeszło.

Nie przypominał sobie zupełnie, jak dostał się do stajni. A jednak znalazł się tam, schwytał swego muła i wyciągnąwszy siodło, osiodłał go. Poruszał się szybko, ale myśli płynęły powoli. Teraz wiedział, dlaczego tak się działo. Wiedział teraz, że myśli płynęły powoli i gładko, pełne wyrachowania, jak oliwa wylewana powoli na powierzchnię, pod którą kipi wzburzone morze. “Gdybym wiedział wtedy — pomyślał. — Gdybym wtedy wiedział. Gdyby to się przedostało na powierzchnię wtedy”. Myślał to spokojnie, pełen przerażenia, żalu i rozpacz. “Tak. Zawróciłbym i pojechałbym w przeciwnym kierunku. Poza obszar świadomości i pamięci ludzkiej. Myślę, że odjechałbym na wieki wieków”. Ale nie odjechał. Nie rozumiejąc jeszcze, przeleciał galopem obok chaty, a myśli biegły gładko i równo: “Gdybym tylko mógł wydostać się poza zasięg jej głosu, zanim znowu wrzaśnie — pomyślał. — Gdybym tylko zdążył odjechać, zanim będę ją musiał znowu usłyszeć”. To podtrzymywało go przez chwilę, gdy wjeżdżał na drogę, a myśli rozlewały się jak oliwa, równomiernie i gładko: “Najpierw pojedę do Hightowera. Pozostawię mu muła. Muszę pamiętać o tym,

415

żeby mu przypomnieć tę książkę lekarską. Nie wolno mi o tym zapomnieć” — powiedziała oliwa, unosząc go aż do miejsca, gdzie zeskoczył z biegnącego jeszcze muła i wbiegł do domu Hightowera. Potem przyszło co innego. “To już załatwiłem” — myśląc: Nawet jeżeli nie uda mi się znaleźć prawdziwego lekarza. To doprowadziło go do rynku i porzuciło tak, że czuł tamto, czające się ze szponami, myśląc: Nawet jeżeli nie uda mi się znaleźć prawdziwego lekarza. Bo nigdy nie wierzyłem, że będę go potrzebował. Nie wierzyłem. Tkwiło to w jego umyśle, paradoksalnie galopując na łeb na szyję, połączone w jednej uprzęży z koniecznością pośpiechu, gdy pomagał staremu lekarzowi szukać klucza do kasetki, aby znaleźć kluczyk samochodu. Znaleźli go wreszcie i przez pewien czas konieczność pośpiechu szła ręką w rękę z ruchem i szybkością jazdy po pustej drodze w świetle pustki świtu. Jak to ludzie zwykle robią, złożył na barki siedzącego obok doktora całą rzeczywistość, obawę i lęk. W każdym razie sprowadziło go to z powrotem do chaty, gdzie wyszli obaj z samochodu i podeszli do drzwi, za którymi nadal paliła się lampka. Ten okres przerwy był pauzą wypełnioną spokojem, zanim padł cios i pochwytyły go z tyłu te pazury. Usłyszał płacz dziecka. I wtedy zrozumiał. Świt rósł szybko. Byron stał spokojnie wśród chłodnej

ciszy, budząc się cicho: niski, nieokreślony człowiek, za którym żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie obejrzeliby się po raz drugi. Rozumiał teraz, że przez cały czas istniało coś, co chroniło go przed rozumieniem. Z surowym, ostrym zdumieniem myślał: Tego nie było, póki pani Hines nie zawołała mnie i nie usłyszałem jej, i nie zobaczyłem jej twarzy; wtedy zrozumiałem, że Byron Bunch jest dla

416

niej w tej chwili niczym, i zrozumiałem, że nie jest dziewczicą. I pomyślał, że to straszne. Ale to nie było jeszcze wszystko. Było jeszcze coś. Nie pochyłał głowy. Stał zupełnie nieruchomo w blasku rosnącego świtu, a myśli płynęły spokojnie: To także jest zachowane dla mnie, jak powiada wielebny Hightower. Muszę mu o tym powiedzieć. Muszę o tym powiedzieć Łukaszowi Burchowi. Nie było to już zaskoczeniem. Była to okropna i nie dająca się uleczyć rozpacz dojrzewania. Aż do teraz nie wierzyłem przecież, że on jest taki. Jak gdyby ja, ona i inni ludzie w to zamieszani byli tylko słowami bez żadnego znaczenia, nie będącymi nawet nami, gdy przez ten cały czas to, co było nami, żyło, bez względu na brak słów, które by nas określiły. Tak. Dopiero teraz uwierzyłem, że on jest Łukaszem Burchem. Że był kiedykolwiek jakiś Łukasz Burch.

— Szczęście — mówi Hightower. — Szczęście. Nie wiem, czy kiedykolwiek je posiadałem. — Ale doktor wszedł już do chaty. Spoglądając przez chwilę za siebie Hightower widzi grupkę ludzi przy łóżku i słyszy krzepiący głos doktora. Stara kobieta siedzi teraz spokojnie, ale gdy patrzy na nią, wydaje mu się, że tylko krótka chwila minęła od czasu, gdy mocował się z nią, odbierając jej dziecko, aby nie upuściła go na ziemię w swym niemym i wściekłym przerażeniu. Ale wściekłości tej nie umniejszało to, że była niema, gdy wyrwawszy nieomal dziecko z ciała matki uniosła je wysoko w górę, a jej ciężkie, niedźwiedzie ciało skuliło się, gdy spojrzała na starego człowieka, uspiętego na pryczy. Spał on już, gdy Hightower przybył. Zdawał się w ogóle nie oddychać, a obok łóżka kuliła się stara kobieta. Wyglądała zupełnie jak głaz pochylony nad przepaścią, a wchodzący Hightower pomyślał: Zabiła

417

go już. Tym razem zabezpieczyła się dobrze. Potem był bardzo zajęty. Stara kobieta była przy jego boku, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, póki nie wyrwała nie oddychającego jeszcze dziecka i nie ukryła go za sobą, patrząc jak tygrysica na starego człowieka, uspiętego na sąsiedniej pryczy. Dziecko odetchnęło i zapłakało, a kobieta odpowiedziała, także w nie znanym nikomu języku, dziko i triumfalnie. Jej twarz była

prawie obłąkana, gdy wyrwał jej dziecko, zanim zdążyła je upuścić.

— Widzi pani — powiedział. — Widzi pani! Leży spokojnie. Nie zabierze go tym razem. — Nadal wpatrywała się w niego, niema, zwierzęca, jakby nie rozumiała po angielsku. Ale wściekłość i triumf zniknęły z jej twarzy: wydała z siebie zachrypy, kwilący odgłos, starając mu się odebrać dziecko.

— Ostrożnie teraz... Czy będzie pani ostrożna?

Skinęła głową, kwiląc, dotykając lekko dziecka. Ale ręce jej były pewne, więc pozwolił jej wziąć dziecko. Teraz siedzi trzymając je na kolanach, gdy lekarz, który przybył za późno, stoi obok pryczy i mówi coś swym krzepiącym, szorstkim głosem, podczas gdy ręce jego pracują niestrudzenie. Hightower odwraca się i wychodzi, schodząc ostrożnie z pękniętego schodka na ziemię, jakby był starym człowiekiem albo jakby jego obwisły brzuch nabiły był czymś tak wybuchowym jak dynamit. Jest teraz już więcej niż świt; jest poranek; słońce już świeci. Przystaje, rozgląda się i woła:

— Byronie!

Nie ma żadnej odpowiedzi. Potem dostrzega, że zniknął muł, którego przywiązał w pobliżu do ogrodzenia. Wzdycha. “No — myśli — a więc osiągnąłem już punkt, w którym najwyższym poniżeniem, jakie

27 - Światłość...

418

może mnie spotkać z rąk Byrona, jest dwumilowy spacer do domu. Nie jest to godne ani Byrona, ani nienawiści. Ale jakże często nasze czyny nie są nas godne. Ani my naszych czynów”.

Powraca powoli do miasta: wysoki, brzuchaty mężczyzna w brudnym słomkowym kapeluszu, który poły swej szorstkiej bawełnianej koszuli nocnej ma wsunięte w spodnie. “Całe szczęście, że zdążyłem włożyć buty — myśli. — Jestem zmęczony” — myśli z rozdrażnieniem i wyczerpaniem, starając się nadażyć za własnymi nogami, gdy skręca w furtkę. Słońce stoi już wysoko, miasto przebudziło się. Gdzieniedzie czuje zapach gotującego się śniadania. “Mógłby przynajmniej — myśli — jeżeli już nie zostawił mi tego muła, przyjechać tu przede mną i rozpalić mi w piecu, jeżeli przypuszcza, że dwumilowy spacer pobudzi mój apetyt”.

Idzie do kuchni i rozpala w piecu, powoli, niezgrabnie, tak samo niezgrabnie po dwudziestu pięciu latach, jak pierwszego dnia, gdy musiał spróbować to zrobić. Nastawia kawę. “Potem położę się znowu do łóżka — myśli. — Ale wiem, że nie będę

spał”. Ale zauważa, że jego myśli brzmią zawodząco jak utyskiwanie starej kobiety, która nawet nie słucha siebie samej. Potem odkrywa, że jest w trakcie przyrządzania sobie zwykłego, potężnego śniadania 1 nieruchomości zupełnie, mlaskając językiem, jakby, z niezadowolenia. “Powinienem mieć gorsze samopoczucie, niż mam” — myśli. Ale musi przyznać, że tak nie jest. I gdy tak stoi, wysoki, bezkształtny, samotny w swej samotnej, źle utrzymanej kuchni, trzymając w ręce żelazną patelnię, na której rozlany jest zimny wczorajszy tłuszcz, przebiega przez niego płomień, fala, podmuch czegoś pra-

419

wie gorącego, prawie triumfalnego. “Pokazałem im! — myśli. — Życie odzywa się jeszcze w starym człowieku, a oni spóźniają się. Przybywają tam po resztki po nim, jak by powiedział Byron”. Lecz jest to tylko próżność i pełna próżności duma. Ale powolna i rozplywająca się fala nie zwraca na to uwagi, obojętna wobec napomnień. Myśli: “A cóż, jeśli tak? Jeśli to odczuwam? Triumf i dumę? Cóż, jeśli tak?” Ale najwyraźniej to ciepło, ten płomień nie wymaga także pomocy. Nie daje się także ugasić obecnością pomarańczy, jajek i przyrumienionego nad ogniem chleba z masłem. Hightower spogląda więc z góry na stojące na stole puste i brudne garnki i mówi, tym razem na głos:

— Na mą duszę! Nie będę ich teraz zmywał!

Nie idzie także do sypialni i nie próbuje zasnąć. Podchodzi do drzwi i, ogarnięty tym płomieniem celowości i dumy, zagląda przez nie do środka, myśląc: “Gdybym był kobietą. To właśnie zrobiłaby kobieta: poszłaby do łóżka i odpoczęła”. Idzie do gabinetu. On, który w ciągu dwudziestu pięciu lat nie robił zupełnie nic w przerwach pomiędzy budzeniem się i usypianiem, porusza się teraz jak człowiek, który ma jakiś określony cel. Także Tennyson nie jest teraz autorem, którego wybiera. Tym razem wybiera strawę dla mężczyzny. Jest to Henryk IV. Wychodzi do ogródka za domem i siada w wypchanym, płóciennym krześle, stojącym pod morwą, opadając na nie ciężko i masywnie. “Nie będę mógł usnąć — myśli — bo niedługo przyjdzie Byron i obudzi mnie. Ale dowiedzenie się o tym, co znowu sobie dla mnie wymyślił, będzie warte obudzenia”.

Usypia wkrótce, prawie natychmiast, i chrapie. Ktokolwiek zatrzymałby się teraz za krzesłem, ujrzałby

420

pod podwójnym odbiciem nieba w okularach twarz niewinną, spokojną i

pewną siebie. Ale nikt nie nadchodzi, choć gdy Hightower budzi się prawie po sześciu godzinach, sądzi, że ktoś go zawołał. Siada gwałtownie, a krzesło skrzypi pod nim.

— Tak? — mówi. — Tak? Kto to?

Ale nie ma nikogo, choć jeszcze przez chwilę rozgląda się, zdając się czekać z tym wyrazem siły i pewności siebie. Płomień nadal nie zniknął. “Miałem nadzieję, że prześpię to” — myśli, myśląc natychmiast: “Nie. Nie mam na myśli miałem nadzieję. Mam na myśli obawiałem się. A więc poddałem się” — myśli spokojny, nieruchomy. Zaczyna zacierać ręce, początkowo łagodnie i z poczuciem winy. “I ja się poddałem. I pozwolę sobie. Tak. Może i to także jest dla mnie zachowane”. A potem wypowiada to, myśląc: To dziecko, które przyjąłem. Nie mam żadnego imiennika. Ale wiem, że bywały wypadki, gdy wdzięczne matki nazywały je imieniem lekarza, który pomagał przy porodzie. Ale przecież jest Byron. Byron, oczywiście, będzie o krok przede mną. Będzie musiała mieć inne dzieci, więcej dzieci, przypominając sobie młode, zdrowe ciało, z którego zmaganiń porodowych nawet było coś spokojnego i nieustraszonego. Więcej dzieci. O wiele więcej. To będzie jej życie, jej przeznaczenie. Piękna rasa, zaludniająca posłusznie piękny świat. Z tych serdecznych bioder rodzić się będą bez pośpiechu matki i córki. Ale następne będą splodzone przez Byrona. Biedny chłopak. Nawet jeżeli skazał mnie na pieszy spacer do domu.

Wchodzi do mieszkania. Goli się, zdejmując nocną koszulę, wkłada koszulę, którą nosił wczoraj, aksamitny krawat i słomkowy kapelusz. Droga do chaty nie zaj-

421

muje mu tyle czasu, ile zajął powrót do domu, choć idzie teraz przez las, gdzie trudniej się poruszać. “Muszę to robić częściej — myśli, idąc wśród uderzających go od czasu do czasu promieni słońca i wśród upału, wdychając dziki, żyzny zapach ziemi, lasu, głośnej ciszy. — Nie powinienem był także porzucać i tego przyzwyczajenia. Ale może oba powrócą jeszcze do mnie, jeśli już to, samo w sobie, nie jest równe modlitwie”.

Wynurza się z lasu w najdalszym krańcu pastwiska leżącego za chatą. Ponad chatą dostrzega kępę drzew, w której dom stał i spłonął, choć z tego miejsca nie widać zwęglonych i niemych resztek tego, co niegdyś było deskami i belkami. “Biedna kobieta — myśli. — Biedna jałowa kobieta. Nie udało się jej przeżyć jeszcze jednego tygodnia, po którym życie i szczęście powróciły do tego miejsca. Powróciły do tych jałowych i wyniszczonych pól”. Wydaje mu się, że widzi i wyczuwa wokół siebie duchy żyznych pól i bogate, brzemienne życie czarnych grządek, łagodne nawoływania,

obecność płodnych kobiet, nagie dzieci, siedzące w kurzu przed drzwiami, i wielki dom, znowu hałaśliwy, rozbrzmiewający wysokimi nawoływaniem pokoleń. Zbliży się do chaty. Nie puka. Otwierając ręką drzwi woła serdecznym, prawie donośnym głosem:

— Czy doktor może wejść?

W chacie nie ma nikogo, poza dzieckiem i jego matką. Siedzi ona na pryczy, mając dziecko przy piersi. Gdy Hightower wchodzi, naciąga prześcieradło na swą obnażoną pierś, patrząc na drzwi bez niepokoju, ale czujnie. Twarz ma ułożoną w wyraz pełen łagodności i ciepła, jak gdyby za chwilę miała się uśmiechnąć. Hightower widzi, że wyraz ten znika.

422

WILUAM FAULKNER

— Myślałam... — mówi ona.

— Myślała pani, że to kto? — woła donośnie. Podchodzi do pryczy i przypatruje się z góry jej i maleńkiej, dziecięcej twarzyczce o barwie terakoty, która zdaje się nie posiadać ciała i uśpiona zwisa przy piersi matki. Ona znowu podciąga wyżej prześcieradło, skromna i spokojna, a nad nią stoi wycieńczony, brzuchaty, łysy człowiek, o twarzy łagodnej, roześmianej i triumfującej. Ona opuszcza spojrzenie na dziecko.

— Wygląda na to, że po prostu nie da się go zaspokoić. Kiedy myślę, że śpi, wtedy kładę go, a wtedy on zaczyna wrzeszczeć i muszę go znowu przyłożyć.

— Nie powinna pani tu być sama — mówi Hightower. Rozgląda się po izbie. — Gdzie...

— Ona też odeszła. Do miasta. Nie powiedziała mi tego, ale tam poszła. On wysliznął się, a kiedy się zbudziła, zapytała, gdzie on jest, a kiedy jej powiedziałam, że on wyszedł, poszła za nim.

— Do miasta? Wysliznął się? — A potem mówi: — Och. — Twarz jego jest teraz poważna.

— Przyglądała mu się przez cały dzień. A on się przyglądał jej. Mogłam to zgadnąć. Udawał, że śpi. Ona myślała, że on śpi. Więc po obiedzie nie wytrzymała już. Nie spała wcale zeszłej nocy, więc po obiedzie usiadła w krześle i zdrzemnęła się. A on przyglądał się jej, a kiedy usnęła, wstał bardzo ostrożnie z tej drugiej pryczy, mrugając i wykrzywiając się do mnie. Podszedł do drzwi, ciągle mrugając i wykrzywiając się do mnie przez ramię, a potem wyszedł na palcach. Nie próbowałam go zatrzymać ani

jej budzić. — Spogląda na Hightowera poważnymi, szeroko otwartymi oczami. — Przestraszyłam się. On tak dziwnie mówi. I tak jakoś patrzył na mnie. Jakby to całe mruganie i wy-

423

krzywianie się było nie po to, żebym jej nie obudziła, ale żeby mi powiedzieć, co się ze mną stanie, jeżeli to zrobię. Więc się przestraszyłam. Leżałam tu, trzymając dziecko, a zaraz potem ona się ocknęła. Wtedy zrozumiałam, że nie miała zamiaru usnąć. Było to tak, jakby budząc się, biegła już do pryczy, na której on przedtem leżał, dotykając jej, jakby nie mogła uwierzyć, że odszedł. Bo stała nad tą pryczą, dotykając koca, jakby myślała, że się gdzieś pod nim zawieruszył. A potem spojrzała na mnie. Nie mrugała ani nie wykrzywiła się, ale prawie chciałam, żeby tak robiła. Zapytała mnie, więc jej powiedziałam, a wtedy włożyła kapelusz i wyszła. — Spogląda na Hightowera. — Cieszę się, że poszła. Myślę, że nie powinnam tego mówić po tym wszystkim, co zrobiła dla mnie. Ale...

Hightower stoi pochylony nad pryczą. Zdaje się jej nie dostrzegać. Twarz ma poważną. Wygląda, jakby stojąc tu postarzał się o dziesięć lat. Albo jak gdyby twarz jego dopiero teraz wyglądała tak, jak powinna wyglądać, a gdy wchodził tu, była obca sobie samej.

— Do miasta — mówi. Jego oczy budzą się, widzą znowu. — Cóż, nie można temu zapobiec — mówi. — Poza tym ludzie w mieście, ci rozsądni... będzie ich bardzo niewielu... Dlaczego cieszy się pani, że poszli?

Ona patrzy w dół. Jej ręka błędzi ponad głową dziecka, nie dotykając jej: jest to ruch instynktowny, niepotrzebny, najwyraźniej nieświadomy.

— Ona była bardzo dobra. Więcej niż dobra. Trzymała dziecko tak, żebym mogła odpocząć. Ona chce je trzymać przez cały czas. Siedzi tam w krześle, skąd... Musi mi pan wybaczyć. Nie prosiłam pana, żeby pan usiadł. — Przypatruje mu się, gdy przysuwa sobie krzesło do pryczy i siada. — ...Skąd może się mu przy-

424

glądać, gdy on leży na pryczy, a ona myśli, że on śpi.

— Spogląda na Hightowera, a oczy jej są pełne napięcia i pytające: — Ona ciągle nazywa go Joey. A on nie ma na imię Joey. I ciągle... — Przygląda się Hightowerowi. Jej oczy są teraz zaniepokojone, pytające, niepewne: — Ciągle mówi o... Pomieszało się jej coś. A czasami i mnie się zaczyna mieszać, kiedy słucham i muszę... — Jej oczy i jej słowa szukają niezdarnie, po omacku.

– Mieszać?

– Ona ciągle mówi o nim, jakby jego ojcem był ten... ten w więzieniu, ten pan Christmas. Ciągle tak mówi, a wtedy mnie się też zaczyna mieszać i czasami nie mogę... Jakby mnie się też coś pomieszało... i też myślę, że jego tatusiem jest ten pan... pan Christmas.

– Przygląda mu się. Zdaje się robić jakiś ogromny wysiłek. – Ale przecież wiem, że tak nie jest. Wiem, że to głupie. To tylko dlatego, że ona ciągle to mówi, a ja pewnie nie jestem jeszcze silna i dlatego mnie się też to miesza. Ale boję się...

– Czego?

– Nie lubię, kiedy mi się miesza. I boję się, żeby ona mnie nie pomieszała, żeby nie było jak z zezem. Robi się zeza, a potem nie można oczu cofnąć z powrotem na miejsce... – Urywa, patrzy na niego. Nie porusza się. Czuje, że on patrzy na nią.

– Powiedziała pani, że dziecku nie jest na imię Joe. A jak mu jest na imię?

Jeszcze przez chwilę nie patrzy na Hightowera. Potem unosi wzrok. Mówi za prędko, za łatwo:

– Nie nazwałam go jeszcze.

A on wie dlaczego. Jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy w tej chwili. Po raz pierwszy zauważa, że jej

425

włosy zostały niedawno uczesane i że odświeżyła sobie twarz. Widzi na wpół ukryte pod prześcieradłem grzebień i ułamek lustra, które wepchnęła tam pośpiesznie, gdy wchodził.

– Gdy wszedłem, oczekiwała pani kogoś. Nie mnie. Kogo pani oczekiwała?

Ona nie odwraca oczu. Jej twarz nie jest niewinna ani obłudna. Nie jest także cicha i łagodna.

– Czy oczekiwała pani Byrona Buncha?

Ona nadal nie odwraca oczu. Twarz Hightowera jest poważna, skupiona, łagodna. Jest jednak na niej owa bezlitosność, którą Lena widziała w twarzach niewielu dobrych ludzi, mężczyzn przeważnie, których znała. On pochyla się i kładzie swoją dłoń na jej dłoni w miejscu, w którym podtrzymuje ona dziecko..

– Byron Bunch to dobry człowiek – mówi.

– Myślę, że wiem o tym tak samo jak wszyscy. Bardziej niż wszyscy.

– I pani też jest dobrą kobietą. Będzie pani. Nie mam na myśli... – dodaje szybko. Potem urywa. – Nie miałem na myśli...

— Myślę, że wiem — mówi ona.

— Nie. Nie to. To nie ma znaczenia. To jeszcze nic nie jest. Wszystko zależy od tego, co pani z tym zrobi później. Ze sobą. Z innymi. — Patrzy na nią. Ona nie odwraca oczu. — Niech pani mu da odejść. Niech go pani odrzuci od siebie. — Patrz na siebie. — Odrzuć go, córko. Masz pewnie niewiele więcej niż połowę jego lat. Ale żyłaś już co najmniej dwa razy dłużej niż on. On cię nigdy nie dopędzi i nie zrówna się z tobą, bo zmarnował zbyt wiele czasu. I to jego Nic jest tak samo nie do naprawienia jak twoje Wszystko. Ani on nie może cofnąć się, by to zrobić, ani ty nie możesz

426

cofnąć się, by to odrobić. Masz dziecko, chłopca, który nie jest jego synem, spłodzone z mężczyzną, który nie jest nim. Włoczysz siłą dwóch mężczyzn i tylko jedną trzecią kobiety w życie człowieka, który zasługuje co najmniej na tyle, aby pustka, w której żył przez trzydzieści pięć lat, została pogwałcona (jeśli musi być pogwałcona) bez udziału dwóch świadków. Odrzuć

go-

— To nie do mnie należy. Jest wolny. Niech go pan zapyta.. Ani razu nie starałam się go zatrzymać.

— Otóż to. Prawdopodobnie nie mogłabyś go zatrzymać, gdybyś chciała. Otóż to. Gdybyś wiedziała jak. Ale gdybyś wiedziała jak, nie leżałabyś tu, na tej pryczy, z dzieckiem przy piersi. Więc nie odrzucisz go? Nie powiesz mu tego?

— Nie mogę powiedzieć więcej, niż powiedziałam. A powiedziałam mu: Nie pięć dni temu.

— Nie?

— Powiedział, żebym wyszła za niego za mąż. Żeby nie czekała. A ja powiedziałam: Nie.

— A czy teraz też powiedziałabyś: Nie? On spogląda na niego spokojnie.

— Tak. Powiedziałabym: Nie. On wzdycha, wielki, bezkształtny. Twarz jego znowu jest obwisła i wyczerpana.

— Wierzę ci. Powtórzysz to także po spotkaniu z... — Znowu na nią spogląda. Jego wzrok jest twardy i pełen napięcia. — Gdzie on jest? Byron?

Ona patrzy na niego. Po pewnym czasie mówi spokojnie:

— Nie wiem.

Patrzy na niego i nagle twarz jej staje się zupełnie pusta, jak gdyby zaczęło z niej odpływać coś, co da-

wało jej siły i niewzruszoność. Nie ma na niej teraz obłudy, niepokoju ani ostrożności.

— Wrócił dzisiaj rano około dziesiątej. Nie wszedł. Podeszedł tylko do drzwi, zatrzymał się i spojrzał na mnie. A ja nie widziałam się z nim od zeszłej nocy, a on nie widział jeszcze dziecka, więc powiedziałam: “Niech pan wejdzie i obejrzy go” — a on spojrzał na mnie, stojąc tam w drzwiach, i powiedział: “Przyszedłem dowiedzieć się, kiedy go pani chce zobaczyć”. A ja zapytałam: “Kogo zobaczyć?” — a on powiedział: “Może będą musieli z nim wysłać zastępcę szeryfa, ale chyba uda mi się przekonać Kennedy'ego, żeby mu pozwolił przyjść”. A ja zapytałam: “Komu pozwolił przyjść?” — a on powiedział: “Łukaszowi Burch” — a ja powiedziałam: “Tak” — a on zapytał: “Czy dziś wieczór? Czy tak będzie dobrze?” — a ja powiedziałam: “Tak” — a on odszedł.

Gdy przygląda się on jej z tą rozpaczą, jaka ogarnia wszystkich mężczyzn na widok kobiecych łez, ona zaczyna płakać. Siedzi wyprostowana, trzyma dziecko przy piersi, płacząc, nie głośno i nie gwałtownie, ale z cierpliwą i nie spodziewającą się niczego beznadziejnością, nie kryjąc twarzy. — A pan męczy mnie i męczy, czy powiedziałam: Nie, a ja już powiedziałam mu: Nie, a pan męczy mnie i męczy, a jego już nie ma. I nigdy go już nie zobaczę.

Hightower siedzi, a kiedy ona pochyla wreszcie głowę, podnosi się i staje nad nią, kładąc dłoń na jej pochylonej głowie i myśląc: Dzięki Bogu, Boże, zmiłuj się nade mną. Dzięki Bogu, Boże, zmiłuj się nade mną.

Odnalazł dawną ścieżkę, którą Christmas chodził przez las do tartaku. Nie wiedział, że istnieje ona, ale gdy odkrył, w którym kierunku biegnie, wydała mu

WILLIAM FAULKNER

się radosną wróżbą. Wierzy dziewczynie, ale pragnie potwierdzenia dla zwykłej przyjemności powtórnego usłyszenia tej nowiny. Wybija właśnie czwarta, gdy dochodzi do tartaku. Pyta w biurze.

— Bunch? — mówi księgowy. — Nie spotka go pan tu już. Odszedł dziś rano.

— Wiem, wiem — mówi Hightower.

— Pracował w naszej firmie przez siedem lat, nawet w popołudnia sobotnie. A dziś rano wszedł i powiedział, że odchodzi. Bez powodu. Ale ci wieśniacy tacy już są.

— Tak, tak — mówi Hightower. — Ale to dzielni ludzie. Dzielni mężczyźni i dzielne kobiety. — Wychodzi z biura. Droga do miasta przechodzi obok szopy

heblarskiej, gdzie pracował Byron. Hightower zna majstra Mooneya. — Słyszałem, że Byron Bunch nie pracuje już z wami — mówi zatrzymując się.

— Tak — mówi Mooney. — Odszedł dziś rano.

Ale Hightower nie słyszy. Ludzie w kombinezonach przypatrują się lichu ubranej, dziwnie zbudowanej, niezupełnie znajomej postaci, przyglądającej się z radosnym zaciekawieniem ścianom, deskom i tajemniczym maszynom, których istnienia i celu nie mogłaby zrozumieć ani nauczyć się.

— Jeżeli chce się pan zobaczyć — mówi Mooney — to myślę, że znajdzie go pan w mieście, w sądzie.

— W sądzie?

— Tak, proszę pana. Sąd przysięgłych zbiera się dzisiaj. Nadzwyczajne posiedzenie. Żeby postawić mordercę w stan oskarżenia.

— Tak, tak — mówi Hightower. — Więc odjechał. Tak. Doskonały, młody człowiek. Do widzenia, panowie, do widzenia. Do widzenia panom.

429

Odchodzi, a ubrani w kombinezony mężczyźni patrzą za nim przez pewien czas. Ręce ma zaplecione z tyłu. Kroczy przed siebie, myśląc cicho, spokojnie, smutno: “Biedny człowiek. Biedny człowiek. Żaden człowiek nie jest, nie może być usprawiedliwiony, gdy odebrał komuś życie, a już najmniej urzędnik, zaprzysiężony sługa współobywateli. Jeżeli jest to publicznie uznane w osobie wybranego urzędnika, który wie, że jego ofiara nie zadała mu cierpienia, bez względu na to, jaką nadamy nazwę tej jego ofierze, to jakże możemy wymagać, aby pojedynczy człowiek cofnął się przed tym czynem, jeśli wierzy, że jego ofiara zadała mu cierpienie?” Idzie dalej. Znajduje się teraz na swej ulicy. Wkrótce dostrzega ogrodzenie swego domu, szyld, a potem dom, ukryty za gęstymi, sierpniowymi liśćmi. “Więc odjechał i nie przyszedł nawet, żeby się ze mną pożegnać. Po tym wszystkim, co zrobił dla mnie. Co mi przyniósł. Tak, dał, przywrócił mi. Zdawałoby się, że to także zostało zachowane dla mnie. I chyba to już wszystko”.

Ale to nie było wszystko. Jeszcze jedno było zachowane dla niego.

18

Gdy Byron znalazł się w mieście, dowiedział się, że nie będzie mógł przed południem widzieć szeryfa, bo szeryf będzie przez cały ranek zajęty na nadzwyczajnym posiedzeniu sądu przysięgłych.

— Będziesz musiał poczekać — powiedzieli mu.

— Tak — odpowiedział Byron. — Wiem jak.

— Co wiesz jak?

430

Ale nie odpowiedział. Wszedł z urzędu szeryfa i stanął pod kolumnadą, spoglądającą na południową stronę rynku. Z wąskiego, opadającego tarasu wyrastały kamienne kolumny, pochylone, obdrapane, pocętkowane przez całe pokolenia, które niedbale gasiły o nie papierosy. Pod nimi, równomiernie i nieustannie, z zupełną bezcelowością (a gdzieś stali nieruchomo, mówiąc ze sobą kącikami ust, młodzi ludzie z miasta, znani Byronowi częściowo jako urzędnicy, młodzi adwokaci, a nawet kupcy, mający przeważnie wygląd rozkazujący, jak przebrani policjanci, nie bardzo dbający o to, czy przebranie ukrywa w nich policjanta, czy też nie) poruszali się ludzie ze wsi, wyglądem przypominający nieomal mnichów w klasztorze, rozmawiający ze sobą spokojnie o pieniądzach i plonach, spoglądający od czasu do czasu w górę, na dach, pod którym sąd przysięgłych przygotowywał się za zamkniętymi drzwiami, by człowiekowi, którego tylko niewielu z nich widziało lub znało, odebrać życie, gdyż odebrał życie kobiecie, którą nawet mniej niż niewielu z nich znało lub widziało. Wozy i zakurzone samochody, w których przybyli do miasta, zaparkowane były na rynku i w ulicach, a żony i córki, które przybyły z nimi do miasta, stały grupkami w sklepach i przed sklepami, sunąc wolno i bez celu, jak stada bydła albo chmury. Byron stał tam przez dłuższy czas, nieruchomy, nie opierając się o nic; niewielki człowieczek, który żył w mieście przez siedem lat i którego znało z nazwiska i obyczajów jeszcze mniej ludzi niż mordercę i zamordowaną.

Byron nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie dbał o to teraz, choć jeszcze przed tygodniem byłoby inaczej. Nie stałby tu, w miejscu, gdzie każdy mógłby spojrzeć

431

na niego i rozpoznać go: Byron Bunch, ten, który bez pomocy kosiarzy wyrwał plon zasiany przez drugiego człowieka. Facet, który zaopiekował się kochanką innego faceta, gdy tamten facet był zajęty zarabianiem tysiąca dolarów. I nic za to nie dostał. Byron Bunch, który bronił jej dobrego imienia, gdy kobieta posiadająca to dobre imię i mężczyzna, któremu je powierzyła, odrzucili je. Który postarał się o to, aby bekań innego człowieka urodził się w spokoju, w ciszy i za pieniądze Byrona Buncha, a jako zapłatę otrzymał jeden krzyk tego dziecka. Nie otrzymał nic, prócz zezwolenia na sprowadzenie do niej z powrotem tego drugiego faceta, tak szybko, jak tylko tamten podejmie tych tysiąc dolarów, a Byron nie będzie już więcej potrzebny. Byron Bunch.

“A teraz mogę odjechać” — pomyślał. Zaczął oddychać głęboko. Wczuwał się w swój głęboki oddech, jakby następnym razem jego wnętrzości mogły nie rozsunać się tak szeroko i spowodować, że stanie się coś strasznego. A przez cały czas spoglądał w dół na swoją pierś i nie widział prawie żadnego ruchu, jakby to był dynamit, pęczniejący do tego już. Już. JUŻ, choć wygląd ładunku nie zmienia się. Ktoś przechodzący, rzuciwszy na niego okiem, nie dostrzegłby w nim żadnej zmiany: mały człowieczek, na którego nie spojrzalbyś dwa razy i nigdy nie uwierzyłbyś, że zrobił to, co zrobił, i że odczuwa to, co odczuwa. Samotny człowiek, który wierzył, że tam w tartaku, w owo sobotnie popołudnie, nie odnajdzie go nic, co mogłoby mu uczynić krzywdę.

Szedł teraz pomiędzy ludźmi. “Muszę gdzieś pójść” — myślał.

Mógł iść w takt tego: “Muszę gdzieś pójść”. To go popychało. Nadal mówił to, gdy zbliżył się do pensjo-

432

natu. Jego pokój wychodził na ulicę. Zanim zdał sobie sprawę z tego, że patrzy w tamtym kierunku, odwrócił głowę. “Mógłbym zobaczyć kogoś czytającego albo palącego papierosa w oknie” — pomyślał. Wszedł do sieni. Wchodząc ze światła jasnego poranka nie mógł przez chwilę niczego dostrzec. Czuł zapach mydła i mokrego linoleum. “Wciąż jeszcze jest poniedziałek — pomyślał. — Zapomniałem o tym. Może to już następny poniedziałek? Tak by się wydawało”. — Nie zawołał. Po pewnym czasie zaczął więcej widzieć. Z końca sieni, a może z kuchni, dochodził szelest miotły. Później, w jasnym prostokącie także otwartych drzwi od podwórza, zobaczył zagładającą głowę pani Beard, a potem pełną sylwetkę jej ciała, zbliżającego się wzdłuż sieni.

— No — powiedziała — to pan Byron Bunch. Pan Byron Bunch. — Powiedział: — Tak, proszę pani — myśląc: “Tylko gruba dama, która nie miała w życiu do czynienia z niczym więcej, tylko z kubłem brudnej wody, mogłaby wytrzymać, aby nie postarać się...” — Raz jeszcze nie mógł przypomnieć sobie słowa, które znałby Hightower, którego by użył, nawet nie zastanawiając się. “Wygląda na to, że nie tylko nie mogę zrobić nic, żeby go w to nie wmieszać, ale nie mogę nawet niczego pomyśleć bez jego pomocy”. — Tak, proszę pani — powiedział. A potem stał tam, nie mogąc nawet powiedzieć jej, że przyszedł się pożegnać. “Może nie przyszedłem się pożegnać — pomyślał. — Myślę, że gdy facet mieszkał w jakimś pokoju przez siedem lat, to nie wyprowadzi się tak z dnia na dzień. Ale myślę, że to nie przeszkodziłoby jej wynająć tego pokoju”. — Myślę, że jestem pani trochę winien za komorne — powiedział.

Spojrzała na niego: twarda, zadowolona z siebie twarz, nie pozbawiona serdeczności.

— Komorne, za co? — zapytała. — Myślałam, że pan się już osiedlił. Że postanowił pan lato spędzić w namiocie. — Spojrzała na niego. Potem powiedziała mu. Zrobiła to delikatnie, łagodnie, rozważnie. — Dostałam już komorne za ten pokój.

— Och — powiedział. — Tak. Rozumiem. Tak.

Spojrzał spokojnie w górę, wzdłuż wyszorowanych schodów pokrytych linoleum poprzecieranym także jego nogami. Był pierwszym z pensjonariuszy, który wszedł na górę po tym linoleum, gdy położono je przed trzema laty.

— Och — powiedział. — No, to myślę, że lepiej będzie, jeżeli...

Odpowiedziała na to również natychmiast, w sposób nie pozbawiony serdeczności.

— Przypilnowałam tego. Wszystko, co pan zostawił, włożyłam do pana walizki. Jest w moim pokoju. Ale może pan chce wejść na górę i sprawdzić?

— Nie. Myślę, że ma pani pełne... No, myślę że ja... Przyglądała mu się.

— Wy, mężczyźni — powiedziała. — Nic dziwnego, że baby nie mają do was cierpliwości. Nie znacie nawet granic własnego łotrostwa, które, jeżeli już o tym mówimy, nie są pewnie szersze, niż trzeba dla okręcenia szpilki. Myślę, że bez pomocy jakiejś kobiety, wrzeszcząc poszlibyście, jeden za drugim, do nieba, zanim zdążylibyście skończyć dziesięć lat.

— Myślę, że nie ma pani żadnego powodu, żeby mówić coś przeciwko niej — powiedział.

— Nie mam. I nie muszę mieć. Ani żadna inna kobieta, która to robi. Nie mówię, że to nie kobiety naj-

28 - Światłość...

WILUAM FAULKNER

więcej o tym gadały. Ale gdyby pan miał trochę więcej rozumu, niż mają mężczyźni, wiedziałby pan, że u kobiet mówienie nic nie znaczy. To chłopcy biorą gadanie na serio. Żadna kobieta nie myśli źle o panu ani o niej. Bo każda kobieta wie, że nie miała ona żadnego powodu, żeby źle z panem postąpić, nawet biorąc pod uwagę to dziecko. Ani z żadnym innym mężczyzną. Nie miała potrzeby tego robić. Czy pan, ten pastor i wszyscy inni mężczyźni, którzy o niej słyszeli, nie zrobili już dla niej

wszystkiego, czego tylko mogła chcieć albo żądać? Dlaczego miałyby być zła? Niech mi pan powie.

— Tak — powiedział Byron. Nie patrzył na nią teraz. — Przyszedłem tylko, żeby...

Odpowiedziała i na to, zanim zdążył dokończyć.

— Myślę, że niedługo już pan nas opuści. — Przyglądała mu się. — Co postanowili dziś rano w sądzie?

— Nie wiem. Nie skończyli jeszcze.

— I tego się spodziewałam. Narobią sobie kłopotów, stracą, ile tylko będą mogli, czasu i pieniędzy publicznych na to, co my, kobiety, załatwiłybyśmy w dziesięć minut w sobotę wieczorem. Za to, że jest takim głupcem. Nie dlatego, że Jefferson będzie żałowało, że go straci. Ale być takim głupcem, żeby nie rozumieć, że zabicie kobiety nie zrobi mężczyźnie więcej dobrego, niż zabicie mężczyzny zrobiłoby kobiecie... Myślę, że puszczą teraz tego drugiego.

— Tak, proszę pani. I ja tak myślę.

— I wierzyli przez pewien czas, że on w tym pomógł. Więc dadzą mu tych tysiąc dolarów, żeby pokazać, że nie mają urazy. A potem będą mogli się pobrać. Chyba tak będzie, prawda?

— Tak, proszę pani.

435

Czuł na sobie jej nie pozbawione serdeczności spojrzenie.

— I tak sobie myślę, że odjedzie pan od nas. Myślę, że zbrzydło już panu trochę Jefferson. Tak pan to czuje, prawda?

— Mniej więcej tak. Myślę, że odjadę.

— No cóż, Jefferson to dobre miasto. Ale nie tak dobre, żeby taki niczym nie związany człowiek jak pan nie mógł znaleźć w innym mieście dosyć nieszczęść i kłopotów, aby mieć się czym zająć... Jeżeli pan chce, może pan zostawić swoją walizkę do czasu, kiedy będzie pan gotów.

Czekał do popołudnia i dłużej. Czekał do chwili, kiedy wydało mu się, że szeryf musiał już zjeść obiad. Wtedy poszedł do domu szeryfa. Nie chciał wejść do środka. Czekał przy drzwiach, póki nie wyszedł szeryf: gruby mężczyzna o rozumnych oczach, lśniących jak kawałki miki w jego tłustej, nieruchomej twarzy. Odeszli na bok w cień rosnącego na podwórzu drzewa. Nie było ławki. Nie przykucnęli także, choć w zwykłych okolicznościach (obaj byli wychowani na wsi) zrobiliby to. Szeryf słuchał

spokojnie tego człowieka: spokojnego, niskiego człowieka, który w ciągu siedmiu lat był małą tajemnicą dla miasta, a w ciągu ostatnich siedmiu dni stał się prawie publicznym zgorszeniem i obelgą.

— Rozumiem — powiedział. — Myślisz, że nadszedł czas, żeby się pobrali.

— Nie wiem. To jego sprawa i jej. Ale myślę, że lepiej będzie, jeżeli on tam pójdzie i zobaczy się z nią. Może pan wysłać z nim zastępcę. Powiedziałem jej, że on tam przyjdzie dziś wieczorem. Co zrobią potem, to już jej sprawa i jego. Nie moja.

436

— Pewnie — powiedział szeryf. — Nie twoja. — Patrzył na profil tamtego. — Co chcesz teraz zrobić, Byronie?

— Nie wiem. — Stopa jego poruszała się wolno po ziemi. Przyglądał się jej. — Myślę o tym, żeby się przenieść do Memphis. Myślę o tym już od paru lat. Może to zrobię. Nie ma nic ciekawego w tych małych miasteczkach.

— Pewnie. Memphis to niezłe miasto dla tych, którzy lubią życie wielkomiejskie. Oczywiście, nie masz żadnej rodziny, którą musiałbyś za sobą ciągnąć i która by cię krępowała. Myślę, że gdybym był dziesięć lat temu samotnym człowiekiem, zrobiłbym to samo. Może by mi się lepiej powodziło. Chcesz pewnie zaraz odjechać.

— Myślę, że wkrótce. — Spojrzał w górę, potem znowu w dół. Powiedział: — Odszedłem dziś rano z tego tartaku.

— Pewnie — powiedział szeryf. — Tak sobie pomyślałem, że nie przeszedłeś przecież tej całej drogi od dwunastej, mając zamiar wrócić tam na pierwszą. No, to wygląda na to, że... — Umilkł. Wiedział, że do wieczora sąd przysięgłych postawi w stan oskarżenia Christmаса, a Brown — czy Burch — będzie wolny, poza obowiązkiem stawienia się w przyszłym miesiącu w sądzie w charakterze świadka. Ale obecność jego nie byłaby zupełnie konieczna, bo Christmas nie zaprzeczył, a szeryf przypuszczał, że przyzna się do winy, chcąc uratować głowę. "I nie robi to nikomu żadnej krzywdy, jeżeli się raz w życiu wbije temu durnemu facetowi w głowę bożą" — pomyślał. Powiedział:

— Myślę, że to się da zrobić. Oczywiście, tak jak to

437

powiedziałeś, będę musiał z nim wysłać zastępcę. Nawet jeżeli nie będzie chciał uciekać, póki ma jeszcze nadzieję otrzymania części tych pieniędzy z nagrody. Ale założmy, że nie będzie wiedział, co tam zastanie. Przecież jeszcze nie wie.

— Nie — powiedział Byron. — Nie wie jeszcze. Nie wie, że ona jest w Jefferson.

— Więc zdaje mi się, że po prostu wyślę go tam z zastępcą. Nie powiem mu dlaczego: po prostu go wyślę. Chyba że sam chcesz go tam zabrać.

— Nie — powiedział Byron. — Nie. Nie. — Ale nie poruszył się.

— To właśnie zrobię. Do tego czasu odjedziesz, jak myślę. Po prostu wyślę z nim zastępcę. Czy czwarta godzina będzie odpowiednia?

— Znakomita. Będzie to bardzo uprzejmie z pana strony. To będzie wielka uprzejmość.

— Pewnie. Wielu ludzi, oprócz mnie, było dobrych dla niej od czasu, kiedy przyjechała do Jefferson. Więc nie żegnam się, bo myślę, że Jefferson jeszcze cię kiedyś zobaczy. Nie znałem dotąd nigdy człowieka, który by tu mieszkał i odjechał na zawsze, z wyjątkiem może tego faceta, tam w więzieniu. Ale myślę, że on się przyzna. Uratuje gardło. Wywiezie je z Jefferson, w każdym razie. To naprawdę przykre dla tej starej pani, która myśli, że jest jego babką. Ten staruszek był w mieście, kiedy powracałem do domu, wrzeszczał i gardłował, nazywając ludzi tchórzami, bo nie chcieli go wyciągnąć z więzienia i zlinczować. — Zaczął chichotać grubo. — Niech lepiej uważa, bo Percy Grimm i jego armia schwytają go. — Spowaźniał. — To naprawdę przykre dla niej. Dla kobiet. Spojrzał na profil Byrona. — To było naprawdę przykre dla wielu z nas.

438

Więc wróć tu któregoś dnia. Może następnym razem Jefferson potraktuje cię lepiej.

O czwartej po południu tego dnia widzi z ukrycia nadjeżdżający i zatrzymujący się samochód, z którego wysiadają: zastępca i człowiek znany mu pod nazwiskiem Brown. Zbliżają się do chaty. Brown nie jest już skuty. Byron przygląda się im, gdy podchodzą do chaty, i widzi, że zastępca popycha Browna ku drzwiom. Potem drzwi zamykają się za Brownem, zastępca siada na schodku i wyjmuje z kieszeni woreczek z tytoniem. Byron wstaje. “Teraz mogę odejść — myśli. — Mogę teraz odejść”. Jego kryjówką jest kępa krzewów na trawniku, przy którym niegdyś stał dom. Po przeciwnej stronie tej kępy, niewidoczny z chaty i z drogi, stoi spętany muł. Do zniszczonego siodła przywiązana jest z tyłu żółta, rozpadająca się walizka, nie zrobiona ze skóry. Dosiada muła i kieruje go ku drodze. Nie ogląda się.

Miękka, czerwona droga wspina się na pagórek w świetle spokojnego, gasnącego popołudnia. “No, mogę znieść pagórek — myśli. — Mogę znieść pagórek,

mężczyzna może to znieść”. Pagórek jest spokojny i cichy, znany od siedmiu lat. “Zdaje się, że człowiek może znieść wszystko. Może znieść nawet to, czego nigdy nie zrobił. Może nawet znieść myślenie o tym, że niektóre rzeczy są dla niego nie do zniesienia. Może nawet znieść to, że gdyby mu wolno było załamać się i wybuchnąć płaczem, to nie zrobiłby tego.

Może nawet znieść to, że się nie obejrzy za siebie nawet wtedy, kiedy wie, że oglądanie się za siebie czy nieoglądanie się za siebie tak samo mało by mu pomogły”.

Pagórek wznosi się, jest zakończony wyraźnym

439

grzbietem. Byron nigdy nie widział morza, więc myśli: “To wygląda jak krawędź nicości. Jakbym, minąwszy to, wjechał prosto w nicość. Tam gdzie drzewa wyglądałyby nie jak drzewa i nazywałyby się inaczej. A ludzie nie byłiby podobni do ludzi i nie nazywano by ich ludźmi. A Byron Bunch nie musiałby nawet być albo nie być Byronem Bunchem. Byron Bunch i jego muł opadaliby tak szybko, że potem zapaliliby się, jak to powiedział wielebny Hightower o tych kamieniach, lecących tak prędko w przestrzeni, że zapalają się i wypalają tak zupełnie, że nawet popiół nie dolatuje do ziemi”.

Ale spoza grzbietu pagórka zaczyna się wyłaniać to, co jest poza nim: drzewa, które są drzewami, straszliwa i monotonna dal, którą, będąc stworzeniem z krwi i kości, musi przemierzać zawsze, pomiędzy dwoma nieuniknionymi granicami widnokregu nieogarnionego świata. Unoszą się one z wolna, niezłowieszcze, niegroźne. Otóż to. Nie wiedzą o nim. “Nie wiedzą i nie dbają — myśli jak gdyby mówiły”. No dobrze. Mówisz, że cierpisz. No dobrze. Ale po pierwsze, mamy na to tylko twoje słowo. A po drugie, jesteś tylko tym, który nazywa siebie Byronem Bunch dziś, teraz, w tej chwili... “No — myśli — jeżeli to jest wszystko, to myślę, że równie dobrze mogę pozwolić sobie także na to, żeby nie móc znieść także i przyjemności obejrzenia się za siebie”.

Zatrzymuje muła i odwraca się w siodle.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że odjechał już tak daleko, a grzbiet pagórka jest tak wysoki. Jak płytką misa leży u jego stóp rozległa posiadłość, która przed siedemdziesięciu laty była plantacją. Znajduje się ona pomiędzy nim a przeciwległą krawędzią misy, na kto-

440

rej leży Jefferson. Lecz plantacja jest teraz poprzecinana bezładnie

porozrzucanymi murzyńskimi chatami, grządkami ogródków i wymarłymi polami, poszarpanymi erozją i zdławionymi przez krzaki wawrzynu, persimmonu i głogu. Ale dokładnie pośrodku stoi kępa dębów, zupełnie tak samo jak wówczas, gdy budowano dom, choć w tej chwili nie ma pośród nich domu. Z tej odległości nie można dojrzeć nawet blizn pozostawionych przez pożar. Nie umiałby nawet powiedzieć, gdzie stał dom, gdyby nie te dęby, zrujnowana stajnia i chata, na którą teraz patrzy. Stoi ona spokojna i całkowicie widoczna w blasku popołudnia. Wygląda prawie jak zabawka, a siedzący na schodku zastępca szeryfa także wygląda jak zabawka. Po chwili, gdy Byron patrzy jeszcze, w tyle chaty ukazuje się jakby wyczarowany przez czarnoksiężnika biegnący człowiek, który pojawia się w pełnym biegu spoza chaty, gdy nie podejrzewający niczego zastępca szeryfa siedzi spokojny i nieruchomy na frontowym schodku. Przez pewien jeszcze czas Byron także siedzi zupełnie nieruchomo, na wpół odwrócony w siodle, przyglądając się maleńkiej figurce, która ucieka w stronę lasu, przecinając nie zarośnięte zbocze w tyle chaty.

A później przelatuje przez niego jak gdyby ostry, zimny wiatr. Jest on równocześnie gwałtowny i spokojny, odwiewając daleko, jakby były kurzem, śmieciem albo zeszlými liśćmi, całe pragnienie, całą rozpacz i beznadziejność, a z nimi razem tragiczne, zbyteczne twory wyobraźni. Równocześnie z uderzeniem tego wiatru czuje, że znowu cofnął się i jest pełen pustki, nie wiedząc nic więcej, niż wiedział przed dwoma tygodniami, nim ją zobaczył. Pragnienie w tej chwili jest czymś więcej niż pragnieniem: jest to przekonanie

441

spokojne i pełne pewności siebie. Zanim zdał sobie sprawę, że mózg przetelegrafował to do dłoni, zawrócił muła z drogi i galopuje teraz wzdłuż grzbietu, idącego równolegle w kierunku, który obierze biegnący człowiek, gdy wpadnie do lasu. Nawet w myśli nie nazwał tego człowieka. Ani na chwilę nie przychodzi mu do głowy, że Brown znowu ucieka zgodnie z jego przepowiednią. Gdyby w ogóle o tym pomyślał, uwierzyłby prawdopodobnie, że w swój specjalny sposób Brown zajęty jest teraz jakimś zupełnie uczciwym działaniem, dotyczącym jego wyjazdu z Leną. Ale nie pomyślał o tym w ogóle. Lena wypadła mu tak zupełnie z głowy, jakby nigdy nie widział jej twarzy i nie słyszał jej imienia. Myśli: "Opiekowałem się tą kobietą dla niego i pomagałem przy narodzeniu jego dziecka. A teraz mogę dla niego zrobić jeszcze tylko jedno. Nie mogę ich ożenić ze sobą, bo nie jestem pastorem. I może nie schwycę go, bo wyruszył wcześniej niż ja. I, być może, nie pobiję go, bo jest wyższy niż

ja. Ale mogę spróbować. Mogę spróbować to zrobić”.

Gdy zastępca szeryfa wołał go z celi więziennej, Brown zapytał natychmiast, dokąd jadą. — W odwiedzin — odpowiedział zastępca. Brown cofnął się, zwróciwszy na zastępcę swoją przystojną, pozornie odważną twarz.

— Nie chcę tu nikogo odwiedzać. Jestem obcy w tym mieście.

— Byłbyś obcy wszędzie — powiedział zastępca — nawet we własnym domu. Chodź.

— Jestem amerykańskim obywatelem — powiedział Brown. I myślę, że posiadam swoje prawa, nawet jeżeli nie noszę blaszanej gwiazdy na koszuli.

442

— Pewnie — odpowiedział zastępca. — Właśnie to mam zamiar zrobić, pomóc ci wejść w twoje prawa. Twarz Browna rozjaśniła się: był to błysk.

— Czy oni... Czy oni chcą mi wypłacić?...

— Nagrodę? No pewnie. Zabieram cię właśnie do miejsca, gdzie, jeżeli należy ci się w ogóle jakaś nagroda, to tam ją otrzymasz.

Brown spoważniał. Ale poruszył się, chociaż nadal patrzył podejrzliwie na zastępcę.

— To jakiś bardzo dziwny sposób postępowania — powiedział — trzymać mnie, zamkniętego w więzieniu, kiedy te bękarty starają się odebrać mi tę nagrodę.

— Myślę, że nie urodził się jeszcze żaden bękart, który by ci potrafił coś odebrać. Chodź. Czekają na nas.

Wyszli z więzienia. Brown zamrugał w słońcu, patrząc to w tę, to w tamtą stronę, potem szybko poderwał głowę, oglądając się przez ramię tym swoim końskim ruchem. Samochód czekał przy krawężniku. Brown spojrział na samochód, a potem na zastępcę, był zupełnie poważny i bardzo ostrożny.

— Dokąd jedziemy tym samochodem? — zapytał. — Kiedy prowadziliście mnie dziś rano pieszo do sądu, nie wydawało się wam za daleko.

— Watt przysłał samochód, żeby ci pomóc w przewiezieniu nagrody — powiedział zastępca. — Wsiadaj.

Brown chrząknął.

— Stał się nagle bardzo dbały o moją wygodę. Samochód, żadnych kajdanek i tylko jeden głupi facet, który pilnuje mnie, żebym nie uciekł.

— Nie pilnuję cię, żebyś nie uciekł — powiedział

443

zastępca. Znieruchomiał w trakcie zapalania silnika. — Czy chcesz uciekać?

Brown spojrział na niego złowrogo, posepnie, oburzony i podejrzliwy.

— Rozumiem — powiedział. — Więc to jest jego podstęp. Skusić mnie do ucieczki, a potem wziąć samemu ten tysiąc dolarów. Ile z tego ci obiecał?

— Mnie? Dostanę co do centa tyle samo, co ty.

Jeszcze przez chwilę Brown wpatrywał się w zastępcę szeryfa. Zaklął bezsensownie, słabo, gwałtownie.

— Jazda — powiedział. — Ruszajmy, jeżeli mamy ruszać.

Ruszyli ku miejscu morderstwa i pożaru. W równych, prawie rytmicznych odstępach czasu Brown podrywał głowę i oglądał się tym ruchem nie spętanego muła, biegnącego przed samochodem po wąskiej drodze.

— Po co tam jedziemy?

— Aby podjąć twoją nagrodę — powiedział zastępca szeryfa. — A gdzie ją dostanę?

— W tej chacie, która tam stoi. Czeka tam na ciebie.

Brown rozejrzył się po czarnych, zwęglonych belkach, które kiedyś były domem. Spojrział na puste drzwi chaty, w której mieszkał przez cztery miesiące i która stała teraz w blasku słońca, obdrapana i cicha. Twarz jego była poważna i zaniepokojona.

— Jest coś dziwnego w tym wszystkim. Jeżeli Ken-nedy myśli, że może zdeptać moje prawa tylko dlatego, że nosi głupią, blaszaną gwiazdę...

— Wejź tam — powiedział zastępca. — Jeżeli nie spodoba ci się nagroda, to pamiętaj, że czekam, a na

444

każde twoje żądanie zabiorę cię z powrotem do więzienia.

Pchnął Browna, a potem otworzył drzwi chaty, wepchnął go w nie, zamknął je za nim i usiadł na schodku.

Brown usłyszał zamykające się za nim drzwi. Nadal posuwał się ku przodowi. Potem zamarł w połowie jednego ze swych szybkich, wszechobejmujących spojrzeń, spowodowanych jak gdyby tym, że oczy jego nie mogły doczekać się, kiedy obejmą całą izbę. Leżąc na pryczy Lena zauważyła, że biała szrama obok jego ust zniknęła zupełnie, jak gdyby odpływ krwi z twarzy porwał ją ze sobą jak ścierkę ze sznura schnącej bielizny. Nie odezwała się. Leżała tam tylko, oparta o poduszki, przyglądając mu się swymi poważnymi oczami, w których nie było nic — radości, zdumienia,

wyrzutu, miłości — gdy równocześnie jego twarzą wstrząsało zdumienie, oburzenie, a potem otwarte przerażenie, a każde z tych uczuć kolejno drwiło z blagierskiej małej białej szramy. Jego zrozpaczone, umęczone oczy biegły po całej izbie. Przypatrywała mu się, gdy powściągnął je siłą woli jak dwa przerażone zwierzęta i zmusił, aby spojrzwały na nią.

— No, no — powiedział. — No, no, no. To Lena.

Przyglądała mu się, gdy wpatrywał się w jej oczy, jak gdyby wiedząc, że jego własne oczy są parą zwierząt, które chcą się wyrwać, a gdy raz się wyrwą, nigdy już ich nie ujarzmi, nie zmusi do patrzenia na nią i będzie zgubiony. Widziała niemal jego mózg, rzucający się to w tę stronę, to w tamtą stronę, niestrudzony, umęczony, przerażony, poszukujący słów, które mógłby wypowiedzieć jego głos i jego język.

— No, jeżeli to nie jest Lena. Tak, proszę państwa.

445

Więc otrzymałaś tę wiadomość ode mnie, jak tylko tu przyjechałem, wysłałem ci zeszłego miesiąca wiadomość, jak tylko tu osiadłem, i myślałem, że zaginęła... to był taki facet, którego nazwiska nie znałem, ale powiedział, że zabierze... nie wyglądał na człowieka, któremu można zaufać, ale musiałem mu zaufać... ale pomyślałem, kiedy dawałem mu tych dziesięć dolarów na drogę dla ciebie, że...

Jego głos zamiera gdzieś w głębi jego zrozpaczonych oczu. Ale nadal mogła przyglądać się jego miotającemu się mózgowi z tym samym brakiem litości i jakichkolwiek uczuć, z jakim przyglądała mu się bez mrugnięcia swym poważnym, niemożliwym do zniesienia spojrzeniem. Przypatrywała mu się, gdy szukał po omacku, cofał się i kołował, aż wreszcie resztki dumy, tej żalosalnej dumy, będącej pragnieniem usprawiedliwienia się, opuściły go i pozostał nagi. Wtedy odezwała się po raz pierwszy. Jej głos był spokojny, niegniewny, chłodny.

— Podejź tu — powiedziała. — Podejź. Nie pozwolę mu, żeby cię ugryzł. — Poruszył się, podszedł na palcach. Zauważyła to, chociaż nie patrzyła już na niego. Wiedziała o tym tak samo, jak wiedziała, że stoi teraz nad nią i nad śpiącym dzieckiem ze zgrozą pełną niejasnego niedowierzania. Ale wiedziała, że przyczyną tego nie jest śpiące dziecko. Wiedziała, że w ten sposób nie dostrzegł nawet jeszcze dziecka. Nadal widziała i wyczuwała jego miotające się myśli.

Będzie próbował udawać że się nie boi — pomyślała. — Tak samo nie wstydzisz się kłamać bo się boi jak nie wstydzisz się bać bo skłamał.

— No, no — powiedział. — Więc oto jest, na pewno jest.

WILLIAM FAULKNER

— Tak — powiedziała. — Czy usiądziesz?

Krzesło, które przysunął sobie Hightower, stało nadal obok pryczy. Zauważył je już. Przygotowała je już dla mnie — pomyślał. Raz jeszcze zaklął, bezgłośnie, niezręcznie, wściekle. Te bekany. Te bękarty. Ale twarz jego była zupełnie gładka, gdy usiadł.

— Tak, proszę państwa. Znowu jesteśmy razem. Zupełnie tak, jak to sobie zaplanowałem. Miałbym to wszystko przygotowane dla ciebie, ale byłem bardzo zajęty ostatnio. Co mi przypomina...

Znowu zrobił ten nagły ruch, odwracając głowę jak muł. Nie patrzyła na niego. Powiedziała:

— Jest tu pastor. Przychodził już tu do mnie.

— To doskonale — powiedział. Głos jego był donośny i serdeczny. Ale serdeczność zdawała się być tak samo nietrwała jak dźwięk słów i rozplynęła się, nie pozostawiając po sobie w uchu nic, żadnej określonej myśli ani przekonania. — To, po prostu, doskonale. Jak tylko załatwię ten interes...

Przyglądając się jej poderwał rękę nieokreślonym, obejmującym ruchem. Jego oczy były łagodne, czujne, tajemnicze, ale w ich głębi czaiła się nadal udręka i rozpacz. Lecz ona nie patrzyła na niego.

— Gdzie pracujesz teraz? W tartaku? Przyglądał się jej.

— Nie. Rzuciłem to. — Jego oczy przypatrywały się jej. Były to jak gdyby nie jego oczy, nie mające żadnego pokrewieństwa z resztą jego osoby, z tym, co robił i mówił. — Pracować jak głupi murzyński niewolnik przez dziesięć godzin dziennie... Mam teraz napiętego coś, co mi przyniesie pieniądze. Nie śmieszne piętnaście centów za godzinę. A kiedy je dostanę, jak tylko wyjaśni się kilka szczegółów, wtedy ty i ja...

Twarde, napięte, tajemnicze oczy przypatrywały się jej, profilowi jej pochylonej twarzy. Znowu usłyszała ten lekki, nagły dźwięk, gdy podrzuciwszy głowę spojrział za siebie.

— A to mi przypomina, że... Nie poruszyła się. Zapytała:

— Kiedy to się stanie, Łukaszu? Wtedy usłyszała, wyczuła zupełną nieruchomość, zupełną ciszę.

— Kiedy co się stanie?

— Wiesz. Jak mówiłeś. Tam w domu. To było dobre dla mnie. Nie przejmowałam się. Ale teraz jest inaczej. Myślę, że teraz mam prawo się przejmować.

— Och, to — powiedział. — To. Nie martw się o to. Pozwól mi tylko załatwić tę sprawę i położyć rękę na tych pieniądzach. Prawnie mi się należą. Żaden z tych bękartów nie może... — Urwał. Jego głos zaczął się podnosić, jak gdyby zapomniał, gdzie jest, i zaczął głośno myśleć. Zniżył go i powiedział: — Pozostaw to mnie. I niczym się nie martw. Nie dałem ci chyba jeszcze nigdy powodu do zmartwienia, prawda? Powiedz mi to.

— Nie. Nigdy się nie martwiłam. Wiedziałam, że mogę na tobie polegać.

— Pewnie, że wiedziałaś. A te bękarty... te... — Wstał z krzesła. — Co przypomina mi, że...

Nie spojrzała na niego ani nie odezwała się, gdy stał nad nią, patrząc tymi udręczonymi, zrozpaczonymi, natrętnymi oczami. Ale jak gdyby trzymała go tam i wiedziała o tym. I zwolniła z własnej woli, rozmyślnie.

— Myślę, że pewnie jesteś teraz bardzo zajęty przy tym.

448

— Mówiąc prawdę, to jestem. Mam tyle spraw, o które muszę się troszczyć, a te bękarty...

Patrzy teraz na niego. Przypatruje mu się, gdy przygląda się oknu w tylnej ścianie chaty. Potem spojrzał na nią, na jej poważną twarz, która albo nie wyrażała nic, albo wszystko: całą wiedzę. Zniżył głos:

— Mam tu wrogów. Ludzi, którzy nie chcą, żebym dostał to, co zarobiłem. A więc, mam zamiar...

Znowu wyglądało to tak, jakby trzymała go, wypróbowywała, zmuszała do tego ostatecznego kłamstwa, przed którym wzdragały się nawet smutne szczątki jego dumy. Jakby trzymała go na uwięzi, nie na haczyku i linie, ale za pomocą czegoś, wobec czego jego kłamstwa ulatniały się, jakby były zeszlými liśćmi albo śmieciem. Ale nie odezwała się. Przyglądała mu się tylko, gdy podchodził na palcach do okna i otwierał je bezgłośnie. Potem spojrzał na nią. Może wydawało mu się, że jest już bezpieczny, że będzie mógł się wydostać przez to okno, zanim ona zdąży go dotknąć ręką. A może były to żalosne resztki wstydu, podobne do owych resztek dumy. Bo spojrzał na nią, obnażony na chwilę zupełnie z gadulstwa i pragnienia oszukania jej. Głos jego nie był o wiele donośniejszy niż szept.

— Tam na zewnątrz jest człowiek. Czeka na mnie.

Potem zniknął za oknem, bezgłośnie, nieomal jednym ruchem jak długi wąż. Spoza okna dobiegł ją tylko jeden nikły odgłos, gdy zaczął biec. Dopiero wówczas poruszyła się i westchnęła raz, głęboko.

— Już czas najwyższy wstać znowu — powiedziała głośno.

449

Brown oddycha ciężko, gdy wynurza się z lasu naprzeciw toru kolejowego. Nie jest to spowodowane zmęczeniem, chociaż w ciągu ostatnich dwudziestu minut pokonał odległość prawie dwóch mil, biegnąc po nierównym gruncie. Jest to raczej warkliwy i złowrogi oddech uciekającego zwierzęcia. Stoi, spoglądając kolejno na oba krańce pustych torów kolejowych, a jego twarz ma wyraz uciekającego samotnie zwierzęcia, nie pragnącego żadnej pomocy, obstającego przy samotnej zależności od swych mięśni; zwierzęcia, które zatrzymawszy się dla nabrania oddechu, stoi, nienawidząc każdego drzewa i źdźbła trawy w zasięgu swego wzroku, jakby to byli żywi wrogowie, nienawidzi nawet tej ziemi, na której stoi, i powietrza, które jest mu niezbędne do ponownego nabrania oddechu.

Wyszedł na tory w odległości kilkuset kroków od miejsca, które chciał osiągnąć. Jest to szczyt wzniesienia, na którym zwalniają kierujące się ku północy towarowe pociągi, pełnąc tu z szybkością równą prawie szybkości idącego człowieka. Niedaleko dwie wąskie nitki szyn znikają jak odcięte nożycami w powietrzu.

Przez pewien czas stoi blisko toru, ukryty za zasłoną drzew. Stoi jak człowiek pogrążony w rozpaczliwych obliczeniach, jak gdyby poszukiwał w swym umyśle ostatniego rozpaczliwego posunięcia w grze, którą już przegrał. Stoi jeszcze chwilę w postawie nasłuchującej, a potem zawraca i znowu biegnie przez las wzdłuż toru. Zdaje się wiedzieć dokładnie, dokąd biegnie. Wpada na ścieżkę i posuwa się nią, biegnąc nadal, a potem wynurza na polanę, na której stoi murzyńska chata. Zbliży się ku niej, idąc już teraz. Na ganku siedzi stara Murzynka i pali fajkę. Głowę ma

29-ŚwiatłoŚĆ...

450

zawiniętą w białą chustkę. Brown nie biegnie, ale oddycha szybko i ciężko. Uspokaja oddech, by móc przemówić.

— Serwus, ciociu — mówi. — Czy jest tu ktoś? Stara Murzynka wyjmuje fajkę z ust.

— Ja tu jestem. A kogo pan potrzebuje?

— Muszę wysłać pilną wiadomość do miasta. — Znowu stara się opanować swój

przyspieszony oddech, aby móc mówić. — Zapłacę. Czy nie ma tu nikogo, kto mógłby ją odnieść?

— Jeżeli tak się panu spieszy, to lepiej niech pan sam sobie zanieś.

— Zapłacę, mówię ci! — mówi z wściekłą cierpliwością, trzymając na wodzy swój głos i oddech. — Zapłacę dolara, jeżeli się pospieszy. Czy nie ma tu nikogo, kto chce zarobić dolara? Jakiegoś chłopca?

Stara kobieta pali, przyglądając mu się. Jej wiekowa i nieodgadniona twarz koloru nocy zdaje się rozważać go z oddalenia prawie boskiego, ale wcale nie przesyconego łagodnością.

— Dolara, gotówką?

On robi ręką ruch, w którym zawarty jest pośpiech, powstrzymywana wściekłość i coś zbliżonego do rozpacz. Chce się odwrócić, gdy Murzynka znowu się odzywa.

— Nie ma tu nikogo, tylko ja i dwoje dzieci. Myślę, że są za małe, żeby to zrobić. Brown znowu zawraca.

— Jak małe? Chcę zapłacić komuś, kto prędko zanieś kartkę do szeryfa i...

— Do szeryfa? To pan przyszedł w złe miejsce. Nikt tu nie będzie się wałęsał wkoło żadnego szeryfa. Znałam kiedyś jednego Murzyna, który myślał, że dobrze

451

zna szeryfa, i poszedł go odwiedzić. Nigdy nie wrócił. Niech pan szuka gdzie indziej.

Ale Brown odchodzi już. Nie biegnie natychmiast. Nie pomyślał jeszcze o tym, żeby znowu pobiec. Nie myśli w tej chwili o niczym. Jego wściekłość i bezradność są w tej chwili prawie ekstatyczne. Zdaje się zatopiony w ponadczasowych, pięknych i bezbłędnych rozważaniach o swych niespodziewanych porażkach.

Jak gdyby sam fakt, że został nimi tak obficie obdarowany, wznosił go ponad małość ludzkich nadziei i pragnień, przekreślonych przez nie i przez nie zniszczonych. Więc Murzynka musiała dwa razy krzyknąć na niego, nim usłyszał i odwrócił się. Nie powiedziała nic i nie poruszyła się: krzyknęła tylko. Teraz mówi:

— Tu jest taki, który to panu zanieś.

Obok ganku stoi teraz, najwyraźniej wyczarowany z powietrza, Murzyn, który równie dobrze może być dorosłym kretnym, jak niezgrabnym wyrostkiem. Twarz jego jest czarna, nieruchoma i także zupełnie nieodgadniona. Stoją, patrząc jeden na drugiego. A raczej Brown patrzy na Murzyna. Nie umie powiedzieć, czy Murzyn

patrzy na niego. I to wydaje mu się nagle słuszne, doskonałe i na miejscu: że jego ostatnią nadzieją i ratunkiem jest stworzenie, które zdaje się nie mieć dosyć zdrowego rozsądku, aby odnaleźć miasto, nie mówiąc już o pojedynczym człowieku w tym mieście. Raz jeszcze Brown wykonuje nieokreślony ruch. Niemal biegnie teraz z powrotem ku gankowi, grzebiąc w kieszeni koszuli.

— Chcę, żebyś zabrał ode mnie kartkę do miasta i przyniósł mi odpowiedź — mówi. — Czy potrafisz to zrobić?

Ale nie wysłuchuje odpowiedzi. Wyciągnął z kiesze-

452

WILUAM FAULKNER

ni koszuli kawałek poplamionego papieru i ogryzek ołówka, a potem, pochyliwszy się nad krawędzią ganku, pisze, pracowicie i pospiesznie, a Murzynka przygląda mu się. Brown pisze:

Pan Wat Kennedy Drogi panie proszę dać oddawcy Moją nagrodę za złapanie Mordercy Christmаса proszę zawinąć w papier zanim pan da oddawcy pana szczerze oddany.

Nie podpisuje. Unosi kartkę, wpatruje się w nią, a Murzynka przygląda mu się. Wpatruje się w brudną, niewinną kartkę, w pospieszne, pracowite litery, w których udało mu się zamknąć na chwilę całą swą duszę i całe życie. Potem znowu kładzie kartkę i pisze: nie Podpisane ale w Porządku Wie pan już kto, składa papier i daje Murzynowi.

— Zanieś to szeryfowi. Nikomu innemu. Czy myślisz, że potrafisz go znaleźć?

— Jeżeli szeryf nie znajdzie go przedtem — mówi stara Murzynka. — Niech pan mu to da. Znajdzie go, jeżeli jeszcze chodzi po ziemi. Bierz swego dolara i biegnij, chłopcze.

Murzyn zaczął już odchodzić. Zatrzymuje się. Stoi, nie mówiąc nic i na nic nie patrząc. Na ganku siedzi Murzynka, przypatrując się słabej, wilczej twarzy białego człowieka: twarzy przystojnej, przeciętnej, ale zamienionej teraz w lisią maskę, zmęczoną czymś więcej niż fizycznym wyczerpaniem.

— Myślałam, że panu się spieszy — mówi Murzynka.

— Tak — mówi Brown. Wyjmuje z kieszeni monetę. — Masz. A jeżeli za godzinę przyniesiesz mi odpowiedź, dam ci jeszcze pięć takich.

— Jazda, Murzynie — mówi kobieta. — Nie masz

453

całego dnia do stracenia. Czy chce pan czekać tu na odpowiedź?

Jeszcze przez chwilę Brown przygląda się jej. Potem raz jeszcze opuszcza go wstyd i ostrożność.

— Nie. Nie tu. Przynieś ją na szczyt tego wzniesienia. Idź torem, póki cię nie zawołam. Będę przez cały czas patrzył, czy nie nadchodzisz. Nie zapomnij o tym. Czy słyszysz?

— Nie musi się pan martwić — mówi Murzynka. — Dojdzie tam z listem i wróci z odpowiedzią, jeżeli nic go nie zatrzyma. Jazda, chłopcze.

Murzyn odchodzi. Ale nim przeszedł pół mili, natrafia na przeszkodę. Jest nią inny biały człowiek, prowadzący muła.

— Gdzie? — pyta Byron. — Gdzie go widziałeś?

— Dopiero co, obok chałupy.

Biały człowiek idzie dalej, prowadząc muła. Murzyn patrzy za nim. Nie pokazał białemu człowiekowi listu, bo biały człowiek nie kazał mu tego zrobić. Ale może przyczyną, dla której biały człowiek nie kazał mu tego zrobić, było to, że nie wiedział o niesionym przez niego liście. Być może, Murzyn zastanawia się nad tym, bo przez chwilę twarz jego wyraża coś strasznego i wynurzonego z głębi. Potem wygładza się znowu. Woła. Biały człowiek odwraca się i zatrzymuje.

— Nie ma go tam teraz! — woła Murzyn. — Mówi, że będzie czekał przy podjeździe kolejowym.

— Dziękuję bardzo — mówi biały człowiek. Murzyn znowu rusza.

Brown zawrócił ku torom. Nie biegł teraz. Mówił do siebie: “Nie zrobi tego. Nie może tego zrobić. Wiem,

454

WILUAM FAULKNER

że go nie znajdzie, nie dostanie tego, nie wróci z tym”. Nie wymawiał żadnych nazwisk, nie myślał o żadnych nazwiskach. Wydawało mu się w tej chwili, że wszyscy są tylko kształtami jak figury szachowe: Murzyn, szeryf, pieniądze, wszyscy: nieprzewidziane i bez sensu poruszane z miejsca na miejsce przez Przeciwnika, który odczytywał jego posunięcia, zanim je zdążył wykonać, i tworzył chwilowe zasady gry, którym musiał podlegać on, a nie Przeciwnik. W tej chwili był nawet poza rozpaczą, gdy wszedł w poszycie niedaleko najwyższego punktu podjazdu. Poruszał się teraz bez pośpiechu, odmierzając odległość, jakby na całym świecie, a co najmniej w jego życiu, nie było ważniejszej sprawy. Wybrał miejsce i usiadł, niewidoczny z

torów, ale mający na nie otwarty widok.

“Wiem, że on tego nie zrobi — myśli. — Nie spodziewam się tego nawet. Gdybym go zobaczył wracającego z pieniędzmi w ręce, nie uwierzyłbym w to. Nie byłyby przeznaczone dla mnie. Wiedziałbym o tym. Wiedziałbym, że to omyłka. Powiedziałbym do niego: Idź dalej. Szukasz kogo innego, nie mnie. Nie szukasz Łukasza Burcha. Nie, proszę państwa, Łukasz Burch nie zasługuje na te pieniądze, na tę nagrodę. Nigdy nie uczynił nic, żeby ją dostać. Nie, proszę państwa”. Zaczyna się śmiać, siedząc w kucki, nieruchomy z wyczerpaną, pochyloną twarzą. Śmieje się. “Tak, proszę państwa. Łukasz Burch chciał tylko sprawiedliwości. Tylko sprawiedliwości. Nie tylko dlatego, że powiedział tym bękartom, jak się nazywa morderca i gdzie go trzeba szukać, a oni nie chcieli spróbować. Nie spróbowali, bo musieliby dać Łukaszowi Burch te pieniądze. Sprawiedliwość”. Potem mówi donośnym, zachrypłym, pełnym łez głosem: — Sprawiedliwość.

455

Nic więcej. Tylko to, co było moim prawem. A te bękarty z blaszanymi gwiazdami, każdy z nich zaprzysiężony, aby osłaniać obywatela amerykańskiego... — Mówi to zachrypłym głosem, prawie płacząc z wściekłości, rozpacz i zmęczenia: — Niech będę psem, jeżeli to nie wystarcza, żeby człowiek stał się natychmiast bolszewikiem. — I dlatego nie słyszy żadnego odgłosu, póki Byron nie odzywa się tuż za nim:

— Wstań.

Nie trwa to długo. Byron wiedział, że to długo nie potrwa. Ale nie wahał się. Skradał się tylko tak długo, póki nie zobaczył tamtego, wtedy przystanął, patrząc na skuloną, nie przeczuwającą niczego postać. Jesteś większy niż ja — pomyślał Byron. — Ale wszystko mi jedno. Miałeś nade mną każdą inną przewagę także. Ale o to też nie dbam. Dwa razy w ciągu dziewięciu miesięcy odrzuciłeś to, czego ja nie miałem w ciągu trzydziestu pięciu lat. A teraz dostanę cholerne baty i też o to nie dbam”.

Nie trwa to długo. Brown, odwracając się gwałtownie, wykorzystuje nawet własne zaskoczenie. Nie przypuszczał, aby ktokolwiek, zaskakując swego siedzącego wroga, mógł dać mu szansę zerwania się na nogi, nawet gdyby ten wróg nie był wyższy. On sam nie zrobiłby tego. A fakt, że niższy człowiek zrobił to, gdy on by tego nie zrobił, był gorszy niż obelga: był ośmieszeniem. Bił się więc z dzikszą nawet wściekłością, niż gdyby Byron skoczył mu na kark bez ostrzeżenia: walczył ze ślepym i rozpaczliwym męstwem zagnanego w kąt szczura.

Trwało to krócej niż dwie minuty. Później Byron leżał spokojnie pośród połamanych i stratowanych krzewów poszycia, z krwawiącą spokojnie twarzą i wsłu-

456

chiwał się w trzeszczące, cichnące, zamierające w milczeniu krzaki. Jest sam. Nie odczuwa żadnego bólu, a co lepsze, nie odczuwa żadnego pośpiechu, żadnego ponaglenia, aby zrobić coś czy znaleźć się gdzieś. Po prostu leży pokrwawiony i spokojny, wiedząc, że po pewnym czasie nadejdzie chwila, gdy powróci do świata i rzeczywistości.

Nie zastanawia się nawet, gdzie odszedł Brown. Nie musi już teraz myśleć o Brownie. Mózg jego znowu wypełniony jest nieruchomymi kształtami, podobnymi do połamanych na kawałki zabawek dzieciństwa, ci-śniętych bezładnie i porzuconych w zakurzonej, zapomnianej szafie. Brown, Lena Grove, Hightower, Byron Bunch — wszyscy oni są jak małe przedmioty, które nigdy nie żyły, którymi bawił się w dzieciństwie, a potem połamały się i zostały zapomniane. Leżąc tak, słyszy pociąg, gwizdzący przed odległym o pół mili skrzyżowaniem.

To go podnosi. To jest świat i czas. Siada powoli, obmacując się. “W każdym razie nie zламаłem sobie niczego — myśli. — Chcę powiedzieć, że on nie zламаł mi nic”. Robi się późno: nadchodzi czas, zawierający w sobie odległość. “Tak. Będę musiał odjechać. Będę musiał się przenieść, żeby sobie znaleźć coś nowego, w co będzie się mógł wtrącać”. Pociąg zbliża się. Oddech lokomotywy staje się krótszy i cięższy, gdy zaczyna ona odczuwać wzniesienie. Po chwili Byron dostrzega dym. Szuka chustki w kieszeni. Nie znajduje, więc oddziera kawałek spodu koszuli i ostrożnie wyciera sobie twarz wsłuchując się w krótkie, zdyszane odgłosy lokomotywy, wyczerpanej pokonywanym w tej chwili podjazdem. Podchodzi do krańca zarośli, skąd może widzieć tory. Lokomotywa jest już widoczna,

457

prawie naprzeciw niego, ukryta pod wielkimi, ciężkimi kłębami czarnego dymu. Wygląda przerażająco nieruchomo. A jednak porusza się, wczolgując się z przerażającą powolnością na najwyższy punkt podjazdu. Byron stoi teraz w kępie krzaków i z zachwyconym, chłopięcym przejęciem, a może nawet z tęsknotą człowieka wsi, przygląda się lokomotywie, która nadjeżdża i mija go, pełznąca mozolnie. Przeszła, a jego oczy poruszają się, patrząc na wagony, które kolejno wczolgują się na szczyt podjazdu i zjeżdżają w dół. I po raz drugi tego popołudnia widzi biegnącego człowieka, który najwyraźniej pojawił się znikąd.

Nawet wówczas nie zdaje sobie sprawy z tego, co Brown chce zrobić. Zbyt daleko zagłębił się w spokój i samotność, aby się zastanawiać. Stoi tam tylko i przygląda się Brownowi, który podbiega do pociągu, pochylony, i chwyta żelazną drabinkę w końcu jednego z wagonów, a potem podrywa się w górę i znika mu sprzed oczu, jakby wchłonęła go próżnia. Pociąg zaczyna przyspieszać. Byron przygląda się zbliżaniu wagonu, w którym zniknął Brown. Wagon mija. Uczepiony z tyłu, pomiędzy tym a następnym wagonem, stoi Brown przyglądając się krzakom. Widzą się nawzajem w tej samej chwili dwie twarze: jedna łagodna, przeciętna, pokrwawiona, i druga: szczupła, udręczona, zrozpaczona, wykrzywiona w tej chwili w bezgłośnym okrzyku, zagłuszonym hałasem pociągu. Mijają się, jakby poruszane po przeciwnych orbitach, jak duchy albo zjawy. Byron nadal nie myśli. — Wielki Boże na wysokościach — mówi z dziecięcym, niemal zachwyconym zdumieniem — to pewne, że umie on wskakiwać do pociągu. Pewnie robił to już przedtem. — Nie myśli w ogóle. Jak gdyby poruszający się mur brud-

458

nych wagonów był rowem — za którym oczekiwał go świat, czas i niezaprzeczone, nieprawdopodobna nadzieja — dającym mu jeszcze chwilę spokoju. Ale gdy mija go ostatni poruszający się już szybko wagon, świat zwała się na niego jak powódź, jak fala przyływu.

Jest to zbyt ogromne, większe niż czas i przestrzeń. A Byron nie ma żadnych ścieżek, po których musi zawracać, więc przez pewien czas prowadzi muła, zanim przypomina sobie, że może wsiąść na siodło i pojechać. Jak gdyby przegonił bardzo sam siebie i czekał przed chatą, by dopędzić się i wejść. A wtedy stanę tam i... Próbuje jeszcze raz: Wtedy stanę tam i... Ale nie może posunąć się poza te słowa. Jest teraz na drodze i zbliża się do wozu jadącego z miasta do domu. Jest mniej więcej szósta. Ale nie poddaje się. Nawet jeżeli nie mogę się posunąć dalej, to wiem, że otworzę drzwi, wejdę i stanę tam. A potem. Spojrzę na nią. Spojrzę na nią. Spojrzę na nią...

Głos powtarza:

— ...wielkie wzburzenie, jak myślę.

— Co? — mówi Byron. Wóz zatrzymuje się. Znajduje się tuż obok niego. Muł także przystanął. Siedzący na wozie człowiek mówi raz jeszcze bezbarwnym, utyskującym głosem:

— Przekłęte szczęście. Właśnie wtedy, kiedy musiałem ruszać do domu. Już się spóźniłem.

— Wzburzenie? — mówi Byron. — Co za wzburzenie?

Człowiek spogląda na niego.

— Patrząc na waszą twarz, można by powiedzieć, że sami mieliście do czynienia z jakimś wzburzeniem.

— Upadłem — mówi Byron. — Cóż to za wzburzenie było dziś wieczór w mieście?

459

— Tak sobie myślałem, żeście pewnie nie słyszeli. Przed godziną. Ten Murzyn, Christmas. Zabili go.

19

Tego poniedziałkowego wieczora, siedząc przy zastawionych do kolacji stołach, miasto zastanawiało się nie tyle nad tym, dlaczego Christmas uciekł, ale dlaczego, gdy odzyskał wolność, ukrył się w miejscu, o którym musiał wiedzieć, że go tam dopędzą, a także, dlaczego, gdy to nastąpiło, ani nie poddał się, ani się nie bronił. Wyglądało na to, że zrobił to, chcąc popełnić bierne samobójstwo.

Było wiele przypuszczeń i sądów, dlaczego w końcu skrył się w domu Hightowera. — Swój do swego — mówili ci tępi, poszukujący najłatwiejszej odpowiedzi, przypominając sobie dawne plotki o pastora. Niektórzy przypuszczali, że był to zwykły przypadek. Inni twierdzili, że uciekający okazał spryt, gdyż nigdy by go nie poszukiwano w domu pastora, gdyby go ktoś nie zobaczył, kiedy przebiegał ogródek w tyle domu i wpadł do kuchni.

Gavln Stevens miał inną teorię. Jest on okręgowym prokuratorem, absolwentem Harvardu, magistrem filozofii. Jest to wysoki mężczyzna o niezgrabnych ruchach i niedbałym kosmyku stalowosiwych włosów. Nieustannie pali orzechową fajkę, ubiera się w luźne, nie odprasowane, ciemnoszare ubrania. Jego rodzina jest jedną z najstarszych w Jefferson. Jego przodkowie byli posiadaczami niewolników, a jego dziadek znał (a także nienawidził i publicznie gratulował pułkownikowi Sartoris, gdy zginęli) dziadka i brata panny Burden.

460

Gavln Stevens zachowuje się cicho i swobodnie wobec ludzi ze wsi, wobec wyborców i sędziów. Od czasu do czasu można go spotkać siedzącego na piętach przez całe letnie popołudnie przed gankiem któregoś z wiejskich sklepów i rozmawiającego z chłopami zupełnie o niczym ich własnym narzeczem.

Tego poniedziałkowego wieczora o godzinie dziewiątej profesor stanowego

uniwersytetu z sąsiedniego stanu, kolega Stevensa z Harvardu, wysiadł z idącego na południe pociągu, aby spędzić kilka dni u swego przyjaciela. Gdy wysiadł z pociągu, natychmiast go zobaczył. Przypuszczał, że Stevens przyszedł, żeby go spotkać, ale zauważył, że jest on zajęty wprowadzaniem do pociągu dziwnie wyglądającej pary starych ludzi. Spojrzawszy na nich, profesor zobaczył małego, brudnego człowieczka z krótką kocią bródką, który zdawał się pozostawać w stanie kataleptycznego snu. Stara kobieta, będąca chyba jego żoną, była przysadzistym stworzeniem z twarzą jak pączek, umieszczoną pod kiwającym się brudnym białym piórem. Jej bezkształtną postać okrywała suknia przestarzałego kroju, o wymierającej monarszej barwie. Profesor stał przez chwilę, ogarnięty pełną zdumienia ciekawością, przyglądając się Stevensowi, wkładającemu w dłoń kobiety dwa bilety kolejowe, jakby to była dłoń dziecka. Potem podszedł i usłyszał, nadal nie dostrzeżony przez swego przyjaciela, ostatnie słowa, gdy konduktor pomagał staruszkom wejść do korytarza.

— Tak, tak — mówił Stevens kojącym głosem. — Jutro rano będzie w pociągu. Przypilnuję tego. Musicie tylko przypilnować pogrzebu i cmentarza. Niech pani zabierze dziadka do domu i położy go do łóżka Przypilnuję, żeby chłopiec był jutro rano w pociągu.

461

Potem pociąg ruszył, a Stevens odwrócił się i zobaczył profesora. Zaczął opowiadać, gdy jechali ku miastu, a skończył, gdy siedzieli na werandzie jego domu, i tak to podsumował:

— Myślę, że wiem, dlaczego tak się stało, dlaczego w końcu szukał schronienia w domu Hightowera. Myślę, że to zrobiła jego babka. Była z nim w jego celi, nim wyprowadzono go z powrotem do sądu. Ona i ten dziadek, szalony staruszek, który chciał go zlinczować i dlatego przyjechał tu z Mottstown. Nie sądzę, aby ta stara pani miała jakkolwiek nadzieję uratowania go, gdy tam przyszła, jakkolwiek prawdziwą nadzieję. Myślę, że chciała tylko, aby umarł “przyzwoicie”, jak to nazwała. Przyzwoicie powieszony przez Siłę, przez zasadę, a nie spalony albo rozsiekany przez Rzec. Myślę, że przybyła tu tylko, aby przypilnować tego staruszka, by nie pozwolić, aby stał się słomką, która rozpęta pożar. Nie odważyła się ani razu spuścić z niego oka. Nie dlatego, żeby wątpiła, że Christmas jest jej wnukiem. Po prostu nie miała nadziei. Nie wiedziała, jak zacząć mieć nadzieję. Myślę, że po trzydziestu latach aparat tworzący nadzieję wymaga więcej niż dwudziestu czterech godzin, aby znowu zacząć się poruszać.

Ale przypuszczam, że ona także została porwana przyływem szaleństwa i zapamiętania starego człowieka. Więc przybyli tu oboje. Przybyli tu wczesnym pociągiem, mniej więcej o trzeciej nad ranem w niedzielę. Nie robiła żadnych starań, aby widzieć się z Christmasem. Może zajęta była wyłącznie pilnowaniem starego człowieka. Ale nie sędzę, żeby tak było. Nie sędzę także, aby ten aparat nadziei ruszył już wtedy. Nie sędzę, aby drgnął do chwili, gdy to dziecko

462

urodziło się tego ranka za miastem, urodziło, można by powiedzieć, w jej oczach; także chłopiec. A ponieważ nigdy przedtem nie widziała matki tego dziecka, ojca w ogóle nie widziała nigdy, a wnuka swego nigdy nie widziała dorosłym mężczyzną, więc tych trzydzieści lat zniknęło dla niej. Zostały wymazane, gdy to dziecko zapłakało. Nie istniały już.

Poza tym wszystko to spadło na nią bardzo szybko. Zbyt wiele było rzeczywistości, której jej oczy i ręce nie mogły zaprzeczyć, i zbyt wiele takiej rzeczywistości, której jej oczy i ręce musiały uwierzyć, bo nie mogły jej zaprzeczyć. Zbyt wiele było niewytłumaczalnych zjawisk, które oczy i ręce musiały przyjąć i którym musiały uwierzyć bez dowodów. Po tych trzydziestu latach samotności zabłądziła jak gdyby do pokoju pełnego mówiących równocześnie ludzi i miotła się rozpaczliwie po tym pokoju w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby jej zachować zdrowe zmysły i przyjąć jakakolwiek, leżącą w zasięgu jej możliwości, zasadę postępowania, która dałaby jej jakąś pewność. Dopóki to dziecko nie przyszło na świat i nie otrzymała środków, które pozwoliły jej stanąć na własnych nogach, była czymś w rodzaju gipsowej figurki o nagrany głosie, obwożonej przez tego faceta Buncha i zmuszanej do mówienia, gdy dawał jej znak, jak wówczas, na przykład, kiedy zeszłego wieczora zabrał ją do wielebnego Hightowera i kazał jej opowiedzieć o sobie.

A ona, rozumiesz, nadal szukała po omacku. Starła się znaleźć coś, w co mógłby uwierzyć jej umysł, nie pracujący przecież zbyt wiele w ciągu ostatnich trzydziestu lat, co mógłby przyjąć jako rzeczywiste, prawdziwe. I sędzę, że po raz pierwszy znalazła to tam, u

463

Hightowera. Znalazła kogoś, komu mogła to opowiedzieć, kto wysłuchał tego. Prawdopodobnie opowiadała to wtedy po raz pierwszy. I prawdopodobnie zrozumiała to wtedy także po raz pierwszy, zobaczyła to jako prawdę i jako całość, równocześnie z nim. Więc nic w tym nie ma dziwnego, że na pewien czas pomieszały się jej nie tylko

dzieci, ale także rodzice, bo przecież w tej chacie owych trzydzieści lat przestało istnieć: dziecko i jego ojciec, którego nigdy nie widziała, pomieszała się jej z wnukiem, którego nie widziała od czasu, gdy był dzieckiem nie większym niż to drugie, mającym ojca, który także nigdy dla niego nie istniał. Wobec tego, gdy nadzieja drgnęła w niej po raz pierwszy, zwróciła się natychmiast do pastora z wzniosłą i bezgraniczną u ludzi jej pochodzenia wiarą w tych, którzy są z własnej woli niewolnikami i zaprzysiężonymi pośrednikami ich błagalnych modłów.

To właśnie mówiła dziś Christmasowi w więzieniu, gdy stary człowiek wysłiznął się jej ułowiwszy okazję, a ona pobiegła za nim do miasta i znów znalazła go na rogu ulicy, szalonego i zupełnie zachrypniętego, nawołującego do linczu i opowiadającego ludziom, jak został dziadkiem diabelskiego nasienia i przechowywał je do dnia dzisiejszego. A może szła odwiedzić Christmаса w więzieniu, gdy wyszła z chaty. Tak czy inaczej, widząc, że audytorium starego człowieka jest bardziej zaciekawione niż podburzone, poszła do szeryfa. Szeryf właśnie wrócił z obiadu i przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. Musiała się wydawać zupełnie obłąkana, gdy mówiła mu swą opowieść, ubrana w swą beznadziejnie przyzwoitą suknię niedzielną i planująca włamanie do więzienia. Ale pozwolił jej wejść do więzienia w towarzystwie swojego

464

zastępcy. I sądzę, że tam w celi opowiedziała Christmasowi o Hightowerze, o tym, że Hightower może go uratować, że uratuje go.

Ale, oczywiście, nie wiem, co mu opowiedziała. Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł zrekonstruować tę scenę. Nie myślę, aby wiedziała czy planowała to, co ma mu powiedzieć, bo zostało to już zapisane i wypowiedziane w tę noc, gdy urodziła jego matkę, a noc ta była już tak odległa teraz, że zdążyła się tego nauczyć na zawsze, a potem zapomniała słów, w których to się da wypowiedzieć. Może dlatego uwierzył jej natychmiast, bezwzględnie. Mam na myśli, że nie przejmowała się ona tym, co ma powiedzieć, ani prawdopodobieństwem czy możliwością napotkania na niewiara z jego strony w to, że gdzieś pod postacią, obecnością czy też inną nazwą istnieje azyl w osobie starego, wypędzonego pastora; azyl, którego nie będą mogły pogwałcić nie tylko tłumy ani policja, ale nawet nie dająca się cofnąć przeszłość, wszystkie zbrodnie, które wyciosały go, ukształtowały i pozostawiły w końcu samotnego i spragnionego w zakratowanej celi, z cieniem kata, wynurzającym się z każdego miejsca, w które spojrzał.

Uwierzył jej. Myślę, że to właśnie dało mu nie tyle odwagę, ile bierną

cierpliwość, aby znieść, rozpoznać i przyjąć jedyną okazję, gdy mając kajdanki na rękach wyrwał się spośród tego pełnego ludzi rynku i pobiegł. Ale zbyt wiele biegło krok w krok przy nim. Nie byli to ścigający go ludzie, ale on sam: lata, zdarzenia, czyny, których nie dokonał i dokonał, biegły one równo z nim, krok w krok oddychały wraz z nim, biło w nich jego serce. Nie tylko tych trzydzieści lat, których nie znał, ale skutki tych trzydziestu lat, krążące w

465

jego krwi (białej krwi czy czarnej, jak wolisz), zabiły go wreszcie. Lecz przez pewien czas biegł chyba z wiarą, a co najmniej z nadzieją. Ale krew jego nie chciała ucichnąć, by uratować go. Nie chciała być krwią białą lub czarną i uratować jego ciało. Bo czarna krew zaprowadziła go najpierw do chaty murzyńskiej. A potem biała krew wypędziła go stamtąd, tak jak czarna krew wyrwała pistolet, a biała krew nie pozwoliła mu wystrzelić. Biała krew popchnęła go ku pastrowi, zwyciężając w nim po raz ostatni i ostateczny, popychając go w objęcia chimery, ślepej wiary w coś przeczytanego w drukowanym Piśmie. Myślę, że potem biała krew porzuciła go na chwilę. Na sekundę, na mgnienie, pozwalając czarnej krwi ogarnąć go w ostatecznym momencie, by przeciwstawić go temu, od którego błagał ratunku i zbawienia. To czarna krew przerzuciła go ponad jego własnym pragnieniem, odrywając go od pomocy ludzkiej, rzuciła go w ekstazę zrodzoną z czarnej dżungli, gdzie życie kończy się, nim serce przestanie bić, a śmierć jest pragnieniem i spełnieniem. A potem czarna krew znów go opuściła, jak we wszystkich chyba przesileniach jego życia. Nie zabił pastora. Uderzył go tylko pistoletem, przebiegł obok niego, skulił się za stołem i przeciwstawił się po raz ostatni swej czarnej krwi, tak jak przeciwstawiał się jej przez trzydzieści lat. Skulił się za przewróconym stołem i dał się im zabić, trzymając w ręce naładowany i nie wystrzelony pistolet.

Podczas owych dni żył w tym mieście młody człowiek nazwiskiem Percy Grimm. Miał on około dwudziestu pięciu lat i był kapitanem stanowej gwardii

30-Światłość...

466

narodowej. Urodził się w tym mieście i mieszkał tu przez całe swoje życie, z wyjątkiem okresów obozów letnich. Był za młody, żeby uczestniczyć w wojnie europejskiej, choć dopiero w roku 1921 albo 1922 zrozumiał, że nigdy nie przebaczy tego swoim rodzicom. Jego ojciec, będąc kupcem towarów żelaznych, nie mógł tego zrozumieć. Myślał, że chłopak jest po prostu leniwy i znajduje się na najlepszej drodze

do tego, żeby stać się nicponiem. Ale w rzeczywistości chłopiec przeżywał straszliwą tragedię, wynikającą z tego, że urodził się nie tylko za późno, ale nie za późno, aby uniknąć świadomości, że powinien być być mężczyzną w tym czasie, kiedy jeszcze był dzieckiem. Teraz, gdy histeria wojenna minęła już, a ci, którzy najgłośnieściej ją objawiali, a nawet bohaterowie, którzy służyli i cierpieli, zaczęli spoglądać na siebie trochę z ukosa, nie miał już nikogo, komu mógłby o tym opowiedzieć i przed kim mógłby otworzyć swoje serce. W rzeczywistości pierwszą jego prawdziwą bójką była bójka z byłym żołnierzem, który powiedział, że gdyby miał to przeżywać raz jeszcze, to walczyłby tym razem po stronie niemieckiej przeciwko Francuzom. Natychmiast Grimm podchwycił:

– Czy przeciw Ameryce także?

– Jeżeli Ameryka będzie znowu na tyle głupia, żeby pomagać Francji – powiedział żołnierz. Grimm uderzył go od razu. Był niższy niż żołnierz i nie miał jeszcze dwudziestu lat. Wynik był do przewidzenia. Nawet Grimm wiedział o tym. Ale przyjmował ciosy, aż wreszcie nawet żołnierz zaczął prosić gapiów, żeby odciągnęli chłopaka. Nosił szramy tej bitwy tak dumnie, jak gdyby to on miał na sobie ten mundur, o którego honor walczył tak ślepo.

467

Uratowała go nowa ustawa wojskowa dla cywilów. Stał się podobny do człowieka, który długo błądził w ciemności po moczarach, jak gdyby nie tylko nie mógł dostrzec drogi przed sobą, ale także wiedział, że żadnej drogi nie ma. A potem niespodziewanie życie otworzyło ją, wyraźną i jasną. Zapomniane zostały zmarnowane lata, podczas których nie wykazywał żadnych zdolności w szkole i był znany jako krnąbrny leń. Widział teraz przed sobą swoje otwierające się nowe życie: pozbawione zawilości, nieuniknione jak okrato-wany korytarz, uwolnione na zawsze od konieczności myślenia i decydowania. Brzemie, które teraz przyjął na siebie, było tak lekkie i marsowe jak blaszana oznaka, którą nosił: składało się ono ze ślepej wiary w fizyczną odwagę, ślepego posłuszeństwa i przekonania, że biała rasa stoi wyżej niż wszystkie inne rasy, Amerykanin stoi wyżej niż wszystkie inne narodowości, amerykański mundur stoi wyżej niż wszyscy ludzie, a oddanie życia jest wszystkim, czego w zamian za to przekonanie i ten przywilej żądać się będzie od niego. W każde mające jakieś militarne znaczenie święto narodowe ubierał się w swój kapitański mundur i szedł do miasta. Ci, którzy widzieli go wówczas, przypominali sobie jego bójkę z byłym żołnierzem, gdy lśnią swą oznaką wyborowego strzelca – strzelał

doskonale — i swymi belkami, poważny, wyprostowany, szedł tak pomiędzy cywilami, na wpół wojowniczy, a na wpół podobny do pewnego siebie i dumnego z siebie chłopca.

Nie był członkiem Legionu, to nie była jego wina, ale rodziców. Lecz kiedy tego sobotniego popołudnia przywieziono Christmаса na powrót z Mottstown, był już u dowódcy miejscowej placówki Legionu. Jego pomysł był tak prosty i bezpośredni jak jego słowa.

— Musimy zadbać o zachowanie spokoju — powiedział. — Musimy pozwolić, aby prawo mogło działać. Prawo, naród. Żaden człowiek nie uprawniony nie ma prawa skazywać innego człowieka na śmierć. A my, żołnierze z Jefferson, musimy tego pilnować.

— Skąd pan wie, że ktoś planuje coś innego? — zapytał dowódca placówki Legionu. — Czy słyszał pan, że mówiono o tym?

— Nie wiem. Nie przysłuchiwałem się. — Nie skłamał. Nie przywiązywał tyle wagi do tego, co mogło być mówione albo nie mówione przez cywilnych obywateli, aby mogło go to zmusić do kłamstwa. — Nie o to chodzi. Chodzi o to, czy my, jako żołnierze noszący mundury, mamy pierwsi pokazać, jak sprawa się przedstawia. Pokazać z miejsca tym ludziom, jaka jest postawa rządu tego kraju w tych sprawach. Że nie będą mieli nawet konieczności rozmawiania o tym.

Jego plan był bardzo prosty. Chciał, aby placówka Legionu została zorganizowana w oddział mający go za dowódcę.

— Ale jeżeli nie będą chcieli, abym był dowódcą, to też dobrze. Mogę być zastępcą, jeżeli zechcą. Albo sierżantem, albo kapralem.

Naprawdę to miał na myśli. Nie pragnął próżnej sławy. Był szczery. Tak szczery, że dowódca Legionu zaniechał niegrzecznej odpowiedzi, jakiej miał zamiar udzielić.

— Nadal myślę, że nie ma żadnej potrzeby robienia tego. A gdyby była, musielibyśmy zachowywać się jak cywile. Nie miałbym prawa używać placówki dla tych celów. Nie jesteśmy teraz żołnierzami. Zresztą, sądzę, że nie zrobiłbym tego nawet, gdybym miał prawo.

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

469

Grimm spojrział na niego bez gniewu, ale raczej jakby patrzył na robaka.

— A przecież nosił pan kiedyś mundur — powiedział cierpliwie. —

Przypuszczam, że nie użyje pan swojego autorytetu, aby powstrzymać mnie od porozmawiania z nimi? Jak z pojedynczymi ludźmi?

— Nie. Nie mam żadnego prawa, aby pana powstrzymać. Ale proszę pamiętać: tylko jak z pojedynczymi ludźmi. Nie wolno panu w ogóle powoływać się na mnie.

A wtedy Grimm trafił go:

— Nie sądzę, abym chciał to zrobić.

I już go nie było. Działo się to w sobotę o czwartej po południu. Przez całą resztę tego popołudnia krążył po sklepach i biurach, gdzie pracowali członkowie Legionu, tak że przed zapadnięciem nocy zebrał ich już dostateczną ilość, by stworzyć pluton. Był niezwykły, ograniczony, a jednak było w nim coś nieodpartego i proroczego. Jednak rekruci zgadzali się z dowódcą placówki w jednym: oficjalnie Legion nie może mieć z tym nic wspólnego. Dzięki temu niezamierzenie osiągnął swój pierwotny cel: został ich dowódcą. Zebrał ich tuż przed kolacją, podzielił na drużyny, wyznaczył oficerów i sztab, składający się z tych młodszych, którzy nie byli we Francji. Przemówił do nich krótko i chłodno: — ...porządek ...sprawiedliwość ...niech ludzie wiedzą, że nosimy mundur Stanów Zjednoczonych... I jeszcze jedno... — Na tę jedną chwilę zstąpił do poufałości dowódcy pułku, który zna swych ludzi po imieniu. — Pozostawiam to wam, chłopcy. Zrobicie, co uznacie za stosowne. Zdawało mi się, że dobrze będzie, jeżeli będę nosił mundur do chwili, kiedy ta sprawa zostanie załatwio-

470

na. Aby widzieli, że Wuj Sam jest tu obecny nie tylko duchem.

— Ale nie jest — powiedział jeden z nich szybko, prawie natychmiast. Był to człowiek ulepiony z tej samej gliny, co dowódca placówki, który zresztą nie był obecny. — To nie jest jeszcze żadna rządowa sprawa. To się może nie podobać Kennedy'emu. To jest kłopot dla Jefferson, a nie dla Waszyngtonu.

— Zmusimy go, żeby mu się podobało — powiedział Grimm. — Po cóż istnieje wasz Legion, jeśli nie dla obrony Ameryki i Amerykanów?

— Nie — powiedział inny. — Myślę, że lepiej nie róbmy z tego parady. Możemy zrobić, co zechcemy, bez tego. Nieprawda, chłopcy?

— Dobrze — powiedział Grimm. — Zrobicie, jak chcecie. Ale każdy z nas będzie miał pistolet. Za godzinę odbędziemy tu przegląd broni bocznej. Każdy z was zgłosi się tu.

— A co powie Kennedy o pistoletach? — powiedział jeden.

— Załatwię to — powiedział Grimm. — Dokładnie za godzinę zgłosicie się tu do raportu, przynosząc broń boczną.

Odprawił ich. Przeciął cichy rynek i wszedł do urzędu szeryfa. Powiedziano mu, że szeryf jest w domu.

— W domu? — powtórzył. — Teraz? Cóż on teraz robi w domu?

— Myślę, że je. Mężczyzna tak wielki jak on musi jadać parę razy dziennie.

— W domu — powtórzył Grimm. Nie spojrzał złowrogo. W jego spojrzeniu był nadal ten sam wyraz chłodnego oddalenia, z jakim patrzył na dowódcę Legionu. — Ja — powiedział. Wyszedł szybko. Ponow-

471

nie przeciął pusty plac, na którym nie było już ludzi, siedzących w tej chwili spokojnie przy zastawionych kolacją stołach, w spokojnym mieście, leżącym w tym spokojnym kraju. Poszedł do domu szeryfa. Szeryf natychmiast powiedział: Nie.

— Piętnastu albo dwudziestu facetów, wałęsających się po rynku z pistoletami w portkach? Nie, nie. To nie uchodzi. Nie zgodzę się na to. To nie uchodzi. Pozwólcie mnie to prowadzić.

Jeszcze przez chwilę Grimm patrzył na szeryfa. Potem odwrócił się i natychmiast ruszył szybkim krokiem.

— Dobrze — powiedział. — Jeżeli pan tak sobie życzy. W takim razie nie będę panu przeszkadzał, a pan niech mnie nie przeszkadza. — Nie brzmiało to jak pogróżka. Było zbyt proste, zbyt ostateczne, zbyt chłodne. Odchodził szybkim krokiem. Szeryf patrzył za nim. Potem zawołał. Grimm odwrócił się.

— A swój pistolet niech pan też zostawi w domu — powiedział szeryf. — Czy słyszy mnie pan?

Grimm nie odpowiedział. Szedł przed siebie. Szeryf przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami, póki nie zniknął mu z pola widzenia.

Tego wieczora szeryf powrócił po kolacji do śródmieścia, czego nie robił od lat, gdy nie miał do załatwienia pilnych i nieuniknionych spraw. Pod więzieniem zobaczył wartę złożoną z ludzi Grimma, drugą ich grupkę zobaczył obok sądu, a trzecia patrolowała rynek i przyległe do niego ulice. Powiedziano szeryfowi, że pozostali, będący rezerwą, znajdowali się w biurze firmy bawełnianej, gdzie zatrudniony był Grimm. Zamienili to biuro w wartownię i punkt dowodzenia. Szeryf spotkał Grimma na ulicy, robiącego obchód.

— Podejź no, chłopcze — powiedział szeryf. Grimm przystanął. Nie podszedł. Szeryf podszedł do niego. Tłustą ręką poklepał biodro Grimma. — Powiedziałem panu, żeby pan to pozostawił w domu — powiedział. Grimm nie odpowiedział. Patrzył na szeryfa jak równy na równego. Szeryf westchnął. — No, jeżeli pan musi, to chyba będę musiał zrobić z pana nadzwyczajnego zastępcę. Ale nie wolno będzie panu nawet wyciągnąć tego pistoletu, jeżeli panu nie rozkażę tego zrobić. Czy słyszy mnie pan?

— Nie — powiedział Grimm. — Na pewno nie chciałby pan, żebym go wyciągnął, nie widząc po temu żadnej potrzeby.

— Mam na myśli: póki panu nie rozkażę.

— Na pewno — powiedział Grimm bez rozgorączkowania, cierpliwie, natychmiast. — To właśnie powiedzieliśmy obaj. Niech się pan nie martwi. Będę czuwał.

Później, gdy noc uciszyła miasto, a kino i bary zamknęły się jeden po drugim, pluton Grimma zaczął także topnieć. Nie protestował przeciwko temu, chłodno przyglądając się ludziom. Zakłopotali się trochę i przyjęli postawę obronną. Raz jeszcze nie zdając sobie z tego sprawy, zagrał atutową kartę. Bo owo zakłopotanie, wynikające ze świadomości, że nie mogą dotrzymać pola jego chłodnemu zapałowi, zmusiło ich rano do powrotu, po to tylko, aby mu wykazać, że tak nie jest. Nieliczni pozostali. Była to przecież sobotnia noc, więc ktoś przyniósł skądś jeszcze trochę krzeseł i zaczęli grać w pokera. Gra ciągnęła się przez całą noc, choć od czasu do czasu Grimm — który nie brał udziału w grze ani nie pozwolił w niej wziąć udziału swojemu zastępcy, jedyemu wśród nich, który tak-

że posiadał stopień oficerski — wysłał patrol na plac.

Do tego czasu dołączył się do nich strażnik nocny, choć i on nie wziął udziału w grze. Niedziela była cicha. Gra w pokera biegła cicho przez cały dzień, przerywana, przez okresy patrołowania, podczas gdy spokojne dzwony dzwoniły, a wierni zbierali się w spokojne grupki o letnich jasnych kolorach. Na rynku było już wiadomo, że jutro odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie sądu przysięgłych. Sam dźwięk tych dwóch słów, który przywodził na myśl tajemnicze, nieodwołalne, ukryte, czuwające i wszechmogące oko, przypatrujące się czynom ludzkim, zaczął upewniać ludzi Grimma w tym, co sobie wmówili. Człowiek tak szybko daje się bezmyślnie i nieprzewidzianie wzruszać, że nie wiedząc nawet o tym, zaczęli tak myśleć, a miasto niespodziewanie

przyjęło Grimma z szacunkiem, może nawet z odrobiną zgrozy i prawdziwego zaufania, i wiary, jak gdyby jego marzenie, patriotyzm i duma z miasta były w tych okolicznościach szybsze i prawdziwsze niż ich duma. W każdym razie uznali to i przyjęli jego ludzie. Po bezsennej, pełnej napięcia nocy, po dniu świątecznym, po sali, poddaniu się jego woli, znaleźli się niemal w nastroju, w którym oddaliby za niego życie, gdyby nadarzyła się do tego okazja. Poruszali się teraz w poważnym i rzucającym cień zgrozy odbitym blasku, który był prawie tak samo dotykalny, jak byłyby dotykalne koszule khaki, które Grimm chciał na nich widzieć. Jak gdyby za każdym powrotem do tej wartowni okrywali się od nowa w naznaczone łaską i surową wspaniałością skrawki jego snu.

To trwało przez całą niedzielą noc. Gra w pokera

474

WILUAM FAULKNER

ciągnęła się. Zniknęły ostrożność i potajemność, które ją osłaniały. W tym także było coś zbyt bezpiecznego i pewnego siebie, aż do chępliwości. Gdy usłyszeli tej nocy odgłos kroków nocnego strażnika na schodach, jeden z nich powiedział: — Uwaga! MP! — i przez chwilę spoglądali po sobie twardym, jasnym, zuchwałym wzrokiem. Potem jeden z nich powiedział: — To wyrzucicie go, skurwysyna, za drzwi — a drugi wydał wargami ów nieśmiertelny dźwięk. I tak następnego poniedziałkowego ranka pluton pozostał nienaruszony, gdy pierwsze samochody i wozy z okolicy zaczęły się zjeżdżać. A ludzie tego plutonu ubrani byli teraz w mundury. Mieli je w twarzach. Większość z nich była już w pewnym wieku, należała do starszego pokolenia, miała doświadczenie. Ale było w tym coś więcej. Mieli teraz w sobie głęboką i posepną powagę, gdy stali w miejscach, gdzie wałęsał się tłum, skupieni, surowi, odlegli, przyglądający się posepnymi, pustymi oczami powolnej cizbie, która przepływała przed nimi, zwalniając, wpatrując się w nich tak, że bywali okrążeni chwilami przez twarze, zachwycone, puste i nieruchome jak oblicza krów, zbliżające się i odpływające, aby być zastąpionymi przez następne. A przez cały ranek zbliżały się i cichły głosy: — O, tam idzie ten młody człowiek z automatycznym pistoletem. To ich kapitan. Specjalny urzędnik przysłany przez gubernatora. On jest głową tego wszystkiego. Szeryf nie ma dzisiaj nic do powiedzenia.

Później, kiedy było już za późno, Grimm powiedział do szeryfa:

— Gdyby mnie pan tylko posłuchał wtedy. Gdyby mi pan pozwolił wyprowadzić go z celi w konwoju drużyny moich ludzi, zamiast posyłać go przez plac z

jednym zastępcą, nie skutego nawet z nim razem, pośrodku całego tego tłumu, gdzie ten przeklęty Bufford bałby się strzelać, nawet gdyby miał trafić w drzwi stodoły.

— Skąd mogłem wiedzieć, że będzie się chciał wyrwać, że będzie w ogóle myślał o tym akurat wtedy i w tym miejscu? — powiedział szeryf. — Stevens powiedział mi, że przyzna się do winy i otrzyma dożywocie.

Ale wtedy było już za późno. Wtedy było już po wszystkim. Stało się to pośrodku rynku, w połowie drogi między chodnikiem a gmachem sądu, pośród tłumu tak gęstego, jakby to był dzień targowy. Grimm dowiedział się o tym w chwili, gdy pistolet zastępcy wystrzelił dwa razy w powietrze. Natychmiast zrozumiał, co się stało, choć znajdował się w tym czasie w gmachu sądu. Jego reakcja była precyzyjna i natychmiastowa. Biegł już w kierunku strzałów, gdy wrzasnął za siebie ku człowiekowi, który od czterdziestu ośmiu godzin przylgnął do niego, pełniąc obowiązki pół-adiutanta a półordynansa:

— Puść w ruch syrenę przeciwpożarną!

— Syrenę przeciwpożarną? — powiedział adiutant. — Co...

— Puść syrenę przeciwpożarną! — odwrzasnął Grimm. — To nieważne, co ludzie pomyślą, niech wiedzą, że coś...

Nie skończył. Nie było go już. Biegł pomiędzy biegnącymi ludźmi, dopędzając i mijając ich, gdyż miał cel, którego oni nie mieli. Oni tylko biegli. Wielki, tępy czarny pistolet automatyczny otwierał mu drogę jak pług. Zwracali ku jego skupionej, twardej, młodej twarzy swe twarze wyblakłe i rozdziawione, o okrągłych,

obrzeżonych zębami otworach. Biegł od nich jeden przeciągły dźwięk jak westchnienie: — Tam... tamtędy uciekał... — Ale Grimm dostrzegł już zastępcę szeryfa, biegnącego z wyciągniętym pistoletem w ręce. Grimm rozejrzał się raz i pobiegł dalej. Pośród tłumu, który biegł za zastępcą i uciekającym więźniem, był nieunikniony, niezgrabny młody człowiek w mundurze Western Union, prowadzący swój rower za rogi, jakby był on uległą krową. Grimm wcisnął pistolet do kabury, odepchnął chłopca na bok i wskoczył na rower, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Rower nie posiadał ani trąbki, ani dzwonka. A jednak wyczuli Grimma w jakiś sposób i rozstąpili się. Zdawał się i teraz posiadać pewność i ślepą, niczym nie

zmaconą wiarę w słuszość i bezbłędność swoich posunięć. Gdy dogonił biegnącego zastępcę szeryfa, zwolnił. Zastępca zwrócił ku niemu spoconą twarz, rozdziawioną krzykiem i wysiłkiem:

— Skręcił — krzyknął zastępca — w tę alejkę przy...

— Wiem — powiedział Grimm. — Czy był skutny?

— Tak! — powiedział zastępca. Rower wyskoczył do przodu.

“Nie może więc biec bardzo szybko — pomyślał Grimm. Niedługo będzie musiał wejść do nory. A w każdym razie w dostać się z otwartego terenu”. Szybko skręcił w alejkę. Biegła ona pomiędzy dwoma domami i po jednej stronie miała ogrodzenie z desek. W tej samej chwili głos syreny przeciwpożarnej rozległ się po raz pierwszy rosnąc powoli i zmieniając się w coraz wyższy wrzask, który wreszcie zdawał się wykraczać poza zasięg słuchu i przechodzić w zasięg wyobraźni, jak bezgłośnie drganie. Grimm pedałowal naprzód, myśląc szybko, logicznie, z przytłumioną ra-

477

dością! “Przede wszystkim będzie chciał zniknąć z oczu”— pomyślał rozglądając się. Po jednej stronie dróżka była otwarta. Po drugiej stał wysoki na sześć stóp płot z desek. Urywał się on niespodziewanie drewnianą furką, za którą było pastwisko, a dalej głęboki rów, oznaczający granicę miasta. Wierzchołki wysokich, rosnących w nim drzew zaledwie wynurzały się ponad jego krawędź; mógłby się w nim ukryć cały pułk w rozwiniętym szyku. — Ach — powiedział Grimm głośno. Nie przystając ani zwalniając zakręcił rowerem ostro i zaczął pedałowac ścieżką ku ulicy, którą niedawno opuścił. Zawodzenie syreny zamierało teraz, opadając z powrotem ku granicy słuchu. Gdy zakręcał w ulicę, przelotnie zauważył biegnących ludzi ł nadjeżdżający samochód. Chociaż naciskał na pedały, samochód dogonił go. Siedzący w nim ludzie wychylili się, wołając w kierunku jego zaciętej, patrzącej przed siebie twarzy. — Wsiadaj! — krzyczeli. — Wsiadaj do środka! — Nie odpowiedział. Nie spojrzal na nich. Samochód minął go, zwalniając, więc Grimm przegonił go, naciskając szybko, cicho i równomiernie na pedały. Samochód znów przyspieszył i wyminął go, pełen ludzi wychylonych i patrzących przed siebie. Grimm także jechał szybko, cichy, z nieuchwytną chyżością widma, nieubłaganie prosto, bez odchylen, jak święty Wóz Wisznu albo Los. Poza nim zawodzenie syreny znowu zaczęło piąć się w górę. Gdy mężczyźni w samochodzie obejrzel się za nim, zniknął już zupełnie.

Skręcił z pełną szybkością w inną polną drogę. Jego twarz była jak wykuta z kamienia, spokojna, ciągle jeszcze rozjaśniona spełnieniem, poważną i nieustraszoną

radością. Ta droga była głębsza i bardziej pocie-

478

ta koleinami niż poprzednia. Wybiegła wreszcie na nagi pagórek, gdzie zeskoczywszy na ziemię z pędzącego nadal roweru, mógł objąć wzrokiem całą rozpiętość rozpadliny, biegnącej skrajem miasta. Widok przesłaniały mu tylko dwie czy trzy murzyńskie chaty uszeregowane nad jej krawędzią. Był teraz zupełnie nieruchomy, samotny, fatalny, podobny do słupa granicznego. Raz jeszcze głos syren zaczął opadać na leżące poza nim miasto.

I wtedy ujrzał Christmasa. Zobaczył pomniejszonego odległością mężczyznę, pojawiającego się z rozpadliny i mającego złożone ręce. Patrząc, Grimm dostrzegł, że ręce uciekiniera zabłysły raz jak nadający sygnał helio-graf, gdy słońce upadło na kajdanki. Zdawało mu się, że nawet z tej odległości słyszy gwałtowne bicie serca i rozpaczliwy oddech człowieka, który nawet w tej chwili nie był wolny. Potem maleńka figurka znowu zaczęła biec i zniknęła za najbliższą chatą murzyńską.

Grimm także biegł teraz. Biegł szybko, ale nie było znać na niem pośpiechu ani wysiłku. Nie było w nim także nic mściwego, wściekłości ani oburzenia. Christ-mas też to dostrzegł. Gdyż przez chwilę patrzyli sobie prawie twarzą w twarz. Stało się to wtedy, kiedy biegnący Grimm mijał róg chaty. W tej samej chwili Christ-mas wyskoczył przez jej tylne okno, jak gdyby za pomocą czarnoksięskiej sztuczki. Jego skute ręce migotały teraz jak objęte płomieniem. Przez chwilę patrzyli na siebie: pierwszy, zatrzymany w trakcie kulenia się po skoku, drugi — nie zatrzymując się w biegu. Potem siłą rozpędu Grimm wbiegł za róg. W tym okamgnieniu dostrzegł, że Christmas trzyma ciężki, niklowany pistolet. Grimm zakręcił na pięcie, zawrócił i skoczył z powrotem za róg, wyciągając swój pistolet.

479

Myślał szybko, spokojnie, z cichą radością: “Ma dwa wyjścia. Może spróbować dopaść wążowozu albo może wymykać się wokół domu, póki jeden z nas nie dostanie kuli. A wążówz jest po jego stronie domu”. Zareagował na to natychmiast. Pełnym biegiem obiegł róg, spoza którego przed chwilą zawrócił. Uczynił to jakby pod ochroną siły czarnoksięskiej albo Opatrzności, albo jak gdyby wiedział, że Christmas nie będzie czekał na niego za rogiem z wymierzonym pistoletem. Nie zatrzymując się minął drugi róg.

Znajdował się teraz nad rozpadliną. Zatrzymał się, znieruchomiał w pół kroku. Ponad tępą, zimną lufą pistoletu twarz jego lśniła łagodnym blaskiem, jaki posiadają

anioły na kościelnych witrażach. Poruszał się już znowu, nieomal zanim zdąży}, się zatrzymać, z tym pokornym, szybkim, ślepym posłuszeństwem wobec owego Gracza, który posuwał nim po szachownicy. Zbiegł w rozpadlinę. Ale rozpoczynając obsuwanie się w dół pomiędzy zarastającymi urwiste zbocze niskimi krzewami, odwrócił się, wbijając palce w ziemię. Dostrzegł teraz, że chata była uniesiona mniej więcej dwie stopy ponad ziemię. Nie zauważył tego przedtem w pośpiechu. Zrozumiał teraz, że stracił punkt. Zrozumiał, że Christmas przez cały czas śledził jego nogi. Powiedział: — Zdolny człowiek.

Skok w dół zniósł go dość daleko, nim zdołał zatrzymać się i wspiać na górę. Zdawał się niezwyciężony, nie uczyniony z ciała i krwi, jak gdyby Gracz, który posuwał nim jak pionkiem, wyposażył go także w oddech. Nie zatrzymując się, zaczął biec w tej samej chwili, kiedy wynurzył się z rozpadliny. Zdążył obiec chatę dokoła, aby zobaczyć Christmаса przeskakującego przez ogrodzenie w odległości trzystu jardów. Nie

480

zaczął strzelać, gdyż Christmas biegł teraz przez mały ogródek w stronę domu. Biegając, dostrzegł Christmаса wskakującego na tylne schodki i znikającego w domu.

— Ha — powiedział Grimm. — Dom pastora. Dom Hightowera.

Nie zwolnił skręcając, obiegnął dom i znalazł się na ulicy. Samochód, który go minął i stracił z oczu, był właśnie tam, gdzie powinien być, właśnie tam, gdzie Gracz zapragnął go mieć. Zatrzymał się bez znaku z jego strony i trzech mężczyzn wyskoczyli. Bez słowa Grimm zawrócił, przebiegł ogród i wbiegł do domu, w którym mieszkał samotnie stary, zhańbiony pastor. Pozostali trzech ludzie wbiegli za nim do sieni i zatrzymali się, wnosząc ze sobą w ten zatęchły, klasztorny półmrok dziką światłość letniego słońca, które właśnie opuścili.

Leżała ona na nich, w nich: ta bezwstydną dzikość. Zdawała się promieniować z ich twarzy, zawieszona bezcielesnie jak aureola, gdy pochylili się i podnieśli pokrwawionego Hightowera z podłogi, na którą powalił go Christmas, przebiegający się z uniesionymi, skutymi, uzbrojonymi rękami, pełnymi blasku i migotania, jakby były pęczkiem piorunów, a on mściwym i wściekłym bogiem wieszczącym zagładę.

— W którym pokoju? — powiedział Grimm, potrząsając nim. — W którym pokoju, staruszk?

— Panowie! — powiedział Hightower. A potem powiedział: — Ludzie! Ludzie!

— W którym pokoju, staruszk? — krzyknął Grimm.

Unieśli Hightowera na nogi. W sieni, która wydawała się ciemna po wejściu z

blasku słonecznego, on także wydaje się straszliwy ze swą łąsą głową i bladą twarzą, oblanymi krwią.

481

— Ludzie! — zawołał. — Wysłuchajcie mnie. On był tu tej nocy. Był ze mną w noc morderstwa. Przysięgam na Boga...

— Jezusie Chrystusie! — krzyknął Grimm głosem czystym i pełnym oburzenia jak głos młodego kapłana. — Czy każdy klecha i stara panna w Jefferson ściągnęli gacie przed tym czarnym skurwysynem? — Odepchnął na bok starego człowieka i pobiegł.

Znowu działo się, to tak, jak gdyby czekał tylko, aby Gracz poruszył nim raz jeszcze, gdyż z bezbłędną pewnością podbiegł wprost do kuchni, a potem w drzwi, strzelając w biegu, jak gdyby przed zobaczeniem go widział już ten przewrócony stół stojący bokiem w rogu pokoju i lśniące, migotliwe ręce ludzkie, uczone jego górnej krawędzi. Grimm wypróżnił swój pistolet w stół. Później ktoś nakrył wszystkie pięć przestrzałów złożoną chusteczką. Ale Gracz jeszcze nie skończył. Gdy inni ścigający wpadli do kuchni, zobaczyli odepchnięty na bok stół i Grimma pochylającego się nad ciałem. Gdy zbliżyli się, by zobaczyć, co zamierza robić, ujrzeli, że Christmas jeszcze nie umarł, a gdy dostrzegli, co Grimm robi, jeden z nich wydał zduszony okrzyk, cofnąwszy się wpadł na ścianę i zaczął wymiotować. Potem Grimm również odskoczył rzucając zakrwawiony rzeźnicki nóż. — Teraz zostawisz białe kobiety w spokoju, nawet w piekle — powiedział. Ale człowiek na podłodze nie poruszył się. Leżał tam tylko, jego oczy były otwarte i puste, pozbawione wszystkiego poza świadomością, wokół jego ust było coś, jakiś cień. Przez długą chwilę patrzył na nich spokojnym, niezgłębionym, trudnym do zniesienia wzrokiem. Potem jego twarz, ciało, wszystko zdało się słabnąć, zapadać się w sobie, a z rozciętego na

31 - Światłość...

482

WILUAM FAULKNER

biodrach i podbrzuszu ubrania zatrzymana czarna krew zdała się wylatywać jak uchodzący oddech. Zdała się tryskać z bladego ciała jak snop iskier ze startującej rakiety; nad tym czarnym wybuchem człowiek zdawał się wznosić, wzbijać ku górze, ku ich pamięci, na zawsze, na zawsze. Nigdy nie mieli o tym zapomnieć, w jakichkolwiek spokojnych dolinach, na brzegu jakichkolwiek spokojnych i ufnych potoków podeszłego wieku, w lustrzanych twarzach jakichkolwiek dzieci będą kontemplować stare klęski, a nigdy — nadzieje. Będzie to tam leniwe, spokojne, stałe,

nie więdące i nieszczególnie groźne, ale samo z siebie tylko jasne, samo z siebie triumfujące. I znowu z miasta, przytłumione nieco przez ściany, wycie syreny wzniosło się do niewiarygodnej wysokości, uchodząc z dziedziny słuchu.

20

Bledną ostatnie miedziane blaski popołudnia. Leżąca poza niskimi klonami ulica jest pusta i przygotowana, okno gabinetu ujmuje ją w ramy jak scenę.

Przypomina sobie, że gdy był młody, zaraz po przybyciu do Jefferson z seminarium miedziane to światło wydawało mu się dosłyszalne, jak cichnący głos trąb, zamierający na okres ciszy i oczekiwania, z którego wkrótce wynurzali się. Zanim jeszcze ucichły rogi, wydawało mu się, że słyszy w powietrzu rozpoczynający się grzmot nie głośniejszy jeszcze niż szept, niż szelest.

Ale nigdy nie opowiedział nikomu o tym. Nawet jej. Nawet jej w dniach, gdy byli jeszcze nocą kochanka-

483

mi, a hańba i rozdźwięk nie nadeszły jeszcze, choć wiedziała i nie zapomniała w dniach rozdźwięku, żalu i rozpacz, dlaczego siaduje on w tym oknie i czeka zapadnięcia nocy, nadejścia nocy. Nawet jej, kobiecie. Kobiecie. Kobieta — a nie seminarium, jak to kiedyś przypuszczał — Bierna i Bezimienna, którą Bóg stworzył, by była zbiornikiem i naczyniem nasienia, pochodzącego nie tylko z jej ciała, ale i z ducha, co jest prawdą albo czymś tak bliskim prawdy, na ile odważy się zbliżyć do prawdy.

Był jedynakiem. Gdy przyszedł na świat, ojciec jego miał lat pięćdziesiąt, a matka była od lat dwudziestu nieuleczalnie chora. Wzrósł w przeświadczeniu, że było to wynikiem pożywienia, które musiała jadać podczas ostatniego roku Wojny Domowej. Może to było przyczyną. Jego ojciec nie posiadał niewolników, choć był synem człowieka, który przez pewien okres posiadał ich. Mógłby ich posiadać. Ale choć urodził się, wychował i zamieszkiwał w epoce i krainie, gdzie posiadanie niewolników było mniej kosztowne niż nieposiadanie ich, nie chciał jeść pokarmu wyhodowanego i przygotowywanego przez murzyńskiego niewolnika ani spać w łóżku przez niego zaścielonym. Dlatego w czasie wojny i podczas jego nieobecności w domu żona nie miała żadnego ogrodu poza tym, który mogła uprawiać sama albo z dorywczą pomocą sąsiadów. A przyjmowania tej pomocy mąż także jej zabronił, gdyż nie można jej było odpłacić w ten sam sposób. — Bóg opatrzy — powiedział.

— Opatrzy? Czym? Mleczem i chwastami?

— Więc da nam wewnętrznosci, które pozwolą je strawić.

Był pastorem. W ciągu całego jednego roku wycho-

484

dził z domu wczesnym rankiem w każdą niedzielę, nim ojciec jego — było to przed małżeństwem syna — który, choć był członkiem Kościoła Episkopalnego, nie zajrzał do żadnego kościoła, odkąd sięgała synowska pamięć, odkrył, gdzie się udawał. Odkrył, że syn, kończący właśnie dwudziesty pierwszy rok życia, co niedziela przejeżdża konno szesnaście mil, aby odbywać kazania w małej, ukrytej w górach kapliczce. Ojciec zaczął się śmiać. Syn słuchał tego śmiechu tak samo, jak słuchałby wrzasków lub przekleństw: w chłodnym i pełnym szacunku odosobnieniu, nie odpowiadając ani jednym słowem. Następnej niedzieli powrócił do swych wiernych.

Gdy wybuchła wojna, syn nie znalazł się pomiędzy pierwszymi ochotnikami. Nie znalazł się także pomiędzy ostatnimi. Przebywał wraz z wojskiem cztery lata, choć nie wypalił ani razu ze strzelby i ubrany był nie w mundur, ale w ciemny frakowy żakiet, który kupił przed ślubem i nosił podczas dni, w których miał kazania. Miał go nadal na sobie, gdy powrócił do domu w roku sześćdziesiątym piątym, choć nigdy go już nie włożył po owym dniu, gdy wóz zatrzymał się przed schodkami ganku, a dwaj ludzie przenieśli go do domu i położyli na łóżku. Jego żona zabrała żakiet i schowała w skrzyni na poddaszu. Pozostawał tam przez dwadzieścia pięć lat, aż wreszcie pewnego dnia syn jego otworzył skrzynię, wyjął go i ostrożnie rozprostował fałdy, w które złożyły go ręce, dziś już umarłe.

Przypomina to sobie w tej chwili, siedząc w nie oświetlonym oknie cichego gabinetu i czekając, aby minął zmierzch i rozpoczęła się noc, pełna łoskotu galopujących kopyt. Miedziane światło zniknęło już zu-

485

pełnie. Świat zawieszony jest pośród zielonej nieruchomości, mającej budowę i barwę światła widzianego przez kolorową szybę. Wkrótce nastąpi czas, aby zaczął mówić: Wkrótce już. Już wkrótce. “Miałem wtedy osiem lat — myśli. — Padał deszcz”. Wydaje mu się, że nadal czuje zapach deszczu, wilgotny smutek październikowej ziemi i zapach stęchlizny, który wionął z otworu skrzyni, gdy uniósł wieko. Później ten frak. Równe fałdy. Nie wiedział, co to jest, bo w pierwszej chwili wzruszyło go do głębi wspomnienie rąk umarłej matki, poruszających się pomiędzy tymi fałdami. Potem ramiona fraka opadły powoli. Jemu, dziecku, wydał się on nieprawdopodobnie ogromny, jak . gdyby uszyty dla olbrzyma. Dlatego tylko, że był noszony przez jednego

z nich, sam frak pozyskał własności tych zjaw, które majaczyły w oddali, bohaterskie i potężne na tle łoskotu, dymu i postrzępionych sztandarów, wypełniających jego sen i jawę.

Frak zaledwie dawał się rozpoznać pod łatami. Przyszytymi męskimi rękami, skórzanymi łatami, łatami o szarej barwie Konfederatów, wypłowiałymi teraz na kolor zeschniętych liści. Na widok jednej z łat serce przestało mu bić. Była ona niebieska, ciemnoniebieska, miała błękit Stanów Zjednoczonych. Patrząc na tę łatę, na niemy i bezimienny kawałek materiału, chłopiec, dziecko urodzone w jesieni życia swych rodziców, których wnętrzności wymagały już stałej troski szwajcarskiego zegarka, przeżył coś w rodzaju przytłumionego i triumfalnego przerażenia, które pozostawiło go trochę niezdrowym.

Tego wieczora nie mógł jeść kolacji. Ojciec, będący już człowiekiem sześćdziesięcioletnim, dostrzegł unosząc głowę, że dziecko przygląda mu się z przerażen-

486

WILUAM FAULKNER

niem, ze zgrozą i jeszcze jakimś innym uczuciem. Zapytał więc: — Co znowu zbroił? — a dziecko nie było w stanie odpowiedzieć, nie mogło powiedzieć słowa, spoglądając na swego ojca jak gdyby z dna otchłani. Tej nocy nie mógł usnąć. Nie drząc nawet, leżał sztywno w swym ciemnym łóżku, a oddzielony od niego wieloma ścianami i pokojami, spał jego ojciec, który był jedynym jego żyjącym krewnym, oddzielonym od niego odległością czasu tak wielką, że nie można jej było mierzyć nawet dziesiątkami lat i nie pozostawiła pomiędzy nimi nawet fizycznego podobieństwa. A następnego dnia chłopiec miał jeden z tych swoich napadów rozstroju żołądka. Ale nawet prowadzącej gospodarstwo Murzynce, która mu była matką i niańką, nie powiedział, co było tego przyczyną. Stopniowo siły powróciły. A potem znów wkradł się któregoś dnia na poddasze, otwierał skrzynię, wyjmował frak i dotykał błękitnej łaty, z pełnym przerażenia triumfem i chorobliwą radością, zastanawiając się, czy to ojciec zabił owego człowieka, z którego munduru pochodziła ta błękitna łata, i zastanawiając się, z jeszcze większym przerażeniem, nad głębią i siłą swego pragnienia i obawy dowiedzenia się o tym. A zaraz na następny dzień, gdy dowiadywał się, że ojciec pojechał w odwiedzinach do jednego ze swych okolicznych pacjentów i nie może powrócić przed zapadnięciem ciemności, szedł do kuchni i prosił Murzynkę: — Opowiedz jeszcze o dziadku. Ilu Jankesów zabił? — Potrafił

słuchać o tym bez przerażenia. Nawet bez triumfu. Z dumą.

Ten dziadek był jedynym cierniem w boku swego syna. Syn nigdy by tego nie powiedział, a tym mniej pomyślał o nim w ten sposób, tak samo jak żadnemu

487

z nich nie przysłoby nigdy do głowy pragnienie posiadania innego ojca lub innego syna. Stosunki pomiędzy nimi były dość przyjazne. Ze strony syna wyrażały się one w chłodnej, pozbawionej poczucia humoru, nawykowo pełnej szacunku rezerwie, ze strony ojca — w szczerym, bezpośrednim, szorstkim i żywotnym usposobieniu, któremu można było bardziej zarzucić brak myśli niż uczuć. Zamieszkiwali wspólnie dwupiętrowy dom w mieście i stosunki pomiędzy nimi układały się dość przyjaźnie, choć od pewnego czasu syn spokojnie i stanowczo odmówił jedzenia posiłków przygotowywanych przez niewolnicę, która go wychowała od dziecka. Ku wielkiemu oburzeniu tej Murzynki sam przygotowywał w kuchni swoje posiłki i sam zanosił je na stół, przy którym jadał, siedząc naprzeciw swego ojca, pozdrawiającego go. zawsze kurtuazyjnie szklaneczką Bourbon whisky, której syn nigdy nie pijał i nigdy nawet nie spróbował.

W dniu wesela syna ojciec opuścił dom. Gdy nadjechali państwo młodzi, czekał na ganku z kluczem w ręce. Ubrany był już w płaszcz i kapelusz. Wokół niego nagromadzony był jego osobisty dobytek, a za plecami stało dwoje niewolników, których posiadał: Murzynka, która mu gotowała, i „chłopiec”, człowiek starszy niż on sam, nie mający na głowie już ani jednego włosa i będący mężem tej kucharki. Ojciec nie był plantatorem. Był adwokatem, który wyuczył się prawa w ten sam sposób, w jaki syn jego wyuczył się później medycyny: „na siłę, z łaski diabelskiej i dzięki szczęściu”. Zakupił sobie mały domek na wsi w odległości dwóch mil od miasta, a jego wysoko resorowana bryczka, zaprzęgnięta w parę koni jednej maści, stała wyczekująco przed gankiem, gdy on stał także, z ka-

488

peluszem nasuniętym na tył głowy, rozstawiwszy szeroko nogi: czerstwy, szczery, czerwononosy mężczyzna z wąsami herszta bandy opryszków — a jego syn i synowa, której nie widział jeszcze nigdy do tej chwili, szli w jego stronę ścieżką, prowadzącą od strony bramy. Gdy pochylił się i pozdrowił ją, poczuła zapach whisky i cygar.

— Myślę, że się chyba nadasz — powiedział. Jego oczy były szczere, zuchwałe, ale dobre. — Wszystkie błogosławieństwa, jakich potrzebuje ten obłudnik, ograniczają

się zresztą do posiadania kogoś, kto umiałby śpiewać altem z prezbiteriańskiego psalterza, z którego nawet sam Pan Bóg nie umiałby wycisnąć żadnej melodii.

Odjechał swą ozdobną bryczką, obłożony swymi osobistymi rzeczami: ubraniami, gąsiorami, niewolnikami. Niewolna kucharka nie pozostała nawet po to, by przygotować pierwszy posiłek. Nie zaproponowano jej tego, więc nie odmówiła. Ojciec nigdy już nie znalazł się w tym domu jako żywy człowiek. Byłby mile przyjęty. I on, i syn wiedzieli o tym, bez konieczności mówienia sobie tego. A żona — będąca jednym z licznych dzieci pewnej wytwornej pary ludzi, którzy nigdy nie zdobyli wiele i starali się znaleźć w kościele to, czego brakowało na ich stole w chwilach posiłków — lubiła i podziwiała w przytłumiony, pełen niepokoju, skryty sposób: jego chępliwość, szczerłość i proste podleganie prostemu kodeksowi moralnemu. Słyszeli od czasu do czasu o jego uczynkach, o tym, jak następnego lata po usunięciu się na wieś nadjechał na przedłużający się al fresco zjazd kościelny — mający na celu odrodzenie wiary i odbywający się w sąsiednim zagajniku — i zmienił go w tydzień amatorskich

489

wyścigów konnych, gdy tymczasem fanatyczni kaznodzieje wiejscy grzmili nad głowami topniejącego zgromadzenia, obsypując klątwami jego nie dbającą o to, nie odrodzoną głowę. Powody, dla których nie odwiedzał syna i synowej, były najwidoczniej szczerze: — Wydałbym się wam nudny, a wy mnie wydalibyście się nudni. A zresztą, kto wie? Może ten obłudnik umiałby mnie zdeprawować. Mógłby mnie na moje stare lata tak zdeprawować, że dostałbym się do nieba. — Ale to nie była prawdziwa przyczyna. Syn wiedział o tym i wiedział, że gdyby ktoś odkrył mu prawdziwą przyczynę, stary potraktowałby ją jak oszczerstwo: była to po prostu delikatność uczuć i myśli tego starego człowieka.

Syn stał się abolicjonistą, zanim to słowo przesączyło się z Północy. Gdy dowiedział się, że Republikanie posiadają nazwę określającą jego przekonania, zmienił nazwę tych przekonań nie odstępując ani na jotę od swych zasad i postępowania. Nie przekroczywszy jeszcze wówczas trzydziestki, był człowiekiem o spartańskiej przezorności ponad wiek, jak to często się zdarza u potomków nie gardzących butelką sług Okoliczności. Może to wpłynęło na fakt, że nie miał dziecka, póki nie nastąpił koniec wojny z której powrócił innym człowiekiem. “Oczyszczony ze świętości”, jak by to powiedział jego nieżyjący już ojciec. Choć ani razu nie wystrzelił podczas tych czterech lat, służba jego nie ograniczała się do modłów i kazań wygłaszanych do wojska w poranki niedzielne. Gdy powrócił ranny do domu, a potem

wyzdrowiał i ustabilizował swoje życie jako lekarz, był to tylko dalszy ciąg praktyki chirurgicznej i aptekarskiej, którą rozpoczął i której wyuczył się na ciałach swych przyjaciół i wrogów,

490

pomagając lekarzom na froncie. Ze wszystkich uczynków syna ten najprawdopodobniej podobałby się ojcu najbardziej: że wyuczył się zawodu na najeźdźcy i łupieżcy swego kraju.

“Ale świątobliwość nie jest odpowiednim słowem dla jego postępowania — myśli z kolei w tej chwili syn tego syna, siedząc w ciemnym oknie, gdy na zewnątrz świat zawieszony jest pośród zielonej nieruchomości uciszonych trąb. — Dziadek pierwszy wystąpiłby przeciwko każdemu człowiekowi, który by zastosował to określenie”. Było to prawdopodobnie cofnięciem się do surowych i nie tak odległych czasów, gdy człowiek w tym kraju mógł tylko niewielką część siebie oddać rozrywkom i miał mało czasu, w którym by je przeżywał, zajęty bronieniem się i ochranianiem siebie, nie tylko przed przyrodą, ale także przed ludźmi, i nie mając a w każdym razie: nie mając za życia — czasu na wypoczynek. W tym może leżała przyczyna, dla której potępiał niewolnictwo i swego rozpustnego i bluźnierczego ojca. Sam fakt, że nie dostrzegał sprzeczności w fakcie brania przez siebie udziału w partyzanckiej wojnie nie po stronie, której zasady były przeciwne jego zasadom, był dostatecznym dowodem, że składał się z dwóch oddzielnych i całkowitych ludzi, z których jeden posługiwał się łagodnymi zasadami świata nie istniejącego w żadnej rzeczywistości.

Ale druga jego część, która zamieszkiwała rzeczywisty świat, żyła tak samo jak inni ludzie. Posługiwał się swymi zasadami w czasie pokoju, a gdy nadeszła wojna, zabrał je ze sobą na wojnę i żył tam nimi, gdy nadchodziły chwile kazań w cichych zagajnikach podczas spokojnych niedzielnych poranków. Nie posługiwał się przy tym niczym, poza swoją wolą, swymi przeko-

491

nianiami i wszystkim, co udało mu się przypadkowo zgarnąć w czasie wędrówki. Gdy nadchodził czas wyciągania spod ognia rannych ludzi i kurowania ich bez pomocy koniecznych narzędzi, czynił i to także, nie mając żadnego innego ekwipunku, poza swoją siłą, odwagą i tym, co udało mu się zagarnąć w czasie wędrówki. Lecz gdy wojna została przegrana, a inni ludzie powrócili do domów, z oczyma uparcie wpatrzonymi wstecz ku temu, czego nie chcieli uznać za umarłe, on patrzył przed siebie i wykorzystał klęskę, jak umiał, robiąc praktyczny użytek z tego,

czego się nauczył. Stał się lekarzem. Jednym z jego pierwszych pacjentów była jego żona. Najprawdopodobniej on utrzymał ją przy życiu. A przynajmniej pomógł jej stworzyć życie, choć miał już pięćdziesiąt lat, a ona minęła czterdziestkę, gdy urodził się im syn. Syn ten wyrastał pośród zjaw, ramię w ramię z duchem.

Zjawami tymi byli: jego ojciec, matka i stara Murzynka. Ojciec, który był pastorem bez kościoła i żołnierzem bez nieprzyjaciela, po klęsce połączył te oba zawody i stał się lekarzem. Jak gdyby to chłodne i bezkompromisowe przekonanie, które czyniło go rzetelnym, na pograniczu pomiędzy kaznodzieją a żołnierzem, nie zostało pokonane, ale stało się bardziej rozumne. Jak gdyby w chmurze armatniego dymu ujrzało, że Położenie Rąk oznacza właśnie to. Jak gdyby nagle uwierzył, że Chrystus sądził, iż ten, którego duch jedynie wymaga leczenia, nie wart jest, aby się nim zajmować i zbawiać go. To była jedna zjawa. Drugą zjawą była matka. Jego pierwsze i ostatnie wspomnienie o niej ogranicza się do obrazu wychudłej twarzy, ogromnych oczu, ciemnych, rozrzuconych na poduszce włosów i błękitnych, nieruchomych, prawie kościo-

492

trupich dłoni. Gdyby w dniu jej śmierci powiedziano mu, że widział ją kiedykolwiek nie tylko leżącą w łóżku, nie uwierzyłby. Później przypomniał sobie co innego, przypomniał ją sobie poruszającą się po domu, zajmującą się gospodarstwem. Ale mając lat osiem, dziewięć i dziesięć myślał o niej jak o istocie pozbawionej nóg i stóp, składającej się tylko z wychudłej twarzy i dwojga oczu, które co dnia zdawały się coraz większe i większe, jakby chciały zagarnąć cały widok, całe życie jednym, ostatnim, straszliwym spojrzeniem pełnym zawodu, cierpienia i przewidywania. A gdy stało się to, usłyszał: był to dźwięk podobny do płaczu. Zanim umarła, słyszał go przez ściany. Ściany te były domem: poruszał się pomiędzy nimi, pomiędzy ich ciemnym, wszechobejmującym, wyczekującym następstwem fizycznej ruiny. On i ona, oboje mieszkali wśród nich jak dwoje małych, słabych zwierząt w norze, w jaskini, do której od czasu do czasu wchodził ojciec człowiek, który był obcy im obojgu, nieznajomy i prawie groźny: tak szybko stan ciała odmienia duszę. Był kimś więcej niż obcym. Był wrogiem. Miał inny zapach niż oni. Mówił innym głosem, nieomal innymi słowami, jak gdyby zamieszkiwał w innym otoczeniu i w innym świecie. Skulone obok łóżka dziecko czuło, że mężczyzna wypełnia pokój ordynarnym zdrowiem i podświadomą pogardą, tak samo bezradny i pełen zawodu~jak oni.

Trzecią zjawą była niewolnica murzyńska, która odjechała bryczką owego

poranka, gdy syn i jego młoda żona weszli do do mu. Odjechała niewolnicą. Powróciła pieszo w roku sześćdziesiątym szóstym, nadal jako niewolnica: ogromna kobieta o twarzy równocześnie gniewnej i spokojnej: maska czarnej

493

tragedii w przerwie pomiędzy dwiema scenami. Po śmierci swego pana, w chwili gdy nabrała ostatecznego przekonania, że nie zobaczy już nigdy ani jego, ani swego męża — “chłopca”, który poszedł ze swym panem na wojnę i także nie powrócił — odmówiła opuszczenia domku na wsi, do którego przeprowadził się jej pan i którym kazał się jej zaopiekować odjeżdżając. Po śmierci ojca syn pojechał tam, aby zabrać osobiste rzeczy ojca. Ofiarował jej wtedy opiekę. Odmówiła. Nie chciała także odjechać. Uprawiała swój własny niewielki ogródek i mieszkała tam sama czekając na powrót męża i nie wierząc w pogłoski o jego śmierci. Były to tylko nieokreślone pogłoski o tym, że po śmierci swego pana, który zginął podczas ataku konnicy Van Dorna na składy Granta w Jefferson, Murzyn był niepokojony. Pewnej nocy zniknął z biwaku. Potem zaczęły napływać pogłoski o obłąkanym Murzynie, zatrzymanym przez strażę Konfederatów niedaleko linii nieprzyjaciela i opowiadającym w kółko tę samą bajkę o swym panu, trzymanym dla okupu w niewoli przez Jankesów. Nie mogli go zmusić do tego, aby choć przez chwilę wierzył w to, że jego pan nie żyje. — Nie, proszę pana — mówi. — Nie pan Gail. Nie on. Nie odważyliby się zabić Hightowera. Nie odważyliby się. Mają go gdzieś ukrytego i starają się wymęczyć z niego, gdzie, ja i on, ukryliśmy pani serwis do kawy i złotą tackę. To wszystko, czego od niego chcą. — Za każdym razem uciekał im. Potem nadeszła z obozu Federalnego wiadomość o Murzynie, który zaatakował łopatą oficera Jankesa, a ten zastrzelił go, broniąc własnego życia.

Przez długi czas kobieta nie chciała w to uwierzyć.

— Nie dlatego, żeby nie był dosyć głupi, aby to zrobić

— powiedziała. — Ale nie ma przecież dosyć rozumu, żeby odróżnić Jankesa, którego miałby uderzyć tą łopatą. — Mówiła to przeszło rok. Później pojawiła się pewnego dnia w domu syna, który opuściła przed dziesięcioma laty i nie weszła do niego od tego czasu. Niosła ze sobą swój zawinięty w chustkę majątek. Weszła do domu i powiedziała: — Jestem tu oto. Czy ma pan w skrzyni dosyć drzewa na podpałkę, żeby zrobić kolację?

— Jesteś wolna teraz — powiedział syn.

— Wolna? — zapytała. Powiedziała to powoli z pełną zamyślenia pogardą. —

Wolna? A co mi dała wolność, poza tym, że zabiła pana Gaila, a z mojego starego zrobiła jeszcze większego durnia niż ten, którego Pan Bóg stworzył? Wolna? Niech pan nie mówi do mnie o wolności.

To była trzecia zjawą. Z tą zjawą dziecko “samo tylko trochę różniące się wówczas od zjawy” — myśli teraz siedząc w mrocznym oknie — rozmawiało o duchu. Nie męczyło ich to nigdy: dziecko, zachwycone, przebudzone, na wpół pogrążone w przerażeniu, a na wpół w radości — i stara kobieta, pełna zamyślenia, dzikiego żalu i dumy. Ale dla dziecka był to tylko łagodny dreszcz radości. Nie przerażało go wcale, że jego dziadek zabijał ludzi “setkami”, jak mu mówiła i jak wierzył. Ani nie przerażał go fakt, że Murzyn Pomp zginął, starając się zabić człowieka. Żadnego przerażenia, gdyż byli tylko duchami, nigdy nie widzianymi na jawie; bohaterскими, prostymi, ciepłymi. Lecz ojciec, którego znał i lękał się, był zjawą, nie mającą nigdy umrzeć. “Więc nic dziwnego — myśli teraz — że przepuściłem całe pokolenie. Nic dziwnego, że nie miałem ojca i że umarłem podczas nocy, która minęła dwa-

495

dzieścia lat przed moim urodzeniem. I że jedyną możliwością zbawienia jest dla mnie śmierć w miejscu, w którym życie moje skończyło się, nim się zaczęło”.

Po przybyciu do seminarium często myślał, jak opowie o tym przełożonym, wyniosłym, świątobliwym ludziom, stanowiącym o losie Kościoła, do którego tak chętnie przystąpił. Pójdzie do nich i powie: “Słuchajcie. Bóg musi powołać mnie do Jefferson, ponieważ życie moje umarło tam, zostało na ulicy w Jefferson zestrzelone z siodła galopującego konia pewnej nocy na dwadzieścia lat przed moim narodzeniem”. Początkowo myślał, że będzie mógł to powiedzieć. Wierzył, że zrozumieją. Mając ten zamiar pojechał tam i wybrał sobie to miejsce dla pełnienia swego powołania. Ale wierzył jeszcze w coś więcej. Wierzył także w Kościół, we wszystko, co Kościół tworzył i przypominał. Wierzył z cichą radością, że jeśli gdziekolwiek można znaleźć schronienie, to jest ono w Kościele, a jeśli gdziekolwiek prawda może chodzić naga, pozbawiona wstydu i lęku, to właśnie w seminarium. Gdy zaczął wierzyć w swoje powołanie, wydawało mu się, że widzi swoją przyszłość i swe życie, nienaruszone, ze wszystkich stron zupełne i nienaruszalne, jak antyczna waza o łagodnych liniach, w której osłonięty od surowych wichrów życia duch mógłby się odrodzić i umrzeć spokojnie, słysząc z daleka tylko odgłos okrążającej nawałnicy i rozstając się tylko z garścią gnijącego prochu. To właśnie oznaczało dla niego słowo “seminarium” — ciche, bezpieczne ściany, za którymi spętana i udreńczona mundurami dusza osiąść

by mogła znowu konieczny spokój, aby bez przerażenia i niepokoju zastanowić się nad swą własną nagością.

496

497

“Ale jest więcej rzeczy na niebie i na ziemi niż prawda” — myśli parafrazując spokojnie, nie drwiąco, ale także i nie bez poczucia humoru. Siedzi pośród niknącego zmierzchu, głowę ma owiniętą białym bandażem tak, że mający ona z dala, zdając się jeszcze większą i bardziej upiorną niż zwykle. Myśli: “Naprawdę, więcej jest tych rzeczy...” — i myśli, że pomysłowość została dana człowiekowi po to, aby w chwilach niebezpieczeństwa mógł bronić się przed prawdą za pomocą udanych obrazów i dźwięków. Przynajmniej jednego nie musiał żałować: że nie powiedział przełożonym w seminarium tego, co miał im zamiar powiedzieć. Nie musiał aż rok przebywać w seminarium, żeby to zrozumieć. A co gorsza, że zrozumiawszy to, nie stracił, ale zyskał coś, uniknął czegoś. I że ten zysk dał barwę i kształt obliczu jego miłości.

Była ona córką jednego z pastorów, nauczających w kolegium. Tak samo jak on była jedynaczką. Uwierzył natychmiast, że jest piękna, bo słyszał już o niej poprzednio, więc gdy zobaczył ją, nie zobaczył jej, ale twarz, którą stworzył poprzednio w swych myślach. Nie wierzył, aby mogła tam mieszkać przez całe życie i nie być piękną. Przez trzy lata nie dostrzegł jej prawdziwej twarzy. Ale wówczas istniała już od dwóch lat dziupla w pewnym drzewie, gdzie zostawiali listy do siebie. Jeżeli myślał o tym w ogóle, to wierzył zapewne, że uczucie to zrodziło się pomiędzy nimi spontanicznie, bez względu na to, które z nich pierwsze o tym pomyślało. Ale w rzeczywistości zrodziło się to w nim nie pod jej wpływem ani sam tego nie wymyślił, lecz przyszło z książki.

Ale w ogóle nie dostrzegał jej twarzy. Nie dostrzegał drobnego owalu, który opadał zbyt ostro ku brodzie i

był pełen gniewnego niezadowolenia. (Była o rok, dwa, a może trzy starsza od niego, o czym nie wiedział i nie miał się nigdy dowiedzieć.) Nie zauważył, że od trzech lat oczy jej śledzą go z rozpaczliwym niemal wyrachowaniem udręczonego hazardzisty.

A potem dostrzegł ją pewnego wieczora, spojrzął na nią. Niespodziewanie i dziko zaczęła mówić o małżeństwie. Zrobiła to bez słowa wstępu i bez ostrzeżenia. Nigdy dotychczas nie padło pomiędzy nimi to słowo. Zgodził się, gdyż wśród

duchownych większość stanowili żonaci. Lecz dla niego nie byli to mężczyźni i kobiety, żyjący w uświęconym fizycznym i duchowym zbliżeniu się, ale umarli, przeniesieni pomiędzy żywych i zamieszkujący pomiędzy nimi jak dwa cienie skute ze sobą cieniem łańcucha. Był przyzwyczajony do tego. Wzrastał w towarzystwie ducha. A potem, pewnego wieczora, przemówiła dziko i niespodziewanie. Gdy zrozumiał wreszcie, co ma na myśli, mówiąc o ucieczce z obecnego życia, nie poczuł żadnego zdziwienia. Był zbyt niewinny.

— Ucieczka? — zapytał. — Ucieczka przed czym?

— Tym! — powiedziała. Po raz pierwszy zobaczył jej twarz jako twarz żywej istoty, w masce pragnienia i nienawiści: udręczoną, ślepą, pełną gwałtownej namiętności. Nie głupią: tylko ślepą, nieustraszoną, zrozpaczoną. — Przed tym wszystkim! Wszystkim! Wszystkim!

Nie był zdziwiony. Natychmiast uwierzył w to, że ona ma słuszość, a on, po prostu, nie wiedział przedtem. Uwierzył natychmiast, że jego własny pogląd na seminarium był przez cały czas mylny. Niezupełnie mylny, ale fałszywy, niedokładny. Może nie zdając sobie aż do tej chwili sprawy z tego, sam zaczął wątpić już dawniej. Może dlatego właśnie nie powiedział im

32 -Światłość...

498

jeszcze, dlaczego musi pojechać do Jefferson. Powiedział jej przed rokiem, dlaczego chce, musi tam pojechać i pragnie, aby wiedzieli o przyczynie tego. A ona przyglądała mu się oczyma, których jeszcze nie dostrzegął. — Czy chcesz powiedzieć — zapytał ją — że nie wysłaliby mnie tam? Że nie ułożyliby tego tak, abym mógł tam pojechać? Że nie uznaliby tego za dostateczną przyczynę?

— Na pewno by nie uznali — odparła.

— Ale dlaczego? Przecież to prawda. Głupia, być może. Ale prawda. A do czego służy Kościół, jeśli nie do tego, żeby wspomagać tych, którzy są głupi, ale pragną prawdy? Dlaczego mieliby mi nie pozwolić tam wyjechać?

— Dlaczego? Ja sama nie pozwoliłabym ci tam wyjechać, gdybym była nimi i gdybyś podał mi to jako powód.

— Och — powiedział — rozumiem. — Ale nie rozumiał tego tak zupełnie, chociaż przypuszczał, że może nie mieć słuszości, a ona ją ma. Więc gdy w rok później zaczęła mówić do niego nagle tymi samym słowami o małżeństwie i ucieczce, nie był zdziwiony ani dotknięty. Pomyślał tylko spokojnie: “A więc to jest miłość.

Rozumiem. Myliłem się i tu także” — myśląc, jak myślał już poprzednio i jak miał myśleć jeszcze w przyszłości, jak fałszywą wydaje się najgłębsza nawet książka, gdy chce się ją zastosować w życiu.

Zmienił się zupełnie. Zaczęli planować małżeństwo. Zrozumiał teraz, że w ciągu całego tego czasu widział to pełne rozpacz wyrachowanie w jej oczach. “Może mają rację umieszczając miłość w książkach? — myślał spokojnie. — Może nie mogłaby ona istnieć nigdzie indziej?” Rozpacz była nadal w tych oczach, lecz teraz,

499

gdy ułożono już ostateczny plan i naznaczono dzień, były one spokojniejsze i przede wszystkim wyrachowane. Rozmawiali teraz o jego wyświęceniu kapłańskim, o tym, w jaki sposób będzie mógł zdobyć Jefferson jako swą parafię. — Myślę, że powinniśmy od razu wziąć się do roboty — powiedziała. Odparł, że pracuje nad tym już od chwili, gdy skończył cztery lata. Być może, powiedział to żartobliwie, dziwacząc umyślnie. Ale zbyła to z namiętym i trzymanym na wodzy brakiem poczucia humoru, niemal brakiem uwagi, mówiąc niemal do siebie o nazwiskach i ludziach, których należy spotkać, przed którymi należy się płaszczyć albo którym należy zagrozić, rozwijając przed nim całą kampanię upokorzenia i intryg. Słuchał. Ale lekki, drwiący, pytający, może rozpaczliwy uśmieszek nie schodził mu z twarzy. Podczas gdy ona mówiła, dorzuczał:

— Tak. Tak. Widzę. Rozumiem. — Jak gdyby mówił: Tak. Rozumiem. Rozumiem teraz. W ten sposób robią to. Zdobywają to. To jest reguła. Rozumiem teraz.

Gdy demagogia, ponizenie i małe kłamstewka znalazły odbicie w innych małych kłamstewkach i ostatecznych pogroźkach skierowanych w formie próśb i propozycji do hierarchii kościelnej, a on otrzymał powołanie do Jefferson, zapomniał początkowo na pewien czas, w jaki sposób się to stało. Nie przypomniał sobie tego, póki nie osiadł w Jefferson, a na pewno nie pamiętał o tym wówczas, gdy pociąg kończąc podróż biegł ku ostatecznemu celowi jego życia poprzez krainę zupełnie podobną do tej, w której przyszedł na świat. Ale była pewna różnica, choć wiedział, że znajduje się ona nie na zewnątrz, ale wewnątrz wagonu,

500

WILLIAM FAULKNER

za którego oknem siedział przyciskając twarz do szyby jak dziecko, gdy obok niego siedziała żona, mając teraz w oczach — prócz głodu i rozpacz — coś, co

przypominało niecierpliwość. Pobrali się przed niecałymi sześcioma miesiącami. Pobrali się od razu po ukończeniu przez niego studiów. Od tego czasu ani razu nie widział otwartej rozpacz w jej oczach. I raz jeszcze pomyślał spokojnie, bez wielkiego zdziwienia, a może nawet bez bólu: Rozumiem. Więc to tak się odbywa. Małżeństwo. Tak. Rozumiem teraz.

Pociąg pędził przed siebie. Wychylony przez okno Hightower przyglądał się przelatującej okolicy i mówił jasnym, szczęśliwym głosem dziecka: — Mogłem pojechać do Jefferson już przedtem, prawie każdej chwili. Ale nie zrobiłem tego. A mogłem przyjechać każdej chwili. Jak wiesz, jest różnica pomiędzy niedbałością w życiu cywilnym i wojskowym. Niedbałość wojskowa? Ach, była to niedbałość rozpacz. Garstka ludzi (nie był oficerem. Myślę, że to jedyny punkt, w jakim zgadzali się kiedykolwiek, ojciec i Cyntia: że dziadek nie nosił szabli i nie wymachiwał szablą, galopując przed pozostałymi) dokonywająca z ponurą zawziętością chłopców psoty tak śmiałej, że wojska, walczące przeciwko nim od czterech lat, nie wierzyły, aby nawet oni mogli targnąć się na coś podobnego. Przejechali kraj, gdzie na przestrzeni stu mil każda wioska i lasek zawierały jankeski biwak, a potem wtargnęli do garnizonowego miasta... Znam nawet ulicę, którą jechali do miasta i wyjechali z niego. Nigdy jej nie widziałem, ale wiem dokładnie, jak musi wyglądać. Wiem dokładnie, jak wygląda przy tej ulicy dom, który będziemy kiedyś posiadali i mieszkali w nim. Początkowo nie będzie to ten dom. Początkowo będzie-

501

my musieli zamieszkać w probostwie. Ale prędko, tak prędko, jak tylko będziemy mogli, będziemy wyglądali przez okno i widzieli tę ulicę, a może nawet ślady kopyt albo ich obraz w powietrzu, bo będzie tam to samo powietrze, nawet jeżeli kurz i błoto zniknęły już... Głodni, wychudli, wydający okrzyki, podkładają ogień pod magazyny, mające służyć całej dokładnie zaplanowanej kampanii. A potem wyjeżdżają. Nie rabują; nie zatrzymują się nawet, aby wziąć buty albo tytoń. Powiadam ci, że nie byli to ludzie szukający łupu albo sławy. To byli chłopcy unoszeni przez potężną falę rozpaczliwego istnienia. Chłopcy. Właśnie dlatego. To jest piękne. Posłuchaj. Postaraj się to zobaczyć. Oto jest obraz wiekuistej młodości i dziewiczego pragnienia, które czynią bohaterów. Które zbliżają uczynki bohaterów tak bardzo do granicy niemożliwego, że muszą oni czasem ukazywać się oczom jak blask ognia pośród armatniego dymu, a nim wydadzą ostatnie tchnienie, ich śmierć staje się legendą o tysiącu twarzy, aby sprzeczność nie hańbiła prawdy. To właśnie opowiadała

mi Cyntia. I wierzę jej. Wiem. Jest to zbyt doskonałe, by można było wątpić. Zbyt doskonałe, zbyt proste, by mogło być kiedykolwiek wymyślone przez białego człowieka: Murzyn mógłby to wymyślić. A jeżeli Cyntia zrobiła to, wierzę jej tym bardziej. Bo nawet prawda nie może się z tym równać. Nie wiem, czy szwadron dziadka stracił orientację. Nie przypuszczam. Myślę, że zrobili to naumyślnie jak chłopcy, którzy podłożywszy ogień pod stodołę wroga i nie wzięwszy stamtąd deski ani skobla od drzwi, mogą zatrzymać się podczas ucieczki, by ukraść trochę jabłek sąsiadowi, przyjacielowi. Pamiętaj, że byli głodni. Byli głodni od trzech lat. Może przywykli do

502

tego. Bądź co bądź dopiero co podłożyli ogień pod całe tony żywności, ubrań, tytoniu i alkoholu, nie biorąc stamtąd nic, choć nie wydano im żadnego rozkazu, zabraniającego brania łupów. Teraz zawracają mając to wszystko za sobą: zamieszanie, pożar, nawet niebo musiało chyba wtedy płonąć. Możesz to zobaczyć, usłyszeć to: wrzaski, strzały, okrzyki triumfu i przerażenia, bębniące podkowy, drzewa unoszące konary na tle pożogi, jakby same wpadły w przerażenie, ostro zarysowane szczyty dachów, jak poszarpana krawędź wybuchającego, ginącego świata. A teraz ostatnia scena: możesz wyczuć, usłyszeć w ciemności ściąganie koniom wodzy, ludzie zeskakują, broń po-dzwania cicho, głośnie szepty, przyspieszone oddechy, głosy wciąż jeszcze triumfalne, a za nimi reszta oddziału galopuje w stronę trąbki zwołującej na zbiórkę. To musisz usłyszeć i odczuć. Potem zobaczysz. Nim nastąpi strzał, zobaczysz w czerwonym blasku konie o rozdętych chrapach i uniesionych, pokrytych potem łbach, dostrzeżesz błyski stali, wybladłe, wychudłe twarze żywych strachów na wróble, które nie najadły się, odkąd sięga ich pamięć. Może niektórzy z nich już zeskoczyli z koni, a jeden lub dwóch weszło już do kurnika. Wszystko zobaczysz, zanim usłyszysz trzask dubeltówki. A potem znów nastaje ciemność. Padł tylko ten jeden strzał. — A naturalnie, on musiał stać na jego drodze — powiedziała do mnie Cyntia. — Kradnąc kurczęta. Dorosły mężczyzna, mający żonatego syna, który poszedł na wojnę, gdzie miał się zajmować zabijaniem Jankesów, umierający w czyimś kurniku z rękami pełnymi piór. Kradnąc kurczęta. — Głos jego był wysoki, dziecięcy, podniecony. Żona ścisnęła go za ramię. Szszszszszsz! Szszszszszsz! Ludzie na cie-

503

biepatrzą! Me zdawał się w ogóle jej nie słyszeć. Jego chuda, chorowita twarz, jego oczy zdawały się płonąć. — Otóż to. Nie wiedzieli nawet, kto wystrzelił. Nigdy się

nie dowiedzieli. Nie próbowali się nawet dowiedzieć. Mogła to być nawet kobieta, być może nawet żona konfederackiego żołnierza. Lubię myśleć o tym w ten sposób. Każdy żołnierz może być zabity przez nieprzyjaciela w ogniu bitewnym bronią zatwierdzoną przez arbitrów i twórców sztuki wojennej. Albo przez kobietę w sypialni. Ale nie z dubeltówki, nie w kurniku ze strzelby na ptactwo. I czy można się dziwić, że ten świat jest zaludniony przeważnie przez umarłych? Pewnie, że patrząc na ich następców, Bóg odwraca twarz.

— Cicho! Szszszszszsz! Patrzą na nas!

Potem pociąg zwolnił wjeżdżając do miasta. Odrapane przedmieścia przesuwały się, znikając za szybą. A on wyglądał nadal przez okno: chudy, trochę niechlujny mężczyzna, wciąż, jeszcze mający wokół siebie nikłą aureolę swego powołania, cicho otaczającą, strzegącą i zamykającą jego serce. Myślał teraz spokojnie, że na pewno niebo musi posiadać barwę i wygląd wioski, wzgórza albo domku, o którym wierzący mówi: “To moje”. Pociąg zatrzymał się: powolne przejście pomiędzy ławkami, a potem schodzenie w dół, pomiędzy poważne, odświętne, starające się go osądzić twarze: głosy, szepty, fragmenty zdań uprzejme, ale powstrzymujące się wciąż jeszcze od oceny, nie dające nic jeszcze i (powiedzmy to sobie) pełne uprzedzenia. “Uznałem to — myśli. — Zdaje się, że przyjąłem to. Ale może. to było wszystko, co zrobiłem. Niech mi Bóg przebaczy”. Świat zniknął już prawie. Jest już niemal noc.

504

Jego okręcona bandażem głowa nie ma żadnej głębi, żadnej gęstości. Zdaje się wisieć nieruchomo ponad dwiema bladymi plamami rąk spoczywających na parapecie otwartego okna. Pochyla się ku przodowi. Odczuwa już dwie chwile, których zaraz dotknie: jedną, będącą treścią jego życia, powtarzającą się pomiędzy każdym zapadnięciem ciemności i nocą — i drugą, mającą zaraz nastąpić chwilę, z której zaraz wynurzy się wkrótce. Gdy był młodszy, a zmysły jego były zbyt doskonałe, by mógł czekać, starał się czasem w owej chwili oszukać siebie i uwierzyć, że usłyszał je, nim nadszedł czas, kiedy je miał usłyszeć.

“Może to jest jedyne, czego dokonałem — myśli — czego w ogóle kiedykolwiek dokonałem”. Myśli o twarzach: twarzach starych ludzi, oczywiście podejrzliwych wobec jego młodości i zazdrosnych o kościół, który oddawali mu w ręce, jak ojciec oddaje za mąż córkę, twarze starych ludzi pomarszczone nagromadzonymi kłóskami i wątpliwościami, które są tak często po drugiej stronie medalu, przedstawiającego

czerstwą i szanowną starość — stronie, mówiąc mimochodem, na którą posiadacz wyobrażony na medalu musi patrzeć nie mogąc tego uniknąć. “Zrobili, co do nich należało, postępowali według zasad — myśli. — Ja byłem tym, który zawiódł i naruszył prawo. Może to mój największy grzech wobec społeczeństwa, tak, może nawet wobec moralności”. Myśli płyną spokojnie, cicho, płyną, zagęszczają się w spokojne obrazy, nie obronne, nie wypełnione wyrzutem, nie wypełnione żalem. Widzi siebie jako cień pośród cieni, pełen sprzeczności, sztucznego optymizmu, egoizmu i wiary w to, że pomiędzy ślepych namiętnościami, uniesionymi rękami i głosami ludzi najbardziej błędnej

505

części Kościoła odnajdzie, budząc się ze snu, to, czego nie umiał odnaleźć w otaczającej ziemi aureoli Kościoła. Wydaje mu się, jakby dostrzegł to przez cały czas: że Kościół niszczy, nie przez wchodzących do niego po omacku ani przez wychodzących z niego po omacku, ale przez zawodowców, którzy panują nad nim i usunęli dzwony z jego dzwonnicy. Wydaje mu się, że widzi nieskończony ich szereg, bezładnych, pysznych, symbolicznych, ponurych, wskazujących niebo, nie w zachwyceniu lub z namiętną gwałtownością, ale z klątwami, pogroźkami i potępieniem na ustach. Zdaje mu się, że widzi kościoły Ziemi jak zębate obramowania murów, jak jedną z owych średniowiecznych barykad, pokrytych trupami wiszącymi na ostrokołach i skierowanych przeciw prawdzie, możliwości grzechu i przebaczenia, które razem składają się na życie ludzkie.

“Zgodziłem się na to — myśli. — Pozwoliłem na to. Nie. Postąpiłem gorzej: służyłem temu. Służyłem temu, by osiągnąć swój cel. Przybyłem tu, gdzie oczekiwały mnie twarze pełne zmieszania, głodu i gorliwości, pragnące wierzyć. Nie dostrzegłem ich. Nie dostrzegłem rąk uniesionych w oczekiwaniu tego, co, jak wierzyli, miałem im przynieść. Przywiozłem ze sobą tylko jedno zobowiązanie, może pierwsze z tych, które człowiek zaciągnął, a które ja zaciągnąłem z mojej własnej woli wobec Boga. Sądziłem, że ta obietnica i zobowiązanie są tak małej wartości, że nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że je przyjąłem. A jeśli to było wszystko, co uczyniłem dla niej, to czego mogłem od niej oczekiwać? Czego mogłem oczekiwać, poza hańbą i rozpaczą przed obliczem bożym, odwróconym ode mnie we wstydzie? Może właśnie w owej chwili,

506

gdy ukazałem jej nie tylko głębię mego głodu, ale i świadomość tego, że nigdy nie będzie mogła mieć udziału w jego zaspokojeniu, stałem się jej uwodzicielem i

mordercą, twórcą i narzędziem jej hańby i śmierci. Przecież mimo wszystko muszą istnieć jakieś sprawy, za które Bóg nie może ponosić odpowiedzialności i nie może być o nie oskarżany przez człowieka. Muszą być”. Myśli zaczynają zwalniać teraz. Zwalniają jak koło, które zaczyna biec przez piasek, a oś, pojazd i siła, poruszające pojazd nie wiedzą jeszcze o tym.

Zdaje się przypatrywać sobie w tym tłumie twarzy, zawsze otoczony nimi i zamknięty pośród nich, jakby przypatrywał się sobie stojącemu na kazalnicy patrząc spod drzwi kościelnych albo widząc siebie jak rybę w akwarium. Więcej nawet: twarze zdają się być lustrami, w których widzi swoje odbicie. Zna je wszystkie, umie odczytywać z nich swoje uczynki. Widzi odbitą w nich postać groteskową i nieco obłąkaną: szarlatana, nie zwracającego najmniejszej uwagi na tych, których kazalnicę opanował podstępem, wykładającego coś gorszego niż herezję: ofiarowującego zamiast obrazu ukrzyżowanej litości i miłości — chełpliwego i plugawego śmiałka, zabitego z dubeltówki w spokojnym kurniku, gdy odpoczywał przez chwilę w przerwie pomiędzy zabójstwami, do których miał skłonność. Koło myśli zwalnia. Oś wie już o tym, ale pojazd nadal nie zdaje sobie z tego sprawy.

Dostrzega, że otaczające go twarze odbijają zdumienie, niepokój, a potem oburzenie i wreszcie lęk, jak gdyby umiały patrzeć poprzez jego dzikie wysoki i dostrzegały za nim spoglądające na niego z góry, niewidzialne dla niego, ostateczne i najwyższe Oblicze, zimne i straszliwe w swym wszechwiedzącym odosob-

507

nieniu. Wie, że widzą jeszcze więcej: widzą, że zaufanie, któremu się sprzeniewierzył, obrócone zostaje przeciw niemu i chłoszcze go. Wydaje mu się w tej chwili, że mówi do Oblicza: “Może przyjąłem na siebie więcej, niż mogłem wykonać. Ale czy to zbrodnia? Czy będę za to ukarany? Czy będę odpowiedzialny za to, co było ponad moje siły?” A Oblicze: “Wziąłeś tę kobietę nie dlatego. Wziąłeś ją jako środek do osiągnięcia swego celu. Jako narzędzie, które pozwoliło ci być powołanym do Jefferson, nie dla mych celów, ale dla twych własnych”.

“Czy to prawda? — zapytuje siebie. — Czy to mogła być prawda?” Wydaje mu się, że jest znowu sobą w owej chwili, gdy nadeszła hańba. Przypomina sobie to, co przeczuwał i co ukrywał przed swoimi myślami, nim się narodziła. Widzi siebie usiłującego to przekupić hartem duszy, pobłażliwością i szlachetnością, aby sprawiać wrażenie męczennika, któremu odebrano kazalnicę, kiedy w tej samej chwili wybucha w nim tryumfalna fala zaprzeczenia, ukryta w rysach twarzy, która zdradziła go,

sądząc, że jest samotna i bezpieczna za uniesionym psalterzem, gdy fotograf nacisnął gruszkę swego aparatu.

Zdaje się przypatrywać sobie czujnie, cierpliwie, roztropnie, rozgrywając swe karty mądrze, aby wyglądało na to, że został wciągnięty — nie skarżąc się — w coś, czego nawet wówczas nie chciał uznać za swe pragnienie, kierujące nim od czasu, gdy wstąpił do seminarium, a nawet wcześniej jeszcze. I nadal próbuje się wykupić, jak gdyby ciskał zgniłe owoce przed stado świń: mały dochód po ojcu, który nadal dzielił z instytucją w Memphis; zgoda na to, aby go oskarżono, ściągano nocą z łóżka, prowadzono do lasu i tam bi-

508

to kijami. A przez cały czas bezwstydnie nosił przed oczyma miasta swe cierpliwe, lubieżne Ja męczennika, jego wygląd, zachowanie i to: Jak długo jeszcze, o Panie, póki nie zamykał za sobą drzwi domu. Wtedy unosił swą maskę z lubieżnym i zwycięskim chichotem. Ach, to już przeszło. Dokonało się. Zostało kupione i zapłacone.

“Ale byłem wówczas jeszcze młody — myśli. — Musiałem postępować nie tak, jak mogłem, ale jak umiałem”. Myśli biegną teraz zbyt ciężko. Powinien wiedzieć o tym, wyczuć to. Ale pojazd nadal nie wie o tym, co się zbliża. “A przecież, pomimo wszystko, zapłaciłem za to. Kupiłem mojego ducha, nawet jeżeli zapłaciłem za niego moim życiem. A któż może mi zabronić tak czynić? Każdy człowiek posiada przywilej niszczenia siebie tak długo, jak długo nie rani przy tym nikogo innego i póki żyje sam, wykorzystując tylko siebie...” Urywa nagle. Nieruchomieje, przestaje oddychać. Ogarnia go zmieszanie, które staje się wkrótce prawdziwym przerażeniem. Wie już o piasku. Zdając sobie z tego sprawę czuje, że zaczyna się w nim coś zbierać, jak gdyby dla dokonania ogromnego wysiłku. Myślenie nadal postępuje, ale nie można go odróżnić od niedawnej przeszłości, jakby już przebyte cale piasku chwytaly się kręcącego koła, opadając ponownie z suchym sykiem, który już przedtem powinien był go ostrzec: “...odkryłem mej żonie mój głód, moje ja... przyczynę jej rozpacz i wstydu...” — i choć nie pomyślał tego w ogóle, jakieś zdanie zdaje się formułować w jego czaszce. Nie chcę tego pomyśleć. Nie wolno mi tego pomyśleć. Nie mam, odwagi tego pomyśleć. Gdy siedzi tak w oknie, wychylony nieco ponad swymi nieruchomymi dłońmi, pot zaczyna lać się z niego,

509

•H

I

wytryskując jak krew i spływając w dół. Począwszy od tej chwili, zagłębione w piasku koło myśli zaczyna kręcić się w zwichniętych i połamanych łożyskach jego duszy i życia z powolną nieubłagalnością średniowiecznego narzędzia tortur: “Więc jeśli jest tak, jeśli jestem narzędziem jej rozpacz i śmierci, to przecież i ja z kolei jestem narzędziem kogoś z zewnątrz. Wiem, że przez pięćdziesiąt lat nie byłem nawet gliną; byłem tylko jedną chwilą ciemności, w której galopował koń i wystrzeliła strzelba. I jeśli jestem moim umarłym dziadkiem w chwili jego śmierci, wówczas moja żona, żona jego wnuka... jestem uwodzicielem i mordercą żony mego wnuka, gdyż nie pozwoliłem temu wnukowi ani żyć, ani umrzeć...”

Uwolnione koło zaczyna pędzić z przeciągłym odgłosem, podobnym do westchnienia. A on siedzi nieruchomo na jego śladach. Pot staje się chłodniejszy, ale płynie nadal. Koło kręci się nieustannie. Biegnie teraz szybko i gładko, bo uwolniono je z ciężaru, zniknęła oś, pojazd, wszystko. W pełnym blasku nieruchomości sierpnia, w którą osuwa się nadchodząca noc, koło zdaje się otoczone lekkim lśnieniem, podobnym do aureoli. Aureola jest wypełniona twarzami. Twarze te nie są wykrzywione cierpieniem, nie są wykrzywione jakimkolwiek uczuciem: ani przerażeniem, ani bólem, ani nawet wyrzutem. Są spokojne, jak gdyby ukryły się w apoteozie. Jego własna twarz jest pomiędzy nimi. W rzeczywistości wszystkie są do siebie podobne, złożone ze wszystkich twarzy, które kiedykolwiek widział. Ale może odróżnić każdą od innych: twarz żony, twarze ludzi z miasta, członków tego zgromadzenia, które go wypędziło, a spotkało na dworcu kolejowym w ów dzień gorliwości i głodu; twarz By-

510

rona Buncha; tej kobiety z dzieckiem; a także twarz owego człowieka nazwiskiem Christmas. Tylko ta jedna twarz nie jest wyraźna. Jest ona bardziej pogmatwana niż inne twarze, jak gdyby zmagająca się spokojnie ze swą powikłaną różnorodnością. Potem dostrzega, że są to dwie twarze, które zdają się walczyć ze sobą (nie dlatego, aby walczyły lub pragnęły walczyć, ale dlatego, że powoduje to ruch koła), aby uwolnić się od siebie, a potem błedną i znów zlewają się ze sobą. Ale zobaczył teraz tę drugą twarz, która nie jest twarzą Christmаса. “Przecież to... — myśli. — Przecież to jest ten chłopiec z tym czarnym pistoletem, pistoletem automatycznym, jak mówią na nie. Ten, który... do kuchni, gdzie... zabił... który strzelał...” Potem wydaje mu się, że pęka w nim jakaś ostateczna tama i spływa. Zdaje

się jej przyglądać, czując, że traci kontakt ze światem. Jest coraz lżejszy i lżejszy, pustoszejąc, płynąc. “Umieram — myśli. — Powiniennem zacząć się modlić”. Ale nie modli się. Nie próbuje nawet. “Całe powietrze, całe niebo pełne jest zagubionego i niedo-strzeżonego płaczu tych wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli, a zawodzą nadal jak dzieci zagubione pośród zimnych i okropnych gwiazd. Chciałem tak mało... Prosiłem o tak mało. Wydawałoby się...” Koło wiruje. Wiruje teraz w miejscu, nie posuwając się naprzód i blednąc, jak gdyby poruszane przez tę ostateczną falę, która wypłynęła z niego, pozostawiając jego ciało pustym i lżejszym niż zapomniany liść, a może nawet mniej znaczącym niż resztki rozbitego okrętu, gdy spoczywa teraz wyczerpane i nieruchome, wsparte o nie mający żadnej spistości parapet okna, pod nic nie ważącymi dłońmi. A więc może się to stać teraz. Teraz. Jak gdyby czekali tylko na to, aby miał czym ode-

511

tchnąć, aby mógł upewnić się o swym zwycięstwie i pragnieniu resztkami pozostałymi z honoru, dumy i życia. Słyszy w swym sercu narastającą nawałnicę, potężną jak łoskot bębnow. Jak głębokie westchnienie wiatru wśród drzew jest tego początek, potem ukazują się oczom, niesieni na chmurze widmowego pyłu. Przelatują przed nim, pochyleni w siodłach, wywijając szabłami pod turkoczącymi wstęgami pochyłonych lanc. Z wrzawą i bezgłośnym wrzaskiem przelatują jak fala, której grzebień jak krater wybuchającego świata najeżony jest rozszalałymi łbami koni i uniesioną bronią. Przelatują, zniknęli, pył unosi się kłęбами ku niebu i znika pośród nocy, która nadeszła już w pełni. Mimo to, gdy ze swą ogromną, obandażowaną głową, zdając się nie mieć głębi, siedzi wychylony z okna i wsparty na podwójnej płamie leżących na parapecie dłoni, słyszy nadal dzikie głosy trąbek, szczęk szabel i zamierający grzmot kopyt.

21

We wschodnim krańcu stanu mieszka pewien handlarz meblami, który niedawno odbył podróż do Ten-nessee, aby zabrać kilka sztuk starych mebli, nabytych drogą korespondencyjną. Odbył tę podróż swoją ciężarówką, która jest nowa i zbudowana na kształt zamkniętego pomieszczenia, mającego z tyłu drzwi. Ponieważ nie chciał nią jechać prędzej niż piętnaście mil na godzinę, więc zabrał ze sobą ekwipunek turystyczny, aby nie wydawać na hotele. Po powrocie do domu opowiedział swej żonie o przygodzie, którą miał w drodze. Przygodę tę uznał za dość zajmującą, aby ją

WILUAM FAULKNER

powtórzyć. Może przyczyna, dla której uznał tę przygodę za zajmującą i dla której uznał ją za zajmujące opowiadanie, leżała w tym, że ani on, ani jego żona nie byli jeszcze starzy, a prócz tego nie było go w domu przez cały tydzień. Co należało przypisać bardzo umiarkowanej szybkości, z jaką jechał. Opowiadanie jego dotyczy dwóch osób, pasażerów, których zabrał; tu wymienia nazwę pewnego miasta w Missisipi, zanim wjechał do Tennessee.

— Postanowiłem wziąć trochę benzyny i już zwalniałem przed stacją benzynową, kiedy zobaczyłem młodą dziewczę o przyjemnej buzi, stojącą na zakręcie, jakby czekała na kogoś, kto by przejeżdżał i chciał ją podwieźć. Trzymała coś w rękach. W pierwszej chwili nie dostrzegłem, co to takiego, i nie dostrzegłem faceta, który z nią stał, zanim nie podszedł do mnie i nie odezwał się. Pomyślałem najpierw, że może nie dostrzegłem go, bo nie stał w tym samym miejscu, co ona. Potem zobaczyłem. To był jeden z tych facetów, których się nie zauważa na pierwszy rzut oka, nawet jeżeli są sami na dnie pustego basenu pływackiego.

Podszedł, a ja powiedziałem może trochę za prędko:

“Nie jadę do Memphis, jeżeli o to wam chodzi. Przejeżdżam obok Jackson w Tennessee”.

A on powiada:

“To świetnie. To doskonale nam odpowiada. To by była przysługa”.

A ja powiadam:

“A dokąd chcecie jechać?”

A on spojrzał na mnie jak człowiek, który nie jest przyzwyczajony do kłamania, musi prędko wymyślić jakieś kłamstwo, a wie, że nie uwierzą mu łatwo.

“Rozglądacie się tylko, co?” — mówię ja.

“Tak — powiada on. — Właśnie tak. Jedziemy sobie tylko. Dokądkolwiek nas pan zabierze, zrobi nam pan wielką przysługę”.

Powiedziałem mu więc, żeby wsiadł. “Myślę, że nie chcecie mnie obrabować i zamordować” — powiedziałem, a on wrócił się po nią i razem podeszli. Wtedy zobaczyłem, że ona dźwiga na rękach dziecko, maleństwo nie mające jeszcze roku. Chciał jej pomóc wejść na tył auta, ale ja zapytałem: “Dlaczego jedno z was nie usiądzie tu, na siedzeniu?” Więc porozmawiali trochę, a potem ona przyszła i usiadła

obok mnie na siedzeniu, a on poszedł na stację benzynową, wrócił z jedną z tych tekturowych walizek, podobnych do skórzanych, wsadził ją do bagażnika i też wsiadł. No i ruszyliśmy, ona na siedzeniu, trzymając dziecko i oglądając się od czasu do czasu, jakby się bała, czy on może nie wypadł.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to mąż i żona. Po prostu w ogóle nic o tym nie pomyślałem, chyba tylko tyle, że zastanawiałem się trochę, jak taka młoda, fajna dziewczucha mogła się z nim zejść. Nie to, żeby było w nim coś nie w porządku. Wyglądał na przyzwoitego faceta, takiego, co to umie utrzymać się przy jednej robocie i pracować długo w jednym miejscu, nie zawracając nikomu głowy o podwyżkę, dopóki daje mu się robotę. Tak wyglądał. Wyglądał, jakby poza godzinami pracy był tylko czymś, co się pęta w pobliżu. Nie mogłem sobie wyobrazić nikogo, żadnej kobiety, która by zapamiętała, że się z nim przespała, a już najmniej takiej, która by niosła w rękach dowód tego.

Czy ci nie wstyd?— mówi jego żona — Mówić w ten sposób przy kobiecie. Rozmawiają w ciemności.

33 - Światłość...

514

Tak czy inaczej, nie widzę, żebyś się czerwieniła — mówi on. Ciągnie dalej:

— Nie myślałem o tym wcale, aż do noclegu. Siedziała przy mnie na siedzeniu, a ja mówiłem do niej, jak to człowiek czasem mówi, i po pewnym czasie okazało się, że oni przybywają z Alabamy. Ciągłe mówiła: “Przybywamy” — więc myślałem, że ma na myśli siebie i tego jadącego z tyłu faceta. Mówiła też, że są w drodze osiem tygodni. “Ten mały pani nie ma jeszcze ośmiu tygodni, jeżeli mnie wzrok nie myli” — powiadam ja, a ona odpowiedziała, że urodził się trzy tygodnie temu w Jefferson, a ja powiedziałem: “Aha. Tam, gdzie zlinczowali tego Murzyna. Musiała pani tam wtedy być”. A wtedy ona zamknęła się. Jakby on jej powiedział żeby nie rozmawiała o tym. Wiedziałem, że tak musi być. Jechaliśmy więc, a potem zaczęło się robić ciemno, więc powiedziałem: “Niedługo dojedziemy do miasta. Nie będę tam spał. Ale jeżeli chcecie pojechać ze mną jutro, to przyjadę po was do hotelu o szóstej” — a ona nie odezwała się, jakby czekała, co on powie, a po pewnym czasie on powiedział.

“Myślę, że mając tę ciężarówkę z nadbudówką, nie musi się pan kłopotać o hotele” — a ja nic nie odpowiedziałem. Wjeżdżaliśmy właśnie do miasta, a on powiedział: “Czy to jakieś duże miasto?”

“Nie wiem — powiedziałem. — Ale myślę, że będą tu mieli pensjonat czy coś

podobnego”.

A on powiada:

“Myślałem o tym, czy nie mają tu noclegów turystycznych”. Ja nic na to nie odpowiedziałem, a on mówił dalej: “Z namiotami do wynajęcia. Te hotele są drogie, a ludzie, którzy mają daleko ujechać...”

515

Nie powiedzieli jeszcze nawet, dokąd jadą. Wyglądało na to, że pewnie sami nie wiedzą, jakby czekali, żeby się dowiedzieć, gdzie mogą zjechać. Ale nie wiedziałem tego wtedy. Wiedziałem za to, co on chce, żebym mu powiedział, i wiedziałem, że nie poprosi mnie sam. Że niby, jeżeli Pan Bóg chce, żebym to powiedział, to powiem, a jeżeli Pan Bóg chce, żeby poszedł do hotelu i zapłacił może nawet trzy dolary za pokój, to też to zrobi. Więc powiadam:

“Noc jest ciepła. I jeżeli wy, ludzie, nie dbacie o tych parę komarów i spanie na tych gołych deskach w samochodzie...”

A on powiada:

“Pewnie. To będzie doskonale. To będzie bardzo grzecznie z pana strony, jeżeli pan jej pozwoli”. I wtedy zauważyłem, że powiedział jej, i zauważyłem, że jest w nim coś dziwnego i jakby napiętego. Jak wtedy, kiedy człowiek podkręca się, żeby zrobić coś, co chce zrobić, a boi się. Nie chcę powiedzieć, że bał się tego, co mu się może przydarzyć, ale to było coś, czego by nawet nie pomyślał i wolał umrzeć, niż to zrobić, gdyby nie spróbował wszystkich innych sposobów i nie wpadł już w rozpacz. To pomyślałem, zanim się dowiedziałem. Wtedy nie mogłem jeszcze zrozumieć w żaden sposób, co to może być. I gdyby nie ta noc i nie to, co się podczas niej przydarzyło, to myślę, że w ogóle bym o tym nie wiedział, kiedy wysiedli w Jack-son. -,

A co on chciał zrobić?— pyta żona.

Zaczekaj, aż dojdę do tej części opowiadania. Może ci nawet pokażę, co chciał zrobić.

Ciągnie dalej:

— Więc zatrzymaliśmy się przed sklepem. On wy-

516

WILUAM FAULKNER

skakiwał już, zanim samochód się zatrzymał. Jakby się bał, że go przegonię, a twarz miał rozpromienioną jak dziecko, które chce zrobić coś dla ciebie, dopóki ty nie zdążysz zmienić zdania o czymś, co miałaś zrobić dla niego. Pobiegł kłusem do tego

sklepu i wrócił z tyloma woreczkami i torbami, że nie było go spoza nich widać, więc powiedziałem do siebie: “Uważaj, bracie, żeby oni nie chcieli osiedlić się na stałe w tej ciężarówce i założyć gospodarstwa domowego”. Potem ruszyliśmy dalej i niedługo potem zajechaliśmy w dobre miejsce, gdzie mogłem zjechać z drogi pomiędzy drzewa. A wtedy on zeskoczył, podbiegł i pomógł jej wyjść, jakby ona i dziecko zrobieni byli ze szkła albo jajek, A na twarzy miał ciągle ten wyraz, jakby był prawie zdecydowany zrobić to, co miał zrobić z tej rozpacz, jeżeli nic z góry nie przeszkodzi albo jeżeli ona nie zauważy, że on jest tak zrozpaczony, że coś robi. Ale nawet wtedy nie wiedziałem jeszcze, co to może być.

A co to było?— pyta żona.

Pokazałem ci już raz. Nie jesteś chyba już gotowa, żebym ci jeszcze raz pokazał? A może jesteś?

Myślę, że nie zależy mi na tym. Ale nadal nie widzę w tym nic dziwnego. Dlaczego zajęło mu to tyle czasu i narobiło tyle kłopotu?

Bo nie byli małżeństwem — mówi mąż. — To nie było nawet jego dziecko. Ale nie wiedziałem tego wtedy. Nie dowiedziałem się o tym, dopóki nie usłyszałem ich, rozmawiających tej nocy przy ognisku, kiedy zdawało im się, że nie słyszę. Ale przedtem on się już zrobił taki zrozpaczony, że lepiej nie można. Myślę, że był dostatecznie zrozpaczony. Myślę, że dawał jej tylko jeszcze ostatnią szansę.

517

Ciągnie dalej:

— Więc było trochę krzątania się przy przygotowywaniu obozowiska, aż wreszcie ja zrobiłem się nerwowy: chciał robić wszystko, a nie wiedział, do czego się najpierw zabrać. Więc kazałem mu pójść i naciąć trochę drzewa na ognisko, a potem wyjąłem moje koce i rozłożyłem je w samochodzie. Byłem wtedy trochę wściekły na siebie, że wpadłem w to i teraz będę musiał spać z nogami w stronę ogniska i z niczym do podłożenia pod plecy. Myślę, że może byłem przy tym trochę zrzędny i mało odzywałem się, zajęty przygotowywaniem wszystkiego, gdy ona siedziała oparta plecami o drzewo i dawała dzieciakowi kolację, przy-krywszy się szalem. Mówiła przy tym co chwila, że wstyd jej bardzo za tę moją niewygodę i że chce posiedzieć noc przy ognisku, bo nie jest wcale zmęczona, jadąc tylko przez cały dzień i nic nie robiąc przy tym.

Potem on wrócił niosąc dosyć drzewa, żeby na nim upiec sarnę. Wtedy ona zaczęła mu opowiadać, a on poszedł do samochodu, wyciągnął tę swoją walizkę,

otworzył ją i wyjął z niej koc. Wtedy dopiero zaczęło się to wszystko dziać. Byliśmy jak tych dwóch facetów, których rysują w komiksach, tych dwóch Francuzów, którzy ciągle kłaniają się sobie i zapraszają, żeby ten drugi wszedł pierwszy. Wydawać by się mogło, że wyruszyliśmy wszyscy z domów tylko po to, żeby uzyskać przywilej spania na ziemi, a jeden z nas starał się kłamać więcej i prędzej niż drugi. Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć: “Zgoda. Jeżeli chcecie spać na ziemi, to śpijcie. Bo niech mnie nazwą durniem, jeżeli ja tego chcę”. Ale myślę, że można powiedzieć, że wygrałem. Bo skończyło się tym, że on rozłożył ich koc

518

w samochodzie, jak to mogliśmy wszyscy z góry przewidzieć, a potem on i ja rozłożyliśmy mój koc obok ogniska. Myślę, że on już z góry wiedział, jak to się skończy, jeżeli rzeczywiście przyjechali aż z południowej Alabamy, tak jak ona twierdziła. Myślę, że dlatego przyniósł tyle drzewa, które wydawało się potrzebne tylko do zrobienia garnka kawy i podgrzania paru puszek. Potem zjedliśmy, a później dowiedziałem się.

O czym dowiedziałeś się? Co on chciał zrobić?

Jeszcze nie wtedy. Myślę, że ona miała trochę więcej cierpliwości niż ty. Ciągnie dalej:

— Więc zjedliśmy i położyłem się na kocu. Byłem zmęczony i to, że się wyciągnąłem, zrobiło mi dobrze. Nie chciałem podsłuchiwać bardziej, niż chciałem wyglądać jak ktoś uśpiony, gdy nie spałem. Ale przecież poprosili mnie, żebym ich podwiózł. To nie ja nalegałem, żeby wsiedli do mojej ciężarówki. A jeżeli uważali za stosowne gadać, nie upewniwszy się przedtem, że nikt nie może ich słyszeć, to nie moja sprawa. I w ten sposób dowiedziałem się, że polują na kogoś, gonią go albo raczej starają się dogonić. To znaczy, że ona stara się to robić. Więc niespodziewanie powiedziałem do siebie: “Aha, to jeszcze jedna dziewczucha, która myślała, że nauczy się w sobotę wieczór tego, o co jej mama wolała zapytać w niedzielę pastora”. Ani razu nie wypowiedzieli jego imienia. I nie wiedzieli w ogóle, “w którą stronę uciekł. I zrozumiałem, że gdyby nawet dowiedzieli się, w którą stronę się udał, to nie byłoby w tym winy tego uciekającego faceta. Tego dowiedziałem się od razu. Usłyszałem go, mówiącego do niej, że mogą tak przenosić się z jednej ciężarówki na drugą, z jednego stanu do drugiego, aż do końca życia, i nie znaleźć śladu po nim. A ona siedziała na

519

pniu, trzymała tego małego dzieciaczka i słuchała go spokojnie, jakby była z

kamienia, i grzecznie, jakby była z kamienia, i tyle jej mógł wytłumaczyć, co kamieniowi. Wtedy powiadam do siebie: “No, bracie, myślę, że ona tu zajmowała pierwsze miejsce nie tylko wtedy, kiedy jechała obok mnie na siedzeniu, a tyś był tam z tyłu”. Ale nie powiedziałem ani słowa. Leżałem tam tylko, a oni rozmawiali niegłośno. On nie wspominał nawet o małżeństwie. Ale mówił o tym, a ona słuchała uprzejmie i spokojnie, jakby słyszała to już dawniej i wiedziała, że nie musi nawet zajmować sobie głowy tym, żeby powiedzieć mu: tak albo nie. Uśmiechała się trochę. Ale on tego, nie mógł zauważyć.

Potem dał za wygraną. Wstał z tej kłody i odszedł. Ale zobaczyłem jego twarz, kiedy się odwracał, i zrozumiałem, że nie dał za wygraną. Wiedział, że daje jej tylko jeszcze jedną szansę, i doprowadził się już do takiej rozpacz, że mógł zaryzykować wszystko. Mógłbym mu powiedzieć, że dopiero teraz postanawia zrobić to, co powinien był zrobić na początku. Ale myślę, że miał swoje powody. Tak czy inaczej odszedł w ciemność i pozostawił ją siedzącą tam. Głowę miała pochyloną i wciąż jeszcze była uśmiechnięta. I nie spojrzała za nim ani razu. Może wiedziała, że odszedł, żeby doprowadzić się do tego, co cały czas radziła mu zrobić, nie mówiąc tego słowami, bo to jest oczywiście niemożliwe dla damy, nawet dla takiej damy, która ma przychówek z sobotniego wieczoru.

Ale myślę, że nie o to chodziło. A może czas i miejsce jej nie odpowiadały, nie mówiąc już o świadku. Po pewnym czasie wstała i spojrzała na mnie. Nie poruszyłem się. Potem odeszła i wspięła się na ciężarówkę,

520

WIIIAM FAULKNER

a po pewnym czasie usłyszałem, że przestała się poruszać, i zrozumiałem, że ułożyła się do snu. Leżałem tam przebudziłem się na dobre — dłuższy czas. Ale wiedziałem, że on musi być gdzieś niedaleko i czeka może na to, żeby ogień przygasł albo żebym ja usnął na dobre. Bo kiedy ogień przygasł, usłyszałem go, podchodzącego cicho jak kot. Stanął nade mną i spojrzał na mnie, nasłuchując. Nie poruszałem się, a może nawet poczęstowałem go jednym albo dwoma chrap-nięciami. W każdym razie ruszył w stronę ciężarówki, jakby stąpał po surowych jajkach, a ja leżałem tak, przyglądałem mu się i mówiłem do siebie: “Gdybyś to zrobił, bracie, zeszłej nocy, to myślę, że bylibyście sześćdziesiąt mil stąd na południe i nie spotkałbym nigdy żadnego z was”. Potem trochę się zatroskałem. Nie troszczyłem się o to, że on jej zrobi coś, czego ona nie chce. Bo byłem po stronie tego małego obłudnika. Nie mogłem

zdecydować się, co zrobię, jeżeli ona zacznie wrzeszczeć. Wiedziałem, że będzie wrzeszczeć. Jeżeli zerwę się i podbiegnę do ciężarówki, to on się przestraszy i ucieknie. A jeżeli nie podbiegnę, to dowie się, że nie spałem i przyglądałem mu się przez cały czas, przestraszy się i ucieknie jeszcze prędzej. Ale nie powinienem był się martwić. Powinienem był wiedzieć od pierwszego spojrzenia na nią i na niego.

Myślę, że nie martwiłeś się, bo wiedziałeś, co on zrobi w takim wypadku — mówi żona.

Pewnie — mówi mąż. — Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała. Tak, proszę państwa. Myślałem, że tym razem zatarłem ślady za sobą.

No dobrze już. Co się stało potem?

A jak myślisz, co się mogło stać pomiędzy taką dużą silną dziewczuchą, nie wiedzącą jeszcze w dodatku, że

ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU

521

to on, a takim głupim, małym obłudnikiem, który już przedtem wyglądał, jakby doszedł do punktu, w którym gotów był rozplakać się jak jeszcze jedno niemów-lę.

Ciągnie dalej:

— Nie było żadnego wrzasku ani niczego podobnego. Widziałem tylko, że wdrapał się wolno i ostrożnie na ciężarówkę i zniknął, a potem nic się nie działo przez cały czas potrzebny do doliczenia do piętnastu... A potem usłyszałem coś w rodzaju zdumionego okrzyku, który wydała, kiedy się obudziła, jakby była zaskoczona i trochę zdziwiona, ale zupełnie nie przestraszona. A potem powiedziała nie za głośno: “Ach, panie Bunch. Czy panu nie wstyd? Mógł pan przebudzić dziecko”. Potem on wyszedł przez tylne drzwi ciężarówki. Nie spieszył się i nie zląził, szukając nogami ziemi. Niech będę psem, jeżeli nie uniosła go i nie postawiła na ziemi, jakby to zrobiła z tym swoim dzieckiem, gdyby miało już sześć lat. Potem ona powiada: “Niech pan się idzie położyć i prześpi trochę. Jutro mamy duży kawał drogi do przejechania”.

No, byłem po prostu tak zawstydzony, że nie chciałem spojrzeć na niego, aby nie dowiedział się, że jakaś istota ludzka widziała i słyszała to, co się stało. Niech będę psem, jeżeli nie chciałem znaleźć jakiejś nory, żeby zagrzebać się w niej razem z nim. Znalazłem zresztą, żeby powiedzieć prawdę. A on stał tam, gdzie ona go zaszła. Ognisko wypaliło się już prawie zupełnie i nie mogłem go prawie dostrzec. Ale wiedziałem, co bym czuł, gdybym tam stał zamiast niego. A stałbym z pochyloną głową, czekając, aż Sędzia powie: “Wyprowadźcie go i powieście jak najprędzej”. Nie

poruszyłem się więc, a po pewnym czasie usłyszą-

522

łem, że on odchodzi. Słyszałem szeleszczące krzaki, jakby szedł na ślepo przez las. A kiedy rozwidniło się, nie powrócił.

Nie powiedziałem nic. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Staralem się wierzyć, że pojawi się z krzaków, z honorem czy bez honoru. Rozpaliłem więc ognisko i zająłem się przygotowaniem śniadania, a po pewnym czasie usłyszałem ją, jak schodzi z auta. Nie obejrzałem się. Ale słyszałem ją, stojącą tam, jakby się rozglądała, jakby może starała się z wyglądu ogniska albo położenia mojego koca dowiedzieć się, czy on jest gdzieś w pobliżu, czy nie. Ale nie powiedziałem ani słowa i ona nie powiedziała ani słowa. Chciałem spakować rzeczy i ruszać. Ale wiedziałem, że nie mogę jej pozostawić na środku drogi. Nawet gdyby moja żona miała się dowiedzieć, że podróżuję po okolicy z przystojną wiejską dziewczuchą i trzytygodniowym dzieckiem, chociaż ta dziewczucha twierdzi, że ściga swego męża. Albo obu mężów. Więc zjedliśmy, a potem powiedziałem: “Mam długą drogę przed sobą, więc myślę, że lepiej będzie, jeżeli już wyruszę”. A ona nie odpowiedziała ani jednym słowem. Kiedy spojrzałem na nią, zobaczyłem, że twarz jej jest tak samo cicha i spokojna jak przedtem. Niech będę psem, jeżeli była zaskoczona albo coś podobnego. A kiedy stałem tam, nie wiedząc, co z nią zrobić, ona tymczasem spakowała swoje rzeczy, a nawet posprzątała wnętrze ciężarówki gałązką gumowca, zanim włożyła tam tę tekturową walizkę i zrobiła coś w rodzaju poduszki ze złożonego koca. Wtedy powiedziałem do siebie: “Nic dziwnego, że dajesz sobie radę w podróży. Kiedy uciekają od ciebie, wtedy zbierasz wszystko, co pozostawili, i jedziesz dalej”. A ona powiada: “Myślę, że

523

pojadę w tyle. Dam sobie radę z trzymaniem go na rękach w drodze”.

“Proszę zrobić, jak pani najwygodniej” — powiadam na to ja. Odjechaliśmy. Odwracałem się co chwila, mając nadzieję, że on pokaże się, zanim wjedziemy na zakręt. Ale nie pokazał się. Mówią o ludziach, którzy zostali na stacji kolejowej z obcym dzieckiem w rękach. A tu byłem ja, z obcą kobietą i z dzieckiem także, oczekując, że każdy samochód, który nadjeżdża z tyłu, będzie pełen mężów i żon, nie mówiąc już o szeryfach. Zbliżaliśmy się do granicy Tennessee, a ja byłem już coraz bliższy: albo podpalenia tej nowej ciężarówki, albo dojechania do miasta tak dużego, żeby znalazło się w nim jakieś towarzystwo dobroczynności dla kobiet, któremu mógłbym ją oddać. Od czasu do czasu odwracałem się, mając nadzieję, że może

wybrał się za nami pieszo. Wtedy dostrzegłem ją. Siedziała z twarzą spokojną jak świątynia, trzymając dziecko w ten sposób, żeby mogło jednocześnie jeść i nie podskakiwać na wybojach. Nie dasz im rady.

Leżąc w łóżku zaczyna się śmiać.

— Tak, proszę państwa, nie dasz im rady.

A potem co? Co zrobiła potem?

Nic. Siedziała tam tylko, jadąc, wyglądając przez okienka, jakby jeszcze nigdy w życiu nie widziała wiejskiej okolicy: dróg, drzew, pól i słupów telegraficznych: Nie zauważyła go w ogóle, dopóki nie podszedł do tylnych drzwi ciężarówki. Nie musiała go zauważać. Musiała tylko czekać. I wiedziała o tym.

Podszedł?

Pewnie. Stał przy drodze, kiedy minęliśmy zakręt. Stał tam z honorem czy bez honoru—jak zdjęty z szubienicy, ale zdecydowany i spokojny, jakby doprowa-

524

dził się do rozpacz po raz ostatni, żeby spróbować ostatniej szansy, a teraz wiedział, że nie musi nawet doprowadzać się już nigdy do rozpacz. Ciągnie dalej:

— Nie spojrzał nawet na mnie ani razu. Zatrzymałem tylko ciężarówkę, a on podbiegł do tylnych drzwi przy których ona siedziała. Podszedł tam i stanął, a ona nawet się nie zdziwiła. “Za daleko już zajechałem — powiada on. — Niech będę psem, jeżeli teraz odejdę”. A ona przygląda mu się, jakby przez cały czas wiedziała, co on chce zrobić, wcześniej nawet, niż on o tym wiedział, a także, że cokolwiek on zrobi, nie będzie to miało znaczenia.

“Nikt ci nie mówi, żebyś odchodził” — powiada ona.

Śmieje się leżąc w łóżku.

— Tak, proszę państwa, nie można pokonać kobiety. A wiesz, co myślę? Myślę, że ona po prostu podróżowała. Myślę, że nawet jej w głowie nie powstało odszukanie tego kogoś, za kim podążała. Myślę, że wcale tego nie chciała, tylko że nie powiedziała mu jeszcze o tym. Myślę, że pierwszy raz w życiu odjechała od domu dalej niż na taką odległość, jaką mogłaby przebyć do zachodu słońca. I dojechała tak daleko, bo ludzie zadbali, żeby jej było dobrze. Więc myślę, że postanowiła przejechać się jeszcze kawałek dalej, żeby zobaczyć, co się da, bo wiedziała, że kiedy teraz osiadzie, to pewnie już do końca życia. Tak właśnie myślę. Siedziała w tyle tej ciężarówki, a on już teraz obok niej, a dziecko nie przestało jeść, chociaż jadło już przez ostatnich dziesięć mil, jakby siedziało przy śniadaniu w jednym z tych wagonów restauracyjnych w

pociągach. A ona wyglądała i przyglądała się słupom

525

telegraficznym i mijanym sztachetom, jakby to była parada cyrkowa. Po pewnym czasie powiedziałem:

“Zbliżamy się do Saulsbury”.

A ona powiada:

“Co?”

A ja powiadam:

“Saulsbury, Tennessee”.

A potem obejrzałem się i zobaczyłem jej twarz. Była już przygotowana, żeby wyrazić zdziwienie, jakby wiedziała, że kiedy to zdziwienie nadejdzie, sprawi jej to przyjemność. A kiedy nadeszło, sprawiło jej przyjemność. Bo powiedziała:

“No, no, ale sobie człowiek podróżuje. Dopiero dwa miesiące temu wyruszyliśmy z Alabamy, a już jesteśmy w Tennessee”.

Wypożyczalnia